

**WALERY BRIUSOW**  
**OGNISTY ANIOŁ**

PRZEŁOŻYŁA **ELŻBIETA WASSONGOWA**  
POSŁOWIEM OPATRYŁ **RENÉ ŚLIWOWSKI**

© Copyright for the Polish edition  
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”  
Warszawa 1981

**WALERY BRIUSOW**

**OGNISTY ANIOŁ**

**PRZEŁOŻYŁA ELŻBIETA WASSONGOWA**  
**POSŁOWIEM OPATRYŁ RENÉ ŚLIWOWSKI**

© Copyright for the Polish edition  
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”  
Warszawa 1981

OGNISTY ANIOŁ, CZYLI PRAWDZIWA  
OPOWIEŚĆ, W KTÓREJ MOWA JEST  
O DIABLE NIERAZ

ukazującym się w postaci świetlanego ducha pewnej  
dziewczynie i kuszącym ją do różnych grzesznych  
postępków, o odrazę budzącym zajmowaniu się  
magią, astrologią, goecją i nekromancją: o  
sądzie nad pewną dziewczyną sprawowa-  
nym pod przewodnictwem Jego Prze-  
wielebności Arcybiskupa Trewiru,  
a także o spotkaniach i ro-  
zmowach z rycerzem i po-  
trójnym doktorem Agry-  
pą z Nettesheimu  
oraz z doktorem  
Faustem, przez  
naocznego  
świadka  
spisa-  
na.

NON ILLUSTRUM CUIQUAM VIRORUM  
ARTIUM LAUDE DOCTRINAEVE FAMA CLARORUM  
AT TIBI  
DOMINA LUCIDA DEMENS INFELIX  
QUAE MULTUM DILEXERAS  
ET AMORE PERIERAS  
NARRATIONEM ILAUD MENDACEM  
SERVUS DEVOTUS  
AMATOR FIDELIS  
SEMPITERNAE MEMORIAE CAUSA  
DEDICAVI  
SCRIPTOR

NIE KOMUKOLWIEK ZE ZNAMIENTNYCH LUDZI  
WSŁAWIONYCH W SZTUCE LUB NAUKACH  
LECZ TOBIE  
KOBIE TO ŚWIETLANA SZALONA NIESZCZĘŚLIWA  
KTÓRA WIELE UKOCHAŁAŚ  
I Z MIŁOŚCI ZGINEŁAŚ  
TĘ PRAWDZIWĄ OPOWIEŚĆ  
JAKO POKORNY SŁUGA  
I WIERNY KOCHANEK  
NA ZNAK WIECZNEJ PAMIĘCI  
POŚWIĘCA

AUTOR

## AMICO LECTORI

Przedmowa autora, w której opowiedziane jest jego życie do chwili powrotu na ziemię niemiecką

# Conversion of WMF images is not supported

Use Microsoft Word or OpenOffice to save this RTF file as HTML and convert that in calibre.



calibre 0.8.1

Myślę, że każdy, komu przytrafiło się być świadkiem wydarzeń niezwykłych i niezbyt zrozumiałych, winien zostawić ich opisanie sporządzone

szczerze i bezstronnie. Jednakże nie tylko chęć przyczynienia się do tak zawilej sprawy, jak zbadanie zagadkowej władzy Diabła i podległej mu dziedziny, skłania mnie do podjęcia tej pozbawionej upiększeń opowieści o wszystkim tym zadziwiającym, co przeżyłem w ciągu minionych dwunastu miesięcy. Pociąga mnie także możliwość otwarcia na tych kartach mego serca, jakby w niemej spowiedzi przed nie znanym mi słuchaczem, nie mam bowiem więcej nikogo, komu mógłbym poczynić swe smutne wyznania, a trudno jest milczeć człowiekowi, który nazbyt wiele doświadczył. Na to, byś mógł, łaskawy czytelniku, przekonać się, jak dalece wierzyć możesz memu niewymyślnemu opowiadaniu i jak dalece zdolny byłem rozumnie oceniać wszystko, co obserwowałem, chcę pokrótce opowiedzieć całą swą historię.

Przed wszystkim muszę przyznać, że kiedy zetknąłem się z owym mrocznym i tajemniczym w przyrodzie, nie byłem młodzieńcem niedoświadczonym i skorym do przesady, przekroczyłem już bowiem granicę rozdzielającą nasze życie na dwie części. Urodziłem się w elektoracie trewirskim w końcu roku 1504 od Wcielenia Słowa Bożego, 5 lutego[1], w dzień świętej Agaty, co wypadło w środę, w niewielkiej osadzie, w dolinie Hochwaldu, w Losheimie. Dziad mój był tam cyrulikiem i chirurgiem, a ojciec, po otrzymaniu na to przywileju od naszego kurfirsta, praktykował jako medyk. Tamtejsi mieszkańcy wysoko cenili jego umiejętności i prawdopodobnie, kiedy zachorują, po dziś dzień korzystają z jego troskliwej pomocy. Było nas czworo dzieci: dwóch synów, licząc w tym mnie, i dwie córki. Mój starszy brat, Amim, który w domu i szkołach pomyślnie wyuczył się rzemiosła ojca, przyjęty został do korporacji medyków trewirskich, a obie siostry dobrze wyszły za mąż i zamieszkały — Maria w Merzigu, a Luiza w Bazylei. Ja, który na chrzcie świętym otrzymałem imię Ruprechta, byłem jeszcze dzieckiem, kiedy brat i siostry już się usamodzielnili.

Mego wykształcenia nie sposób nazwać świetnym, choć dziś wykorzystawszy w życiu wiele sposobności, by zdobyć najróżniejszą wiedzę, nie uważam siebie pod żadnym względem za niżej stojącego od pewnych osobników szczyjących się podwójnym i potrójnym doktoratem[2]. Ojciec mój marzył, że będę jego następcą i że przekaze mi, jako bogatą spuściznę, i swoją pracę, i szacunek, jakim go darzono. Ledwo nauczyłem mnie pisać i czytać, liczyć na abakusie i początków łaciny, zaczął mnie wprowadzać w tajniki medykamentów, w aforyzmy Hipokratesa i w księgę Joannicjusza Syryjskiego[3]. Ja jednakże już od wczesnego dzieciństwa nienawidziłem zajęć wymagających ślęczenia nad książką, wielkiej uwagi i cierpliwości. Jedyne wytrwałość ojca, który ze starczym uporem nie odstępował od swego zamiaru, i ustawiczne perswazyje matki, kobiety dobrej i bojaźliwej, przymusiły mnie do



poczynienia pewnych postępów w studiowanym przedmiocie.

Kiedy miałem czternaście lat, ojciec na dalszą naukę wysłał mnie do Kolonii, miasta położonego nad Renem, do swego starego przyjaciela Otfrieda Gerharda, myśląc, że dzięki rywalizacji z kolegami wzmoże się moja pilność. Jednakże Uniwersytet w tym mieście, skąd dominikanie dopiero co prowadzili swoją haniebną walkę z Janem Reuchlinem, nie mógł wzbudzić we mnie specjalnego zapału do nauki. W owym czasie, choć zaczynały się tam pewne przemiany, jednak wśród magistrów nie było prawie wcale wyznawców nowych idei naszej epoki, a fakultet teologii wciąż Jeszcze górował nad innymi niczym wieżycy nad dachami. Mnie polecano uczyć się na pamięć heksametrów z „Doctrinale”[4] Aleksandra i zgłębiać „Copulata” Piotra z Hiszpanii. Jeśli więc w latach przebywania mego na uniwersytecie czegokolwiek się nauczyłem, to oczywiście nie z wykładów, lecz jedynie z lekcji obdanych wędrownych nauczycieli, którzy pojawiali się niekiedy na ulicach Kolonii.

Nie powinienem (gdyż byłoby to niesprawiedliwe) mówić, że byłem pozbawiony zdolności, i w konsekwencji, dysponując dobrą pamięcią i szybką orientacją, bez trudu wnikałem w rozważania najgłębszych myślicieli czasów starożytnych i naszych. To, czego udało mi się dowiedzieć o pracach Bernarda Walthera[5], matematyka z Norymbergi, o odkryciach i opiniach doktora Teofrasta Paracelsusa, a zwłaszcza o porywających poglądach mieszkającego we Fromborku astronoma Mikołaja Kopernika, pozwalał mi myśleć, że dobroczynne ożywienie, które w naszym szczęśliwym stuleciu przeobraziło i sztuki wolne, i filozofię, w przyszłości zapanuje także w naukach. Na razie nie mogą one nie być obce każdemu, kto z racji swego ducha uważa się za współczesnego wielkiego Erazma, za wędrowca w dolinie ludzkości, valli humanitatis[6]. Ja w każdym razie i w latach chłopięcych — nieświadomie, i jako człowiek dorosły — po przemyśleniu, zawsze niewysoko ceniłem wiedzę zaczerpniętą przez nowe pokolenie ze starych ksiąg i nie sprawdzoną badaniem rzeczywistości. Wraz z płomiennym Giovannim Pico delia Mirandola, autorem świetnej rozprawy „O godności człowieka” gotów jestem rzucić kłutwę na „szkoły, w których ludzie zajmują się wyszukiwaniem nowych słów”.

Stroniąc w Kolonii od wykładów uniwersyteckich, z tym większym zapałem pogrążyłem się w swobodnym życiu studentów. Po surowości domu ojcowskiego bardzo mi się podobały i chwackie pijatyki, i godziny spędzane z uległymi przyjaciółkami, i gra w karty, zapierająca dech zmienną przypadkowością. Szybko przywykłem do hulaszczego spędzania czasu, jak i w ogóle do hałaśliwego życia w mieście, tego życia pełnego ustawicznej

krzątani i pośpiechu, będącego cechą naszych dni, na co z niedowierzaniem i oburzeniem patrzą starcy, wspominając spokojne czasy dobrego cesarza Fryderyka[7]. Dni całe spędzałem z kolegami na swawolach, nie zawsze niewinnych, przechodząc z szynków do wesołych domków, wyśpiewując studenckie pieśni, prowokując do bójk i rzemieślników i nie gardząc czystą wódką, której picie wtedy, piętnaście lat temu, nie było bynajmniej tak rozpowszechnione jak teraz. Nawet wilgotny mrok nocy i brzęk zaciąganych łańcuchów ulicznych nie zawsze skłaniały nas do udania się na spoczynek.

W takim życiu nurzałem się blisko trzy zimy, póki zabawy te nie skończyły się dla mnie nieszczęśliwie. Moje niedoświadczone serce rozgorzało namiętnością do naszej sąsiadki, żony piekarza, kobietki sprytniej i śliczniej, mówiąc językiem wierszopisów — o policzkach jak śnieg osypany płatkami róży, o wargach jak sycylijskie korale, o zębach jak cejlońskie perły. Nie była ona niechętna młodzieńcowi postawnemu i o ciętym języku, żądała jednak ode mnie tych maleńkich podarków, na które, jak to już zauważył Owidiusz Nazo, łase są wszystkie kobiety. Na to, by spełniać jej kapryśne zachcianki, nie wystarczały pieniądze przysyłane mi przez ojca, tak więc wspólnie z jednym z moich najzuchwalszych rówieśników wdałem się w bardzo brzydką sprawę, która nie pozostała nie ujawniona, i groziło mi zamknięcie w więzieniu miejskim. Tylko dzięki wielkim staraniom Otfrieda Gerharda, który cieszył się sympatią wpływowego i niezwykle mądrego kanonika, hrabiego Hermana von Neuenahra[8], nie zostałem postawiony przed sądem, lecz wyprawiony do rodziców, by ponieść karę w domu.

Zdawałoby się, że na tym winny były skończyć się dla mnie lata szkolne, w istocie jednak dopiero teraz zaczęła się ta nauka, której zawdzięczam prawo do miana człowieka światłego. Miałem lat siedemnaście. Ponieważ na Uniwersytecie nie uzyskałem nawet stopnia bakałarza, w domu znalazłem się w przykrych okolicznościach, człowiekiem, który utracił honor i od którego wszyscy się odwrócili. Ojciec usiłował wynaleźć mi jakieś zajęcie i zmuszał mnie do pomagania mu w sporządzaniu lekarstw, ale ja z uporem uchylałem się od wykonywania tej niemilej mi profesji i wolałem znosić zarzuty, że jestem darmożadem. A jednak w naszym ustronnym Losheimie znalazłem wiernego druha, który tkliwie mnie pokochał i wyprowadził na nową drogę. Był to Fryderyk, syn naszego aptekarza, młodzieniec nieco ode mnie starszy, chorowity i dziwny. Jego ojciec lubił zbierać i oprawiać książki, zwłaszcza nowe, drukowane, i wydawał na nie każdy wolny grosz, choć sam czytywał rzadko. Za to Fryderyk od lat najmłodszych oddawał się lekturze, była ona jego pasją i nie znał większej radości, jak na głos ponownie odczytywać ulubione stronic. Z tego powodu w naszym mieście uważano Fryderyka ni to

za pomyłką, ni to za człowieka niebezpiecznego, i był on równie samotny jak ja, zatem nic w tym dziwnego, że zaprzyjaźniliśmy się ze sobą niczym dwa ptaki w jednej klatce. Kiedy nie wałęsałem się z samopałem po stromiznach i zboczach okolicznych gór, szedłem do maleńkiej izdebki mego przyjaciela, na samym szczycie domu, pod dachówkami, i długie godziny spędzaliśmy wśród opasłych tomów autorów starożytnych i cieniutkich książek pisarzy współczesnych.

Tak pomagając jeden drugiemu, to razem się zachwycając, to kłócąc się zajadle, czytaliśmy i w chłodne dni zimowe, i w gwiazdne noce letnie, wszystko, co mogliśmy dostać w naszym zapadłym kącie, przemieniając strych apteki w akademię. Mimo że obaj nie byliśmy zbyt mocni w gramatyce Zintena[9], przeczytaliśmy niemało łacińskich autorów[10], przy czym także takich, o których nie było mowy na Uniwersytecie ani na ordynariach, ani na dysputach. U Katullusa, Marcjalisa, Kalpurniusa znaleźliśmy nieprześcignione przykłady piękna i dobrego smaku, które do tej pory żywo pamiętam, a dzięki utworom boskiego Platona zajrzeliśmy w samą głębię mądrości ludzkiej, nie wszystko rozumiejąc, lecz wszystkim wstrząśnięci. Z dzieł naszego wieku, mniej doskonałych, ale bardziej nam bliskich, nauczyliśmy się uświadamiać sobie to, co już dawniej, nie dając się określić słowami, żyło i kłębiło się w naszych duszach. Ujrzyliśmy nasze własne, do tej pory mgliste jeszcze poglądy, w niezmiernie zabawnej „Pochwale głupoty”, w dowcipnych i szlachetnych, co by tam nie mówiono, „Colloquiach”, w mocnym i bezlitosnym „Tryumfie Wenery” i w tych „Pismach ciemnych ludzi”[11], które niejedną raz przeczytaliśmy od początku do końca i którym starożytność przeciwstawić może chyba jednego tylko Lukiana.

Przy okazji wspomnę, że były to właśnie owe czasy, o których teraz mówią, że kto w dwudziestym trzecim roku nie umarł, w dwudziestym czwartym nie utonął, a w dwudziestym piątym nie został zabity — winien Bogu za cud dziękować. Nas jednak, pochłoniętych rozmowami z najszlachetniejszymi umysłami, groźne burze terażniejszości prawie nie interesowały. Bynajmniej nie ubolewaliśmy z powodu napaści na Trewir rycerza Franza von Sickingena[12], którego niektórzy sławili jako przyjaciela najznamienitszych ludzi, ale który w rzeczywistości był człowiekiem starego pokroju, zaliczającym się do tych rozbójników, którzy ryzykują głową, żeby ograbić przejezdnego. Nasz Arcybiskup dał odprawę gwałtownikowi i dowiódł, że czasy Florizela z Nicei[13] przetrwały tylko w legendach dziadów. Podobnie kiedy przez dwa następne lata na wszystkich ziemiach niemieckich niby w jakimś diabelskim tańcu szalały ludowe bunty i awantury, i w naszym mieście mówiono wyłącznie o wyniku powstań, my nie przerywaliśmy naszych zajęć.

Fryderykowi, który był marzycielem, wydawało się z początku, że ta ognista i krwawa burza pomoże zaprowadzić w naszym kraju więcej porządku i sprawiedliwości, lecz niezadługo i on się upewnił, że nie ma czego oczekiwać od niemieckich chłopów, zbyt jeszcze dzikich i ciemnych. Wszystko, co się dokonało, stanowiło potwierdzenie gorzkich słów jednego z pisarzy: *rustica gens optima flens pessima gaudens*[14].

Pewne spory wywołały między nami pierwsze słuchy o Marcinie Lutrze, tym „zajadłym heretyku”[15], mającym już wtedy niemało zwolenników wśród książąt dziedzicznych. Zapewniano, że w tym czasie dziewięć dziesiątych Niemiec wołało: „Niech żyje Luter!”, później zaś mówiono w Hiszpanii, że u nas religia zmienia się jak pogoda i że chrabąszcz lata między trzema kościołami. Mnie osobiście wcale nie obchodził spór o Łaskę i Przemienienie, i nigdy nie rozumiałem, jak Dezyderiusz Erazm, ten niezównany geniusz, mógł się interesować naukami głoszonymi przez mniczów. Podobnie jak najlepsi współcześnie żyjący ludzie żywiłem przekonanie, że wiara mieści się w głębi serca i nie wymaga okazywania jej na zewnątrz, i właśnie dlatego, ani w latach młodzieńczych, ani w wieku dojrzałym, nigdy nie czułem zakłopotania czy to w towarzystwie dobrych katolików, czy też wśród zajadłych luteranów. Przeciwnie, Fryderyk, którego w religii na każdym kroku przerażały mroczne czeluści, znajdował jakieś niezrozumiałe dla mnie objawienie w księgach Lutra, prawda, że barwnych i nie pozbawionych siły wyrazu — więc też nasze spory przeradzały się niekiedy w przykre kłótnie.

Na początku roku dwudziestego szóstego, zaraz po Wielkanocy, przyjechali do nas do domu moja siostra Luiza z mężem. Przy nich życie stało się dla mnie nie do zniesienia, gdyż oboje bez ustanku zasypywali mnie wyrzutami, że mając dwadzieścia lat jestem jarmem na barkach ojca i solą w oku matki. Mniej więcej w tym czasie rycerz Georg von Frundsberg[16], sławny ze swego zwycięstwa nad Francuzami, na polecenie Cesarza werbował w naszych prowincjach rekrutów. Wtedy przyszło mi na myśl, by zostać wolnym lancknechtem, nie widziałem bowiem innego sposobu odmienienia swego życia, które gotowe było zatęchnąć jak woda w stawie. Fryderyk, który marzył, że stanę się słynnym pisarzem — obaj czyniliśmy bowiem próby naśladowania naszych ulubionych autorów — bardzo się zmartwił, nie znalazł jednak argumentów, by mnie od tego zamiaru odwieść. Stanowczo i z uporem oznajmiłem ojcu, że wybieram wojenne rzemiosło, gdyż wolę miecz od lancetu. Ojciec, jak się tego spodziewałem, wpadł w gniew i zabronił mi nawet myśleć o wojaczce, przy czym powiedział: „Przez całe życie naprawiałem ludzkie ciała i nie chcę, by syn mój je okaleczał”. Ani ja, ani mój przyjaciel nie mieliśmy własnych pieniędzy, żeby kupić uzbrojenie i odzież, i dlatego postanowiłem

opuścić rodzinny dom po kryjomu. W nocy, pamiętam, że było to z czwartego na piąty czerwca, wziąłem dwadzieścia pięć reńskich guldenów[17] i niepostrzeżenie wyszedłem z domu. Pamiętam, że Fryderyk odprowadził mnie tam, gdzie zaczynały się pola, uścisnął mnie — niestety, ostatni raz w życiu! — i płacząc stał przy szarej łożynie, blady w świetle księżycy jak trup.

Owego dnia nie czułem na sercu ciężaru rozłąki, przede mną bowiem niby głębia majowego poranka jaśniało nowe życie. Byłem młody i silny, werbownicy przyjęli mnie bez dyskusji, i wstąpiłem do włoskiego wojska Frundsberga. Wszyscy łatwo rozumieją, że dni, które nastąpiły, nie były dla mnie łatwe, wystarczy, że sobie przypomnę, jacy są nasi lancknechci: ludzie gwałtowni, prostacy, nieuczeni, chępiący się pstrokacizną odzieży i rubaszością mowy, szukający tylko okazji, żeby się upić do nieprzytomności i jak najwięcej zagarnąć łupów. Straszne niemal było po wyrafinowanych i ostrych jak igła żartach Marcialisa lub wzniosłych jak lot sępa rozważaniach Marsilia Ficino[18] uczestniczyć w nie znających hamulców zabawach moich współtowarzyszy, i czasami moje życie wydawało mi się nieprzerwanym dławiącym snem. Moi dowódcy nie mogli jednak nie zauważyć, że różnię się od kolegów i wiedzą, i obejściem, a ponieważ prócz tego dobrze władałem arkebuzą i nie gardziłem żadną robotą, zawsze mnie wyróżniali i powierzali mi zadania bardziej dla mnie stosowne.

Służąc jako lancknecht odbyłem całą trudną wyprawę do Włoch, kiedy zimową porą trzeba było przechodzić przez ośnieżone góry, przeprować się w bród przez rzeki, po szyję zanurzając się w wodzie, i całymi tygodniami obozować w grząskim błocie. Wtedy to, 6 maja dwudziestego siódmego roku, brałem udział w zdobyciu szturmem Wiecznego Miasta przez połączone wojska hiszpańskie i niemieckie. Przyszło mi na własne oczy widzieć, jak rozbewstwieni żołnierze grabili rzymskie kościoły, dopuszczali się gwałtów w klasztorach kobiecych, na mułach papieskich jeździli po ulicach przybrani w mitry, wrzucali do Tybru świętą hostię i relikwie świętych, urządzili konklawe i Marcina Lutra ogłosili papieżem. Potem blisko rok spędziłem w różnych miastach włoskich, poznałem bliżej życie kraju, prawdziwie oświeconego, będącego wspaniałym wzorem dla innych. Pozwoliło mi to zapoznać się z zachwycającymi dziełami współczesnych artystów włoskich — którzy tak bardzo wyprzedzili naszych, prócz może jedyne tylko Albrechta Dürera[19] — a wśród nich także z dziełami wiecznie oplakiwanego Rafaela z Urbino, jego godnego rywala Sebastiana del Piombo, młodego, lecz wszechogamiającego geniusza Benvenuto Celliniego, z którym przyszło nam zetknąć się także jako z wrogiem, i lekceważącego nieco piękno kształtu, jednakże mocarnego, jedyne w swym rodzaju Michała Anioła Buonarroti.

Na wiosnę następnego roku, ponieważ obznałmłem się już nieco z językiem hiszpańskim, porucznik oddziału hiszpańskiego, don Miguel de Gomez, przydzielił mnie do siebie jako medyka. Wraz z don Miguelem musiałem udać się do Hiszpanii, dokąd został wysłany z tajnymi listami do naszego Cesarza, i ta podróż zdecydowała o całym moim losie. Dwór przebywał wtedy w Toledo i tam spotkaliśmy również największego z naszych współczesnych, bohatera równego Hannibalom, Scypionom i innym mężom starożytności — Ferdynanda Korteza, markiza del Valle-Oaxaca[20]. Przyjęcie zgotowane dumnemu zdobywcy królestw, a także opowieści ludzi przybyłych z kraju tak zajmująco opisanego przez Amerigo Vespucciego, skłoniły mnie do szukania szczęścia w tej ziemi obiecanej wszystkim nieszczęśliwców. Przyłączyłem się do wyprawy, którą przedsięwzięli Niemcy osiadli w Sewilli, i z lekkim sercem popłynąłem przez ocean.

W Indiach Zachodnich[21] początkowo wstąpiłem na służbę do Królewskiej Audiencji[22], lecz wkrótce, kiedy się przekonałem, jak nieuczciwie i nieporadnie prowadzi ona interesy i jak niesprawiedliwie traktuje zdolności i zasługi, wołałem spełniać polecenia tych niemieckich domów handlowych, które mają swoje filie w Nowym Świecie, a w szczególności Welsarów, mających kopalnie miedzi na San Domingo, a także Fuggerów, Ehingerów, Kromibergerów, Tetzarów[23]. Odbyłem cztery wyprawy na zachód, na południe i na północ w poszukiwaniu nowych złóż rudy, kopalni drogich kamieni — ametystów i szmaragdów — i cennego drewna: dwukrotnie pod dowództwem innych ludzi, a dwukrotnie sam dowodząc oddziałem. W ten sposób przewędrowałem wszystkie ziemie od Chicory[24] do portu Tumbes, spędziłem długie miesiące wśród ciemnoskórych pogan, w drewnianych stolicach tubylców widziałem takie bogactwa, w porównaniu z którymi niczym są wszystkie skarby naszej Europy, i kilka razy prawie cudem uniknąłem grożącej mi zagłady. Przyszło mi także zaznać silnych przeżyć w miłości do pewnej indiańskiej kobiety, która pod ciemną skórą kryła serce przywiązane i namiętne, byłoby jednak niewłaściwe szczegółowiej tutaj o tym opowiadać. Powiem krótko: tak jak spokojne dni z miłym moim Fryderykiem spędzone nad książkami ukształtowały moje myśli, tak niespokojne lata wędrówek w ogniu prób zahartowały moją wolę i dały mi najcenniejszą zaletę męczyzny — wiarę w siebie.

Oczywiście u nas mylnie wyobrażają sobie, że za oceanem wystarczy się po prostu schylić, by zbierać złoto z ziemi, jednakże, po spędzeniu pięciu lat w Ameryce i Indiach Zachodnich, dzięki nieustannej pracy i nie bez pomocy szczęścia zebrałem dostateczne oszczędności. Wtedy to opanowała mnie myśl, by znów pojechać na ziemię niemiecką, nie po to, żeby spokojnie osiąść

w naszym jakby śpiącym miasteczku, lecz także nie bez podyktowanego próżnością zamiaru pochwalenia się swymi sukcesami przed ojcem, gdyż musiał mnie on przecież uważać za próżniaka, który go okradł. Nie będę zresztą ukrywał, że odczuwałem dojmującą tęsknotę, jakiej nigdy się nie spodziewałem, do rodzinnych gór, po których, bywało, rozjątrzony wałęsałem się z samopałem, i że tak bardzo pragnąłem zobaczyć zarówno moją dobrą matkę, jak i porzuconego przyjaciela, miałem bowiem nadzieję, że zastanę go jeszcze żywym. Jednakże już wtedy powziąłem niezłomne postanowienie, że kiedy odwiedzę ojcyste strony i odnowię więź z rodziną, powrócę do Nowej Hiszpanii, którą uważam za swoją drugą ojczyznę.

Wczesną wiosną trzydziestego czwartego roku odpłynąłem na statku Welserów z portu Villarica de la Veracruz i po burzliwej i trudnej nawigacji przybyłem do bogatej Antwerpii. Kilka tygodni upłynęło md na wykonywaniu różnych przyjętych na siebie zobowiązań i dopiero w sierpniu mogłem wreszcie wyruszyć w drogę do Nadrenii. Od tego czasu właściwie zaczyna się moja opowieść.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

O tym, jak po raz pierwszy spotkałem Renatę i jak opowiedziała mi ona całe swoje życie

Z Niderlandów postanowiłem wyruszyć łądem i wybrałem drogę przez Kolonię, miałem bowiem ochotę zobaczyć raz jeszcze to miasto, gdzie przeżyłem niemało przyjemnych chwil. Za trzydzieści hiszpańskich escudo[25] kupiłem dobrego konia, który bez trudu mógł wieźć mnie i moje rzeczy, jednakże lękając się rozbójników postarałem się przybrać wygląd niebogatego marynarza. Pstrokaty i wspaniały raczej strój, którym pyszniłem się w pięknym Brabancie, zamieniłem na zwykły ubiór marynarza, ciemnobrązowego koloru, i przewiązałem szarawary[26] pod kolanami. Nie rozstałem się jedynie z moją niezawodną długą szpadą, polegałem bowiem na niej nie mniej niż na świętej Gertrudzie, patronce wszystkich podróżujących łądem. Na wydatki w czasie podróży pozostawiłem sobie niewielką sumkę pieniędzy w srebrnych joachimstalarach[27], a moje oszczędności, złote pistole, zaszylałem w szerokim pasie.

W ciągu pięciu dni przyjemnej podróży z przypadkowymi towarzyszami, gdyż jechałem nie śpiesząc się zbyt, przeprowiłem się przez Maas do Venlo. Nie będę ukrywał, że kiedy dojechałem do okolic, gdzie przed moimi oczami pojawiły się niemieckie ubiory i uszu moich dobiegła tak dobrze znana, dziarska, ojczysta mowa, ogarnęło mnie wzruszenie trochę niegodne mężczyzny. Liczyłem, że wyjeżdżając z Venlo rano, pod wieczór zajadą do Neuss, i dlatego w Viersen pożegnałem się ze swoimi towarzyszami, którzy chcieli zajechać do Gladsbach, i już samotnie skręciłem na drogę do Düsseldorfu. Ponieważ należało się śpieszyć, zacząłem ponaglać konia, ale ten potknąwszy się uderzył pęcina o kamień i ów błahy wypadek stał się bezpośrednią przyczyną długiego szeregu zdumiewających wydarzeń, jakie po owym dniu przeżyłem. Dawno już jednak zauważyłem, że tylko błahy wypadek bywają pierwszymi ogniwami w łańcuchu ciężkich prób, który niedostrzegalnie i bezdźwięcznie życie niekiedy dla nas wykuwa.

Na kulejącym koniu mogłem posuwać się naprzód tylko powoli i byłem



jeszcze daleko od miasta, kiedy w szarym zmierzchu źle już było widać, a z trawy uniosła się gryząca mgła. W tym czasie przejeżdżałem przez gęsty las bukowy i nie bez obawy rozmyślałem o noclegu w zupełnie nie znanej mi okolicy, kiedy nagle za zakrętem drogi, na samym jej skraju, na niewielkiej przesieci zobaczyłem pochylony, samotny, drewniany domek, Mory jakby tam zabłądził. Jego wrota były szczelnie zamknięte i dolne okna podobne były raczej do dużych otworów strzelniczych, ale pod dachem kołysała się na sznurku na wpół rozbita butelka wskazująca, że jest to gospoda, podjechałem więc i ręką ręką szpadę zacząłem łomotać w okiennicę. Na moje energiczne stukanie, czemu towarzyszyło wściekłe ujadanie psa, wyjrzała gospodyni tego domu, ale długo nie chciała mnie wpuścić, wypytując, kto jestem i w jakim celu jadę. Wcale nie podejrzewając, jaką przyszłość sam sobie szykuję, grożąc i klnąc nalegałem, by się pośpieszyła, tak że wreszcie drzwi zostały otwarte, a mój koń odprowadzony do stajni.

Po chwiejnych schodach, w ciemnościach, zaprowadzono mnie do małej izdebki na piętrze, ciasnej i o nierównomierną szerokość, przypominającej kształtem futerał na wiołę. W tym czasie, kiedy we Włoszech w najtańszych nawet gospodach znaleźć można i łóżko z miękką pościelą, i smaczną wieczerzę z butelką wina, u nas podróżni — prócz bogaczy wiozących ze sobą na mułach dziesiątki wypchanych tobołów — wciąż jeszcze muszą poprzestawać na czarnym chlebie, kiepskim piwie i noclegu na starej słomie. Moje pierwsze schronienie w ojczyźnie wydało mi się duszne i ciasne, zwłaszcza po czystych, jakby wypolerowanych sypialniach w domach tych niderlandzkich kupców, do których wstęp umożliwiały mi listy polecające. Znałem jednak i gorsze noce w czasie uciążliwych wędrówek po Anahuaku[28], tak że nakryłem się skórzanym płaszczem i starałem się czym prędzej zasnąć, nie słuchając, jak w sali na dole pijany głos wyśpiewywał nową piosenkę, której słowa jednak zapamiętałem:

*Ob dir ein Dirn gefeit,  
So schweig, hastu kein Gelt.*

Jakże byłbym zdumiony zasypiając, gdyby jakiś proroczy głos powiedział mi, że był to ostatni wieczór takiego mego życia, po którym zacząć się miało życie inne. Mój los przeniósł mnie przez ocean, zatrzymał w drodze akurat potrzebną ilość dni i poprowadził, zupełnie jakby ku zawczasu wyznaczonemu celowi, do tego domu, odległego od miasta i wsi, gdzie czekało mnie spotkanie o decydującym znaczeniu. Jakiś uczony mnich, dominikanin, dostrzegłby w tym wyraźny palec boży; zaciekle realista znalazłby okazję, by boleć nad skomplikowanym związkiem przyczyn i następstw, nie mieszczących się w obracających się kołach Rajmunda Lulle[29], ja zaś, kiedy myślą o tysiącach

przypadków, które konieczne były, bym tego wieczoru znalazł się na drodze do Neuss, w biednej przydrożnej gospodzie — zatracam wszelkie poczucie różnicy między sprawami zwykłymi a nadnaturalnymi, między miracula a natura[30]. Mniemam tylko, że pierwsze spotkanie moje z Renatą było co najmniej równie przedziwne, jak wszystko to niezwykle i wstrząsające, co później razem z nią przeżyłem.

Północ z pewnością dawno już minęła, kiedy nagle ocknąłem się zbudzony czymś dla mnie nieoczekiwanym. W moim pokoju było dość jasno od błękitnawo-srebrzystego światła księżyca i dokoła panowała taka cisza, jakby cała ziemia i nawet niebiosy umarły. Później jednak w tej ciszy, z sąsiedniego pokoju, zza przepierzenia z desek, dobiegł mnie kobiecy szept i słabe okrzyki. Chociaż mądre powiedzenie mówi, że podróżnemu starczy troski o własny grzbiet i nie ma co żałować cudzych ramion, i chociaż nigdy nie odznaczałem się zbytnią tkliwością, to jednak właściwie mi od dziecka upodobanie do przygód musiało mnie skłonić do obrony skrzywdzonej kobiety, do czego, jako człowiek, który lata całe spędził w bojach, miałem rycerskie prawo[31]. Wstałem z łóżka i na wpół wysunąwszy szpadę z pochwy wyszedłem z pokoju, a kiedy znalazłem się w ciemnym przejściu, z łatwością odnalazłem drzwi, zza których dobiegał ów głos. Spytałem głośno, czy ktoś nie potrzebuje obrony, a kiedy powtórzyłem te słowa po raz drugi i nikt się nie odezwał, uderzyłem w drzwi, zламаłem słabą zasuwkę i wszedłem.

Wtedy po raz pierwszy ujrzałem Renatę.

W takim samym nieprzytulnym pokoju jak mój, i także dość jasno oświetlonym blaskiem księżyca, stała przytulona do ściany, ogamięta przażeniem kobieta, na wpół rozebrana, z rozpuszczonymi włosami. Żadnego innego człowieka tu nie dostrzegłem, chociaż wszystkie kąty pokoju były jasno oświetlone i cienie, kładące się na podłodze, były ostre i jasne; ona jednak, jakby ktoś na nią napierał, osłaniała się wyciągając do przodu ręce. I w tym ruchu kryło się coś napawającego lękiem, ponieważ niepodobna było nie zrozumieć, że grozi jej jakaś niewidoczna zjawia. Dostrzegłszy mnie kobieta nagle z nowym okrzykiem rzuciła się w moją stronę, padła przede mną na kolana, zupełnie jakbym był wysłannikiem niebios, objęła mnie konwulsyjnie i powiedziała ciężko dysząc:

— Jesteś więc wreszcie, Ruprechcie! Nie mam już siły!

Nigdy dotąd Renaty nie spotkałem, widziała mnie po raz pierwszy, podobnie jak ja ją, jednakże nazwała mnie po imieniu tak zwyczajnie, jakbyśmy byli przyjaciółmi z dziecinnych lat. Później przyszło mi na myśl, że mogła usłyszeć moje imię, kiedy wymieniłem je gospodyni, wtedy jednak byłem niezmiernie zdumiony. Jednakże, za przykładem stoików starając się nie

okazywać żadnego zdziwienia, spytałem nieznaną kobietę, dotknąwszy ostrożnie jej ramienia, czy to prawda, że dręczy ją jakieś przywidzenie. Ona jednak, na przemian szlochając i śmiejąc się, nie czuła się na siłach, by mi odpowiedzieć, i tylko drżącą ręką wskazywała tam, gdzie oczy moje nie dostrzegały nic prócz światła księżyca. Nie będę się tu wypierał, że niezwykłość sytuacji i świadomość bliskości nadprzyrodzonych mocy napawały całą moją istotę przerażeniem, jakiego nie odczuwałem od lat pacholących. Bardziej, by uspokoić oszalałą damę, niż bym sam w ów sposób wierzył, zupełnie obnażyłem szpadę i ujmując za ostrze, wyciągnąłem ją przed siebie rękojeścią w kształcie krzyża, słyszałem bowiem, że takim ruchem można się bronić od przystępu nieczystej siły. Tymczasem kobieta, jakby w przedśmiertnych zmaganiach, nagle w napadzie drgawek upadła twarzą do ziemi.

Uznałem za uchybiające memu honorowi, by stąd uciec, chociaż szybko zrozumiałem, że tę nieszczęsną opanował zły demon, który zaczął ją strasznie nękać od wewnątrz. Aż do tego dnia nigdy nie widziałem takich drgawek i nie podejrzewałem, że ciało ludzkie może się tak nieprawdopodobnie skręcać[32]! Na moich oczach kobieta to naprężała się w udęce, wbrew wszelkim prawom natury, tak że jej szyja i pierś stawały się twarde jak drewno i proste jak trzcina, to nagle tak wyginała się do przodu, że jej głowa i podbródek sięgały palców nóg, a żyły na szyi potwornie się napinały, to znów przeciwnie — zadziwiająco odchyłała się do tyłu i kark jej był wtłoczony między ramiona, ku plecom, a biodra wysoko uniesione. Później kilkakrotnie byłem świadkiem mąk, jakim poddawały Renatę demony, które ją napastowały, jednakże tego dnia ów widok przeraził mnie swą nowością. Patrzyłem na cierpienia i drgawki nieznanego kobiety, jakby wraz z żoną Lota w jakiś słup przemieniony, nie ruszając się z miejsca, ponieważ zupełnie nie wiedziałem, jak jej pomóc lub przynieść ulgę.

Kobieta z wolna przestała tłuc się o twarde deski podłogi, jej wykrzywiona twarz zaczęła po trosze odzyskiwać przytomny wyraz, nadal jednak wyginała się w drgawkach, jakby zasłaniając się rękami przed wrogiem. Wtedy, przypuszczając, że Diabeł już z niej wyszedł i znajduje się poza jej ciałem, przyciągnąłem kobietę do siebie i zacząłem odmawiać słowa modlitwy: *Libera me, Domine, de morte aeterna* — jedynej, jaką sobie wtedy przypomniałem. W tym czasie księżyc już zachodził za wierzchołkami lasu i w miarę tego, jak pokój wypełniała poranna szarość, przesuwająca mrok od okna ku ścianom, kobieta leżąca w moich ramionach wracała do przytomności. Ciemność działała jednak na nią niczym zimny poryw pirenejskiego tramontano, gdyż drżała na całym ciele jakby przejęta zimowym chłodem.

Zapytałem, czy zjawia już się oddaliła.

Dama otworzyła oczy, jakby po omdleniu, obwidła wzrokiem pokój i odpowiedziała:

— Tak, zniknęła widząc, że jesteście dobrze przeciwko niej uzbrojeni. Nie może nic uczynić przeciw nieugiętej woli.

Były to następne słowa, które usłyszałem od Renaty. Powiedziała je i zaczęła płakać, drżąc jak w febrze, i tak płakała, że łzy niepowstrzymane toczyły się po jej policzkach, a moje palce stały się wilgotne. Widząc, że na podłodze dama się nie rozgrzeje, nieco już uspokojony, bez trudu wzięłem ją na rękę, była bowiem maleńka i wychudła, i przenieśliśmy na łóżko stojące opodal. Okryłem ją wszystkim, co tylko mogłem w pokoju znaleźć, i uśmierzałem jej lek łagodnie do niej przemawiając.

Ona jednak płakała nadal, aż nagle znów ogarnął ją niepokój i chwyciwszy mnie za rękę powiedziała: — Teraz, Ruprechcie, muszę ci opowiedzieć całe moje życie, ocaliłeś mnie bowiem i powinieś wszystko o mnie wiedzieć.

Próbowałem zaoponować, że nie pora teraz na taką opowieść, lecz Renata chyba nawet moich słów nie usłyszała i mocno ściskając moje palce, patrząc jednak gdzieś w bok, zaczęła szybko mówić. Z początku prawie nie rozumiałem tego, co mówiła, tak raptownie zmieniały się jej myśli i tak nieoczekiwanie przechodziła od jednego tematu do drugiego. Stopniowo nauczyłem się jednak odróżniać główny nurt w niepowstrzymanym potoku jej słów i zrozumiałem, że istotnie opowiada mi o sobie.

Nigdy później, nawet w dniach naszej najufniejszej zażyłości, nie opowiadała mi Renata w sposób tak logiczny historii swego życia. Co prawda także i tej nocy nie tylko przemilczała wszystko, co dotyczyło jej rodziców i miejsca, gdzie upłynęło jej dzieciństwo, lecz nawet, jak się o tym w przyszłości niewątpliwie przekonałem, częściowo zataiła wiele późniejszych wydarzeń, częściowo przedstawiła je nieprawdziwie — nie wiem, czy umyślnie, czy też z powodu swego chorobliwego stanu. Jednakże przez długi czas wiedziałem o Renacie tylko to, co przekazała mi w swej gorączkowej opowieści, i dlatego muszę tę opowieść szczegółowo tu powtórzyć. Nie potrafię jednak odtworzyć chaotycznej mowy Renaty, spiesznej i bezładnej, którą będę musiał zastąpić własną, bardziej logiczną opowieścią.

Renata wymieniła swoje imię, to jedyne, pod którym ją znam, wspomniała o pierwszych latach swego życia tak pobieżnie i niejasno, że słowa jej nie utrwaliły się w mej pamięci, i natychmiast przeszła do tego wydarzenia, które, jak uważała, okazało się dla niej fatalne.

Renata miała osiem lat, kiedy po raz pierwszy w jej pokoju w promieniu słonecznym pojawił się anioł, cały jakby ognisty, ubrany w śnieżnobiałą szatę.

Twarz jego jaśniała, oczy miał błękitne jak niebo, a włosy zupełnie jakby ze złotych nitki. Anioł wymienił swoje imię — Madiel[33]. Renata wcale się nie przestraszyła i tego dnia bawiła się z aniołem lalkami. Później anioł zaczął przychodzić do niej często, prawie codziennie, był zawsze wesoły i dobry, tak że dziewczynka pokochała go bardziej niż wszystkich swoich krewnych i rówieśnice. Niewyczerpana była pomysłowość, z jaką Madiel zabawiał Renatę figlami lub opowiadaniem, a kiedy bywała zmartwiona, czule ją pocieszał. Niekiedy z Madiem pojawiali się jego druhowie, także anioły, lecz nie ogniste, odziani w purpurowe i liliowe płaszcze, ci jednak nie byli tak serdeczni. Madiel surowo zabronił dziewczynce opowiadać o swoich potajemnych odwiedzinach, lecz jeśli nawet Renata nie była posłuszna jego żądaniu, i tak jej nie wierzono, sądząc, że zmyśla lub udaje.

Madiel nie zawsze ukazywał się w postaci anioła, lecz często przybierał także inny wygląd, zwłaszcza gdy Renata mało pozostawała sama. I tak w lecie Madiel nieraz przylatywał jako duży ognisty motyl z białymi skrzydłami i złocistymi wąsikami i Renata chowała go w swoich długich włosach. W zimie anioł przybierał niekiedy kształt kołowrotka, by dziewczynka mogła, nie rozstając się z nim, wszędzie go ze sobą nosić. Renata rozpoznawała jeszcze swego niebiańskiego przyjaciela to w zerwanym kwiatku, to w węgielku, który wypadł z ogniska, to w rozgryzionym orzeszku. Czasami wieczorem Madiel kładł się z Renatą do łóżka i przytulony jak kotek spędzał z nią czas do rana. W takie noce zdarzało się, że anioł unosił Renatę na swoich skrzydłach daleko od domu, pokazywał jej inne miasta, słynne kościoły lub nawet nieziemskie promienne osiedla, jednak o świcie, sama nie wiedząc, w jaki sposób, zawsze znajdowała się w swoim łóżku.

Kiedy Renata nieco podrosła, Madiel oznajmił jej, że zostanie świętą jak Amelia z Lotaryngii[34] i że właśnie w tym celu został do niej posłany. Często mówił jej o ofercie Jezusa Chrystusa, o błogosławionej pokorze Marii Panny, o tajemnych drogach wiodących do zamkniętych bram ziemskiego raju, o świętej Agnieszce nierozłącznej z potulnym barankiem, o świętej Weronice zawsze stojącej przed wizerunkiem Zbawiciela i o wielu innych osobach i rzeczach, mogących jedynie skłonić do bogobojnych rozmyślań. Według słów Renaty, jeśli nawet miała przedtem wątpliwości co do tego, czy jej tajemniczy gość jest naprawdę wysłannikiem Niebios, to po tych jego słowach wątpliwości owe musiały rozwiać się jak dym, bowiem sługa Szatana nie mógłby, oczywiście, wymienić takiej ilości świętych imion nie doznając przy tym straszliwej męki. Jednakże pewnego razu Madiel sam objawił się Renacie w postaci Chrystusa Ukrzyżowanego i z jego ognistych przebitych dłoni sączyła się szkarlatno-ognista krew.

Anioł gorliwie zaklinał Renatę, by wiodła surowy żywot pokutnicy, by dążyła do czystości serca i jasności umysłu, zaczęła więc obserwować wszystkie postne dni ustanowione przez święty Kościół, codziennie chodzić na mszę i długo modlić się w samotności w swojej izbie przed obrazem Ukrzyżowanego. Nierzadko Madiel zmuszał Renatę, by poddawała się srogim próbom, by obnażona wychodziła na zimno, by przez kilka dni z rzędu głodowała i wstrzymywała się od jedła i picia, by suplastymi sznurami biczowała się po biodrach lub by rozdzierała sobie piersi jakimś ostrzem. Renata spędzała noce całe klęcząc, a Madiel pozostawał przy niej, podtrzymywał na duchu upadającą ze zmęczenia, jak anioł podtrzymywał Zbawiciela w ogrodzie Gethsemane. Na usilną prośbę Renaty Madiel dotknął jej rąk i na jej dłoniach pojawiły się wrzody, jakby znaki męki Chrystusowej na krzyżu, lecz ona rany te starannie przed ludźmi ukrywała. W tym czasie, dzięki pomocy Boskiej, objawił się u Renaty dar czynienia cudów i niczym ów arcyświętobliwy król francuski[35] uzdrowiła wiele ludzi samym dotknięciem ręki, tak że w całej okolicy słynęła jako dziewczyna bardzo miła Panu.

Kiedy dorosła, widząc, że dziewczęta w jej wieku mają narzeczonych lub kochanków, Renata zwróciła się do swego anioła z usilną prośbą, by połączył się z nią także cielesnie, albowiem, według jego własnych słów, miłość jest wyższa nade wszystko i cóż w tym grzesznego, jeśli ci, co się kochają, będą związani jak można najściślej? Madiel bardzo się zasmucił, kiedy Renata wyraziła mu swoje gorące pragnienie: jego twarz — tak opowiadała Renata — stała się wtedy popielatoognista, zupełnie jak słońce, na które patrzy się przez zakopconą mikę. Surowo zabronił Renacie choćby myśleć o sprawach cielesnych, przypominając jej o bezmierniej błogości dusz nabożnych w raju, dokąd nie ma wstępu nikt, kto ulega pokusom cielesnym. Renata, nie ośmielając się nalegać w sposób jawny, postanowiła dopiąć celu podstępem. Uprosiła Madiela, by podobnie jak w czasach, kiedy była dzieckiem, spędził z nią noc w łóżku, i tam, objąwszy go, nie wypuszczała z ramion i wszelkimi sposobami zmuszała, by się z nią połączył. Jednakże anioł ogarnięty wielkim gniewem przemienił się w słup ognisty i zniknął opalwszy Renacie ramiona i włosy.

Po tym anioł przez wiele dni w ogóle się nie ukazywał i Renata wpadła w skrajną rozpacz, kochała bowiem Madiela ponad wszystkich ludzi, ponad wszystkie istoty bezcielesne i samego Pana Boga. Spędzała dni i noce we łzach, zadziwiając wszystkich dokoła swą nieutuloną rozpaczą, długie godziny leżała jak martwa, tłukła głową o mur i szukała nawet dobrowolnej śmierci, mniemając, że w tym innym życiu choć na chwilę zobaczy swego ukochanego. Uporczywie kierowała do Madiela modły zaklinając, by do niej wrócił,

uroczyście przyrzekając, że we wszystkim podporządkuje się jego znacym decyzjom, aby tylko mogła znów odczuwać jego bliskość. Wreszcie, kiedy już opuściły Renatę siły, we śnie ukazał jej się Madiel i powiedział: „Ponieważ chcesz pozostawać ze mną w związku cielesnym, zjawię się przed tobą w postaci człowieka; czekaj na mnie siedem tygodni i siedem dni”.

Mniej więcej w dwa miesiące po tym widzeniu Renata poznała młodego hrabiego przybyłego w te okolice z Austrii. Ubierał się na biało, miał błękitne oczy, a włosy jakby z delikatnych złotych nitek, tak że Renata natychmiast poznała, że to Madiel. Przyjezdny nie chciał jednak pokazać, że się znają, i przedstawił się jako hrabia Henryk von Otterheim. Renata wszelkimi sposobami starała się przyciągnąć jego uwagę, nie zaniechała nawet pomocy wróżbiarek i lubczyków. Nie wiadomo, czy to te środki pomogły, czy też hrabia sam szukał Renaty, ale wyznał jej swą gorącą miłość i zażądał, by wraz z nim opuściła potajemnie dom rodzicielski. Renata nie wahała się ani chwili i w nocy hrabia uwiózł ją i, według jej słów, zamieszkał z nią w swoim rodzinnym zamku nad Dunajem.

W zamku hrabiego Renata spędziła dwa lata i przez ten czas byli tak szczęśliwi, jak nikt na świecie po grzechu pierworodnym naszego praojca w raju. Życie ich zawsze bliskie było świata aniołów i demonów, i zajęci byli wielką sprawą, która przynieść miała szczęście wszystkim ludziom na ziemi. Renatę martwiło tylko jedno: Henryk za nic nie chciał się przyznać, że jest Madielem i aniołem, i z uporem podawał się za wiernego poddanego księcia Ferdynanda[36]. Jednakże pod koniec drugiego roku ich wspólnego życia duszę Henryka nagle opanowały czarne myśli, stał się ponury, przygnębiony, smutny, i pewnej nocy, całkiem nieoczekiwanie, nikogo nie uprzedzając, opuścił swój zamek i odjechał nie wiadomo dokąd. Renata kilka tygodni na niego czekała, ale bez tego, który nią kierował, nie potrafiła bronić się przed napasćmi złych duchów, i te zaczęły ją bezlitośnie dręczyć. Nie chcąc pozostawać w zamku, gdzie nie była panią, Renata postanowiła odejść i powrócić do rodziców. Wrogie siły również w drodze nie dawały jej spokoju, prześladowały ją w polu i na noclegach, ale równocześnie dobre duchy opiekuńcze broniły jej, jak tylko mogły, i uprzedziły, że wkrótce spotka rycerza Ruprechta, który będzie jej prawdziwym obrońcą.

Tak opowiadała Renata i sądzę, że jej opowieść trwała znacznie ponad godzinę, chociaż teraz przekazałem to wszystko o wiele krócej. Renata mówiła nie patrząc na mnie, nie czekając ani na mój sprzeciw, ani na zgodę, zupełnie jakby nie zwracała się do mnie, lecz dokonywała spowiedzi przed jakimś niewidzialnym duchem. Opowiadając o takich wydarzeniach, które niewątpliwie silnie nią wstrząsnęły, lub mówiąc o sprawach, które wielu

osobom wydałyby się wstydlive i które większość kobiet wolałyby zataić, Renata nie okazywała ani wzburzenia, ani wstydu. Muszę tu zauważyć, że pierwszą połowę opowieści Renaty, chociaż z początku mówiła chaotycznie i mętnie, dokładnie zapamiętałem. Przeciwnie, wszystko, co działo się z nią po jej ucieczce z rodzicielskiego domu, było wtedy dla mnie bardzo niejasne. Później dowiedziałem się, że właśnie w tym miejscu swego opowiadania szczególnie wiele zataiła i szczególnie wiele opowiedziała niezgodnie z rzeczywistością.

Ledwo Renata wymówiła ostatnie słowa, nagle osłabła, zupełnie jakby siły starczyło jej tylko na to, by do końca wszystko powiedzieć. Skierowała na mnie zdziwione spojrzenie, potem westchnęła głęboko, opuściła głowę na poduszkę i zamknęła oczy. Chciałem wstać z jej łóżka, lecz ona objęła mnie czule i delikatnie przymusiła, bym położył się przy niej. W tę niezwykłą noc niczemu już się nie dziwiłem i posłusznie ległem na łóżku obok tej kobiety, która była mi wtedy zupełnie obca, i nie wiedziałem, jak się wobec niej zachować. Ona miłośnie opłótła moją szyję i przytuliła do mnie prawie nagim ciałem natychmiast zasnęła, zapadła w sen głęboki i beztronski. Było już jasno od błękitnych promieni świtania i po tym, czego doświadczyłem, śmiałem się niemal widząc, jak obcy sobie leżymy w nieznamym gospodarstwie, w gęstym lesie, objęci, w jednym łóżku, niczym w rodzinnym domu brat i siostra.

Kiedy przekonałem się, że Renata śpi spokojnie, ostrożnie uwolniłem się z jej objęć, czułem bowiem, że muszę koniecznie orzeźwić głowę i zostać sam. Uważnie popatrzyłem na twarz śpiącej i wydała mi się ona delikatna i niewinna jak twarzyczki dzieci na obrazach brata Beato Angelico w Fiesole, i zdało mi się niemal nieprawdopodobne, by tą kobietą jeszcze tak niedawno władał Diabeł. Cicho opuściłem pokój, włożyłem swój wysoki kapelusz i zszedłem na dół, a ponieważ w domu wszyscy jeszcze spali, sam odsunąłem zasuwę przy drzwiach i znalazłem się w lesie. Poszedłem samotną ścieżką wśród grubych pni bukowych i były mi one miłsze niż smukłe palmy lub gwajakowce Ameryki, słuchałem rannego szczebiotu naszych ptaków, który brzmiał dla mnie jak rozumiały język.

Nigdy nie zaliczałem się do ludzi, którzy wzorując się na filozofach szkoły perypatetycznej twierdzą, że nie ma w naturze bezcielesnych duchów, negują istnienie demonów i nawet świętych aniołów. Zawsze byłem zdania, chociaż do czasu spotkania z Renatą nie byłem naocznym świadkiem niczego cudownego w życiu, że sama tylko obserwacja i doświadczenie, te najważniejsze podstawy wszelkiej rozumnej wiedzy, niezbicie dowodzą obecności w naszym świecie, obok człowieka, innych sił — duchów — które chrześcijanie uznają za bezcielesne wojsko Chrystusowe i za służbę Szatana. Pamiętam także słowa Laktancjusza Firmianusa[37] zapewniającego, że



niekiedy anioły-stróże dają się skusić urokowi tych dziewcząt, których dusz winny strzec przed grzechem. Jednakże wiele szczegółów w opowieści Renaty od samego początku wydało mi się mało prawdopodobnymi i nie zasługującymi na wiarę. Widząc, że napotkana przeze mnie kobieta istotnie znajduje się we władaniu Diabła, nie wiedziałem, gdzie kończą się oszukaństwa złego ducha, a gdzie zaczynają jej kłamliwe słowa.

Tak męcząc się domysłami i tym, że czegoś nie pojmuję, włóczyłem się dosyć długo po ścieżkach nieznanego lasu, i słońce weszło już wysoko, kiedy wróciłem do przydrożnej gospody, gdzie spędziłem noc. Przy wrotach stała gospodyni, kobieta tęga, o twarzy czerwonej i srogim wyglądzie, podobna raczej do herszta rozbójników, która jednak, kiedy mnie rozpoznała, powitała mnie uprzejmie nazywając waszmość rycerzem. Postanowiłem skorzystać ze sposobności i dowiedzieć się czegoś o dziwnej damie, więc podchodząc bliżej spytałem bezroskim głosem, jakbym chciał tylko ot tak z nudów pogadać — kto jest ta kobieta, której pokój znajduje się obok mego.

A oto mniej więcej słowo w słowo to nieoczekiwane, co odpowiedziała mi gospodyni:

— Ach, waszmość rycerzu, nie pytajcie mnie lepiej o nią, gdyż to moje dobre serce skłoniło mnie do popełnienia być może śmiertelnego grzechu, udzieliłam bowiem schronienia heretyczce, która podpisała Diabłu cyrograf! Choć jest nietutejsza, lecz znam jej historię, wszystko bowiem opowiedział mi pewien mój dobry przyjaciel, wędrowny kupiec z tamtych stron. Ta kobieta, która udaje skromnisię, w istocie jest zwykłą ladacnicą i różnymi knowaniami wkradła się w zaufanie hrabiego Otterheima, człowieka wielce szlachetnego rodu, którego zamek znajduje się poniżej Spiry, nad Renem. Tak zaczarowała młodego hrabiego, który we wczesnym dzieciństwie stracił rodziców, ludzi dostojnych i szanowanych, że zamiast pojąć dobrą żonę i służyć swemu panu, kurfirstowi Palatynatu, zajął się alchemią, magią i innymi ciemnymi sprawami. Czy uwierzycie, waszmość rycerzu, że od dnia, kiedy ta dziewczka zamieszkała u niego na zamku, co noc przemieniali się: on w wilka, a ona w wilczycę[38], i biegali po okolicy — trudno powiedzieć, ile w tym czasie zagryźli dzieci, źrebiąt i owiec! Potem rzucali uroki na ludzi, sprawiali, że krowy traciły mleko, sprowadzali burze, u swoich wrogów niszczyli plony i przy pomocy czarodziejskiej siły dokonywali setek innych łotrstw. Aż tu nagle hrabia miał widzenie, ukazała mu się święta Krescencja[39] i zganiała całe jego grzeszne postępowanie. Wtedy hrabia wziął ten krzyż na siebie i boso poszedł do Świętego Grobu Pana, a swoją kochanicę rozkazał sługom z zamku przepędzić i poszła ona tułając się od wsi do wsi. Jeśli dałam jej schronienie, waszmość rycerzu, to tylko dlatego, że wtedy nic o tym nie wiedziałam, ale kiedy teraz

widzę, jak ona tęskni i jęczy dniem i nocą, bo ta jej grzeszna dusza nie może zaznać spokoju, nie będę ani dnia dłużej trzymała jej u siebie, bo nie chcę być współniczką Wroga ludzkiego!

Ta mowa gospodyni, która powiedziała jeszcze wiele innych rzeczy, poraziła mnie, ponieważ nie sposób było, bym natychmiast nie spostrzegł, jak dalece moja nocna rozmówczyni mnie oszukiwała. Tak na przykład opowiadając mi w nocy o swoim życiu, zapewniała mnie, jakoby zamek jej przyjaciela znajdował się w arcyksięstwie austriackim, tymczasem ze słów gospodyni wynikało, że zamek ów znajduje się w pobliżu, nad naszym Renem. Wyobraziłem sobie wtedy, że moja sąsiadka, uważając mnie za przyjeźdnego i do tego prostego marynarza, zapragnęła zakpić sobie ze mnie, i myśl owa tak mnie oburzyła, tak zamroczyła mi głowę, że zapomniałem nawet o wyraźnych oznakach zawiadnięcia nieszczęsną przez Diabła, czego niedawno sam byłem świadkiem.

Kiedy tak stałem przed gospodynią, która nadal ciągnęła swoje utyskiwania, i nie wiedziałem, co począć, nagle otwarły się drzwi domu i na progu pojawiła się sama Renata. Ubrana była w długi jedwabny płaszcz barwy granatowej, z kapturem, który zasłaniał jej twarz, i w różowy kaftanik z białymi i ciemnogramatowymi ozdobami — jak w Kolonii ubierają się szlachetnie urodzone damy[40]. Zachowywała się dumnie i ze swobodą niczym księżna, tak że ledwo poznałem w niej moją nocną opętaną. Odnalazłszy mnie wzrokiem Renata skierowała się prosto ku mnie swym krokiem lekkim, przypominającym lot, i kiedy zdjąłem kapelusz przed damą, powiedziała do mnie spiesźnie i tonem rozkazującym:

— Ruprechcie, musimy wyjechać stąd w tej chwili, niezwłocznie! Nie mogę pozostać tu ani godziny dłużej.

Na dźwięk głosu Renaty natychmiast zniknęły wszystkie myśli, które dopiero co kłębiły się w mojej głowie, a z duszy to uczucie oburzenia, które przepełniało mnie chwilę przedtem. Słowa tej kobiety, wczoraj jeszcze zupełnie nie znanej, nagle wydały mi się rozkazem, którego niepodobna nie usłuchać. I kiedy gospodyni, nagle przemieniwszy swój uprzejmy głos na bardzo grubiański, zaczęła domagać się od Renaty pieniędzy należnych za pokój, bez najmniejszego wahania natychmiast powiedziałem, że wszystko będzie zapłacone jak należy. Potem spytałem Renatę, czy ma konia, by ruszyć w dalszą drogę, ponieważ w tej głuszy oczywiście niełatwo będzie dobrego znaleźć.

— Nie mam konia — powiedziała Renata — ale stąd niedaleko jest do miasta. Możesz posadzić mnie w swoim siodle i prowadzić konia za cugle. W mieście nietrudno już będzie kupić innego wierzchowca.

Te rozporządzenia Renata wydała z taką stanowczością, jakby już było między nami umówione, że mam jej służyć. I co najdziwniejsze, ja w odpowiedzi na te słowa tylko się skłoniłem i poszedłem do swego pokoju poczynić ostatnie przygotowania do odjazdu.

Dopiero kiedy znalazłem się sam, nagle się opamiętałem i ze zdumieniem spytałem sam siebie, dlaczego tak pokornie przyjąłem rolę narzuconą mi przez moją nową znajomą. Przez chwilę myślałem, że podziałała na mnie jakimś tajemnym magicznym sposobem. Potem, kiedy w głębi duszy pośmiałem się już ze swej łatwości, aby się sam przed sobą usprawiedliwić, powiedziałem sobie tak:

„Cóż za bieda, jeśli stracę trochę pieniędzy i jeszcze kilka dni w drodze! Dziewczyna jest powabna i warta takiej ofiary, ja zaś po trudach podróży mogę sobie pozwolić na zwykłą rozrywkę. Prócz tego wczoraj zabawiła się moim kosztem i muszę jej pokazać, że nie jestem takim nieukiem i prostakiem, za jakiego mnie uważa. Teraz ja w drodze z nią się zabawię, póki mi się nie znudzi, a potem ją rzucę. A to, że przesładuje ją Diabeł, mało mnie obchodzi i jeśli nie bałem się czerwonoskórych z ich zatrutymi strzałami, to obcując z piękną kobietą nie ulęknę się żadnego demona”.

Starłem się siebie przekonać, że moje spotkanie z Renatą to tylko zabawna przygoda, jedna z tych, o których mężczyźni ze śmiechem opowiadają przyjaciołom w piwiarniach, z dumą pomacalem swój nabity pas i przypomniałem sobie piosenkę, którą słyszałem wieczorem:

*Ob dir ein Dirn gefeit,  
So schweig, hastu kein Gelt.*

Niezdługo, pokrzepiwszy się w gospodzie mlekiem i chlebem, zebraliśmy się do drogi. Pomogłem Renacie dosiąść mego konia, który przez noc zupełnie ozdrowiał. Do zawiniątka z moimi rzeczami przybył jeszcze pakunek mojej nowej towarzyszki podróży, zresztą wcale nie ciężki. Renata była tego ranka wesola jak szczygiełek, często się śmiała, żartowała i przyjaźnie pożegnała się z gospodynią. Kiedy wreszcie wyruszyliśmy w drogę, Renata na koniu, ja idąc obok niej, to trzymając konia za cugle, to opierając się na łęku siodła, wszyscy mieszkańcy gospody zebrali się przy wrotach, odprowadzając nas i nie bez drwin żegnając się z nami. Pamiętam, że kiedy odwróciłem głowę, wstyd mi było na nich spojrzeć.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### O tym, co przepowiedziała nam wiejska wróżka i jak spędziliśmy noc w Düsseldorfie

Od gospody droga jeszcze czas jakiś wiodła przez las. Było chłodno i cieniście, a my oboje z Renatą powoli posuwając się naprzód cały czas rozmawialiśmy. Mimo żołnierskiego życia przebywanie w towarzystwie nie było dla mnie czymś obcym, ponieważ zdarzało mi się w miastach włoskich bywać i na maskaradach kamawałowych, i na przedstawieniach teatralnych, a później, w Nowej Hiszpanii, bywałem na wieczorowych zebraniach w tamtejszych bogatych domach, gdzie wbrew temu, co wielu sądzi, bynajmniej nie panują barbarzyńskie obyczaje dzikiego kraju, lecz przeciwnie, gdzie wytworne damy grają na lutniach, cytrach i fletach i tańczą z kawalerami galardę, pasjonezę, taniec maurytański i inne najnowsze tańce. Starając się pokazać Renacie, że pod moją szorstką marynarską kurtką kryje się człowiek, któremu wykształcenie nie jest obce, byłem nader przyjemnie zdziwiony znajdując u swojej rozmówczyni bystrość umysłu i dużo wiedzy, nie całkiem zwykłych u kobiety, tak że mimo woli pobudzone zostały wszystkie talenty mojej duszy, podobnie jak się to dzieje u doświadczonego szermierza, kiedy nieoczekiwanie napotka u swego przeciwnika zwinną klingę. O nocnych przywidzeniach oboje nie wspominaliśmy ani słowem i widząc, jak wesoło gwarzymy, można było pomyśleć, że spokojnie odprowadzam damę po zwycięskim turnieju[41].

Na moje zapytanie, dokąd mamy się udać, Renata ani chwili się nie zastanawiając odpowiedziała, że do Kolonii, ma tam bowiem krewnych, u których chce czas pewien pozostać, byłem więc rad, że nie musiałem zmieniać obranej drogi. Myśl, że nasza dziwna znajomość nie będzie trwała zbyt długo, ukłuła mnie boleśnie, lecz równocześnie nie była mi całkiem niemiła; pomyślałem, że jeśli chcę otrzymać wynagrodzenie za wszystko, co przegapiłem poprzedniej nocy, nie wolno mi tracić czasu. Oto dlaczego postarałem się nadać naszej rozmowie lekkość i swobodę, jakby to był dialog w komedii włoskiej, i zachęcany łaskawymi uśmiechami mojej towarzyszki, od

czasu do czasu ośmielałem się całować jej rękę i czynić figlarne aluzje, które Renata, jak mi się zdawało, przyjmowała z wyraźną łaskawością.

Zaproponowałem, by kiedy minieły małe Neuss, spędzić noc w Düsseldorfie, gdzie można znaleźć lepsze gospody i skąd wygodna droga prowadzi Renem do Kolonii, a ponieważ Renata zgodziła się na to z niefrasobliwością księżniczki, skreśliśmy z lasu na szeroki gościniec, gdzie już często napotykałiśmy i pojedynczych podróżnych, i tabory, którym towarzyszyły straże. Przejazd przez otwartą przestrzeń, pod bezpośrednimi promieniami słońca, był dość męczący zarówno dla Renaty, która jechała w siodle nie przystosowanym do jazdy po damsku, jak i dla mnie, który musiałem nadażać za zamaszystym krokiem konia. Żeby przeczekać godziny upału, przyszło nam szukać schronienia w Heerde, ludnej wiosce leżącej przy naszej drodze. Tam właśnie Fatum zgotowało nam drugą zasadzkę, już podstępnie zamyślając całą okropność następnych dni.

Od razu wydało nam się niezwykle, że we wsi wszystko było przygotowane, by umożliwić podróżnym wypoczynek, i że wielu jadących w tym samym kierunku co my, także zatrzymało się w Heerde. Zapytałem o powód tego wieśniaczkę, w której domu wypoczywaliśmy i jedliśmy śniadanie, i ta z dumą i przechwałką wyjaśniła nam, że ich wioska słynie na całą okolicę ze swojej wróżbiarki, która z podziwu godnym mistrzostwem przepowiada przyszłość. Według słów wieśniaczki, codziennie gromadzą się tu dziesiątki ludzi nie tylko z pobliskich miejscowości, lecz przybywa dowiedzieć się o swoim losie wielu z dalekich wsi i miast, nawet z Paderbornu i Westfalii, gdyż sława wróżbiarki z Heerde rozeszła się po całej ziemi niemieckiej.

Słowa te były dla Renaty niczym gwizd zaklinacza dla węża, natychmiast bowiem, zapominając o wszystkich naszych żartach i zamiarach, popadła w wielkie podniecenie i zapragnęła zaraz pobiec do czarownicy. Na próżno namawiałem Renatę, by wyczęła, nie chciała nawet dokończyć naszej południowej merendy[42], lecz ponaglając mnie powtarzała:

— Chodźmy, Ruprechcie, chodźmy zaraz, bo to ona się zmęczy i nie będzie już tak wyraźnie widziała przyszłości.

Zaprowadzono nas do domku na skraju wsi. Przy wejściu, stojąc i rozsiadłszy się na leżących balach, niczym w kruchcie kościelnej w noc Bożego Narodzenia, czekał tłum. Byli tu ludzie najrozmaitsi, którym rzadko zdarza się spotykać razem: sfery wyższe, w jedwabiach i aksamitach, damy przybyłe na wpół krytą kolosą, mieszczenie w ciemnych ubiorach, myśliwi w zielonych kurtkach, chłopcy w zawadiacko nałożonych czapkach, nawet żebracy, złodzieje i wszelka biedota. Słychać było rozmowy we wszystkich narzeczach nadreńskich, po holenderski!, a niekiedy rothwelschem[43].

Sprawiało to wrażenie, jakby w małym miasteczku zatrzymał się dziedziczny ksiądz i przed jego pokojami tłoczyli się petenci i świta.

Trzeba była czekać swojej kolei i mimo woli wysłuchiwać rozmów toczących się wokoło, które bardzo interesowały Renatę, ale mnie wydawały się uprzykrzone. Tu jednak po raz pierwszy zobaczyłem, jak bezgraniczne jest morze przesądów i jak ze słusznym lękiem wobec mocy magów i sztuczek czarownic wiele łączy się dziecinnych i czczych uprzedzeń. Rozmawiano, jak to zwykle w takich okolicznościach, o rozmaitych wróżbach i omenach, o talizmanach i amuletach, o sekretnych sposobach i zamawianiu chorób, i zarówno bogato odziane damy, jak i włóczędzy bez płaszcza zdumiewali mnie swą wiedzą w tych sprawach. Mnie, podobnie jak każdemu innemu, zdarzało się w dzieciństwie widzieć, jak kobiety obracają kury wokół gamka, aby nie uciekały z domu, lub jak rano, kiedy się czeszą, plują na włosy pozostałe na grzebieniu, aby uchronić się od złego Oka, lub powtórzonymi dziesięć razy słowami „Sista, pista, rista, xista” próbują wyleczyć się z bólu w krzyżu, a okrzykami „Och! Och!” od ugryzienia pchły — tu jednak rozwarła się przede mną tama i zatopił mnie cały potop wierzeń. Jedni przez drugich mówili o tym, jak siarką bronić się przed czarownikami, i jak zauroczyć dziewczynę podrzucając jej ropuchę, i jak odwracać supelkami wzrok zazdrosnego męża, i jak zamawianiem sprawić, by plony winogrodu były większe, i jakie pończochy pomagają kobiecie przy porodzie, i z czego odlana jest kula, która zawsze trafia do celu, a kiedy tego słuchałem, zaczynałem myśleć, że na każdym kroku czyha na nas jakiś omen.

Pamiętam, że był tam bezbrody, wątył starzec, ubrany niczym lekarz cały na czarno, i ów bez przerwy wychwalał wróżbiarkę, mówiąc przy tym:

— Już wy mnie wierzcie! Czy to ja nie znam wróżbitów i wróżbiarek? Ponad pięćdziesiąt lat do nich chodzę: wciąż szukałem niezawodnych. Byłem w Dalmacji i dalej jeszcze, przeprowałem się przez morze do Fezu, do muhazziminów. Wypróbowałem i wróżenie z kości, i z wosku, i z kart[44], i z ziam fasoli; chiromancję, krystalomancję, katopromancję i geomancję; uciekałem się do goecji i nekromancji, a ile horoskopów mi sporządzono — tego nawet nie zliczę! Tylko że wszyscy mówili mi nieprawdę i nawet dziesiąta część przepowiedni się nie sprawdzała. Tu zaś starucha czyta w przeszłości jak w drukowanej księdze, a o przyszłości mówi, jakby kumała się z Panem Bogiem. Mnie opowiedziała takie rzeczy z mego życia, o których sam zapomniałem, a to, co mnie czeka, po prostu wyliczyła na palcach.

Słuchając tego zgrzybiałego hajarza, myślałem sobie, że chyba przestałbym wierzyć we wróżby, gdyby mnie tak przez dobre pół wieku oszukiwały, a także i to, czy warto zaglądać w przyszłość, kiedy już po pas stoi się w grobie.

Nikomiu nie chciałem jednak przeczyć i przez ten czas, kiedy Renata wciąż z tą samą dumną miną wypytywała o amulety i lubczyki, pokornie czekałem na naszą kolej wejścia do domu.

Wreszcie rudy chłopak, o którym mówiono, że jest synem wróżbiarki, kiwnął na nas ręką i wzięwszy ustaloną zapłatę, osiemnaście krajcarów[45], wypuścił nas do domu.

Wewnątrz domu panował półmrok, okna były bowiem zawieszono ciemnoczerwoną materią, i dusząco pachniały suszone zioła. Chociaż na dworze było bardzo gorąco, na kominie płonął ogień. W jego świetle dostrzegłem na podłodze kota — zwierzę mile widziane przy wszelkich czarach; pod pułapem wisiała klatka, jak mi się zdaje, z drozdem. Sama wróżbiarka, starucha o pomarszczonej twarzy, siedziała pod tylną ścianą przy stole. Ubrana była w szczególną ikoszulę, jaką zazwyczaj noszą czarnoksiężnicy, z przedstawionymi na niej krzyżami i rogami, głowę zaś miała owiązaną czerwoną chustką z paciorkami. Przed wróżbiarką stały dzbany z wodą, leżały zawiniątka z korzeniami, różne inne rzeczy, a wróżbiarka mruczając coś wszystko to szybko przebierała rękami.

Podnosząc na nas oczy, zapadnięte i przeszywające, starucha uprzejmie zasepleniła:

— A wy, pięknisie, czego szukacie u babulki? Nie ma tu ciepłutkiego łóżeczka, są gołe deski. Ale to nic, nic, miejcie cierpliwość, na wszystko przyjdzie kolej. Była pora poziomek, będzie i pora jabłek. Więc powróżyć wam, kochaneczki?

Nie bez rozczarowania wysłuchałem tych prostackich żarcików i utraciłem nawet ostatki ciekawości, ale Renata od samego początku odniosła się do gadaniny wróżbiarki z niezrozumiałym dla mnie zaufaniem. A starucha, wciąż szepcząc, niczym pijana pomacała dookoła rękami, znalazła jajko i wpuściła białko do wody, która zmętniała. Patrząc na chmurzaste kształty rozplywające się w wodzie, wróżbiarka zaczęła nam przepowiadać i wydało mi się, że jej słowa to kiepskie oszustwo.

— Oto, moje dziatki, czeka was droga, ale niedaleka. Dokąd jedziecie, tam jedźcie: tam czeka was spełnienie życzeń. Pewien srogi człowiek grozi, że was rozłączy, ale jesteście opasani jednym i tym samym rzemykiem. Tak, moi pięknisie, będziecie mieli ciepłutkie łóżeczko!

Starucha jeszcze coś tam pozawodziła, potem skinieniem ręki przyzwała nas do siebie mówiąc:

— Podejdźcie bliżej, moje pisklęta, dam wam ziela, dobrego ziela; kwitnie ono raz do roku, jeden jedyny razik, akurat w noc świętojańską.

Nie spodziewając się niczego złego, podeszliśmy do wróżbiarki, aż tu nagle

na jej pomarszczonej twarzy wykrzywiły się usta, oczy zrobiły się okrągłe jak oczy szczupaka i czarne jak dwa węgle. Starucha pochyliła się do przodu i chwyliwymi palcami niczym żelaznym haczykiem czepiając się mojej kurtki, już nie zamruczała, lecz zasyczała jak żmija:

— Co to, co to jest u ciebie, młodzieńcze? U ciebie na kurtce i u ciebie, ślicznotko, na kaftaniku? Skąd ta krew? Skąd tyle krwi? Krew cieknie i cuchnie.

Gdy starucha to mówiła, nozdrza jej garbatego nosa rozdymały się, wdychając zapach, a ona sama drżała na całym ciecie, czy to z radości, czy też ze strachu. Ja od tego syczenia i od tych słów poczułem się nieswojo, a koło mnie Renata tak się zachwiała, jakby miała zaraz upaść. Wtedy wyszarpnąłem się z mocnych kleszczy tej małpy, przewróciłem stół, tak że potłukło się szkło i pocięła woda, i jedną ręką pochwycawszy Renatę, a drugą biorąc się za szpadę, wykrzyknąłem:

— Precz, wiedźmo, bo jak nie, to przebiję twoje przeklęte ciało niczym rybę!

Tymczasem starucha z furją czepiała się nas wrzeszcząc: „Krew! Krew!”

Słyszac hałas wbiegł do nas syn wróżbiarki, uderzeniem pięści zwałił matkę z nóg, a nas obrzucił nieprzystojnymi przekleństwami. Wydawało mi się, że takie zdarzenia nie były dla niego czymś nowym i że wiedział, jak się w takim wypadku zachować. Szybko wywlokłem Renatę na powietrze i siłą przedarłszy się przez tłum, który nas otoczył i niczym grochem zasypywał pytaniami o to, co się stało, pośpieszyliśmy do tego domu, gdzie zostały nasze pakunki.

Kazałem natychmiast osiodłać konia, by kontynuować przerwana podróż. Jednakże całą wesołość i całą rozmowność Renaty jakby kto sierpem uciął, nie chciała słowa wymówić i prawie nie podnosiła oczu. Kiedy pomagałem Renacie sięść w siodło, chwiała się jak nadłamana łądyga i cugle wypadaly jej z rąk. Jej ruchy znakomicie przypominały czarodziejski automat Alberta Wielkiego[46]. W tak żalonym nastroju wyjechaliśmy z Heerde i podążyliśmy drogą w stronę Renu.

Chcąc odebrać Renacie wiarę w przepowiednie wróżbiarski, usiłowałem przedstawić jej wszystko, co zaszło, w śmiesznym świetle, i zacząłem wspominać wszelkie możliwe przypadki, o jakich słyszałem, kiedy wróżby się nie spełniły lub obróciły się przeciwko augurom: na przykład o wróżbicie, który przepowiedział księciu Mediolanu Gian Galeazzo Viscontiemu [47] rychłą śmierć, a sobie długie życie, lecz został przez księcia natychmiast uśmiercony; o człowieku, któremu jasnowidz wyjaśnił, że umrze przez białego konia, i który, chociaż od tamtej pory unikał wszelkich koni, nawet gniadych, srokatyh i wronych, zginął, dlatego że na ulicy spadła na niego wywieszka traktierni i na tej wywieszce wymalowany był biały koń; o chłopcu, któremu Cyganka dokładnie przepowiedziała dzień i godzinę śmierci i który przed tym czasem



umyślnie przehulał cały swój wspaniały majątek, potem zaś, widząc, że jest zrujnowany, a śmierć nie nadchodzi, zakończył życie zadając sobie cios mieczem, i inne podobne historie, którymi mieszczychy zabawiają się w zimowe wieczory, grzejąc się przy ogniu płonącym w piecu.

Renata niczym jednak nie zdradzała, że rozumie lub chociażby słucha tego, co mówię, w końcu ja także musiałem zamilknąć i pozostałą część drogi przebyliśmy w zupełnym milczeniu. Idąc przy siodle, w którym siedziała bezgranicznie zgnębiona Renata, od czasu do czasu wpatrywałem się uważnie w rysy jej twarzy, do których później wzrok mój tak przywykł, i badałem tę twarz, jak wytrawny znawca bada marmurową statwę. Zaraz wtedy dostrzegłem, że nozdrza Renaty są zbyt cienkie, a policzki od podbródka do uszu ciągną się jakoś ukośnie, same zaś uszy, w których pobłyskują złote kolczyki, osadzone są nieprawidłowo i zbyt wysoko, że oczy jej są rozcięte niezupełnie prosto, a rzęsy nadmiernie długie, i że w ogóle wszystko w jej twarzy jest nieprawidłowe. Sądząc z twarzy, raczej mógłbym poczytać Renatę za Włoszkę, ale naszym językiem mówiła, jakby to był jej język ojczysty, ze wszystkimi cechami dialektu miśnieńskiego[48]. Przy tym wszystkim miała Renata jakiś czar Kleopatry, tak że już owego dnia, choć prawie jeszcze wcale jej nie znałem, już samo patrzenie na nią sprawiało mi niemal radość, teraz zaś, kiedy ją wspominam, nie mogę sobie nawet wyobrazić postaci kobiecej, która wydawałaby mi się piękniejsza i bardziej upragniona.

Wreszcie po uciążliwym przejeździe i po przeprawie przez Ren dotarliśmy do stolicy Bergu[49] — Düsseldorfu, miasta, które w ostatnich latach tak szybko się rozrasta dzięki trosce swego księcia i które już teraz może się równać z najpiękniejszymi miastami niemieckimi. W mieście wyszukałem dobrą gospodę pod szyldem „Im Lewen” i za szczodrą zapłatę dostałem dwa najlepsze w domu pokoje, gdyż chciałem, aby Renata miała godne jej wykintne meblowanie i wszelkie możliwe w podróży wygody. Jednakże Renata, jak mi się zdawało, nie dostrzegała moich starań, i można było mniemać, że wśród polerowanych mebli i kaflowych kominków czuła się inaczej, jak na ubogich, nieociosanych ławach wiejskiej gospody.

Gospodarz, biorąc nas za ludzi bogatych, zaprosił nas do swego stołu, czyli, jak mówią Francuzi, do table d'hote, i gorliwie częstował, zachwalając swoje dobre bacharaskie[50] wino reńskie. Renata jednak, choć ciałem obecna przy naszym stole, myślami była daleko — prawie nie kosztowała potraw i nie uczestniczyła w rozmowie, mimo że czyniłem wszelkie próby, by tchnąć w nią powiew życia. Opowiadałem o dziwach Nowego Świata, które trafiło mi się widzieć, o schodach w świątyniach Majów z wyrzeźbionymi olbrzymimi maskami, o niezwykłych kaktusach, w których pniu może wypoczywać

jeździec, o niebezpiecznych polowaniach na szarego niedźwiedzia i plamistego oncę[51] i o poszczególnych swoich przygodach, nie zapominając ozdobić tego, co mówiłem, albo opinią współczesnego pisarza, albo wierszami antycznego poety. Szynkarz i jego żona słuchali z otwartymi ustami, ale Renata nagle, przerywając mi w pół słowa, wstała od stołu i powiedziała:

— Że też nie uprzykrzy ci się gadać takie głupstwa, Ruprechcie! Żegnajcie.

I nie dodając już ani słowa, ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich obecnych wstała i wyszła z pokoju. Wtedy nie mogło mi nawet przyjść do głowy, by rozgniewać się za te jej ostre słowa i dziwne zachowanie, zląkłem się tylko, by nie chciała całkiem mnie porzucić. Dlatego zerwałem się również, w pośpiechu przeprosiłem siedzących przy stole i udałem się za nią.

W swoim pokoju Renata milcząc siadła w kącie na krześle i siedziała tak bez ruchu i bez słowa, a ja, nie ośmielając się już odezwać, bojaźliwie siadłem obok niej na podłodze. I tak siedzieliśmy w zacisznym pokoju, nie wszczynając rozmowy, i prawdopodobnie komuś patrzącemu z boku wydawalibyśmy się nieruchomymi stworami, mistrzowską ręką wyrzeźbionymi z pomalowanego drewna. W lewo od nas przez dwa duże otwarte okna widać było kryte dachówką domy na krętych ulicach Düsseldorfu i wznoszącą się nad dachami domów dzwonnice kościoła Św. Lamberta[52]. Granat wieczoru rozlewał się nad tymi trójkątami i kwadratami, zacierając wyrazistość ich linii i łącząc je w bezkształtne skupiska. Ten sam granat wieczoru spływał do pokoju i otulał nas szerokimi plachtami ciemnego całunu, lecz w ciemności jeszcze jaśniej lśniły półkoliste kolczyki Renaty i wyraźniej rysowały się jej delikatne białe ręce. Pamiętam, że patrzyłem na nią w milczeniu, jakbym nie mógł słowa wyrzec, i że długo tak siedzieliśmy nic nie mówiąc, beczynnie, aż wszystko dokoła zatoneło w nocnej ciszy.

Wreszcie, zdobywając się na taki wysiłek woli, jakbym miał powziąć niezwykle ważną decyzję lub dokonać niebezpiecznego czynu, oderwałem wzrok od Renaty i wypowiedziałem jakieś proste słowa, zdaje się, że te:

— Być może zmęczyliście się, szlachetna damo, i chcecie odpocząć, więc pójdę sobie...

Głos mój, który rozbrzmiał po tak długim milczeniu, wydał mi się nienaturalny i niestosowny, lecz jego dźwięk przerwał ów zaczarowany krąg, w którym byliśmy zamknięci. Renata z wolna obróciła ku mnie spokojną twarz, potem jej wargi odkleiły się jedna od drugiej i niemal bezdźwięcznie wymówiła kilka słów, tak jakby pod wpływem magicznego cudu udzielił odpowiedzi nieboszczyk:

— Nie, Ruprechcie, nie powinieneś odejść, nie mogą zostać sama, boję się.

Potem, po kilku minutach milczenia, jakby myśli jej toczyły się powoli,

Renata dodała jeszcze:

— Ale ona powiedziała, żebyśmy jechali tam, dokąd jedziemy, tam bowiem czeka nas spełnienie życzeń. To znaczy, że w Kolonii spotkamy Henryka. Wiedziałam to już wcześniej, a starucha tylko czytała w moich myślach.

W tej chwili we mnie jak ogień spod popiołu wybuchnęła odwaga i zaprotestowałem:

— Po cóż wasz hrabia Henryk, pani, miałby być w Kolonii, jeśli jego włości znajdują się nad Dunajem?

Renata nie zauważyła jednak żalu ukrytego w moim pytaniu i uchwyciwszy jedno tylko słowo, gorączkowo się go uczepiła.

Zapytała mnie:

— Mój hrabia Henryk? Jak to mój? Czyż wszystko, co moje, Ruprechcie, nie jest równocześnie twoje? Czy jest między nami jakaś granica, linia oddzielająca moją istotę od twojej? Czy my to nie jedno, a mój ból nie przeszływa twego serca?

Byłem tak oszołomiony tą przemową, jakby mnie kto zdzielił maczugą, bo choć wtedy byłem już w pełni pod urokiem Renaty, ale jeszcze o niczym podobnym do tego, co w tych słowach wyraziła, nie myślałem. Nie wiedziałem nawet, co jej odpowiedzieć, a ona pochyliła ku mnie swoją bladą twarzyczkę i położywszy mi na ramionach lekkie ręce zapytała cicho:

— Czyż ty go nie kochasz, Ruprechcie? Czyż można go nie kochać? Przecież on jest niebiański, przecież on jest jedyny!

Znów nie mogłem znaleźć odpowiedzi, ale Renata w tej chwili padła na kolana i pociągnęła mnie, bym ukląkł obok niej. Potem odwróciła się w stronę otwartego okna, w stronę nieba i gwiazd, i głosem urywanym, niskim, lecz wyraźnym, zaczęła odmawiać coś w rodzaju litanii, nalegając, bym na każdą jej prośbę odpowiadał jak chór kościelny.

Renata mówiła:

— Daj mi znów zobaczyć jego oczy niebieskie jak samo niebo, z rzęsami ostrymi jak igły!

Musiałem powtórzyć:

— Daj zobaczyć!

Renata mówiła:

— Daj mi usłyszeć jego głos, delikatny jak dzwony małej podwodnej świątyni!

Musiałem powtórzyć:

— Daj usłyszeć!

Renata mówiła:

— Daj mi całować jego ręce, białe niczym z górskiego śniegu, i jego usta

nie jaskrawe, podobne do rubinów pod przezrystym welonem!

Musiałem powtórzyć:

— Daj całować!

Renata mówiła:

— Daj mi przycisnąć nagą pierś do jego piersi, bym czuła, jak jego serce zamrze i będzie się trzepotać szybko, szybko, szybko!

Musiałem powtórzyć:

— Daj przycisnąć!

Renata była niezmiernie zadowolona w wymyślaniu coraz to nowych i nowych wezwań litanii, zdumiewając: mnie pomysłowością swoich porównań, podobna do meistersängera uczestniczącego w zawodach śpiewaków. Opiera się czarodziejstwu jej wezwań nie było w mojej mocy, pokornie więc belkotałem słowa odpowiedzi, które jak ciemnie kłuły moją dumę.

Potem Renata przytuliła się do mnie i patrząc mi prosto w oczy pytała, by dręczyć się swymi pytaniami:

— A teraz powiedz, Ruprechcie, przecież on jest najpiękniejszy? Przecież jest aniołem? Przecież znów go zobaczę? Będę go pieścić? I on mnie? Choć raz? Tylko raz?

I odpowiadałem w beznadziei:

— Jest aniołem. Zobaczycie. Będziecie pieścić.

W tym czasie na niebie wzeszedł miesiąc i skierował na Renatę słup swego światła i ciemność naszego pokoju poruszyła się w księżycowych promieniach. To błękitnawe światło zaraz wskrzesiło w mej pamięci minioną noc i wszystko, czego dowiedziałem się o Renacie, i wszystkie obietnice, jakie przedtem sam sobie dawałem. Równym miarowym krokiem, jak szeregi dobrze wyćwiczonego wojska, przeszły mi przez głowę takie myśli: „A co, jeśli ta kobieta ponownie drwi sobie z ciebie? Wczoraj znęcała się udając, że jest ofiarą knowań Diabła, a dziś udając, że szaleje z rozpaczy. A za kilka dni, kiedy wystrychnie cię na dudka, wraz z innymi będzie się z ciebie śmiała i będzie się rządziła, tak jak rano”.

Pod wpływem tych myśli byłem jak pijany i nieoczekiwanie schwyciwszy Renatę za ramiona powiedziałem do niej:

— Czy nie dosyć już, przepiękna damo, oddawać się smutkowi, czy nie lepiej, byśmy wrócili do wesołego i przyjemnego spędzania czasu?

Renata z łękiem odsunęła się ode mnie, lecz ja, dodając sobie odwagi myślą, że w przeciwnym razie mogę okazać się śmieszny, przyciągnąłem ją do siebie i pochyliwszy się zamierzałem ją pocałować.

Renata z siłą i zreżymowaną kotki wyswobodziła się z moich rąk i krzyknęła do mnie:

— Demon w ciebie wstąpił, Ruprechcie!

A ja odpowiedziałem jej:

— Nie ma we mnie żadnego demona, lecz na próżno chcecie się, pani, mną bawić, gdyż nie jestem takim prostakiem, jak myślicie!

Znów ją objąłem i zaczęliśmy walczyć w sposób nad wyraz ohydny, przy czym tak ścisnąłem jej palce, że aż trzeszczały, a ona biła mnie wściekle i drapała. W pewnym momencie powaliłem ją na podłogę, w tej chwili nie czując do niej nic prócz nienawiści, lecz ona nagle wpiła się zębami w moją rękę i wyszliźnęła się zwinnie jak jaszczurka. Potem, czując, że jestem silniejszy, zgięła się wpół, głowa jej opadła na kolana i miała taki sam napad płaczu jak poprzedniego dnia. Siedząc na podłodze, gdyż w zamieszaniu ją wypuściłem, Renata z rozpaczą szlochała, przy czym włosy opadły jej na twarz, a ramiona żałośnie drżały.

W tej chwili we wspomnieniach moich odżył obraz Sandro Filipeipiego[53], który przypadkiem widziałem w Rzymie u pewnego wielmoży. Na płótnie przedstawiony był kamienny mur z prostych, ściśle do siebie dopasowanych brył; sklepione wejście szczelnie zamykała żelazna brama, a przed wejściem, na występie siedziała opuszczona kobieta, która w nieutulonej rozpaczycy ukryła twarz w dłoniach; twarzy tej kobiety nie było widać, ale widziało się jej ciemne rozpuszczone włosy, w pobliżu rozrzucone odzienie i nikogo więcej dokoła.

Obraz ten wywarł na mnie niezwykle silne wrażenie, nie wiem, czy dlatego że malarz ze szczególną wyrazistością potrafił w nim przekazać uczucia, czy też dlatego że patrzyłem na ów obraz w taki dzień, kiedy sam przeżywałem wielki smutek — nie mogę jednak nigdy wspomnieć tego dzieła, by serce nie ścisnęło mi się z bólu i gorycz nie podeszła do gardła.

Tak więc, kiedy zobaczyłem, że Renata siedzi w tej samej pozycie, z opuszczoną głową, i szlocha z taką samą nieutuloną rozpaczą — oba obrazy, i ten, który ukazało mi życie, i ten, który stworzył artysta, nałożyły się dla mnie jeden na drugi, stopiły się i teraz nierozłącznie żyją w mojej duszy. Wtedy jednak, ledwo wyobraziłem sobie Renatę samotną, opuszczoną, przed bezlitośnie zamkniętą bramą, do mego serca napłynęła bezmierna fala żalu, znów ukląknęłam, delikatnie odjąłem ręce Renaty od jej twarzy i powiedziałem do niej, sam z trudem oddychając, lecz uroczyście:

— Wybaczcie, szlachetna damo. Istotnie opanował mnie demon i oślepił moje uczucia. Przysięgam wam, pani, aa zbawienie mej duszy, że nic podobnego już się więcej nie powtórzy! Przyjmijcie mnie znów jako swego wiernego i pokornego sługę lub jako starszego oddanego wam brata.

Renata uniosła głowę i z początku popatrzyła na mnie jak zaszczute zwierzątko na myśliwego wypuszczającego je na wolność, potem z zaufaniem i

jakoś po dziecięcemu, a potem pieszczotliwie ujęła moją twarz w swoje dłonie i odpowiedziała:

— Ruprechcie, miły Ruprechcie! Nie powinienes gniewać się na mnie i żądać ode mnie tego, czego dać nie mogę. Wszystko oddałam memu niebiańskiemu przyjacielowi i dla ludzi nie zostały mi już ani pocałunki, ani namiętne słowa. Jestem jak pusty koszyk, z którego ktoś wyjął wszystkie kwiaty i owoce, lecz nawet pusty musisz nieść, bo los nas związał, a nasze braterstwo dawno już zapisane jest w Księgach Mądrości.

Raz jeszcze przysiągłem, że nigdy więcej nie targnę się na coś wbrew jej zakazowi, i twarz Renaty natychmiast stała się radosna i pogodna, i to było dla mnie dostateczną nagrodą za moje dobrowolne wyrzeczenie. Wstałem więc z klęczek i powiedziawszy, że ją żegnam, chciałem wyjść do drugiego naszego pokoju, żeby Renata pozostając sama mogła bez skrzepowania odpocząć, ona jednak zatrzymała mnie mówiąc:

— Bez ciebie będę się bała, Ruprechcie. One znów mnie napadną i będą mnie całą noc dręczyły. Musisz ze mną zostać.

Renata, nie wstydząc się, tak jak nie wstydzą się dzieci, szybko zdjęła suknię, zrzuciła trzewiczki i niemal naga położyła się do łóżka, pod błękitnym baldachimem, wzywając mnie do siebie, a ja nie wiedziałem, jak jej odmówić. Tę drugą noc naszej znajomości znów spędziliśmy pod jedną kołdrą, lecz pozostaliśmy tak dalecy, jakby rozdzielały nas żelazne sztaby. Kiedy jednak zdarzyło się, że zrozumiałe podniecenie pokonywało we mnie wolę i zapominając o przysiędze znów domagałem się pieszczot, Renata uspokajała mnie słowami pełnymi smutku i tak beznamiętnymi, i przez to okrutnymi, że krew we mnie zastygała i w bezsilności padałem jak trup.

## ROZDZIAŁ TRZECI

O tym, jak zamieszkaliśmy w Kolonii i jak oszukało nas tajemnicze stukanie

### I

Zawsze, kiedy tylko było to możliwe, przestrzegałem mądrego porzekadła Francuzów: *Lever é six, disner é dix, souper é six, coucher é dix, fait vivre l'homme dix fois dix.*[54] Dlatego następnego dnia zbudziłem się o wiele wcześniej niż Renata, znów delikatnie wysunąłem się z jej sennych objęć i przeszedłem do drugiego pokoju. Tam, przy oknie, za którym skapany w porannym słońcu lśnił młody i piękny Düsseldorf, rozważyłem swoją sytuację. Czułem już, że nie mam siły opuścić Renaty i że albo jestem do niej przyuroczony jakąś magiczną siłą, albo też w sposób naturalny uwikłany w delikatne sieci przez matkę miłości Kypride.

Mężnie spojrzawszy na swoją sytuację, jak żołnierz, który popadł w niebezpieczeństwo, tym razem powiedziałem sobie tak: „No cóż, oddaj się temu szaleństwu, jeśli nie możesz go pokonać, uważaj jednak, abyś w tej otchłani nie zaprzepaścił całego życia, a może i honoru. Wyznacz sobie zawczasu terminy i granice i strzeż się je przekroczyć, kiedy dusza twoja będzie w ogniu, a rozum nie będzie w stanie przemówić”.

Wydobyłem z pasa zaszyte w nim pieniądze i podzieliłem swoje oszczędności na trzy równe części: jedną część postanowiłem wydać z Renatą, drugą zamierzałem oddać ojcu, a trzecią zostawić sobie, abym wróciwszy do Nowej Hiszpanii mógł rozpocząć tam niezależne życie. Równocześnie zdecydowałem, że nie pozostanę w bliskości Renaty dłużej niż trzy miesiące, bez względu na to, jaki wiatr na nasze życie powieje, albowiem po wydarzeniach nocnych niezupełnie wierzyłem jej słowom o krewnych, którzy w Kolonii na nią czekają, i najbliższa przyszłość wkrótce dowiodła, jak dalece miałem pod tym względem rację.

Kiedy tak wszystko rozsądnie i trzeźwo obmyśliłem, poszedłem do gospodarza i za przystępną cenę sprzedałem mu swego rumaka. Potem udałem

się na przystań rzeczną i ugodziłem się z kapitanem barki płynącej z holenderskimi towarami w górę Renu, by dowiozła nas do Kolonii. Potem nabyłem kilka rzeczy potrzebnych, kiedy się podróżuje z damą, a mianowicie: dwie poduszki, miękkie koce, zapas żywności i wina, po czym wróciłem do gospody.

Renata na mój widok okazała radość prawdziwą i wydało mi się, że już myślała, iż ją porzuciłem i w tajemnicy uciekłem. Beztrasko we dwoje jedliśmy śniadanie, znów nie wspominając o nocnych mękach, jak byśmy za dnia byli zupełnie innymi ludźmi. Zaraz po śniadaniu przeszliśmy na barkę, gdyż była już zupełnie gotowa do odpłynięcia. Była to barka stosunkowo duża, o stromych bokach, dwumasztowa, i dano nam na niej obszerną kajutę, urządzoną w dziobowej części statku, wysoko podniesionej i zakończonej spiczastym daszkiem. Wysłałem podłogę kocami — w takich warunkach bez zmęczenia mógłby podróżować poseł Wielkiego Mogoła.

Wczesnym popołudniem odbiliśmy z przystani düsseldorfskiej i do samej Kolonii płynęliśmy bez większych przygód przez dwa dni i dwie noce, godziny ciemności spędzając na kotwicy. W ciągu całego tego przejazdu, zarówno w dzień, jak i w nocy, Renata była bardzo spokojna i rozsądna, nie było w niej ani fałszywej wesołości, jak owego dnia, kiedy jechaliśmy do Heerde, ani czarnej rozpacz, jak owej nocy spędzonej pod szyldem „Im Lewen”. Często wraz ze mną zachwycała się pięknem okolic[55], obok których przepływaliśmy, i wszczyła ze mną rozmowę o różnych sprawach dotyczących życia codziennego lub sztuki.

Pewne słowa, powiedziane wtedy do mnie przez Renatę, uważam za potrzebne tu zapisać, ponieważ tłumaczą one wiele jej późniejszych postępów.

Było to, kiedy właściciel barki, srogi marynarz Moritz Krogh, wtrącił się do naszej rozmowy i skierował ją na wydarzenia rozgrywane się właśnie w tym czasie w Münsterze. Na pierwszy rzut oka Moritz nie wydawał się zajadłym reformatorem, ubrany był jak i ja, w prosty, marynarski strój, zajmował się swoim handlem, ale zaczął z takim żarem mówić o nowym proroku z Leydy, nazywając go „Janem Sprawiedliwym, który zasiadł na tronie Dawidowym”[56], że wzbudził we mnie wątpliwości, czy aby sam nie jest z tych przechrztów. Opowiedziawszy nam o tym, jak w Münsterze obywatele miasta zniszczyli święte obrazy, organy i całe mienie kościelne, a całą swoją własność połączyli w jedno, by wspólnie z niej korzystać, jak ustanowili dwunastu seniorów, na wzór dwunastu starców izraelskich, a na ich czele postawili Jana Beuckelzoona, i jak wspierani przez wojska niebieskie pomyślnie bronią się mieszkańcy Münsteru przed lancknechtami biskupa —



Moritz ciągnął dalej, jakby wygłaszał kazanie:

— Długośmy, ludzie, głodowali i byli spragnieni, i na naszym przykładzie ziściło się proroctwo Jeremiasza: „Dzieci prosity chleba: a nie było, kto by im ułamał”. Ciemności egipskie ogarniały sklepienia świątyń, lecz teraz rozbrzmiewają one zwycięskim hymnem. Nowy Gedeon został przez Boga najęty jako wyrobnik po groszu za dobę i naostrzył swój sierp, by zżąć zżółkłe już niwy. Na kowadle Nemroda wykuto już lance i runie baszta jego. Powstał Eliasz w Nowej Jerozolimie i do wszystkich krajów rozeszli się prorocy prawdziwego Kościoła Apostolskiego, by nauczać o Bogu nie niemy, lecz żywym i przemawiającym!

Ostrożnie zaoponowałem przeciw tej zuchwałej mowie, dowodząc, że gdy wzniosłe myśli, wynalezione przez ludzi uczonych, stają się dobrem ludu, jest to równie niebezpieczne, jakby dzieciom rozdawać dla zabawy kindzaly. Że, być może, nie wszystko w ustanowieniach Kościoła, jak również stanu zakonnego, często pławiącego się w bogactwach, istotnie odpowiada duchowi nauki Jezusa Chrystusa, lecz że buntem i przemocą nie można pomóc w tej sprawie. Ze, wreszcie, odnowa życia powinna nastąpić nie drogą obalenia dogmatów i nie przez ograbienie książąt, lecz drogą oświecenia umysłów.

Tu nieoczekiwanie do rozmowy włączyła się Renata, chociaż wydawało mi się, że zajęta po prostu przyglądaniem się falom, wcale nie słucha słów Moritza, i powiedziała:

— O tym wszystkim mogą mówić tylko ludzie, którzy nigdy nie rozumieli, co to znaczy wierzyć. Kto choć raz sam zagnał, z jakim uczuciem szczęścia dusza pogrąża się w Bogu, ten nigdy nie pomyśli, że trzeba kuć lance lub ostrzyć sierpy. Wszystkie te Davidy, występujące przeciw Trójcy Świętej, te Lutry, Zwingle i Jany — to sługi Diabła i jego pomocnicy. Tyle mówimy o zbrodniach innych, a co by było, gdybyśmy, niczym w zwierciadle, popatrzyli na siebie i ujrzeli wszystkie swoje grzechy i hańbę? Przecież my wszyscy, każdy z nas, musielibyśmy się przerazić i, jak jeleni od myśliwego, umykać do klasztornej celi. To nie Kościół winniśmy reformować, lecz duszę swoją, która niezdolna już jest modlić się do Wszechmogącego i wierzyć w Jego słowa, tylko wciąż chce rozważać i dowodzić. I jeśli ty, Ruprechcie, myślisz podobnie jak ten człowiek, nie mogę pozostać z tobą ani minuty dłużej i wolę rzucić się do tej rzeki, niż dzielić kajutę z heretykiem.

Słowa te, które wówczas wydały mi się zupełnie nieoczekiwane, Renata wypowiedziała z wielką pasją, zerwała się z miejsca i szybko od nas odeszła. Moritz popatrzył na mnie nie bez podejrzliwości, także się oddalił i zaczął pokrzykiwać na swoich pomocników.

Nie powracaliśmy już więcej do tej rozmowy, a ponieważ Moritz stronił od nas, byliśmy na barce zupełnie odosobnieni, co jak najbardziej odpowiadało moim życzeniom. Po gniewnych słowach Renaty starałem się okazywać jej więcej jeszcze uwagi i ustępliwości, by wyraźnie dać jej poznać, jak bardzo cenię jej przychyłność. Wspomnę przy okazji, że całą noc, którą Renata spędziła w kajucie prawie bez snu, aż do świtu byłem przy niej i na jej prośbę delikatnie głaskałem ją po włosach tak długo, aż ręka moja zupełnie omdlała. Renata widocznie była mi wdzięczna i traktowała mnie tak wtedy, jak i rano, wyjątkowo uprzejmie. To nasze przyjacielskie pojednanie trwało aż do samego przyjazdu do Kolonii, kiedy to nagle zerwało się jak olinowanie statku w porywach burzy.

U schyłku drugiego dnia naszej podróży w oddali zarysowały się wieże kościołów kolońskich i z serdecznym wzruszeniem rozpoznawałem i wymieniałem Renacie i iglicę Św. Marcina, i dach Św. Gereona[57], i wieżyczkę Braci Minorytów, i masywną bryłę Domu Senatorów i wreszcie rozdartego na pół giganta, nie dokończony ogrom Katedry Trzech Króli. Kiedy przybliżyliśmy się bardziej jeszcze i zacząłem odróżniać ulice, znajome domy i stare drzewa, zainteresowanie moje wzmoгло się w najwyższym stopniu i gotów byłem płakać ze wzruszenia, na chwilę zapominając o Renacie. Sądząc ze wszystkiego nie uszło to kociej spostrzegawczości Renaty, która natychmiast odmieniła swój serdeczny sposób bycia wobec mnie, stała się szorstka i nieustępliwa niczym łodyga stwardniała na mrozie.

Barka nasza przycumowała u Nabrzeża Niderlandzkiego, między innymi statkami żaglowymi i wiosłowymi, w porze największego zamieszania na przystani. Kiedy pożegnaliśmy się z Moritzem i zesłiliśmy na brzeg, z naszego osamotnienia na pokładzie trafiliśmy jakby do pierwszego kręgu Pieła Alighieriego[58]. Wszędzie leżały wyładowane towary, beczulki i skrzynki; wszędzie tłoczyli się ludzie, marynarze, robotnicy portowi, subiektci domów handlowych, tragarze i po prostu gapie, tu podjeżdżały wozy do przewozu ciężarów, skrzypiały koła, chrapały konie, ujadły psy, ludzie hałasowali, krzyczeli i klęli, a nas otoczyli i kupcy, i Żydzi, i tragarze, wszyscy proponując swoje usługi. Ledwo jednak zdążyłem wybrać z tłumu jakiegoś chłopaka i kazałem mu nieść nasze rzeczy, kiedy Renata, bez jakiegokolwiek uprzedniego przygotowania, odwróciła się do mnie i zupełnie innym tonem powiedziała, co następuje:

— Teraz chcę wam podziękować, waszmość rycerzu. Oddaliście mi wielką przysługę odprowadzając mnie tutaj. Jedźcie teraz swoją drogą, a ja znajdę sobie schronienie w tym mieście. Żegnajcie i niechaj was Bóg ma w swej opiece.

Pomyślałem, że Renata mówi to z nadmiernej grzeczności, i zacząłem uprzejmie oponować, lecz ona odpowiedziała już tonem stanowczym:

— Czemu wtrąacie się do mego życia? Dziękuję wam za starania i pomoc, lecz nie trzeba mi ich więcej.

Popadłem w zmeszanie, ponieważ wtedy jeszcze niezbyt dobrze znałem duszę Renaty, utkaną ze sprzeczności i niespodzianek niczym tkanina z różnobarwnej przędzy, i wspomniałem o przysięgach, jakie wymieniliśmy, lecz Renata po raz trzeci odezwała się do mnie z oburzeniem i dosyć szorstko:

— Nie jesteście, waszność rycerzu, ani moim ojcem, ani bratem, ani mężem: nie macie prawa zatrzymywać mnie przy sobie. Jeśli myślicie, że wydawszy trochę guldenów kupiliście moje ciało, mylicie się, nie jestem bowiem kobietą z wesołego domku. Idę, dokąd chcę, i groźbami nie zmusicie mnie, bym pozostawała z wami, kiedy wasza bliskość jest mi niemiła.

W rozpaczy zacząłem mówić dużo różnych rzeczy, których teraz nie potrafię już powtórzyć, z początku czyniłem Renacie wyrzuty, potem pokornie ją błagałem i chwytałem ją za ręce, by ją zatrzymać, lecz ona z lekceważeniem, a być może i z odrazą odsuwając się ode mnie, odpowiadała łagodnie, lecz z uporem, że chce zostać sama. Naszej sprzeczce zaczęły się przysłuchiwać osoby postronne, i kiedy ze szczególnym naleganiem zachęcałem Renatę, by ze mną poszła, ona zagroziła, że będzie szukała obrony przed moim natręctwem u miejskich rajtarów[59] lub po prostu u dobrych ludzi.

Wtedy, decydując się na obłudę, powiedziałem, co następuje:

— Szlachetna damo! Rycerska powinność nie pozwala pozostawić samotnej damy wieczorem wśród obcego jej tłumu. O zmroku ulice nie są bezpieczne, napotkać bowiem można i rabusiów, i awanturujących się hulaków. Nie boję się stanąć przed strażą, gdyż nie popełniłem żadnego przestępstwa, ale za nic się nie zgodzę, by się teraz od was, pani, oddalić. Wreszcie, klnę się na wszystkie świętości, że jeśli jutro rano będziecie sobie, pani, tego życzyć, pozostawię wam całkowitą swobodę, nie będę się wam naprzykrzał swoją obecnością i nie będę śledził, dokąd się udacie.

Renata zrozumiała widać, że nie ustąpię, bo uległa moim namowom z tą obojętnością, z jaką słuchają ciężko chorzy, którym jest już wszystko jedno, zapięła płaszcz, by ukryć twarz, i podążyła za mną przez bramę miejską. Kazałem zanieść nasze rzeczy do pewnej znajomej wdowy, Marty Ruthmann, która po śmierci męża trudniła się tym, że wynajmowała pokoje przyjezdnym. Mieszkała ona niedaleko kościoła Św. Cecylii w starym, niewysokim, piętrowym domku, sama gnieździła się na parterze, a piętro wynajmowała. Żeby się do niej udać, trzeba było przejść przez całe miasto, i przez całą drogę Renata nie powiedziała ani słowa i nie odchyliła skraju swego kaptura.

Ku mojemu zdziwieniu, Marta w ogorzalym marynarzu natychmiast poznała bezbrodego studenta, który niegdyś u niej hulał, ucieszyła się mną, jakbym był jej krewniakiem, i zaczęła mi schlebiać mówiąc:

— Ach, panie Ruprechcie! Czyż spodziewałam się, że was zobaczę? Przez całych dziesięć lat was, panie, nie zapomniałam. Pan Gerhard mówił, że uciekliście z lancknechtami, więc myślałam, że tylko kosteczki wasze bieleją gdzieś na polu we Włoszech. I jakście się, panie, zrobili postawni, i srodzy, i piękni — wypisz wymaluj święty Jerzy na obrazie! Proszę bardzo na piętro: mam tam pokoje wolne i sprzątnięte. Mało mam teraz roboty — wszyscy pchają się do zajazdów, a i interesy są kiepskie, handel podupada, to nie to, co dawniej.

Głosem spokojnym kazałem przygotować dla mnie i mojej żony wszystkie pokoje, powiedziałem, że zapłacę dobrym reńskim złotem, a Marta, która w mojej sakiewce zwęszyła pieniądze, jak pies myśliwski zwierzynę, okazywała w dwójnasób większy szacunek i zachwyty. Cofając się przed nami zaprowadziła nas na piętro, lecz póki się krzątała szykując dla nas nocleg i wypytujac mnie, czemu towarzyszyły lamenty, Renata przez cały czas odgrywała niemą rolę w komedii i nawet nie odsłoniła twarzy, jakby bojąc się, by jej nie poznano. Za to, kiedy zostaliśmy sami, natychmiast powiedziała do mnie rozkazująco:

— Będziesz spał, Ruprechcie, w tamtym pokoju, i nie waż się wchodzić do mnie, póki cię nie zawołam.

Popatrzyłem na Renatę, ale nie sprzeciwiłem się ani słowem, tylko wyszedłem z pokoju z tak ciężkim sercem, jakbym został skazany na napiętnowanie rozpalonym żelazem. Ni to chciało mi się płakać, ni to zbić tę kobietę, która miała nade mną dziwną władzę. Zaciskałem zęby i mówiłem sobie: „Dobrze, dobrze, tylko mi ulegnij, a odpłacę ci tą samą monetą” — a równocześnie wydawało mi się rajska rozkoszą siedzieć znów przy łóżku Renaty i aż do omdlenia ręki głaskać jej włosy. Nie ośmielając się naruszyć zakazu, przez całą noc męczyłem się w łóżku jak pijany, dla którego świat kołysze się jak pokład karaweli, póki zmęczenie nie przemogło moich gorzkich i gniewnych myśli, pamiętam jednak dobrze, że i we śnie do rana dręczyły mnie koszmary.

Następny dzień, pierwszy dzień naszego wspólnego życia w Kolonii, ani na krok nie przybliżył mnie do celu, jaki sobie postawiłem. Przyzwyczajeni« do polowego trybu życia swym biciem w bębny zbudziło mnie o zwykłej porze i zdążyłem nie tylko doprowadzić się do porządku, lecz również do woli porozmyślać, nim wstała Renata — począwszy zaś od owego dnia taki stan rzeczy stał się u nas zwyczajem. Kiedy Renata wyszła wreszcie ze swego pokoju, odniosła się do mnie bardzo szorstko, chociaż ani słowem nie

wspominała o swoim wczorajszym zamiarze rozstania się ze mną. W czasie śniadania pogardliwymi uwagami uciniała wszelkie moje próby nawiązania rozmowy i ledwo skończyliśmy śniadanie, oznajmiła tonem stanowczym:

— Słuchaj, Ruprechcie! Musimy koniecznie jeszcze dziś znaleźć Henryka. Nie chcę ani dnia dłużej czekać. Musimy go odszukać, choćby nam przyszło całe miasto przemierzyć. Chodźmy natychmiast!

Na tę przemowę, wygłoszoną niczym rozkaz, powinienem był odpowiedzieć, że nie na wiele mogę się przydać w poszukiwaniach hrabiego Henryka, skoro nigdy go nie widziałem, ale Renata tak na mnie spojrzała, że nie znalazłem w sobie ani słów, ani głosu. Pochyliłem tylko głowę na znak, że się zgadzam, a Renata zaczęła się w pośpiechu wybierać na te poszukiwania. I kiedy, znów nasunawszy na głowę kaptur, szybkim i pewnym krokiem wysła na ulicę, jak cień ruszyłem za nią.

Ach, przysięgam na Boga, naszego Odkupiciela, że póki życia nie zapomnę tej nieprzytomnej bieganiny od kościoła do kościoła, przez wszystkie place i ulice, jaką tamtego dnia odbyliśmy! Nie raz, lecz kilka razy obiegliśmy całą Kolonię, od Św. Kuniberta do Św. Seweryna, i od Św. Apostołów[60] do brzegów Renu, przy czym wszystko wskazywało na to, że Renata jest w tym mieście nie po raz pierwszy. Najpierw powlokła mnie do Katedry, lecz niedługo w niej pozostała, rzuciła się do zaułków wokół Ratusza i długo tam myszkowała, zupełnie jakby jej Henryk bawił się z nami w chowanego; potem obok domu Gürzenichów przecięła rynek i plac i pobiegła do prastarej Marii Kapitolińskiej i tam, przysiadłszy na stopniu, niemało czasu czekała w milczeniu. Jeszcze później, chwyciwszy mnie za rękę i chciwymi oczami wpatrując się we wszystkich ludzi pojawiających się w oddali na ulicy, Renata zaciągnęła mnie do Św. Jerzego, gdzie znów czekała i gdzie ze zdziwieniem spoglądali na nas murarze, wnoszący nową wspaniałą kruchtę. Potem wraz ze swoim świętym wojskiem oglądał nas Św. Gereon, westchnęło z naszego powodu jedenaście tysięcy niewinnych dziewic spoczywających ze św. Ursulą, spojrzało na nas ogromne oko Minorytów, aż wreszcie wróciliśmy na nabrzeże Renu, w cień majestatycznej wieży Św. Marcina, gdzie Renata znów wyczekiwała z taką pewnością, jakby przepowiedział jej widzenie w tym miejscu głos z Synaju, ja zaś smętnie przypatrywałem się gorączkowemu życiu, widziałem, jak przypływają i odpływają statki, jak ładują i rozładowują różnokolorowe barki, jak ludzie krzątają się i uwijają, wszyscy gdzieś się spieszą i są czymś zajęci, i myślałem o tym, że tych ludzi nic nie obchodzi dwoje obcych, którzy przycupnęli pod murem kościoła.

Sądząc po słońcu było już dobrze po południu, kiedy zdecydowałem się zwrócić do Renaty z propozycją:

— Może wróciłibyśmy do domu? Jesteście, pani, zmęczeni; przygotowano dla nas obiad.

Renata spojrzała na mnie z pogardą i odpowiedziała:

— Jeśli jesteś głodny, Ruprechcie, to idź i zjedz obiad; mnie to nie jest potrzebne.

Wkrótce zaczęła się znów nasza niepohamowana bieganina z ulicy na ulicę, bieganina, która z każdą godziną stawała się bardziej chaotyczna, ponieważ Renata sama traciła wiarę, chociaż z zaciętością i uporem jeszcze wykonywała swoje postanowienie: przyglądała się przechodniom, ociągała się na skrzyżowaniach ulic, zaglądała w okna domów. Przemykały przede mną znajome budynki — i nasz Uniwersytet, i bursy, gdzie bywało, że mieszkali moi koledzy, bursa Kneck[61], Św. Wawrzyńca, a także kościoły: Pantaleona o pięciu kopułach, Św. Klary, Św. Andrzeja, Św. Piotra, i chociaż dawniej także dobrze znałem Kolonję, to od tego dnia znam ją tak, jakbym się urodził i całe życie spędził tylko w tym mieście. Powiem, że ja, mężczyzna przywykły do trudnych przemarszów przez stepy, któremu zdarzało się całymi dniami gonić za uciekającym nieprzyjacielem lub przeciwnie — samemu uciekać przed pogonią, otóż ja czułem, że opadam z sił i niemal wałę się ze zmęczenia, natomiast Renata wydawała się niez mordowana i wierna swemu postanowieniu: opanował ją jakiś szal szukania i nie było siły, by ją zatrzymać, i nie było argumentów, by jej to wyperswadować. Nie pamiętam już, po przebyciu jakich odległości i wykonaniu jakich okrążeń pod wieczór znaleźliśmy się znów w pobliżu Katedry i wreszcie tam pokonana Renata padła na głaz, wsparła się o mur i tak w bezruchu pozostała.

Usiadłem gdzieś nie opodal, nie ośmielając się mówić, odrętwiały ze zmęczenia, które sprawiło, że ręce i nogi wydawały się z ołowiu. Ponieważ w górze przede mną wznosiła się potężna szara bryła przedniej części Katedry, z tymczasowym dachem, z nie zaczętymi jeszcze wieżami, lecz mimo to tryumfalna w swej śmiałej koncepcji, to — choć może się to wydać dziwne — w tej chwili, zapominając o swojej sytuacji i o Renacie, a także o zmęczeniu i głodzie, zacząłem snuć myśli o Katedrze i jej budowie. Teraz doskonale pamiętam, że dokładnie rozpatrywałem wtedy plany Katedry, które udało mi się widzieć, przypominałem sobie to, co opowiadano o jej powstaniu, a także nazwiska słynnego mistrza Gerharda[62] i jego wielebności arcybiskupa Henryka von Würtembergu. Wtedy też przyszło mi na myśl, że budowli tej, podobnie jak jej siostrzycom, Bazylice Św. Piotra w Rzymie i Katedrze Narodzin Najświętszej Bogurodzicy w Mediolanie, nie sążone jest wznieść się tak, by osiągnęła prawdziwą wspaniałość, wydzwignięcie bowiem w górę ciężarów potrzebnych dla jej ukończenia i wyciągnięcie świetnie obmyślonych

strzelistych wieżyc — to zadanie znacznie przekraczające siły nasze i możliwości. Jeśli jednak kiedykolwiek nauka i sztuka budowlana osiągną taki poziom, że wszystko to stanie się możliwe i łatwe, ludzie oczywiście tak dalece utracą początkową wiarę, że nie zechcą się trudzić, by wznieść Dom Boży.

Rozmyślania moje przerwała Renata, która powiedziała do mnie krótko i po prostu:

— Chodźmy do domu, Ruprechcie.

Z trudem wstałem i jak w kajdanach szedłem za Renatą, myliłem się jednak wtedy myśląc nie bez ulgi, że w tym dniu nic się już nie wydarzy: najbardziej zdumiewające wydarzenie jeszcze nas czekało.

## II

Kiedy dobrnęliśmy do domu, kazałem Marcie przygotować nam coś do jedzenia, ale Renata nie chciała prawie niczego tknąć i jakby z wielkim trudem przełknęła kilka ziaren gotowanego bobu i upiła nie więcej niż dwa łyki wina. Potem, zupełnie wyzbyta sił, przeniosła się na łóżko i legła na nim jak sparaliżowana, słabo odpychając moje ręce i na wszystko, co do niej mówiłem, przecząco kręcąc głową. Ja zaś przybliżywszy się ukląknłem przy łóżku i w milczeniu patrzyłem w jej oczy, a one nagle znieruchomiały, utraciły sens i wyraz — i długo pozostawałem w tej pozycji, która od tego czasu na długie tygodnie stała się moją zwykłą pozycją.

Kiedy byliśmy tak pogrążeni w mroku i milczeniu, niczym w jakiejś czarnej głębi, nagle w ścianie nad nami rozległ się dziwny pojedynczy dźwięk — ni to trzask, ni to stuk. Zdziwiony popatrzyłem dokoła, ponieważ prócz nas dwojga w pokoju nikogo nie było, i z początku nic nie powiedziałem. Jednakże po pewnym czasie, kiedy ów stuk powtórzył się, cicho spytałem Renatę[63]:

— Czy słyszycie, pani, stukanie? Co to być może? Renata odpowiedziała mi jakimś obojętnym głosem:

— To nic. To się często zdarza. To małeńkie. Spytałem jeszcze:

— Jakie małeńkie? Odpowiedziała spokojnie:

— Małeńkie demony.

Odpowiedź ta tak mnie zaciekawiła, że choć krępowałem się niepokoić osłabłą Renatę, odważyłem się jednak ją zapytać, widząc, że wie coś takiego, o czym ja mam bardzo mgliste pojęcie. Bardzo niechętnie, powoli i z trudem wymawiając słowa, Renata opowiedziała mi, że najniższe demony, zawsze kręcąc się wśród ludzi, dają znać o sobie — tym, których święta modlitwa lub wstawiennictwo niebiańskich orędowników nie chroni przed ich wpływem — stukaniem w ścianę i w różne przedmioty lub też przesuwaniem różnych rzeczy. Renata dodała przy tym, że kiedy miała oczy otwarte na tajemny świat, kiedy obcowała z Madielem, sama nawet widziała te duchy, zawsze mające wygląd ludzi i ubrane, w przeciwieństwie do aniołów, w płaszczce nie jaśniejące i nie barwne, lecz ciemne, szare lub dymnoczarne, przy czym otacza je jednak pewien blask i poruszając się, raczej bezgłośnie płyną, niż idą, a znikając



rozwiewają się jak obłoki.

Nie powinienem ukrywać i powiem teraz, że później Renata dała mi inne wytłumaczenie owych stuków, które wielu wyda się być może prostsze i bardziej naturalne, mam jednak wszelkie podstawy sądzić, że prawdziwa była ta pierwsza wersja i że jeśli Renata się myliła, to tylko w tym, że nie dostrzegała w owych stukach zwykłych podstępów Diabła, usiłującego wplątać duszę w swoje podejrzone sieci. Wtedy nie miałem nawet czasu, by zastanawiać się nad tym, co usłyszałem, ponieważ bez reszty ogarnęło mnie uczucie zdumienia, jak blisko nas jest świat demonów, który wielu wydaje się jakby po drugiej stronie jakiegoś niedostępnego oceanu, jaki przepłynąć można tylko czołmem magii i wróżbiarstwa. I jeszcze, kiedy Renata to mówiła, zupełnie jakby na potwierdzenie jej słów nad łóżkiem w ścianie rozległy się wesołe postukiwania. Ponieważ jednak nigdy i w żadnych okolicznościach mego życia nie gasł we mnie płomyk nieskrępowanych dociekań, rozpalony w mej duszy księgami wielkich humanistów, więc zwracając się do stukającej istoty zapytałem ją z wielką śmiałością:

— Jeśli ty, który stukasz, jesteś istotnie demonem i jeśli słyszysz moje słowa, zastukaj trzy razy.

Natychmiast wyraźnie rozległy się trzy stuknięcia, i w tej chwili było to tak straszne, jak gdyby niewidoczny młotek uderzał mnie przez czaszkę po mózgu. Szybko jednak pokonałem w sobie tę małoduszność i z nową odwagą, nie zdając sobie sprawy z tej mrocznej otchłani, w którą sam siebie spycham, znów zapytałem:

— Czy jesteś nam przyjacielem, czy wrogiem? Jeśliś przyjaciel — zastukaj trzy razy.

Natychmiast rozległy się trzy uderzenia. Teraz Renata uniosła się nieco na łóżku, oczy jej ożywiły się i zapytała:

— W imię Boże zaklinam cię, stukający, powiedz: czy wiesz coś o moim panu, hrabi Henryku? Jeśli wiesz, zastukaj trzy razy.

Rozległy się trzy uderzenia.

Wtedy Renatę chwyciły niepowstrzymane dreszcze, i już siedząc ujęła moją rękę i ścisnąwszy ją cienkimi palcami zaczęła szybko, jedno po drugim, zadawać pytania naszemu niewidzialnemu rozmówcy: gdzie jest hrabia Henryk? czy wróci? czy go zobaczy? czy się na nią gniewa? — okrzyki, na które bardzo trudno było odpowiedzieć stukaniem. Tu ja się wtrąciłem i postarałem się zaprowadzić jakiś ład w rozmowie ustalając, że trzy uderzenia będą zawsze znaczyły potakiwanie, a dwa — przeczenie, po czym pozostało nam tylko tak zadawać pytania, by można było odpowiedzieć na nie zwykłym „tak” lub „nie”, i między nami a naszym niewidzialnym gościem nawiązała się

długa rozmowa.

Zapytaliśmy go, kim jest — czy demonem? Odpowiedział nam, że tak. Potem spytaliśmy, jak się nazywa, i kiedy wymieniliśmy dużo imion i wszystkie litery alfabetu, dowiedzieliśmy się, że ma na imię Elimer. Potem spytaliśmy go, czy zna hrabiego Henryka, i odpowiedział nam, że tak. Spytaliśmy go, czy hrabia Henryk jest w Kolonii, i odpowiedział nam, że nie. Spytaliśmy, czy hrabia Henryk przyjedzie do Kolonii, i odpowiedział nam, że tak. Spytaliśmy: Kiedy? Czy prędko? Może dziś? A może jutro? I dowiedzieliśmy się, że jutro. Potem, kontynuując nasze pytania, dowiedzieliśmy się, że mamy oczekiwać hrabiego Henryka jutro wieczorem, nigdzie nie wychodząc, w tym pokoju, i że hrabia Henryk sam znajdzie drogę do Renaty, że jej nie zapomni, że nie gniewa się na nią, wszystko wybaczył, kocha ją jak dawniej i chce z nią być.

Wszystkie te odpowiedzi były dla Renaty niczym słowa Zbawiciela „Talita kumi” do martwej dziewczynki. Ona także odżyła i zapominając o zmęczeniu, nieustannie zadawała pytanie po pytaniu, prawie wszystkie o jednym i tym samym, tylko nieco zmieniała słowa, aby raz jeszcze usłyszeć miłe dla niej „tak”. I kiedy w potwierdzającym stuknięciu zawierało się dla niej szczególnie dużo nadziei, z cichym jękiem, jakby w upojeniu, opadała na poduszkę, na chwilę zamierała niczym w nieprzytomnym zachwycie, i cicho mówiła do mnie: „Słyszałeś, Ruprechcie, słyszałeś?”

Ciągnęło się to znacznie ponad godzinę, aż stukanie, które z początku stało się słabsze, jakby to stukał ktoś zmęczony, zupełnie ucichło. Ale nawet kiedy ustało, Renata nie mogła się uspokoić i radosna powtarzała sobie i mnie swoje pytania i odpowiedzi demona lub zmuszała mnie, bym je powtarzał, a sama zapewniała: „Przecież wiedziałam, że zobaczę tu Henryka! Przecież ja to czułam i mówiłam! Doszłam bowiem do kresu cierpienia i moje serce nie mogłoby już dłużej tak się dręczyć!” Równocześnie Renata łaskawie głaskała moje włosy i twarz, podawała mi do ucałowania rękę, tuliła się do mnie, jakby przyzwyczajając się do przyszłych pieszczot swego ukochanego, a ja w swej beznadziei nie miałem innego wyjścia, jak słuchać jej głosu i wargami dotykać jej palców. Mimo naszego zmęczenia ta męka jej radosnych uniesień trwała jeszcze długo po północy, przy czym ja, słuchając jak Renata cieszy się niczym dziecko, cały czas klęczałem przy jej łóżku, tak że kiedy wreszcie powiedziała, bym poszedł spać, ledwo mogłem ustać na zdrętwiałych nogach.

Rozumie się, że moja druga noc w samotności bynajmniej nie była lepsza od pierwszej i znów wiele było powodów, by szturm do mojej duszy przypuściły myśli czarne, zakute w żelazo, z opuszczoną przyłbicą i pochyloną kopią. Do woli oddawałem się rozmyślaniom i o strasznej więzi istniejącej między życiem ludzi a życiem demonów, i o nowej drodze, na którą

nieoczekiwanie zawróciły wydarzenia ostatnich dni. Równocześnie nie mogłem wyżyć się wielkiego smutku i lęku, że przepowiednia stukającego demona spełni się, że następnego dnia hrabia Henryk pojawi się u Renaty i wtedy nie będzie już w pobliżu niej miejsca dla mnie. Ta ostatnia myśl sprawiała, że krew stygła w moich żyłach i zamierałem, jakby padł na mnie wzrok bazyliżka.

A oto jaką próbę uczyniłem następnego rana, mówiąc sobie, iż ten, kto poniósł porażkę, musi liczyć tylko na własną maksymalną pokorę i na łaskę zwycięzcy. Kiedy Renata wezwała mnie do siebie, wygłosiłem następującą przemowę, starannie obmyśloną i całkowicie przygotowaną:

— Szlachetna damo! Chcę szczerze wyznać wam to, co oczywiście odgadliście z mego milczenia. To nie zwykła usłużność i nie obowiązek rycerski trzymają mnie nadal w bliskości was, pani, lecz coś o wiele potężniejszego, uczucie, którego nie powinni się wstydzić ani mężczyźni, ani kobiety. Poprzysiągłem wam, pani, że będę waszym wiernym sługą i oddanym bratem, lecz będę także, pani, waszym pełnym czci wielbicielem. Kiedy was poznałem, w pełni pojąłem, że nigdy nie zapragnę być blisko innej kobiety i wcale nie powstrzymuje mnie to wszystko, co wyjawiliście mi o swoim miłowaniu. Nie zamyślam żadnej zuchwałości, lecz już nie mogę być bez was, pani, chcę niekiedy całować wasze rękawy lub patrzeć, jak chodzicie. Bez względu na to, co się stanie, nawet jeśli sązione wam będzie zostać szczęśliwą, weźcie mnie do siebie na służbę, pozwólcie, bym stał przy was na straży i tą ręką bronił was i waszego wybrańca.

Nie powiem, żeby w tej przemowie, nieco przesadnej, wszystko aż do końca było szczerze, i że istotnie pragnąłbym wykonać to, co powiedziałem, jednakże po takim właśnie zloczu toczyły się moje myśli, chociaż nie osiągając dna, i gdyby Renata zażądała, bym spełnił dane przyrzeczenia, być może rzeczywiście spełniłbym to wszystko, co ofiarowałem tylko jak w teatrze. Jednakże Renata, która wysłuchiwała mnie z zasepioną miną, tak odpowiedziała:

— O niczym podobnym nie waz się nawet myśleć, Ruprechcie. Jesteś ostatnim cieniem tego okresu mego życia, który zbyt pełen był cieni. Wracam do światła i ty musisz zniknąć jak ciemności nocy, kiedy pojawi się słońce. Czy doprawdy myślisz, że kiedy będzie ze mną Henryk, zdołam patrzeć na ciebie wiedząc, że całowałeś moje ręce i leżałeś ze mną w jednym łóżku? Nie, skoro tylko Henryk przestąpi próg, będziesz musiał wyjść drugimi drzwiami, wyjechać z tego miasta, zniknąć na zawsze, tak, żebym o tobie już nigdy nie nie słyszała! Musisz mi to przysiąc na krzyżową mękę naszego Zbawiciela, a gdybyś się tej przysiędze sprzeniewierzył, będą cię sądzić surowiej niż Judasza!

Wtedy spytałem Renate:

— A co będzie, jeśli rano wychodząc z domu ujrzycie, pani, na progu mego trupa i mój własny kindżał w mej piersi? Co powiecie o mnie swemu Henrykowi?

Renata odpowiedziała:

— Powiem, że to prawdopodobnie jakiś pijany przechodzień, i będę się cieszyć, kiedy rajtarzy uprzątną ciało.

Potem złożyłem wszystkie przysięgi, jakich zażądała, i już bez sprzeciwu całkowicie podporządkowałem się Renacie, chociaż nie wiedziałem i nie chciałem myśleć o tym, jak postąpię wieczorem. Renata, przeciwnie, była rozważna i zapobiegliwa, jak tego po niej nie oczekiwałem. Posłała mnie, bym kupił jej suknię, gdyż prócz tej wspaniałej, którą stale nosiła, i granatowego podróżnego płaszcza innej odzieży nie miała, kazała mi także kupić różne drobne przedmioty potrzebne tak na drogę, jak i dla upiększenia twarzy, widocznie chciała wykorzystać wszystkie sposoby, żeby stać się jak najbardziej ponętną dla hrabiego Henryka i jak najmniej być mu ciężarem. Wykazała wielką dbałość i uwagę wobec wszelkich drobiazgów i zmusiła mnie, bym wiele razy, mimo deszczu, który nie przestawał padać przez cały dzień, wracał na rynek i chodził od jednego kupca do drugiego.

Na takich staraniach upłynął czas do wieczora i nic nie zostało pominięte, nim nadeszła godzina, kiedy wskutek chmur wcześniej zapadające ciemności zaczęły wypełniać pokój gęstym mrokiem. Nie wiem, czy to, co czułem, było podobne do uczuć człowieka, którego w więzieniu poddano torturom i który czeka wyznaczonej godziny, kiedy poprowadzą go na stracenie, lecz w myśli przyrównywałem swoje uczucia do takich właśnie. Chwilami płynąłem z nurtem jak po rwącym potoku łódź, którą nikt nie steruje.

Ledwo ciemności na dobre zgęstniały, kiedy znów rozległo się postukiwanie w ścianę i Renata spieszenie zapytała, czy to nasz wczorajszy znajomy Elimer. Odpowiedź była, że to właśnie on. Wtedy rozpoczęło się jakby powtórzenie wczorajszego wieczoru z tą tylko odmianą, że wkrótce do jednego stukającego demona przyłączyły się inne, które także podały nam swoje imiona: Riocio, Ulryk, pozostałych już nie pamiętam. Każdy z nich miał własny osobliwy sposób stukania: Elimer, na przykład, stukał wyraźnie i miarowo, Riccio ledwo dosłyszalnie, Ulryk tak walił, że można się było lękać, czy ściana nie runie. Demony chętnie, na ile to było możliwe, stukaniem odpowiadały na wszystkie pytania i wcale ich nie peszyły wymawiane przez Renatę imiona świętych i samego Pana Boga. Przy tym w różnych częściach pokoju od czasu do czasu nad podłogą, podobnie jak bywa na bagnach, zapalały się ogniki i wzniosłszy się na wysokość dwóch łokci gasły, rozplywały się. Lecz już duszę moją pociągało to wszystko, co, według wyrażenia Horacjusza Flaccusa, scire

nefas[64], i nawet wyraźne oznaki Piekła już mnie nie przerażały i nie mąciły mej woli.

Teraz muszę żałować, że skoro odważyłem się na tak podejrzaną sprawę, jak porozumiewanie się ze stukającymi demonami, nie skorzystałem z tej rozmowy, by dowiedzieć się czegoś więcej o ich naturze i sile. Tego wieczora byłem jednak wraz z Renatą pochłonięty oczekiwaniem przyjscia hrabiego Henryka i nie było we mnie dość żądzy wiedzy, bym chciał prowadzić długie przesłuchanie. Zdążyłem się tylko dowiedzieć, że w ich świecie są rzeki, jeziora, drzewa i niwy, że po części świat ten zamieszkują Diabły, najpierw stworzone przez Boga jako dobre, które jednak potem odleciały z Lucyferem, częściowo zaś — dusze zmarłych ludzi, które nie zasłużyły na Piekło, nie dana jest im jednak nadzieja na Czyściec i skazane zostały na to, by po wieczne czasy męczyć się na ziemi; że zawsze rade są rozmawiać z ludźmi, którym ukazują się jak ogniki we mgle, ale nie do wszystkich mają dostęp, jedynie do tych, którzy, się do tego nadają i których nie osłania tarcza służby Bożej.

Oto jest to niewiele, o co wpadło mi na myśl zapytać. Za to Renata demonom, które z nią rozmawiały, zadawała nieskończoną ilość pytań, zresztą znów sprowadzając je wszystkie do jednego: „Czy to prawda, że Henryk dziś do niej przyjdzie”, i demony odpowiadały jej tylko jedno: „Tak”. Potem Elimer powiedział nam, że na Henryka czekać trzeba w ciemności, która i tak panowała wokół nas; że wejdzie równo o północy; że teraz jest już w mieście i przebiera się. Słyszac tę ostatnią odpowiedź, Renata koniecznie chciała się dowiedzieć, jak wygląda ten jego nowy ubiór, i niez mordowanie przypominała sobie wszystkie stroje, jakie nosił jej Henryk, wymieniała wszystkie części i przynależności szat męskich i wszystkie kolory materii, aby Elimer zwykłym „tak” mógł przedstawić wygląd Henryka. Dowiedzieliśmy się, że ma na sobie zielony strój myśliwski z brązowymi sprzączkami, jaki noszą w Bawarii, również zieloną kapuzę, jasny pas zdobiony kamieniami i wysokie granatowe buty.

Potem Elimer powiedział, że Henryk wyszedł ze swego domu i zmierza do nas, że oto idzie jedną ulicą, oto drugą, oto zbliża się do drzwi naszego domu. Serce biło mi tak silnie, że słyszałem jego głuche uderzenia, i po raz ostatni poprosiłem demona:

— Jeśli hrabia wchodzi w drzwi, zastukaj trzy razy.

Rozległy się trzy uderzenia. Powtórzyłem:

— Jeśli hrabia wchodzi po schodach, zastukaj trzy razy.

Rozległy się trzy uderzenia. Renata ochrypłym głosem powiedziała do mnie:

— Ruprechcie, idź i nie wracaj!

Jej twarz wydała mi się straszna i zataczając się jak ranny ruszyłem do

wyjścia na galerię, skąd można było zejść na podwórze, lecz zauważywszy, że Renata, upojona oczekiwaniem, na mnie nie patrzy, przy drzwiach zwoleńłem kroku, niepohamowana ciekawość bowiem sprawiła, że chciałem choć raz spojrzeć w twarz tego hrabiego, tak wówczas dla mnie tajemniczego. Miały jednak minuty, a hrabia się nie ukazywał, za ścianą nie było słyhać żadnych kroków, dokoła było cicho i nic się nie zmieniło. Minęło trochę czasu i znów ostrożnie podszedłem do Renaty stojącej przy stole:

Renata, z trudem oddychając, poprosiła:

— Elimerze! Jeśli Henryk jest blisko, zastukaj trzy razy!

Nie było odpowiedzi, więc znów poprosiła:

— Elimerze! Jeśli tu jesteś, zastukaj trzy razy! Nie było odpowiedzi i Renata w skrajnej rozpaczycy zawołała po raz trzeci:

— Riccio! Ulryku! Odpowiedzcie: Czy mój Henryk przyjdzie?

Nie było odpowiedzi.

Renatę nagle opuściły wszystkie siły i niczym rażona kulą upadła by na podłogę, gdybym jej w porę nie pochwycił. I nie wiem, czy wstąpił w nią ów demon, z którym dopiero co przyjacielsko rozmawialiśmy, czy jej dawny wróg, lecz znów byłem świadkiem tej okropnej męki, jaką widziałem w wiejskiej gospodzie. Wydawało mi się tylko, że tym razem duch znajdował się nie w całym ciele Renaty, lecz opanował tylko jego część, ponieważ mogła się trochę bronić, chociaż całe ciało wilo się okropnie, a członki wykręcały się tak, jakby kości miały przebić mięśnie i skórę. Znów nie miałem sposobu, by pomóc torturowanej, i tylko patrzyłem na twarz Renaty, straszliwie' zmienioną, zupełnie jakby z jej oczu wyglądał ktoś inny, patrzyłem na potworne skręcanie się jej ciała, aż wreszcie demon dobrowolnie ją opuścił i pozostała na moich rękach zupełnie wyczerpana, jak wąż gałązka uwikłana w wir wody. Przeniosłem Renatę do jej pokoju, na łóżko, gdzie szlochała długo i bezsilnie, tym razem w pełnym milczeniu, niezdolna choćby słowo wymówić.

Tak zakończył się drugi dzień naszego pobytu w Kolonii i piąty dzień mojej zażyłości z Renatą. Tych pięć dni, mimo mnóstwa różnorodnych wypadków, które w tym okresie zaszły, wryło się w mojej duszy tak wyraźnie, że pamiętam najmniejsze wydarzenie, niemal każde słowo, jakby wszystko to rozegrało się zaledwie wczoraj. I gdybym nie uważał za właściwe streszczać się, ponieważ czeka mnie jeszcze opis zjawisk bardziej zdumiewających, mógłbym opowiedzieć to, co w owym krótkim czasie przeżyłem, o wiele szczegółowiej, niż uczyłem powyżej.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

O tym, jak żyliśmy w Kolonii, czego zażądała ode mnie Renata i co widziałem na sabacie

### I

Prawdopodobnie nie same tylko cierpienia, jakie zadał Renacie nękający ją demon, lecz także rozpacz, w jaką przemieniły się jej olśniewające nadzieje, sprawiły, że osłabła, jakby przebyła długą i ciężką chorobę. Rano, po tej nocy, kiedy na próżno wyczekiwaliśmy hrabiego Henryka, Renata zupełnie nie miała siły, by wstać z łóżka, nie mogła poruszać lewą ręką i skarżyła się, że ma uczucie, jakby w głowę jej wbito ostry gwóźdź — tak więc musiała kilka dni przeleżeć. Czułem się nad wyraz szczęśliwy mogąc pielęgnować chorą jak posługacz w szpitalu, mogąc ją karmić i poić jak słabe dziecko, czuwać nad jej znużonym snem i przy mojej skąpej wiedzy medycznej szukać dla niej jakichś środków uśmierzających ból. Chociaż Renata przyjmowała moje usługi ze swą zwykłą królewską niedbałością, jednakże z wyrazu jej oczu i z poszczególnych słów mogłem wnioskować, że ceni moje, oddanie i moją troskliwość, co aż nadto nagradzało wszystkie moje niedawne męki. Tak więc po pierwszych pięciu dniach spędzonych z Renatą, przypominających nie uspokajający się wir wodny wśród skał, nastąpiły dni spokojne, smutne, lecz błogie, tak podobne do siebie, że można je było uważać za jeden dzień mający swe odbicie w kilku zwierciadłach.

Powracając teraz myślą do owego czasu czuję, jak ptasie szpony tęsknoty ściskają mi serce i gotów jestem, wyrzekając na Stwórcę, uznać możność wspominania za najokrutniejszy z Jego darów. Mimo to nie mogę się powstrzymać, by nie opisać, choćby pokrótce, i pokojów, w których dokonał się nasz tragiczny los, i trybu naszego życia, który mimo wszystkich przemian trwał do fatalnej godziny pierwszej rozłąki.

Ponieważ Renata nie wszczyniała ze mną rozmowy ani o krewnych, których rzekomo miała w Kolonii, ani o chęci opuszczenia mnie, to zatroszczyłem się, by urządzić jej możliwie najwspanialsze mieszkanie. Z trzech pokoi na

pierwszym piętrze wybrałem dla niej ten, który Marta przeznaczała dla swoich najznamienitszych gości i dlatego urządziła go z pewnym przepychem. Przy prawej ścianie, patrząc od wejścia, na niewielkim podwyższeniu, na które wchodziło się po trzech stopniach, stało przepiękne drewniane łóżko z również drewnianym, przystrojonym materia ą półbaldachimem, z poduszkami obszytymi koronką i z atlasow ą kołdr ą. Inn ą w ażn ą rzeczą by ł kominek z kolorowych kaflif[65], rzadkiej roboty, jak ą nie zawsze napotkać mo ą nawet w Mediolanie, za s przy ścianie zewn ętrznej sta ła du ą, rze ębiona i inkrustowana szafa na suknie. Mi ędzy oknami znajdowa ł si ę pi ękny st ół o wygi ętych n óżkach, w k ącie za ł óżkiem — sk ładany o łtarz, i meblowanie pokoju uzupe łnia ły krzes ła, pulpit dla lektury i du ą włoskie zwierciad ło zawieszone po lewej stronie od wejścia. To meblowanie pokoju doskonale pamie ątam, i dzi s, kiedy pisz ę te s ła, wci ą mi si ę zdaje, że wystarczy wstać, otworzy drzwi i zn ów wejść do pokoju Renaty i ujrz ę j ą, z g łow ą pochylon ą nad desk ą pulpitu lub z policzkiem przyci niętym do zimnych szklanych kr ą ków okna.

Pok ój Renaty dzieli ł od mego w ąski korytarz wychodz ący na kryt ą galeri ę, kt óra bieg ła wok ół połowy domu i z kt orej schodami mo ąna by ło zejść wprost na d ół, nie przechodz ąc przez parter. M ój pok ój, wynajmowany przez Mart ę podr óżnym mniej zamo ąnym, by ł umebrowany skromnie, ale mimo to lepiej i wygodniej ni ą pokoje w gospodach dla kupców. Pr ócz tego mieli śmy jeszcze do dyspozycji trzeci, mniejszy pok ój, zupełnie oddzielny, do kt órego wejście wiod ło bezpo średnio z podestu wewn ętrznych schodów; z tej kom órki z pocz ątku nie zamierzali śmy korzystać i p łać im za ni ą tylko po to, żeby unikać wszelkiego sąsiedztwa. Istotnie, w zacisznym domku, w kt órym pr ócz nas mieszka ła tylko Marta, kobieta co prawda lubi ąca sobie popap łać, lecz niechętnie zapraszaj ąca do siebie gości — nawet w gwamej i wesolej Kolonii przebywali śmy w odosobnieniu ni ą mniejszym ni ą Merlin w zaczarowanym lesie Wiwiany.

Stara Marta by ła pewna, że zaznaj ę rozkoszy z m łod ą żon ą, i oczywi ście wcale nie podejrzewa ła, jak dziwnie up ływaj ą nasze dni. Hojnie przeze mnie op łaćana, ch ętnie i troskliwie nam us łu ągiwa ła, wykonuj ąc wszystkie moje polecenia i dbaj ąc o nasze jedzenie: rano, na śniadanie, otrzymywali śmy zazwyczaj jajecznic ę, kie łbas ę, ser, pieczone kasztany, świe że bu łki, a wieczorem, na obi ąd — baranin ę, prosiaki, g ęsi, karpie, szczupaki; dla mnie pr ócz tego by ła zawsze butelka re ńskiego lub ma ła ązji. Marta dziwi ła si ę, że nie chc ę z nikim odnawiać znajomo ści, i niejednokrotnie namawia ła, bym poszed ł do s ędziwego Otfrieda Gerharda, mego by łego wychowawcy, lecz ja, przeciwnie, surowo zabroni łem jej opowiadać komukolwiek o moim przybyciu do Kolonii. Zreszt ą, jak mi si ę zdaje, Marta niezbyt ściśle



wykonywała to moje polecenie, zdarzało się bowiem, że czasem na ulicy próbowali się ze mną przywitać ludzie, w których poznawałem nie tylko dawnych kompanów od kielicha, lecz nawet magistrów Uniwersytetu — jednak zawsze dawałem do zrozumienia, że kłaniający się popełnił omyłkę i wziął mnie za kogoś innego.

W czasie choroby Renaty i w pierwsze dni po jej wyzdrowieniu spędzaliśmy godziny całe na rozmowie i teraz chętnie słuchała moich opowiadań o Nowej Hiszpanii, dziwiąc się, jak wiele w życiu wypadło mi widzieć. Niekiedy pieszczotliwie dotykała palcami mego policzka, mówiąc przy tym, zupełnie jakby mówiła do małego dziecka: „Jaki ty jesteś mądry i uczony, Ruprechcie!” Długi czas ani słowem nie napomykaliśmy ani o hrabi Henryku, ani o potędze wrogich demonów, zagrażających Renacie, i kiedy — a zdarzyło się to kilka razy — wieczorem, w ciemnościach, znów usłyszeliśmy znajome postukiwania w ścianę, spieszyliśmy rozdmuchać ogień i mówić o czymś innym, a stukanie ucichało samo przez się. Zdarzało się zresztą, że wyraźna obecność niewidocznych wrogów napawała straszliwym lękiem nie tylko mnie, lecz także Renatę, i wtedy nie odsyłała mnie do mego pokoju, lecz pozwalała mi spędzić noc razem z nią — niekiedy u nóg jej łóżka, a niekiedy znów pod jedną wspólną kołdrą, lecz mimo to jako mężczyzna i kobieta pozostawaliśmy sobie obcy. W tej męczącej bliskości znajdowałem nawet szczególną słodycz i rozkosz, jak gdyby ktoś delektował się głębokimi cięciami ostrej klingi bezboleśnie zagłębiającej się w ciało.

Pod koniec sierpnia Renata na tyle się poprawiła, że zaczęliśmy odbywać przechadzki po mieście, przeważnie sziłiśmy brzegiem Renu gdzie w górę rzeki — za Przystań Hanzeatycką — i tam siedząc na ziemi patrzyliśmy na wszechpotężne ciemne wody wielkiej rzeki, niezmiennie od czasów, kiedy przeprowił się przez nie Cezar, a przecież przemieniające się co chwila. Ten monotony widok, oglądany dzień po dniu, coraz to nowe myśli sprowadzał do naszych głów i nowe słowa na nasze wargi, tak więc rozmowy, jakie wiedliśmy ze sobą, były niewyczerpane jak Ren, chociaż możliwe, że nam się tylko zdawało, iż bez przerwy rozmawiamy. W każdym razie czułem wyraźnie, że owa płatanina wszelkich wiadomości, które wyczytałem w różnych księgach lub zebrałem w czasie licznych przemian zachodzących w moim życiu, teraz, napotyając skupioną uwagę Renaty, to jej surowe potępienie, to znów jej bystre poprawki, stapia się stopniowo w jedną ogromną, lecz niepodzielną masę, jakby z roztopionego żeliwa odlano kształtny dzwon, który może rozbrzmiewać donośnie i daleko.

Jednakże, przy całej łagodności i pokorze Renaty, nurtowała ją nieukojoona tęsknota, nie wypuszczająca ze swych jadowitych zębów jej serca, tak że w

miarę tego, jak siły Renaty krzepły, odradzało się w niej także jej uporczywe pragnienie, niczym strzałka kompasu wciąż skierowane ku jednemu punktowi. Nie robiłem nic innego, tylko śledziłem jasność lub zachmurzenie na nieboskłonie jej duszy i wkrótce — ponieważ nie byłem już niedoświadczonym żeglarzem na tych szerokościach — dostrzegłem złowieszcze oznaki zapowiadające nową burzę. Tym niemniej, chociaż byłem uprzedzony, burza znów nadleciała z taką szybkością, że nie zdążyłem zreflować żagli i galeasa mego życia znów zawirowała jak błąd, którym bawi się dziecko.

Jeszcze wieczorem, zasypiając po długiej rozmowie, w ciągu której poruszaliśmy wszelkie tematy, od losów naszego Imperium po liryczne wiersze hiszpańskiego poety Garcilaso de la Vega [66], Renata mówiła do mnie tkliwie: „Miły mój Ruprechcie, wreszcie trochę odpoczęłam. Czuję, jakbym już umarła, i żyję teraz jakimś drugim, nadterminowym życiem. Nie ma we mnie krwi i nie mogę zaznać ludzkiego szczęścia, jest jednak jeszcze na tym świecie twoja troskliwość i serdeczność”. Ukołysany takimi słowami zasnąłem na deskach podwyższenia, przy łóżku Renaty, i spało mi się rozkoszniej niż na puchowych piematach, czując zaś przez sen bliskość atlasowej koldry, mówiłem sobie z radością: „Ona jest tutaj”.

Jednakże rano, zbudziwszy się nagle jakby od szturchańca, ujrzałem nad sobą ponure i smutne oczy siedzącej na łóżku Renaty, jej wykrzywione usta, i jakoś od razu pojawiwszy przemianę, jaka się w niej dokonała, wykrzyknąłem z rozpaczą:

— Renato, co ci się stało?

Zwróciłem się do niej w ten sposób, ponieważ prosiła, bym nazywał ją po imieniu i mówił jej „ty”, jak to czynią między sobą przyjaciele, lecz ona odpowiedziała mi:

— Cóż mogłoby mi się stać? Zupełnie nic — jest tak samo jak wczoraj!

— Więc dlaczego masz taką smutną twarz? — odrzekłem.

Renata powiedziała z tą szorstkością, jaką przejawiała zawsze w czasie napadów smutku:

— A czy wyobrażasz sobie, że mogę się wiecznie śmiać? Nie należę do tych ludzi, którzy bez żadnego powodu gotowi są tańczyć I Z czego zresztą mam się cieszyć? Cóż takiego wesołego jest w moim życiu?

Wyszedłem z pokoju Renaty i długo stałem przy drzwiach wiodących na galerię, patrząc na rude dachówki sąsiednich dachów; dopiero po dłuższym czasie odważyłem się wrócić do Renaty i zobaczyłem, że siedzi na parapecie okna, lecz twarz jej jest apatyczna, martwa. Z początku zaproponowałem, by zjadła śniadanie, lecz ona bez słowa przecząco pokręciła głową, a kiedy prosiłem, by poszła nad rzekę, powiedziała do mnie surowo:

— Na cóż ci jestem potrzebna? Nikt cię nie zatrzymuje — idź sobie, jeśli bawi cię łażenie po brudnych ulicach, wśród śmierdzącego tłumu, i chcesz się przekonać, czy Ren jest na swoim miejscu!

Począwszy od tej rozmowy Renata na wiele dni popadła w skrajne przygnębienie, którego nie sposób było rozproszyć żadnymi argumentami, żadnymi staraniami. Kiedy próbowałem ją przekonać, że nierozsądnym i zgubnym jest oddawać się takiej rozpacy, Renata w odpowiedzi albo milczała, albo nie przebiegając w słowach ukazywała mi całą niedoskonałość i szpetotę świata, skazanego na grzech i cierpienie, w porównaniu z boskim pięknem obiecanego Edenu, mówiła, że chrześcijanin nie ma się z czego cieszyć i godzi mu się tylko płakać. Miała niewyczerpane mnóstwo argumentów przeciwko radości życia i żaden magister nie potrafiłby z taką zręcznością poprowadzić dysputy, z jaką ona dowodziła mi, że są tysiące powodów, by rozpacząć, tak że wreszcie nie wiedziałem, jak jej się sprzeciwić, co odpowiedzieć.

Ulubionym sposobem spędzania czasu stało się wówczas dla Renaty odwiedzanie kościołów, i kiedy tam szła, zabraniała mi iść ze sobą. Ja, oczywiście, nie byłem posłuszny jej woli i ukryty za kolumnami obserwowałem, jak w kościele Św. Cecylii albo Św. Piotra, albo jeszcze innym, Renata całymi godzinami trwała pogrążona w modlitwie, ze wzrokiem zwróconym w stronę ołtarza, i bez najmniejszego choćby poruszenia wysłuchiwała całej mszy świętej. Mimo że za naszych dni wiara została silnie zachwiana przez reformę i herezję, świątynie były przeważnie pełne, zapewniały je zarówno zbolełe dusze szukające schronienia u Wszechmogącego, jak i próżniacy, którzy przyszli to z przyzwyczajenia, to żeby zobaczyć kumoszkę, to żeby mrugnąć do ładnej sąsiadki. Cała ta różnorodna zbieranina wkrótce zwróciła na nas uwagę jako na dziwną parę i zdarzało mi się słyszeć, jak szeptem przekazywano sobie o nas różne bzdurne pogłoski. Jednakże Renata oczywiście nie zauważała zaciekawienia, jakie budziła, a ja nie zwracałem na nie uwagi, ponieważ niewysłowioną rozkosz sprawiała mi samo patrzyenie na Renatę, pochłanianie wzrokiem jej ciemnej sylwetki wśród pstrych ozdób kościelnych i złocen łuków, jakimi odznaczają się kościoły Kolonii, i czyniłem to tak jak pijak, który wargami chłonie sak winogronowy. Tu właśnie, kiedy słuchałem niespiesznego śpiewu organów i wyobrażałem sobie czasem, że to szumią dokoła lasy meksykańskie, po raz pierwszy zrodziła się we mnie myśl, by wywieźć Renatę za ocean, i do tej pory mniemam, że gdyby mi się udało wykonać to postanowienie, mogłem być ocalić jej życie i jej duszę.

W czasie wieczorów, które spędzaliśmy we dwoje, udało nam się teraz zamienić rolami, tak jak zamieniają się miejscami walczący na szpady, słuchaczem bowiem zostałem ja, a Renata bez ustanku mówiła mi o sobie,

pocieszając się i dręcząc wspomnieniami. Dobrze pamiętam, jak w jej pokoju, przy świetle dwóch świec woskowych i przy zasłoniętych oknach, siedząc jedno naprzeciw drugiego przy kielichach małmazji — bo chociaż Renata wymawiała się od jedzenia, to wino piła chętnie — spędziliśmy niemal całą noc. Renata znów zdecydowała się mówić ze mną o hrabi Henryku, opowiadając mi o nim coraz to nowe szczegóły, opisując jego oczy i brwi, i włosy, i ciało, powtarzając jego słowa, tak jak je zapamiętała, przekazując drobne wydarzenia z ich życia, opisując mi pieszczoty, jakimi darzyli się nawzajem, z takimi szczegółami, że rozpałały moją zazdrość jak piekący płomień. Renata często zaczynała porównywać mnie ze swoim ukochanym i sprawiało jej wielką radość, kiedy mogła mi ukazać całą nikczemność mojej duszy, całą pospolitość mojej twarzy w porównaniu z anielskim obliczem Madiela i boskością jego myśli. Zapamiętanie, z jakim Renata to mówiła, nierzadko znów kończyło się niepowstrzymanymi łzami, które zalewały jej policzki i mieszały się z winem w jej pucharze, i oboje piliśmy tę mieszaninę małmazji i łez, aż wreszcie zanosilem osłabłą Renatę na łóżko i, także płacząc, całowałem jej nogi i suknię.

Takie życie nasze również trwało około tygodnia i mniemam, że serce moje nie wytrzymałoby dłużej natężenia ciągłego bólu. Jednakże u Renaty otepiałość uczuć zanikła równie szybko, jak nagle się zrodziła, i potem, gdy w niedzielę niemal dzień cały spędziła na kolanach w kościele Św. Apostołów, a wieczorem ze szczególną surowością zasypała mnie wyrzutami, w poniedziałek rano zaczęła mi okazywać czułość, chociaż zapewne udawaną, i zamiast tego, żeby pójść na mszę, wezwała mnie, byśmy podobnie jak w inne dni poszli nad Ren. Poszedłem z nielekkim sercem i istotnie te godziny były tylko udawaniem naszych dawnych przyjacielskich stosunków i tylko imitacją naszej niedawnej bliskości. Chociaż Renata — jak mogłem się o tym często przekonać — niejednokrotnie mówiła coś, czego niepodobna nazwać prawdą, to jednak kłamać wcale nie umiała i kiedy umyśliła jakieś kłamstwo, to jej nieszczerłość była tak wyraźna, że w duszy mej budziła nie oburzenie, lecz współczucie. Udawałem, że nie dostrzegam teatralnej gry, i czekałem, do czego to doprowadzi, aż w domu, po różnych słowach bez znaczenia, Renata powiedziała od mnie:

— Odpowiedz mi, Ruprechcie, czy kochasz mnie ponad zbawienie duszy?

Poprzyśiągłem, że kocham, i zaciekało mnie, do czego to pytanie zmierza. Lecz Renata zażądała kilka razy, bym potwierdził swoje słowa, nie chciała jednak mówić o tym szczegółowiej i tylko nadal okazywała wobec mnie przepadną czułość.

We wtorek rano (zaraz się okaże, dlaczego dokładnie pamiętam, jaki to był

dzień), Renata nieoczekiwanie poprosiła, bym dał jej pieniędzy, i natychmiast zaofiarowałem jej złote monety. Ona wzięła jednak tylko kilka srebrnych joachimstalarów, narzuciła płaszcz i wyszła, szczególnie surowo zabraniając, bym szedł za nią. Choć znowu nie spełniłem jej żądania, to jednak tym razem udało się jej oszukać moją czujność szpiega inkwizycji i zawieruszyła się gdzieś wśród wąskich przejść w pobliżu rynku. Musiałem w samotności ze wznagającym się niepokojem czekać na jej powrót, przy czym do głowy przychodziła mi straszna myśl, że Renata mnie porzuciła, a ona zjawiła się dopiero o zmierzchu, bardzo zmęczona i blada, i przyniosła nieduży woreczek z jakimiś rzeczami. Lecz nawet cała radość, zupełnie dziecinna, jaka ogarnęła mnie na widok powracającej Renaty, nie mogła zagłuszyć w mojej duszy przewrotnego głosu ciekawości.

Renata wbrew zwyczajowi poprosiła o coś do jedzenia, potem chciała pić wino, a jeszcze później wynajdywała coraz to inne sposoby, by odwlec obmyśloną przez siebie rozmowę, i dopiero przy już zapadających ciemnościach, zawsze wznagających odwagę, zaczęła mówić tonem uroczystym. Powiedziała do mnie mniej więcej tak:

— Miły mój Ruprechcie! Dobrze widzisz, że dłużej żyć w ten sposób nie mogę. Dusza moja tonie we łzach: albo trzeba mnie będzie położyć do trumny, albo stanę się tak brzydka, że nie zechcę pokazać się na oczy temu, kogo kocham. Trzeba wybrać jedno z dwojga: albo życie — i wtedy troszczyć się o życie, albo śmierć — i wtedy uczciwie podać jej rękę. Ale ty wiesz, Ruprechcie, i widzisz, i zrozumiałeś, że mogę żyć tylko, jeśli będzie ze mną Henryk. Na to, by zmartwychwstać, muszę usłyszeć jego głos; abym była szczęśliwa, starczy, że zobaczę jego oczy. Z nim wszystko łatwe, nawet niebo stoi dla mnie otworem, bez niego zaś trudno mi oddychać, niczym rybie na lądzie. Muszę odnaleźć Henryka i on mi powie, czy skazana jestem na życie, czy na śmierć. Gdzież jednak, na rozległych ziemiach niemieckich, szukać mamy człowieka, który jest tak potężny, że może nawet nie przebywać wśród ludzi? Przebiegać, szukając go, miasta i wsie, czy nie jest to to samo, co rozrzucić stóg siana, by znaleźć zagubioną jedwabną nitkę? Czy to nie jasne, że czynić takie próby to kusić samego Boga?

Zdumiony trzeźwością i logiką owych słów Renaty, która potrafiła przemawiać teraz jak wytrawny scholastyk, odpowiedziałem, że jej rozważania uważam za słuszne i czekam, jakie ergo zrobi ona ze swoich quia. Wtedy głosem już bardziej wzburzonym i z wyrazem twarzy bardziej natchnionym Renata powiedziała tak:

— Widziałeś, Ruprechcie, że się modliłam. Kierowałam do Stwórcy wszystkie modlitwy, jakie umiałam, i składałam wszelkie śluby, jakie kobieta

zdolna jest wypełnić, a może nawet więcej! Jednakże Pan pozostał głuchy na moje szepty i jest jedna tylko Siła, która może mi pomóc — i Jeden, do którego powinnam się zwrócić. Nigdy jednak nie zgodzę się skalać mej duszy śmiertelnym grzechem, ponieważ dusza moja należy do Henryka, a on jest jasny, on jest czysty, i nic, co ciemne, nie powinno go dotykać. Dlatego ty, Ruprechcie, który przysiągłeś, że kochasz mnie ponad zbawienie duszy, powinieneś wziąć i ten grzech, i tę ofiarę na siebie.

Z początku nie rozumiałem tej mowy do końca i zapytałem Renatę, o jakiej Sile i o jakim Jednym myśli, ale Renata patrzyła na mnie zagadkowo i tylko przybliżała do mnie swoje wielkie oczy, nie mówiąc ani słowa, aż nagle rozumiałem i wykrzyknąłem:

— Renato, ty mówisz o Diablu!

I Renata rzekła:

— Tak!

Tu między nami wynikł spór, gdyż mimo że tak bardzo kochałem Renatę, mimo że gotów byłem na pierwsze jej skinienie uczynić, co tylko zechce, lecz tak niesłychane żądanie do głębi mną wstrząsnęło. Przede wszystkim powiedziałem, że wątpliwe jest, czy Pan Bóg nie zdoła rozpoznać prawdziwego winowajcy i że jeśli uciekając się do pomocy Wroga Ludzkiego zgubię nawet swoją duszę, to ona także zgubi swoją wciągając mnie do takiej sprawy, gdyż morderca jest nawet mniej winien niż ten, który go przekupił; następnie mówiłem, że wątpliwe jest, czy sam władca Piekieł może okazać jakkolwiek pomoc w takim przedsięwzięciu, ponieważ zajęty jest wychwytywaniem dusz ludzkich, a nie prowadzeniem spisu ludności, kto gdzie mieszka, prócz tego hrabia Henryk, będący według opisu samej Renaty świętym, oczywiście nie podlega siłom piekielnym i według własnej woli może oślepić i odwrócić wzrok sług Belzebuba; wreszcie — że zdecydowanie nie znam drogi do Tartaru, że w opowieściach o paktach i umowach z Diabłem wiele jest babskiego bajdurzenia, że być może sama magia jest oszustwem i wprowadzaniem w błąd i że w każdym razie niełatwo jest nająć przewodnika, który rzetelnie wskaże drogę prosto do Szatana.

Mówiłem to wszystko w rozdrażnieniu, niekiedy sam nie wierząc w swoje słowa, i wtedy po raz pierwszy pozwoliłem sobie wobec Renaty nawet na szorstkość i drwinę, ale ona przeczyła słabo i zaproponowała, bym popatrzył, co robi. Z przyniesionego przez siebie woreczka wyjęła kilka gałązek wrzосу, werbeny, wilczego zęba, lebiody i jeszcze jakiegoś ziela o białych kwiatach, którego nazwy nie znałem. Renata lewą ręką oberwała z gałązek listki i rzuciła je za siebie na podłogę, lecz zaraz je podniosła i rozłożyła w krąg na stole. Potem pośrodku tego kręgu zatknęła nóż, owiązała sznurkiem jego rękojeść, sznurek

ten wręczyła mnie i powiedziała, uważnie na mnie patrząc:

— Przykaż po trzykroć, żeby się w imię Jego dał doić.

I ja, w milczeniu przyglądający się tym wszystkim wiedźmowskim praktykom, mimo woli po trzykroć wymówiłem:

— W imię Diabła, daj się doić[67]!

Natychmiast spod noża wyciekło kilka kropel mleka, a Renata radośnie klasnęła w dłonie, chwyciła mnie za ramiona i wykrzyknęła:

— Ruprechcie, miły Ruprechcie! A więc ty to możesz, masz siłę!

Ja, rozgniewany, zażądałem, żeby nie zwracała mi głowy sztuczkami, lecz Renata przemieniła swój tryumfujący głos w piśszczotliwy i zaczęła mnie przekonywać, tuląc się do mnie jak do ukochanego i zaglądając mi w twarz:

— Jakież znaczenie ma zbawienie duszy, Ruprechcie, jeśli mnie kochasz? Czy miłość nie powinna być wyższa ponad wszystko i czy nie powinno się składać jej w ofierze wszystkiego, nawet rajskiej szczęśliwości? Uczyni to, co chce, byś dla mnie uczynił, a po Henryku ty będziesz dla mnie pierwszy na całym świecie. I kto wie, może Sprawiedliwy Sędzia nie obwini cię o to, że bardzo kochałeś, i skaże cię nie na wieczną Gehennę, lecz tylko na tymczasowe męki Czyścica. Ja zaś z moim Madielem — klnę się na Najświętszą Paniękę Bogurodzicę — nawet będąc w Raju nie zapomnę zasylać modłów na twoją intencję!

Mógłbym powiedzieć, że dałem się urzec kobiecie, jak Samson Dalili lub Herkules Omfali, nie chcąc jednak kłamać, przyznaję, że przyszy mi wtedy do głowy dwa przypuszczenia. Pierwsze — że istotnie, na szali Sprawiedliwości grzech popełniony za kogoś ma tylko połowę swego ciężaru, i drugie — że być może w mojej zgodzie nie będzie żadnego rzeczywistego grzechu, ponieważ jest nader wątpliwe, czy Renata istotnie znajdzie sposoby postawienia mnie w obliczu Diabła. Dlatego nie tylko ustąpiłem czułemu naleganiu, lecz również jak zinnokrwisty gracz postawiłem wszystko na jedną kartę, odpowiadając w końcu Renacie, że nie mam siły odmówić jej prośbom i że dla jej szczęścia gotów jestem złożyć w ofierze życie doczesne i wieczne. Renata, kiedy wypowiedziałem to swoje uroczyste przyrzeczenie, przebrała bardzo surowy wyraz twarzy i nagle, skłoniwszy się przede mną do ziemi, z pokorą ucałowała moje kolana, a wtedy ogarnęło mnie zmieszanie i wstyd, nie wiedziałem, co robić, ani co mówić, i naprawdę zapragnąłem oddać za nią życie i duszę!

I kiedy nieco później zapytałem Renatę, jaką drogą mam szukać pomocy Księcia Ciemności, odpowiedziała mi bez wahania:

— Przecież jutro jest środa, więc z łatwością znajdziesz go na zwykłym sabacie.

A ja, chociaż nie mogłem nie zdradzić przypominając sobie o ohydnych i haniebnych obrzędach dokonywanych na owych zakazanych zebraniach czarownic i demonów — jednakże nie sprzeciwiłem się ani słowem i niczym nie okazałem swego wzburzenia. Renata natomiast była tego wieczora niezwykle tkliwa i noc tę znów spędziłem w jej łóżku, obok jej jeszcze dla mnie obcego, lecz mimo wszystko tak miłego ciała.

## II

Wszystko, co stało się następnego dnia, chcę opisać jak najskrupulatniej, ponieważ będę musiał opowiadać o sprawach spornych, za naszych czasów przez wielu poddawanych w wątpliwość i dla mnie samego nie całkiem jasnych. Do tej pory, chociaż już taki dystans dzieli mnie od owego dnia, nie potrafię powiedzieć z całym przekonaniem, czy wszystko, co przeżyłem, było straszną prawdą, czy nie mniej strasliwym koszmarem, tworem wyobraźni, i czy zgrzeszyłem wobec Chrystusa czynem i słowem, czy tylko myślą. Chociaż sam skłaniam się ku tej drugiej możliwości, to jednak nie w takiej mierze, bym nie szukał ucieczki w miłosierdziu Boga, bowiem ono tylko może mnie uniewinnić w wypadku, gdyby bluźnierstwa, jakich się dopuściłem, nie były złudą. Dlatego powstrzymam się od wszelkich rozstrzygnięć i wszystko, co pamięć moja zachowała, powtórzę tak, jakby to działo się rzeczywiście.

Renata od rana zaczęła mnie przygotowywać do sprawy, jakiej się podjąłem, i stopniowo, jakby mimochodem, wspominała to o jednym, to o drugim, zapoznając mnie z mroczną istotą wszystkiego, co powinienem wykonać i o czym miałem tylko bardzo mgliste pojęcie. Nie bez zmieszania dowiedziałem się ze wszystkimi szczegółami, jakie bluźniercze słowa będę musiał wypowiedzieć, jakich wstrętnych postępów dokonać, i w ogóle jakie widoki czekają mnie na tym świecie. Równocześnie jednak pokusa, jaką jest ciekawość, którą Tomasz z Akwinu nazywa piątym z grzechów śmiertelnych, tak wściekle się we mnie rozpała, że sam wypytywałem Renatę o różne drobne szczegóły dotyczące tego, co mogło mnie spotkać na owym zebraniu, i serce moje biło tak upojnie, jak serce chłopca po raz pierwszy zdążającego, by zakosztować rozkoszy. Dodam jeszcze, że w owym czasie namiętność do Renaty tak mnie zaślepiła, że kiedy zdumiony jej wiedzą w sprawach czarnoksiężskich nagle zapytałem, czy wie to wszystko z własnego doświadczenia, a ona odpowiedziała mi, że z wyznań pewnej nieszczęśnicy, to zaprzeczenie prawie nie budziło we mnie wątpliwości i chętnie godziłem się wierzyć w jej czystość.

Pod wieczór wszystko było gotowe, i raczej usiłowałem przyspieszyć bieg



czasu, niż zwlekać. Renata, przeciwnie, była smutna jak Niobe, niekiedy oczy jej napełniały się łzami i częściej niż zwykle do mego imienia dodawała słowo „miły”. Kiedy nastął zmrok i mogłem przystąpić do moich niedozwolonych praktyk, Renata odprowadziła mnie do drzwi naszego trzeciego, zaciszego pokoju, długo stała na progu nie mogąc rozstać się ze mną i wreszcie powiedziała:

— Ruprechcie, jeśli choć trochę się wahasz, zaniechaj tego przedsięwzięcia: wyrzekam się moich prośb i zwalnięm cię z twojej przysięgi.

Mnie jednak, jak mawiają Hiszpanie, nie mogliby już powstrzymać ni Rey, ni Roche, odpowiedziałem więc:

— Spełnię wszystko, co ci obiecałem, i będę szczęśliwy, jeśli dla ciebie zginę. Wierz mi, będę odważny i nie zdradzę ani siebie, ani ciebie. Kocham cię, moja Renato!

Tu po raz pierwszy zbliżyliśmy wargi i ucałowaliśmy się jak kochankowie, a Renata powiedziała do mnie:

— Żegnaj, pójdę się za ciebie modlić. Wyraziłem wątpliwość, czy modlitwa nie zaszkodzi w takim przedsięwzięciu, ale Renata smętnie pokiwała głową i powiedziała:

— Nie bój się, będziesz przecież daleko stąd. Tylko sam straż się wymawiać święte imiona...

Nie dokończyła tego, co miała powiedzieć, i gwałtownym ruchem się odsunęła; patrzyłem za nią, kiedy odchodziła, lecz kiedy zniknęła w swoich drzwiach, poczułem w sobie tę jasność umysłu i zdecydowaną wolę, jakie odczuwałem zawsze w chwilach niebezpieczeństwa, zwłaszcza przed decydującą walką. Przypominając sobie pouczenia Renaty, zamknąłem na zasuwę drzwi pokoju i starannie zatkałem płótnem wszystkie szpary wokół nich, okno już przedtem było szczelnie zasłonięte. Potem przy świetle lampki łożowej otworzyłem pudeleczek z mazidłem[68], które dała mi Renata, i spróbowałem dociec, z czego się składa, lecz zielonkawa tłusta masa nie zdradzała swojej tajemnicy — bił tylko od niej ostry zapach jakichś ziół. Rozebrałem się do naga, siadłem na podłodze, na moim rozesłanym płaszczu, i zacząłem silnie nacierać sobie tym mazidłem pierś, skronie, ciało pod pachami i między nogami, po czym powtórzyłem kilkakrotnie słowa: „emen-hetan, emen-hetan”[69], co znaczy: „tu i tam”.

Mazidło lekko piekło ciało i od jego zapachu szybko poczułem zawrót głowy, tak że już wkrótce niezbyt zdawałem sobie sprawę z tego, co robię; ręce zwiły mi bezsilnie, powieki opadły na oczy. Potem serce zaczęło mi walić z taką siłą, jakby na sznurku odskakiwało od mojej piersi na odległość całego łokcia, i to sprawiało mi ból. Jeszcze miałem świadomość, że leżę na podłodze

w naszym pokoju, ale kiedy spróbowałem wstać, już nie mogłem i pomyślałem: tak więc wszystkie opowiadania o sabacie okazały się bzdurą i ta cudowna maść jest tylko zielem usypiającym — w teże jednak chwili wszystko jakby dla mnie przygasło i zobaczyłem siebie lub wyobraziłem sobie siebie wysoko nad ziemią, w powietrzu, zupełnie nagiego i siedzącego wierzchem, jak na koniu, na czarnym kosmatym koźle.

Z początku wszystko mąciło mi się w głowie, lecz później zrobiłem wysiłek i w pełni odzyskałem przytomność, gdyż tylko ona jedna mogła być moim przewodnikiem i obrońcą w niezwykłej podróży, którą odbywałem. Kiedy dobrze przyjrzałem się zwierzęciu, które niosło mnie przez sfery powietrzne, przekonałem się, że był to całkiem zwykły kozioł, bez wątpienia z kości i mięsa, z sierścią dość długą i miejscami skołtunioną, i dopiero kiedy obrócił ku mnie pysk i popatrzył na mnie, dostrzegłem w jego oczach coś diabelskiego. Wtedy nie zastanowiłem się nad tym, w jaki sposób wyszedłem ze swego pokoju, w którym chociaż był mały piecyk, to jednak z bardzo wąską rurą; później dowiedziałem się jednak, że sama tylko ta okoliczność nie może służyć za dowód złudności mojej podróży, ponieważ Diabeł jest artifex mirabilis[70] i z szybkością niedostrzegalną dla oka może rozsuwać cegły i znów je zsuwać. Tak samo nie zastanowiłem się w czasie lotu nad kwestią, jaka siła[71] mogła utrzymywać nad ziemią stworzenie tak ciężkie jak kozioł wraz z ciężarem mego ciała, lecz teraz myślę, że można się w tym dopatrywać tej samej infernalnej siły, która pozwalała wznosić się w powietrze Szymonowi-Czarnoksiężnikowi, co zaświadcza Pismo Święte.

W każdym razie mój piekielny koń trzymał się w prądach atmosfery bardzo pewnie i leciał do przodu z taką szybkością, że ja, żeby nie upaść, zmuszony byłem obiema rękami wczepić się w jego gęstą sierść i od straszliwej szybkości pędu wiatr świszczał mi koło uszu, bolała mnie pierś i oczy. Kiedy oswoiłem się z uczuciami lecącego człowieka, zacząłem spoglądać na boki i w dół i zauważyłem, że lecimy znacznie poniżej chmur, na wysokości niewielkich gór, i dostrzegłem niektóre okolice i wioski, zmieniające się pode mną niczym na mapie. Oczywiście nie miałem żadnego wpływu na wybór drogi i pokornie pędziłem tam, dokąd mknął mój kozioł, lecz z tego, iż na naszej drodze nie napotykałiśmy miast, wnioskowałem, że lecimy nie z biegiem Renu, ale raczej na południowy-wschód, w stronę Bawarii.

Sądzę, iż nasza powietrzna podróż trwała co najmniej pół godziny, może nawet dłużej, gdyż zdążyłem zupełnie przywyknąć do swojej sytuacji. Wreszcie' z mroku wyłoniła się przed nami samotna dolina między nagimi szczytami, oświetlona dziwnym błękitnym światłem, i w miarę tego, jak zbliżaliśmy się, dobiegały nas głosy i widać było rozmaite istoty snujące się na

brzegu srebrzystego jeziora. Mój kozioł opuścił się nisko, prawie do ziemi, i kiedy doleciał ze mną do samej ciżby, nagle opuścił mnie na ziemię, nie z wysoka, ale tak, że poczułem ból uderzenia, sam zaś zniknął. Ledwo zdążyłem się jednak podnieść, kiedy otoczyło mnie kilka oszalałych kobiet, równie nagich jak ja, które chwyciły mnie pod ręce krzyzcząc: „Nowy! Nowy!”

Powlokły mnie przez całe zgromadzenie, przy czym moje oczy, oślepienie nieoczekiwanym światłem, najpierw niczego nie odróżniały prócz jakichś wykrzywiających się pysków, aż znalazłem się na uboczu, gdzie pod gałęziami starego buka czemiała jakaś grupa, jak mi się wydało, ludzi. Tam prowadzące mnie kobiety zatrzymały się i ujrzałem, że to był Ktoś — siedział na wysokim drewnianym tronie, otoczony zaufanymi dworzanami, ale we mnie nie było lęku i zdążyłem szybko i dokładnie mu się przyjrzeć. Siedzący był ogromnego wzrostu i do pasa jak człowiek, poniżej zaś jak kozioł, pokryty sierścią; nogi kończyły się kopytami, ale ręce były ludzkie, tak samo jak twarz, smagło-czerwona niczym twarz Apacza, o dużych okrągłych oczach i niedługiej bródce. Sądząc z wyglądu zdawał się mieć co najwyżej czterdzieści lat, w jego wyrazie było coś smutnego, coś budzącego współczucie, ale uczucie to natychmiast zniknęło, kiedy wzrok kierował się powyżej podniesionego czoła, nad którym z czarnych kędzierzawych włosów wyraźnie sterczały trzy rogi: dwa mniejsze z tyłu i jeden duży z przodu, zaś wokół rogów nałożona była korona, prawdopodobnie srebrna, rozczaczająca łagodny blask, podobny do światła księżycy.

Gołe czarownice postawiły mnie przed tronem i wykrzyknęły:

— Mistrzu Leonardzie[72], to nowy!

Wtedy rozległ się głos, ochrypli, pozbawiony odcieni, jakby mówiący nie przywykł wymawiać słów, lecz silny i władczy, i usłyszałem:

— Witaj, synu mój. Czy przybywasz do nas z własnej woli?

Odpowiedziałem, jak przystało, bym odpowiedział, że z własnej.

Wtedy ten sam głos zaczął zadawać mi pytania, o których byłem uprzedzony, których nie chcę jednak tu powtarzać, i krok po kroku dopełniłem całego bluźnierczego obrzędu czarnego nowicjatu. A ściśle: najpierw wygłosiłem wyrzeczenie się Pana Boga, Jego Świętej Matki, Marii Panny, wszystkich świętych Raju i całej wiary w Chrystusa, Zbawiciela świata, potem złożyłem mistrzowi Leonardowi dwa ustalone przepisowe pocałunki. Dla pierwszego łaskawie wyciągnął do mnie rękę i dotykając jej wargami zdążyłem zauważyć pewną osobliwość; jej palce, nie wyłączając dużego palca, były wszystkie jednakowej długości, krzywe i szponiaste jak u sępa. Dla drugiego pocałunku wstał, odwrócił się do mnie plecami, przy czym uniósł się nade mną jego ogon, długi jak u osła, a ja, spełniając swoją rolę do końca, pochyliłem się

i ucałowałem zad Kozła, czarny i wydający wstrętny zapach, lecz równocześnie dziwnie przypominający twarz ludzką.

Kiedy już spełniłem ten rytuał, mistrz Leonard wciąż tym samym niezmiennym głosem wykrzyknął:

— Raduj się, synu mój ukochany, przyjmij znak mój na swoje ciało i noś go na wieki wieków amen!

I pochyliwszy ku mnie głowę szpicem dużego roga dotknął mojej piersi, powyżej lewej sutki, tak że poczułem ból ukłucia i spod skóry wystąpiła kropla krwi.

Czarownice, które mnie przyprowadziły, natychmiast zaklaskwały w dłonie i krzyczały z radości, a mistrz Leonard, znów zasiadłszy na tronie, wypowiedział wreszcie te ważne słowa, dla których przed nim stanąłem:

— Teraz proś mnie o wszystko, co zechcesz, a pierwsze twoje życzenie będzie przez nas spełnione.

Całkowicie panując nad sobą powiedziałem:

— Chcę się dowiedzieć i proszę, żebyś mi powiedział, gdzie znajduje się teraz znany ci hrabia Henryk von Otterheim i jak mogę go odnaleźć.

Mówiąc tak popatrzyłem na twarz Siedzącego i ujrzałem, że zachmurzyła się i stała się straszna, i już nie on, lecz ktoś inny, stojący blisko tronu, ktoś niskiego wzrostu i szkaradny[73] odpowiedział mi:

— Czy myślisz, że nie znamy twojej obłudy? Strzeż się i nie igraj ze sprawami, które są od ciebie silniejsze. A teraz idź i być może później otrzymasz odpowiedź na swoje zuchwałe pytanie.

Bynajmniej nie przestraszony groźnym tonem, gdyż prostota i ludzki charakter wszystkiego, co się działo, nie budziły we mnie w ogóle żadnego strachu, chciałem zaprotestować, ale moje przewodniczki zaszeptaly mi na ucho: „Już więcej nie wolno! Potem, potem!” — i prawie siłą powlokły mnie dalej od tronu.

Wkrótce znalazłem się wśród ciżby, weselącej się zupełnie jak w czasie zabawy świętojańskiej lub uciech karnawałowych w Wenecji. Pole, na którym odbywał się sabat, było dość rozległe i prawdopodobnie często służyło do tego celu, ponieważ wszystko było tak zdeptane, że trawa na nim nie rosła. Tu i ówdzie nad ziemią pojawiały się płomienie, gorejące, choć nie widać było żadnego ogniska, i oświetlały całą okolicę zielonkawym światłem, podobnym do światła, jakie dają fajerwerki. Wśród tych płomieni kręciło się, skakało, miało i wykrzywiało trzysta albo czterysta istot, mężczyzn i kobiet, albo zupełnie nagich, albo ledwo okrytych koszulami, niektóre z woskowymi świecami w rękach, a także wstrętnych zwierząt odznaczających się podobieństwem do ludzi, olbrzymich ropuch w zielonych kaftanach, wilków i

chartów, chodzących na tylnych łapach, małych i długonogich ptaków, pod stopami zaś tu i tam wily się ohydne żmije, jaszczurki, salamandry i trytony. W oddali, nad samym brzegiem jeziora, dostrzegłem małe dzieci, nie biorące udziału w powszechnym święcie, które pomagając sobie długimi białymi tykami pasły stado ropuch mniejszego wzrostu.

Jedna z prowadzących mnie gołych czarownic przejawiała szczególną troskę i nie opuściła mnie, kiedy inne, po wciągnięciu mnie w tłum, rozbiegły się w różne strony. Jej twarz pociągała wesołością i czupurnym wyrazem, a młode ciało, mimo że piersi były obwisłe, wydawało się jeszcze świeże i wrażliwe. Czarownica trzymała mnie mocno za rękę i tuląc się do mnie oznajmiła, że na nocnych zebraniach nazywają ją Sarraska, po czym namawiała: „Chodźmy płaść”, a ja nie widziałem powodu, by jej odmówić.

W owym czasie wśród tłumy rozległy się okrzyki: „Korowód! Korowód!”, i wszyscy szybko wykonując to, do czego przywykli, zaczęli się zbierać w trzy duże koła, jedno zamknięte w drugim. Środkowe koło stało tak, jak zazwyczaj bywa w wiejskich korowodach, natomiast mniejsze i większe, przeciwnie, stały zwrócone twarzami na zewnątrz, a plecami do wewnątrz. Następnie rozległy się dźwięki muzyki — flety, skrzypce i bębny — i zaczęły się diabelskie płąsy, które z każdą minutą stawały się coraz szybsze, z początku przypominając hiszpański taniec de espadas lub sarabandę, a potem już do niczego niepodobne. Ponieważ z moją przyjaciółką dostałem się do najbardziej zewnętrznego koła korowodu, więc tylko niewiele mogłem widzieć z tego, co działo się w innych kołach: zdaje się, że mniejsze przez cały czas jak szalone kręciło się z lewa na prawo, w drugim biorący w nim udział wściekle podskakiwali, a w naszym główna figura tańca polegała na tym, że robiąc pół obrotu i nie puszczać rąk sąsiedzi uderzali jeden drugiego zadkiem.

Kiedy muzyka wreszcie ucichła i płąsy się skończyły, zupełnie opadłem z sił, lecz ledwo tancerze przerwali korowody, od tej strony, gdzie był tron, dobiegł śpiew. Siedzący tam, akompaniując sobie dźwiękami harfy, ochryplym i ponurym głosem śpiewał jakiś psalm, którego słuchaliśmy w milczeniu pełnym szacunku. Kiedy umilkł, natychmiast wszyscy chórem odśpiewali czarną litanie[74], ułożoną na podobieństwo kościelnej, przy czym na jej wezwania — w których nie zdołałem zrozumieć wszystkich słów — odpowiedzią były znajome okrzyki: „Miserere nobis!” I „Ora pro nobis!” Przez ten czas między nami uwijały się jakieś maleńkie, lecz żwawe istoty w czerwonych aksamitnych kurteczkach obszytych dzwoneczkami i bardzo zręcznie rozstawiały stoły, nakrywały je białymi obrusami, chociaż widać było, że ci służący pracują bez pomocy rąk.

Sarraska, która w czasie śpiewu odpoczęła po tańcach, znów zaczęła mnie

szarpać i ponaglać.

— Beanie, beanie[75], chodźmy prędzej i siadźmy, bo miejsc nie będzie, a strasznie chce mi się jeść.

Ponieważ postanowiłem podporządkować się wszystkim tutejszym obyczajom, jak zresztą robiłem wszędzie, gdzie mnie los rzucił, poszedłem za młodą czarownicą i jedni z pierwszych zasiedliśmy do stołu, przy którym ustawione były najzwyczajsze drewniane ławy. Litania skończyła się bardzo szybko i cała czereda z wielkim hałasem i pokrzykiwaniami poszła za naszym przykładem, zapełniła wszystkie ławy, popychając się i kłócąc o miejsca. Służba w aksamitnych kurteczkach zaczęła rozstawiać na stołach rozmaite, bardzo zwyczajne potrawy: miseczki z kapuśniakiem lub z owsianką, olej, ser, talerze z chlebem z czarnego prosa, dzbanki mleka i kwarty wina, które, gdy go spróbowałem, okazało się kwaśne i w kiepskim gatunku.

Nad wszystkimi stołami unosił się nie milnący gwar, chichot, gwizd i rechotanie, ale ponieważ miejsca nasze były na uboczu, postarałem się wypytać Sarraskę o różne nie całkiem zrozumiałe dla mnie szczegóły tego święta, ona zaś łakomie napychając sobie żołądek ofiarowanym nam poczęstunkiem, chętnie zaspokajała moją ciekawość.

Zapytałem ją, kto są ci słudzy, podający nam półmiski, a ona powiedziała, że są to demony, przy tym bezrękie i pracujące przy pomocy zębów i skrzydeł, które ukrywają pod kapuzą. Zaraz przywołała jednego z tych sług, by pokazać mi go z bliska, i dziwne było widzieć, jak naga niewiasta obraca przede mną niewysokiego człowieczka o tępej twarzy i ze skrzydłami jak u nietoperza zamiast rąk.

Potem zapytałem, jak się to dzieje, że nikt nie boi się pisać między słupami ognia. Ale Sarraska roześmiała się i powiedziała, że ten ogień się nie pali i że tylko księża straszą, iż ogień piekielny sprowadza wielkie cierpienia, kiedy w rzeczywistości jest to coś w rodzaju baniek mydlanych — i chciała zaraz powlec mnie, bym przekonał się o tym z bliska, ale ja wystrzegałem się zwrócenia na siebie uwagi całego towarzystwa.

Zapytałem jeszcze, czy pełzające przy naszych nogach żmije i trytony nie mogą wyrządzić krzywdy, ale Sarraska znów ze śmiechem zapewniła mnie, że są to zwierzęta miłe i nieszkodliwe, i zaraz wyciągnęła spod stołu żmiję i okręciła ją sobie wokół piersi, a żmija rozdwojonym językiem pieszczotliwie lizała jej szyję i bawiąc się gryzła czerwoną sutkę Sarraski.

Wreszcie spytałem, czy zdarzają się sabaty bardziej ożywione niż dzisiejszy, i na to pytanie oczy Sarraski zabłysły i powiedziała:

— Pewnie, że tak! Przecież dzisiaj to najzwyczajsze zebranie, jedno z tych, jakie bywają zawsze w środy i piątki, ale co się tu działo przed Zaśnięciem

Najświętszej Marii Panny! Albo zobaczysz, co to będzie przed Wszystkimi Świętymi! Zbiera się tu ponad tysiąc ludzi, chrzci się skradzione niemowlęta, wyprawia się weseliska albo wspominki po zmarłych! Wtedy to bywa wesoło — tylko płaszać i śpiewać, i pieścić się! Wilki bywają wtedy takie, że żaden mężczyzna im nie dorówna! A na poczęstunek sami niekiedy gotujemy w mleku mięso dzieci.

Przy tych słowach w ustach Sarraski jakoś dziwnie załśniły białe i ostre zęby, a kiedy nie bez wstępu spytałem, czy doprawdy ludzkie mięso jest takie smaczne, a wilcze pieszczoły takie przyjemne — w odpowiedzi tylko chytrze się zaśmiała. Wtedy zapytałem jeszcze, czy zdarzyło jej się doświadczać pieszczoł demonów i czy dają one rozkosz, a ona nie wstydząc się oświadczyła, że dają, i to wielką, tylko nasienie demonów jest zimne jak lód. Potem przysunęła się do mnie całkiem blisko i bezwstydnie dotykając ręką części mego ciała, zaczęła mówić:

— Po co wspominać przeszłość, mój beaniku? Dziś kocham ciebie i pragnę cię bardziej niż jakiegokolwiek inkuba[76]. Wiesz, już gaszą ognie i wkrótce zapieje kogut — chodź ze mną.

Kiedy jednak przecząco pokręciłem głową i usiłowałem uwolnić się z jej objęć, Sarraska spytała, czemu jestem taki smutny. Wyjaśniłem jej, że mistrz Leonard obiecał dać mi odpowiedź na jedno pytanie, bardzo dla mnie ważne, lecz do tej pory nic nie odpowiedział.

Wtedy Sarraska odrzekła:

— Nie martw się, beaniku! W zeszyły piątek byłem jego oblubienicą i jest dla mnie bardzo łaskaw. Zaraz pójde i zapytam go: on mi nie odmówi.

Powiedziawszy to Sarraska ześliznęła się z ławy i pobiegła, a ja pozostałem sam i zacząłem rozglądać się dokoła. Istotnie, ognie już dogasały i tylko niektóre z nich słabo tliły się przy samej ziemi — na moich oczach szybko pustoszały ławy, dla uczestników sabatu nastąpiła bowiem chwila końcowej i najhaniebniejszej części święta. Nad łąką rozbrzmiewała delikatna muzyka fletów i w gęstniejącym mroku ręce zaczęły wyciągać się ku rękóm, a splecione ciała z cichym jękiem padały na ziemię tu, między stołami i na brzegu jeziora, i dalej — pod gałęziami drzew. Tam widziałem przed sobą wstętne skojarzenie młodzieńca ze staruchą, gdzie indziej ohydną zabawę starca z dzieckiem, ówdzie bezwstyd dziewczyny, która oddała się wilkowi, lub szał męczyzny pieszczącego wilczycę, lub potworne kłębowisko wielu ciał splecionych we wspólnej pieszczocie — i ze wszystkich stron dobiegały dzikie okrzyki wraz z urywaniem oddechem, narastając i zagłuszając dźwięki instrumentów. Wkrótce cała łąka przemieniła się w ożyłą znów Sodomę, w nowe święto Codrusa[77] lub w straszny dom wariatów, gdzie wszystkich ogarnęło wściekłe pożądanie i

rzucali się jedni na drugich, nie zwracając niemal uwagi, czy to mężczyzna, czy kobieta, dziecko czy demon — i od tych ciemnych kłębiących się zwalów unosił się nieprzewyciężony powiew chuci, który zamroczył także mnie, tak że czułem w sobie to samo męskie szaleństwo i tę samą nienasyconą żądzę obejmowania. W tej chwili pojawiła się przede mną Sarraska i z tryumfem oznajmiła:

— Załatwione! Załatwione!

Powiedział do mnie:

„Czyż moja wierna służebnica nie udzieliła mu odpowiedzi: «Dokąd jedziecie, tam jedźcie!»" I jeśli już On to potwierdził, znaczy się, że tak jest słusznie!

Po tych słowach czarownica, sądząc, że smutek mój już się rozproszył, bez słowa objęła mnie i pociągnęła za sobą na skraj lasu, przyciskając się do mnie jak jaszczurka i szepcząc mi bezładne słowa pieszczoty. Pokusa rozkoszy przenikała we mnie i przez nozdrza, i przez uszy, i przez oczy. Sarraska zaś swym ciepłym ciałem jakby rozpałała moje ciało, tak że bez oporu pozwalałem się prowadzić. Pod gałęziami gęstej leszczyny padliśmy na ziemię, na wysepkę mchu, i w tej chwili nie pamiętałem ani o swoich przysięgach, ani o swojej miłości, byłem posłuszny jedynie żądzy, mącającej rozum i odbierającej wolę. Lecz nagle, kiedy pod wpływem tych uczuć byłem jeszcze wyzbyty sił, wprost przed sobą, wśród zieleni liści, ujrzałem twarz Renaty i jak błyskawica rozbłysła we mnie świadomość, boleśnie zapiekły mnie skrucha i zazdrość. Renata — podobnie jak większość uczestników sabatu[78] zupełnie naga i której twarz wyrażała tę samą zmysłowość i żądzę, co twarze innych — widocznie nie dostrzegła mnie i przedzierając się skrajem lasu kogoś szukała. Zerwałem się jak dzik, co wyrwał się z potrzasku, odepchnąłem Sarraskę, usiłując mnie powstrzymać, i rzuciłem się za przechodzącą z bolesnym okrzykiem:

— Renato! Co tu robisz?

Renata poznała mnie, jakby przelekniona rzuciła się do ucieczki i zniknęła w ciemnościach, lecz ja pomknąłem za nią i wyciągnąwszy ręce biegłem wśród czarnych krzaków, wzburzony, gotów ją zabić, jeśli ją dogonię. Ona pojawiała się jednak tylko na chwilę i znów zniknęła: pnie drzew zagradzały mi drogę, gałęzie smagały po twarzy, a z tyłu rozlegały się skowyty, świsty i szcucie, jakby mnie ścigano; w głowie mojej wszystko wirowało, w końcu nic już wokół siebie nie odróżniałem i padłem na ziemię głową w dół, niczym w głęboka studnię.

Potem, kiedy się ocknąłem, kiedy z wielkim wysiłkiem otworzyłem oczy i rozejrzałem się dokoła, spostrzegłem, że leżę sam na podłodze naszego małego pokoiku, gdzie nasmarowałem się czarodziejską miksturą. W powietrzu jeszcze



unosił się duszący zapach tego mazidła, bolało mnie całe ciało, jakbym się rozbil spadłszy z wysoka, a ból w głowie był tak silny, że ledwo mogłem myśleć. Zebrałem jednak wszystkie siły, siadłem i usiłowałem zdać sobie sprawę, czym było to wszystko, co wypełniało moją pamięć.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

O tym, jak studiowaliśmy magię i czym skończyła się nasza próba magiczna

### I

Argumenty napływały do mnie z dwóch różnych stron, jak żołnierze dwóch wrogich partii, i niełatwo mi było na wadze mego rozumienia przechylić szalę na którąś stronę, gdyż tak na jedną, jak i na drugą szalę mogłem kłaść coraz to nowe racje.

Z jednej strony wiele przemawiało za tym, że mój straszny lot na sabat był tylko sennym przywidzeniem, wywołanym trującymi wyziewami mazidla, którym natarłem ciała. Płaszcz, na którym się ocknąłem, był pognieciony i zmięty właśnie tak, jak powinno się było stać po długim leżeniu na nim ludzkiego ciała. Na moim ciele nie było żadnych śladów nocnej podróży, zwłaszcza żadnych zadrapań lub zdartego naskórka na nogach po płasach boso na łące i po bieganiu w lesie. Wreszcie — i to najważniejsze — na mojej piersi nie było widać śladu ukłucia rogiem, którym, jak mi się zdawało, mistrz Leonard odcisnął na mnie wieczne piętno Diabła, sigillum diabolicum.

Skądinąd powiązanie i logiczność moich wspomnień znacznie przewyższały wszystko, co zazwyczaj łączy się ze snem. Pamięć dostarczała mi takich szczegółów, dotyczących diabelskich igraszek, które do tej pory były mi całkiem nie znane, a których zmyślić nie miałem najmniejszego powodu. Prócz tego zdawałem sobie sprawę, że w korowodzie czarownic uczestniczyłem cieleśnie, a nie duchowo, jeśli dopuścić nawet możliwość oddzielenia się ducha od ciała, co chętnie uznaje boski Platon, lecz w co wątpi większość filozofów.

Wreszcie przyszło mi do głowy, że istnieje pewny sposób na rozstrzygnięcie moich wątpliwości. Jeśli wszystko, co widziałem, działo się naprawdę, to Renata oszukała mnie i podążyła za mną w powietrznym przelocie, teraz powinna więc albo jeszcze zwlekać z powrotem i być poza domem, albo leżeć w łóżku, tak samo jak ja zmęczona. W nowym napadzie

gniewu i zazdrości zacząłem się spiesźnie doprowadzać do porządku i ubierać, co niełatwo mi przyszło, ponieważ drżały mi ręce i ciemno robiło mi się w oczach. Po kilku minutach byłem już na korytarzu, gdzie świeże powietrze, które wdarło się do piersi, nieco mnie orzeźwiło, i z drżeniem serca otworzyłem drzwi do pokoju Renaty. Renata spała spokojnie w swoim wysokim łóżku i dokoła nie było żadnych oznak, że noc tę spędziła tak jak ja, nie czuć było również zapachu mazidla, który by wskazywał, że ona także uciekała się do magicznych nacierań.

W owej chwili było to dla mnie niezbitym dowodem, że nie opuściłem krainy snu, że moje nocne postępk i słowa, jakimi zaprzepaściłem wiekiuste zbawienie duszy, były po prostu majakami sennymi, lecz nie czułem z tego powodu radości, tylko dławiący wstyd. Wydało mi się w najwyższym stopniu haniebne, że nie potrafiłem spełnić polecenia Renaty, nie zdołałem dotrzeć do diabelskiego tronu, chociaż tak łatwo udaje się to osobom niewątpliwie mamym. Równocześnie pomyślałem, że sen mój był być może zesłany mimo wszystko przez samego Diabła, który znów chciał się pośmiać i poznać nad moją bezsilnością — i myśl ta była dla mnie niczym obraźliwy policzek. I w teje chwili, kiedy patrzyłem na Renatę, zrodziło się we mnie i okrzepło postanowienie, które później, w ciągu wielu następnych tygodni, kierowało moimi postępkami: spróbować swoich sił w otwartej walce z duchami Ciemności, które napotkałem na drodze życia i które do tej pory rzucały mną jak piłką.

Tymczasem Renata, zbudzona skrzypnięciem drzwi, otwarła nieco oczy. Uczucie inne — skruchy, że mogłem podejrzewać Renatę o oszustwo — kazało mi szybko podbiec do niej, przypaść do jej rąk i całując je mówić słowa dla niej niezrozumiałe:

— Renato! Ukochana! Dzięki ci! Wybacz!

Renata, zaspana, z początku nie mogła zrozumieć, o co chodzi, lecz potem wszystko sobie przypomniała i szybko spytała:

— Ruprechcie, byłeś? Widziałeś? Spytałeś? Co on ci odpowiedział?

Te bezwzględne pytania, które dowiodły mi, że Renata mnie, będącego u kresu sił ze znużenia, zupełnie lekceważy i myśli tylko o swoim Henryku, nieco mnie otrzeźwiły. Odpowiedziałem, że jej mazidło okazało się bezsilne, że jedynie mnie uśpiło i że zamiast tego, by rzeczywiście przenieść mnie na miejsce, gdzie czarownice odprawiają swoje święto, sprowadziło tylko przywidzenie sabatu. Ale zaraz pospiesznie dodałem, że moje niepowodzenie wcale nie odebrało mi otuchy, lecz przeciwnie zbudziło we mnie niezłomne postanowienie, by cel osięgnąć, i że teraz własnymi siłami postaram się znaleźć bardziej skuteczne sposoby, żeby wykorzystać władzę Piekla. Chciałem wtedy szczegółowiej

rozwinąć tę myśl przed Renatą, lecz ona z uporem domagała się, żebym przedtem opowiedział jej swoje przygody, więc ustępując jej życzeniu, niemal wbrew woli musiałem zdać jej relację z tego wszystkiego, co wydawało mi się głupim snem. W tej opowieści zataiłem zresztą dwie rzeczy: że nie oparłem się pokusom Sarraski i że wśród innych nocnych zjaw ukazała mi się postać samej Renaty. Renata potraktowała moje wspomnienia jako coś zupełnie realnego, wcale nie zgodziła się ze mną, że to tylko przywidzenie, i była zdania, że ten, kto przewodniczył nocnej biesiadzie, potwierdził słowa wróżbiarki z Heerde. Ale ja w odpowiedzi tylko śmiałem się z Renaty i ze swego lotu mówiąc, że jeśli wszystko to było rzeczywistością, to bezsensowną, jeśli snem, to kłamliwym, jeśli zaś wróżbą, to z niej nic nie można wywnioskować.

Wkrótce mieliśmy jednak przerwać nasz spór, ponieważ w następstwie moich nocnych wrażeń poczułem nieprzezwyciężone zmęczenie i wielką słabość. Łamanie w całym ciele i straszliwy ból głowy sprawiły nawet, że musiałem położyć się do łóżka i resztę dnia spędziłem w stanie półprzytomności, w czasie której miałem przed oczyma toczące się nieprzerwanym kołem obrazy sabatu: nagie czarownice, bezrękie demony, płasy, biesiadę, pieszczoty, mistrza Leonarda. Jak przez sen pamiętam, że od czasu do czasu podchodziła do mego łóżka Renata i kładła swoje chłodne ręce na moim rozpalonym czole i wtedy wydawało mi się, że te mimo woli czułe palce natychmiast mnie uzdrawiają, usuwają cały ból[79].

Rano następnego dnia obudziłem się znów dziarski i silny jak zawsze, lecz w duszy odnalazłem wczorajszą decyzję, która zapaściła mocne korzenie i szeroko rozłożyła gałęzie, zupełnie jak drzewko w ciągu kilku godzin wyhodowane przez hinduskiego hymnosofistę. Już bez jakiegokolwiek wzburzenia, lecz zupełnie stanowczo potwierdziłem Renacie, że zamierzam zająć się studiowaniem magii, nie widzę bowiem innego sposobu wyświadczenia jej przysługi, jakiej ode mnie oczekuje. Dodałem, że niewiele można osiągnąć zwracając się do Diabła niczym żebrzący petent do pożyczkodawcy, Diabeł słucha bowiem jak widać tylko tych, którzy mu rozkazują jak pan sędze, i że w ogóle w świat biesów należy wkraczać dzięki siłom wiedzy, a nie dzięki wątpliwym praktykom magii. Równocześnie natychmiast przedstawiłem Renacie cały plan zajęć naukami tajemnymi, magią, demonomancją i sztuką dywinacyjną.

Renata wysłuchała mnie bardzo uważnie i chociaż było to całkiem nieoczekiwane ze strony osoby, która pierwsza pociągnęła mnie ku światu i demonów, oświadczyła, że sprzeciwia się zdecydowanie mojemu zamiarowi, i niezwłocznie przedstawiła mi, w sposób niezwykle przekonujący, cały trud, całe niebezpieczeństwo, a być może i całą zbytek obmyślonego przeze mnie

przedsięwzięcia. Tak więc mówiła mi, że zajmowanie się magią wymaga długich lat i studiów przygotowawczych, że najszybszymi tajemnic nigdy nie zawierza się księgom, lecz wtajemniczeni przekazują je sobie z ust do ust, nauczyciel bezpośrednio uczniowi, że wreszcie ona nie przyjmie ode mnie takiej ofiary i zwalnia mnie z moich obietnic. Na wszystkie te argumenty miałem jednak kontrargumenty: mówiłem, że jako rycerz nie mogę opuścić damy nie wykorzystawszy wszystkich możliwych środków jej ocalenia, że uważnemu oku i umysłowi wystarczą aluzje zawarte w dziełach poświęconych magii, że chcę przeniknąć nie wszystkie tajniki wiedzy tajemnej, lecz uzyskać tylko pewne wiadomości dla celów praktycznych, i temu podobne.

Kiedy z rozmowy wyjaśniło się, że nie zamierzam ustąpić, Renata próbowała mnie nastraszyć i zdradzając swoją bliską znajomość z magią powiedziała do mnie mniej więcej tak:

— Nie znasz, Ruprechcie, tej dziedziny, w którą chcesz wkroczyć. Nie ma tam nic prócz okropności, a magowie — to najniebezpieczniejsi z ludzi. Mag żyje pod ustawiczną grozą męczeńskiej śmierci i tylko niestrudzoną działalnością i największym wysiłkiem woli powstrzymuje wściekłe duchy, gotowe co chwila rozszarpać go zwierzęcymi szczękami. Cały zastęp wrogich potworów pilnuje każdego kroku maga i patrzy, czy aby czegoś nie zapomniał, czy nie przeoczył jakiegoś małego środka ostrożności, by móc drapieżnie na niego się rzucić. Wyobraź sobie zaklinacza spędzającego dni i noce w klatce wściekłych psów lub jadowitych węży, których wściekłość ledwo może poskromić smagnięciami bicia i rozpalonym żelazem — oto czym jest życie maga. I w nagrodę za tę nieustanną mękę otrzymuje wymuszone usługi nędznych diabłów, nie znających się na rzeczy, bynajmniej nie wszechmocnych, zawsze przewrotnych, zawsze gotowych zdradzić i popełnić każdą podłość.

Ów sprzeciw Renaty był mi tak miły, jak światłość słoneczna przebłyskująca poprzez deszcz, po raz pierwszy bowiem dostrzegłem u niej troskę o mój los, mimo to odpowiedziałem bez wahania:

— Gotów jestem się zgodzić, że tak właśnie jest, lecz strach nigdy jeszcze mnie nie powstrzymał. Złe duchy zostały stworzone przez Boga, ale pozbawione są Jego łaski i podobnie jak wszystko w przyrodzie, prócz osobistej i wszechpotężnej woli Stwórcy, muszą podlegać prawom natury. Należy tylko poznać te prawa, a będziemy mogli rządzić demonami, podobnie jak teraz wykorzystujemy siłę wiatrów dla poruszania się statków. Nie ma wątpliwości, że wiatr jest o wiele silniejszy od człowieka i niekiedy burza rozbija statek na drzazgi, zazwyczaj kapitan doprowadza jednak swój ładunek do portu. Wiem, że powiększając powierzchnię żagli w czasie sztormu narażam statek, i na nim ciebie, na wielkie niebezpieczeństwo, ale nie mamy innej rady.

Po tych moich słowach nasza rozmowa się urwała.

Wkrótce mogłem się przekonać, że Renata spierając się ze mną mówiła wbrew swemu przekonaniu i że magia i wiedza tajemna pociągały ją z większą jeszcze siłą niż mnie. Jednakże utrzymując się w swojej roli przez dość długi czas udawała, że z lekceważeniem odnosi się do moich zajęć i nie chciała udzielić mi najmniejszej choćby pomocy w pracy, musiałem więc zupełnie sam pokonywać pierwsze, jak zawsze najtrudniejsze, zakręty nowej drogi.

W latach studenckich znałem pewnego księgarza, mieszkającego na Czerwonej Górze, starego dziwaka, nazwiskiem Jakub Glock, któremu, kiedy nie miałem pieniędzy, zdarzało się, że sprzedawałem lub dawałem w zastaw swoje podręczniki. Właśnie do jego sklepu myślałem rzucić wędkę rybaka, pamiętałem bowiem, że interesował się książkami z dziedziny astrologii, alchemii i magii, i jak się zdaje — sam był pochłonięty poszukiwaniami kamienia filozoficznego.

W ciągu dziesięciu lat sklep Glocka wcale się nie zmienił i poczułem się znów studentem, kiedy przestąpiwszy próg znalazłem się w ciemnawej komórce, z jedyneymi drzwiami od ulicy i bez okien, zawałonej stertami najprzeróżniejszych książek, to starych, pisanych ręcznie, to nowych, drukowanych, to używanych, to w barwnych okładkach, to w oprawach ze skóry z klamrami. Wśród piętrzących się półek, równiutko ułożonych stosików z in-quarto i beładnych stert gazet, na połamanej ławce siedział Jakub Glock, pan i władca wszystkich tych manuskryptów, opuskułów i foliantów, zamkniętych w jego sklepie niczym wiatry w pieczarze Eola. Widząc mnie Glock zsunął na nos okulary, położył na kolanach rycinę, którą oglądał, obrócił w moją stronę nie ogolony podbródek i czekał, co powiem, gdyż oczywiście nie poznał we mnie starego znajomego.

Pamiętając charakter Glocka zacząłem okólną drogą, przedstawiłem się jako przejezdny uczony, powiedziałem, że dużo słyszałem o jego bogatym księgozborze i że umyślnie przybyłem do Kolonii, by nabyć potrzebne księgi, zamierzam bowiem napisać dzieło traktujące o niektórych zagadnieniach teologii wiążących się z magią. Glock wysłuchał tego, co mówiłem, potem długo na mnie patrzył, po starczemu poruszając wargami, znów podniósł okulary na oczy, wziął do rąk rycinę i powiedział:

— Handluję tylko książkami uznanymi przez Kościół. Jedźcie, panie, na jarmark do Frankfurtu — tam znajdziecie wszystko, czego wam trzeba.

Zrozumiałem, że starzec się boi, czy nie jestem szpiegiem nasłanym przez inkwizytora, wszelkimi sposobami starałem się więc mu to wyperswadować i wspominałem, że jego sklep słynął niegdyś na całe Niemcy z tego, że podobnie jak w skarbcu lidyjskiego Krezusa można było w tym sklepie znaleźć

wszystko i na wszystkie gusta.

Ulegając pochlebstwu, Glock zamruczał w odpowiedzi:

— Cóż z tego, że niegdyś tak bywało! Czy nasza Kolonia jest teraz taka jak wówczas? Mieliliśmy tu tyluż studentów, co na wszystkich innych niemieckich uniwersytetach razem wziętych, a teraz jest ich mniej niż na którymkolwiek z nich. Na co teraz mieszkańcom Kolonii książki, kiedy mamy takich rektorów jak pijanica Bommelchen, albo kiedy do kościoła Św. Apostołów wyznaczono takiego kapłana jak Reiss, który nie zna nawet porządnie łaciny!

Tak więc rozmowa została nawiązana, potaknałem staremu, przypomniałem mu szczęśliwe czasy Kolonii, naprowadziłem go na rozmowę o książkach i wydawcach i przez cały czas pokornie słuchałem, jak wychwalał słynnych drukarzy od Ulryka Zella[80] począwszy do Jana Sotera, jak chwalił niezrównane wydanie Aldusa Manutiusa i Henryka Stephanusa, jak rozważał zalety różnych charakterów pisma i różnych czcionek: gotyckiej, rzymskiej, antykwy, batarda, kursywy. W nagrodę za to starzec żegnając się ze mną powiedział już łagodniej:

— A wy, miłoścy panie, znajdźcie jeszcze; pogrzebiemy w tych stertach, może znajdziemy coś, co się wam nada: czy to mały wiatr do sklepu mi przynosi, cha-cha-cha!

Następnego dnia nie omieszkałem oczywiście znów być u Glocka, a on powitał mnie jak dobrego przyjaciela. Znów dłuższy czas męczył mnie rozmową, a potem sprzedał mi maleńkie opusculum, wydrukowane w Kolonii: „Das Geheimniss der heiligen Gertrudis zur Erlangung zeitlicher Schätze u. Güter”[81], jedno z najbardziej niezrozumiałych dzieł, jakie kiedykolwiek czytałem, i dla mnie zupełnie nieprzydatne, przy czym wziął za nie absurdalną cenę pięciu guldenów. Za to, kiedy minął jeszcze jeden dzień, Glock pozwolił, bym sam grzebał w jego skarbach i wyłowił stamtąd kilka rękopisów, wypełnionych zaklęciami i figurami magicznymi i opatrzonych nęcącymi tytułami: „Buch Mosis und dreifacher Höllenzwang”, „Mächtige Beschwörungen der höllischen Geister”, „Hauptzwang der Geister zu menschlichen Diensten” i temu podobnych, za które musiałem jednak bardzo hojnie zapłacić. Potem, niczym łowca pereł dzień po dniu nurkując w fale ksiąg, stopniowo wyłowiłem, przy życzliwej pomocy Glocka, niemal całą bibliotekę, przy czym Glock namawiał mnie, bym nie gardził nawet dziełami wymierzonymi przeciw magii, jak na przykład bezsensowną starą księgą z marnymi rysunkami Ulryka Molitora „De laniis et phitonicis mulieribus”, jałowym opusculum Marcina Pantscha „De sagitis maleficis”, znamienitym dziełem Institorisa i Jakuba Sprengera „Malleus maleficarum”, mającymi po prostu na celu ułatwienie sędziom rozpoznawanie i karanie czarownic, a nawet traktatem

cieszącego się złą sławą dominikanina, wroga humanistów Jakuba Hochstratena: „Quam graviter peccant quaerentes auxilium a maleficis”[82].

Kiedy Glock doszedł do wniosku, że sprzedał mi już cały towar dawno zalegający w sklepie, otworzył przede mną szafę, w której przechowywał dzieła z tej dziedziny naprawdę naukowe, i ukazał mi się jak gdyby Nowy Świat, bardziej jeszcze zdumiewający niż pola i doliny Nowej Hiszpanii. Tu wreszcie wpadły mi w ręce dzieła[83] Alberta Wielkiego, Amauda de Villeneuve, Rogera Bacona, Roberta Anglika, Anzelma z Parmy, Picatrixa Hiszpana, dzieła przeora Trithemiusa, a wśród nich jego zadziwiające „Philosophia naturalis” i „Antipalus maleficiorum”, praca Piotra z Apony „Elementa magica”, w której pełnia dokonanego przeglądu łączyła się z jasnością ujęcia, wreszcie książka, która usystematyzowała całą zebraną w ten sposób wiedzę i opromieniła ją światłem prawdziwie filozoficznego stosunku do różnych zjawisk: „Henrici Cornelii Agrippae ab Nettesheim, de Occulta Philosophia libri tres” z rękopiśmienną częścią, czwartą. To ostatnie dzieło Glock sprzedał mi również za wysoką cenę, nazywając to wydanie sekretnym i powołując się na to, że na karcie tytułowej nie było oznaczone ani miejsce druku, ani rok; później dowiedziałem się, że książka została wydrukowana w Kolonii, zaledwie kilka miesięcy wcześniej i to na mocy przywileju Jego Cesarskiej Mości — i tylko część czwarta, będąca uzupełnieniem, stanowiła pewną rzadkość, ponieważ autor, lękając się prześladowań, nie zdecydował się przekazać jej do druku.

Zresztą nie zachowałem złości do Glocka, mimo że wyciągnął ode mnie dużo pieniędzy i niemało mnie wymęczył swymi rozmowami. Ostatecznie zostałem przez niego zaopatrzony we wszystkie potrzebne mi pomoce naukowe, a w jego starczej paplaninie trafiało się sporo rzeczy nie tylko dla mnie pożytecznych, lecz wprost niezbędnych. Puszcząłem mimo uszu jego opowieści o „occie mędrców”[84], o „głowie kruka”, „lwie zielonym” i „czerwonym” o „żaglach Tezeusza” i temu podobnych rzeczach, dla mnie również zbędnych, jak jego opowieści o sławnych alchemikach i ich bajecznym bogaceniu się, chciwie za to słuchałem cennych wskazówek dotyczących magii operatywnej, starannie zapamiętywałem wszystkie wyjaśnienia terminów magicznych i nauczyłem się wyciągać korzyść z anegdot o słynnych magach, nekromantach i teurgach. Jeśli odniosłem pewne sukcesy w nauce przeze mnie zgłębianej, to wiele zawdzięczałem dobremu starcowi, który, choć marzył o zamianie ołowiu w złoto, nie zapomniał jednak bardziej zwykłymi sposobami wyciągać srebro z cudzych kieszeni.

Te moje odwiedziny w sklepie Glocka, które tu pobieżnie opisałem, trwały kilka tygodni, lecz oczywiście nie mamowałem tego czasu, po powrocie do domu natychmiast zasiadałem przy stole i pochylałem głowę nad kartami



foliałów. Zapał mój do tej pracy był tak silny, że gdybym z podobną gorliwością studiował w swoim czasie „Sententiae”, „Processus”, „Copulata”, „Reparationes” i inne podręczniki[85], niewątpliwie nie byłbym z nieokielzanymi luteranami grabił miasta Ojca Świętego i nie oglądałbym prerii Anahuaku, lecz jako magister spokojnie wygłaszałbym wykłady z katedry jakiegoś Uniwersytetu. Pochłaniając książkę po książce, przechodząc od traktatu do traktatu, poznając coraz to nowe tajemnice, wciąż, niczym Scylla Wergilego, czułem się nienasycony i w ciągu tych dni umysł mój stał się jakimś pożeraczem zapisanego lub zadrukowanego papieru.

Do tego stopnia pochłaniała mnie ta praca, że na pewien czas ucichł we mnie nawet głos namiętności: oczy, którymi patrzyłem na Renatę, były jakby bardziej ślepe i mniejsze wrażenie wywierały na mnie jej słowa. Mało tego — nie czułem wcale niepokoju, kiedy kilkakrotnie, po spędzeniu całego dnia w zadumie i smutku, wkładała płaszcz i oddalała się na długie godziny, nie wiadomo dokąd, powracała zaś dopiero późną nocą. Wcale mnie nie wzruszało, kiedy umyślnie zaczynała wyśmiewać moją pracę i mówiła mi rzeczy obraźliwe, nazywając mnie pracowitym, lecz pozbawionym zdolności. Pochłonięty poszukiwaniami, rozmyślaniami i wyciąganiem wniosków czułem, że dusza moja jest jakby za życia zamknięta w bryle lodu, wiedziałem, że serce mojej miłości bije, lecz nie cierpiałem z tego powodu, że jej skrzydła są nieruchome.

Jednakże pewnego ranka po jednym ze swoich zniknięć Renata nieoczekiwanie, lecz tak po prostu, jakby czyniła to zawsze, przysunęła do stołu dwa krzesła i powiedziała do mnie:

— No cóż, Ruprechcie, pora, byśmy wzięli się do roboty!

Popatrzyłem na Renatę ze zdziwieniem i wdzięcznością, ucałowałem jej rękę i siedliśmy obok siebie. Od tego dnia — było to pod koniec września — kontynuowaliśmy we dwoje studiowanie tajemnej filozofii i magii operatywnej.

Ponieważ mam nadzieję, że moja Opowieść będzie nie tylko zajmującą lekturą, lecz być może przyniesie korzyść komuś, kto wpadnie w taką samą matnię jak ja, chcę tu pokrótce opowiedzieć, czego oboje z Renatą dowiedzieliśmy się z przeczytanych ksiąg, chociaż oczywiście nie mam nadziei, że wyczerpię niezmierny ocean zwany dziedziną wiedzy tajemnej lub zakazanej.

Sądzę, że wolno mi będzie całkowicie pominąć czcze opowieści teologów i scholastyków, którzy mniemają, że na samych cytatach z Pisma Świętego można opierać dowolną naukę. Pisarze należący do tego próżniaczego tłumu roszczą sobie pretensję do znajomości najdrobniejszych szczegółów dotyczących demonów, ich dokładnej liczby, podobnie jak wszystkich ich

imion. Jedni z tych wszytkowiedzących twierdzą na przykład, że demony dzielą się na dziewięć kategorii: pierwszą, w której zgromadzeni są fałszywi bogowie, dowodzi Belzebub, drugą, w której są fałszywi prorocy — Pyton, trzecią, w której są wynalazcy wszelkiego zła — Belial, czwartą, gdzie są mściciele popełnionych zbrodni — Asmodeusz itd. Inni informują o dokładnej hierarchii demonów, wśród których jest cesarz — Belzebub i siedmiu królów: Bel, Pursan, Bilet, Paimon, Belial, Asmodeusz, Zapan, dwudziestu trzech herzogów, trzynastu margrafów, dziesięciu grafów, jedenastu przusów i mnóstwo rycerzy, przy czym wszyscy wymienieni są z imienia. Inni jeszcze prezentują dwór władcy piekieł i informują z całą dokładnością, że przy Belzebubie wielkim kanclerzem jest Adramelek, skarbnikiem — Astarot, mistrzem ceremonii — Werdelet, głównym kapelanem — Kamoos, i z nie mniejszą dokładnością wymieniają piekielnych ministrów i dowódców, jak również przedstawicieli Piekła przy różnych dworach europejskich. Jasne jest, że cała ta struktura wywodzi się z powszechnych pojęć i stanowi naśladownictwo współczesnego ustroju państwowego na ziemi, kiedy prawdziwa nauka może się opierać tylko na doświadczeniu, na obserwacjach i zasługujących na wiarę stwierdzeniach naocznych świadków.

Wręcz przeciwnie, w księgach istotnie zasługujących na uwagę często nie znajdowaliśmy odpowiedzi na liczne pytania, które prawdę mówiąc moglibyśmy stawiać, poważni badacze liczą się bowiem nie z ciekawością czytelnika, lecz z granicami swojej wiedzy. Jednakże natura i życie demonów są tak dalece trudne do przestudiowania, że do tej pory, mimo szlachetnych i bezinteresownych prac uczonych, dawnych i nowych, a przy tym takich tytanów nauki jak Albert Wielki, przeor Trithemius i Agrypa z Nettesheimu — wiele jeszcze w tej dziedzinie pozostaje wątpliwe lub zgoła niewiadome. Toteż w nagłówku wszelkich rozważań o demonach pożytecznie byłoby umieścić słuszne słowa jednego z przeczytanych przez nas rękopisów: „Człowiekowi równie trudno jest poznać naturę demonów[86] i ich moc, jak mrówce zrozumieć filozofię uniwersalnego doktora Tomasza z Akwinu”.

Oto jednak ogólny pogląd, jaki na te sprawy wyrobiliśmy sobie po sumiennym przestudiowaniu zebranej biblioteki.

Demony[87] należą do liczby istot rozumnych, stworzonych przez Boga, i dzielą się na trzy rodzaje. Pierwsze zwą się „niebiańskie” (coelestes), przebywają w wyższych regionach i wykonują wyłącznie wolę Boga, wokół którego obracają się jakby wokół jakiegoś centrum. Drugie zwą się „światowe” (mundani), ponieważ im powierzony został nadzór światów, dlatego też odróżnia się wśród nich demony Saturna, Jupitera, Marsa, Słońca, Wenera, Merkurego, Księżycza, również dwunastu znaków zodiaku, trzydziestu sześciu

niebiańskich dekuri, siedemdziesięciu dwóch niebiańskich kwinarii itp. Trzecie zwa się „ziemskie” (terrestres), dzielą się na cztery porządki — ognia, wody, powietrza i ziemi — i stale przebywają wśród ludzi, w sposób niewidoczny mieszając się do naszych spraw, przy czym, jak naturalnie można tego oczekiwać, demony ognia działają przeważnie na nasz rozum, powietrza — na nasze zmysły, wody — na naszą imaginację, ziemi — na nasze ciało i jego żądze. Choć żadna część ziemi nie jest od tych demonów wolna, jednakże jedno z nich objawiają się bardziej w jednym miejscu, inne — w drugim, tak więc odróżnia się jeszcze demony dzienne i nocne, północne i południowe, wschodnie i zachodnie, leśne, górskie, polne, domowe. Co się zaś tyczy ogólnej liczby demonów, to pod tym względem badacze nie są zgodni i można tylko jedno powiedzieć, że liczba ta musi być bardzo wielka, że przewyższa setki milionów.

Co do ciała demonów, to wśród badaczy trwają zjadłe spory, należy jednak mniemać, że demony mają ciało chybotliwe, delikatnej budowy, ale nieśmiertelne, nie ulegające rozpadowi, niepostrzegalne i nieodczuwalne zazwyczaj dla naszych zmysłów — wzroku i dotyku, zdolne przenikać przez wszelkie substancje. Jednakże ciało demonów wyższych, składające się z czystego eteru, delikatniejsze jest od ciała demonów niższych, w którego skład wchodzi ogień i woda, a tym bardziej od ciała demonów najniższych składającego się także z elementów wody i ziemi. Demony, by stać się widocznymi, muszą kształtować swoje ciało z substancji twardszych, przybierając wygląd to mglistej postaci, to ognistego ducha, to znów człowieka bezkrwistego, podobnego do trupa. Ciało właściwe demonom nie potrzebuje powietrza i dlatego też nie spełnia funkcji naturalnych, podobnie jak nie mając płci i nie ulegając żądrom demony nie mogą rozmnażać się w sposób naturalny. Jednakże, mając zły cel na względzie, demony często jako sukuby i inkuby potrafią zbliżyć się cieleśnie do mężczyzn i kobiet, przy czym demon, w jednym przypadku pojawiający się jako sukub, zachowuje nasienie, które przyjął, by wykorzystać je w innym miejscu, gdzie będzie odgrywał rolę inkuba.

Wszystkie demony mogą obcować z ludźmi, lecz demony niebiańskie czynią to tylko z własnej chęci lub na rozkaz Boży, tymczasem demony ziemskie są zbyt słabe i nędzne, by ludzie potrzebowali ich pomocy, tak że magowie wzywają zazwyczaj demony światowe. Na to, by wezwać demona światowego, trzeba znać jego imię, jego charakter i odpowiednie zaklęcie. Wiele demonów rozmawiając z ludźmi podawało swoje imiona, jak na przykład imiona dwunastu demonów zodiaku: Malchidael, Asmodeusz, Ambriel, Muriel, Werchiel, Gamaliel, Zuriel, Barchiel, Aduachiel, Ganael, Gambiel,

Barchiel. Według jednak opinii badaczy imiona ich można wyliczać także w sposób sztuczny: według liter hebrajskich odpowiadających liczbom znaków niebieskich, jeśli poczynając od znaku demona przechodzić według stopni cały krąg niebieski, przy czym w kierunku wschodzącym ukaza się imiona demonów dobrych, a w kierunku zstępującym — złych. Charakter, czyli piętno demona składa się z jego znaku w połączeniu z monogramem właściwym dla jego imienia. Znak powstaje z sześciu długości gwiazdnych — w nim skupiają się także długości planetarne — oraz z linii łączących, a monogram pisany jest jednym z alfabetów przyjętych przez magów: egipskimi hieroglifami, literami staro-hebrajskimi, specjalnie zmienionymi łaćńskimi lub wreszcie znakami umownymi. Zaklinalia, które są głównym elementem w przyzywaniu, sporządzone zostały przez magów w porozumieniu z demonami, przy czym w zaklinaniu dokładnie określone są wszystkie właściwości demona i zawarte jest usilne wezwanie, by zjawił się i wykonał to, czego się od niego żąda, jednakże wzmocnione jest to władzą tajemnych imion Boskich. Moc zaklinali zawiera się w magicznym znaczeniu liczb[88], które wyjaśnił już Pitagoras i którego nie może negować żaden poważny badacz — w takim przypadku, jeśli cały porządek przyzywania został dokładnie zachowany, imię demona właściwie napisane i zaklinanie wymówione bez błędów, demon nie może się nie pojawić przed magiem i nie usłuchać jego rozkazu, podobnie jak nie może nie obrócić się na północ stalowa igła w należyty sposób namagnesowana. Godne uwagi jest przy tym, że różnorakie demony mają ulubioną postać, w której zazwyczaj pojawiają się przed zaklinaczem. I tak demony Saturna pojawiają się zazwyczaj smukłe i pełne wdzięku, z gniewnym spojrzeniem, barwa ich twarzy jest ciemna, a ruchy niczym porywy wiatru; przed ich pojawieniem się ukazuje się biała przestrzeń jakby pokryta śniegiem; często przybierają postać brodatego króla jadącego na smoku albo starej kobiety opierającej się na kij, albo istoty czterolejce, albo puchacza, albo sierpa, albo jałowca. Demony Jupitera są średniego wzrostu, o ciele sangwinicznym; lico mają koloru rdzy, ruchy żwawe, spojrzenie dobrotliwe, mowę przypochlebłą, przed ich pojawieniem widuje się ludzi pożeranych przez lwy; często przybierają postać króla z obnażonym mieczem jadącego na jeleniu albo człowieka w mitrze, w długiej szacie, albo dziewczyny w wieńcu, przystrojonej kwiatami, albo byka, albo pawia, albo lazurowych szat. Demony Księżyca są ogromne, tęgie, flegmatyczne; barwa ich lica jest niczym ciemna chmura, wyrza lica — niespokojny, oczy — rubinowe i pełne wilgoci; są łyse, mają kły dzika, a ruchy ich przypominają morskie fale; przed ich pojawieniem się leje deszcz, często przybierają postać króla z łukiem w ręce jadącego na łani albo małego chłopczyka, albo strzały, albo łani, albo wielkiego wija itd.

Kryjąc się we wszystkich tych różnorodnych postaciach, demony wdają się w rozmowę z zaklinaczem, mówią jego językiem, z początku próbują go oszukać, lecz potem, jeśli im nie ustępuje, ulegają jego woli i pokornie wykonują wszystko, co tylko dostępne jest ich mocy, zresztą dość ograniczonej.

Taka jest w najogólniejszych zarysach natura demonów i porządek ich zaklinania.

Wiadomości, które tu przedłożyłem na czterech niewielkich kartkach, zbieraliśmy z Renatą przez prawie dwa miesiące, do samego końca października, pracując tak pilnie jak najbardziej wzorowi szkolarze. Renata nie znała łaciny i dlatego księgi pisane w tym języku — a takich była większość — musiałem tłumaczyć dla niej słowo po słowie, jednakże w żadnym razie jej współdziałanie nie było dla mnie uciążliwe. Przeciwnie, Renata pod wieloma względami ułatwiała mi studiowanie, ponieważ z niezwykłą łatwością potrafiła wyjaśniać ukryte znaczenie niektórych twierdzeń lub uzupełniać to, co w książce było niedopowiedziane — co wtedy poczytywałem za jej niezwykłą przenikliwość, a teraz skłonny jestem tłumaczyć tym, że już nie po raz pierwszy zajmowała się dziedziną nauk tajemnych, wiedziała i słyszała o praktykach magicznych wiele takich rzeczy, które dla większości pozostają nie znane. Jestem pewien, że tylko wspomnienia Renaty, wspólnie z przypadkowymi aluzjami Jakuba Glocka, umożliwiły mi opanowanie w czasie tak krótkim jak dziesięć tygodni — nauki tak zawilej jak magia.

Godne uwagi jest, że Renata, od chwili kiedy zaczęła uczestniczyć w mojej pracy, nagle jakby się odmieniła i w ciągu tych czterech tygodni, kiedy pracowaliśmy razem, przez cały czas była w doskonałym humorze i w jej zachowaniu nie było zwykłych dziwaczności. Wkrótce zapalem i gorliwością przewyższyła mnie, niezmordowanie ślęczała nad książkami dni całe, od siwego brzasku do mrocznego zmierzchu, zapominając i o nabożeństwach w kościele, i o obchodach miejskich. Nieraz zdarzało się, że kiedy ja padałem już ze zmęczenia i mózg mój nic już nie był w stanie pojąć, Renata nie chciała odejść od stołu i czyniąc mi wyrzuty otwierała nowy tom. Gotowa była bez przerwy, zarówno w dzień, jak i w nocy, uderzać kilofem myśli w mrocznych kopalniach drukowanych linijek, i przy tej pracy nigdy nie osłabła jej ręka, podobnie jak nigdy nie stepiła się jej radość, kiedy z owych głębin znów wynosiliśmy na światło dzienne nową bryłkę złota.

Zresztą ta niestrudzoneść Renaty miała swoje wytłumaczenie, kiedy bowiem Renata zbliżyła się do tajemnic magii, wkrótce uwierzyła, jak zawsze silnie i z uporem, że z ich pomocą istotnie potrafi odzyskać miłość swego hrabiego Henryka. Jeśli zaś chodzi o mnie, to przeciwnie, w miarę jak

pograżałem się w studiowanie nauk tajemnych, stopniowo traciłem z oczu cel początkowy i oddawałem się tej pracy już bezinteresownie, jak prawdziwy adept. Ujarzmiony ogromem tych dali, co się przede mną odkrywały — świata demonów, w który świat nasz, ludzki, rzucony jest jak mała wysepka w przestwór oceanu — na pewien czas zapomniałem jakby o hrabi Henryku i o przysiędze danej przeze mnie Renacie. Tak przyjemnie mi było unosić się wraz z nią na falach ksiąg, rękopisów, wykresów i wyliczeń, że za grzbietami fal dostrzegając wreszcie ów brzeg, do którego sam prowadziłem statek, nie mogłem jakoś się cieszyć i nie było mi śpieszno wejść do portu. I kiedy Renata, już po tym, kiedy opanowaliśmy podstawy magii ceremonialnej, nagliła mnie, byśmy zastosowali naszą wiedzę w praktyce, długo jeszcze wynajdowałem preteksty, by powołując się na znikomość tej wiedzy, odwlec decydujący dzień.

## II

Wreszcie w pierwszych dniach listopada, który wraz z zimnymi wiatrami i wcześniej zapadającym zmrokiem niedosłyszalnie ku nam nadciągnął, nie pozostały już we mnie żadne sprzeciwy i zdałem sobie sprawę, że muszę ustąpić naleganiom Renaty. Od zajęć książkowych i teoretycznych przeszliśmy do praktyki i przystąpiliśmy do ostatnich przygotowań do bynajmniej nie bezpiecznej próby magicznej, co prócz tego nie było łatwe, ponieważ należało z wielką ostrożnością nabywać potrzebne, lecz rzadkie, przedmioty i z wielką starannością przygotowywać niezbędne instrumenty. Także w tej sprawie Renata pomagała mi równie cierpliwie i dzielnie, z każdym dniem coraz pewniejsza, że godzina jej spotkania z hrabią Henrykiem jest już niedaleka, i mówiła mi o tym, jakby zupełnie nie miała serca, jakby nie dostrzegała, jaką mi to sprawia mękę. Mnie zaś, w miarę jak zbliżał się wyznaczony dzień, niczym przewidzenia nawiedzały niedobre przecucia, które gnieźdząc się w zakamarkach mojej duszy, ponuro kiwały głowami i na słowa Renaty, i na odpowiedzi, jakie jej dawałem.

Z początku ustaliliśmy, że jako zaklinacz wystąpię ja sam, Renacie wydawało się bowiem, że udział w tym przedsięwzięciu skała jej duszę, którą chciała zachować czystą dla swego Henryka. Postarałem się obalić to przypuszczenie, stwierdzając, że będziemy szukali władzy nad demonami nie dla nikczemnej korzyści, lecz w celu szlachetnym, zmusić bowiem złe duchy, by drżały i stały się posłuszne, to sprawa zacna, od której nie stroniło wielu świętych, jak na przykład św. Cyprian i św. Anastazy [89]. Po pewnym wahaniu Renata zgodziła się ze mną, jak mi się wydaje, raczej dlatego, że nie całkiem dowierzała moim talentom jako maga i bała się, że czegoś istotnego zapomnę lub nie potrafię wykonać. Tak więc do decydującej próby magicznej przystąpiliśmy we dwoje, magister cum socio.

Samo zaklinanie[90], dokonane przez nas, chcę opisać ze wszystkimi szczegółami, aby człowiek doświadczony i o dużej wiedzy, jeśli opowieść ta trafi do jego rąk, mógł stwierdzić, co pominęliśmy i czemu należy przypisać żalose i tragiczne niepowodzenie naszego przedsięwzięcia.

Po długich rozważaniach dzień, który wybraliśmy, był to piątek, 13 listopada, demony właśnie w piątki, poświęcone Wenerze, szczególnie

skłonne są wracać kobietom miłość ich ukochanych, miejscem zaś magicznej próby miał być ten sam pokój, z którego próbowałem swego nieudanego lotu na sabat. W oznaczonym terminie zgromadziliśmy tam wszystko, co mogło być niezbędne dla zaklania, a także zatroszczyliśmy się o to, żeby tego wieczora w całym domu nikogo nie było prócz nas, silny bowiem hałas mógł wzbudzić podejrzenia naszej Marty. My sami przygotowaliśmy się do magicznej próby zachowując wstrzemięźliwość w jedzeniu, całkowicie wyrzekając się wina i koncentrując myśli na jednym celu.

Pierwszą troską zaklinacza jest zawsze krąg magiczny, ponieważ służy on jako obrona przed napaścią wrogich sił z zewnątrz, dlatego też wykonanie tego kręgu — stosownie do imienia zwanego demona, układu gwiazd, miejsca magicznej próby, pory roku i godziny — zawsze wymaga wielu starań. Przede wszystkim dokładnie nakreśliśmy nasz krąg magiczny na papierze i dopiero w dniu próby przerysowaliśmy węglem na podłodze pokoju. Krąg ów składał się z czterech współśrodkowych kół — największe miało dziewięć łokci średnicy — tworzących trzy zamknięte kręgi, mieszczące się jeden w drugim: zewnętrzny, środkowy i wewnętrzny, każdy szerokości dłoni. Krąg środkowy był podzielony na dziewięć równych części i w tych domach wypisane były: w pierwszym, zwróconym wprost na zachód, tajemna nazwa godziny wybranej przez nas na zaklania, a mianowicie północ w piątek, Nethos; w drugim — imię demona tej godziny, Sachiel; w trzecim — charakter tego demona; w czwartym — imiona demona tego dnia, Anaela, i jego sług, Rachiela i Sachela; w piątym — tajemna nazwa tej pory roku, tj. jesieni, Ardarael; w szóstym — imiona demonów tej pory roku, Tarquam i Guabarel; w siódmym — nazwa pierwiastka tej pory roku, Torquaret; w ósmym — imię ziemi w tej porze roku, Rabianara; w dziewiątym — imiona Słońca i Księżycy, jakie mają one w tej porze roku, Abragini i Matasignais. Krąg zewnętrzny był podzielony na cztery równe części, i w tych domach, zwróconych dokładnie na Zachód, Północ, Wschód i Południe, wypisane były: imiona demona powietrza sprawującego tego dnia zwierzchnictwo, Sarabotes rex, i jego czterech sług: Amabiel, Aba, Abalidoth, Flaef. Krąg wewnętrzny podzielony był na cztery części i w tych domach napisane były wieczyste imiona boskie: Adonay, Eloy, Agla, Tetragrammaton. Wreszcie przestrzeń wewnątrz trzech kręgów, gdzie mieli mieścić się zaklinacze, podzielona była krzyżem na cztery sektory, a poza kręgami, po czterech stronach świata, wyrysowane były pięciokątne gwiazdy.

Kiedy zbliżała się północ, po starannym zamknięciu wszystkich wejść do domu i kiedy raz jeszcze upewniliśmy się, że prócz nas nikogo w nim nie ma, weszliśmy do pokoju, w którym mieliśmy dokonać próby. Tu oboje, i Renata, i ja, przywdzieliliśmy nowe, umyślnie przygotowane odzienie, z czystego białego



lnu, długie, zakrywające nam nogi i przewiązane pasem z tego samego materiału. Na głowy nałożyliśmy nakrycia również ze lnu, podobne do mitr, na których z przodu wypisane było imię Boskie; nogi nasze pozostały jednak bose. W czasie przebierania odmawialiśmy przepisową modlitwę: Ancor[91], Amacor, Amides, Theodonas, Anitor, per merita angelorum tuorum sanctorum, Domine, induam vestimenta salutis, ut hoc, quod desidero, possim perducere ad effectum. Do rąk każde z nas wzięło po magicznej różdźce wykonanej z drewna bez sęków i z metalowym zakończeniem podobnym do małego miecza. Potem, nie wstępując jeszcze w krąg, położyliśmy na stole, ustawionym z boku i nakrytym białym lnianym obrusem, pergamin ze znakiem pentagramu i z imieniem i charakterem demona Aduachia, gdyż słońce było wtedy w znaku Strzelca, a na drewnianym trójnogu stojącym przy samym kręgu, po jego stronie zachodniej, umieściliśmy librum consecratum, tj. zeszyt, w którym były starannie zapisane wszystkie zaklęcia, jakie zamierzaliśmy tego dnia wypowiedzieć. Przy trójnogu zapaliliśmy dwie świece z czystego wosku, a na czterech pięciokątnych gwiazdach — cztery gliniane kaganki napełnione czystym olejem roślinnym z knotami również roślinnego pochodzenia.

Kiedy już wszystko było tak przygotowane, spojrzałem na Renatę i zobaczyłem, że jej podniecenie doszło do zenitu: ręce jej drżały, twarz pobraźla i ledwo mogła utrzymać się na nogach. Wtedy przemówiłem do niej jak magister do swego socio: „Przyjacielu, pamiętaj, jak ważna jest ta chwila”, i pośpieszyłem rozpocząć magiczną próbę. Po pokropieniu wszystkiego dokoła wodą święconą i wymówieniu przy tym przepisowych słów: Asperges me, Domine, pewnie wstąpiłem w krąg magiczny od jego strony zachodniej, poprzez drzwi pozostawione tam na rysunku, i widząc, że Renata podążyła za mną, zamknąłem wejście znakiem pentagramu. W tym momencie w duszy mojej był chłód i smutek, pamiętałem jednak doskonale i jasno wszystko, co powinienem był zrobić.

Odwracając się w cztery strony świata przyzwałem po imieniu dwadzieścia cztery demony, pełniące straż tego dnia, po sześć z każdej strony; potem przyzwałem po imieniu siedem demonów rządzących siedmioma planetami, potem jeszcze siedem demonów, którym powierzono siedem dni tygodnia, siedem barw tęczy i siedem metali. Przez ten czas Renata, która oswoiła się ze swymi obowiązkami towarzysza, posypała kaganki przygotowanym przez nas kadzidłem, w którego skład wchodziły lawenda, proszek paproci i werweny, pochodząca ze Wschodu żywica styraksu, głównie zaś maść z pestkowca, rośliny poświęconej dniu Wenerzy, i nad kagankami wzniosły się strugi aromatycznego dymu, które stopniowo rozpościerając się zaczęły spowijać

cały pokój jakąś nieokreśloną błękitną mgłą. Równocześnie kadzidło to podziało na zmysły jak opar wina, ni to zamraczając świadomość, ni to dodając animuszu.

Teraz właśnie przystąpiłem do zaklinania, starając się mówić głosem uprzejmym lecz władczym. Z początku odmówiłem kilka modlitw kościelnych, chroniących zaklinaczy, później zwróciłem się do demonów powietrza z wezwaniem zaczynającym się od słów: *Nos facti ad imaginem Dei, dotati potentiam Dei et ejus facti voluntate, per potentissimum et corroboratum nomen Dei, El, forte admirabile, vos exorcisamus*[92]. Słyszałem głos Renaty, udzielający mi odpowiedzi na moje wezwania. Wkrótce zauważyłem, a może tylko tak mi się przywidziało, że w chwiejnym dymie kadzidła tworzą się i migają jakieś kształty, prawdopodobnie niższe duchy, przyciągnięte zapachem pestkowca, więc skierowałem przeciwko nim ostrze różdżki, zabraniając im przystępu do nas. Następnie sądząc, że nadszedł czas na końcowe zaklinanie, wymieniłem ostatnie ze słów przygotowawczych: *Ecce pentaculum Solomonis quod ante vestram adduxi praesentiam*[93] itd.

W tej chwili wionął mi w twarz jakby jakiś zimny wiatr, który zwichrzył mi włosy, i teraz byłem nie mniej niż Renata przekonany o sukcesie magicznej próby. Jednakże, kiedy spojrzałem na Renatę, zobaczyłem, że dreszcze jej nie ustają i że niemal pada z wyczerpania. Wtedy zacząłem śpiesznie obchodzić krąg, idąc z zachodu na wschód i wymawiając zasadnicze zaklinanie, skierowane do demona Anaela[94]:

*Audi, Anael! Ego, Ruprechtus, indignus minister Dei, con juro, posco et voco te non mea potestate sed per vim, virtutem et potentiam Dei Patris, per totam redemptionem et salvificationem Del Filii et per vim et devictionem Dei Sancti Spiritus. Per hoc devinca te, sis ubi velis, in alto vel abysso, in aqua vel in igne, in aere vel in terra, ut tu, daemon Anael, in momento coram me appareas in decora forma humana. Veni ergo cum festinatione in virtute nominum istorum Aye Saraye, Aye Saraye, Aye Saraye, ne differas venire per nomina aeterna Eloy, Archima, Rabur, festina venire per personam exorcitatoris conjurati, in omni tranquillitate et patientia, sine ullo tumulto, mei omnium hominum corporis sine detrimento, sine falsitate, fallacia, dolo. Conjuro et confirmo super te, daemon fortis, in nomine On, Hey, Heya, la, le, Adonay, et in nomine Saday, qui creavit quadrupedia et animalia reptilia et homines in sexto die, et per nomina angelorum servientium in tertio exercitu coram Dagiel angelo magno, et per nomen stellae quae est Venus, et per sigillum ejus quod quidem est sanctum — super te, Anael, qui es praepositus diei sextae ut pro me labores. El, Aly, Titeis, Azia, Hyn, Ilen, Chimosel, Achadan! Va! Va! Va!*

Zdążyłem trzy razy przejść dokoła wygłaszając to zaklęcie. W błękitnym dymie wszędzie kołysały się diabelskie twarze i wszędzie znad podłogi pokoju wznosiły się strużki mgły, podobne nieco do tych, które widziałem na sabacie. Na próżno jednak czekałem, że w przywidzeniu pojawią się przede mną igrające dziewczęta i wezwą zaklinacza do wzięcia udziału w ich zabawach, co byłoby oznaką przybycia demona Wenery. Trzykrotnie przechodząc obok Renaty widziałem, że jest w stanie skrajnego napięcia, jej szeroko otwarte oczy były jakby nieprzytomne i z wysiłkiem niczym na lasce opierała się na swojej magicznej różdżce. Jednakże wiedząc, że często potrzebny jest trud wielu godzin, by przyciągnąć demona do swojej sfery, nie traciłem nadziei i zacząłem wygłaszać usilniejsze zaklęcia:

— Quid tardas[95]? ne morarel obedito praeceptoru tuo in nomine Domini Bathat, super Abrac ruens, superveniens. Cito, cito, cito! Veni, veni, veni!

W tym czasie cały pokój wypełnił niewyraźny szum, jakby po liściach wysokich drzew nadciągał ku nam wiatr lub deszcz. Byłem do głębi przejęty oczekiwaniem na coś dotychczas niewidzianego i zdumiewającego, całe moje ciało i wszystkie myśli były napięte, gotowe do obrony lub napaści. Lecz w tej chwili, kiedy zwrócony twarzą do trójnoga wpatrzony byłem w chwiejącą się mgłę, nagle za mną, tam gdzie stała Renata, rozległo się uderzenie tak ogłuszające, jakby cały nasz dom się rozpadł. Mimo woli krzyknąłem i odwróciłem się i w pierwszej chwili zobaczyłem tylko jedno: zgasł kaganek, przy którym stała Renata.

Całym pędem rzuciłem się tam z magiczną różdżką skierowaną do przodu, wiedziałem bowiem, że przez to otworzył się wstęp do naszego kręgu dla złych duchów, prawdopodobnie było już jednak za późno. W tej chwili ujrzałem twarz Renaty i ledwo mogłem ją poznać, tak była odmieniona i wykrzywiona, i należy mniemać, iż jeden lub kilka demonów wykorzystało przerwanie kręgu, pojmało ją i opanowało. Renata, której przed chwilą ledwo starczało sił, by stać, nagle z niezwykłą energią odepchnęła mnie i z podniesioną różdżką rzuciła się w stronę innych kaganków. Nie miałem ani mocy, ani sposobu, by ją zatrzymać, a Renata — przy tym oczywiście ręką Renaty kierował ten, który się w Renacie ukrył — kilkoma uderzeniami potłukła także pozostałe trzy kaganki i dwie woskowe świece. Znaleźliśmy się w zupełnych ciemnościach i wokół nas — jeśli nie było to złudzenie zmysłów — rozległo się dzikie wycie, chichot i gwizdy.

W tym momencie grożącego nam niebezpieczeństwa zrozumiałem, że magiczny krąg już nas nie obroni, gdyż został mimo wszystko przerwany, dlatego też głośno i pewnie wymawiając słowa odpawy: *A bi festinanter*[96], *apage te, recede statim in continentil* — i przy użyciu całej siły wyciągnąłem

Renatę z pokoju. Na progu, w pośpiechu otwierając drzwi, wyrzekłem ostatnie zaklinalnie, uważane za szczególnie silne: Per ipsum et cum ipso et in ipso. Sądzę, że nigdy, w żadnej, choćby najbardziej zażartej bitwie z czerwonoskórymi nie groziło mi takie niebezpieczeństwo jak w tym pokoju, pełnym wrogich demonów, podobnym do owej klatki ze wściekłymi psami i jadowymi żmijami, o której mówiła Renata. Prawdopodobnie tylko wielka przytomność umysłu ocaliła mnie od śmierci, gdyż mimo wszystko zdażyłem otworzyć drzwi i wyprowadzić Renatę z początku na świeże powietrze korytarza, a później w zasięg księżycowego światła wlewającego się do jej pokoju.

Twarz Renaty nadal była jednak straszna i zupełnie do siebie niepodobna, wydawało mi się nawet, że oczy jej zrobiły się większe, podbródek bardziej się wysunął, skronie zaznaczyły się o wiele silniej niż zwykle. Renata wściekle miotała się w moich rękach, zerwała z siebie mitrę i lnianą suknię i cały czas głosem grubym, niemal męskim, wcale nie swoim, wykrzykiwała jakieś słowa. Kiedy się wsłuchałem, pojąłem, że mówiła po łacinie, wymawiając całkiem prawidłowo i poszczególne wykrzykiwane słowa, i całe powiązane ze sobą zdania, mimo że, jak wspominałem, wcale języka tego nie znała i może tylko nauczyła się kilku słów w czasie naszej wspólnej lektury magicznych ksiąg. Sens tego, co mówiła, był okropny, ponieważ Renata obrzucała przekleństwami i mnie, i samą siebie, i hrabiego Henryka, wygłaszała potworne bluźnierstwa i groziła mnie i całemu światu największymi nieszczęściami.

Choć nigdy specjalnie nie dowierzałem obronie, jaką stanowić mogą święte przedmioty, w tej mojej nieszczęsnej sytuacji, kiedy oczekiwałem, że lada chwila rzucą się na nas uwolnione z oków diabły z pokoju zaklinali, nie pozostawało mi nic innego, jak zaciągnąć Renatę do maleńkiego ołtarza, będącego w jej pokoju, i tam pokładać nadzieję w pomocy Boskiej. Renata jednak w przyplywie szalu nie chciała przybliżyć się do krucyfiksu, krzycząc, że go nienawidzi i pogardza nim, podnosząc zaciśnięte pięści na obraz Chrystusa, aż wreszcie padła na podłogę, znów w tym ataku konwulsji, którego już dwukrotnie byłem świadkiem. Ani razu jednak nie spędziłem tylu godzin przy niej w poczuciu tak beznadziejnej bezsiły, pochylony nad umęczoną i widząc, jak szarpia jej ciało demony, które ją opanowały, być może, z winy mojej pobłażliwości.

Obawy, jakie żywiłem, po trochu się uspokoiły i poczułem, że jesteśmy już poza niebezpieczeństwem; również stopniowo i w sposób naturalny minęły męczarnie Renaty, ponieważ demon, który w niej przebywał, po raz ostatni krzyknął mi, że jeszcze się z nim spotkamy, i opuścił ją. Tymczasem my oboje, rozpostarci na podłodze przy krucyfiksie, przypominaliśmy rozbitków na

morzu, którzy dotarli do jakiejś małej skały, wszystko utraciwszy, są pewni, że następna fala zmyje ich i ostatecznie pochłonie. Renata nie mogła mówić i ciche łzy toczyły się po jej twarzy, a ja nie znajdowałem słów, by ją pocieszyć i dodać jej otuchy. Tak w milczeniu i nie śpiąc pozostawaliśmy na podłodze aż do świtu, kiedy to na rękach zaniosłem Renatę do łóżka, nie mogła bowiem ani chodzić, ani stać, i niezdolna była sama powziąć jakąś decyzję. Przypuszczam, że były chwile, kiedy zadawałem sobie pytanie, czy wstrząs nie przyprawił jej o utratę rozumu, i tylko dwa lub trzy urywane słowa, które słabym głosem wymówiła, dowiodły mi, że kołaczę się w niej jej dawna dusza.

Kiedy się rozwidniło, musiałem się przede wszystkim zatroszczyć o to, by usunąć ślady naszych nocnych praktyk, i nie bez pewnego drżenia wszedłem do pokoju zaklinań. Unosił się tam dym kadzidła, leżały rozbite skorupki kaganków, lecz nie było więcej żadnych uszkodzeń i nikt nie przeszkodził mi w sprzątnięciu pokoju i starciu z podłogi śladów magicznych kręgów, tak starannie przeze mnie wyrysowanych. Tak skończyła się podjęta przez nas próba magii operatywnej, do której przygotowaliśmy się ponad dwa miesiące i w której z początku ja, a później Renata, pokładaliśmy tak wielkie nadzieje.

Po tym dniu Renata znów wpadła w czarną rozpacz, z której na czas pewien wydobyły ją nasze wspólne prace nad poznaniem magii i wiara w jej sukces; jednakże ów napad smutku siłą swą znacznie przewyższył wszystkie dotychczasowe. Poprzednio Renata znajdowała w sobie wolę i chęć, by spierając się ze mną dowodzić, że ma wiele powodów do zmartwienia — teraz nie chciała jednak ani mówić, ani słuchać, ani odpowiadać. Przez pierwsze dni, chora, nieporuszenie leżała w łóżku, z twarzą obróconą do poduszki, nie mówiąc ani słowa, nie otwierając oczu — nie drgnął jej żaden mięsień. Potem, wciąż tak samo apatyczna, zaczęła spędzać godziny siedząc na ławie, ze wzrokiem utkwionym w kąt pokoju, zajęta swymi myślami albo niczym nie zajęta, nie słysząc, kiedy ją wołano, podobna do drewnianej rzeźby jakiegoś Donatella, tylko niekiedy słabo wzdychając i w ten sposób dając oznakę życia. Tak mogłaby Renata przesiedzieć także noce, gdybym jej nie namówił, by z nastaniem ciemności kładła się do łóżka, lecz kilka razy mogłem się przekonać, że większą część czasu do rana spędza bezsennie, z otwartymi oczyma.

W tych dniach bezowocne były wszelkie moje usiłowania, by wzbudzić w Renacie zainteresowanie dla życia. Nie mogła patrzeć bez wstępu na księgi z dziedziny magii, a kiedy napomykałem jej o powtórzeniu naszej magicznej próby, przecząco i z pogardą kręciła głową. Na moje prośby, żeby pójść do miasta, przejść się po ulicach, w milczeniu wzruszała ramionami. Próbowałem nawet, nie bez ukrytej intencji, porozmawiać z nią o hrabi Henryku, o aniele

Madielu, o wszystkim najbardziej dla niej drogim, lecz Renata przeważnie słów moich nie słyszała lub w końcu, w odpowiedzi, z bolesną miną powtarzała w kółko: „Daj mi spokój!” Tylko raz jeden, kiedy szczególnie natarczywie ją prosiłem, Renata powiedziała do mnie: „Czy ty nie rozumiesz, że ja chcę się zamęczyć! Na co mi życie, jeśli nie mam i już nigdy mieć nie będę najważniejszego? Dobrze mi tu siedzieć i wspominać — dlaczego więc zmuszasz mnie, żebym szła gdzieś, gdzie każde doznanie sprawia mi ból?” I po tej długiej przemowie znów popadła w swoje odrętwienie.

To życie pustelnicze, bez ruchu, przy czym Renata prawie nie przyjmowała pokarmów, szybko sprawiło, że oczy jej zapadły się jak u martwej i obwiodły je czarnawe wieńce, twarz postarzała, a palce stały się przezroczyste niczym ze zmatowiałej miki, tak że z drżeniem uprzytomniłem sobie, iż niechybnie zbliża się jej ostatnia godzina. Boleść bezustannie drażyła w duszy Renaty czarną studnię, coraz głębiej i głębiej wbijając łopaty, coraz niżej i niżej opuszczając swój kubeł, i nie trudno było przewidzieć ów dzień, kiedy uderzenie rydła będzie musiało przeciąć nić jej życia.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### O mojej podróży do Bonn, do Agrypy z Nettesheimu, i o tym, co mi powiedział

#### I

Nielatwo jest zatrzymać wóz rozpedzony na drodze; podobnie ja nie mogłem od razu zbroczyć z drogi, którą w ciągu ostatnich miesięcy pędziło moje życie. Po niepowodzeniu naszej magicznej próby, wciąż jeszcze nie mogłem myśleć o niczym innym, jak o zaklaniu, kręgach magicznych, pentagramach, pentakulach, imionach i charakterach demonów...

Uważnie przeglądałem raz jeszcze karty przestudiowanych ksiąg, starając się znaleźć powód niepowodzenia, lecz przekonywałem się jedynie, że wykonaliśmy wszystko prawidłowo i zgodnie ze wskazaniami nauki. Oczywiście, poważylbym się powtórzyć przyzywanie także bez pomocy Renaty, gdyby nie powstrzymywała mnie myśl, że do swoich sposobów nie mogę wnieść nic nowego i w związku z tym nie mam prawa spodziewać się czegoś nowego.

W tej mojej niepewności, niczym światło latarni morskiej w białej mgle nadbrzeżnej, zaczął przebłyskiwać pewien zamysł, który z początku od siebie odpędzałem jako niewykonalny i beznadziejny, lecz który potem, kiedy marzenie z nim się oswoiło, wydał mi się osiągalny. Wiedziałem od Jakuba Glocka, że pisarz, którego dzieło o magii było dla mnie najcenniejszą zdobyczą wśród całego bogactwa zebranych ksiąg i dało mi wreszcie nie Ariadny, zaś nie ta wywiodła mnie z labiryntu formuł, imion i niezrozumiałych aforyzmów, że doktor Agrypa z Nettesheimu[97] mieszka zaledwie o kilka godzin jazdy od miejsca mego przebywania, w Bonn[98], także nad Renem. I oto zacząłem coraz usilniej przemyślać o tym, że w sprawie rozstrzygnięcia moich wątpliwości mógłbym zwrócić się do tego człowieka, wprowadzonego we wszystkie tajniki nauk hermetycznych i rzeczywiście znającego z doświadczenia, a także dzięki kontaktom z innymi uczonymi, wiele takich rzeczy, które niestosownie byłoby przekazywać drukiem profano vulgo. Wydawało mi się bezczelnością, by

swoimi osobistymi sprawami zakłócać pracę lub wypoczynek mędrca, lecz w głębi serca nie uważałem siebie za niegodnego spotkania z nim i nie sądziłem, by rozmowa ze mną miała wydać mu się śmieszna i nieciekawa.

Jeszcze nie zdecydowany, jak postąpić, po radę udałem się do sklepu Glocka, u którego już dawno nie byłem i który widząc mnie bardzo się ucieszył, ponieważ cenił we mnie pokornego słuchacza. Tym razem musiałem wytrzymać gadatliwy panegiryk ku czci Bernarda z Treviso, jednego z niewielu, którzy znaleźli kamień filozofów — i dopiero kiedy Glock wyczerpał zasób słów pełnych zachwyty lub być może zaschło mu w gardle, przystąpiłem do wyluszczenia swojej sprawy. Ostrożnie wyjaśniłem, że moje studia nad magią dobiegają końca, że jednak wnioski, do których doszedłem, bardzo odbiegają od przyjętych poglądów, i że nim wyłożę swoje zdanie w jakimś dziele, pragnąłbym przedstawić je do rozważenia prawdziwemu autorytetowi w tych zagadnieniach; wymieniłem przy tym imię Agrypy i wyraziłem przypuszczenie, że Glock, którego dobroczynna działalność znana jest w całych Niemczech, może udzielić mi w tej sprawie pewnej pomocy. Ku mojemu niemałemu zdziwieniu, Glock nie tylko z prawdziwą uwagą odniósł się do mego pomysłu, lecz także wyraził gotowość dopomożenia mi i zaraz obiecał, że wystara się dla mnie o list polecający do Agrypy od jego wydawcy, z którym sam utrzymywał przyjacielskie stosunki. Obietnicę tę przyjąłem za omen bonum i pomyślałem, czy to nie sama bogini Fortuna przybrała dziś postać zgrzybiałego sprzedawcy książek, by pchnąć mnie w drogę, podobnie jak w pieśniach boskiego ślepcy bogini Minerva przybierała postać starego Mentora.

Dwa dni później Glock dotrzymawszy słowa istotnie przysłał mi list, na którym widniał adres: *Doctissimo ac omatissimo viro Henrico Cornelio Agrippae comprimis amico Godefridus Hetorpius*[99] — i wtedy wydało mi się, że wyrzec się swego przedsięwzięcia byłoby nawet nieprzyzwoicie. Oczywiście niepokoilo mnie, że będę musiał opuścić Renate, jednakże przebywając przy niej nie byłem w stanie niczym ulżyć wielkiemu cierpieniu, które u korzeni podcięło jej życie. Próbowałem porozmawiać z Renatą o powziętym przeze mnie zamiarze, lecz ona nie chciała wniknąć w sens moich słów i żalosnym ruchem ręki. prosiła, bym nie męczył jej objaśnieniami, tak że zacisnąwszy zęby postanowiłem działać na własne ryzyko, wyruszyłem, by kupić sobie konia, i wyostałem z kąta zakurzona sakwę podróżną. Kiedy jednak w dniu wyjazdu wczesnym rankiem wszedłem do pokoju Renaty, by się z nią pożegnać, i powiedziałem jej, że mimo wszystko jadę w naszej wspólnej sprawie, odpowiedziała mi tak:

— Nie możemy mieć wspólnej sprawy: ty jesteś żywy, a ja martwa. Żegnaj.  
Ucałowałem rękę Renaty i wyszedłem tak, jakbym istotnie wychodził z



pokoju, w Którym stoi trumna i dymią gromnice.

Kolonię od Bonn dzieli zaledwie kilka godzin konnej jazdy cesarskim gościńcem, ponieważ jednak nastąpiła już pora zimowa i każdej chwili można się było spodziewać śniegu, droga była bardzo marna i musiałem podróżować cały dzień, od brzasku do zmierzchu, i nieraz wypoczywać w gospodach wiejskich, w Hochdorfie, Wesselingu, Widdingu, Hörsei i nawet omal nie zanocowałem w niewielkiej odległości od miasta. Powiem także, że moje nowe ubranie z ciemnobrązowego sukna, które uszyłem sobie już w Kolonii i po raz pierwszy włożyłem z racji tych odwiedzin u Agrypy, miało teraz opłakany wygląd i wcale go nie ochronił mój wierny towarzysz — płaszcz marynarski, który doświadczył burz Oceanu Atlantyckiego. Jednakże przez całą drogę byłem w tak dziarskim nastroju, jakiego dawno nie pamiętałem, gdyż po kilku miesiącach po raz pierwszy opuściwszy Renatę, jakbym odnalazł zagubionego samego siebie. Miałem takie wrażenie, jak gdybym z ciemnej piwnicy nagle wyszedł na światło dzienne, a moja samotna podróż wzdłuż Renu do Bonn wydawała mi się bezpośrednią kontynuacją samotnej podróży z Brabantu, niedawne zaś dni spędzone z Renatą były jakby męczącym snem na którejs stacji.

Nie zapominałem zresztą o celu mojej podróży i bardzo cieszyła mnie myśl, że zobaczę Agrypę z Nettesheimu, jednego z największych uczonych i najświetniejszych pisarzy nowych czasów. Ulegając grze imaginacji, dobrze znanej prawdopodobnie każdemu, wyobrażałem sobie ze wszystkimi szczegółami moje odwiedziny u Agrypy i słowo po słowie powtarzałem w myśli to, co mu powiem, i to co usłyszę w odpowiedzi, przy czym niektóre z tych powiedzeń nie bez trudu układałem sobie nawet po łacinie. Chciałem wierzyć, że pojawię się przed Agrypą nie jako niedoświadczony uczeń, lecz jako skromny młody uczoney, nie pozbawiony wiedzy i doświadczenia, lecz szukający wskazówek i pouczeń w tych wyższych dziedzinach nauki, które nie zostały jeszcze należycie opracowane i gdzie nie jest wstydem pytać o drogę. Wyobrażałem sobie, jak Agrypa z początku nie bez niedowierzania będzie słuchał moich rozważań, potem — z radosną uwagą, wreszcie zdumiony moim rozumem i bogatym zasobem wiadomości ze zdziwieniem spyta, jak w moim wieku zdołałem osiągnąć tak rzadką i wielostronną uczoność, a ja mu odpowiem, że moim najlepszym kierownikiem były jego dzieła... I niemało innych rozmów nie mniej niedorzecznych, nieprawdopodobnych i po prostu niemożliwych podpowiadała mi dziecinna próżność, która nieoczekiwanie wychynęła z dna mojej duszy w czasie trudnej drogi przez chłodne i bezładne w zimowej porze ziemie arcybiskupstwa.

Przeziębły i zmęczony, lecz nie tracąc otuchy, dotarłem do bram Bonn w

zupełnych ciemnościach, już po trzecim dzwonienu z wieży, i nie bez trudu uzyskałem przepustkę od nocnych straży, tak że nie mogłem być zbyt wybredny w wyborze miejsca na nocleg i chętnie przyjąłem pokój w pierwszej napotkanej gospodzie, jak pamiętam, pod „Złotą Łożą”.

Rankiem dnia następnego, tak jak jest to zawsze w zwyczaju w małych gospodach, gospodarz przyszedł do mnie, by zapytać, czy mi czego nie trzeba, jeszcze bardziej jednak z ciekawości, by się wywieść, kim jest jego nowy gość. Przywitałem go nie bez zadowolenia, ponieważ musiałem go wypytać, gdzie właściwie mieszka Agrypa, i przyjemnie mi było pokazać, że przyjechałem do takiego człowieka. A ponieważ gospodarz okazał się starym mieszkańcem miasta, to oprócz wiadomości o ulicy, przy której stoi dom Agrypy, usłyszałem także tutejsze gadki o nim.

— Jakże można nie znać Agrypy? — powiedział do mnie gospodarz. — U nas już od dawna zwrócił na niego uwagę każdy dzieciak i prawdę mówiąc — unika go! Mało się o nim mówi dobrego, a złego — dużo. Opowiadają, że trudni się czarnoksięstwem i zadaje się z Diabłem.. W każdym razie jak sowa siedzi w swoim gnieździe i niekiedy tygodniami nie pokazuje się na ulicy. Że nie jest to człowiek zbyt dobry, można sądzić już choćby z tego, że dwie swoje żony zamęczył, a trzecia dopiero co, miesiąc jeszcze nie minął, z nim się rozwiodła. Zresztą proszę, by wasza miłość mi wybaczył, jeśli to waszej miłości dobry znajomy, wszystko to opowiadam bowiem tylko, bo takie chodzą słuchy, a mało to ludzie gadają: nie sposób wszystkich wysłuchać!

Szybko zapewniłem, że z Agrypą nie łączy mnie żadna przyjaźń, tylko sprawy pieniężne, i gospodarz już uspokojony, jednak głosem przyciszonym, zaczął mi opowiadać różne bajdy o sławnym gościu ich miasta[100]. Tak więc opowiedział, że Agrypa ma zawsze kilka domowych demonów, które w postaci psów u niego mieszkają, że Agrypa na tarczy księżycza czyta o wszystkim, co dzieje się na różnych krańcach ziemi i dlatego bez posłów zna wszystkie nowiny, że posiadając tajemnicę przemieniania metali, często płaci monetami, które mają wszelki pozór dobrych, ale później przemieniają się w kawałki rogu lub gnoju; że znamienitym ludziom pokazuje w czarodziejskim zwierciadle całą ich przyszłość; że za młodu służąc we Włoszech u boku hiszpańskiego generała Antonio de Leyvy, przy pomocy sił magicznych zapewniał swemu przełożonemu powodzenie we wszystkich przedsięwzięciach; że pewnego razu widziano Agrypę we Fryburgu kończącego wykład publiczny punktualnie o dziesiątej rano, to jest w tejże samej chwili, kiedy zaczynał inny wykład publiczny wiele mil stamtąd, w Pontimussae[101] — i mnóstwo innych historii równie wątpliwych.

Słuchałem tych bajek z zadowoleniem nie dlatego, żebym w nie wierzył,

lecz dlatego że schlebiało mi pójść do domu tak zdumiewającego człowieka. I kiedy nastąpiła pora zdaniem moim dogodna do odwiedzin, znów doprowadziłem do porządku odzież, z dumną miną wyszedłem z gospody i idąc ulicami w skrytości ducha pragnąłem, by przechodnie dostrzegli, dokąd zmierzam. Wspominając teraz te moje zarozumiałe marzenia, nie mogę powstrzymać uśmiechu, gorzkiego i smutnego, ponieważ Los, igrający z człowiekiem jak kot z myszą, zdrwił sobie ze mnie z wyrafinowanym okrucieństwem. Zamiast roli tryumfatora, którą wyznaczało mi moje zarozumiałstwo, Los zmusił mnie do odegrania roli o wiele mniej zaszczytnej; ulicznego rozrabiaki, lekkomyślnego bibosza i ucznia, któremu nauczyciel udziela nagany.

Stosując się do otrzymanych wskazówek dość łatwo odszukałem dom Agrypy — na skraju miasta, przy samym murze, raczej duży, choć tylko dwupiętrowy, z licznymi przybudówkami, stary, surowy i zupełnie odosobniony od innych domostw. Zastukałem u wejścia, potem nie mając odpowiedzi powtórzyłem stukanie i wreszcie pchnąwszy drzwi, które okazały się nie zamknięte, wszedłem do obszernej pustej sieni i słysząc głosy poszedłem dalej, do drugiego pokoju. Tam, przy szerokim stole, wokół misy z jakąś dymiącą potrawą, wesoło gadając i śmiejąc się siedziało czterech młodych ludzi, których wziąłem za sługi tego domu. Słyszając skrzypienie otwieranych drzwi umilkli i odwrócili się ku mnie, a spod stołu warcząc i szczerząc na mnie zęby wyszły dwa lub trzy rasowe psy.

Spytałem grzecznie:

— Czy mogę się widzieć z doktorem Agrypą z Nettesheimu, który podobno mieszka w tym domu?

W odpowiedzi jeden ze spożywających podwieczorek, chłopak rosły, o twarzy Włocha i włoskim akcencie mowy, krzyknął do mnie grubiańsko:

— Jak śmiecie, panie, bez stukania wchodzić do obcego domu? To nie piwiarnia ani ratusz! Wynoście się, póki nie pokazaliśmy wam drogi do drzwi!

Ten okrzyk był tak dalece zaprzeczeniem wszystkich moich oczekiwań, że podziałał na mnie jak policzek — od razu straciłem panowanie nad sobą i w porywie niepohamowanego gniewu wykrzyknąłem w odpowiedzi słowa równie nierozważne i gwałtowne, coś w rodzaju:

— Mylisz się, przyjacielu, mówiąc, że wszedłem bez stukania! Ale w tym domu lokaje uczują, zamiast wykonywać swoje obowiązki! Idź i dowiedz się od swego pana, jak powinienś traktować gościa, bo mam tu do niego list polecający od jego przyjaciela.

Słowa moje wywarły wielkie wrażenie. Jeden z siedzących zerwał się wściekle klnąc i przewróciwszy ławę z zaciśniętymi kulkami ruszył ku mnie,

drugi popędził mu na pomoc, trzeci, przeciwnie, próbował powstrzymać swoich towarzyszy, a psy zaczęły rzucać się na mnie szczekając i warcząc. Ja, widząc, że nieoczekiwanie zostałem wciągnięty w haniebną bijatykę, obnażyłem moją wypróbowaną szpadę i wymachując nią cofnąłem się pod ścianę, powtarzając, że na wylot przesyję każdego, kto zbliży się na odległość pchnięcia. Przez kilka minut wszystko dokoła przypominało pokoje króla Ulissea przed rozpoczęciem masakry zalotników i łatwo mogło się stać, że ze względu na nierówne siły swoje zuchwalstwo przyplaciłbym śmiercią, przy czym oczywiście nikt nie zainteresowałby się zabójstwem nieznanego podróżnego.

Na szczęście jednak koniec zwady był bardziej pokojowy, przeważyły bowiem głosy młodzieńców rozsądniejszych, którzy przekonywali, że nie mamy żadnego powodu do krwawego starcia. Ten spośród młodych ludzi, którego, jak się wkrótce dowiedziałem, zwano Aureliuszem, zmusił nas do rozejścia się, mówiąc co następuje:

— Panie podróżny i wy, moi towarzysze! Nie pozwólcie bogu wojny, Marsowi, tryumfować w tym domu poświęconym bogini mądrości, Minerwie! Pan podróżny zawinił traktując nas jako czeladź, ale i myśmy zawinili przyjmując szlachetnego człowieka z takim lekceważeniem i nieuprzejmie. Przepraszamy się nawzajem i trzeźwo, jak wypada ludziom myślącym, wyjaśnimy, w czym kryje się to nieporozumienie.

Prawdę mówiąc rad byłem z takiego obrotu sprawy, który wybawił mnie od bezmyślnej lecz niebezpiecznej bójki, i rozumiejąc, że widzę przed sobą nie służki Agrypy, lecz jego uczniów, po raz drugi w grzecznych słowach wyłożyłem powód mojej wizyty, wymieniłem swoje nazwisko, pokazałem list polecający i wyjaśniłem, że umyślnie przyjechałem z innego miasta, by porozmawiać z Agrypą.

Aureliusz odpowiedział mi:

— Nie wiem, czy uda się wam, panie, zobaczyć nauczyciela. Ma zwyczaj pracować w swoim gabinecie nie wychodząc z niego po kilka dni z rzędu i nikt w domu nie odważa się go w tym czasie niepokoić, tak że nawet obiad i picie stawia mu się w sąsiednim pokoju. Tam także kładą mu wszystkie nadesłane listy, tak że jeśli dacie nam, panie, wasz, dołączymy go do tamtych.

Po tym oświadczeniu nie pozostawało mi nic innego, jak wręczyć Aureliuszowi list Hektorpiusa i pożegnać się, zadowolony, że tak szczęśliwie skończyła się moja pierwsza przygoda w domu Agrypy, gdzie zachowałem się niezupełnie godnie. Należy jednak mniemać, że dzień ów zaliczał się do nieszczęśliwych, dies nefasti, gdyż i Aureliusz, i ja, pragnęliśmy obaj zatrzeć ślady niedorzecznej sprzeczki, zapominając o przysłowiu, które mówi, że kto

się odgrywa, w dwójnasób przegrywa. Tak więc Aureliusz przekonał wszystkich swoich kolegów, by podali mi rękę, i kolejno ich przedstawiał.

— Ten — mówił wskazując młodzieńca, którego zwymyślałem — jest najstarszy z nas, pochodzi z Włoch i ma na imię Emanuel; jako urodzony na południu jest wybuchowy i nieokiełzany; a ten — mały Hans, jest z nas najmłodszy i nie tylko z imienia jest Johannem, lecz także dzięki miłości, jaką żywi do niego nauczyciel; ten zaś dzielny chłopak, głowa i pięści, jakich mało, zwie się Augustyn; wreszcie macie, panie, przed sobą Aureliusza, człowieka łagodnego, jak to sami widzieliście, i dlatego mającego nadzieję jeszcze połączyć po ziemi.

Nie tylko uścisnąłem wszystkim ręce, lecz na nieszczęście zaproponowałem, byśmy na znak tego, że nie pozostało już między nami żadne nieporozumienie, wypili razem kwartę wina w którejś knajpie. Uczniowie[102] półgłosem naradzili się między sobą i zgodzili się na moje zaproszenie, po czym już bez zwłoki wszyscy w piątkę wyruszyliśmy z domu Agrypy pod gościnnie dach najlepszej w mieście gospody „Pod Tłustymi Kogutami”[103].

Usadowiliśmy się w dużej i o tej wczesnej porze jeszcze zupełnie pustej sali, przy kieliszkach, w których skrzył się radosny scharlachberger[104], przy kręgu dobrego południowego sera, i szybko zapomnieliśmy o wrogich spojrzeniach, jakimi jeszcze niedawno nawzajem się obrzucaliśmy. Wino, które według słów Horacego Flaccusa, explicuit contractae seria frontis[105], wygładziło zmarszczki na naszych czołach i głosy nasze stały się donośne, ożywione i wesołe, tak że jakiś postronny obserwator mógłby nas wziąć za zwykłych kompanów od kielicha, nie mających przed sobą tajemnic. Na próżno jednak starałem się naprowadzić rozmowę na wiedzę tajemną i na magię, myśląc, że uczniowie wielkiego czarnoksiężnika przy winie będą się chwaliли swym szczególnym obcowaniem z demonami, jednakże myśli ich były jak najbardziej dalekie od takich spraw. Zdrowi i weseli gadali o wszystkim w świecie: o sukcesach luteranizmu, o swoich przygodach miłosnych, o zbliżających się świętach św. Katarzyny i św. Andrzeja [106] z ich zabawnymi obrzędami — tak że poczułem się znów studentem wśród dawnych kolońskich kompanów od kielicha. I tylko młody Hans trzymał się na uboczu, mało pił i podobny był do dziewczyny, która powodowana wstydlivością mówi „współtowarzysze” zamiast „pantalony”[107].

Kiedy wreszcie zacząłem wprost wypytywać o Agrypę i jego obecne życie, z wszystkich ust posypały się skargi, dla mnie całkiem nieoczekiwane. Augustyn wyznał, że przeżywają ciężkie czasy, że nauczyciela cisną wierzyciele, a nie ma on innych dochodów prócz dochodu ze sprzedaży swych dzieł. Aureliusz dodał, że z powodu tego braku pieniędzy Agrypa zmuszony

był wstąpić na służbę do naszego Arcybiskupa, a ten powierza mu tak niegodne zajęcia, jak organizowanie obchodów świątecznych i ich dogładanie. Wreszcie Emanuel obrzucił wyzwiskami trzecią żonę Agrypy, z którą ów dopiero co się rozwiódł, i mówił, że ta kobieta przyniosła ze sobą wszystkie nieszczęścia, na wszelkie zaś sposoby wychwalał jego zmarłą żonę, Jeanne-Louise, która, jak się zdaje, nie była mu obojętna. Emanuel zaczął mi także opowiadać o pięknych dniach, jakie wszyscy przeżyli w Antwerpii[108], kiedy Agrypa rozkwitał ciesząc się protekcją teraz już nieboszczki księżny Małgorzaty Austriackiej, kiedy w ich domu panowało ożywienie, kiedy był wesół, zawsze pełen śmiechu i żartów, kiedy nauczyciel, jego żona, dzieci i uczniowie tworzyli jedną zgodną rodzinę... Niestety szyprem naszej biesiady był bóg Bachus i koniec opowieści nie dotarł do przystani, lecz gdzieś zatonął ulegając sztormowi nieoczekiwanych żartów i drwin Augustyna. Jedno tylko wnioskowość mogłem z całą wiarygodnością: że jeśli Agrypa potrafił nawet robić złoto dla innych i innym dostarczać sukcesów, to z tej swojej sztuki sam korzyści nie ciągnął.

Jednakże po pewnym czasie znów powróciliśmy do interesujących mnie brzegów, gdyż moi podchmieleni rozmówcy chcieli się koniecznie ode mnie dowiedzieć, w jakiej sprawie przyjechałem do Agrypy. Nie starczało mi siły, by tym niefrasobliwym chłopcom powiedzieć choć słowo o Renacie, i dlatego odrzekłem zwięźle, że chcę prosić o pewne rady w sprawie magii operatywnej.

Ku mojemu prawdziwemu zdziwieniu odpowiedź ta spotkała się z powszechnym śmiechem.

— Mój przyjacielu — powiedział Aureliusz — trafiliście jak kulą w płot. Przyjdzie się wam, panie, wracać z tym samym bagażem, z jakim przyjechaliście!

— Czyżby Agrypa — spytałem — do tego stopnia strzegł swej wiedzy w dziedzinie nauk tajemnych i tak niechętnie nią się dzielił?

Tu do rozmowy wtrącił się Hans, który prawie przez cały czas milczał:

— Jakie to przykre — wykrzyknął — że na nauczyciela zawsze patrzą jak na czarnoksiężnika! Czy doprawdy Agrypa z Nettesheimu, jeden z najświatlejszych umysłów swojej epoki, zawsze będzie musiał płacić za pasją lat młodości i będą go znać tylko jako autora słabej i nieudanej książki „O tajemnej filozofii”[109]?

Zdumiony, stwierdziłem, że książki Agrypy o magii w żadnym razie nie mogą uważać na nieudaną, że prócz tego dopiero co wyszła z druku, a więc jak widać, sam autor przypisuje jej jeszcze teraz pewne znaczenie.

— Czy nie czytaliście, panie — odpowiedział mi Hans z oburzeniem — przedmowy do tej książki, gdzie nauczyciel to tłumaczy? Jego książka rozeszła

się po całej Europie w kopiach pełnych błędów, z nedorzecznymi uzupełnieniami, w rodzaju jej bezsensownej „części czwartej”, i nauczyciel wołał wydrukować swój prawdziwy tekst, żeby ponosić odpowiedzialność tylko za swoje słowa. Jednakże w samej książce nie ma nic, prócz przedstawienia różnych teorii, które nauczyciel studiował jako filozof. Zapewnił nas osobiście, że nigdy, ani razu w życiu, nie przyszło mu do głowy, by zajmować się takimi głupstwami lub takimi bzdurami, jak przyzywanie demonów!

Ledwo Hans wypowiedział te porywcze słowa, kiedy koledzy zaczęli się z niego podśmiewać, przypominając, że jeszcze bardzo niedawno sam wierzył w zaklania. Hans zmieszał się i poczerwieniał i omal ze łzami w oczach prosił, by zamilkli, mówiąc, że był jeszcze wtedy bardzo młody i głupi. Lecz ja, jako osoba postronna, nalegałem, by wyjaśnili mi, o co chodzi, i Augustyn opowiedział mi ze śmiechem, że Hans, ledwo przybył do domu Agrypy, w tajemnicy wyniósł z jego gabinetu księgę zaklaniań i grymuarów[110], że chciał nakreślić krąg i koniecznie wywołać ducha. Najzabawniejsze jest to — dodał Hans, który już się opanował — że teraz ludzie opowiadają o tym wydarzeniu. Zapewniają, jakoby uczeń, który ukradł księgę, istotnie wzywał demona, ale nie umiał go odpędzić. Wtedy demon uśmiercił ucznia. I w tej właśnie chwili Agrypa wrócił do domu, a nie chcąc, by uznano go winnym tej śmierci, rozkazał demonowi wejść w ciało ucznia i udać się na ludny plac. Tam demon jakoby opuścił martwe ciało, które przedtem ożywił, tak, że było wielu świadków naglej śmierci ucznia. Jestem przekonany, że tę nedorzeczną bajkę włączą z czasem do biografii nauczyciela i będą wierzyć w nią bardziej niż w zgodne z prawdą opowiadania o jego pracach i nieszczęściach!

Po czym wszyscy czterej jeszcze kilka minut mówili o demonach i przyzwaniach, lecz przez cały czas w tonie lekceważącym i żartobliwym, i nie bez obłudy dopytywali się, w jakich dalekich okolicach podniosłem z ziemi porzuconą z racji jej nieprzydatności wiarę w magię. Słuchając tych lekkomyślnych słów czułem się istotnie jak Luter, który przyjechał ze swego deskami zabitego miasteczka do Rzymu, gdzie spodziewał znaleźć się w centrum bogobojności, a napotkał tylko rozpustę i bezbożność.

Przez ten czas gospodarz „Tłustych Kogutów” gorliwie wymieniał opróżnione kwarty na pełne, moi rozmówcy pili z niezaspokojonym młodzieńczym pragnieniem, ja zaś piłem, by zagłuszyć uczucie wstydu przed samym sobą i zapomnieć o swojej głupiej sytuacji — tak więc nasza wesoła gadanina z wolna przemieniła się w nieokiełzaną wesołość. Nasze języki zaczęły niewyraźnie wymawiać słowa, zakręciło się nam w głowach i wszystko zaczęło się wydawać przyjemne, miłe i łatwe. Porzuciliśmy temat

czarnoksiężników i zaklinań i przeszliśmy do rozmów bardziej odpowiadających naszej zdolności myślenia.

I tak z początku wszczął się między nami spór o zaletach różnych gatunków win[111]: włoskiego rheinfalu i hiszpańskiego kanaryjskiego, spirskiego gensfüssera i wirtemberskiego eilfingera, jak również wielu innych, przy czym uczniowie Agropy okazali się znawcami nie gorszymi od mnichów. Spór groził, że przemieni się w bijatykę, gdyż Emanuel krzyczał, że najlepsze wino pochodzi z Istrii, i groził, że rozbije czaszkę każdemu, kto jest innego zdania; wszystkich nas pogodził jednak Aureliusz, który zaproponował, by zaśpiewać piosenkę:

Klingenberg am Main, Würtzburg am Stein, Bacharach am Rhein,  
Wachsen die besten Wein!

Wiersze, zapewne jako głos Muzy, wszystkich uspokoiły, ale po chwili wszczęła się nowa kłótnia o to, gdzie są najlepsze kobiety. Emanuel znów wychwalał swoje Włochy, a zwłaszcza zamtuzy w Wenecji, Augustyn zaś zapewniał, że nie ma miejsca lepszego od Norymbergi, gdyż tam niedawno zamknięto klasztor kobiecy, a wszystkie mniszki przeszły do domów publicznych[112]. Zresztą spór toczył się bez przestrzegania jakichkolwiek reguł dysputy i skoro tylko wspomniałem, że byłem w Rzymie, Emanuel wpadł w szalony zachwyt, chwycił mnie w objęcia i całował krzyżąc: „Był we Włoszech! Słyszycie — był we Włoszech!” Aby i w tym wypadku uspokoić namiętności, Aureliusz zaproponował rozwiązanie, że najlepsze kobiety są w Bonn, i że trzeba się o tym natychmiast przekonać. Koledzy z okrzykami radości zgodzili się na argumenty Aureliusza i oświadczyli, że nigdy nie widzieli zręczniejszego quodlibetariusza[113].

Śpiewając jakąś wesołą pieśń, lecz niezbyt pewnie trzymając się na nogach, strasząc spokojnych przechodniów wyruszyliśmy pod wodzą Aureliusza gdzieś na drugi kraniec miasta. Jednakże chłód zimowego powietrza dość szybko mnie otrzeźwił i kiedy na którymś zakręcie mały Hans dał mi znak oczami, natychmiast go zrozumiałem i pośpieszyłem za tym sygnałem. Obmyślona wojenna dywersja szczęśliwie nam się powiodła i wkrótce pozostaliśmy sami na pustej uliczce.

— Wydało mi się — powiedział Hans — że przedłużanie pijatyki wcale was, panie, nie nęciło, ja zaś uważam takie spędzenie czasu za szkodliwe i bezużyteczne. Dlatego, jeśli chcecie, odprowadzę was do domu?

— Macie zupełną rację — odpowiedziałem. — Dziękuję wam, panie, i bardzo proszę, byście rzeczywiście oddali mi tę przysługę, albowiem wino w tym mieście wydaje mi się dwa razy mocniejsze niż na całym świecie i bez was nie znajdę innej drogi, jak tylko do najbliższego rowu.

Mały Hans roześmiał się dobrodusznie i okazał mi wiele serdecznej troski.



Nie tylko odprowadził mnie do gospody, lecz także położył do łóżka, gdzie natychmiast przytłoczył mnie mętny sen. Kiedy zbudziłem się po kilku godzinach, oczywiście niezupełnie wypoczęty, z silnym jeszcze bólem głowy, lecz już przytomny, zobaczyłem, że Hans mnie nie opuścił i przygotował mi coś do picia i kolację.

— Jestem medykiem — wyjaśnił Hans — i nie uważałem za właściwe opuścić chorego w takim stanie, w jakim się, panie, znajdowaliście, choć pamiętałem słowa Hipokratesa: Si quis ebrius repente obmutescat...

Przypadkiem był to jeden z aforyzmów, który od dziecka doskonale pamiętałem, mogłem więc dokończyć:

— ...quo tempore crapulae solvi solent vocem edat[114].

Obaj roześmialiśmy się wspominając tę szkolną prawdę i śmiech ten zbliżył nas bardziej niż wszystkie poprzednie rozmowy.

Hans miał lat dwadzieścia, a może nawet mniej. Był niewysokiego wzrostu i nieładny, jego twarz wydawała się nieco śmieszna z powodu okrągłych wybałuszonych oczu pod ostro zagiętym łukiem brwi, lecz ta młoda twarz zdradzała rozum i była miła.

W rozmowie, która się wtedy między nami zawiązała, ów gołowąsy chłopak dał dowód przenikliwości, dużej wiedzy naukowej i nawet znajomości życia. I oto, pod wrażeniem chwilowego impulsu, który kieruje naszymi postępami częściej niż ręka zimnego rozsądku, i być może także pod wpływem zamroczenia alkoholem, które nie całkiem jeszcze minęło, opowiedziałem małemu Hansowi to, co zataiłem przed jego starszymi kolegami: po co przyjechałem do Agrypy i w ogóle co przeżyłem w ciągu ostatnich miesięcy, przemilczałem oczywiście tylko imię Renaty i miejsce naszego pobytu. Na moje usprawiedliwienie trzeba zresztą wspomnieć, że od długiego czasu nie miałem możliwości porozmawiać szczerze z żadną istotą ludzką i że cała udreka, której doświadczałem, tkwiła w mojej duszy jak jakiś ciężar, przytłaczający ją i już od dawna szukający ujęcia.

Hans wysłuchał mojej długiej pełnej pasji spowiedzi z uwagą, z jaką lekarz słucha wyznań chorego, i po niedługim zastanowieniu odpowiedział mi tak, mówiąc jak mentor do kogoś młodszego:

— Nie wątpię w prawdziwość żadnego z waszych słów, panie. Lecz, jak widać, mało studiowaliście medycynę, a w każdym razie nie znacie nowych i niezwykłych odkryć poczynionych w tej dziedzinie. Ja zaś miałem szczęście mieć za przewodnika w tej nauce takiego uczonego jak nasz nauczyciel, który, choć zaniechał praktyki, pozostaje jednym z największych medyków swego wieku. Wiemy teraz, że istnieje szczególna choroba, której nie należy uważać za obłąkanie, lecz która jest go bliska, i może być określana starą nazwą —

melankolia. Choroba ta częściej niż mężczyźni poraża kobiety — istoty słabsze, jak wskazuje samo słowo mulier, pochodzące według Warrona od mollis, delikatny. W stanie melankolii wszystkie odczucia ulegają zmianie pod presją szczególnego fluidu, który rozchodzi się po całym ciele, tak że chorzy dokonują postępów, jakich nie da się wytłumaczyć żadnym celem rozsądnym, i ulegają nastrojom najbardziej niewytłumaczalnym i nader szybko się odменяjącym. To są weseli, to smutni, to dziarscy, to całkowicie bezwolni — i wszystko to bez żadnej widocznej przyczyny. Także samo bez potrzeby kłamią: podają się nie za tych, kim są, przypisują sobie samym lub innym zmyślone przestępstwa, ale szczególnie lubią odgrywać rolę prześladowanych, ofiar. Kobiety owe szczerze wierzą w to, co opowiadają, i szczerze cierpią z powodu wyimaginowanych nieszczęść; wyobrażając sobie, że są opanowane przez demony, naprawdę męczą się i rzucają w konwulsjach, przy czym zmuszają swoje ciało, by tak się wyginało, jak nie mogłyby tego czynić świadomie, i w ogóle swoją imaginacją mogą doprowadzić się do śmierci. Właśnie spośród tych nieszczęśliwych rekrutują się szeregi tak zwanych czarownic, które należałoby kurować napitkiem uspokajającym, lecz przeciw którym papież ogłasza bulle, a inkwizytorzy wnoszą stosy. Mniemam, że i wy, panie, napotkaliście jedną z takich kobiet. Oczywiście opowiedziała wam bajkę o swoim życiu i żaden hrabia Henryk nigdy nie istniał; później wszystkimi dostępnymi jej środkami dążyła do tego, by w waszych oczach pozostać kobietą niezwykłą i nieszczęśliwą, o co zresztą w żadnym razie nie wolno jej winić, ponieważ działała tu jej choroba.

Po wysłuchaniu tego wykładu przypomniałem Hansowi to, co opowiadałem mu o moim locie na sabat i o przyzywaniu przez nas demona Anaela, lecz Hans tak mi na to odpowiedział[115].

— Pora by już przestać wierzyć w takie babskie bajki jak sabat; zamroczenie zmysłów, imaginacja — oto, czym jest sabat! Naturalnie byliście, panie, we władzy silnego środka usypiającego, który dała wam wasza znajoma, i zaraz powiem wam skład tego mazidła: wchodził weń olej, pietruszka, psianka, wilczy ząb, ostrzew, być może także soki innych roślin, lecz głównymi składnikami były — ziele zwane przez Włochów belladonna, prócz tego lulek i trochę tebańskiego opium. Mazidło sporządzone w ten sposób, kiedy wetrze się je w ciało, zawsze sprowadza głęboki letargiczny sen, w którym z niezwykłą wyrazistością ukazują się obrazy tych rzeczy, o których myślało się zasypiając. Niektórzy medycy czynili już próby i zmuszali kobiety, które uważały się za czarownice, by pod ich nadzorem nacierały się czarodziejskim mazidłem. No i co? Okazywało się, że te nieszczęsnice leżały wyciągnięte we śnie na jednym miejscu, chociaż po przebudzeniu z całym przekonaniem opowiadały

niestworzone rzeczy o swoich lotach i pługach. Tak samo nonsensem jest wierzyć, jakoby jakieś słowa, chaldejskie czy łacińskie, które niczym nie są lepsze od naszych niemieckich, i jakieś linie nazywane charakterami, miały władzę nad siłami przyrody i Diabłem. Jestem przekonany, że w 'waszej, panie, magicznej próbie przyzywania, nie co innego, jak dym z kadzidła uznaliście za postaci demonów i że pierwszy kaganek stłukł nie jeden ze złych duchów, lecz też sama pańska pomocnica, oczywiście w przystępie szału.

Na wszystkie te rozważania nie znalazłem wtedy repliki, bowiem owego dnia głowa moja bardzo była zmęczona, a także odwykłem od uczonych dysput, stałem więc przed małym Hansem jak przeciwnik, który wypuścił z rąk szpadę, jak zawstydzony uczeń, którego nauczyciel bije linijką. Sytuacja ta nie przeszkodziła mi jednak przyznać słuszości celnym argumentom Hansa i zaraz powiedziałem mu, że jeśli potrafi uzasadnić swoje poglądy i wesprzeć je dostateczną ilością przykładów, uda mu się napisać dzieło bardzo godne uwagi i być może pożyteczne. Powiedziałem także, że żywię niezłomną nadzieję, iż napotkam taką księgę, która rozśławi imię mego młodego przyjaciela — Johanna Weyera.

Resztę wieczoru spędziliśmy na rozmowie już mniej poważnej, lecz wielce przyjemnej, gdyż we wszystkich dziedzinach, jakie poruszyliśmy, przejawiała się wrodzona mądrość Hansa, jego bystrość i ponad wiek czytanie. Dla mnie rozmowa ta miała niebagatelne znaczenie, ponieważ wywiodła mnie z kręgu myśli, w którym się obracałem, i przypomniała mi, jak śmiesznym jest przypisywać los człowieka tajemnej woli sił infernalnych. Żegnając się ze mną Hans usilnie radził mi, bym nazajutrz przyszedł do nich do domu, gdyż wypadła niedziela i można się było spodziewać że Agrypa opuści swój gabinet. Zgodziłem się także, że nieprzyzwoicie będzie, jeśli zostawiwszy list polecający, nie pojawię się u niego w domu, jednakże po tym wszystkim, co słyszałem od uczniów Agrypy, ze spotkania z nim nie mogłem już oczekiwać niczego dla siebie ważnego. Tę drugą noc w Bonn spędziłem już na wcale nie tak wiosennych marzeniach, jak pierwszą, i wszystkie płonne kwiaty mej nadziei opuściły główki ku ziemi, jakby pod wpływem posuchy.

## II

Jednakże nazajutrz, po mszy, znów zastukałem do drzwi Agrypy i tym razem Emanuel, Augustyn i Aureliusz przywitali mnie jak dobrego przyjaciela i tylko dobrodusznie wypominali mi, że w przeddzień nie po koleżeńsku opuściłem ich — „w biedzie”. Wczoraj w domu Agrypy czekały mnie kije i psie zęby, dziś zaś poklepywano mnie po ramieniu, nazywano żartobliwie „amicissime” i mogłem się na własne oczy przekonać, że nie ma lepszej swatki niż Bachus. Nie wiem, czy to dlatego, że Aureliusz i jego towarzysze istotnie poczuli do mnie sympatię, czy też dlatego, że chcieli zatrzeć wrażenie przyjęcia, jakie mi wczoraj zgotowali, lub wreszcie po prostu radzi byli nowemu człowiekowi, bo nudzili się w odosobnieniu, lecz poświęcili mi cały ów dzień i jeden przez drugiego starali się dostarczyć mi rozrywek.

Aureliusz zabrał się do pokazywania mi domu i obeszlśmy dwanaście lub piętnaście pokoi, z których sporo było niezamieszkałych i wcale nie umeblowanych. W innych sprzęty były najróżnorodniejsze, od przedmiotów wykwinnych, chociaż zniszczonych, do zupełnie tanich, kupionych z potrzeby i rozstawionych jak popadło, bez żadnego smaku. W pokojach, które niedawno zajmowała trzecia żona Agrypy, wszystko pozostawało w największym nieładzie, zupełnie jakby mieszkanie dopiero co rozgrabili niemieccy lancknechci, jednak pokoje najlepiej nawet posprzątane przypominały raczej sklep stolarza niż dom filozofa.

Aureliusz poznał mnie również ze wszystkimi mieszkańcami domu, a przede wszystkim z dwoma synami Agrypy, Henrykiem i Janem [116], dziesięcioletnimi chłopcami, którzy nie sprawiali na mnie wrażenia ani mądrych, ani dobrze wychowanych, dwaj inni synowie Agrypy byli wtedy nieobecni. Dziećmi zajmowała się stara służąca Maria, dobrodusznia i prostacka, która przez ostatnich piętnaście lat nie opuszczała Agrypy, lecz, jak się zdaje, nie potrafiła dwóch zdań sklecić. Druga służąca, Małgorzata, była tylko trochę młodsza, lecz za to tylko trochę mądrzejsza, zaś sługa zwany Anteuszem, chłopak rosły, sprawiał wrażenie zupełnego idioty. Tak więc łatwo można się było domyślić, że życie w tym domu było niewesołe, i po uczniach za jego najbardziej ruchliwych mieszkańców musiałem uznać sześć lub siedem psów, dużych,

rasowych, o dźwięcznych imionach: Taro, Cicconius, Balassa, Muza, które z godnością chodziły po pokojach jakby po swoich włościach rodowych.

Aureliusz, który teraz nie opuszczał okazji, by mnie przekonać, że Agrypa nie zajmuje się czarnoksięstwem, powiedział mi o tych psach:

— Nauczyciel tak kocha psy, że nawet w nocy się z nimi nie rozstaje i śpią z nim w łóżku. Na śmierć jednego z jego ulubionych psów, Filiolusa, przyjaciele Agrypy napisali nawet kilka łacińskich epitafiów wierszem[117]. A między ludem krąży z tego powodu bzdurne pogłoski, jakoby Agrypa w postaci psów trzymał u siebie domowe demony.

Tak samo, pokazując mi pokój przyległy do gabinetu Agrypy, gdzie stawiano mu jadło i kładziono nowe listy, Aureliusz powiedział do mnie:

— Poczta cesarska ma z nauczyciela niezgorszy dochód, ponieważ codziennie przychodzi do niego kilka listów. Koresponduje z Erazmem i wieloma głowami koronowanymi, i z arcybiskupami, i nawet z samym papieżem, nie mówiąc o zwykłych uczonych i niezliczonych wielbicielach. Od nich dowiaduje się nowin ze wszystkich krajów Europy, a ludzie zabobonni wyobrażają sobie, że otrzymuje je sposobami czarnoksięskimi[118].

Po obejrzeniu domu i spożyciu posiłnego, choć dość skromnego obiadu, nowi przyjaciele zabrali mnie na przechadzkę po ulicach miasta, przy czym bardzo szybko obeszliliśmy je całe, gdyż Bonn jest bardzo niewielkie, i nawet wychodziliśmy za bramę, skąd roztacza się piękny widok na Siedmiogórze. Z upodobaniem przyjrzałem się także kościołom Bonn, a zwłaszcza Katedrze o pięciu wieżach — istotnie jednej z najpiękniejszych budowli naszej starodawnej architektury. Ulice były tego dnia po świątecznemu pełne ludzi i przyjemnie było z wolna kroczyć wśród tłumu, wystrojonego w barwne suknie, mrugać porozumiewawczo do niezajomych dziewcząt i przyglądać się młodym ludziom w zimowych płaszczach i kapeluszach z piórami. Augustyn zdążył już poznać z imienia całe miasto i niemal o każdym przechodniu i o każdej kobiecie zdążył szepnąć nam na ucho wesołą dykteryjkę przypominającą „Facetiae”[119] Poggio i pobudzającą nas do śmiechu.

Około godziny piątej wróciliśmy do domu i Aureliusz dowiadując się, że Agrypa wciąż jeszcze nie otwierał drzwi gabinetu, zaproponował, aby zagrać w szachy. Pozostawiłem szachownicę Aureliuszowi i Emanuelowi, a sam chciałem z Augustynem trzymać zakład o to, czy wygra ten, czy tamten. Z dziecinnego pokoju przyszli popatrzeć na grę chłopcy, a z nimi Maria, która uważała się za członka rodziny. Wszyscy staliśmy wokół stołu, przy którym siedzieli gracze, a dwa psy ulokowały się tuż obok i z nie mniejszą uwagą śledziły przesuwanie się pionków i koni. I nikt patrząc na szachistów, pochłoniętych swoimi ruchami, na tych, którzy ich obserwowali i trzymali

zakład, na dwóch małców ssących palce i na starą poczciwą nianię — nikt by nie pomyślał, że ta idylliczna scena rodzinna, godna pióra Sannazarof[120], rozgrywa się w domu wielkiego czarnoksiężnika Agrypy, który, zgodnie z tym, co mówiono, ściąga księżyc z nieba i wyprowadza z mogił ciała umarłych.

Stawiałem na Emanuela, licząc na jego pomysłowość, lecz Aureliusz okazał się o wiele zręczniejszy w sztuce Damiana[121] i, działając powoli, z rozwagą, bardzo pewnie atakował swego przeciwnika. Nie umiejąc zachować w grze zimnej krwi, Emanuel złościł się i za nic nie chciał uznać się za pokonanego, lecz prawdopodobnie nie uniknąłby mata, gdyby nagle z pokoju Agrypy nie rozległ się dźwięk dzwoneczka wzywający do niego. Wszyscy znajdujący się w naszym pokoju poruszyli się: chłopcy z lękiem czmychnęli za drzwi, za chłopcami pobiegła Maria, Hans słysząc wezwanie rzucił się na górę, Emanuel korzystając z ogólnego zamieszania, jakby pod wpływem chwilowego porwy, zmieszał figury na szachownicy i nikt się nie dowiedział, jak miała skończyć się ta partia.

Po paru minutach Hans wrócił od nauczyciela i oznajmił, że Agrypa czyta mój list i gotów jest natychmiast mnie przyjąć i że równocześnie wzywa do siebie wszystkich uczniów.

Tak więc spełniło się moje najgorętsze marzenie i zrealizował cel, dla którego przybyłem do Bonn, lecz kiedy wąskimi schodami wchodziłem na piętro, gdzie był gabinet Agrypy, kierowała mną nie nadzieja, że uzyskam rozstrzygnięcie trapiących mnie wątpliwości, lecz tylko ciekawość podróżnika oglądającego to, co w danym mieście jest osobliwego. Uczniowie, okazując mi przyjacielską życzliwość, jeden przez drugiego radzili, jak mam się zachować w obliczu Agrypy, to przypominając, żebym mówił głośniej, bo ma nieco przytępiony słuch[122], to uprzedzając, że nauczyciel nie cierpi mnichów, to zalecając, bym nauczyciela koniecznie nazywał „magister doctissime” i temu podobne. Przed samymi drzwiami do pokoju Agrypy trzeba się było raz jeszcze zatrzymać, Hans znów pobiegł naprzód i dopiero potem drzwi się wreszcie otwały i wszedłem do sanktuarium.

Gabinet Agrypy na pierwszy rzut oka przypominał raczej muzeum lub bibliotekę klasztorną — tak był zapchany szafami z książkami i teczkami, pulpitami na książki, a także wypchanymi zwierzętami i różnymi przyborami fizycznymi i instrumentami, nawet na ławach i na podłodze rozrzucone były rękopisy, rysunki i wszelkiego rodzaju papiery. Tu i ówdzie leżały pokłady kurzu, pachniało stęchlizną, lecz słońce przenikając przez wąskie gotyckie okno pokoju, oświetlało go dość mile i jasno. Przy szerokim stole, także zawałonym foliantami i zeszytami, sam jakby zakopany w papierach, w wysokim fotelu siedział człowiek niewielkiego wzrostu, jeszcze nie stary,

chudy i wygolony, w malinowej czapeczce na siwych włosach i w szerokim płaszczu obramowanym futrem. Poznałem Agrypę, był bowiem bardzo podobny do swojej podobizny zamieszczonej na okładce książki „De Occulta Phiiosophia”; tylko wyraz twarzy wydał mi się nieco inny; na podobieństwo jest dobroduszny i szczery, tymczasem w wyrazie twarzy Agrypy było jakieś lekceważenie lub wstręt, być może dlatego, że jego wargi jakoś starczo obwisły, a znużone powieki na w pół przesłaniały spojrzenie żywych i bystrych oczu. U nóg Agrypy, złożwszy mu pysk na kolanach, siedział jego ulubiony czarny pies, nieduży, kudłaty, o zdumiewająco mądrych, jakby ludzkich oczach, którego, jak się później dowiedziałem, nazywano „Monseigneur”.

Wchodząc złożyłem ukłon i zatrzymałem się na progu, lecz Agrypa przywitał mnie pochYLENIEM głowy i jak monarcha przywykły udzielać audyencji[123] powiedział:

— Witam was, przyjezdny panie! Pisze mi o was przyjaciel mój Hetorpius. Na stare lata niewiele pozostało mi przyjaciół, bardzo niewiele, lecz za to każde ich słowo jest dla mnie rozkazem. Siadajcie, panie, i bądźcie w domu tym przyjacielem, chociaż przywieźliście mi niedobre nowiny.

Ostatnie słowa nieco mnie strapiły i zajmując wśród uczniów miejsce przy stole nie wiedziałem, co powiedzieć, lecz Agrypa znów zaczął mówić. Wziął ze stołu przywieziony przeze mnie list polecający, wygłosił, nie bez krasomówstwa, całe przemówienie, które widocznie przeznaczal tylko dla mnie, bowiem dla jego uczniów nie zawierało ono nic nowego.

— Hetorpius prezentując was, panie — powiedział — równocześnie pisze mi, że nie decyduje się drukować mojego „Listu apologetycznego do Senatu w Kolonii”[124] i że w ogóle żadna drukarnia w Kolonii nie przyjmie go pod swoje prasy! Poznaję w tym zwykłą broń moich wrogów, bowiem przez całe życie prześladowały mnie ich intrzygi! W Antwerpii tamtejsi uczeni osiągnęli to, że jako medykowi zabroniono mi praktyki, mimo że leczyłem ludzi w czasie zarazy, kiedy wszyscy lekarze miejscy pouciekali. W Kolonii nie pozwolono mi wygłaszać wykładów, chociaż w Dole, w Turynie i w Pawii więcej miałem słuchaczy niż wszyscy inni magistrowie! Cesarz, którego byłem historiografem, nie uważał za potrzebne płacić mi pensji, a w Brukseli wierzyciele wtrącili mnie do więzienia za długi! Wreszcie, ledwo spróbowałem drukować swoje dzieła, spadły na mnie jeszcze gorsze ciosy: w Paryżu z wyroku Sorbony księgę moją spalono, a w Niemczech, lekceważąc dany mi przywilej, jej drukowaniu sprzeciwił się sam inkwizytor. Przeciw moim dziełom krzyczą doktorzy, licencjaci, nauczyciele, bakałarze, retorycy wszelkiego rodzaju i cały niezliczony tłum próżniaków w sutannach, kapuzach, oponczach, bosonogich i w sandałach, czarnych, białych, szarych, wszelkich

maści: jednym słowem wszyscy twórcy sylogizmów i najemni sofisci, których oczy oślepia prawda, jak oczy sów oślepia światło. Nie lękam się jednak napaści, potrafię się obronić i przeciw jawnym oskarżeniom i przeciw skrytym oszczerstwom. Teraz nie zezwalają mi oni wydrukować listu, utrzymanego w dość powściągliwym tonie. No cóż, napiszę inny, już bezlitosny, zaprawię go octem i gorczyczą, a mniej dam oleju, i wydrukuję go w innym mieście, choćby w Londynie, choćby w Konstantynopolu!

Wygłaszając te groźne diatryby w mojej obecności, Agrypa prawdopodobnie miał nadzieję, że za moim pośrednictwem staną się one znane w różnych kręgach osób, uważał mnie bowiem za przyjaciela Hetorpiusa. Widząc, że muszę coś odpowiedzieć, powiedziałem ogólnie, że nie podejmuję się być sędzią w sporze Agrypy z klerem, ani tym bardziej z Jego Cesarską Mością, lecz, że wszystkie te prześladowania, o których Agrypa mówi, oczywiście przynoszą mu zaszczyt, ponieważ na człowieka bez znaczenia ani inkwizycja, ani teolodzy, ani uczeni by nie napadali.

Korzystając z chwilowego milczenia Aureliusz przypomniał nauczycielowi, że przyjechałem w określonym celu, że chcę go prosić o radę. Agrypa, zupełnie jakby nagle przypomniał sobie o mnie, odwrócił się w moją stronę i z gniewem rzuciwszy na stół list Hetorpiusa zapytał:

— Czego, młody przyjacielu, chcecie ode mnie? Czym może wam pomóc Agrypa, którego, jak widzicie, szczują niczym sfera psów lisa?

Pospieszyłem odpowiedzieć, że czuję się jak Marsjasz wypytywany przez Apollina i że usprawiedliwienia mojej śmiałości doszukuję się tylko w sławie Agrypy, rozbrzmiewającej w całej Europie, bowiem o wyjaśnienie pytań, na które w książkach nie można znaleźć odpowiedzi, w całych Niemczech odwołać się można tylko do jego głębokiej wiedzy, do jego rozumu, do jego doświadczenia. Dalej opowiedziałem, że pewne okoliczności mego życia osobistego skłoniły mnie do zajęcia się magią operatywną, że pośród wszystkich książek, napisanych w tej materii, niepodobna było, bym nie wyróżnił dzieł Agrypy, że po gruntownym przestudiowaniu wszystkiego, co wyłożył w swojej pracy, znajduję jeszcze mnóstwo ciemnych punktów i o ich wyjaśnienie chcę prosić samego autora.

Agrypa po wysłuchaniu mnie zasępił się i powiedział ze zniecierpliwieniem:

— Zapewne nie czytaliście, panie, nazbyt uważnie mojej książki lub nie zrozumieliście jej, w przeciwnym razie nie zwracalibyście się do mnie z takimi pytaniami. W przedmowie powiedziane jest jasno i stanowczo, że mag nie powinien być zabobonny, nie powinien wierzyć w demony, ani też być intrygantem, lecz winien być mędrce, kapłanem, prorokiem. Za prawdziwego maga uważam Sybillę, w czasach pogańskich przepowiadającą przyjsie



Chrystusa, i tych trzech królów, którzy dowiedziawszy się z cudownych tajemnic wszechświata o narodzinach Zbawiciela, pośpieszyli z darami do kolebki-żłobu. Wy, panie, podobnie jak większość ludzi, najwidoczniej doszukujecie się w magii nie tajemnej wiedzy o przyrodzie, lecz różnych zręcznych środków, by szkodzić bliźnim, by osiągać bogactwo, by wywiadywać się o dzień jutrzejszy: po takie jednak wiadomości trzeba się udać do kuglarzy i szarlatanów, a nie do filozofa. Moja księga „O tajemnej filozofii” napisana została przeze mnie w latach młodości i daleka jest od doskonałości, stanowi jednak tylko przegląd wszystkiego, co powiedziano o magii, by dociekliwy umysł mógł prześledzić wszystkie gałęzie tej nauki, lecz nigdy nikogo nie zachęcałem do zapuszczania się w mroczne i nie zasługujące na pochwałę magiczne próby goecji!

Widząc, że Agrypa uchyla się od wyraźnej odpowiedzi, postanowiłem mimo wszystko zmusić go do tego, choćby przy pomocy heroicznych sposobów, i dlatego powiedziałem tak:

— Czemu, nauczycielu, przestudiowawszy uważnie dziedziny magii i znajdując w niej same błędy, nie postaraliście się odwieść innych od bezpłodnego zajmowania się tą nauką, lecz wręcz przeciwnie pośpieszyliście wydrukować swoje dzieło, które sami uważacie za niedoskonałe? Być może zostało ono nawet napisane w latach młodości, lecz nie zapominajcie, że dołączyliście do niego dwie przedmowy, napisane całkiem niedawno, w których mówicie o magii z wielkim szacunkiem i niczym nie zdradzając swego pogardliwego do niej stosunku. Czy nie stwarzacie przez to wielkiej pokusy dla żądnych wiedzy czytelników i czy nie mam racji przypominając wam, panie, słowa Ewangelii, że lepiej byłoby, by owemu człowiekowi, który skusił jednego z maluczkich, zawieszono u szyi kamień młyński i utopiono go w otchłani morskiej?

Kiedy to mówiłem, Aureliusz dawał mi oczami znaki, bym zamilkł, lecz nie przywykłem, by sobie ze mnie drwiono, i spokojnie wypowiedziałem wszystko do końca. Także Agrypa był do żywego dotknięty moimi słowami, jego wygląd nagle się odmienił, zgasła bowiem jakby jego pewność siebie i wyniosłość, i z rozdrażnieniem powiedział do mnie:

— Żeby drukować moje dzieło, miałem ważne powody, o których wy, młodzieńcze, nie macie prawdopodobnie pojęcia. Tłumaczyć je wam teraz byłoby całkiem niestosowne, nie mówiąc już o tym, że specjalna przysięga zabrania mi poruszać pewne zagadnienia w obecności niewtajemniczonych.

Surowość odpowiedzi mogła jedynie wzmocnić moją natarczywość, tak więc ja, który nie bałem się zadawać pytań przewodniczącemu sabatu, oczywiście nie cofnąłem się przed Agrypą z Nettesheimu. Nie dając mu spokoju

natychmiast rzuciłem nowe pytanie, przy czym mnie samemu wydało się, że głos mój, wyraźny, zastukał jak dwie kości do gry skaczące po stole przy decydującej stawce:

— Magister doctissime! Nie mam przecież żadnych pretensji, byście odkryli mi swoje najświętsze tajemnice! Lecz będąc jednym z tych, których skusiła wasza księga, tylko skromnie proszę, byście mi odpowiedzieli, co to jest magia: prawda czy omam, nauka czy nie?

Agrypa podniósł na mnie oczy, ale ja nie opuściłem swoich, nasze spojrzenia sprzegły się i miałem takie uczucie, jakbyśmy trzymając się za ręce stali nad przepaścią. Przez moment wierzyłem wtedy, że Agrypa zaraz powie mi coś niezwykłego i natchnionego, ale po chwili znów w wysokim fotelu siedział przede mną niemłody uczonek w szerokim płaszczu i malinowej czapeczce, który, hamując oburzenie, na moje zuchwałe żądania odpowiedział głosem niezadowolonym, lecz surowym i spokojnym:

— Są dwa rodzaje nauki, młodzieńcze. Jedna to ta, którą w naszych czasach praktykuje się na uniwersytetach, która wszystkie przedmioty rozpatruje oddzielnie, rozrywając jednolity kwiat wszechświata na części, na korzeń, łądygę, liście, płatki, i która zamiast wiedzy daje sylogizmy i komentarze. W mojej książce „De incertitudine et vanitate scientiarum“ [125], która kosztowała mnie wiele lat pracy, lecz przyniosła mi tylko drwiny i oskarżenie o herezję, wyjaśniłem szczegółowo, co nazywam pseudonauką. Jej adepci, pseudofilozofowie, uczynili z gramatyki i retoryki narzędzie dla swoich fałszywych wniosków, poezję przemienili w dziecinne zmyślenia, na arytmetyce oparli czcze domysły, jak również muzykę, która zamiast umacniać — deprawuje i osłabia, zamienili politykę w sztukę oszukiwania, a teologią posługują się jako areną dla logomachii, dla walki słownej bez jakiegokolwiek treści! Ci pseudofilozofowie wypaczyli także magię, którą starożytni uważali za szczyt wiedzy ludzkiej, tak że za naszych dni magia naturalna to nic więcej jak recepty trucizn, napitków nasennych, fajerwerków i temu podobnych, a magia ceremonialna — to tylko rady, jak nawiązać kontakt z niższymi mocami świata duchów, lub jak się nimi posługiwać po zbójceku i zniecka. Tak samo jak nie przestanę podawać w wątpliwość i wyśmiewać fałszywej nauki, tak samo zawsze będę odrzucał fałszywą magię. Jednakże w człowieku nie ma nic szlachetniejszego jak jego myśl i najpiękniejszym celem życia jest siłą myśli wznosić się do percepcji istoty rzeczy i samego Boga. Trzeba tylko pamiętać, że wszystko w świecie zmierza do jednego, wszystko obraca się wokół jednego punktu i przez to wszystko związane jest jedno z drugim, wszystko pozostaje między sobą w określonych stosunkach: gwiazdy, aniołowie, ludzie, zwierzęta i trawy! Jedna dusza porusza i słońce w jego biegu wokół ziemi, i

ducha niebiańskiego, posłusznego rozkazom Bożym, i miotającego się człowieka, i zwykły kamień, który stoczył się z góry — tylko dusza ta przejawia się w różnych rzeczach w różnym stopniu natężenia. Nauka, która rozpatruje i bada te stosunki we wszechświecie, która ustala związek wszystkich rzeczy i drogi, którymi wzajemnie na siebie oddziałują, to właśnie jest magia, prawdziwa magia starożytnych. Stawia sobie ona za zadanie podporządkować ślepe życie własnej duszy, a w miarę możliwości także innych dusz, boskiemu planowi Stwórcy Świata, i na to, by osiągnąć owo wzniosłe życie, żąda czystej wiary i silnej woli — ponieważ w świecie naszym nie ma siły potężniejszej niż wola, która zdolna jest dokonywać i tego, co niemożliwe, i cudów! Prawdziwa magia to nauka nauk, całkowite ucieleśnienie najdoskonalszej filozofii, wyjaśnienie wszystkich tajemnic, uzyskane poprzez wyznania wtajemniczonych z różnych epok, różnych krajów i różnych narodów. O tej magii, mój młody przyjacielu, jak się zdaje, nic do tej pory nie wiedzieliście, tak więc na zakończenie naszej rozmowy życzę wam, byście zawrócili od wróżenia i czarnoksiężstwa do prawdziwego źródła wiedzy.

Po tej dwuznacznej przemowie nie pozostało mi nic innego do zrobienia, jak wstać, raz jeszcze przeprosić za to, że go niepokoiłem, i pożegnać się. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na Agrypę, na jego uczniów, z wyrazem zachwytu tłoczących się wokół jego fotela, i wyszedłem z pokoju myśląc, że opuszczam to grono na zawsze, wcale nie podejrzewając, że przyjdzie mi jeszcze spotkać wielkiego czarnoksiężnika i to w jakże dziwnych okolicznościach!

Na podeście schodów dogonili mnie Hans i Aureliusz, którzy zapewne chcieli zatrzeć niemiłe wrażenie audiencji, na wszelkie sposoby starali się bowiem wytłumaczyć surowość Agrypy powołując się na to, że był bardzo rozstrojony listem Hetorpiusa. W krótkiej rozmowie, jaka się tu między nami wywiązała, Aureliusz powiedział:

— Nie spodziewałem się, że nauczyciel w skrytości ducha jeszcze wierzy w magię!

A Hans z młodzieńczą zarozumiałością dodał:

— Jest człowiekiem wielkim i uczonym, ale należy do innego pokolenia niż my.

I Hans, i Aureliusz usilnie prosili, bym dzień jeszcze pozostał w Bonn, zapewniając, że jutro nauczyciel odniesie się do mnie życzliwiej, lecz ja stanowczo odmówiłem — nie chciałem ponownie niepokoić Agrypy, zwłaszcza że utraciłem wszelką nadzieję na jego pomoc w swojej sprawie. Podziękowałem więc obu młodzieńcom za poparcie, jakie mi okazali, a Hans przyjacielsko odprowadził mnie do drzwi i rozstając się przyrzekliśmy sobie

nawzajem do siebie pisywać.

Następnego ranka wyjechałem z powrotem na północ. Na pola spadł śnieg i było dość zimno, lecz droga znacznie się poprawiła i jechać było o wiele łatwiej niż przed trzema dniami. Koń rącho biegł po miękkim białym dywanie przykrywającym przemarznątą twardą ziemię.

Kiedy później dokładnie rozważyłem moją wizytę u Agrypy i z uwagą przemyślałem wszystko, co mówił, przyszedłem do wniosku, że nie należy wierzyć w każde wypowiedziane przez niego słowo. W ciągu owych krótkich chwil, gdy przyjezdny nieznajomy, stałem przed Agrypą, nie miał powodu, by otwierać swą duszę i szczerze wypowiadać najskrytsze myśli w przedmiocie tak ważkim jak magia. Wyglądało na to, że nie wypowiadał ich także przed swoimi uczniami, tak że w ich sceptycznych słowach być może znajdował swe odbicie nie ostateczny pogląd filozofa, lecz osamotnienie, na które skazani są zawsze wielcy ludzie, zmuszeni kryć się nawet przed najbliższymi. Teraz, po drugim spotkaniu z Agrypą, nie wątpię nawet, że wierzył w magię o wiele silniej, niż chciał to okazać, i że być może właśnie goecji poświęcone były godziny jego samotnych zajęć.

Jednakże w czasie drogi powrotnej z Bonn wszystkie te myśli jeszcze nie przychodziły mi do głowy. Przeciwnie, wydawało mi się wtedy, że surowe słowa Agrypy i trzeźwe domysły Hansa jak świeży wiatr rozwiały ową mgłę tajemniczości i czarodziejskości, w której błądziłem przez ostatnie trzy miesiące. Z prawdziwym zdumieniem zadawałem sobie pytanie, jak mogłem przez ćwierć roku nie wychodzić z kręgu demonów i diabłów — ja, przyzwyczajony do jasnego i realnego świata lin okrętowych i przemierzających się wojsk. Z równym zdumieniem szukałem odpowiedzi, dlaczego ja, już nieraz przedtem leczący rany zadane strzałą skrzydłatego bożka, okazałem się przywiązany tak mocnymi więzami do kibici kobiety, która odpłacała mi tylko lekceważeniem lub łaskawą oziębłością. Rozpatrując nie bez rumieńca wstydu życie moje z Renatą, uważałem teraz swoje zachowanie za głupie i oburzałem się na siebie, że tak niewolniczo posłuszny byłem dziwactwom damy, o której nawet dobrze nie wiedziałem, kim jest i czy ma prawo do Szacunku.

Tu przypomniła mi się przysięga, którą sam sobie złożyłem w Düsseldorfie i o której w ciągu ostatnich tygodni wcale nie myślałem: że nie będę pozostawał w pobliżu Renaty dłużej niż trzy miesiące, dłużej niż czas, w jakim wydam trzecią część zebranych przeze mnie pieniędzy. Trzy miesiące od owego ranka upłynęły już sześć dni temu, a przeznaczona suma pieniędzy prawie cała była wydana. Bod wpływem tych rozmyślań błysnęła mi myśl, by wcale nie wracać do Kolonii, lecz zawrócić konia i jechać na południe do

Bonn, w kierunku ojczystego Losheimu, a Renatę pozostawić jej samotnemu losowi. Jednakże na to, by tak postąpić, nie starczyło mi odwagi, przede wszystkim dlatego, że dręczyła mnie tęsknota za Renatą, a także honor nie pozwalał mi na taką zdradę.

Wtedy powiedziałem sobie, że kiedy przyjadę do domu, otwarcie z Renatą pomówię i powiem jej szczerze, że jej poszukiwania hrabiego Henryka — to szaleństwo, przypomnę jej, że pokochałem ją namiętnie i całym sercem, i zaproponuję, by została moją żoną. Jeśli może przed Bogiem i ludźmi przysiąc mi, że będzie wierną i oddaną żoną, udamy się oboje do Losheimu i kiedy otrzymamy błogosławieństwo moich rodziców, pojedziemy, by żyć za Oceanem, w Nowej Hiszpanii, gdzie cała przeszłość Renaty pójdzie w zapomnienie niczym przedranny sen.

Ukołyszany tymi marzeniami o spokojnym szczęściu czułem się lekki i swobodny; półgłosem nuciłem wesołą hiszpańską piosenkę „A Mingo Revulgo, Mingo” i wciąż popędzałem konia, tak, że jeszcze za dnia pojawiły się przede mną mury Kolonii, czerniejące nad białym śniegiem.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### O tym, jak spotkałem się z hrabią Henrykiem i dlaczego wyzwałem go na pojedynek

Kiedy zmęczony, lecz szczęśliwy dojechałem do naszego domu, kołataniem do wrót wywołałem Luizę, wręczyłem jej cugle mego konia i spytałem:

— Jak tam pani Renata?

Ku memu zdziwieniu Luiza odrzekła:

— Zdaje się, że czuje się lepiej, panie Ruprechcie. Kiedy was, panie, nie było, całymi dniami biegała po mieście, a wczoraj wróciła dopiero późnym wieczorem.

W słowach Luizy oczywiście ukryte było ostrze, już od dawna bowiem odnosiła się do Renaty nieprzychylnie — i uderzenie nie chybiło celu. „Jakże to — powiedziałem sobie — Renata, która w mojej obecności udaje, że niczym sparaliżowana nie może wstać z łóżka, Renata, która całymi tygodniami nie chce przestąpić progę swego pokoju, zupełnie jakby czyniąc ślub wyrzekła się tego, ledwo pozostała sama, w zimie aż do nocy biega po ulicach! Czy po tym można nie wierzyć przypuszczeniom Hansa Weyera, że cała ta choroba — to tylko imaginacja, że wszystkie cierpienia Renaty — to tylko rola odgrywana jak w teatrze!”

Oburzony, niemal w gniewie, wbiegłem schodami na piętro, lecz tam na podeście, oparta o poręcz, czekała na mnie Renata, przy czym twarz jej była blada i zdradzała niezwykle wzburzenie. Na mój widok wyciągnęła ręce, ujęła mnie za ramiona i, nie dając mi słowa wymówić, bez powitania rzekła:

— Ruprechcie, on jest tutaj.

— Kto jest tutaj? — spytałem.

— Henryk! Widziałam go. Rozmawiałam z nim — wyjaśniła.

Jeszcze niezupełnie wierząc słowom Renaty, zacząłem ją wypytywać:

— Nie pomyliłaś się? Może ci się to tylko zdawało? To był ktoś inny. Sam ci się przyznał, że jest hrabią Henrykiem?

Renata pociągnęła mnie jednak do swego pokoju, zmusiła, bym siadł, po czym niemal przywierając do mnie, blisko pochyliwszy twarz i z trudem

oddychając zaczęła mi opowiadać, co działo się z nią w Kolonii w ciągu tych dwóch dni.

Według jej słów w sobotę, w porze niesporów, kiedy u kresu sił zazwyczaj przy oknie pogrążała się w wielkim smutku, nagle usłyszała cichy lecz wyraźny głos, jakby anielski, który powtórzył trzykrotnie: „On jest tutaj, koło Katedry. On jest tutaj, koło Katedry. On jest tutaj, koło Katedry”. Renata nie mogła już ani się zastanawiać, ani zwlekać, lecz wstała, narzuciła płaszcz i natychmiast pośpieszyła do Katedry, na plac podówczas pełen ludzi. Nie upłynęło nawet pięć minut, kiedy w tłumie dostrzegła hrabiego Henryka, który szedł obejmując ramieniem jakiegoś młodego człowieka. Renata wzburzona widokiem tego, o którym tak długo marzyła, omal nie padła bez zmysłów, lecz jakaś siła, jakby z zewnątrz, podtrzymała ją, mogła więc podążyć za idącymi przez całe miasto, póki nie weszli do domu należącego do Edwarda Steina, przyjaciela humanistów.

Nazajutrz, w niedzielę, Renata już o świcie stała na straży w pobliżu tego domu, powzięła bowiem niezłomne postanowienie, że doczeka pojawienia się hrabiego Henryka. Czekać musiała długo, dzień cały, lecz nie zwracała uwagi na zdziwione spojrzenia przechodniów i podejrzliwe rajtarów, i o drzenie przyprowadzała ją jedynie myśl, że Henryk mógł w nocy opuścić miasto. Nagle, już blisko zmierzchu, drzwi otworzyły się i ukazał się Henryk z tym samym młodzieńcem, co wczoraj, i obaj rozmawiali z ożywieniem. Renata poszła za nimi, kryjąc się pod murami prześledziła całą ich drogę aż do Renu, gdzie przyjaciele pożegnali się: nieznajomy skierował się na przystań, w stronę statków, a Henryk zamierzał wracać. Wtedy Renata wyszła z cienia i zawołała go po imieniu.

Według słów Renaty Henryk natychmiast ją poznał, lecz byłaby szczęśliwa, gdyby tak się nie stało, ledwo bowiem pojął, kto przed nim stoi, oburzenie i nienawiść wykrzywiły mu twarz. Renata chwyciła go za rękę; oswobodził się z dreszczem odrazy i odsuwając wyciągnięte do niego palce chciał się oddalić. Wtedy Renata na brudnym nabrzeżu padła przed nim na kolana, ucałowała kraj jego płaszcza i powiedziała mu to wszystko, co tyle razy mówiła mu: jak na niego czekała, jak go szukała, jak go kocha, i błagała, by ją na tym miejscu zabił, bowiem od jego ciosu umarłaby z rozkoszą, jak święta. Lecz Henryk odpowiedział jej, że nie chce ani z nią mówić, ani jej widzieć, że nawet nie ma prawa jej wybaczyć; wreszcie wyrwał się z jej rąk i niemal biegnąc zniknął, pozostawiając ją samą w ciemnościach i na bezludziu.

Wszystko to Renata opowiedziała jednym tchem, mówiąc głosem pewnym i dobierając zwrotów właściwych i obrazowych, lecz kiedy doszła do końca, nagle utraciła od razu siły i wolę i załamała się łzami: ucichł jakby wiatr pędzący

statek jej duszy i żagle żałościem żałopotały po olinowaniu. I natychmiast ciężko osunęła się na podłogę, bowiem rozpacz zawsze wlokła ją ku ziemi, tu z opuszczoną głową szlochała i miotła się, bezradnie powtarzając te same słowa, nie słuchając ani moich czułych pocieszeń, ani dociekliwych pytań.

Przyznaję, że chociaż tego dnia byłem bardziej daleki od Renaty niż kiedykolwiek, to jej opowieść wywarła na mnie oszołamiające wrażenie: serce moje żałomotało niespokojnie i cała dusza wypełniła się jakby czarnym dymem wybuchu. Nie do zniesienia była dla mnie myśl, że ktoś ośmielił się potraktować wyniośle i z pogardą kobietę, przed którą przywykłem klęczeć. Nie pozwoliłem sobie jednak ulec gniewowi i zazdrości, lecz usiłowałem jasno zdać sobie sprawę z tego, co zaszło, choć wydawało mi się to wichrem bezładnym i gwałtownym. Skoro tylko Renata odzyskała jaką taką możliwość mówienia z sensem, poprosiłem, by dokładniej powtórzyła mi słowa Henryka.

Wciąż jeszcze zachłystując się łzami wykrzyknęła:

— Jak on mnie obrażał! Jak on mnie obrażał! Mówił, że byłem jego złym duchem. Że zaprzepściłam jego los. Że odebrałam go Niebu. Że pochodzę od Diabła. Powiedział, że mnie nienawidzi. Że wspomnienie naszej miłości budzi w nim wstręt. Że nasza miłość była ohydą i grzechem, w które wciągnęłam go haniebnym oszustwem. Że on, że on... pluje na naszą miłość!

Wtedy zapytałem, dlaczego hrabia Henryk mógł powiedzieć, że Renata odebrała go Niebu? Czyż nie on sam, z własnej woli, uwiózł ją do swego zamku, żeby żyć z nią jak z żoną, jak z osobą bliską? A ponieważ w tym czasie rwący potok nieszczęścia zerwał w duszy Renaty wszystkie zwykłe tamy, to nie próbując się nawet bronić przypadła twarzą do moich kolan i wykrzyknęła z jakąś ostateczną szczerością, tak u niej niezwykłą:

— Ruprechcie! Ruprechcie! Zataiłam przed tobą najważniejsze! Henryk nigdy nie szukał ludzkiej miłości! Nie powinien był nigdy w życiu dotknąć kobiety! To ja, to ja go zmusiłam, by sprzeniewierzył się przysiędze! Tak, ja odebrałam go Niebu, ja odebrałam mu najpiękniejsze marzenia i za to teraz gardzi mną i mnie nienawidzi!

Nadal ostrożnie skradając się do prawdy niczym zwierzę do zdobyczy, pytanie po pytaniu dowiedziałem się od Renaty wszystkiego, co w swoim pierwszym opowiadaniu zataiła przede mną o Henryku i o czym nie wspomniała ani razu w ciągu trzech miesięcy naszego wspólnego życia. Dowiedziałem się, że Henryk był członkiem pewnego tajnego towarzystwa[126], do którego wstępując ślubuje się czystość. Towarzystwo to miało spiąć świat chrześcijański obręczą ciaśniejszą, niż to uczynił Kościół, i przewodzić całej ziemi bardziej władczo niż Cesarz i Ojciec Święty. Henryk marzył, że zostanie obrany wielkim mistrzem tego zakonu i wyprowadzi czółno



ludzkości z otchłani zła na drogę prawdy i światła. Renatę zawezwał do siebie tylko jako pomocnicę w swoich próbach nowej boskiej magii, potrzebna mu bowiem była szczególna siła ukryta w niektórych ludziach. Renata jednak, uważając Henryka za wcielenie jej Madiela, zbliżyła się do niego w jednym tylko celu — by nim zawładnąć, i nie gardząc żadnymi sposobami doczekała się tryumfu swoich pragnień. Jednakże Henryk po niedługim czasie, w którym rozum jego zaćmiła namiętność, przeraził się tego, co się stało, i przepełniony gorzkim żalem uciekł z rodzimego zamku jak z zadżumionego kraju.

Taka interpretacja wydarzeń wydała mi się o wiele prawdopodobniejsza od tej, którą Renata dawała mi uprzednio, tak że połączywszy w końcu oddzielne nitki jej opowieści w jedną całość, zapytałem:

— Jeśli sama przyznajesz, że zwiniałaś wobec hrabiego Henryka, że pozbawiłaś go najpiękniejszej nadziei i odebrałaś mu święty cel życia, to czemu się dziwisz, że cię nienawidzi?

Renata powoli uniosła się z podłogi, popatrzyła na mnie wyschłymi nagle oczyma, a potem powiedziała głosem zupełnie nowym, twardym, jakby odlanym ze stali:

— A może wcale się nie dziwię. A może cieszę się z tego, że Henryk mnie nienawidzi. I płaczę nie nad nim, lecz nad sobą. Nie żal mi, że go tracę, lecz wstyd mi i przykro, że mogłam tak go kochać, tak mu się oddawać. Sama go nienawidzę! Teraz wiem dokładnie to, czego już dawno się domyślałam. Henryk mnie oszukał! Jest tylko człowiekiem, zwykłym człowiekiem, którego można uwieść i którego można zgubić, a ja dotknięta obłędem wyobrażałam sobie, że jest moim aniołem! Nie, nie, Henryk to tylko hrabia Otterheim, niedoszły wielki mistrz swego zakonu, a mój Madiel — przebywa w Niebiosach, wiecznie czysty, wiecznie przepiękny, wiecznie niedostępny!

Renata złożyła ręce jak do modlitwy, a ja uznałem tę chwilę za odpowiednią, by powiedzieć jej wszystko to, o czym marzyłem, i o czym rozmyślałem w drodze powrotnej z Bonn.

— Renato! — powiedziałem. — Przekonałaś się więc, że hrabia Henryk to nie twój anioł Madiel, lecz zwykły śmiertelnik, który przez czas pewien ciebie kochał i którego ty kochałaś, bodajże przez omyłkę. Teraz miłość ta w nim wygasła, wygasła także w tobie i serce twoje, Renato, jest wolne. Przypomnij sobie, że jest przy tobie ktoś inny, dla kogo serce to jest droższe od wszystkich kopalń złota Meksyku! Jeśli ze spokojnym sercem, choć nawet bez namiętności możesz wyciągnąć do mnie rękę i przyrzec, że w przyszłości będziesz mi wierna, przyjmę to tak, jak nieszczęśliwy żebrak królewską jałmużnę, jak pustelnik łaskę Niebios! Oto, Renato, raz jeszcze klęczę przed tobą i od ciebie zależy, by cała twa straszna przeszłość przemieniła się w sen

ulegający zapomnieniu. Po tych moich słowach Renata wstała, wyprostowała się, położyła mi ręce na ramionach i powiedziała tak:

— Będę twoją żoną, ale musisz zabić Henryka!

Cofnąłem się o krok i spytałem, czy aby dobrze słyszałem, ponieważ Renata raz jeszcze tymi kilkoma słowami wyrzuciła całe wyobrażenie, jakie o niej miałem, zupełnie jak dziecko worek, z którego sypią się na ziemię wszystkie leżące w nim rzeczy — i Renata powtórzyła głosem spokojnym, lecz widocznie w wielkim wzburzeniu:

— Musisz zabić Henryka! Nie może żyć po tym, jak podawał się za kogoś innego, najwyższego. Skradł moje pieczyoty i moją miłość. Zabij go, zabij go, Ruprechcie, a będę twoją! Będę ci wierna, będę cię kochała, pójdę za tobą wszędzie — i w tym życiu, i w wiecznym ogniu, dokądkolwiek powiedzie nas nasza droga!

— Nie jestem najemnym mordercą, Renato — odrzekłem. — Nie jestem neapolitańczykiem[127], nie mogę za węglem czyhać na hrabięgo i uderzyć go sztyletem w plecy: honor mi na to nie pozwala!

— Czy doprawdy nie znajdziesz powodów, by wyzwać go na pojedynek? — powiedziała na to Renata. — Idź do niego, jak poszedłeś do Agrypy, obraź go albo zmuś, by ciebie obraził — czyż mało sposobów mają mężczyźni, by zabić jeden drugiego?

W tym, co mówiła, zdumiało mnie przede wszystkim, że wspomniała o Agrypie, gdyż do tej chwili byłem przekonany, że Renata, odnosząca się obojętnie do wszystkiego w świecie, nie wiedziała o celu mojej podróży. Co się zaś tyczy samego żądania — bym zabił hrabięgo Henryka — byłbym obłudny, gdybym zaczął zapewniać, że mnie ono przerażało. Zbiły mnie tylko z tropu nieoczekiwane słowa Renaty, lecz w głębi mojej duszy znalazły one zaraz życzliwy oddźwięk, zupełnie jakby ktoś przed głębokimi grotami uderzył w mosiężną tarczę i wielogłose echo, zamierające gdzieś daleko, długo ów dźwięk powtarzało. Kiedy więc Renata zaczęła na mnie napierać, niczym przeciwnik na wroga zagnanego do wąwozu, i zaczęła wyrywać moją zgodę jak pantera kawałek mięsa z cudzych pazurów — opierałem się niezbyt zaciekłe, niemal dla pozorów, i złożyłem przysięgę, na którą czekała.

Ledwo wyrzekłem decydujące słowa, Renata odmieniła całe swoje zachowanie. Nagle spostrzegła, iż padam ze zmęczenia po dość długiej drodze; z troskliwością, którą dotychczas tak rzadko przejawiała, rzuciła się, by zdejmować ze mnie podróżną odzież, przyniosła wody, żebym się umył, postarała się o wieczerzę i wino. Nagle zaczęła się ze mną obchodzić jak najlepsza, gospodarna żona z ukochanym małżonkiem lub jak starsza siostra z młodszym bratem, który zachorował. Renata przestała mówić o hrabi Henryku,

jakby zapomniała o naszej burzliwej rozmowie i mojej przysiędze, a przy wieczerzy zaczęła mnie wypytywać o moją podróż, interesując się wszystkim, co się ze mną działo, zastanawiając się wraz ze mną nad słowami Agrypy, jak w owe szczęśliwe dni naszych wspólnych studiów. Kiedy widząc przez okno czarne zupełnie niebo, mając jakieś wewnętrzne odczucie, że przekroczyliśmy już próg północy, chciałem ucałować rękę Renaty i pójść do siebie, ona spuściwszy oczy jak narzeczona powiedziała do mnie:

— Dlaczego nie chcesz dziś zastać ze mną?

Przyznaję, że to pytanie ugodziło mnie w samo serce. Już od wielu tygodni Renata nie pozwalała mi przy sobie spędzać nocy i naszą dawną bliskość wspominalem jak niedostępne szczęście. I oto kiedy nie śmiąc marzyć o tym, by pozostać z Renatą, kiedy przewyciężając żal z nią się żegnałem, nagle zadała mi takie pytanie, zupełnie jakbym swoim odejściem ją obrażał!

Nie pamiętam, co Renacie odpowiedziałem, wiem tylko, że zostaliśmy razem i że Renata nie chciała, bym leżał na drewnianym pomoście w pobliżu jej łóżka, lecz prosiła, bym położył się obok niej, znów tak samo jak w pierwszych dniach. Mało tego, zaraz zaczęła tulić się do mnie całym ciałem, jak kochanka, całowała mnie, szukała moich warg, moich rąk, mnie całego. I kiedy odsuwając się powiedziałem jej, że nie powinna mnie kusić, Renata odpowiedziała:

— Powinam! Powinam! Chcę być z tobą! Dziś chcę ciebie!

I tak nieoczekiwanie dokonało się moje pierwsze zespolenie się z Renatą jak mężczyzny z kobietą, w dniu, kiedy najmniej tego oczekiwałem, i po rozmowie, która bynajmniej do tego nie prowadziła. Owa noc stała się naszą pierwszą nocą małżeńską, po tym kiedy niemało nocy spędziliśmy w jednym łóżku jak brat z siostrą i po tym kiedy kilka miesięcy żyliśmy obok siebie jak skromni przyjaciele. Lecz gdy w męce nieoczekiwanego szczęścia, upojony spełnieniem się wszystkiego, co wydawało mi się już niemożliwe, wyczerpany przywarłem do warg Renaty, by pocałunkami dziękować jej za rozkosz — nagle ujrzałem, że oczy Renaty są znów pełne łez, że lzy spływają po jej policzkach i że wargi jej wykrzywił uśmiech bólu i beznadziei.

— Renato, Renato! — wykrzyknąłem. — Czy ty naprawdę płaczesz?

Odpowiedziała głosem zdławionym:

— Całuj mnie, Ruprechcie! Pieść mnie, Ruprechcie! Przecież ci się oddałam! Przecież oddałam ci całe moje ciało! Jeszcze! Jeszcze!

Prawie w strachu przypadłem twarzą do poduszki, sam gotów płakać i zgrzytać zębami, lecz Renata siłą ciągnęła mnie ku sobie, zmuszała, bym był żywym narzędziem jej męki, dobrowolnym, lecz wzdrygającym się katem, i z nienasyconą żądzą poddawała się udreće i rozpinaniu na kole pieszczoł, na krzyżu zmysłowości. Znów i znów oszukiwała mnie udawaną czułością, kusiła

namiętnością, być może nawet nie sztuczną, lecz nie mnie przeznaczoną, i rzuciwszy swe ciało między płomienie i piły, jęczała z rozkoszy, że czuje ból, płakała z niedobrej radości, że siebie nienawidzi. Aż do samego rana trwała ta potworna zabawa w miłość i szczęście, w której pocałunki były ostrymi klingami, wezwania do rozkoszy — groźbami sędzi, lzy namiętności — krwią, a całe nasze małżeńskie łóżko — katownią.

Wieczór ów, kiedy w imię miłości żądano ode mnie morderstwa, i noc, kiedy w imię namiętności żądano ode mnie mąk, pozostały najstraszliwszym z moich majaczeń i sen zupełnego wyczerpania, który wybawił mnie od diabelskich przywidzeń, wyświadczył mi łaskę większą, niż by to mogli wszyscy władcy świata.

Rano zbudziłem się bardziej zmęczony, niż byłbym po półrocznym zamknięciu w lochu; moje oczy ledwo zdolne były patrzeć na świat, a świadomość była mętna jak kiepskie szkło. Renata bywała jednak niekiedy jak z metalu, twarda i sprężysta, nie znająca zmęczenia, i kiedy po raz pierwszy napotkałem jej spojrzenie — było ono takie samo jak poprzedniego dnia. Dla mnie wszystko było jeszcze tak mgliste, że gotów byłem wątpić, czy oboje aby żyjemy, lecz Renata już wzywała z bezlitosnym uporem:

— Ruprechcie! Czas już, czas! Musimy zaraz pójść do Henryka! Chcę, żebyś go zabił prędko, dziś albo jutro!

Nie dawała mi się zastanowić, ponagliła mnie niczym na statku w czasie katastrofy, kiedy każda minuta jest droga — i teraz ulegałem jej z pokorą androida Alberta Wielkiego. Bez sporów wystroilem się jak mogłem najlepiej, przypasałem szpadę i ruszyłem za Renatą, która prowadziła mnie przez ulice, bezładne o tej wczesnej porze, w milczeniu, nie odzywając się na moje słowa, jakby spełniając czyjąś niezłomną wolę. Wreszcie doszliśmy do domu Edwarda Steina, dużego i wspianiałego, z przemysłnymi balkonami i szukatorskim obramowaniem okien, i Renata jednym tylko słowem „tu” wskazała mi masywne rzeźbione drzwi, szybko odwróciła się i poszła sobie, pozostawiając mnie jakby sam na sam z moim sumieniem. Zresztą, nawet nie patrząc za Renatą, natychmiast wyczułem, że nie odejdzie daleko, lecz schowa się za pierwszym zakrętem i będzie czekać na moje ponowne pojawienie się przy tych drzwiach, a wtedy podbiegnie, by natychmiast wydrzeć mi wiadomość o sukcesie.

Prawdę mówiąc, byłem tak ogłuszony wirem wydarzeń, który mnie porwał, że wbrew moim zwyczajom nie zdążyłem uważnie i trzeźwo rozpatrzyć swojej sytuacji. Dopiero kiedy chcąc zastukać, ująłem za kołatkę u drzwi, masywną i wytwornej roboty, przypomniałem sobie, że nie przygotowałem się do rozmowy z Henrykiem, że w ogóle nie wiem, co będę robił, kiedy wejść do tego

bogatego domu. Nie pora jednak było zwlekać i z tą determinacją, z jaką zmrzywszy oczy ludzie rzucają się w otchłań, uderzyłem pewnie i donośnie metalem po metalu, a kiedy sługa otworzył mi drzwi, powiedziałem, że w sprawie ważnej i nie cierpiącej zwłoki muszę się koniecznie widzieć z hrabią Henrykiem von Otterheim, który się w tym domu zatrzymał.

Sługa poprowadził mnie przez sień zastawioną wysokimi lecz gustownymi szafami, potem szerokimi schodami o pięknych poręczach, dalej przez przedpokój, gdzie wisiały obrazy przedstawiające różne zwierzęta i wreszcie, zastukawszy, otworzył mi małe drzwi. Ujrzałem przed sobą wąski pokój z drewnianym zdobnym pułapem, z rzeźbionymi fryzami wzdłuż ścian, cały zastawiony drewnianymi pulpitami na książki, i zza tych pulpitów na moje spotkanie wyszedł młody człowiek wytwornie ubrany, jak rycerzowi przystało, w jedwabie, z rozciętymi rękawami, ze złotym łańcuchem na piersi i mnóstwem drobnych złotych ozdób. Domyśliłem się, że to hrabia Henryk.

Nim zacząłem mówić, kilka chwil wpatrywałem się w tego człowieka, z którym, choć tego nie wiedział, już tak dawno cudownym sposobem związany był mój los, i którego postać tak często usiłowałem sobie wyobrazić, którego niekiedy uważałem to za niebiańskiego ducha, to za wytwór chorej wyobraźni. Sądząc z wyglądu Henryk miał nie więcej niż lat dwadzieścia i w całej jego istocie tyle było świeżości i młodości, że zdawało się, iż nic w świecie nie zdoła ich zniweczyć, tak, że niemal strach ogarniał i mimo woli przypominała się wieczna młodość, jaką rzekomo daje ludziom tajemniczy napój, w którym rozpuszczony jest alchemiczny kamień mędrców[128]. Twarz Henryka, bezbroda i na wpół młodzieńcza, była nie tyle piękna, ile zdumiewająca: jego błękitne oczy, głęboko osadzone pod nieco rzadkimi rzęsami, zdawały się odpryskami lazuru nieba, wargi, być może zbyt pełne, mimo woli składały się w uśmiech taki sam jak u aniołów na świętych obrazach, a włosy, istotnie podobne do złotych nitok, tak były cienkie, ostre i suche, że aż dziw brał, jak każdy leżał osobno unosząc się nad jego czołem niby aureola świętego. We wszystkich ruchach Henryka była żywiołowość nie biegu, lecz lotu, i gdyby nadal obstawano, że jest mieszkańcem Niebios, który przybrał ludzką postać być może dojrzałym za jego chłopcę ramionami dwa białe łabędzie skrzydła.

Hrabia Henryk pierwszy przerwał milczenie, oczywiście niedługo, lecz które wydawało się długie, pytając, czym może mi służyć — i jego głos, który tu usłyszałem po raz pierwszy, wydał mi się najpiękniejszy z całej jego istoty — śpiewny, z łatwością i szybko przechodzący wszystkie stopnie muzycznych tonów.

Używając całej swej bystrości, starając się mówić płynnie i swobodnie,

lecz nie wiedząc nawet, czym zakończę propozycje, których pierwsze słowa wypowiadam — zacząłem mowę pełną szacunku. Powiedziałem, że wiele o hrabi słyszałem jako o znakomitym uczonym, który w tak młodych latach przeniknął zakazane tajemnice przyrody i zgłębił wszystkie nauki tajemne, od Pitagorasa[129] i Plotyna do nauczycieli naszych dni; że od wczesnego dzieciństwa odczuwałem nienasycone pragnienie poznania wyższej mądrości, szukania praprzyczyny wszechrzeczy; że gorliwymi i pilnymi studiami osiągnąłem pewien poziom rozumienia, lecz przekonałem się z całą pewnością, że drogą osobistych wysiłków nie można przeniknąć do ostatecznych tajemnic, ponieważ już od czasów Hirama, budowniczego Salomona, wtajemniczeni przekazują swoim uczniom podstawowe prawdy tylko ustnie, że tylko w towarzystwach, gdzie — jak w Kościele dary Ducha Bożego — z ojca na syna przekazuje się odkrycia prastarych ludów: Żydów, Chaldeczyków, Egipcjan i Greków, można drogą poznania dojść do celu; że znając hrabiego jako osobistość wpływową i ważną w najznacniejszym z tych towarzystw, które wszystkie powiązane są ze sobą wspólnotą zadań i wspólnotą sprawy, zwracam się teraz do niego z prośbą, by pomógł mi jako pokornemu uczniowi wstąpić do jednego z nich.

Ku mojemu zdziwieniu ta mowa, na pół chełpliwa i na pół obłudna, w której postarałem się wystawić na pokaz wszystkie swoje skąpe wiadomości o tajemnych zakonach wtajemniczonych — została przyjęta przez hrabiego Henryka jako coś godnego uwagi. Biorąc mnie, jak się zdaje, za jednego z wtajemniczonych, chociaż pozostającego poza towarzystwami, Henryk śpiesznie i z wielką uprzejmością wskazał mi ławę, usiadł sam i wpatrując się we mnie smutnymi i szczerymi oczyma, zaczął ze mną rozmawiać jak bliski z bliskim.

— Odpowiedzcie mi, panie, najprzód — rzekł do mnie — czy jesteście z nami spokrewnieni przez podstawowe dążenia swego ducha? Czy życie, podobnie jak my, nienawidź do bestii Wschodu i Zachodu[130]? Czy przyjęliście, jako pierwsze i wieczne wskazanie, emblemat Syna Bożego[131], opromieniony światłem? Czy pragniecie wznieść się ku wrotom niebiańskim po siedmiu stopniach z ołowiu, mosiądzu, miedzi, żelaza, brązu, srebra i złota[132]?

Prawdę mówiąc, mało co pojąłem z tych dziwnych pytań, lecz podobne wyrażenia nie były nowością dla mnie, który dopiero co przeczytałem mnóstwo ksiąg z dziedziny magii, i chociaż godzina ta wydawała mi się niezwykle ważna w moim życiu, nie zdołałem przezwyciężyć przewrotnej pokusy, która kazała mi zbadać, jak dalece sami wtajemniczeni wzajem aie się rozumieją. Przypominając sobie kilka zagadkowych wyrażań, napotkanych

przeze mnie w „Poemandrze”[133] i innych podobnych dziełach, postarałem się odpowiedzieć Henrykowi w ten sposób, w jaki przemawiał do mnie, i najbardziej niepokoiłem się o to, by moje słowa nie miały żadnego związku z jego słowami, ponieważ taką osobliwość zauważyłem we wszystkich tajemnych pytaniach i odpowiedziach.

— Smaragdowa tablica Hermesa Trismegistosa[134] — powiedziałem — głosi: to, co w górze, podobne jest do tego, co w dole. Lecz pentagram głową skierowany ku górze oznacza zwycięstwo ternera nad dwoma — zwycięstwo ducha nad ciałem; głową zaś skierowany ku dołowi — zwycięstwo grzechu nad dobrem. Wszystkie liczby są tajemne, lecz jedności wyrażają głównie to, co boskie, dziesiątki — niebiańskie, setki — ziemskie, tysiące — przysze. Jak myślicie, panie, czy przyszedłbym do was, gdybym nie umiał odróżnić otchłani górnej od otchłani dolnej?

Ledwo wyrzekłem owe całkiem puste słowa, kiedy natychmiast tego pożałowałem, gdyż Henryk odniósł się do nich z ufnością dziecka i wykrzyknął z takim zachwytem, jakbym odkrył mu coś niepojętego i coś zdumiewającego[135]:

— Ach, macie słuszość, panie, macie słuszość. Oczywiście, oczywiście! Zaraz wiedziałem, że my obaj — o tym samym. I wcale nie poddawałem was próbie! Chcę was tylko uprzedzić, że na tej drodze, ku której zdążacie, więcej jest cierni niż słodkich jagód. Na tajemnych zebraniach nie objawia się prawdy prawd ot tak, po prostu. Pierwsze słowo, które musimy powiedzieć nowo przybyłemu, to — ofiara. Tylko ten, kto pragnie złożyć siebie w ofierze, może zostać uczniem. Czy zastanowiliście się, panie, nad przykładami: Świetlanego Ozyrysa, którego zranił mroczny Tyfon? boskiego Orfeusza rozszarpanego przez bachantki? cudownego Dionizosa uśmierconego przez tytanów? naszego Baldura, syna światła, który padł od strzały podstępnego Loki? Abla zabitego ręką Kaina? Chrystusa ukrzyżowanego? Przed dwustu laty rycerze Świątyni[136] zapłacili życiem za wzniosłość swych celów i za szlachetność, z jaką mówili władynom: „Będziesz królem, pókiś sprawiedliwy”. Wergiliusz Maro opisuje dwoje drzew[137] wiodących ze świata cieni: pierwsze ze słoniowej kości, lecz przez nie wylatują tylko zwodnicze widma; drugie są z rogu. Pytam was tylko, panie, czy z własnej woli zmierzacie do mniej ozdobnych drzew?

Henryk wypowiedział to wszystko z wielką pasją, każde słowo wymawiając tak, jakby było mu szczególnie drogie lub jakby pierwszy raz w życiu wyszło z jego ust. Patrząc na tego na wpół młodzieńca, na wpół dziecko, w którym tak wiele było wewnętrznego żaru, że starczyło błahego powodu, w rodzaju lekkomyślnych pytań przypadkowego gościa, by żar ów wybuchnął ognistymi

językami — czułem, że niknie i zamiera we mnie cała nienawiść, jaką do niego żywiłem, cała niechęć. Słuchałem przedziwnej modulacji jego głosu, jakby odslaniającej błękitne dale, wpatrywałem się w jego oczy, które jak mi się zdawało mimo ożywionej mowy pozostawały smutne, kryją jakby w swej głębi rozpacz, która tam osiadła — i byłem jak żmija, która wypełzła spod kamienia, by ukąsić, lecz oczarowała ją melodia afrykańskiego zaklinacza. Przyszła chwila, kiedy gotów byłem krzyknąć: „Wybacz mi, hrabio, ja przecież niegodziwie z ciebie zadrwiłem!”. Lecz z przerażeniem uchwyciwszy swą myśl na tak niebezpiecznej ścieżce, krzyknąłem sam do siebie „strzeż się!” i starałem się okiełzać własną duszę jak jeźdźciec ponoszącego konia. I zaraz, by dać sobie możność odzyskania równowagi, rzuciłem Henrykowi jeszcze kilka słów mówiąc mu:

— Nie boję się prób, ponieważ już od dawna niezdolna mi jest nasza wiedza, która według słów pewnego uczonego polega na upodobnieniu się poznającego do poznawanego, *assimilatio scientis ad rem scitem*[138]. Szukam tego poznania, o którym mówi tenże Hermes Trismegistos jako o rozumnej ofercie duszy i serca. A czyż ten, kto jej szuka, może bać się czerni na swej drodze?

Także i te słowa Henryk pochwylił jak drogocenną zdobycz, i zupełnie jakby na każdy temat mógł mówić bez końca, wygłosił do mnie długą i również natchnioną przemowę. I znów, wbrew mojej woli, przemowa ta, wygłoszona jakby w celu przekonania i uspokojenia najlepszego przyjaciela, tak silnie wryła się w mej pamięci, że teraz nie sprawia mi żadnego trudu wskrzesić ją niemal słowo po słowie.

— Rozumiem was, panie, rozumiem — powiedział. — Tylko że mylicie się mniemając, iż możemy rozdawać prawdziwą wiedzę niczym dary. Tajemna wiedza nazywa się tak nie dlatego, że kryje się w symbolach. Nie posiadamy żadnych prawd, mamy natomiast emblematy, przekazane nam przez starożytność, przez ów pierwszy naród ziemski[139], który żył obcując z Bogiem i aniołami. Ludzie ci znali nie cienie rzeczy, lecz same rzeczy, i dlatego pozostawione przez nich symbole ściśle wyrażają samą istotę bytu. Potrzeba jednak było wiecznej Sprawiedliwości, abyśmy, skoro utraciliśmy ową bezpośrednią wiedzę, osiągnęli błogość poprzez chrzcielnicę ślepoty i niewiedzy. Teraz musimy połączyć wszystko, co zdobyliśmy naszym rozumem, z dawnym objawieniem, i tylko z tego połączenia uzyska się absolutną wiedzę. Wiercie mi jednak, panie, czysta dusza i czyste serca pomogą w tym bardziej niż wszystkie rady mędrców. Cnota — oto prawdziwy kamień mędrców!

W tym miejscu swej przemowy Henryk uczynił przerwę, potem z zupełnie odmienioną twarzą i nieco błędnym spojrzeniem dodał cicho i z naciskiem:



— Przecież wy także, panie, wiecie, że czas i terminy się dopełniły. Przecież wy także, gdy tylko nastanie cisza, słyszycie otwierające się drzwi. Teraz także: wsłuchujcie się! Słyszycie: kroki się przybliżają? Słyszycie: liście spadają z drzew?

Ostatnie słowa Henryk wypowiedział zupełnie zamierającym głosem, dając mi znak, bym zachował ciszę, wsłuchany, jakbym istotnie słyszał kroki i opadanie liści, i blisko ku mnie pochylił swoje oczy, duże i obłąkane, tak że strach mnie ogarnął i poczułem się nieswojo. Oderwałem wzrok od wzroku Henryka i, nagle odchyliwszy się na oparcie fotela, zmieniając ton powiedziałem mu twardo i szorstko:

— Dość tego, hrabio, teraz rozumiałem wszystko, co chciałem wiedzieć.

Henryk popatrzył na mnie zdumiony i spytał:

— Coście, panie, zrozumieli i co chcieliście wiedzieć?

— Dowiedziałem się już ostatecznie — odrzekłem — że jesteście oszustem i szarlatanem, który ukradł gdzieś strzępy wiedzy tajemnej i posługuje się tym kradzionym, by uchodzić za wtajemniczonego i nauczyciela!

Po tak nieoczekiwanej napaści Henryk mimo woli powstał z ławy i nadal nie spuszczać ze mnie wzroku uczynił kilka kroków do przodu, jakby chcąc żądać ode mnie wyjaśnień. Czekałem, nie ruszając się, nie spuszczać oczu, lecz Henryk nie dochodząc do mnie przemógł swoje wzburzenie i powiedział krótko:

— Jeśli tak, panie, myślicie, to nie mamy o czym więcej mówić! Żegnajcie!

Lecz teraz ja, już na nic nie zważając, krzyknąłem:

— Teraz to wy się mylicie, panie hrabio, myśląc, że za oszustwo możecie tak tanio zapłacić! Są świętości, z których nie wolno żartować, i są słowa, których nie wolno lekkomyślnie wypowiadać! Odpowiedzcie mi za to, hrabio Henryku von Otterheim!

— Kim jesteście, panie, że przychodzicie do mnie i nagle zaczynacie mówić takim głosem? Mogę was, panie, nie słuchać!

Odparłem uroczyście:

— Kim jestem? Jestem głosem waszego sumienia i głosem zemsty!

Mówiąc tak patrzyłem na oczy Henryka i przypominałem sobie, że Renata je kochała, na jego ręce — i mówiłem sobie, że Renata je całowała, na jego ciało — i starałem się sobie wyobrazić, jak ona z upojeniem je pieściła. Jakby wielkimi miechami rozdmuchiwałem w duszy płomień zazdrości i jak dowódca żołnierzom rozkazywałem swoim słowom: „Śmielej!”

Tymczasem Henryk, uznając mnie zapewne za pomyłonego, powiedział do mnie: „Porozmawiamy później!” — i chciał wyjść z pokoju. Lecz ja, w strachu, że nie wykorzystałem tego spotkania, które mogło się już nie powtórzyć,

zagroziłem Henrykowi drogę i krzyknąłem teraz już naprawdę z pasją:

— Was, panie, który mówicie o nocie, oskarżam o niegodziwość! Oskarżam was, że zachowaliście się wobec damy nie jak rycerz! Podstępem wywieźliście do swego zamku dziewczynę w celu nikczemnym, niemal zbrodniczym. Potem sponiewieraliście ją i porzucili. Kiedy tu, na ulicy, błagała was o łaskę, znieważyliście ją tak, jak mężczyzna nie ma prawa znieważać kobiety. Rzucam wam rękawicę i jeśli jesteście rycerzem, podejmiecie ją!

Wrażenie, jakie wywarły owe nieprzemyślane słowa, których z różnych względów nie powinienem był powiedzieć, przeszło moje oczekiwania, ponieważ Henryk jak raniony jeleń rzucił się w bok ode mnie; potem w wielkim wzburzeniu schwycił jakąś księgę z pulpitu i drżącymi palcami machinalnie zaczął przewracać jej karty; wreszcie odwrócił się i zdławionym głosem zapytał:

— Nie znam was, panie, nie wiem, kim jesteście. Mogę przyjąć wyzwanie tylko od kogoś równego sobie...

Słowa te sprawiły, że już zupełnie straciłem panowanie nad sobą, chociaż bowiem jako syn medyka z małego miasteczka nie mam żadnych powodów, by wstydzić się swego pochodzenia, to jednak w pytaniu Henryka dostrzegłem niezasłużoną obrazę, która już nieraz mnie piętnowała jako człowieka nie należącego do rycerskiej rodziny. I w tej chwili nie znalazłem nic godniejszego, jak odrzuciwszy do tyłu głowę powiedzieć z chłodną wyniosłością:

— Jestem takim samym rycerzem jak wy, panie, i spotkać się ze mną w uczciwym pojedynku nie może przynieść wam wstydu. Jutro w południe przyslijcie waszych towarzyszy w pobliże Katedry, by umówili się z moimi. W przeciwnym razie pozostanie mi tylko zabić was jako tchórza nie znającego honoru.

Już kiedy wypowiedziałem te słowa, rozumiałem, jak haniebne było kłamać w tej chwili, i ogamnął mnie wstyd i rozdrażnienie, tak że już nic nie dodając wybiegłem niemal z pokoju Henryka, szybko zbiegłem po wspaniałych schodach i gniewnym ruchem kazałem otworzyć sobie drzwi wyjściowe. Twarz moja niczym w źródlaną wodę wpadła w chłodny wiatr jasnego zimowego dnia, a oczy moje — w jasne błękitne niebo, i długo tak stałem niepewny, czy wszystko to, co się stało, działo się naprawdę. Potem szedłem ulicą bezwiednie dotykając ręką murów, jak ślepy wymacujący swoją drogę, aż nagle przede mną zarysowała się twarz Renaty, przestraszona i blada, z rozszerzonymi źrenicami. Chciała mnie o coś zapytać, lecz odsunąłem ją z taką siłą, że uderzywszy się o występ domu ledwo nie upadła, ja zaś bez słowa pomknąłem dalej.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### O tym, jak odszukałem Mateusza Wissmanna, i o moim pojedynku z hrabią Henrykiem

Minąłem kilka ulic i orzeźwiony ruchem i chłodem znów odzyskałem możność trzeźwego myślenia i wyciągania wniosków; powiedziałem sobie: „Pojedynek[140] twój z hrabią Henrykiem jest już postanowiony. Wycofać się teraz nie można i nie wypada. Trzeba tylko zastanowić się nad tym, jak najlepiej całą rzecz wykonać”.

Osobiście nigdy nie byłem zwolennikiem pojedynków, które za naszych dni tak zgubnie rozpowszechniły się we Francji, i chociaż znam wspaniałe słowa Jana Reuchlina, że „najpiękniejszym z tego, co posiadamy, jest honor”[141] — nigdy jednak nie mogłem się z tym zgodzić, by honor opierał się na ostrzu szpady, nie znajdując potwierdzenia w szlachetności postępów i słów. Jednakże w czasach, kiedy nawet monarchowie[142] nie gardzą wyzywaniem jeden drugiego na pojedynek, nie uważałem za stosowne uchylać się od pojedynków i kiedy byłem lancknechtem, nawet nieraz w nich brałem udział. Teraz sytuacja była o tyle bardziej skomplikowana, że po pierwsze wyzywającym — i to bez najmniejszego powodu — byłem ja, a po drugie, że postawiłem sobie za cel śmiertelnie ugodzić przeciwnika, i z racji tego wszystkiego było mi tak ciężko i trudno, jakbym miał spełnić obowiązek siepacza.

W tym momencie bynajmniej nie wątpiłem, że przewaga i wyższość w walce będą należały do mnie, gdyż choć już dawno nie zdarzyło mi się ćwiczyć ręki, byłem jednym z żołnierzy lepiej walczących na długie szpady, kiedy hrabia Henryk, oddany wyłącznie książkom i rozmyślaniom filozoficznym, nie mógł mieć czasu (tak mi się wtedy zdawało), by należycie ćwiczyć się w sztuce Ponsa i Torresa[143]. W zmieszanie wprawiało mnie coś innego, a mianowicie to, że w całym mieście prócz starego Glocka, nikogo nie znałem i nie wiedziałem, komu, zgodnie z obyczajem obowiązującym przy pojedynkach, powierzyć układy z przeciwnikiem i przygotowanie naszego spotkania. Po długim wahaniu postanowiłem zastukać do drzwi jednego z moich dawnych

uniwersyteckich kolegów, Mateusza Wissmanna, którego rodzina, jak wiedziałem, już od kilku pokoleń mieszkała w Kolonii i którego z tego powodu prędzej niż kogoś innego mogłem znaleźć po tylu latach na tym samym miejscu, ca niegdyś, wśród dawnych penatów.

Nadzieje moje nie zawiodły, istotnie bowiem okazało się, że Wissmannowie mieszkają na dawnym miejscu, chociaż niełatwo mi było odszukać ich niski stary domek o dwóch piętrach, wystających jedno nad drugim, wśród nowych, wysokich, rozmaicie przyozdobionych budynków, które nasze ruchliwe stulecie wzniosło dokoła. Mój Mateusz na szczęście był w domu, lecz ledwie mogłem poznać tego chłopca — choć nieco ociężałego, lecz mimo wszystko dość ujmującego i będącego nawet moim (jednakże okrytym wstydem!) rywalem w zalotach do ładniutkiej żony piekarza — w nalanym i statecznym grubasie o zaspanych oczach, śmiesznej bródce, pozostawiającej podbródek gołym, do którego poprowadził mnie sługa domu. Oczywiście on także ledwo mógł poznać rozhukanego i bezbrodego studenta, jakim byłem w owych szczęśliwych czasach, w mężczyźnie ogorzałym od równikowego słońca i wysmaganym przez huragany oceanu; kiedy jednak wymieniał Mateuszowi swoje imię i przypomniałem naszą dawną przyjaźń, ucieszył się szczerze, całą jego twarz rozjaśnił dobroduszny uśmiech, poprzez warstwy tłuszczu rozbłyśło na niej coś młodzieńczego, niczym światło poprzez mętne szkło.

Objąwszy mnie przyjacielsko i całując maślanymi wargami, Mateusz powiedział do mnie:

— Czy pamiętam Ruprechtai Bracie, przecież ja ciebie wspominam przy każdej bibce! Klnę się na przeczystą krew Chrystusa, że z całej naszej dawnej kompanii tylko ciebie było mi brak. No, włącz, włącz do mojej nory i pofolguj językowi! A ja każę zaraz podać dwie kwarty dobrego wina.

Ku zmartwieniu Mateusza odmówiłem picia wina i długo nie umiałem przystąpić do wyłożenia swojej sprawy. Mimo że usilnie się od tego wymawiałem, musiałem opowiedzieć Mateuszowi swoje przygody: lata w Losheimie, służbę moją jako lancknechta, włóczęgę po Italii, podróż do Nowej Hiszpanii i wyprawy wojenne tamże. Potem również Mateusz nie omieszczał mi zakomunikować, że już dawno zapomniał o wszystkich młodzieńczych figlach i odnosi sukcesy na wielce trudnym polu uczonego tutejszego Uniwersytetu. Ponad pięć lat zużył na to, by opanować początki nauk „artystycznych” i obroniwszy na dysputach kilka „sofizmatów” otrzymać tytuł bakałarza; tyleż lat upłynęło, nim zmógł księgi Arystotelesa, wykazał się w deklamacji i został licencjatem; wreszcie w tym roku ma nadzieję uzyskać inceptję i tytuł magistra, po czym stanie przed nim otworem dostęp do każdego z wyższych

fakultetów[144]. Mateusz z takim samozadowoleniem mówił mi o tym, że zasiada w radzie wraz z doktorami i rektorem, tak szczerze obawiał się czekających go wielkich „promocji” i tak naiwnie uważał siebie za uczonego, że nie starczyło mi odwagi, by sobie z niego pożartować, i nie uważałem za potrzebne wznawiać stary spór „poetów” z „sofistami”[145].

Wreszcie udało mi się przerwać opowieść przejętego swoją chwałą profesora i jako tako, ukrywając prawdziwy powód sprawy, wyłożył swoją prośbę. Mateusz skrzywił się, zupełnie jakby zażył gorzkie lekarstwo, lecz zaraz potem odniósł się do mojej propozycji jakoś łaskawiej i twarz znów mu się rozjaśniła.

— Nie moja to sprawa, bracie — powiedział do mnie. — Teraz, co prawda, nawet studenci chwytają za szpady[146], ale ja trzymam się starej zasady, że uczonej jest jak mnich — broń jest mu tak potrzebna, jak osłu okulary. No, ale niech tam, dla starego przyjaciela! Prócz tego okropność, jak nie lubię tej arystokracji, która wobec nas zadziera nosa! My w pocie czoła zdobywamy tytuł doktora, a im książę lub Cesarz nadają stopnie naukowe. Twój hrabia, jak widać, także zalicza się do takich doktorów na mocy bullii[147]! Jeśli chcesz nadziać go na rożen, już ja ci w tym pomogę!

Wskazałem mu miejsce wyznaczone przeze mnie dla układów, wyjaśniłem, gdzie mieszkam, po czym pożegnałem się, a Mateusz odprowadził mnie do drzwi wiodących na ulicę. Kiedy przechodziliśmy przez jadalnię, zastawioną ciężkimi meblami staroniemieckiej roboty, z sąsiedniego pokoju wybiegła nagle młoda dziewczyna w różowej sukience, zielonkawym fartuszk i złotym pasku, i natknąwszy się na nas, zmieszała się, przystanąła i nie wiedziała, co robić. Jej postać, kształtna i delikatna, krągła dziecienna buzia z półkolistą linią długich rzęs nad błękitnymi oczami, lniano-złociste warkocze upięte pod białym czepekciem, cały ten obraz przedstawił się mnie — przywykłemu do widoku smutku i męczarni, do rysów wykrzywionych namiętnością i rozpaczą — jak duszom potępionym, nim wstąpią w bramę piekieł, przedstawia się lot anioła. Zatrzymałem się, także zmieszany, nie wiedząc, czy przejść obok dziewczyny, czy skłonić się, czy się odezwać, a Mateusz śmiejąc się gromko patrzył na nasze zmieszanie.

— Siostrze, to Ruprecht — powiedział — pocziwy chłop, którego Oboje czasami wspominamy. A to, Ruprechcie, moja siostra, Agnieszka, którą widziałeś, kiedy była małą dziewczynką, trzynaście lat temu. Cóż tak patrzycie na siebie jak kot na psa? Może jeszcze będę was swatał. A może ty, bracie, już żonaty, co?

Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego, ale odpowiedziałem:

— Nie jestem żonaty, kochany Mateuszu, lecz nie trzeba takimi słowami

zawstydząć mnie i pannę. Wybaczcie mi, panno Agnieszko, chętnie znów was zobaczę, lecz teraz śpieszę w pewnej ważnej sprawie.

Skloniłem się nisko i szybko wyszedłem z domu.

Nie wiem, czy to pod wrażeniem tego spotkania, czy też niezależnie od niego, lecz kiedy pomyślałem, że mam teraz wrócić do domu, jakby mnie coś od tego odpychało — było to uczucie, jakie zapewne żywiłyby do siebie, gdyby wstąpiło w nie życie, dwa magnesy zbliżone do siebie tymi samymi biegunami. Przebywać z Renatą, widzieć jej oczy, słyszeć jej słowa, mówić z nią o Henryku, wydało mi się nie do zniesienia.

Dość długo błąkałem się po ulicach, zatrzymując się czemuś na jakichś rogach, i czemuś szybko przebiegając jakieś place, lecz potem zmęczenie i zimno zmusiły mnie do szukania schronienia, wszedłem więc do pierwszej napotkanej piwiarni[148], samotnie siadłem w kącie i poprosiłem o piwo i ser. W piwiarni pełno było chłopów i rozbawionych dziewczek, był to bowiem dzień targowy i dokoła nie milkły krzyki, klótnie, wymyślenia, połajanki i przekleństwa, czasem wsparte solidnym szturchańcem; mnie było jednak dobrze w tym zatechłym powietrzu i wśród zgielku pijanych ludzi. Prostackie, zwierzęce twarze, dziwaczna, błędna mowa, gorszące wybryki dziwnie jakoś godziły się z zamętem w mojej duszy, podobnie jak niekiedy krzyki tonących i wycie burzy stapiają się ze sobą i tworzą chór.

Potem przysiadł się do mnie jakiś źle ogolony chłopak, w pstryim odświętnym ubiorze, i zaczął długą przemowę o rozpaczliwej sytuacji chłopów, przemowę nie zawierającą nic nowego, choć i nie pozbawioną prawdy. Skarżył się na uciążliwość opłat, czynszów, kar i wszelkich podatków, na lichwiarstwo, na zakaz zajmowania się we wsi rzemiosłem, wspominał bunt, który wybuchł przed dziesięć laty, a wszystko to z pogroźkami, zwróconymi nieomal wprost do mnie, jakbym to ja był wszystkiemu winien. Spróbowałem zaproponować, że sam uważam siebie za pochodzącego raczej z chłopstwa i że na wszystko, co posiadam zapracowałem własnymi rękami, lecz słowa moje oczywiście, były daremne, i już pokornie słuchałem — było mi bowiem wszystko jedno, czego słucham — jak mój przygodny towarzysz groził rycerzom i mieszczanom pożarami, widłami i szubienicami...[149]

Ponieważ to ja ugaszczając mego rozmówcę, z wolna wstawił się zupełnie i znów znalazłem się sam w powszechnym zgielku. Rozejrzałem się dokoła i ukazał mi się ohydny widok: tu i ówdzie poniewierały się ciała ludzi spitych do nieprzytomności, w kącie jakichś dwóch wczepiwszy się sobie wzajemnie we włosy grzmociło się, ile wlezie, wszędzie widać było kałuże rozlanego piwa i ludzkich rzygów, a pośrodku tego wszystkiego inni ludzie kontynuowali pijatykę albo bezwstydnie żartowali z dziewczkami, także pijanymi i także

ohydny, albo używając brudnych kart ogrywali jeden drugiego. Nagle zdziwiłem się, czemu siedzę w tym ciemnym i smrodliwym kącie, szybko zapłaciłem i znów wyszedłem na zimowy ziąb. Zapadał już zmrok, więc ospale powlokłem się do domu.

Kiedy stukąłem do naszych drzwi, dusza moja zdawała się pusta jak wyczerpana studnia, lecz w domu natychmiast wypełniła ją surowa cisza i z przemożną siłą pociągnęła mnie w znajomy krąg myśli i uczuć. Czuję, jak z twarzy mojej znika ów niemły wyraz, który trwał na niej dzień cały, i jak wargi układają się w łagodny uśmiech, jakim zawsze witałem oczy Renaty. Z sercem bijącym tak samo niespokojnie jak za pierwszym razem otworzyłem drzwi do pokoju Renaty i widząc ją w zwykłej pozie przy oknie, z twarzą przyciśniętą do jego chłodnych szklanych krążków, zaraz podbiegłem do niej i padłem przed nią na kolana.

Renata nie powiedziała ani słowa o szorstkości, z jaką odepchnąłem ją rano, nie uczyniła mi wyrzutu, że tak długo nie wracałem, nie chciała dowiedzieć się, o czym rozmawialiśmy z Henrykiem, lecz jedynie, jakby wszystko inne już wiedziała, zapytała:

— Kiedy odbędzie się wasz pojedynek, Ruprechcie?

A ja, nie zdziwiony wtedy tym pytaniem, odpowiedziałem po prostu:

— Nie wiem, jutro się to zdecyduje...

Renata nie wyrzekła więcej ani słowa i opuściła rzęsy, a ja pozostałem kłęcząc u jej nóg, znieruchomiły, z głową opartą o parapet, lecz z oczyma wzniesionymi ku twarzy siedzącej dziewczyny, wpatrywałem się w jej ukochane, miłe choć nieregularne rysy i znów pogrążałem się w ich uroku, jakbym zapadał się w głąb bezdennej toni. Patrząc na tę kobietę, którą zaledwie wczoraj pieściłem darząc wszystkimi pocałunkami szczęśliwego kochanka i której ręki dziś nie śmiałem dotknąć pełnymi czci wargami, czułem, jak z całej jej istoty emanuje magiczna władza, zamykająca w swym obrębie wszystkie moje pragnienia. Jak lekkie plewy z wialni, szarawym dymem ulatywały i rozpraszały się wszystkie buntownicze myśli? i wszystkie przypadkowe pokusy dnia i na klepisko duszy wyraźnie padało pełne ziarno mojej miłości i mojej namiętności. Nie chciało mi się myśleć ani o Henryku, ani o sobie: byłem wtedy szczęśliwy, że lekko dotykam ręką ręki Renaty i że niedosłyszalnie mijające chwile pozostawiają mnie przy niej.

Tak w milczeniu, nie śmiąc przerwać go niebaczny słowem, mógłbym trwać do rana i uważałbym, że znajduję się u wrót Edenu, kiedy nagle Renata podniosła głowę, dotknęła ręką moich włosów i powiedziała czule, jakby kontynuując rozmowę:

— Miły mój Ruprechcie, nie powinienś go jednak zabijać!

Wzdrygnąłem się, wyrwany z oczarowania, któremu uległem, i spytałem:

— Nie powinienem zabijać hrabiego Henryka?

Renata potwierdziła swoje słowa:

— Tak, tak. Nie wolno ci go zabić. Jest świetlany, jest przepiękny, kocham go! To ja zawiniłam wobec niego, nie on wobec mnie. Byłam jak klinga, która przecięła wszystkie jego nadzieje. Trzeba go wielbić, całować go, dogadzać mu. Słyszysz, Ruprechcie? Jeśli dotkniesz jednego jego włosa — włosy ma złociste — Jeśli uronisz jedną kroplę jego krwi, nigdy już o mnie nic nie usłyszysz!

Powstałem z klęczek, ręce skrzyżowałem na piersi i spytałem:

— Dlaczego, Renato, nie pomyślałaś o tym wcześniej? Dlaczego zmusiłaś mnie do odegrania śmiesznej roli w komedii z pojedyńkiem? Czy wolno być lekkomyślną w sprawach życia i śmierci?

Ze wzburzenia aż dech w mnie zapierało, a Renata odpowiedziała mi ostro:

— Jeśli masz zamiar mnie lajać, nie będę tego słuchała! Lecz zabraniam ci, słyszysz, zabraniam ci tykać mojego Henryka! Jest mój i pragnę dla niego tylko szczęścia. Nie oddaję go tobie, nie oddam go nikomu na świecie.

Czyniąc Ostatnią próbę spytałem:

— Więc zapomniałaś, jak ciebie znieważał?

— Jak dobrze było! — wykrzyknęła Renata. — Jak było wspaniale! Przeklinał mnie! Chciał mnie uderzyć! A niech by mnie i deptał! To mój ukochany! Ukochany! Ja go kocham!

— Spełnię wszystko tak, jak tego chcesz, Renato. Nie mamy jednak o czym więcej mówić. Żegnaj!

Poszedłem do swego pokoju, rzuciłem się na łóżko i miałem uczucie, że jak zwierzę, które szczują, zostałem zagoniony w kolczaste ogrodzenie, że nie ma siły go przerwać i padłem na ziemię w oczekiwaniu, aż myśliwi mnie wykończą. Pragnąłem albo już nie Istnieć, albo ocknąć się z tego życia, i po raz pierwszy zaczynałem rozumieć, co to znaczy pokusa, by targając się na życie. Myśląc o swoim losie postanowiłem, że nie będę więcej o niczym mówił z Renatą, że jutro wyjdę na pojedynek, opuszczę szpadę i będę szczęśliwy, czując w piersi cudzą stal. I wyobrażając sobie swoje ciało całe we krwi, rozpostarte na ośnieżonej trawie, rozczulałem się nad sobą i było mi siebie żal, czułem się podobnie jak dziecko, któremu czytają o mękach świętych.

Jednakże rano, w trzech promieniach słońca, nieco uspokojony raz jeszcze rozważyłem swoją sytuację i zapragnąłem mimo wszystko porozmawiać z Renatą poważnie i bezlitośnie, gdyż decyzje jej zawsze były ulotne niczym chmurki i w ciągu nocy łatwo mogły się odmienić. Okazało się jednak, że Renata wstała wcześniej ode mnie i już wyszła z domu. Udałem się więc do



Mateusza chcąc mu zaproponować, żeby układając się w sprawie pojedynku wybrał warunki niezbyt ciężkie — jakiś wrodzony instykt kazał mi bowiem nadal troszczyć się o swoje życie, które w tym czasie wydawało mi się zupełnie niepotrzebne; lecz z Mateuszem także nie udało mi się zobaczyć. Wtedy, wyzbyty woli, wróciłem do domu pozostawiając wszystko trzem prądkom, niczym człowiek i tak skazany na śmierć, któremu pozostaje tylko wybór między toporem a szubienicą.

Po południu przyszedł Mateusz i w naszych pokojach przygnębienia i rozpaczki dziwne było pojawienie się tego zdrowego dobrodusznego grubasa, dziwny był jego gromki, niefrasobliwy śmiech wśród murów, które przywykły tylko do pogłosu szlochania i westchnień. Mateusz powitał mnie takimi słowami:

— Aha, bracie, daremnie udawałeś wczoraj, że masz do załatwienia jakąś ważną sprawę! Dowiedziałem się, że nie jesteś tu sam. Nie bój się jednak, wobec przyjaciół jestem niczym ryba — milczę, nikt bowiem nie jest bez grzechu. Tylko że to nieładnie kryć się przed przyjaciółmi! Nie zamierzam odbijać ślicznotek — ja nie z tych.

Kiedy jednak przerwałem mowę Mateusza i poprosiłem, by zdał mi sprawę z układów, Mateusz powiedział:

— Wszystko poszło jak po maśle. Już ja nie zdradzę przyjaciela, nie rzucę wilkowi na pożarcie! Od twojego hrabiego przyszedł jakiś fircyk, siadł jak dziewczyna, włosy utrefione. No, to go zbeształem! Na drugi raz niech się nie pyszni swoim rycerskim stanem przed porządnym mieszczaninem. A wasze spotkanie odbędzie się już dziś o trzeciej — po co odwlekać? — w lesie w pobliżu Lindenthalu[150]. Tam nikt wam nie przeszkodzi, pogruchocz młokosowi wszystkie kości.

Tego wyroku na siebie wysłuchałem nie okazując niepokoju czy niezadowolenia; bardzo rzeczowo omówiłem z Mateuszem różne szczegóły spotkania i poprosiłem, by zaszedł po mnie, kiedy będzie pora. Po odprowadzeniu Mateusza kazałem Luizie, by podała mi obiad, nie chciałem bowiem, aby słabość ciała miała wpływ na wynik sprawy, potem wyciągnąłem moją długą szpadę i zacząłem ćwiczyć rękę, starając się przywrócić jej potrzebną gibkość. Właśnie przy tym zajęciu zastała mnie Renata, która, opatulona płaszczem, niczym jakaś zjawa pojawiła się w drzwiach i wbiła we mnie pytające i pełne wyrzutu spojrzenie.

— Ruprechcie — rzekła — poprzysiągłeś mi wczoraj!

— Dotrzymam przysięgi, Renato — odpowiedziałem. — Lecz co będzie, jeśli teraz hrabia Henryk mnie zabije?

Renata odchyliła głowę do tyłu i wymówiła twardo:

— No to co?

Ukloniłem się ceremonialnie, tak jak kłaniają się dwaj przeciwnicy przed rozpoczęciem pojedynku, wsunąłem szpadę do pochwy i znów, tak jak wczoraj, wyszedłem z pokoju: nie miałem bowiem siły, by wyrzec się Renaty, a popaść pod jej wpływ nie chciałem.

Pozostały czas spędziłem na tym, że napisałem list do matki, której nie dawałem znać o sobie przez całych siedem lat, to jest od dnia, kiedy w tajemnicy opuściłem dom rodzicielski, napisałem także mój testament, przeznaczony dla Renaty, w którym zalecałem jej, by wzięła z pozostałych po mnie pieniędzy sumę, jaką uzna za potrzebną, a całą resztę posłała do Losheimu mojej rodzinie. Dziwnym sposobem moi krewni, ojciec i matka, i bracia, i siostry, o których prawie wcale nie myślałem, nagle wydali mi się niezwykle bliscy, wyraźnie przypominałem sobie ich twarze, ich głosy i poczułem niepowstrzymaną chęć, by ich uściskać, by im powiedzieć, że ich nie zapomniałem. Prawdopodobnie groźba śmierci rozmiękcza duszę jak silny żar metalu, choć śpieszę dodać, że list do matki pozostał niewysłany.

O wpół do trzeciej zaszedł do mnie Mateusz, nadal bynajmniej nie stropiony, i zaczął mnie po przyjacielsku ponaglać, chociaż moje przygotowania sprowadzały się do włożenia ciepłego płaszcza i przypasania szpady. Przed samym wyjściem uprzedziłem Mateusza, że mam jeszcze małą sprawę do załatwienia, a on figlarnie mrugnął do mnie wskazując pokój Renaty, do której istotnie nie mogłem nie wejść raz jeszcze. Po raz trzeci spróbowałem zwrócić na siebie jej uwagę, wydrzeć jej niemal przemocą choć jedno serdeczne słowo, przeznaczone dla mnie, i widząc ją przy pulpicie, jakby zagrożoną w modlitwie, powiedziałem do niej:

— Odchodź, Renato, i przyszedłem się z tobą pożegnać. Być może już się więcej w tym życiu nie zobaczymy...

Renata obróciła ku mnie bladą twarz, a ja wpilem się w nią wzrokiem, aby w jej rysach doszukać się najmniejszej choćby nadziei, ukrytej w jakimś ukladzie warg lub w jakiejś zmarszczce przy oczach, lecz wyraz tej twarzy był jakby wyrokiem śmierci na mnie, a słowa, które usłyszałem, znów były nieubłagane i bezlitosne jak bezwolnie padający kamień:

— Ruprechcie, pamiętaj, tyś mi poprzysiągł!

Zresztą to okrucieństwo Renaty raczej przydało mi się, niż mną wstrząsnęło, co niechybnie uczyniłaby jej serdeczność, poczułem bowiem, że nie utracę nic drogiego, a więc nie mam się czego lękać. Powróciłem do Mateusza z twarzą niemal wesołą i kiedy wyszedłszy z domu dosiedliśmy koni, które przygotował (ponieważ jechać należało dość daleko), nawet niezgorzej uśmiełem się z zabawnego widoku, jaki stanowił profesor na koniu. Mateusz

przez całą drogę zabawiał mnie żartami i dowcipami, przy których pomocy chciał podtrzymać we mnie dziarski nastrój, a ja z całą świadomością zmuszałem się, by możliwie uważnie ich słuchać i nie myśleć o tym, o czym strach było myśleć. Ktoś, kto by patrzył na nas z boku, mógłby nas wziąć za dwóch kupców, którzy w mieście ubili dobry interes, dobrze sobie popili i wracają do rodzinnej wioski wioząc podarki dla żon.

Kiedy już przejechaliśmy dość znaczną odległość po trudnej zamrznętej drodze, wreszcie dostrzegliśmy w mętnej dali wcześniej gasnącego zimowego dnia łagodnie opadające zbocze i dwóch jeźdźców czerniejących na skraju lasu.

— Ehe, tośmy się spóźnili! — powiedział Mateusz. — Pan rycerz jest niecierpliwy, przyszedł pierwszy, ale czy aby nie powiozą go ostatnim!

Kiedy podjechaliśmy bliżej, w milczeniu skłoniliśmy się naszym przeciwnikom i znów zobaczyłem hrabiego Henryka, spowitego w ciemny płaszcz, i jego towarzysza, młodzieńca zgrabnego jak dziewczyna, o delikatnej pociągłej twarzy, w berecie z piórem, podobnego do jednego z portretów Hansa Holbeina[151]. Potem zsiadliśmy z koni i kiedy my dwaj, ja i hrabia Henryk, pozostaliśmy jeden naprzeciw drugiego, nasi towarzysze odeszli na bok dla omówienia ostatnich warunków. Henryk stał przede mną nieporuszenie, z na wpół zakrytą twarzą, oparty na rękojeści szpady, cały jakby odlany z jednego kawałka metalu — i nie mogłem odgadnąć, czy jest spokojny, czy się oburza, czy też — tak jak mnie — ciąży mu własny los.

Wreszcie nasi towarzysze wrócili do nas i Mateusz, wzruszając ramionami i na wszelkie sposoby dając do zrozumienia, że uważa to za zbędne, oznajmił mi, że przyjaciel hrabiego Henryka, Lucjan Stein, zamierza zaproponować nam pojednanie. Szczerze mówiąc i nie lękając się, że zostaną poczytany za tchórza, przyznaje, że na tę wiadomość serce moje zabiło z radości i wydało mi się, że ów strojnisz w aksamitnym płaszczu jest wysłannikiem niebios.

Oto jednak jaką przemowę wygłosił do mnie Lucjan Stein:

— Z wczorajszych układów wyjaśniło się, że wy, czcigodny panie, nie pochodzicie z rodziny rycerskiej i dlatego mój przyjaciel, hrabia Henryk, mógłby bez uszczerbku dla swego honoru zlekceważyć obraźliwe słowa, jakimi go, panie, zasypaliście, i nie przyjąć waszego wyzwania. Jednakże widząc, że jesteście człowiekiem dobrze wychowanym i wykształconym, nie odpowiada wam odmową i gotów jest z bronią w ręku dowieść bezpodstawności waszych twierdzeń. Zanim jednak przystąpi do pojedynku, uważa za właściwe zaproponować wam, panie, żebyście po zastanowieniu się zakończyli tę zwadę pokojem. Albowiem prócz wypadków krańcowych nie powinien człowiek, istota stworzona na obraz i podobieństwo Boże, zagrażać życiu innego

człowieka. I jeśli wy, czcigodny panie, zgodzicie się przyznać, że zastaliście przez kogoś wprowadzeni w błąd, jeśli wyrażicie skruchę i przeprosicie za wasze wczorajsze słowa — mój przyjaciel chętnie wyciągnie do was rękę.

Mimo wyniosłości tych słów, być może nie bałbym się poniżyć do przeprosin, były to bowiem najlepsze drzwi, jakie pozostawały mi do wyjścia, jednakże pierwsza połowa przemowy czyniła to dla mnie niemożliwym. Aluzja Lucjana dotycząca tego, że wczoraj kłamliwie podałem się za rycerza, sprawiła, że cała krew napłynęła mi do twarzy i gotów byłem natychmiast uderzyć mówiącego, którego nie zabroniono mi pozbawić życia i któremu mogłem z całą swobodą pokazać siłę mojej nierycerskiej ręki. Co więcej, w tym wzburzeniu, niczym wysokie fale morskie nie pozwalające mi wyraźnie widzieć celu na brzegu, odpowiedziałem:

— Nie cofam żadnego ze swych słów. Powtarzam, że hrabia Henryk von Otterheim to oszust, obłudnik i człowiek nieuczciwy. I niech nas Bóg rozsądzi!

Słyszając moją odpowiedź Mateusz westchnął z ulgą, co przypominało dyszenie byka, a Lucjan odwrócił się i odszedł do Henryka.

Zrzućiliśmy płaszcze i obnażyliśmy szpady, a w tym czasie nasi towarzysze narysowali na ziemi, nieco pobielalej od szronu, koło, poza które nie powinniśmy byli wykroczyć. Wpatrywałem się w twarz Henryka i widziałem, że maluje się na niej skupienie i męstwo, jakby teraz poprzez anielskie rysy przeglądał ziemski człowiek, i pomyślałem, że taki właśnie bywał wtedy, kiedy jako mężczyzna odpowiadał na pieszczoty Renaty. Potem, gdy już wymieniliśmy zwykły w takich razach ukłon, zwróciłem uwagę na to, że jest gibki jak chłopaczek, że wszystkie jego ruchy, choć o to nie zabiega, są piękne jak u antycznej statuy, i przypomniałem sobie słowa zachwytu, jakimi Renata mi go opisywała. Ledwo jednak skrzyżowały się nasze klingi, ledwo stal brzęknęła o stal, drgnęła i zbudziła się we mnie dusza żołnierza: od razu zapomniałem o wszystkim prócz walki, i całe moje życie skoncentrowało się na wąskim odstepie między mną a moim przeciwnikiem i tych niedługich chwilach, które trwać mogło nasze starcie. Wszystkie szczegóły walki — rejterady, błyskawiczność szermowania, siła uderzenia, szybkość osłony, stopień sprężystości napotykaney klingi — stały się nagle wydarzeniami zawierającymi tyleż sensu, co cały przeżyty rok.[152]

Wiedziałem, że nie złamię danej Renacie przysięgi, ponieważ skuwała moją wolę z nadprzyrodzoną niemal siłą, lecz miałem nadzieję, że potrafię i będę w stanie nie dotykając hrabiego Henryka wytrącić mu szpadę z ręki i w ten sposób z honorem dla siebie zakończyć pojedynek. Jednakże bardzo szybko przekonałem się, że mniemanie moje o sztuce fechtunku rywala było zupełnie bezpodstawne, gdyż pod swoją klingą napotkałem szpadę twardą, szybką i

zwinną. Na wszystkie moje fortele Henryk odpowiadał natychmiast ze swobodą mistrza i bardzo szybko przeszedł do natarcia zmuszając mnie do odpierania z całą uwagą jego niebezpiecznych wypadów. Skrępowany jakby tym, że sam nie chciałem zadawać ciosu, z trudem odparowywałem ciosy przeciwnika, a ostrze jego szpady było co chwila skierowane we mnie, to na wprost, to z boku, to z dołu. Tracąc nadzieję na pomyślny wynik walki, traciłem także panowanie nad sobą: palce posiniały mi z zimna, szpada przestawała być mi posłuszna; widziałem przed sobą jakby wirujące koło ognistych kling i wśród nich, także jakby ognistą, twarz Henryka-Madiela. I oto zaczęło mi się już wydawać, że oczy Henryka lśnią gdzieś w górze nade mną, że nasza walka toczy się w wolnym nadziemskim przestworze, że nie ja paruję ataki wroga, lecz że mrocznego ducha Lucyfera wypiera z wyżyny nadgwiezdniej jasny arcystrateg Michał i pędzi go w mrok piekieł...

I nagle, przy jednej mojej błędnej paradzie, hrabia Henryk z siłą odbił moją szpadę i tuż przy piersi ujrzałem błysk wrogiej klingi. Natychmiast po tym poczułem tępe uderzenie i pchnięcie, jak zawsze przy ranie zadanej białą bronią; szpada wypadła mi z ręki, czerwona chmura przesłoniła mi wzrok i upadłem.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### O tym, jak przeżyliśmy grudzień i święta Bożego Narodzenia

Jak się później dowiedziałem, do mnie, leżącego bez przytomności na zimnej ziemi, pośpieszył z pomocą nie tylko Mateusz, lecz także mój rywal i jego przyjaciel. Hrabia Henryk przejawiał wszelkie oznaki skrajnej rozpacz, czynił sobie gorzkie wyrzuty, że przyjął wyzwanie, i mówił, że jeśli umrę, przez całe życie nie zazna spokoju. Po opatrzeniu mojej rany wszyscy trzej sporządzili coś w rodzaju noszy i postanowili zanieść mnie do miasta pieszo, bali się bowiem, że wioząc mnie po złej drodze końmi narażą mnie na huśtanie. Nie zdawałem sobie sprawy niemal z niczego, co działo się ze mną, pogrążony w jakąś mglistą nieprzytomność, niemal błogą, przerywaną czasem męczącym kłującym bólem, który zmuszał mnie do otwarcia oczu, lecz kiedy widziałem nad sobą błękit nieba, myślałem czemuś, że płynę łódką, i uspokojony znów pogrążałem się głową i duszą w majaczenia.

Nie pamiętam zupełnie, jak przyniesiono mnie do domu i jak powitała mnie Renata, lecz Mateusz mówił mi później, że w tych warunkach okazała się dzielna i zaradna. Następane dni, jak zawsze bywa wskutek zaognienia się rany i upływu krwi, spędziłem również w stanie nieprzytomnym i nie potrafię nawet opowiedzieć tu swoich gorączkowych przywidzeń, bowiem słowa, stworzone dla spraw dających się ogarnąć rozumem, nie pasują do widziadeł obłąd. Wiem tylko, że dziwnym sposobem w tych majaczeniach wspomnienie Renaty wcale nie występowało; z pamięci mojej, niczym napisane kredą na tablicy i starte gąbką, wymazane były wszystkie męczące wydarzenia ostatnich czasów i sam siebie widziałem takim, jakim byłem w latach mego życia w Nowej Hiszpanii. Kiedy w rzadkich chwilach jasności umysłu dostrzegałem przed sobą zatroskaną twarz Renaty, wyobrażałem sobie, że to Angelika, owa ochrzczona indiańska dziewczyna, z którą żyłem czas pewien w Sempoalli[153] i z którą nie bez goryczy zmuszony byłem się rozstać z powodu jej nieprzystojnych postępów. Dlatego w malignie zawsze z oburzeniem odpychałem ręce Renaty i w odpowiedzi na jej starania gniewnie mówiłem: „Po co tu jesteś? Wynoś się! Nie chcę, żebyś ze mną była” — i Renata bez szemrania znosiła to grubiańskie traktowanie jej przez chorego.

Mój pojedynek z Henrykiem odbył się we środę, lecz dopiero w sobotę, w porze niesporów, po raz pierwszy na tyle oprzytomniałem, by rozpoznać i pokój, który zamykał mój widnokrąg, i dni, przez które wiodło mnie życie, i wreszcie Renatę, w jej różowym kaftaniku z białymi i granatowymi ozdobami, w tej sukni, w której ją widziałem pierwszego dnia naszej znajomości. Renata, uważnie obserwująca moją twarz, nagle po moich oczach odgadła, że się ocknąłem, i w porywie radości i nadziei przypadła do mnie z krzykiem:

— Ruprechcie! Ruprechcie! Tyś mnie poznał!

Świadomość moja była jeszcze niejasna niczym zamglona dal, w której maszty wydają się basztami, jednakże pamiętałem już, że walczyłem z hrabią Henrykiem na szpady, i próbując westchnąć wyraźnie czułem męczący ból w całej piersi. Przyszło mi do głowy, że umieram wskutek rany i że ten przebłysk pamięci to przebłysk ostatni, który często znamionuje zbliżający się koniec. I oto z powodu dziwaczności ludzkiej duszy, która pozwala złoczyńcy żartować na szafocie z katem, starałem się powiedzieć Renacie słowa, które w takim wypadku wydały mi się najpiękniejszymi, chociaż bynajmniej nie płynęły z serca:

— Widzisz, Renato, oto umieram, żeby twój Henryk pozostał żywy...

Renata z płaczem padła na kolana przed łóżkiem, przycisnęła moją rękę do warg i nie powiedziała, lecz jakby przez jakąś ścianę zakrzyczała do mnie:

— Ruprechcie, ja ciebie kocham! Czy ty nie wiesz, że cię kocham! Dawno kocham! Ciebie jednego! Nie chcę, żebyś umarł nie wiedząc o tym!

Wyznanie Renaty było ostatnim promieniem, który przeniknął jeszcze do mojej świadomości, potem znów pogrzyżyła się ona w mrok, a na jej powierzchni niczym odbłaski niewidocznego ogniska znów zaczęły pląsać czerwone diabły, wymachując szerokimi rękawami i splatając się ze sobą długimi ogonami. Słyszałem jednak, jak w tym swoim potwornym tańcu chórem powtarzały słowa Renaty i śpiewały, i krzyczały, i wyły nade mną: „Ruprechcie, ja ciebie kocham! Dawno kocham! Ciebie jednego!” I przez labirynt majaczeń, po ich istromych schodach i gwałtownych zapadlinach, niosłem jakby te drogocenne słowa, których ciężar druzgotał mi jednak ramiona i pierś: „Ruprechcie, ja ciebie kocham!”

Po raz drugi ocknąłem się, kiedy w niedzielę dzwoniło na mszę, tym razem mimo słabości i bólu w ranie poczułem, że jakaś granica została przekroczona, że życie jest we mnie i ja w życiu. Renata była przy mnie i oczyma dałem jej znak, że ją poznaję, że pamiętam jej wczorajsze słowa, że jestem jej wdzięczny, że jestem szczęśliwy, a ona zrozumiała mnie, znów osunęła się na podłogę, na kolana, i przypadła do mnie głową, pochylając się nisko jak w kościele w czasie modłów. Świadomość, że jakby wstałem z grobu, odczucie delikatnych

rzęs Renaty na mojej ręce, łagodne poranne promienie i słabo przenikający przez szyby dźwięk dzwonów czyniły tę chwilę niezwykłą i niezmierną, jakby umyślnie połączono w niej wszystko, co dla człowieka jest najpiękniejsze i najdroższe.

Od tego dnia zacząłem powracać do zdrowia. Przykuty do łóżka, prawie nie mając siły się poruszyć, ze zdumieniem obserwowałem, jak zręcznie i rozważnie zarządza Renata całym biegiem domowego życia, jak krząta się przy mnie, zmusza Luizę, by spełniała jej rozkazy, nie pozwala odwiedzającym, by mi się naprzykrzali. Odwiedzający o wiele częściej stukali jednak do naszych drzwi, niż można się tego było spodziewać, każdego dnia bowiem niezawodnie przychodził do mnie Mateusz, zawstydzony nieco moim niepowodzeniem, lecz który oczywiście nie utracił nic ze zdrowej rześkości i dobroduszej wesołości, i niemal równie często przychodził Lucjan Stein, wytrwale domagający się wiadomości o przebiegu mojej choroby, by powiadomić o tym hrabiemu Henryka. Wreszcie, również każdego dnia, zachodził do mnie doktor, zaproszony przez Mateusza, człowiek w czarnym płaszczu i kapeluszu z rondem[154], pedant i nieuk, któremu, mniemam, mniej niż komukolwiek innemu zawdzięczam życie.

Ponieważ nie byłem całkiem nieświadomiony w sprawach medycyny i widziałem podczas wypraw niemało ran i jak się z nimi w praktyce obchodzono, kazałem wyrzucić wszystkie tłuste smarowidła z różnych wstrętnych miszkulancji tego kapłana Eskulapa i ku wielkiemu przerażeniu Renaty i oburzeniu czarnego doktora kurowałem swoją ranę wyłącznie ciepłą wodą. Rozumiejąc, że jest to sprawa życia lub śmierci, znalazłem już w sobie dość siły woli, by przyoblec swoją decyzję w pancerz nie do przebicia przez groźby i prośby, a później dzień po dniu ukazywałem sukces swego leczenia, tryumf i lekarza, i chorego.[155]

Kiedy jednak pozostawaliśmy z Renatą sam na sam, zapominaliśmy o mojej chorobie, gdyż ona pragnęła tylko powtarzać, że mnie kocha, a mnie było nader błogo słuchać tych wyznań, pod których wpływem serce moje zaczynało bić tak silnie, że czułem ból w ranie. Pytałem Renatę po raz setny i tysięczny: „A więc ty mnie kochasz? Czemu nie mówiłaś mi o tym wcześniej?” — a ona po raz setny i tysięczny odpowiadała:

— Dawno już ciebie kocham, Ruprechcie. Jakżeś tego nie zauważył? Często cicho szeptałam ci: „Kocham”. Ty nie dosłyszawszy pytałeś, co mówię, a ja odpowiadałam: „Nic takiego”. Lubowałam się tobą, twoją twarzą surową i srogą, twoimi zrosniętymi brwiami, twoim pewnym krokiem, ale kiedy zdarzyło ci się pochwycić moje miłosne spojrzenie, zaczynałam ci mówić o Henryku. Ileż razy w nocy, jeśli spałeś osobno, na palcach przekradałam się do twego



pokoju i całowałam twoje ręce, pierś, nogi — drżąc — by cię nie zbudzić! Kiedy nie było cię w domu, także często wchodziłam do ciebie i całowałam twoje rzeczy, poduszki, na których spałeś. Czy śmiałabym jednak wyznać, że cię kocham, po tym wszystkim, co ci mówiłam o mojej miłości do Henryka? Zdawało mi się, że zaczniesz mną pogardzać, że moją miłość uznasz za nic nie wartą, skoro przerzucasz ją jak piłkę od jednego do drugiego. Ach, czy moja w tym wina, że podbiłeś mnie swoją delikatnością, swoją wiernością, siłą swojej miłości, nieustannej i potężnej jak potok górski!

Pytałem Renatę:

— Posłałaś mnie jednak na pewną śmierć? Zabroniłaś mi tknąć Henryka i kazałaś nastawić pierś na jego ciosy! Przecież mało brakowało, żeby wbił mi szpadę prosto w serce!

Renata odpowiadała:

— Była to ostatnia próba, sąd Boży. Pamiętasz, że się modliłam, kiedy wyruszałeś na pojedynek? Pytałam Boga, czy chce, żebym cię kochała. Jeśliby taka była Jego wola, mógł zachować ci życie, nawet gdyby cię raziła klinga nieprzyjaciela. Chciałam także po raz ostatni wypróbować twoją miłość, czy odważy się spojrzeć prosto w oczy śmierci. Gdybyś jednak zginął, to wiedz, że tegoż samego dnia zamknęłabym się w klasztornej celi, gdyż żyć nadal mogłabym tylko blisko ciebie!

Nie wiem, ile prawdy było w słowach Renaty; mam pełne prawo przypuszczać, że opowiadała wszystko nie tak, jak było naprawdę, lecz tak, jak teraz widziała przeszłość; wtedy niezdolny jednak byłbym oceniać jej słowa, ponieważ ledwo starczało mi sił, żeby wchłaniać je jak uschnięty kwiat deszczową wodę. Byłem podobny do żebraka, który w ciągu długich lat daremnie przed kruchą błagał o nędzne grosze i któremu nagle ukazano całe bogactwo lidzijskiego Krezusa, proponując, by garściami brał złoto, diamenty i szafiry. Ja, który z kamienną twarzą wysłuchiwałem najbardziej okrutnych odpowiedzi Renaty, nie znajdowałem w sobie siły, by znieść jej tkliwość, i teraz często nie jej, lecz moje policzki były mokre od łez.

Naszej bliskości przydawało dręczącej słodyczy to, że w ciągu wielu dni moja rana uniemożliwiała nam oddanie się w pełni naszej namiętności. W pierwszym okresie ledwo starczało mi siły, by uniósłszy głowę przybliżyć wargi do warg Renaty, sprawiających na mnie wrażenie rozżarzonego węgla, i osłabły po takim wyczynie, bez tchu opadałem na poduszki. Później, kiedy już mogłem siedzieć w łóżku, Renata musiała z łagodnym uporem powstrzymywać mnie od szaleńczych porywów, ponieważ chciałem, chwyciwszy ją w Objęcia, ścisnąć ją i całować, i pieścić, i zmusić do przeżycia wszystkich dreszczy miłostnego szczęścia. Ale, oczywiście, przy pierwszej próbie zawierzenia

wichrowi namiętności, siły mnie zawodziły, krew występowała spod opatrunku, w oczach zaczynały wirować jednobarwne koła, w uszach świszczał monotonny wiatr, ręce opuszczały się, a Renata uśmiechając się przepraszająco układała mnie jak dziecko w łóżku i szeptała:

— Miły mój, miły mój, przestań! Jeszcze całe życie przed nami! Jeszcze całe życie przed nami!

Wreszcie pod koniec pierwszego tygodnia grudnia na tyle wróciłem do zdrowia, że mogłem snuć się po pokoju i siedząc w dużym fotelu wychudłą ręką przewracać zaniedbane przez nas tomy dzieł z dziedziny magii. Wraz z moim przyjściem do zdrowia życie nasze poczęło się znów wlewać do dawnego koryta, jeden po drugim znikali bowiem nasi odwiedzający — i Lucjan, który nie miał już o co się dowiadywać, i czarny doktor, któremu sam pokazałem drzwi, i wreszcie wierny Mateusz, który niezbyt był w zgodzie z Renatą. Dokoła nas obojga zaczęła się tworzyć dobrze znana nam pustka, jakże jednak różna wydawała mi się ona od tej, w której pograżony byłem dawniej! Można było mniemać, że nade mną jest nowe niebo i nowe gwiazdy, i że mocą jakichś czarów przeobraziły się wszystkie przedmioty, tak niepodobne było do minionego wszystko to, co wówczas przeżywałem w tych samych murach, które dawniej dusiły mnie niczym uporczywy koszmarnik!

I teraz, wspominając ów grudzień, który przeżyliśmy z Renatą jak nowo zaślubieni, gotów jestem na kolanach dziękować Stwórcy — jeśli wszystko to dokonało się zgodnie z Jego wolą — za chwilę, jakich zaznałem. W czasie tych dni uparcie zajmowała mnie i niepokoiła jedna myśl: że życie moje dosięgło swego szczytu, po którym niechybnie musi się zacząć nowe schodzenie w głąbinę, że jak Faeton, woźnica rydwanu Słońca, wzniesiony ku zenitowi i nie mogący utrzymać ojcowskich koni, będę musiał haniebnie runąć po stromym zboczu znów na ziemię. Z męczącym pośpiechem starałem się całą istotą chłonać szczęśliwość wyżyny i w zapamiętaniu mówiłem Renacie, że najrozsądniej byłoby, bym teraz umarł, bym szczęśliwy i zwycięski opuścił to życie, w którym bez wątplenia czekały mnie jeszcze, nie po raz pierwszy, tragiczne maski smutku i porażek.

Renata jednak na wszystkie te przemowy odpowiadała:

— Jak ty nie przywykłeś do szczęścia! Wierz mi, mój miły, jesteśmy dopiero w jego wrotach, nie przeszliśmy nawet pierwszej sali! Wiodłam cię przez podziemia mąk, a teraz powiodę przez pałac szczęśliwości. Tylko pozostań ze mną, tylko kochaj mnie, a oboje będziemy się wznosić coraz wyżej i wyżej! To ja tak ciebie przeraziłam, chcę jednak, żebyś o wszystkim zapomniał, chcę za każdą chwilę cierpienia zapłacić ci całymi dniami radości, bowiem ty swoją miłością już nagrodziłeś mnie za całe życie rozpaczy i

zatracenia!

Mówiąc to Renata miała taki wygląd, jakby przez całe życie żywiła się szczęściem niczym rajskie ptaki powietrzem.[156]

I podobnie jak nie знаła Renata granic w przejawianiu swej rozpaczki, nie znała granic w wyrażaniu swej miłości. Nie byłem bynajmniej nowicjuszem w pływaniu po oceanie namiętności na galerze pod flagą bogini Wenery, lecz po raz pierwszy napotykałem taką chciwość uczucia, dla którego wszystkie pieszczoty wydawały się zbyt słabe, wszystkie zbliżenia nie dość ściśle, wszystkie uciechy nie dopełniającymi miary pożądania. Równocześnie, jakby starając się nagrodzić mi okrucieństwo, z jakim uprzednio odnosiła się do mojej miłości, teraz Renata szukała w namiętności ponizenia i pokory. Musiałem niemało się sprzeciwiać, by nie całowała mi nóg jak Magdalena Chrystusowi, i niemal przemocą powstrzymałem ją od wielu takich rzeczy, o których nawet napomknięcia nie mogę zaufać temu rękopisowi.

Nasz miodowy miesiąc trwał około dwóch tygodni, czas, w ciągu którego niemal wróciły mi siły, a wraz z tym i właściwe mi trzeźwe spojrzenie na sprawę — co bardziej w sobie cenię niżli wszelkie inne talenty. Równocześnie minęło także i to napięcie wszystkich uczuć, w którym trzymały mnie przez długi czas nasze nieokreślone stosunki z Renatą, nasze ustawiczne szukanie czegoś, nasze uporczywe oczekiwanie jakiegoś wydarzenia, i zacząłem czuć się tak, jakby w duszy mojej wreszcie puścił napięty łuk i strzała wraziła się w wytyczony cel. Rozumie się, nawet w początkowych dniach naszego nieoczekiwanego połączenia, które Renata pragnęła przemienić w radosne majaczenie dwojga jak gdyby szaleńców, nie straciłem definitywnie głowy i poprzez całe zapamiętanie naszych wzajemnych przysiąg, wyznań miłosnych i pieszczot, nieprzerwanym łańcuchem następujących jedno po drugim, widziałem — niczym dzień za gęstymi lianami — twardą rzeczywistość i ani przez chwilę nie zapomniałem, że jesteśmy tylko pielgrzymami na czarodziejskiej wyspie. Kiedy jednak istota moja nasyciła się wreszcie niezwykłymi zapomnianymi uciechami, kiedy mroczny a zarazem ognisty kosznar męczących miesięcy został zupełnie przesłonięty różowawą mgiełką terażniejszości, nie mogłem także nie pomyśleć trzeźwo i jasno o naszej przyszłości.

Przedę wszystkim skłaniała mnie do tego świadomość, że z pieniędzy zebranych przeze mnie za oceanem, została już nie więcej niż połowa, która także topniała dosyć szybko. Po drugie, niezależnie od konieczności pomyślenia o zarobku, wyraźnie już ciążyła mi beczynność i często marzyłem o robocie i o trudzie, jako o najszlachetniejszych radościach. Wreszcie, nigdy nie gasło we mnie przekonanie, do którego w dojrzałym okresie życia

dochodzą wszyscy ludzie myślący, że samymi tylko osobistymi przyjemnościami życia się nie wyczerpie, podobnie jak nie wyczerpie się morza pucharami wesołej uczt. Co prawda, żeby zabrać się do roboty, należało ostatecznie zorganizować swoją przyszłość, lecz dobrze pamiętałem, że w owych dniach, kiedy Renata pod maską surowości ukrywała miłość, zgodziła się zostać moją żoną, nie wątpiłem więc, że zgodzi się i teraz, kiedy odsoniła swe oblicze.

Wybrałem odpowiedni moment i powiedziałem do Renaty:

— Droga moja, z tego, co ci opowiadałem, wiesz aż nadto dobrze, że nie możemy bez końca wieść tak beztroskiego żywota jak teraz i że muszę koniecznie zabrać się do jakiejś pracy. Przedkładałbym tę, o której dawno już myślałem — handel z poganami w Nowej Hiszpanii. I oto, Renato, dziś, po tym, jak dałaś mi tysiączne dowody, że mnie kochasz, powtarzam ci prośbę, którą dawniej ledwo śmiałem wypowiedzieć: zostań moją żoną, chcę bowiem, by moja przyjaciółka mogła bez zmieszania patrzeć w oczy wszystkim kobietom. Jeśli powtórzysz mi swoje „tak”, pojedziemy zaraz do mego rodzinnego Losheimu i jestem przekonany, że rodzice moi nie odmówią nam swego błogosławieństwa, w przeciwnym razie obejdziemy się bez niego, ponieważ dawno już o własnych siłach toruję sobie drogę w gęstwinie życia. I już jako mąż i żona popłyniemy do Nowego Świata, by tam przeżyć owe lata radości i szczęśliwości przez ciebie przepowiedane.

Ku mojemu zdziwieniu te moje oświadczyzny, które po dziś dzień wydają mi się naturalne i rozsądne, wywarły na Renacie najgorsze wrażenie i zaraz na twarz jej padł jakby cień skrzydła przelatującego obok ptaka. Przy sposobności wspomnę, że cień ów prawie zawsze omraczał jej lico, kiedy zaczynałem mówić o swoich rodzicach i o domu; ona sama nigdy, nawet w chwilach bezgranicznej bliskości dwojga istot zespolonych namiętnością, nic mi nie mówiła o swoim ojcu i matce lub o swojej rodzinie. Teraz, nachmurzywszy brwi, odpowiedziała mi tak:

— Miły Ruprechcie, obiecałam, że będę twoją żoną, jeśli zabijesz Henryka. To się nie stało, być może z mojej winy, lecz nie jestem związana przysięgą. Zaczekajmy więc z rozmową o przyszłości. Czy nie możesz przyjąć szczęścia bez żadnej ubocznej myśli, wziąć je, jak bierze się kielich wina, i wypić do dna? Kiedy konieczne będzie troszczyć się o życie, to będziemy się troszczyć, i wierz mi, znajdziesz we mnie dzielną pomocnicę. Teraz daję ci całą moją miłość, a ciebie proszę tylko o jedno: niechaj twe ręce będą dość silne, by ją w pełni przyjąć.

Wygłaszając tę nieoczekiwaną i niesprawiedliwą odpowiedź Renata czule przytuliła się do mnie i postarała się porwać mnie do ogrodu pieszczot, lecz

oczywiście nie rozproszyła przez to moich wątpliwości i, choć to dziwne, nasza rozmowa okazała się wyraźnym przełomem w biegu wydarzeń i dzień ów należy uznać za ostatni dzień naszego miodowego miesiąca. Niepowodzenia moich oświadczeń nie mogłem nie przypisać jakimś tajemnym przyczynom i namiętne uczucie, jakie żywiłem dla Renaty, zaraz przygasło i na dnie duszy zaczęło się gromadzić niejasne niezadowolenie, kropla po kropli, jak nowa kolumna w grocie stalaktytowej. Równocześnie, niczym myszy z czapki kuglarza, zaczęły się wtedy rozbiegać po naszym życiu różne nieporozumienia, czasem niedorzeczne i nas niegodne.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia i Renata, jak zwykle kapryśna w swych decyzjach, koniecznie zapragnęła spędzić te święta wesoło i w towarzystwie. Nagle potrzebne jej stały się znajomości, widowiska i pieśni, a ja, przypominając sobie, z jaką uwagą zgłębiała łacińskie teksty, tylko się dziwiłem, widząc, z jaką dziecięcą naiwnością zaczęła się oddawać różnym zabawom ulicznym.

Przed wszystkim, oczywiście, musieliśmy chodzić na wszystkie nabożeństwa. W Wigilię w kościele Św. Cecylii podziwialiśmy jasełka z pokłonem Trzech Króli, tak żywo przypominające mi dni dzieciństwa; nie przepuściliśmy mszy w dniu św. Jana Ewangelisty, i w dniu czterdziestu tysięcy niewiniątek, i w dniu obrzezania Pana Jezusa[157]; chodziliśmy po mieście ze wszystkimi procesjami. Potem spodobało się Renacie przyjmować w naszych pokojach dzieci przychodzące ze skleconą z deszczulek szopką i śpiewające kolędy, słuchała ich śpiewu, rozmawiała z nimi i częstowała je. Prowadzała mnie Renata także po wszystkich budach jarmarcznych, pobudowanych wzdłuż nabrzeży i na rynku, w których pokazywano różne osobliwości, i tylko się śmiała, kiedy przypominałem jej dawne słowa, że nie znosi ulicznej ciżby[158]. Godziny całe spędzaliśmy wśród pijanych i ordynarnych mężczyzn, przyglądając się grającym na bandurach i dudach, akrobatom chodzącym na rękach, magikom wyciągającym sobie żywego węża z nozdrzy, połykaczom szpad i ludziom wypuszczającym z ust fontanny, kobietom z brodą, ichneumonom, nosorożcom, dromaderom i wszelkim osobliwościom, za które przejezdni ludzie potrafią ściągać z mieszkańców miasta ich ciężko zapracowane grosze.

W końcu zupełnie dla mnie nieoczekiwanie pojawiły się w naszym domu dwie kobiety, prawdopodobnie mieszczy, które Renata nazywała Katarzyną i Małgorzatą i które przedstawiła mi jako nasze sąsiadki, a swoje znajome. Kobiety te wydawały mi się tępe i nieciekawe i w żaden sposób nie mogłem zrozumieć, po co są między nami potrzebne, po tym kiedy tak cieszyliśmy się z odzyskanej samotności. Spędziłem z dwiema odwiedzającymi bardzo nudną

godzinę na rozmowie o względnych zaletach ojców duchownych różnych parafii, a potem zacząłem robić Renacie dość gorzkie wymówki z powodu tej znajomości i to stało się powodem naszej pierwszej sprzeczki. Renata odpowiedziała mi z niespodziewaną zapalczewością, że nie mogę przecież żądać, by nikogo w świecie nie widywała, i zapytała, czy zapraszając ją ze sobą do Nowego Świata mam zamiar zamknąć ją tam w czterech ścianach. Nie bałem się wskazać Renacie całej bezpodstawności jej słów, lecz ona nie chciała niczego słuchać i zasypując mnie wymówkami zaraz zagroziła, że ucieknie z domu jak z więzienia.

Co prawda, kiedy już niczym ciosy szpadą wymieniliśmy bardzo ostre słowa, po kilku minutach oboje dostrzeżliśmy absurdalność naszego sporu i pośpieszyliśmy zagasić ogień sprzeczki porywczym wichrem przysięg i wyznań, zalać go wodą pocałunków i pieszczot — lecz pod popiołem pozostały żywe iskry. Dwa dni po tym wydarzeniu Renata oznajmiła mi nagle, że po obiedzie zamierza wybrać się do naszej sąsiadki i że mnie także na tym zebraniu oczekują. Odpowiedziałem z oburzeniem, że nie chcę podtrzymywać nonsensownej znajomości; kiedy jednak Renata mimo to wystroiliła się i wyszła z domu, ja, jakby w odwet, udałem się do Mateusza, do którego już dawno mnie ciągnęło — i tak oto pierwszy raz po mojej chorobie rozstaliśmy się z Renatą.

Mateusz przywitał mnie gderliwie lecz dobroduszenie, a Agnieszka, która, jak można było się domyślić, była teraz uświadomiona o istnieniu w życiu moim Renaty, bojaźliwie i nieufnie. Starałem się przebić ów lód, który powłókl naszą przyjaźń z Agnieszką, i długo z zaciekawieniem słuchała opowieści o Nowej Hiszpanii, którymi wywierałem niezmiennie wrażenie na wszystkich nowych znajomych, raz jeszcze opowiadając jej o świątyniach Majów, o olbrzymich kaktusach i niebezpiecznych polowaniach na niedźwiedzie i once. Rozstaliśmy się znów jako przyjaciele i kiedy po powrocie do domu usłyszałem od Renaty obłudną relację o jakimś młodzieńcu, synu kupca, który okazywał jej szczególne zainteresowanie w domu sąsiadki, pośpieszyłem ze swej strony opowiedzieć jej o Agnieszcze, która wzbudziła moją ciekawość w domu Mateusza. Ten nasz nowy pojedynek, w którym klingi starały się ugodzić zazdrość przeciwnika, zakończył się moim zwycięstwem, gdyż Renata, która z początku udawała, że nic sobie z moich wyznań nie robi, wkrótce przeszła do żalonych wyrzutów, a później nie powstrzymała nawet łez, tak że pocieszając ją musiałem przysiąc, że Agnieszka wcale mnie nie pociąga, a z kolei Renata wyznała, że syn kupca istnieje tylko w jej imaginacji.

Nie przeszkodziło to, że po kilku dniach Renata znów oznajmiła mi, że przyjęła jakieś zaproszenie sąsiadki, na co ja odpowiedziałem nowymi

odwiedzina u Mateusza. A ponieważ ów turniej ciągnął się jeszcze dalej, to w krótkim czasie stałem się naprawdę częstym gościem Wissmannów i pozostawiając Mateusza jego uczonym księgom, długie godziny spędzałem z Agnieszką. Bardzo podobało mi się to stworzenie ciche i łagodne, dziewczyna, z którą dobrze było mówić o wszystkim w świecie, gdyż wszystko było dla niej nowe i wszystkiemu wierzyła z dziecięcą ufnością. W jej głowie babcine bajki były dziwnie przemieszane z mądrością uniwersytecką, którą zbijała ją z tropu brat, i to prowadziło dziewczynę do najzabawniejszych i najniedorzeczniejszych wyobrażeń i opinii, którymi lubiłem się bawić jak dziecko zabawkami. Agnieszka całkiem poważnie pytała mnie, czy to prawda, że na twarzy człowieka wypisane jest łacińskimi literami Homo Dei[159], przy czym dwoje oczu to dwie litery O, nos — litera M, i temu podobne; że Jezus Chrystus został ukrzyżowany na samym środku ziemi, albowiem Jerozolima stanowi centrum świata, podobnie jak serce stanowi centrum ciała; że na ziemi jest akurat tyle rodzajów roślin, ile gwiazd na niebie, albowiem rodzaje roślin powstają w zależności od wpływu gwiazdy na połączenie żywiołów; że Najświętsza Panienska obrała za swój kamień szmaragd i że kamień ten sam z siebie roztrzaskuje się na drobny mak, jeśli dopuścić się przy nim grzechu miłosnego, i opowiadała wiele innych historii w tym rodzaju.

Zresztą, muszę z całą stanowczością oświadczyć, że w stosunku moim do Agnieszki, ani wtedy, ani później, nie było nic, co zasługiwałoby na nazwę miłości, chociaż oczywiście bliskość miłej i młodej dziewczyny była dla mnie słodczą uzupełniającą jakoś namiętność i doświadczenie Renaty. Muszę jednak także przyznać, że w głębi duszy w owe dni nie znajdowałem w sobie ani tej bezwarunkowej wierności, która przedtem oddawała mnie bez miecza i bez koleczugi w ręce Renaty, ani tej upajającej namiętności, która w dniach naszego zbliżenia po mojej chorobie trzymała mnie w swych okowach z róż. Nastąpił naturalny spadek fali uczuć, która, przez długie miesiące narastając, w czasie naszych miodowych dni wzniosła swój grzbiet do maksymalnej wysokości, po czym rozplynęła się bezsilną pianą. Namiętność, która na dwa tygodnie zalała mnie potopem szczęścia, potem niczym odpływ odsunęła się od brzegów duszy, obnażywszy jej dno i zostawiając na piasku rozgwiazdy, muszelki i wodorosty.

Jeśli nie w wyniku świadomości, to drogą wycucia wiedziałem, że nadejdzie godzina nowego przypływu, i dlatego nadal powtarzałem Renacie dawne słowa o miłości i przysięgałem, że jak niegdyś jestem jej wiemy. Nie jeden raz ponawiałem także prośbę, by zgodziła się na nasz ślub i na to, by opuścić Kolonię, gdzie przeżyliśmy aż nadto wiele i gdzie trudno by nam było zaczynać życie od nowa. Jednakże przemiana, jaka się we mnie dokonała, nie

mogła ujść spostrzegawczości Renaty. Z goryczą pytała mnie więc, czy nie dlatego wobec niej ochłódłem, że przyznała się do namiętności, jaką do mnie żywi, i dała mi dowody jej żaru. Na moją prośbę odpowiadała jednak, że zbyt mnie teraz kocha i za nic nie chce zobaczyć obojętności i nudy na twarzy, z której przywykła odczytywać mękę ze swego powodu i szczęście przez siebie dawane.

W tym okresie spłycałej miłości to nie widywaliśmy się z Renatą całymi dniami, to znów rzucaliśmy się jedno na drugie w nagłym porywie pożądania, to wpadaliśmy w otchłań wrogości i gniewu. W czasie kłótni Renatę ogamiał niekiedy szal: to wypominała mi coś, o czym być może lepiej było nie wspominać, to groziła, że w nocy poderżnie mi gardło, lub wysledzi na ulicy Agnieszkę i zabije ją, to znów zalewała się łzami, padała na podłogę i oddawała się z mego powodu takiej rozpacz, jak niegdyś z powodu hrabiego Henryka. W dniach pojednania, przeciwnie — odżywały wszystkie zachwyty dwojga szczęśliwych kochanków: byliśmy znów jak Kleopatra i Antoniusz w swoim Egipcie lub jak Trystan i piękna Izolda[160] w swojej grocie, i niedawne sprzeczki wydawały się nam śmiesznymi nieporozumieniami, jakimiś sprawkami złośliwych domowych duchów, tych, które Renata nazywała „maleńkie”.

To ciągle przechodzenie od radości do udręki bez wątpienia nużyło mnie bardziej niż uprzednie męki odtrąconej miłości i moja tęsknota do życia spokojnego i pracowitego wciąż się wznagała niczym powoli nadciągająca burza. Długo jednak mogliśmy jeszcze czekać na pierwsze błyskawice, albowiem Renata mimo wszystko sprawowała władzę nad moją duszą, która po niedługim odłączeniu znów ciągnęła do niej, do jej spojrzenia i jej pocałunków, podobnie jak pod ziemią ciągnie korzeń do wilgoci. Jednakże w istocie samej Renaty było coś nie dopuszczającego do powolnego biegu wydarzeń, i nowym wewnętrznym przewrotem, jaki się w niej dokonał, skierowana na nową drogę myśli i odczuć, nagle także całe nasze życie zawróciła na inny hals.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

O tym, jak Renacie znów ukazał się Madiel i jak mnie ona opuściła

### I

Pewnego wieczora, kiedy jak zwykle byłem u milej Agnieszki, przyszło mi wracać do domu dość późno, tak że o przepuszczenie przez strażę nocne starałem się przy pomocy małych datków. Kiedy zbliżyłem się już do naszego domu, dostrzegłem w mroku, że ktoś jak kot siedzi na progu, i wnet przekonałem się, że to Luiza. Rzuciła się mnie naprzeciw i nie bez prostodusznego przerażenia opowiedziała, że z panią Renatą wydarzyło się dziś coś niespodziewanego i strasznego, i że ona, Luiza, boi się, czy nie była to sprawka nieczystej siły. Z bardziej szczegółowego opisu wkrótce pojąłem, że Renata znów uległa atakowi opętania, jakie to ataki już widywałem, kiedy duch wchodząc w jej ciało bardzo ją męczył i znieważał. Teraz przypomniałem sobie, że przez ostatnie dni Renata była szczególnie smutna i niespokojna, do czego odniosłem się jednak z lekceważeniem lekkomyślnym i niegodziwym.

W tej chwili doznałem uczucia, jakby mnie ktoś ukłuł w samo serce, i w duszy mojej źródło miłości do Renaty trysnęło nagle strumieniem silnym i pełnym. Wbiegłem na piętro już szczegółowo wyobrażając sobie, jak będę prosił Renatę o wybaczenie, jak będę całował jej ręce i słuchał tkliwych słów jej odpowiedzi. Zastałem Renatę w łóżku, gdzie leżała jak zawsze śmiertelnie wyczerpana atakiem, i twarz jej, słabo oświetlona świecą, sprawiała wrażenie woskowej maski. Widząc mnie Renata nie uśmiechnęła się, nie ucieszyła, nie uczyniła żadnego ruchu zdradzającego wzburzenie. Ukłękłem przy łóżku i zacząłem mówić:

— Wybacz mi, Renato! Ostatnimi czasy zachowywałem się nie tak, jak należało. Opuszczając cię bardzo zawiniłem. Sam nie wiem, jak i po co to zrobiłem. Ale przysięgam ci, że to się więcej nie powtórzy.

Renata przerwała mi i powiedziała głosem cichym, lecz wyraźnym i stanowczym:

— Ruprechcie, to ja powinnam teraz mówić, a ty słuchać. Dziś przydarzyło mi się coś tak ważnego, że wciąż jeszcze nie mogę tego ogarnąć rozumem. Dziś życie me przełamało się na dwoje i wszystko, co mnie czeka w przyszłości, nie będzie podobne do tego, co było w przeszłości.

Po tak uroczystej egzorcie Renata obróciła ku mnie twarz bladą i poważną i opowiedziała mi, co następuje:

W ostatnim tygodniu, kiedy szczególnie mało uwagi zwracałem na Renatę, bardzo cierpiała wskutek samotności i dni całe płakała starannie ukrywając to przede mną. Kiedy jednak człowiek pogrążony jest w smutku, staje się bezbronny wobec napaści wrogich demonów, i dawny wróg Renaty, prześladowający ją jeszcze w zamku hrabiego Henryka, znów ją pokonał, wszedł w nią i zadając jej męki powalił na podłogę. Jednakże, kiedy tak leżała rozpostarta, prawie nieprzytomna — nagle przed jej oczyma rozbiły się światła aureola i w niej ukazał się ognisty anioł, którego nie widziała od lat dziecinnych. Renata natychmiast poznała swego Madiela, był bowiem taki sam jak dawniej: twarz jego była promienna, oczy błękitne jak niebo, włosy niczym ze złotych nitki, odzież utkana była jakby z płomienistej przędzy. Renatę ogarnął niewypowiedziany zachwyty, podobny do tego, jaki ogarnął apostołów na górze Tabor w godzinie Przemienienia Pańskiego, lecz oblicze Madiela było surowe i anioł przemówił w te słowa:

„Renato! Od dnia, kiedy uległszy żądom cielesnym chciałaś oszukaństwem i podstępem skłonić mnie do namiętności — opuściłem cię i za każdym razem, kiedy później myślałaś, że mnie widzisz, to nie byłem ja. I ów hrabia Henryk, w którym wyobrażałaś sobie, że rozpoznałaś moje wcielenie, był ci posłany nie przez kogo innego, jak tylko przez Kusiciela, aby ostatecznie sprowadzić na manowce i zabić twą duszę. W przybytku szczęśliwości, w obliczu Wszchemogącego, gdzie unoszą się aniołowie, nieraz lałem gorzkie łzy widząc, jak giniesz, i postrzegając nikczemny triumf twych wrogów i naszych. Nieraz wznosiłem niczym dym kadzidła modły do Najwyższego, by zezwolił mi położyć rękę na twym ramieniu i zatrzymać cię nad przepaścią, lecz zawsze wstrzymywał mnie głos: „Powinna i ten stopień przekroczyć”. Teraz muszę ci wreszcie odkryć całą prawdę, dowiedz się więc, że ciężkie są twe grzechy na szali Sprawiedliwości i dusza twa jest już na wpół pogrążona w płomieniach piekielnych. Nie o wieńcu świętej Amalii Lotaryńskiej przystoi ci teraz myśleć, lecz jedynie o wieńcu męczeńskim, krwią zmywającym zło twych przestępstw. Ukochana siostrzo! Ulęknij się, pokajaj i nieustannie módl do Boga, a zezwolone mi będzie znów chronić cię i wspierać!”

Kiedy Madiel mówił, wszystkie jego słowa ukazywały się Renacie jako

barwne obrazy. Tak więc widziała to ogrody Raju, w których aniołowie śpiewają głosząc chwałę Stwórcy i ulatują niczym ptaki, łącząc się w przestworze w kształt mistycznych liter: D, I, L; [161] to znów widziała stopnie jakichś schodów, wyobrażających jej życie na ziemi, po których stąpała wśród węży, bazyliżków, smoków i innych potworów; to wreszcie widziała samą siebie po pas pogrążoną w płomieniach piekielnych i pływającą dokoła, radując się diabły. Kiedy Madiel skończył swą gniewną mowę, Renata była w skrajnej rozpacz i miała uczucie, że uchodzi z niej tchnienie życia. Kiedy Madiel zobaczył swą przyjaciółkę w tak strasznym stanie, wyraz jego twarzy nagle się odmienił, stał się łagodny i tkliwy, Madiel był teraz jakby dobrym starszym bratem, jakim był w dniach ich dziecięcych zabaw; przybliżywszy się do zmartwiałej Renaty czule pocałował ją w usta, owionął ją błogą i nie palącą ognistością. Renata z krzykiem radości chciała go objąć, lecz jej wyciągnięte ręce napotkały tylko starą Luizę, która nadbiegła słysząc łoskot upadającej Renaty i jej żałosne jęki.

To opowiadała Renata pozostawiając mnie, jak zawsze po swoich wyznaniach, w zakłopotaniu: nie wiedziałem, co z jej słów było rzeczywistością, co przywidzeniem, wynikiem jej majaczeń, a co czystym wymysłem, miała bowiem fatalną skłonność do kłamstwa. Tego dnia troszczyłem się tylko o to, żeby uspokoić chorą, namawiałem, by na razie nie myślała o tym, co się stało, i usiłowałem ją pocieszyć obietnicą lepszych dni, kiedy będę jej poświęcał wszystkie godziny i minuty. Lecz na moje przemowy Renata przecząco kręciła głową lub pobłaźliwie do mnie się uśmiechała, tak jak uśmiecha się matka do dziecka, które swoimi zabawkami próbuje rozproszyc jej smutek. Zresztą ukołysana moimi tklivymi słowami Renata usnęła i spała snem człowieka zmęczonego i udręczonego, a ja zasnąłem w pobliżu niej, jak w owe dawne dni, kiedy nie byliśmy jeszcze sobie bliscy.

Jednakże też samej nocy mogłem się przekonać, że kiedy Renata mówiła, iż całe jej życie przełamało się na dwoje, nie było to powiedziane lekkomyślnie: o świcie Renata mnie zbudziła, a wyraz jej twarzy był dziwnie uroczysty, kiedy poprosiła, bym pomógł jej wstać i poprowadził ją na mszę poranną. Usłuchałem, mimo woli podporządkowując się surowości jej głosu i ciszy wczesnej godziny, a Renata szybko się ubrała i chociaż była tak słaba, iż ledwo mogła stapać, zmusiła mnie, bym odprowadził ją do kościoła Św. Cecylii. Tam, padłszy na pulpit, wśród jaskrawej pstrokacizny i pozłoty świątyni modliła się nienasyconie i aż do samego końca nabożeństwa zalewała się łzami jak najgorsza grzesznica szukająca odpuszczenia grzechów. Patrząc na jej żarliwość zacząłem rozumieć, że w duszy Renaty zaszła nie chwilowa zmiana, lecz dokonał się jakiś wielki przewrót, który na długo odmienił wszystkie jej

myśli, uczucia, pragnienia, jakby według nowego planu przebudował jej życie.

Istotnie, od tego momentu zaczęło się dla Renaty, a wraz z nią i dla mnie, zupełnie nowe istnienie i czasami wydawało mi się, że jeśli między wszystkimi obliczami Renaty, jakie widywałem przedtem, można było znaleźć jakieś wspólne rysy, to nowy jej obraz należał do całkiem innej kobiety. Renata nie tylko wypowiadała zupełnie odmienne niż przedtem sądy, nie tylko prowadziła zupełnie inny tryb życia, lecz nie poznawałem samego jej sposobu mówienia, postępowania, odnoszenia się do ludzi, nie poznawałem samego brzmienia jej głosu, jej sposobu chodzenia, bodajże jej twarzy. Wtedy przypomniałem sobie jednak, co opowiadała mi Renata o swoim dzieciństwie, jak spędzała noce aż do świtu na modlitwie, jak obnażona wychodziła na ziąb, jak się biczowała lub ostrzem szarpała piersi; i jeszcze te słowa, które powiedziała do mnie na barce, kiedy płynęliśmy do Kolonii: „Wszystkim, każdemu z nas, należałoby się przerazić i jak jeleń od myśliwego uciekać do klasztornej celi” — pojąłem więc, że wszystko to było w Renacie także dawniej, tylko ukryte jak ciało pod przypadkową odzieżą.

Aby przedstawić choć w najogólniejszych zarysach ten ostatni okres naszego wspólnego życia z Renatą, muszę przede wszystkim powiedzieć, że w swoją skrucę wniosła to samo zapamiętanie, co dawniej w smutek, a później w namiętność. Jednego z pierwszych dni po swym widzeniu zapragnęła pójść do spowiedzi i mimo że usilnie przestrzegałem ją przed tak niebezpiecznym postępkim, spełniła swój zamiar w naszym kościele parafialnym. Nie wiem, czy Renata szczerze wyznała grzechy naszemu ojcu duchownemu, najmniejszy bowiem z owych grzechów, gdyby go podano do wiadomości, mógł zaprowadzić ją na stos, na którym palono czarownice — lecz kiedy wróciła do domu, wzruszona i we łzach, zakomunikowała mi o pokucie, jaką jej wyznaczone. I od tego dnia począwszy, wykonując tę pokutę, nie przepuszczała ranka, by nie być na mszy, każde bicie kościelnych dzwonów witała modlitwą, co wieczór do zupełnego wyczerpania modliła się przy pulpicie, obserwowała wszystkie posty zalecone wiernym w środę, piątek i sobotę, a niekiedy zrywała się w środku nocy, by załamując ręce i szlochając modlić się o odpuszczenie grzechów. Renata, nie zadowolając się wyznaczonymi jej próbami, pragnęła na wszelki sposób zwiększyć swą ofiarę, by pełniej dać wyraz skrusze lub, być może, szybciej wyprosić sobie przebaczenie. Nieraz powstrzymałem ją, gdy tłukła głową o ścianę, nieraz podnosiłem z podłogi, gdy przy modlitwie straciła przytomność ze zmęczenia, a raz wyrwałem jej z rąk kindżał, którym już nakreśliła sobie na piersi krwawy krzyż. W tych momentach wyraz twarzy Renaty był zawsze szczęśliwy i dziecinny, i prosiła mnie łagodnie:

— Zostaw mnie, Ruprechcie, jest mi tak dobrze, tak dobrze!

W tych pierwszych dniach swojej pokuty Renata odnosiła się do mnie łagodnie i życzliwie, jak siostry do braci w klasztorach brygidek[162], nie sprzeciwiała mi się w sposób gwałtowny, ulegała mi w drobiazgach, lecz we wszystkich sprawach istotnych twardo trzymała się obranej drogi. Renata, oczywiście, wyrzekła się wszelkich pokus namiętności, nie pozwalała mi nawet tknąć siebie i mówiła teraz o miłości ziemskiej z równym chłodem jak jakiś scholastyk.

Renata uparcie przekonywała mnie, bym przyłączył się do jej pokuty, błagała o to na kolanach i ze łzami jak dobra siostra lub też zaklinając mnie i grożąc jak kaznodzieja — lecz w duszy mojej, w którą rzucił swe ziarno Jakub Wimpheling[163], wezwania te nie mogły znaleźć oddźwięku. Przez całe życie niezłomnie zachowałem w głębi serca gorącą wiarę w Stwórcę, Stworzyciela świata, w Jego łaskę i ofiarę pokutną Chrystusa Zbawiciela, jednakże nigdy nie godziłem się z tym, by prawdziwa religia wymagała przejawów zewnętrznych. Jeśli Pan Bóg dał ludziom we władanie ziemię, gdzie tylko w walce i trudzie można spełnić swój obowiązek i gdzie tylko namiętne uczucia mogą przynieść prawdziwą radość — sprawiedliwość Boska nie może żądać, byśmy się wyrzekli trudu, walki i namiętności. Prócz tego przykład mnichów, tych istnych wilków w owczych skórach, którzy dawno już stali się rozległym celem podziurawionym wszystkimi strzałami satyry, pokazuje w dostatecznej mierze, jak mało przybliży do świętości życie próżniacze i pasożytnicze, mimo że blisko ołtarza, przy codziennych mszach.

Zresztą szczerą i przejętą, z jakimi Renata oddawała się pokucie, tak dalece ożywiły we mnie uczucie do niej, że przez tydzień lub nawet dziesięć dni udawałem, iż czuję to samo, co ona — tak bardzo pragnąłem od niej nie odchodzić, dzielić wszystkie jej chwile. Wraz z Renatą chodziłem do kościoła; znów oparty o kolumnę obserwowałem ją, pochyloną nad modlitewnikiem; słuchałem miarowego śpiewu organów i wyobrażałem sobie, nie żywiąc żadnej nadziei, że to szumią wokół nas meksykańskie lasy. Nie odmawiałem Renacie także wtedy, kiedy wzywała, bym się z nią modlił, życzliwie kazała mi klęknąć obok siebie i serdecznie prosiła, bym powtarzał za nią słowa psalmów i kanticzek. Byłem posłuszny woli Renaty także wtedy, kiedy pragnęła wyznawać wszystko, czego się w życiu dopuściła, kiedy ukląkłszy przede mną całymi godzinami zalewała się łzami, przeklinała siebie i swoje postęпки, opowiadała mi o sobie i swojej sromotnej przeszłości, przy czym, jak mi się zdaje, znajdowała szczególną słodycz w tym, by oskarżać się o najgorsze przestępstwa, których nie była winna, by opowiadać o sobie najbardziej niegodziwe bajki.

W tych opowieściach życie swoje z hrabią Henrykiem przedstawiała jako coś okropnego, albowiem zapewniała teraz, że tajne towarzystwo, w którym Henryk marzył, iż zostanie wielkim mistrzem, było towarzystwem najpośledniejszych magów, odprawiających czarną mszę i sporządzających wiedźmowską warzę. Według słów Renaty, właśnie w owym czasie ukazano jej drogi na sabat i tajemnice magii, tak że tylko udawała, iż zapoznaje się z nimi dopiero ze mną. Jednakże zaraz i o naszym wspólnym życiu Renata z nie mniejszym wzburzeniem opowiadała takie rzeczy, którym w żaden sposób nie mogłem dać wiary i które przedstawiały wydarzenia, przeze mnie osobiście przeżyte, jakby odbite w krzywym zwierciadle. Tak więc zapewniała mnie Renata, że nim mnie spotkała, nie pragnęła niczego innego, jak tylko zamknąć się w klasztorze. Później jednak jakiś głos, należący oczywiście do wroga ludzkości, powiedział jej na ucho, że demony oddadzą jej Henryka, jeśli w zamian pomoże im złować w ich sieci inną duszę. Potem całe nasze życie jakoby sprowadzało się tylko do tego, że Renata przy pomocy kłamstw i obłudy starała się nakłonić mnie do śmiertelnych grzechów, nie wzdygając się w tym celu przed żadnym oszustwem. Jeśli by uwierzyć Renacie, to należało dopuścić, że rolę stukających duchów odgrywała ona sama, aby przyciągnąć mnie do dziedziny demonomancji, że to, co widziałem na sabacie, ona mi podpowiedziała, że Johann Weyer miał rację, zapewniając, że to Renata rozbiła kaganki w czasie naszych prób magicznych, i temu podobne.

Między innymi Renata zażądała stanowczo, by dzieła z dziedziny magii, wciąż jeszcze leżące na stole w jej pokoju, zostały zniszczone lub wyrzucone, i mimo że bardzo protestowałem przeciwko tak niezasłużonej egzekucji ksiąg Agrypy z Nettesheimu, Piotra z Apony, Rogera Bacona, Anzelma z Pamy i innych, Renata była nieugięta. Wyniosłem stertę ksiąg i ukryłem je w najdalszym kącie mego pokoju, ponieważ uważałem, że świętokradztwem jest upodabniać się do papieża, który spalił Tytusa Liwiusza, i podnosić rękę na księgi będące największym skarbem ludzkości. Na miejsce zabranych przez mnie tomów na stole Renaty wkrótce pojawiły się inne, równie starannie oprawione w pergamin i z nie mniej wspaniałymi klamrami, także pod względem treści chyba nie bardziej różniące się od poprzednich niż gruszką od jabłka, ponieważ i one traktowały wyłącznie o demonach i duchach. A ponieważ większość tych nowych dzieł, do których lgnęła teraz spragniona dusza Renaty, pisana była po łacinie, musiałem znów być tłumaczem i powtórzyły się godziny moich zajęć wspólnych z Renatą, kiedy siedząc obok siebie przy stole pochylaliśmy się nad kartami ksiąg i oboje zgłębialiśmy słowa pisarza.

Zdobywać księgi musiałem oczywiście znów ja, tak że wznowiłem odwiedzin u Jakuba Glocka i znów stałem się górnikiem w jego bogatych

kopalniach; Renata surowo zabroniła mi jednak przynosić dzieła Marcina Lutra i wszystkich jego popleczników i naśladowców, ja zaś za nic nie dopuściłbym na nasz stół żadnej książki „ciemnych ludzi”, jakiegoś Pfefferkoma lub Hochstratena[164], tak że wykluczwszy całą współczesną literaturę dwóch walczących stanów, musiałem ograniczyć swój wybór do teologów dawnego pokroju, do traktatów starej i nowej scholastyki. Zresztą pierwsze, co się nam dostało, była to szlachetna i ciekawa książka Tomasza a Kempis „O naśladowaniu Chrystusa”[165], lecz zaraz nastąpiły różne inne, jak: „Podręczne wyłożenie wiary” i „Enchiridion”, na których było zaznaczone: „eyn Handbuechlein eynem yetzlichen Christenfast nützlich bey sich zu haben”, dalej nęcące ze względu na tytuły, słynne, lecz na swą sławę nie zasługujące traktaty jak „Die Hijmelstrass” Lanzkranny lub „O modlitwie” Leandra z Sewilli, a później jeszcze żywoty świętych, a to Bernarda z Clairvaux, Norberta z Magdeburga, Franciszka z Asyżu, Elżbiety z Turynгии, Katarzyny ze Sieny i innych, wreszcie dzieła dwóch słońc w tej dziedzinie — dwa folianty, jeden mniejszy, drugi niewspółmiernie wielki, za które nie pożalowałem talarów, lecz w których nie daleko posunęliśmy się: seraficznego doktora Johanna Bonaventury[166] „Itinerarium mentis”, dzieło miejscami wcale zajmujące, i uniwersalnego doktora Tomasza z Akwinu „Summa Theologiae” — księga uczoności zupełnie martwej i niezdolnej ożyć. Renata chwyciła się to za jedną, to za drugą księgę, jak za ostatnią deskę ratunku, i nagliła mnie, już to bym tłumaczył jej stronice żywotów, już to bym skomentował spór teologiczny, zachwycając się opisywanymi cudami, przerażając się groźbami mąk piekielnych i z niewłaściwą jej naiwnością przyjmując za prawdę wszelkie niedorzeczne wymysły scholastycznych doktorów.

Nie pamiętam teraz całej sumy głupstw i absurdów, jakie mieliśmy sposobność wyczytać w czasie tych naszych pilnych zajęć, godnych bardziej poważnego potraktowania, lecz podam tu kilka przykładów tych opowiadań, które ze szczególną siłą wstrząsnęły Renatą, wyciskając jej łzy z oczu. Tak więc z prawdziwym przerażeniem czytała Renata u Tomasza z Akwinu opis Pieła, pełniejszy niż u poety Dantego Alighieri, z dokładnym wyszczególnieniem, gdzie będą przebywać i jakim mękom zostaną poddani różni grzesznicy: proajcowie zmarli przed narodzeniem Chrystusa, dzieci zmarłe, nim je ochrzczono, zbrojcy, mordercy, rozpustnicy, bluźniercy. Z należytych wzruszeniem słuchała Renata wyliczenia ilości uderzeń, jakie według legendy Zbawiciel otrzymał, przy czym okazywało się, że uderzeń biczem było tysiąc sześćset sześćdziesiąt siedem, uderzeń ręką — osiemset, osobno policzków — sto dziesięć, zaraz też powiadamiano, że na Górze Oliwnej przelał On sześćdziesiąt dwa tysiące łez, a kropel krwawego potu było —

dziewięćdziesiąt siedem tysięcy trzysta siedem; że korona cierniowa zadała przeczystemu czołu trzysta trzy rany, że wydał dziewięćset jęków itd.[167] Renatę wzruszyła opowieść o tym, jak Katarzynie ze Sieny ukazała się Matka Boska[168], poprowadziła ją do Swego Syna, a Ten przy dźwiękach harfy, na której grał król Dawid, na znak zaślubin dał świętej pierścień z brylantem i czterema perłami; lub jak świętej Jucie ukazał się w Turyngii Sam Chrystus, zezwolił jej przycisnąć usta do Swego przebitego żebra i ssać Swą przeczystą krew. Nie mniej poważnie traktowała Renata opowieści, jakoby z mogiły świętego Adalberta w Czechach, kiedy otworzył ją biskup Pragi, rozeszła się tak pokrzepiająca woń, że wszyscy obecni jeszcze trzy dni później nie potrzebowali strawy; lub że w jednym klasztorze we Francji życie, które wiodły cysterski, było tak dalece święte, że z błogosławieństwa Bożego, aby nie wprowadzić do klasztoru nikogo postronnego, lecz mimo to kontynuować jego egzystencję, każda mniszka nie znając męża rodziła po dziewczynce, która miała zostać jej następczynią. Nie wiem, czy wiara zawsze jest na wojennej stopie z rozsądkiem, i czy to prawda, że zajmowanie się teologią rozmiękcza mózg, lecz widząc, jak ufnie słucha tych historii Renata, która kiedy indziej umiała posługiwać się logiką, mogłem tylko powtarzać słowa świętego Bernarda z Clairvaux: „Wszystkie grzechy wynikają z grzechu niewiary”.

Jeśli o mnie chodzi, to scholastyczne brednie jako nowość bawiły mnie tylko przez pierwsze dni, a ponieważ dzieła teologiczne mają jedną niedobłą cechę, że wszystkie są bardzo podobne jedne do drugich, to wkrótce godziny lektury z Renatą stały się dla mnie niemiłym obowiązkiem. Zupełnie tak samo uczucie moje do Renaty, które pod wpływem jej widzenia nagle ożyło, zaczęło znów zamierać, niczym kula, którą ktoś nagle popchnął, lecz która mimo wszystko nie może toczyć się swobodnie po kamienistej ścieżce. I bardzo prędko klasztorny tryb życia, zaprowadzony w domu naszym przez Renatę, z modłami, klęceniem, wzdychaniem i postami, zaczął mi się wydawać niestosowną maskaradą. Zacząłem się uchylać od odprowadzania Renaty do kościoła, pod różnymi pretekstami wychodziłem z domu w porze, kiedy moglibyśmy zabrać się do lektury, gwałtownie przerywałem bogobojne rozmowy, i w nocy, kiedy z pokoju Renaty słyszałem jej stłumione łkanie, nie spieszyłem do niej. A później nastał dzień, kiedy nie mogłem i nie chciałem pokonać pragnienia, by wrócić do Agnieszki, niczym do jasnego powietrza nad zielonymi łąkami, po jaskrawoczerwonych i niebieskich promieniach krzyżujących się w kościołach poprzez kolorowe szybki.



## II

Dzień ten, czego w żaden sposób nie mogłem przewidzieć, jeśli nie wyznaczył, to przepowiedział cały nasz los. Renata wtedy od rana była w Katedrze, a ja, który czekałem na nią do południa, niespodziewanie dla samego siebie wyszedłem na ulicę, nie bez zmieszania skierowałem się do znajomego domu Wissmannów i jak winowajca zastukałem do drzwi. Agnieszka przyjęła mnie z niezmienną życzliwością i tylko powiedziała:

— Tak dawno nie byliście u nas, panie Ruprechcie, że już myślałam, iż znów przytrafiło się wam coś niedobrego. Brat zabronił mi wypytywać was, mówiąc, że możecie mieć powody, których uczciwa dziewczyna znać nie powinna, czy to prawda?

— Wasz brat zażartował sobie z was, panno Agnieszko — zaprotestowałem. — W życiu moim nastąpiły po prostu niepomysłne dni i nie chciałem was martwić smutną duszą. Dziś jednak zrobiło mi się nadto ciężko i przyszedłem do was, by pomilczeć i posłuchać waszego głosu.

Milczałem istotnie prawie cały czas, który przebyłem z Agnieszką, a ona szybko znów oswojona z moją obecnością szczebiotała, jak jaskółka pod dachem, o wszystkich małych nowościach niedawnych dni: O śmierci pieska sąsiadki, o zabawnym wydarzeniu w czasie niedzielnej mszy, o bibce profesorów, jaka odbyła się niedawno u jej brata, o jakimś niezwykłym jedwabiu mieniącym się trzema barwami, który przysłano jej z Francji, i o wielu innych sprawach, zmuszających mnie do uśmiechu. Słowa Agnieszki płynęły jak strumyk w lesie; mówić było jej łatwo, bowiem wszystkie wrażenia, jakich dostarcza życie, i słowa, jakie wypowiadała, prześlizgiwały się przez nią, nic w niej nie poruszając, a mnie łatwo było jej słuchać, nie trzeba było bowiem ani myśleć, ani wyteżać uwagę, można było swej duszy popuścić cugli, które tak często musiałem ściągać. Znów, jak zawsze, wyszedłem od Agnieszki odświeżony jakby lekkim wietrzykiem znad morza, uspokojony jakby długą kontemplacją żółtej niwy z niebieskimi chabrami.

W domu zastałem Renatę nad księgami, starannie odczytującą jakieś kazanie Bertolda z Regensburga[169], napisane trudnym przestarzałym językiem. Surowa skupiona twarz Renaty, jej spokojne chłodne spojrzenie, jej

łagodny powściągliwy głos — wszystko to było takim przeciwieństwem dziejącej niefrasobliwości Agnieszki, że czułem, jakby mi ktoś serce ścisnął kleszczami. I właśnie wtedy zapragnąłem nagle z nieprzewartą siłą uprzedniej Renaty, niedawnej Renaty, jej namiętnych oczu, jej nieprzytomnych ruchów, jej niepohamowanych pieszczot, jej tkliwych słów — i pragnienie to było tak silne, że gotów byłem każdą cenę zapłacić, by je zaspokoić. W tym momencie byłbym bez wahania oddał całe przyszłe życie za jedną chwilę pieszczoty, zwłaszcza, że wydawała mi się ona czymś nieziszczalnym.

Przypadłem do Renaty, ukląknłem przed nią jak w dobrych dawnych czasach i zacząłem całować jej ręce, i mówić o tym, jak bezgranicznie ją kocham i jak przez te wszystkie dni śmiertelnie osłabłem z powodu jej surowej nieprzystępności. Mówiłem, że z czarnego Piekła wszedłem do tęczowego Edenu, jak Adam nie umiałem skorzystać ze szczęśliwości i oto stoję u wrót Raju i strażę z ognistymi mieczami zagradzają mi powrót, że zgadzam się natychmiast umrzeć, jeśli raz jeszcze zezwolone mi będzie wdychać zapach rajszych lilii. Wiedziałem, nawet w tamtej chwili, że mówię nieprawdę, że powtarzam słowa zaczerpnięte z przeszłości, lecz kłamstwo było tą drogą ceną, za którą miałem nadzieję kupić miłosne spojrzenie i pieszczotliwe dotknięcie Renaty. Nie cofałem się nawet przed innymi, jeszcze niegodziwymi sposobami kuszenia, starając się zaćmić świadomość Renaty, starając się znów zbudzić w niej pociąg zmysłowy, gdyż jej namiętność potrzebna mi była za wszelką cenę.

Nie wiem, czy sprawił to kunszt mojej przemowy, czy też we mnie samym było wtedy tak wiele żaru, który nie mógł się nie przerzucić na istotę Renaty i nie rozpaścić jej, czy też wreszcie, że w niej samej wydarły się na powierzchnię siły namiętności, przemocą przywołane kamieniami rozsądku — lecz tego wieczora tryumfowała bogini Miłości i jej skrzydłaty syn mógł znów zgasić swą nocną pochodnię. Z takim żarem przypadliśmy do siebie, z taką czułą zawziętością szukaliśmy pocałunków i uścisków, jakby to było pierwsze nasze zespolenie, i mnie, pijanemu ze szczęścia, wydawało się, że nie przebywamy w naszym dobrze nam znanym pokoju, lecz gdzieś na pustyni, wśród dzikich skał, w grocie, i że błyskawice i leśne nimfy witają nasz związek, jak niegdyś Eneasza i Dydony:

*fulsere ignes et conscius aether*

*Connubiis, summoque ulularunt vertice Nymphae.*[170]

Renata zaś, która utraciła surowe oblicze mniszki, powtarzała mi pieszczotliwe słowa, które brzmiały dla mnie subtelniej od wszelkich dźwięków wioli i fletu.

— Ruprechcie! Ruprechcie! Nie trzeba mi nic więcej, tylko żebyś mnie

kochał; nie chcę ani szczęśliwości, ani Raju, chcę, żebyś był ze mną, żebyś był mój, a ja — twoja. Kocham cię, Ruprechcie!

Lecz za to, kiedy minęły namiętne porywy, kiedy dookoła jakby z nicości znów wyłoniły się ściany naszego pokoju i całe jego urządzenie, kiedy ujrzelśmy także księgi rozrzucone na stole i spadły na podłogę tom kazań Bertolda z Regensburga, i nas oboje znużonych i wyciągniętych na zmiętej pościeli — wtedy natychmiast Renatę ogarnęła rozpacz. Zerwała się z łóżka, podbiegła do pulpitu, szepcząc modlitwę padła na kolana, ale potem równie szybko wstała, blada, gniewna, i zaczęła czynić mi wyrzuty.

— Ruprechcie! Ruprechcie! Coś ty zrobił! Wiem, że jedynie tylko to jest ci potrzebne! Wiem, że niczego innego we mnie nie szukasz, nie chcesz. Więc na co jestem ci potrzebna? Idź do domu publicznego — tam za niewielkie pieniądze znajdziesz sobie kobiety. Zaproponuj małżeństwo jakiegś dziewczynie, a będziesz miał żonę, która co noc będzie ci służyła. Tobie jednak podoba się właśnie dlatego mnie kusić, że oddałam duszę i ciało Bogu!

— Renato — zaoponowałem — miej litość i bądź sprawiedliwa! Przypomnij sobie, miesiącę całe żyłem w pobliżu ciebie nie zabiegając o twoje pieszczoty, kiedy myślałem, że jesteś po słowie z innym, i nie skarżyłem się na twą beznamiętność. Jakże jednak chcesz, bym ją. spokojnie znosił, skoro wiem, że mnie kochasz, kiedy czuję bliskość twojej miłości? Nie wierzę, że Panu Bogu Niemile są pieszczoty dwojga kochających się ludzi, i ty jeszcze kilka minut temu mówiłaś, że za nie gotowa jesteś oddać szczęśliwość przyszłego życia.

Renata zamiast odpowiedzi zaczęła jednak łkać, jak zawsze wtedy łkała, to jest niepowstrzymanie i rozpaczliwie, tak że daremnie usiłowałem uspokoić ją i pocieszyć, prosząc o wybaczenie, obwiniając samego siebie, obiecując jej, że nic podobnego do tego dnia nigdy już się nie powtórzy. Renata wcale mnie nie słuchając płakała jakby oplakując coś, co przepadło bezpowrotnie, jak mogłaby może płakać dziewczyna niegodziwie omamiona przez uwodziciela, lub jak być może płakała pramatka Ewa, kiedy zrozumiała obłudę Węża. Ja zaś, widząc te łzy i ten smutek, sam sobie poprzysiągłem, że nigdy więcej nie ulegnę pokusie, że raczej opuszczę Renatę, niż znów ukazę się jej oczom jako człowiek szukający ordynaryjnych rozkoszy, gdyż byłem spragniony nie ich, lecz czułego spojrzenia i serdecznych słów.

Jednakże mimo obietnic, jakie poczyniłem Renacie i sobie, dzień ów posłużył za wzór dla wielu innych, chociaż ulepionych z innej gliny, ale w tych samych formach, przy czym z taką dokładnością, że w nich wszystkich Agnieszka miała swoje miejsce. Zazwyczaj odbywało się to tak, że w dzień szedłem do Agnieszki, słuchałem jej spokojnej mowy, patrzyłem na jej lniane warkocze, i z duszą uspokojoną jak morze, na którym zapanował sztil,

powracałem do Renaty po drodze napominając siebie, by dziś bezwzględnie nad sobą panować. W domu przeważnie zabieraliśmy się do lektury jakiegoś pouczającego dzieła, przy czym pokonując uczucie nudy starałem się wnikać w rozważania interesujące Renatę, lecz pomału jak jakiś filtr[171] miłosny pociągała mnie bliskość jej ciała i niemal sam tego nie zauważając to wargami przypadałem do jej włosów, to mocniej ścisnąłem jej rękę w swojej ręce. Wspominając teraz owe chwile myślę, że być może nie zawsze ja dawałem do tego pierwszy impuls, lecz że podobnego uczucia doznawała również Renata, która tak samo wbrew woli ulegała namiętności, lub że w tym wszystkim przejawiał się wpływ wrogich nam i niewidzialnych istot. W każdym razie wszystkie bez wyjątku lektury, po pierwszym naszym grzechu, kończyły się jednakowo: najpierw szaleńcze pieszczoty i wzajemne przysięgi, potem rozpacz Renaty, jej łzy, gorzkie wyrzuty i moja późniejsza skrucha. I w naszej pamięci liczba tych obrazów, podobnych do siebie jak liście jednego drzewa, codziennie się zwiększała.

Życie nasze, kręcąc się na podobieństwo coraz to węższych pierścieni wiru, zamknęło wreszcie w bardzo ciasnym kręgu to, co przedtem ogarniało szerokim objęciem. W pierwszych miesiącach wspólnego życia z Renatą byliśmy sobie obcy; później, po moim pojedynku z hrabią Henrykiem, przeciwnie, byliśmy sobie tak bliscy, jak tylko ludzie mogą sobie być bliscy. W następnym okresie życia, ciągnącym się aż do widzenia Renaty, te przemiany wrogości i bliskości dokonywały się na przestrzeni kilku dni i czasem w ciągu tygodnia zdążyliśmy być i zajadłymi wrogami, i namiętnymi kochankami. Teraz taki właśnie cykl zamknął się w krótkim czasie dwudziestu czterech godzin. Od rana do wieczora zdążyliśmy przejść całą wysoką drabinę od braterskiej bliskości poprzez przyjacielską ufność do najbardziej płomiennej zapamiętałej miłości i dalej do ostrej jak kindżał nienawiści. Każdego dnia dusze nasze to niczym klingi rozpały się do białości na palenisku pożądania, to nagle pograżały się w lodowatym zimnie i łatwo można było przewidzieć, że nie wytrzymując takich przejść, w końcu się złamią.

Czułem się bardzo zmęczony całym życiem swoim z Renatą i znów w skrytości pomyślałem o tym, by ją opuścić i uciec do innych krajów, chociaż równocześnie myśl, że będę pozbawiony jej i jej pieszczot, wydawała mi się tak okropna, że wprost bałem się wyobrazić sobie siebie w świecie znów samotnego. Także Renata podczas naszych kłótni coraz częściej zdobywała się na to, by mówić mi, że nie może już dłużej pozostawać ze mną, że wcielił się we mnie Diabeł i kusi ją, że lepiej, by umarła z tęsknoty za mną, niż żeby po to, by być blisko mnie, popełniała śmiertelne grzechy, i że jedyną przystanią, gdzie teraz jej miejsce, jest klasztor. Wtedy nie przypisywałem jej słowom

szczególne znaczenia, jednak mnie także nasze wspólne życie wydawało się wówczas komnatą, z której nie ma wyjścia, w której sami zamurowaliśmy wszystkie drzwi i w której teraz miotamy się beznadziejnie, objając się o ściany.

Jednakże katastrofa, która te mury rozwalila i nagle rzuciła mnie w jakieś inne przepaści, na inne ostre głązy, nadeszła niepostrzeżenie, zupełnie jakby los zakradł się w masce i na palcach i pochwycił nas oboje od tyłu.

Pamiętam ów dzień być może lepiej niż wszystkie inne dni i dlatego wiem dokładnie, że było to 14 lutego, w niedzielę, w dzień świętego Walentego [172]. Tego dnia szczególnie ucieszyła mnie serdeczność Agnieszki, przy czym przy rozmowie naszej obecny był także Mateusz i we troje niemało żartowaliśmy ze zwyczajów i wróżb związanych z tym dniem. Powracając do domu znów byłem w nastroju dobrotliwym, życzliwym, i mówiłem sobie: „Dusza Renaty zraniona jest tym wszystkim, co ona przeżyła. Trzeba dać jej ukojenie, tak jak choremu daje się lekarstwo. Kto wie, być może po kilku miesiącach życia pogodnego i zgodnego jej miłość i jej skrucha popłyną spokojnym korytem i dla nas obojga możliwe stanie się szczęśliwe i pracowite życie męża i żony, o którym przestaję już marzyć”.

Powziąwszy tak szlachetną decyzję wszedłem do pokoju Renaty i zastałem ją jak zwykle wśród ksiąg, nad łacińskim foliantem, w którego sens na próżno starała się wniknąć. Tak była zaciekawiona niejasną dla niej treścią księgi, że nie słyszała, jak się przybliżyłem, drgnęła więc i skierowała na mnie swe jasne oczy dopiero, kiedy delikatnie pocałowałem ją w ramię.

Renata, jakby zapomniawszy o swoich wczorajszych gorzkich wyrzutach i skargach, powiedziała do mnie przyjaźnie:

— Jak długo czekałam dziś na ciebie, Ruprechcie! Pomóż mi — widzę, że księga ta jest bardzo ważna, lecz bardzo źle ją rozumiem, są tu objawienia, które, jeśli będziemy o nich pamiętać, powstrzymają nas od różnego zła.

Przysiadłem obok Renaty i zobaczyłem, że była to księga niedawno wyszukana przeze mnie u Glocka, dawno już bowiem była wyprzedana, przepiękny tom, wydrukowany jeszcze w wieku ubiegłym w Lubece, pod tytułem „Sanctae Brigittae Revelationes ex recensione cardinalis de Turrecremata” [173]. Księga była otwarta na opisie wędrowki świętej Brygidy Szwedzkiej przez Czyściec i tych rodzajów mąk, jakie tam widziała. Zaczęliśmy z uporem czytać o jakiejś grzesznej duszy, której głowa z taką siłą ściągnięta była ciężkim łańcuchem, że oczy wylażyły z orbit i zwiślały na swoich korzeniach aż do kolan, a mózg rozpekł się i wyciekał przez uszy i nos; dalej opisane były męki innej duszy, której język został wyrwany przez otwory nosowe i zwiślał aż do zębów; jeszcze dalej następowały inne opisy wszelkich możliwych tortur,

obdzierania ze skóry, wymyślnych biczowań, dręczenia ogniem, wrzącym olejem, gwoździami i piłami.

Nie udało mi się przeczytać w tej księdze opisu mąk zadawanych w Piekło, a w przedstawieniu Czyśca zainteresowała mnie jedynie niepokromiona fantazja, która zresztą wiele utraciła z powodu złego ujęcia przez kardynała, niezbyt mocnego w stylistyce łacińskiej. Za to na Renacie widzenia świętej Brygidy wywarły wstrząsające wrażenie i odepchnąwszy straszną księgę, drżąc cała przytuliła się do mnie, wyobrażając sobie widocznie pozagrobowe męki z całą wyrazistością ukazującego się oczom widowiska. Z uczuciem prawdziwego przerażenia, niczym dziecko, które same pozostało w ciemnym pokoju, wykrzyknęła wreszcie:

— To strasne! Strasne! I to grozi nam wszystkim, każdemu, mnie i tobie! Chodźmy, Ruprechcie, pomodlić się, i oby Bóg pozostawił nam tyle życia, abyśmy zdołali odkupić wszystkie nasze grzechy!

W tej chwili Renata, naiwna i bojaźliwa, przypominała małe wiejskie dziewczątka, które nastraszył przejezdny mnich mający nadzieję, że przy pomocy tego dziewczątka sprzeda więcej indulgencji, i była mi ona niewypowiedzianie miła i droga. Chętnie podążyłem za nią do małego ołtarzyka, znajdującego się w jej pokoju, i padliśmy na kolana powtarzając święte słowa: *Placare Christe servulis...* Ta wspólna modlitwa, kiedy byliśmy tak blisko siebie jak dwie kościelne statuy i kiedy głosy nasze mieszały się jak zapach dwóch obok siebie rosnących kwiatów, zdecydowała o naszej doli, albowiem oboje znów nie przezwyciężyliśmy pożądania, które nagle wyłoniło się z dna naszych dusz, tak jak na gwizd zaklinacza jego wąż wyłania się z koszyka.

Nie chcę tu obwiniać Renaty o ten ostatni postępek i nie mogę wziąć za niego całej winy na siebie, niech więc we właściwym czasie rozsądzi to Ten, do Kogo należy sądzić i rozstrzygać, w Którego rękach znajduje się dokładna waga i Kto nie zważa na osoby. Bez względu jednak na to, które z nas zawiniło w tym naszym ostatnim upadku, w każdym razie boleść, jaka ogarnęła Renatę, ledwo minął zawrót głowy spowodowany namiętnością, nigdy przedtem nie miała sobie równej. Renata z takim Zdumieniem i z takim drżeniem odskoczyła ode mnie, jakbym zawładnął nią skrycie, czy to kiedy pogrążona była we śnie, czy też przemocą jak Tarkwiniusz Lukrecją, i pierwsze dwa słowa przez nią wypowiedziane smagnęły mnie biczem po sercu silniej niż wszystkie późniejsze przekleństwa. Te dwa słowa, pełne bezbrzeżnego smutku, były:

— Ruprechcie, znów!

Pochwyciłem ręce Renaty, chciałem je całować i śpiesznie powiedziałem:

— Renato! Przysięgam na Boga, przysięgam, jak pragnę zbawienia duszy,

że sam nie wiem, jak się to wszystko stało! To wszystko tylko dlatego, że zbyt ciębie kocham, że godzę się na wszystkie męki Brygidy, bylebym mógł całować twoje wargi!

Lecz Renata uwolniła swoje palce, odbiegła na środek pokoju jakby po to, by znaleźć się dalej ode mnie, i nie posiadając się z oburzenia wykrzyknęła:

— Kłamiesz! Jesteś obłudny! Znów kłamiesz! Podły! Podły! Jesteś Szatanem! Diabeł w tobie siedzi! Boże, Jezu Chryste, chroń mnie przed tym człowiekiem!

Usiłowałem dosięgnąć Renaty, wyciągnąłem do niej ręce, powtarzałem jakieś, niepotrzebne przeprosiny i bezowocne przysięgi, lecz ona odsuwała się ode mnie krzycząc:

— Precz ode mnie! Nienawidzę cię! Jesteś mi wstrętny! To w chwili szaleństwa mówiłam, że cię kocham, w chwili szaleństwa i rozpacz, potem kiedy już nic innego mi nie pozostawało! Drżałam ze wstrętu, kiedy mnie obejmowałeś! Nienawidzę cię, przekłety!

W końcu powiedziałem:

— Renato, czemu oskarżasz tylko mnie, a nie siebie? Czy nie zawiniłaś tak samo, ulegając mojej pokusie, jak ja, ustępując twojej? A raczej, czy to nie Bóg zawinił tworząc ludzi słabymi i nie dając im siły do walki z grzechem?

W tejże chwili Renata zatrzymała się jakby porażona moimi bluźnierstwami, zaczęła się dzikim wzrokiem rozglądać dokoła i widząc leżący na stole nóż, chwyciła go jak oręż zbawienia.

— Patrz, patrz! — krzyknęła do mnie ochryplym głosem. — Oto jaki środek Sam Chrystus nam nakazał, jeśli nasze ciało nas kusi!

Mówiąc tak Renata uderzała się ostrzem w ramię i krew zabarwiła miejsce zranienia, a po chwili pocięła także z rękawa jej sukni. W tym momencie przez głowę przemknęła mi myśl, że jest to porów ostatni, że po nim nastąpi całkowity upadek sił i chciałem pochwycić Renatę w ramiona jako zupełnie już osłabłą. Tymczasem, wbrew oczekiwaniu, rana tylko przydała jej wściekłości i Renata ze zdwojonym oburzeniem odepchnęła mnie, rzuciła się w bok i znów zakrzyczała:

— Wynos się! Wynos się! Nie chcę, żebyś mnie dotykał!

Potem, zupełnie już oszalała lub może pod wpływem złego ducha, Renata z rozmachu rzuciła we mnie nożem, który jeszcze trzymała w ręce, tak że ledwo zdążyłem się uchylić przed niebezpiecznym uderzeniem. Teraz chwyciła ze stołu ciężkie książki i zaczęła je rzucać we mnie jak kule z balisty, a po nich rzucała także różne inne drobne przedmioty znajdujące się w pokoju.

Oslaniając się jak tylko zdołałem przed tym gradem, chciałem coś powiedzieć i przywieść Renatę do opamiętania, lecz każde moje nowe słowo

wprawiało ją w większe rozdrażnienie, każdy mój ruch wzmagał jeszcze bardziej jej podniecenie. Widziałem twarz Renaty, bladą jak nigdy i przez drgawki zmienioną nie do poznania, widziałem jej oczy, których źrenice były dwukrotnie rozszerzone — i cały jej wygląd, całe jej ciało wstrząsane nieustannym dreszczem, stanowiły dla mnie dowód, że to nie ona panuje nad sobą, lecz ktoś inny rozporządza jej ciałem i jej wolą. I w tym momencie, słysząc ponowny krzyk Renaty: „Wynoś się, wynoś!”, widząc do jakiej wściekłości doprowadza ją moja obecność, powziąłem decyzję, być może nieostrożną, za którą jednak mimo wszystko dziś nie śmiem czynić sobie wyrzutów: postanowiłem istotnie wyjść z domu, mniemając, że beze mnie Renata szybciej opanuje się i uspokoi. Prócz tego nie mogłem pozostać twardy jak Skała Marpezyjska[174], słysząc obelgi, jakimi mnie nieustannie obrzucała, i chociaż rozumiałem, że Renata nie jest za nie odpowiedzialna, jednakże nie bez trudu powstrzymałem się, by w odpowiedzi nie wykrzyknąć jej swoich oskarżeń.

Tak więc wołałem odwróciwszy się szybko wyjść z pokoju i słyszałem za sobą niepohamowany śmiech Renaty, jakby świętowała długo wyczekiwane zwycięstwo. Kazałem Luizie, by udała się na piętro i czekała na rozkazy pani, po czym narzuciłem płaszcz i wyszedłem na wiosenne powietrze, w zmierzch nadciągającego wieczoru, i po domu wariatów, w którym dopiero co słyszałem krzyki, zgrzytanie i śmiech — jakże dziwna wydała mi się wąska ulica, wysokie domy Kolonii i biały jeszcze księżyc nad nimi. Szedłem przed siebie o niczym nie myśląc, tylko oddychając pełną piersią, tylko chłonąc oczami ciemniejący błękit nieba, i nagle sam się zdziwiłem widząc, że stoję przed drzwiami domu Wissmannów, dokąd nogi same mnie jakoś zawiiodły. Oczywiście nie wszedłem do nich po raz drugi, lecz przeszedłszy na drugą stronę ulicy zajrzałem w okna i wydało mi się, że poznałem miłą i delikatną twarzyczkę Agnieszki. Przez to samo już uspokojony, a być może przyczynił się do tego także cały spacer, powoli skierowałem się do domu.

U nas znalazłem jednak Luizę zatrwożoną, a pokój Renaty pusty, przy czym na podłodze poniewierały się jej rzeczy, niektóre części odzieży, jakieś strzępki, sznurki, i wszystko wskazywało na to, że ktoś tu w pośpiechu szykował się do odjazdu. Oczywiście zaraz się domyśliłem, co się stało, i ogarnęło mnie przerażenie, jak niedoświadczonego czarnoksiężnika, który potajemnie zaklinał demona, by się zjawił, i nagle padł na twarz przy jego strasznym pojawieniu się. Wzburzony, zacząłem wypytywać Luizę, lecz ona niewiele mogła mi wyjaśnić.

— Pani Renata — bąkała Luiza — powiedziała mi, żeście się, panie, z nią pożegnali i że wyjeżdża na kilka dni. Kazała mi, żebym jej pomogła pozbierać



rzeczy, ale zabroniła, bym za nią szła. Nigdy się pani nie sprzeciwiam i robię, co mi każe. Zdziwiło mnie tylko, że pani Renata miała całą rękę we krwi, ale jej tę ranę przewiązałam czystym płótnem.

Bezczelowe było sprzeczać się z głupią staruchą lub łajac ją, tak więc nie odpowiadając na jej lamentsy, z odkrytą głową wybiegłem na ulicę. Wydawało mi się, że Renata nie mogła zbytnio się oddalić, miałem nadzieję, że ją dogonię, że ją uproszę, ubłagam, by wróciła. Potraçałem rzadkich wieczornych przechodniów, wpadałem na mury i bez sensu, z sercem walącym jak kowalski młot, przebiegałem ulicę po ulicy, póki nie rozległo się brzęczenie łańcuchów ulicznych i tu i ówdzie w mroku nie zamigotały przenośne latarnie. Wtedy pojąłem bezmyślność mych poszukiwań i wstrząśnięty, półprzytomny wróciłem do domu.

Choć sam się pocieszałem przypuszczeniem, że Renata nie zdążyła oczywiście wyjść z miasta przed zamknięciem bram, to jednak cała pierwsza noc którą spędziłem bez niej, była naprawdę straszna. Z początku rzuciłem się na swoje łóżko i z udręką czekałem, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, że oto rozlegnie się stukanie do drzwi i wróci Renata — każdy szmer budził we mnie nadzieję, poczytywałem go za omen. Potem zerwałem się z łóżka, padłem na kolana i zacząłem się modlić z tym samym zapamiętaniem, z jakim modliła się Renata, błagając Najwyższego, by mi ją wrócił, wrócił za wszelką cenę. Dawałem setki obietnic, które przysięgałem spełnić, jeśli tylko Renata wróci: przysięgałem zamówić tysiąc mszy, przysięgałem wybić dziesięć tysięcy pokłonów, przysięgałem pójść pieszo do Grobu Pańskiego, godziłem się oddać w zamian wszelkie inne radości życia, jakie mogły mnie jeszcze czekać w przyszłości — rozumiałem całą absurdalność swych obietnic, lecz mimo to wypowiadałem je zaciskając ręce. Potem rzuciłem się do opustoszałego pokoju Renaty, gdzie wszystko tchnęło jeszcze jej obecnością, położyłem się w jej łóżku, na prześcieradle, do którego wczoraj przytulała swe ciało, całowałem jej poduszki i gryzłem je zębami, wyobrażałem sobie, że trzymam Renatę w objęciach, mówiłem jej wszystkie namiętne tkliwe słowa, których nie zdążyłem jej powiedzieć w dniach naszej bliskości, i tłukłem głową o mur, żeby dzięki bólowi odzyskać przytomność. Nie wiem, jak się to stało, że tej nocy nie straciłem rozumu.

Nadszedł świt, a ja już byłem na nogach, już szukałem Renaty po mieście, już czatowałem na nią przy bramach miejskich i na przystaniach, skąd odpywały barki. Nigdzie jednak Renaty nie znalazłem, nie doczekałem się jej w domu — nie wróciła do mnie ani tego dnia, ani następnego, ani przez wiele innych dni, już nigdy więcej nie wróciła do swego pokoju.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

O tym, jak żyłem bez Renaty i jak spotkałem się z doktorem  
Faustem

### I

Nie potrafiłbym szczegółowo opisać, jak przeżyłem pierwsze dni po odejściu Renaty, gdyż w pamięci mej dni te stopiły się w jedną mętną plamę, podobnie jak w czasie mgły stapiają się tworząc jedno — port i okoliczne domy, i ludzie miotający się na przystani. Nigdy jednak dawniej, nawet wyobrażając sobie, jak z Renatą się rozstaniemy, nie mogłem przypuszczać, że niepoohamowana tęsknota chwyci mnie w swe szpony jak orzeł górski jagnię i że okażę się tak bezbronny i bezradny wobec naporu szaleńczych niespełnionych pragnień. W ciągu tych dni całą mą duszę aż po brzegi, i powyżej brzegów, wypełniała świadomość, że szczęście mego życia — to tylko Renata i że bez niej nie ma dla mnie sensu widzieć dzień lub witać noc. Miesiące, które spędziłem z Renatą, przedstawiały mi się jako czas rajskiej szczęśliwości i na myśl, że mogłem w tak lekkomyślny sposób szczęśliwość tę utracić, z wściekłości gotów byłem obrzucać się wszelkimi przekleństwami i bić sam siebie po twarzy jak najnikczemniejszego łajdaka.

Oczywiście zrobiłem wszystko, co tylko było w mojej mocy, by odszukać Renatę. Wypytałem szczegółowo, nie szczędząc datków, wszystkich stróżów bram miejskich, czy przez te bramy nie przechodziła lub nie przejeżdżała kobieta podobna do Renaty. Zasięgnąłem wszelkich możliwych informacji w gospodach, klasztorach i różnych innych miejscach, gdzie mogła być znaleźć schronienie, przy czym, przyznaję, w moim szaleństwie pytałem nawet w domach publicznych. Nie powstydziałem się wynieść swą hańbę na ulicę i ze swymi skargami i prośbami udałem się do tych naszych sąsiadek, Katarzyny i Małgorzaty, z którymi przez czas pewien dziwnie przyjaźniła się Renata. Wszelkie jednak moje poszukiwania napotykały tylko wzruszenie ramion, a w innych przypadkach, kiedy dopytywałem się zbytnio poruszony i ze zbytnim naleganiem — także okrutne drwiny lub po prostu wymyślanie.

W tym samym czasie, czepiając się niedorzecznej nadziei, że spotkam Renatę na jakimś skrzyżowaniu, bez ustanku biegałem po ulicach i placach miasta, godzinami wystawałem na przystaniach i rynkach, wchodziłem do wszystkich kościołów, gdzie lubiła modlić się Renata, i rozpalonym wzrokiem wpatrywałem się w klęczące postacie, marząc, że wśród nich spostrzegę postać dobrze znaną. Tysiące razy wyobrażałem sobie, jak w jakimś wąskim przejściu nagle natknę się na Renatę, jak chwycę ją za płaszcz, jeśli zechce szybko uciekać, w ulicznym błocie padnę na kolana i powiem jej: „Renato — jestem twój, znów twój, na zawsze i całkowicie! Weź mnie jak niewolnika, jak rzecz, jak Pan Bóg bierze dusze! Zrób ze mną, co zechcesz; zgnieć mnie jak garncarz glinę, wydawaj mi rozkazy — szczęśliwy będę mogąc umrzeć dla ciebie!” Krótko mówiąc, teraz z całą dokładnością sam przeżyłem wszystko to, co niegdyś przeżywała Renata nieprzytomnie szukając swego Henryka na ulicach Kolonii, i myślałem, że moje uczucia niczym się nie różniły od jej płomiennego szaleństwa w tamtych dniach.

W czasie wieczorów, które spędzałem w domu, otwierały się przede mną otchłanie rozpacz i czas do rana był dla mnie porą bezlitosnych tortur, którym sam siebie poddawałem. Mimo to uciekać się do jakiegoś środka uspokajającego wydawało mi się czymś poniżającym i nie chciałem wypić nawet szklanki wina, wolałem spotykać się z boleścią twarzą w twarz, z otwartą przyłbicą, jak szlachetny rycerz w pojedynku, niż kupować sobie tymczasowy spokój za cenę zapomnienia o Renacie. Znów, jak pierwszej nocy bez Renaty, to przechodziłem z jednego pokoju do drugiego, to zamykałem się u siebie, by nie widzieć, nie pamiętać rzeczy, których dotykała Renata i których widoku nie mogłem znieść, to znów rzucałem się na tę samą pościel, w której ona spała, całując poduszki, do których tuliły się jej policzki, starając się przypomnieć sobie wszystkie tkliwe słowa, które mówiła. Wreszcie zmęczenie zamykało mi oczy i wtedy chyliła się w me objęcia, małym kruchym ciałem tuliła się do mojej piersi lub z lustrzanych sal szła na moje spotkanie uroczysta jak królowa, ofiarująca mi wieniec, lub, przeciwnie, wchodziła blada, chora, znużona, wyciągając ręce, prosząc o obronę... Budziłem się, spadając jakby z wysokiej wieży szczęścia w mrok i chłód swej niedoli...

Tak na marzeniach spędziłem kilka dni, a potem ogarnęła mnie czarna rozpacz i skrajna beznadzieja, już nie starczało mi siły nawet na poszukiwania. Całe dni pozostawałem w swoich pokojach, sam na sam z moją tęsknotą, niczym przestępca zamknięty w więzieniu razem z dziką małpą, która co chwila rzuca się na niego i dusi go swymi chwytliwymi dłońmi. Niekiedy wzywałem do siebie Luizę i po raz setny wypytywałem ją o okoliczności, w których Renata odeszła, ze szczególnym uporem powtarzałem pytanie: „Więc

powiedziała, że odjeżdża tylko na pewien czas?" — i męczyłem biedną staruszką dopóty, dopóki kiwając głową sama ode mnie wychodziła. Wtedy oddawałem się wspomnieniom o Renacie, odtwarzając w pamięci wszystkie dni i godziny, które spędziliśmy razem, podobnie jak sknera przesypuje z dłoni na dłoń nagromadzone przez siebie monety, i czasami jak idiota śmiejąc się z radości, kiedy w pamięci nagle wypływało zapomniane słowo, zapomniane spojrzenie Renaty. Prócz tego wymyślałem różne wróżby, jedne głupsze od drugich, które nie to, że pozwalały mi się łudzić, ale którymi jakoś się pocieszałem. Tak na przykład patrząc w okno mówiłem sobie: „Jeśli ulicą z prawej strony nadejdzie mężczyzna, to Renata do mnie wróci”. Lub tak: „Jeśli nie myśląc się policzę do miliona, to Renata jest jeszcze w Kolonii”. Lub też: „Jeśli przypomnę sobie imiona wszystkich moich kolegów uniwersyteckich, to jutro ją spotkam”. Dni znów mijały w stanie bezsily i bezwoli i było mi coraz dziwniej na myśl, że mogę wrócić do ludzi, a obraz samej Renaty wydawał mi się już nie wspomnieniem o żywym człowieku, lecz jakimś świętym symbolem.

Pewnego razu wymyśliłem nową zabawę, mianowicie siedząc w fotelu zamykałem oczy i wyobrażałem sobie, że Renata jest tu, w pokoju, że przechodzi od okna do stołu, od łóżka do ołtarza, że zbliża się do mnie, dotyka moich włosów. Byłem tak podniecony, że istotnie słyszałem jakby kroki, szelest sukni, czułem jakby dotknięcie delikatnych palców, i to oszukiwanie samego siebie było męczarnią, a zarazem rozkoszą. Tak godziny całe upijałem się fantazją i łyzy nie jeden raz napływały mi do oczu, lecz nagle serce moje zatrzymało się i natychmiast niespokojnie zabiło, a ręce zlodowociały: w pokoju usłyszałem realny szelest sukni i wyraźne kobiece kroki.

Otwarłem oczy: przede mną stała Agnieszka.

Agnieszka powoli, jakby poruszając się podświadomie, podeszła do mnie, opuszcła się przede mną na kolana, jak niegdyś ja przed Renatą, ujęła moją rękę i wyszeptwała:

— Panie Ruprechcie, dlaczego dawno już nie opowiedzieliście mi wszystkiego o sobie?

Taka tklivość była w jej głosie i głos ten tak delikatnie dotknął ran mego serca, że nie było mi ani wstyd mej boleści, ani nie przeraziła mnie obecność kogoś obcego w tym pokoju. Ja także uścisnąłem rękę Agnieszki i tak samo cicho, jak mówiła ona, odpowiedziałem:

— Pozostańcie ze mną, panno Agnieszko; dziękuję wam, pani, żeście do mnie przyszli.

I natychmiast, ponieważ nie mogłem w tym czasie myśleć o niczym innym, zacząłem mówić Agnieszce o Renacie, o naszej miłości, o mojej rozpacz.

Znalazło zaspokojenie męczące mnie już dawno pragnienie, by na głos, donośnie, mówić o swych uczuciach, by bezlitośnie, posługując się ścisłymi terminami, określić swą sytuację — i słowa wyrwały mi się jakoś wbrew woli, niepohamowanie, niekiedy bez związku jak u obłąkanego. Widziałem, jak pod wpływem mych wyznań Agnieszka bladła, jak jej spojrzenie jasne i zawsze beztroskie przesłoniło się łzami, lecz nie miałem już siły, by się powstrzymać, gdyż widok czyjśgo cierpienia przynosił jakąś ulgę memu własnemu. Jeśli Agnieszka próbowała wtrącić słowo, czymkolwiek mnie pocieszyć, przemocą przerywałem jej mowę i z większą jeszcze pasją ciągnąłem dalej moją, zupełnie jakby to jakiś demon na swoich skrzydłach unosił mnie w otchłań.

Mój szaleńczy poryw trwał zapewne około godziny, aż wreszcie Agnieszka, nie wytrzymując już tortury, którą jej zadawałem, nagle załkała, padła na podłogę i powtarzała: „A o mnie, o mnie, panie, nigdy nawet nie pomyśleliście!” W tym momencie opamiętałem się nieco, podniosłem Agnieszkę, posadziłem ją w fotelu, powiedziałem, że jestem jej nieskończenie wdzięczny za dobroć, i w tej chwili istotnie czułem dla niej tkliwość kochającego brata. Kiedy jednak Agnieszka uspokoiła się, otarła zaczerwienione oczy, doprowadziła do porządku potargane włosy i zaczęła śpieszyć się do domu, aby nieobecność jej pozostała niezauważona, błagałem ją na kolanach, by nazajutrz choć na chwilę znów do mnie przysłała. Po odejściu Agnieszki czułem jakiś dziwny spokój, niczym ranny, który bez pomocy długo leżał na polu bitwy, aż wreszcie dostał się do rąk troskliwego medyka i ten przemywa mu, nie bez dręczącego bólu, głębokie rany i przewiązuje je czystym płótnem.

Agnieszka wróciła do mnie dnia następnego, a potem przysłała i na trzeci, i na czwarty dzień, i zaczęła pojawiać się w moich pokojach codziennie, umiejąc oszukać jakoś i czujność brata, i argusowe oczy sąsiadek-kumoszek. Nie mogłem oczywiście nie domyślić się, dlaczego do mnie przychodzi, bowiem dreszcz, który ją przebiegał, kiedy jej dotknąłem, jej pokorne spojrzenie i lękliwe, nieśmiałe słowa, dostatecznie mi wyjaśniały, że Agnieszka odnosi się do mnie z całą tkliwością pierwszego uczucia. Nie przeszkodziło mi to jednak męczyć ją moimi wyznaniem. Agnieszka była mi bowiem potrzebna tylko jako słuchaczka, przy której mogłem swobodnie mówić o tym, czym żyła moja dusza, i przy której mogłem na głos wymawiać czarowne dla mnie imię Renaty. W ten sposób niczym odwrócone odbicie powtórzyły się dla mnie owe godziny, kiedy to ja słuchałem opowieści Renaty o Henryku, jednakże tym razem byłem nie ofiarą, lecz katem. I patrząc na małą Agnieszkę, codziennie zdążającą do mnie na męczarnie, myślałem sobie, że wszyscy czworo, hrabia Henryk, Renata, ja i Agnieszka, sprzęgnięci jesteśmy ze sobą jak koła zębate w

mechanizm zegara, tak że mimo woli jedno wpija się w drugie swym ostrzem.

Powiem, że Agnieszka niespodziewanie dzielnie znosiła te tortury, albowiem miłość widocznie wszystkim, także najslabszym, daje siły tytana. Zapominając o swej dziewiczej skromności pokornie słuchała moich opowieści o dniach szczęścia z Renatą, opowieści, w których podobało mi się wspominać także o sprawach najskrytszych. Pokonując swą dziecinną zazdrość szła za mną do pokoju Renaty i pozwalała pokazywać sobie ulubione miejsce Renaty, fotel, w którym często siadywała, ołtarz, przy którym się modliła, łóżko, u którego nóg, bywało, sypiałem, nie śmiąc podnieść oczu wyżej. Zmuszałem także Agnieszkę, by rozważała wraz ze mną zagadnienie, jak powinienem teraz postąpić, i nieśmiałym urywanym głosem przekonywała mnie ona, że nedorzecznie byłoby jechać na poszukiwania po wszystkich miastach niemieckich ziem, zwłaszcza że nawet nie wiedziałem, gdzie są ojczyste strony Renaty i gdzie mieszkają jej krewni.

Zresztą nierzadko zdarzało się, że zadawane przeze mnie ciosy były ponad siły mojej ofiary i wtedy Agnieszka nagle opuszczając ręce szeptała do mnie: „Już dłużej nie mogę!”, i cała jakoś przygasała lub cicho płacząc osuwała się na podłogę, lub też wstydliwie wtulała twarz w fotel. Wtedy budziła się we mnie prawdziwa tkliwość dla tej biednej dziewczyny, czule ją obejmowałem, tak że mieszały się ze sobą nasze włosy, a wargi zbliżały się w pocałunku, dla mnie jednak nie znaczącym nic więcej jak tylko przyjaźń. Być może to właśnie dla tych krótkich chwil przychodziła do mnie Agnieszka i w ich oczekiwaniu gotowa była znosić wszystkie krzywdy, jakie ją z mojej strony spotykały.

Tak minęło blisko dziesięć dni, a ja wciąż marudziłem w Kolonii, po pierwsze dlatego, że istotnie nie miałem dokąd jechać, a po drugie dlatego, że brak woli wciąż jeszcze omotywał mnie jakby gęstą siecią i lęk mnie ogamiał na myśl o rozstaniu z ostatnią przystanią, jaka pozostała mi jeszcze na ziemi: z przywiązaniem Agnieszki. W ciągu tych dni dusza moja tak była rozmiękczonea wszystkim, co przeżyłem, że nikt nie poznałby we mnie srogiego towarzysza wielkich konkwistadorów, prowadzącego ekspedycje przez dziewicze lasy Nowej Hiszpanii, wręcz przeciwnie, pochłonięty bez reszty swymi przemienionymi uczuciami, przypominałem raczej jakiegoś „cortegiano”, tak subtelnie przedstawionego przez dowcipnego Baldassare Castiglione[175]. Być może, nie mając dość siły woli, by uczynić decydujący krok, przez wiele jeszcze dni prowadziłbym swój dziwaczny tryb życia, gdyby nie położyło temu kresu wydarzenie, które należy raczej uznać za naturalną konkluzję wszystkiego, co było, niż za przypadek.

Pewnego razu, u schyłku dnia, a ściśle w sobotę 6 marca, kiedy Agnieszka, która znów nie wytrzymała prób, jakim ją poddałem, bezsilnie leżała u mnie na

kolanach, a ja, znów żalując swego okrucieństwa, delikatnie ją całowałem — drzwi naszego pokoju nagle się rozwarły i na progu ukazał się Mateusz, który widząc ów nieoczekiwany obraz, zamarł jakby ze zdumienia. Agnieszka przy pojawieniu się brata zerwała się z krzykiem i w zmieszaniu rzuciwszy się do ściany przywarła do niej twarzą; ja także, czując się winnym, nie wiedziałem, co powiedzieć, i prawdopodobnie w ciągu minuty przedstawialiśmy niemą scenę z pantomimy ulicznego teatru. Wreszcie Mateusz odzyskał dar mowy i w gniewie powiedział, co następuje:

— Tego, bracie, po tobie się nie spodziewałem! Różnie o tobie myślałem, ale uważałem cię za chłopaka uczciwego! I ja się dziwiłem, że on przestał do mnie przychodzić! To bywało, że zjawiał się każdego dnia, to znów przez dwa tygodnie na oczy się nie pokazał! A więc, jak się okazuje, zwabiłeś ptaszynę; pomyślałeś: teraz to ona sama do mnie będzie przylatywała. Ale nie, bracie, mylisz się, to ci tak na sucho nie ujdzie!

Mówiąc tak i pod wpływem swoich słów sam wpadając we wściekłość, Mateusz nacierał na mnie omal nie z podniesionymi pięściami, a ja daremnie starałem się przemówić mu do rozumu. Potem, nagle dostrzegając Agnieszkę, Mateusz rzucił się ku niej i dysząc bardziej jeszcze zaczął ją obsypywać nieprzyzwoitymi wyzwiskami, jakich nigdy nie ośmieliłbym się wymówić w obecności kobiety. Agnieszka słysząc okrutne oskarżenia zatkała jeszcze rozpaczliwiej, zadrdzała jak motyl opalony w ogniu i niemal bez zmysłów padła na podłogę. Tu już zdecydowanie przystąpiłem do akcji, zasłoniłem Agnieszkę i głosem stanowczym powiedziałem do Mateusza:

— Kochany Mateuszu! Bardzo wobec ciebie zawiniłem, choć być może nie na tyle, jak myślisz. Siostra twoja w niczym jednak nie zawiniła i musisz zostawić ją w spokoju, póki nie wysłuchasz moich wyjaśnień. Niech panna Agnieszka idzie do domu, a ty siądź i pozwól mi mówić.

Mój pewny ton podziałał na Mateusza; umilkł i ciężko opuścił się na fotel mrużąc:

— No to posłuchajmy twojej dialektyki!

Pomogłem Agnieszce wstać, gdyż ledwo zdawała sobie sprawę z tego, co robi, odprowadziłem ją do drzwi i natychmiast zamknąłem te drzwi na zasuwę. Potem wróciłem do Mateusza, siadłem naprzeciw niego i zacząłem mówić, starając się pokazać niefrasobliwym. Podobnie jak zawsze ze mną bywa w chwili, kiedy trzeba działać — wróciła mi wtedy i jasność myśli, i nieugiętość woli.

Wyjaśniłem Mateuszowi, na ile można było wyjaśnić to człowiekowi gburowatemu i prostackiemu, jakie okoliczności życia doprowadziły mnie do skrajnej rozpacz, i przedstawiłem odwiedzin Agnieszki jako akt miłosierdzia,

podobny do odwiedzania chorych lub więźniów, czemu błogosławi nawet Kościół. Nalegałem na to, że ani z mojej strony, ani ze strony Agnieszki nie było mowy o miłości, nie mówiąc już o bardziej niskich pragnieniach, i że nasze stosunki nie przekroczyły tego, co dozwolone między bratem i siostrą. Scenę, której świadkiem był Mateusz, wytłumaczyłem wyjątkową dobrocią Agnieszki, płaczącej nad moimi cierpieniami i wzruszonej widokiem mego niepokieszonego żalu. Oczywiście starałem się przy tym mówić tak przekonująco, jak tylko mogłem, i mniemam, że sam Marek Tulliusz Cyncero, ojciec oratorów i obłudników, po wysłuchaniu mej świętoszkowatej mowy poklepałby mnie łaskawie po ramieniu.

W miarę tego, jak mówiłem, Mateusz nieco się uspokajał i w odpowiedzi zażądał:

— Więc tak, bracie. Przysięgnij mi na przeczyste ciało Chrystusa i szczęśliwość Najświętszej Paniienki w Raju, że między tobą i Agnieszką nie było nic brzydkiego.

Rozumie się, że z całym namaszczeniem złożyłem taką przysięgę, a wtedy Mateusz powiedział:

— To ci teraz powiem. W subtelności uczuć wdawać się nie potrafię i nie chcę, ale o Agnieszce przestań myśleć. Gdybyś się jej swatał, być może nie odmówiłbym, jednakże wszystkie te współczucia i tkliwości, to nie dla niej — jej potrzebny jest nie przyjaciel, tylko mąż. Już ty lepiej nie myśl u niej się pokazywać i listów żadnych nie posyłaj — nic dobrego z tego nie wyniknie!

Kiedy Mateusz powziął już taką decyzję, wstał z fotela i zamierzał wyjść, ale potem rozmyślił się, podszedł do mnie i powiedział już łagodniej:

— Oto, co jeszcze dodam, Ruprechcie: wyjedź stąd po dobroci. Szedłem tu właśnie, po to, żeby ci to poradzić. Wczoraj słyszałem o tobie takie rozmowy, że strach mnie obleciał. Zapewniają, że ty wraz z przyjaciółką, która od ciebie uciekła, zajmowałaś się nie tylko czarnoksięstwem, lecz i czymś gorszym. Ja oczywiście niezbyt w to wierzę, lecz sam wiesz, wzięty na męki każdy do wszystkiego się przyznaje. Nie masz tu nic do roboty, a sam przecież rozumiesz: bez pracy człowiek tylko broi. Jednym słowem, posłuchaj mnie, radzę ci z całego serca: wyjedź i to szybko!

Po tych słowach Mateusz nadal nie podając mi ręki odwrócił się i wyszedł, a ja pozostałem sam. Godne uwagi jest, że całe to wydarzenie, które rozegrało się nadzwyczaj szybko, w ciągu dziesięciu lub piętnastu minut, i w którym tragedia przemieniała się z lekką komedią, wpłynęło na mnie w sposób niezwykle podniecający. Miałem takie uczucie, jakby mnie we śnie oblano lodowatą wodą i teraz dziko rozglądam się dokoła, zziębnięty, lecz przebudzony. Kiedy moje wzburzenie stopniowo się uspokoiło, powiedziałem



sobie:

— Czyż nie jest oczywiste, że wydarzenie to zostało ci zesłane przez Los, by wyrwać cię z tego bagna beczynności, w którym ugrzęzła twa dusza? Jeszcze trochę, a najlepsza część twych uczuć zarosłaby całkowicie bagienną turzycą. Trzeba coś wybrać — albo życie, albo śmierć; jeśli nie chcesz umrzeć, to żyj, ale nie bądź podobny do ślimaka! Płakać całymi dniami i rozczulać się nad czyjąś dobrocią — niegodne jest człowieka postawionego, według słów Pico della Mirandoli[176], w centrum świata, by oglądać wszystko, co istnieje!

Te nieskomplikowane rozważania, które powinny były przyjść mi do głowy nawet bez kazania wygłoszonego przez Mateusza, otrzeźwiły mnie i zdrowymi oczami zacząłem patrzeć na swoją sytuację. Jasne było, że pora mi opuścić Kolonię, gdzie nie istniały już żadne powody, które by mnie zatrzymywały, i gdzie zgodnie z tym, co powiedział Mateusz, mogły mi grozić bardzo poważne przykrości. Natychmiast więc, nie odwlekając sprawy, zacząłem przygotowywać się do wyjazdu, przebierać rzeczy, których sporo nagromadziło się przez miesiąc naszego pobytu w jednym miejscu, i liczyć pieniądze, przy czym okazało się, że mam ponad 100 reńskich florenów, a więc sumę, z którą nie mogłem uważać się za biedaka. W tym momencie nie postanowiłem jeszcze, dokąd właściwie pojedę, wiedziałem tylko z całą pewnością, że nie pojedę do rodzinnego Losheimu, do rodziców: również wtedy nie do zniesienia wydawała mi się myśl, że pojawię się przed nimi jako pechowiec, bez pieniędzy, bez widoków na przyszłość, i żeby ojciec miał prawo powiedzieć mi prosto w oczy: „Byłeś nicponiem i taki zostałeś”.

## II

Następnego dnia była niedziela i postanowiłem poświęcić ją na pożegnanie się z Kolonią, zbyt wiele bowiem drogich mi wydarzeń rozegrało się w tym mieście, bym miał je opuścić jak wioskę, w której przypadkiem nocowałem. Przy akompaniamencie bicia dzwonów kościelnych włożyłem najlepsze szaty, ze smutkiem wspominając, jak dawniej w święta szliśmy z Renatą na mszę, i samotnie udałem się do wypełnionego wielobarwnym tłumem naszego kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Cecylii. Tam, oparty o kolumnę, słuchając śpiewu organów, usiłowałem znaleźć w duszy modlitwne uczucie, aby chociaż przez nie zespolić się z Renatą — która w tym czasie oczywiście modliła się także, gdzieś w innym, nie znanym mi kościele — jak patrząc wieczorem na tę samą gwiazdę jednoczy się dwoje kochanków, których rozdziela ocean.

Potem, po skończonej mszy, długo włóczyłem się z ulicy na ulicę, wskrzeszając w pamięci wydarzenia ostatnich miesięcy, gdyż prawdę mówiąc nie było w mieście kamienia, z którym nie łączyłyby mnie jakieś wspomnienia. Tam, za Przystanią Hanzeatycką, bywało, że siadywaliśmy z Renatą i w milczeniu patrzyliśmy na ciemne wody Renu; tu, w kościele Św. Piotra, miałem ulubioną ławkę; ówdzie, przy wieży Św. Marcina, długo czekała Renata, pewna, że zjawi się jej Henryk; tą ulicą jechałem z Mateuszem na pojedynek z Henrykiem; w tym szynku spędziłem długie godziny na marzeniach o Renacie i o Agnieszce. Wiele także innych wspomnień oddzielało się przede mną od murów, blisko mnie na skrzyżowaniach wstawało z ziemi, kiwało na mnie z okien domów, spoglądało na mnie zza lad sklepów, sfruwało do mnie z iglic wież katedralnych. Zaczynało mi się wydawać, że oboje z Renatą zaludniłiśmy całą Kolonię cieniami naszej miłości i bałem się rozstania z tym miastem niczym rozstania z Ziemią Obiecaną.

Tak włócząc się, pogrążony w smutku i marzeniach, już nie po raz pierwszy doszedłem do Katedry i bez określonego celu zatrzymałem się w jej cieniu, koło jej olbrzymich okien południowych, kiedy nagle z tłumu wystąpiło dwóch ludzi, którzy widocznie już wcześniej mnie obserwowali, i podeszło do mnie. Popatrzyłem na nich ze zdumieniem i muszę przyznać, że już przy najbardziej pobieżnych oględzinach wydali mi się niezwykli. Jeden z nich, człowiek lat

trzydziestu pięciu, ubrany jak zazwyczaj ubierają się doktorzy, z niewielką kędzierzawą bródką, sprawiał wrażenie przebranego króla. Postawę miał szlachetną, jego ruchy znamionowała pewność siebie, a w wyrazie twarzy dostrzegało się jakieś znużenie, jakby człowieka zmęczonego wydawaniem rozkazów. Jego towarzysz odziany był jak mnich; był wysoki i chudy, przy czym co chwila zmieniał się jego wygląd zewnętrzny, podobnie jak i wyraz jego twarzy. Z początku zdawało mi się, że mnich idąc do mnie ledwo powstrzymuje śmiech, że szykuje się do jakiegoś celnego żartu; przez chwilę byłem przekonany, że ma wobec mnie niedobre zamiary, tak że wewnętrznie już przygotowałem się do obrony, kiedy jednak podszedł całkiem blisko, dojrzałem na jego twarzy tylko uśmiech nacechowany szacunkiem.

— Łaskawy panie — powiedział do mnie mnich z wyszukaną uprzejmością — jak zauważyliśmy, spędzacie czas na tym, że oglądacie to przepiękne miasto, a przy tym widać, że je znacie. Przy sposobności wspomnę, że jesteście podróżnikami, przyjechaliśmy tu po raz pierwszy i byłibyśmy bardzo radzi, gdyby ktoś nam pokazał osobliwości Kolonii. Czy nie wyświadczycie nam, panie, uprzejmości i nie zgodzicie się być dziś naszym przewodnikiem?

W głosie mnicha była niezwykła przymilność. Lub raczej głos ten wywierał jakiś magiczny wpływ na duszę, natychmiast bowiem poczułem się jakby wplątany w niewód jego słów i zamiast zdecydowaną odmową przerwać jego dyskurs — odrzekłem tak:

— Wybaczcie, łaskawi panowie, lecz dziwi mnie, że z taką prośbą zwracacie się do człowieka, który was nie zna i który może mieć ważniejsze sprawy, niż oprowadzać po mieście dwóch przyjezdnych.

Mnich ze zdwojoną uprzejmością, pod którą mogła kryć się także drwina, zaprotestował:

— Nie chcieliśmy bynajmniej was, panie, urazić. Lecz ze wszystkiego sądząc nie jesteście zbyt radośni, za to z nas weseli chłopcy, żyjemy każdą chwilą nie myśląc o następnej i być może, jeśli zgodzicie się połączyć z nami, wyświadczymy wam nie mniejszą przysługę niż wy nam. Jeśli jednak powstrzymuje was to, że nas nie znacie, łatwo temu zaradzić, każda bowiem rzecz i każda istota ma swoją nazwę. Oto mój przyjaciel i protektor, człowiek nad wyraz czcigodny i uczony, doktor filozofii i medycyny, badacz elementów Johann Faust[177], którego nazwisko być może, panie, słyszeliście. Ja zaś jestem skromnym szkolarem, od wielu już lat zgłębiającym kulisy rzeczy i któremu zbytni pirronizm przeszkadza zostać dobrym teologiem. W latach dziecińczych zwano mnie Johann Müllin[178], lecz bardziej przywykłem do żartobliwego przezwiska Mefistofeles i tak proszę mnie nazywać.

Obaj niezajomi wydawali mi się wtedy ludźmi czcigodnymi i pomyślałem,

że nic złego się nie stanie, jeśli spędzę czas pewien w towarzystwie dwóch podróżnych i spróbuję zanurzyć swój ciężki smutek w ich zdrowej wesołości. Zachowując całą godność odrzekłem, że gotów jestem przyjść im z pomocą, gdyż od dawna już kocham Kolonię i rad będę zapoznać cudzoziemców z jej bogactwami. Tak więc przymierze zostało zawarte i zaraz objąłem swą rolę przewodnika, proponując rozpocząć zwiedzanie od Katedry, przy której się znajdowaliśmy.

Wszyscy bywający w Kolonii dobrze znają tę Katedrę[179], o której już kilkakrotnie wspominałem w swej opowieści, zresztą i ci, co w Kolonii nie bywali, słyszeli oczywiście o olbrzymiej budowli rozpoczętej przed trzema wiekami i swym obecnym wyglądem świadczącej wymownie o tym, jak słaba jest siła człowieka w porównaniu z potęgą jego fantazji. Opowiedziałem swoim towarzyszom wszystko, co wiedziałem o budowie tej świątyni, w której część przeznaczona dla chórow została poświęcona w sto lat po rozpoczęciu robót, nawa oddana do dyspozycji jeszcze pięćdziesiąt lat później, wieże, nie doprowadzone do właściwej wysokości, ozdobione dzwonami ponad osiemdziesiąt lat temu, i która wciąż jeszcze stoi pośrodku miasta niczym arka Noego przygotowywana dla przyszłego potopu i niczym palcem grozi z dachu gigantycznym żurawiem do podnoszenia głazów. Kiedy skończyłem swoje objaśnienia, Mefistofeles powiedział:

— Jakże ludzie skarłowaceli! Świątynia Salomona była nie mniejsza od tej, a zbudowano ją zaledwie w siedem i pół roku! Zresztą należy powiedzieć, że dla starca pracowali nie tylko niewolnicy, lecz i duchy żywiołów. Zdarzało się, że pogroził im palcem, a one z przerażenia drżały jak jesiennie liście.

Ze zdumieniem popatrzyłem na tego, kto o królu-Psalmopiewcy mówił jak o człowieku znanym mu osobiście, lecz później przeczytałem to za żart i poradziłem moim towarzyszom, by weszli do świątyni i obejrzeli siedem kaplic otaczających część przeznaczoną dla chóru. Kiedy pokazywałem kaplicę Trzech Króli, gdzie według legendy spoczywają ciała tych ewangelicznych magów[180], przekazane Kolonii po zniszczeniu włoskiego miasta Mediolanu, doktor Faust, do tej pory prawie cały czas milczący, rzekł:

— Dobrzy ludzie! Czy nie zboczyliście nieco z drogi, zajeżdżając tutaj zamiast trafić do palestyńskiego Betlejem? Lub być może zostaliście po śmierci wrzuceni do morza i Renem przyплыnęliście do Kolonii, by tu znaleźć sobie mogiłę?

Zaśmialiśmy się na ten dowcip, a Mefistofeles tymże tonem dorzucił:

— Biedni Melchiorze, Baltazarze i Kacprze[181], niezbyt się wam szczęściło! Za życia chrzcił was apostoł Tomasz, który sam nie bardzo wierzył w Jezusa Chrystusa, a po śmierci położono was na wieczny spoczynek w

świątyni, która sama nie zaznaje spokoju!

Po obejrzeniu Katedry udaliśmy się do prastarego kościoła Świętego Kuniberta, potem do Świętej Urszuli, potem do Świętego Gereona, do pozostałości rzymskiego muru i tak dalej — do wszystkich osobliwości Kolonii. Moi towarzysze wszędzie mieli do powiedzenia coś zabawnego lub dowcipnego, przy czym w tym, co mówił doktor Faust, więcej było dobrotliwego żartu, a Mefistofeles przedkładał złośliwe drwiny. Ta nowa przechadzka po znanych miejscach rozwiąła nieco czarną chmurę smutku, która znów zasnuła widnokreśli mej duszy, i kiedy po długim marszu bardzo byliśmy zmęczeni, z przyjemnością przyjąłem propozycję Mefistofelesa, by wejść do najbliższej gospody i wypić kwartę wina.[182]

W gospodzie usiedliśmy w kącie, przy oknie, i przez ten czas, kiedy gospodarz ze sługą piekła dla nas gęś i podawali wino, zacząłem szczegółowo wypytywać moich nowych znajomych, kim są i dokąd jadą. Mefistofeles tak mi odpowiedział:

— Przyjaciół mój i protektor, doktor Faust, zmęczony brzemieniem wiedzy — albowiem jest człowiekiem wielce uczonym — zapragnął przekonać się osobiście, czy świat urządony jest zgodnie z prawami nauki, czy też nie. A po drodze, objeżdżając kraje i oglądając miasta, przy okazji przekonujemy się, że wino jest wszędzie upijające, a mężczyźni wszędzie uganiają się za kobietami.

Doktor Faust dodał ze smutkiem:

— Mógłbyś raczej powiedzieć, że pod wszystkimi szerokościami nie można za pieniądze kupić szczęścia i siłą nie można zdobyć miłości.

Zapytałem, w jakich krajach bywali, i Mefistofeles ochoczo wymienił długą listę:

— Z początku — powiedział — bawiliśmy we Włoszech, widzieliśmy Mediolan, Wenecję, Padwę, Florencję, Neapol i Rzym. W Rzymie przyjaciel mój pozazdrościł życia Jego Świątobliwości i czynił mi gorzkie wyrzuty, że nie uczyniłem go papieżem. Potem wyruszyliśmy do Panonii i Grecji. W Grecji przyjaciel mój pożałował, że nie żyje w czasach Achillesa i Hektora. Potem morzem udaliśmy się do Egiptu, gdzie pokazywałem doktorowi piramidy i on zapragnął koniecznie zostać faraonem. Z Egiptu wyruszyliśmy do Palestyny, nie bardzo jednak lubię ten kraj, i przeprawiliśmy się do Konstantynopola do sułtana Sulejmana, najsłynniejszego ze wszystkich sułtanów świata, i gdybym nie powstrzymał doktora, z pewnością przeszedłby na wiarę Mahometa. Z Konstantynopola przeprawiliśmy się do Moskowii i doktor Faust zademonstrował swą uczoność na dworze księżny Heleny[183], zostać tam jednak nie chciał z powodu siarczystych mrozów. Teraz objeżdżamy miasta ziemi niemieckiej; byliśmy w Wiedniu, Monachium, Augsburgu, Pradze,

Lipsku, Norymberdze i Strasburgu. Dalej udamy się do Trewiru, a potem pojedziemy do Francji i do Anglii.

Przez ten czas, kiedy Mefistofeles opowiadał o swojej marszrucie, przyniesiono nam wino i przy kielichach reńskiego nasza rozmowa bardzo się ożywiła. Usilnie starałem się wybadać, jak dalece nowi znajomi mnie oszukują, a ile w tym, co mówią, jest prawdy, jednakże obaj dawali mi nad wyraz wymijające odpowiedzi. Mefistofeles wciąż żartował i ze wszystkich pytań jak wąż się wyślizgiwał, a doktor Faust mówił mało, jakby nic w świecie go nie interesowało, niczemu nie przeczył, ale i niczego nie potwierdzał. Zresztą, kiedy dowiedziałem się, że doktor Faust nie stroni od zajmowania się magią, opisałem mu swą podróż do Agrypy z Nettesheimu i doktor wysłuchał mego opowiadania z wyraźnym zaciekawieniem, a w odpowiedzi powiedział mi, co następuje:

— Czytałem dzieła Agrypy i przedstawia mi się on jako człowiek bardzo pracowity, lecz nie uzdolniony. Magią zajmuje się podobnie jak historią lub jakąś inną nauką. Jest to tak, jakby człowiek pilnością myślał osiągnąć doskonałość Homera i głębię myśli Platona. Wszystkie dzieła Agrypy oparte są nie na doświadczeniu w dziedzinie magii, a jedynie ono otwiera wrota wiodące do tej nauki, lecz na sumiennym przestudiowaniu różnych ksiąg — nic więcej.

Broniłem znaczenia Agrypy, jak tylko umiałem, gdyż istotnie uważam dzieło „De occulta philosophia” za zwycięstwo ludzkiego rozumu, lecz Mefistofeles, który wmieszał się do rozmowy, przerwał nasz spór mówiąc:

— Ile byście się, panie, nie napocili nad formułami i ile byście się nie ćwiczili w próbach magicznych, i tak złowicie w swoje sieci tylko jakiegoś nędznego stwora ze świata biesów, dla którego nie warto nawet było się trudzić. A jeśli już chodzi o te, które są najsilniejsze, to nie wam się z nimi mierzyć, jeśli nie ujarzmili ich ani Adam, ani Salomon, ani Albert Wielki I No, ale dosyć już filozofowania i systematyzowania; doprawdy, nie zniosą dłużej uczonej miny; bawmy się — przecież obiecaliśmy to naszemu gościowi!

W gospodzie było dość dużo ludzi i Mefistofeles, który porzucił poważny wyraz twarzy i przemienił się w istnego błazna, zwrócił się do obecnych z jakimś żarcikiem i zaproponował, że zaśpiewa piosenkę. Ten i ów podszedł do nas, a Mefistofeles przysiadłszy na stole dźwięcznym i dość przyjemnym głosem śpiewał zawadiackie kuplety, z których zapamiętałem tylko przyspiewkę, i tę wkrótce zaczęła nucić cała sala:

Wein! Wein! Von dem Rhein!

Mefistofeles skończył piosenkę i zwrócił się do słuchaczy z taką propozycją:

— Miłościwi panowie! Podróżując odwiedziliśmy również wasze miasto i szczególnie spodobało nam się jego położenie, pragnęlibyśmy więc w jakiś sposób odwzajemnić się wam za to. Pozwólcie, że ugościmy każdego z was kiścią pysznych młodych winogron![184]

Wszyscy potraktowali te słowa jako żart, ponieważ dopiero nastąpiła wiosna i na winnej łące nie mogło być nawet zielonego listka, lecz Mefistofeles z na wpół poważnym, na wpół żartobliwym wyrazem twarzy przystąpił do wykonania swej obietnicy. Wziął do rąk dwa półmiski i z komicznie tajemniczą miną, wymawiając przy tym jakieś bezsensowne słowa z pozoru podobne do zaklęć, uniósł półmiski do góry i podsunął do samego okna, które z racji zaduchu w sali było z lekka uchylone. Widzowie patrząc na te figle śmieli się z wybryku zabawnego sztukmistrza, lecz Mefistofeles po kilku minutach postawił półmiski na stole i okazały się one pełne kiści żółtozielonych i czarnych winogron.

Nie wątpię oczywiście, że cud ten to jedynie sztuczka zręcznego kuglarza, jednakże wtedy byłem nie mniej zdumiony od innych i wszystkim nam mimo woli wydarł się okrzyk zdziwienia. Mefistofeles zapraszał obecnych, by skosztowali jego poczęstunku, i ci, którzy się na to odważyli, mogli się przekonać, że winogrona sprawiały wrażenie zupełnie świeżych. Mefistofeles był przez czas pewien przedmiotem ogólnego zachwytu, spoglądano jednak na niego nie bez świętej obawy, jak na czarodzieja lub na czarnoksiężnika, a on z rękami skrzyżowanymi na piersi, z twarzą dumną jak twarz Lucyfera, stał niczym posąg wśród tłoczących się mieszczan.

Jednakże, kiedy minęło pierwsze zdziwienie, ktoś zauważył, że taka rzecz nie mogła zostać dokonana bez pomocy nieczystej siły i głos ten poparł sługę z szynku, któremu nie w smak było, że goście korzystają z poczęstunku zdobytego czarodziejskim sposobem. Jakiś podпиты wieśniak podszedł nawet z zaciśniętymi pięściami do Mefistofelesa i klnąc domagał się, by ten natychmiast ucałował krzyż i potwierdził, że jest dobrym chrześcijaninem. Ktoś inny, prawdopodobnie student z bursy, zaczął ostrzegać, że winogrona mogą okazać się zatrute.

Mefistofeles czas jakiś z wyniosłą miną słuchał wymyślań i napaści, po czym nagle tak wszystkim odpowiedział:

— Jeśli wam, pijanice, moje winogrona nie smakują, to ich nie dostaniecie!

To powiedziawszy narzucił na półmiski skraj swego płaszcza, a kiedy go uniósł, śladu nawet po winogronach nie zostało i wszyscyśmy mogli myśleć, że to tylko w imaginacji widzieliśmy winogrona i kosztowaliśmy ich.

Tu powstał niepojęty hałas, gdyż wszyscy naraz wpadli we wściekłość i rzucili się na nas trzech, żeby nas pobić. Wrzeszczeli nam prosto w oczy, że

jestemy oszustami i że trzeba przekazać nas władzom miejskim, i już pięści wznosiły się nad naszymi głowami, tak że mogło się to źle dla nas skończyć, zwłaszcza, iż zostaliśmy zapędzeni w kąt. Już szukałem wzrokiem jakiejś broni, myśląc, że siłą przyjdzie mi bronić swej godności, lecz wmiśzanie się gospodarza, który nie chciał, by jego zakład stał się areną zabójstwa, uśmierzyło jakoś kłótnię. Mefistofeles rzucił na stół grubszą montę i pod osłoną sługi dotarliśmy do drzwi, odprowadzani niepoehlebnymi okrzykami.

Kiedy byliśmy już na ulicy, doktor Faust surowym tonem powiedział do Mefistofelesa:

— Że też ci się nie uprzykrzy powtarzać wciąż te same stare żarty! Siedzi w tobie jakiś diabełek, który godziny nie może przeżyć bez psikusów. Twarz twoja zapewne znużona jest powagą i musi od czasu do czasu wykrzywiać się grymasem. Wstyd mi nawet wspominać o wszystkich twoich chłapiących figlach!

Mefistofeles odpowiedział z przesadnym szacunkiem:

— Co począć, drogi doktorze, nie wszyscy mogą być badaczami elementów jak wy, prócz tego obiecaliśmy przecież, że zabawimy naszego towarzysza.

Faust ciągnął dalej:

— A co by to było, gdyby gospodarz nie wziął nas w obronę, przyszłoby nam zapoznać się z pięściami kolończyków.

— Cóż znowu! — zaoponował Mefistofeles. — Zrobiłbym im takiego samego psikusa, jakiego zrobiłem z kogutami w piwnicy Auerbacha w Lipsku, i zabawilibyśmy się jeszcze dwa razy lepiej.

Żeby zmienić temat rozmowy, zapytałem Mefistofelesa, jak należy się odnieść do pokazanej przez niego sztuczki — czy jest to zrećność rąk, czy złudzenie wzrokowe, na co powiedział:

— Mylicie się, panie, nie jest to ani jedno, ani drugie, tylko umiejętność korzystania z przyrody. Musicie wiedzieć, że rok podzielony jest między dwie części ziemi, tak że kiedy u nas jest zima, w Indiach Sabejskich panuje lato, i odwrotnie. Trzeba tylko mieć do dyspozycji małego ducha, umiającego szybko latać, i on bez trudu w dowolnym miesiącu dostarczy wam wszystkie owoce dojrzewające gdzieś na drugim końcu świata.

Jak zawsze w tym, co mówił Mefistofeles, nie można było mieć pewności, czy kpi, czy mówi szczerze, nie nalegałem jednak na wytłumaczenie. W tym czasie zbliżyliśmy się do skrzyżowania, gdzie mieliśmy się rozstać, i ja, ulegając nagłemu pragnieniu, ponieważ nowi znajomi w silnym stopniu pobudzili moją ciekawość, powiedziałem, zwracając się do doktora Fausta, co następuje:

— Miły doktorze! Dziś rano chętnie spełniłem waszą prośbę, dla mnie nie



całkiem powszednią, by służyć wam za przewodnika. Wieczorem ja z kolei chcę zwrócić się do was z prośbą, być może nieskromną. Powiedzieliście mi, że zamierzacie kontynuować waszą podróż i jedziecie do Trewiru. Ja także muszę się tam udać. Czy zezwolilibyście, bym się do was przyłączył, przy czym wszystkie swoje wydatki oczywiście sam pokryję. W drodze dobra szpada nigdy nie zawadzi, a przy ustawicznej wesołości waszego towarzystwa, mój smutek nie będzie wam przeszkodą. Ledwo wygłosiłem tę przemowę, twarz Mefistofelesa, w ogóle zdolna zmieniać swój wyraz jak kameleon barwę skóry, stała się wyniosła i pogardliwa jak twarz monarchy rozmawiającego z nadwornym pochlebcą, i Mefistofeles powiedział do mnie:

— Wybaczcie, panie Ruprechcie, niepotrzebne nam są ani pieniądze, ani szpady. Podróżujemy we dwóch i nie mamy miejsca dla trzeciego. Przyłączcie się, panie, lepiej do jakiejś karawany kupców.

Nie zdążyłem jeszcze odpowiedzieć na tę obrazę, kiedy Faust, do tej pory przejawiający tylko największą uprzejmość, nagle popadł w wielkie rozdrażnienie i z takim gniewem zakrzyczał na swego przyjaciela, z jakim pan może krzyżeć na swego psa:

— Milcz i pozwól mnie samemu wybierać swoich towarzyszy drogi! Czy myślisz, że przyjemnie mi jest widzieć ciągle przy sobie twoją twarz strojącą grymasy? Mój Boże, jakimże szczęściem będzie dla mnie słyszeć blisko siebie żywy głos ludzki!

Słyszając te gniewne słowa doktora Fausta Mefistofeles roześmiał się, jakby to był przyjemny żart, i odpowiedział:

— Waszą rzeczą, doktorze, jest rozkazywać, a moją słuchać, i jestem waszym pokornym sługą, dopóki nie dokona się jakaś przypadkowa przemiana w naszych stosunkach. Jeśli odmówił panu Ruprechtowi, to tylko dlatego, że bałem się was niepokoić, sam zaś bardzo się cieszę z towarzysza drogi, chwackiego kompana od kielicha i doskonałego rozmówcy. Wino bowiem i logika są to moje słabości, bez których życie nie jest dla mnie życiem.

Potem zwracając się do mnie Mefistofeles dodał:

— Wyruszamy w drogę jutro o świcie i znajdziecie nas, panie, w zajeździe „Pod Trzema Królami”.

Potem uprzejmie się pożegnaliśmy i rozeszliśmy się w różne strony.

Było jeszcze dość wczesnie i przyszło mi do głowy, by pójść do domu Wissmannów i choć chyłkiem zajrzeć do nich przez okno, lecz zaraz zauważyłem, że moja wczorajsza decyzja, by wyjechać, i dzisiejsze przygody w duszy mojej całkowicie mgłą przesłoniły twarz Agnieszki, i na próżno szukałem w sercu przyjacielskich uczuć, jakie dawniej do niej żywiłem, jakby lekkich linii nakreślonych na przybrzeżnym piasku i startych przytłumieniem wielkich fal. Tak

więc nie postarałem się dowiedzieć czegoś o losie Agnieszki i po dziś dzień nie wiem, czy za jej winę wyprawił ją brat do jakiegoś klasztoru, czy zadowolił się karą domową lub uwierzywszy moim bajkom całkowicie jej wybaczył. Nigdy więcej już Agnieszki nie widziałem, z nikim o niej nie mówiłem i dopiero kiedy zacząłem te zapiski, znów przywołałem do życia jej obraz spokojnie spoczywający w jednej z mogił w mrocznym zakamarku mej pamięci.

Powróciwszy do domu rozliczyłem się z Luizą, która przy tej okazji nie omieszkła gorzko zapłakać, dałem jej na przechowanie różne ciężkie rzeczy, w tym książki, a pozostałe już ostatecznie zapakowałem i rzuciłem się na łóżko, by odpocząć po dniu pełnym niezwykłych wydarzeń. Nazajutrz rano o wyznaczonej godzinie byłem na nogach i przerzuciwszy przez ramię sakwę podróżną pośpieszyłem do „Trzech Króli”, jednego z lepszych zajazdów w mieście. Przed bramą stała już mocna kryta bryka, zaprzężona w czwórkę dobrych koni, a doktor Faust i Mefistofeles stojąc na ganku kierowali pakowaniem ostatnich rzeczy.

Doktor mile mnie powitał, a Mefistofeles figlarnie — zresztą bez kpin nigdy nie potrafił się obejść. Mój skromny węzełek powiesiliśmy z tyłu bryki, potem ja i doktor Faust siedliśmy wewnątrz bryki, a Mefistofeles z woźnicą na koźle. Wkrótce rozległo się strzelanie z bicia, konie szarpnęły i bryka potoczyła się po drodze bońskiej, ku Bramie Seweryńskiej, uwożąc mnie być może na zawsze z Kolonii, gdzie przeżyłem najwspanialsze dni mego żywota.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

O tym, jak podróżowałem z doktorem Faustem i jak spędziłem pierwsze dwa dni w zamku hrabiego von Wellen

### I

Dopiero kiedy mury miasta pozostały daleko za nami i wzrok mój mimo woli zaczął wchłaniać dale wiosennych pól — zdałem sobie nagle sprawę z całej niedorzeczności swojej sytuacji i jakby z boku popatrzyłem na siebie w cudzej bryce, z obcymi ludźmi, jadącego po coś do Trewiru, i roześmiałem się w myśl. Istotnie, krok po kroku, stopień po stopniu zmusił mnie los do opuszczenia się w głąbię tak daleką od wszystkich moich uprzednich planów i zamiarów, że minione życie przedstawiało mi się już jak śnieżny szczyt za chmurami.

Jednakże, ponieważ dawno już obrałem sobie za regułę nigdy nie żałować raz dokonanego postępu, postarałem się i swoją podróż z doktorem Faustem obrócić ku sobie stroną najbardziej dla mnie dogodną. Z wolna, mimo że bryka bardzo trzęsła, gdyż jej pudło nie było zawieszona na pasach, jak to się teraz czyni dla ulżenia jadącym, udało mi się wciągnąć mego towarzysza w ożywioną rozmowę. Wkrótce mogłem już nie żałować, że przedsięwziąłem tę podróż, doktor Faust okazał się bowiem niezwykle interesującym rozmówcą. Mówiliśmy z nim de omni re scibili[185], jeśli posłużyć się ulubionym wyrażeniem Pico della Mirandoli, i mogłem się przekonać, że dziedziny gramatyki i filozofii naturalnej, matematyki i fizyki, astronomii i astrologii judycyjnej[186], wszystkich medycyn i praw, teologii, magii, ekonomii i innych sztuk — są memu towarzyszowi drogi równie znane, jak dobremu gospodarzowi jego ogród. Z początku podawałem w wątpliwość niektóre uwagi doktora, potem przerywałem jego mowę krótkimi wstawkami, lecz potem rozmowa nasza przekształciła się w monolog i wolałem grać rolę pełnego szacunku słuchacza. Trwało to, aż Mefistofeles zwrócił ku nam z kozła swą wykrzywioną grymasem twarz i przeciął mą skupioną uwagę ostrzem jakiegoś niedorzecznego żartu.

Było to, zanim przyjechaliśmy do miasteczka Brühl, gdzie daliśmy

odpocząć koniom i spędziliśmy kilka godzin w jakimś nędznym zajeździe. Tu spotkał się kilku lollardów[187], którzy po wdaniu się z nami w rozmowę zaczęli wysławiać sukcesy luteranstwa i innych podobnych nauk, powołując się na wzrastającą siłę Związku Szmalkaldzkiego protestantów, który teraz w Niemczech sprawuje niemal większą władzę od Cesarza, na śmiałość króla angielskiego, który w miejsce papieża samego siebie ogłosił świętą głową ciała Kościoła, na wyczyny królów szwedzkiego i duńskiego, którzy odebrali duchownym wszystkie ich odwieczne majątki, wreszcie na zacięty opór stawiany katolickiemu wojsku przez nowego proroka Jana Bockolda w Münsterze[188]. Mefistofeles wdał się na ten temat w sprzeczkę i żarliwie broniąc godności Świętego Kościoła powiedział między innymi:

— Te nowe herezje mają powodzenie dlatego, że podobnie jak psy czują pieczone, książęta poczuli tu łatwy zarobek, samego zaś Lutra pewien dobry diabeł za nos wodzi. W ostatecznym wyniku po tych wszystkich wyznaniach i nowych katechizmach chrześcijaństwo tak spłyceje, że piekło o wiele łatwiej będzie łowić z brzegu swoje ryby.

Niezadługo przekonasz się, drogi czytelniku, dlaczego uznałem za potrzebne zapisać w tym miejscu owe słowa Mefistofelesa.

Z Brühl pojechaliśmy drogą na Euskirchen, lecz i ja, i doktor Faust byliśmy już bardzo zmęczeni, tak że tę część drogi przebyliśmy niemal w milczeniu i Mefistofeles na próżno starał się nas rozweselić to swymi żarcikami, to zmuszając do śpiewania piosenek naszego woźnicę, człowieka o ponurym wyglądzie, w którego ustach każde wesołe słowo zdawało się bluźnierstwem. Do Euskirchen przybyliśmy już o zmroku i każdy marzył tylko o wygodnym łóżku, lecz tam oczekiwała nas przygoda, której bohaterem okazał się znów tenże niezmordowany bytnik Mefistofeles.

Sprawa polegała na tym, że w mieście okazało się dużo przyjezdnych, i dopiero po długim sporze w zajeździe pod godłem „Zwey Schlüssel” zgodzono się udzielić nam noclegu na ogólnej sali, kiedy goście się rozejdą. Należało i za to być wdzięcznym, tak więc w dużym pokoju na piętrze, zapchanym jak ładownia statku handlowego, ulokowaliśmy się, żeby zjeść wieczerzę — w kącie, z braku wolnego stołu przy deskach położonych na dwóch pustych beczkach. Między pijącymi gośćmi, z których większość była już zupełnie pijana, miotał się na wszystkie strony gospodarz ze swym jedynym sługą, obaj półprzytomni i już nóg nie czujący. Mefistofeles, potem kiedy długo domagaliśmy się, by nam podano cokolwiek do jedzenia, chwycił wreszcie sługę za gardło i robiąc straszliwą minę wrzasnął mu prosto w twarz, by natychmiast przyniósł nam wina i baraniny.

Po jakimś czasie chłopak, z wyglądu głupkowaty, zjawił się przed nami tak

zmęczony, że aż włosy przylepiły mu się do czoła, i pchnął przed nami kwartę wina i trzy szklance.

Zapytaliśmy go zaraz, gdzie jest baranina, lecz on, rozdrażniony zapewne powszechnymi narzekaniami, odpowiedział nam grubiańsko:

— Czekajcie, i lepsi od was czekają!

Niektórzy goście słysząc daną nam odpowiedź zaśmiali się pijacko, a ktoś z odległego stołu krzyknął nawet: „Tak z nimi, frantami, trzeba!”, choć żaden z nas odzież się nie pysznił. Gniewać się z powodu słów tępego chłopaka było oczywiście niemądre, lecz w mimowolnym odruchu, podobnie jak mimo woli podnosi się rękę, kiedy ktoś się na was zamachnie, krzyknąłem coś do gbur. Wyprzedził mnie jednak Mefistofeles, i błaznując jak karczemny kuglarz, jedną ręką chwycił chłopca za ramię i krzyknął do niego przesadnie głośno:

— Ach, ty hultaju! Więc myślisz, że będziemy pili bez zakąski! Dobra szklanka wina wymaga także dobrego kąska! I jeśli nie chcesz do wina podać mi baraniny, to zjem ciebie samego!

Ci, którzy słyszeli tę przemowę, zaśmiali się jeszcze głośniej, a Mefistofeles szybko opróżnił nalaną szklanicę wina, potem nienaturalnie rozdziawił usta, które stały się podobne do paszczy żmii, i udał, że naprawdę chce połknąć biednego chłopaka. I choć może się to wydawać dziwne i nieprawdopodobne, muszę jednak zaświadczyć, że w tej samej chwili sługa zniknął sprzed naszych oczu, jakby go tu w ogóle nie było, a Mefistofeles zamknął usta, jakby połknął coś dobrego, siadł znów przy stole i poprosił, by nalać mu jeszcze szklanicę.[189]

Wszyscy obecni byli oszołomieni takim cudem, niektórzy stali z otwartymi ustami i na czas pewien pijacki hałas panujący w sali przemienił się w taką ciszę, jaka bywa tylko na morzu w godzinie największego sztilu, kiedy woda przypomina zielone lustro.

Wśród tego milczenia doktor Faust półgłosem powiedział do swego towarzysza:

— Czy doprawdy bawi cię udawać czamoksiężnika przed tymi nieukami?

Mefistofeles odrzekł także półgłosem:

— Drogi doktorze! Wszyscy coś udajemy: ja — czamoksiężnika, wy — uczonego, któremu nic nie jest miłe. Według Mojżesza każdy człowiek jest tylko wizerunkiem Bożym. Chciałbym się więc dowiedzieć, co w ogóle jest wam znane prócz wizerunków?

Tymczasem podbiegł do nas gospodarz zajazdu, zmieszany i przestraszony, i trzymając kapelusz w ręce padł na kolana, niczym przed udzielnymi ksiądzkami, i zaczął nas błagać:

— Dobrzy i miłościwi panowie! Raccie się nie gniewać na mego głupca:

od dziecka cierpi na melancholię. Usłużymy wam, jak tylko będzie to w naszej mocy, i na tę noc oddam wam mój własny pokój. Wróćcie mi tylko mego kelnera, bo mam dziś nazbyt wiele pracy! Kiedy indziej nie niepokoilibym takich panów swą głupią prośbą, spójrzcie jednak: widzicie, że sam nie dam rady!

Mefistofeles zaśmiał się — śmiech jego był ochryply i bynajmniej nie wesoły — i powiedział:

— No, mój przyjacielu, na pierwszy raz ci wybaczam! Zejdź do piwnicy, tam pod schodami znajdziesz swego sługę.

Gospodarz wraz ze wszystkimi gośćmi, wśród których i ja byłem, zbiegł do piwnicy i rzeczywiście — pod schodami, gdzie składano drwa, siedział biedny chłopiec i drżał jak nowo narodzone ciele, zupełnie jakby miał silną febrę. Gospodarz wyciągnął go stamtąd na światło dzienne i wszyscy, jeden przez drugiego, zaczęliśmy go wypytywać, co właściwie z nim się stało, ale nie można było wydostać od niego ani słowa, gdyż najprawdopodobniej strach odjął mu pamięć. Kiedy wróciłem na piętro, tym razem zaniechałem wypytywania Mefistofelesa, znałem już bowiem jego sposób odpowiadania nic nie znaczącymi żartami.

Jeśli chodzi o gospodarza, to dotrzymał obietnicy i rzeczywiście oddał nam na noc swój pokój z dużym drewnianym łóżem, a sam z żoną przeniósł się do jakiejś komórki. W tym to małżeńskim łóżu obaj z doktorem Faustem spędziliśmy obok siebie godziny aż do świtu, Mefistofeles wołał bowiem spać gdzieś w innym miejscu. Przed zaśnięciem, jakby bez żadnej ukrytej myśli, powiedziałem do doktora:

— Zręczność waszego przyjaciela zapewne chroni was, panie, w podróży od wielu przykości?

Na co doktor Faust odpowiedział:

— Pragnąłbym doświadczać w drodze i w życiu jak najwięcej wszelkiego rodzaju przykości, dużych i małych, gdyż wtedy, być może, znałbym także radości.

Słowa te były wypowiedziane poważniej, niż tego wymagało moje pytanie, i doktor zaraz zamknął oczy udając, że zasnął, wkrótce zaś zmęczenie przerwało wszystkie moje płaczące się myśli o naszych przygodach w owym dniu.

Następnego ranka o wczesnej porze, żegnani niskimi ukłonami gospodarza, puściliśmy się w dalszą drogę kierując się na Münstereifel, ładne miasteczko nad brzegiem Erftu, z prastarym kościołem[190]; tam wypoczywaliśmy, tym razem bez szczególnych wydarzeń. Stamtąd skręciliśmy nieco na wschód, obierając drogę na Góry Arskie, przez ziemie Arcybiskupa Trewiru, gdzie na każdym kroku czuło się dobrobyt stworzony przez mądre rządy zmarłego

Arcybiskupa Ryszarda von Greiffenklau[191]. Tego dnia znów uporczywie wyciągałem doktora Fausta na rozmowy i monologi, gdyż musiałem bez przerwy mieć skupioną na czymś uwagę, by stłumić w duszy dręczącą tęsknotę za Renatą i utraconą szczęśliwością, która mimo całą zmienność wrażeń w podróży od czasu do czasu wzbijała się w mojej duszy, jak wzbijają się, kiedy przychodzi na to pora, gorące wody islandzkich źródeł.

U schyłku dnia, kiedy przejechaliśmy już Freisheim, zaczęliśmy przemyśliwać, gdzie spędzić tę noc, gdy nagle nieoczekiwane wydarzenie zmieniło wszystkie nasze zamiary, a mnie drogą nieprzewidzianą i krętą poprowadziło ku fatalnemu rozwiązaniu bolesnej historii, jaką na tych kartach przekazuję. Wydarzenie to stanowi jakby ogniwo w szeregu przypadków, które swą rozsądną regularnością skłaniają mnie do uważania życia nie za igraszkę ślepych żywiołów, lecz za twór wytrawnego artysty, wyrzeźbiony zgodnie z określoną i dziwnie doskonałą koncepcją.

Już czas jakiś ciekawość naszą przyciągał piękny zamek, stojący na wysokim brzegu rzeki Wischel, której dolinę jechaliśmy, i panujący nad całym horyzontem czworokątnymi wieżycami starodawnej budowy. Kiedy po jakimś zakręcie rzeki znaleźliśmy się całkiem blisko niego, zauważyliśmy, że zmierza ku nam jakiś jezdny wymachując kapeluszem i wyraźnie dając nam znaki. Mefistofeles kazał wtedy zatrzymać konie, a jezdny, odziany jak herold na turnieju, podjechał i grzecznie się kłaniając rzekł:

— Pan mój, hrabia Adalbert von Wellen, właściciel tego zamku, kazał mi się dowiedzieć, czy nie jesteście, panie, znamenitym doktorem teologii, filozofii i prawa Johannem Faustem z Wittenbergi, który w drodze do Trewiru miał przejeżdżać przez nasze ziemie?

Doktor przyznał, że to on we własnej osobie, a wtedy jezdny kontynuował:

— Pan mój najpokorniej prosi was, panie, i waszych towarzyszy drogi, byście raczyli przybyć do nas na zamek i byście skorzystali z naszej gościny na tę noc lub nawet dłużej, jeśli będzie to wam dogadzało.

Usłyszawszy te słowa Mefistofeles wykrzyknął:

— Drogi doktorze! Czy dostrzegasz, jaką ogólnonarodową sławę obaj osiągnęliśmy! Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko propozycji hrabiego. O wiele przyjemniej jest rozkoszować się łóżkami arystokratów, niż cierpieć z powodu pluskiew w karczmie wiejskiej lub spędzać noc na florencką modłę w małżeńskim łóżu gospodarza.[192]

Ponieważ obaj z doktorem nie mieliśmy nic przeciwko schronieniu uprzejmie nam proponowanemu, pośpieszyliśmy wyrazić jezdnemu naszą zgodę i zawróciliśmy konie do zamku.

Po zwodzonym moście, przerzuconym przez fosę z wodą, przejechaliśmy

najpierw na pierwszy podwórzec, gdzie oddaliśmy sługom konie i brykę, potem pieszo przez drugą bramę przeszliśmy na główny dziedziniec zamkowy, zamieniony staraniem właściciela na niewielki ogród w guście włoskim. Tu, przed schodami wiodącymi do wnętrza zamku, powitał nas sam hrabia von Wellen, w otoczeniu niewielkiej świty, człowiek młody, powabny, o twarzy otwartej, okolonej niewielką bródką, jak lubi to przedstawiać wenecki mistrz Tycjan Vecellij[193]. Hrabia wygłosił na cześć doktora Fausta uroczystą mowę powitalną, w której wspomniany był Hermes Trismegistos i Albert Wielki, bogowie Olimpu i biblijni prorocy, mowę umyślnie napuszoną, co zrozumiałem dopiero później. Doktor odpowiedział mu krótko i z godnością, a później na znak hrabiego paziowie prosili, byśmy podążyli za nimi do komnat gościnnych, gdzie po całodziennej podróży będziemy mogli siebie i swoje suknie doprowadzić do porządku.

Już przechodząc przez komnaty mogłem zauważyć to, o czym później, w czasie dość długiego przebywania na zamku, miałem się w pełni przekonać, a mianowicie, że zamek stanowił szlachetny wyjątek wśród owych gniazd rycerskich[194], które teraz coraz częściej i częściej przemieniają się w zwykłe jaskinie rozbójników. Jak wiadomo, w naszych surowych i trzeźwych czasach, kiedy na wojnie potrzebne jest nie tyle bohaterstwo, ile dyscyplina żołnierzy, a także pokaźna ilość dział, piszczałki i muszkietów[195], i kiedy w życiu główną rolę odgrywa nie pochodzenie od znamienitych przodków, lecz siła pieniędzy, tak że bankierzy walczą o wpływy z królami[196], rycerstwo popadło w całkowity upadek i dawni paladyni, mimo tego, co w ich obronie mówi Ulryk von Hutten, stanowią we współczesnym społeczeństwie krąg najbardziej zacofany. Tymczasem w zamku hrabiego von Wellen na każdym kroku można było dostrzec ślady dobrego smaku i wykształcenia, a co najważniejsze wykwintnego życia, i jasne było, że pan zamku chce dotrzymać kroku naszemu wiekowi, o którym tenże Hutten wykrzyknął: „Jak radośnie jest żyć w takich czasach!”[197] Gustowne meble włoskie w niektórych komnatach, obrazy, z których można było odgadnąć pędzel uczniów słynnego kolorysty Mathisa Grünewalda[198], lite statuy bodaj samego Petera Vischera i wiele innych drobnych szczegółów wydawało się świeżymi deseniami na wspaniałej tkani starodawnego umeblowania, datującego się z czasów wypraw do Palestyny, ciężkiego, lecz nie pozbawionego majestatu. Wreszcie, w komnatach, które nam przydzielono, znaleźliśmy najwytworniejsze przybory toaletowe, pachnidła, maści, grzebienie, szczotki, pilniki do paznokci, zupełnie jakbyśmy byli kobietami publicznymi lub rzymskimi kurtyzanami.

Obmywając się wonną wodą i przy pomocy sługi zmieniając podróżny kubrak na ofiarowany przez hrabiego kaftan z granatowego jedwabiu, nie bez



haniebnej pyszałkowatości, czułem się mile pochlebiony, że w takim miejscu przyjmują mnie jak honorowego gościa, zapomniałem przy tym, że zaproszono mnie tylko jako przypadkowego towarzysza doktora Fausta. Owo zarozumiałe samozadowolenie jeszcze mnie nie opuściło, kiedy poprowadzono nas na parter, do jadalni, gdzie nakryty był ogromny stół zastawiony, niczym stragan wędrownego kramarza, wszelkiego rodzaju jadłem i winami, i gdzie zgromadzili się wszyscy mieszkańcy zamku łącznie z hrabią i jego małżonką, hrabiną Luizą, kobietą wydającą się na oko starszą od męża, lecz reprezentacyjną i o prawdziwie majestatycznym zachowaniu. W obszernej sali, z pewnością służącej niegdyś seniorowi do przyjmowania wasali, której ściany zdobiły malowidła na temat wojny trojańskiej i którą rżęsiście oświetlały pochodnie i woskowe świece, wśród niewielkiej gromadki wytwornych kawalerów, szeleszczących jedwabiami i atlasami, w kapeluszach ze strusimi piórami, i dam jaśniejących złocistymi strojami, koronkami i niezwykle różową skórą, przez chwilę poczułem się — tak małostkowy jest człowiek! — niemal szczęśliwy.[199]

Bardzo szybko czekało mnie jednak zasłużone rozczarowanie. Przede wszystkim miałem się przekonać, że na mnie osobiście nikt nie jest skłonny zwrócić uwagi, ja zaś, przywykły raczej do życia w warunkach połowych lub do cichych rozmów w cztery oczy, nie potrafiłem wcisnąć się w powszechne ożywienie. Po drugie nie mogłem nie spostrzec, że przy wszystkich przejawach szacunku, jakie hrabia i jego dworzanie okazywali doktorowi Faustowi, w sposobie, w jaki zwracali się do niego i do nas wszystkich, była jakaś cząstka drwiny. W duszy mojej zrodził się domysł, że zostaliśmy zaproszeni przez hrabiego jedynie jako rzadcy trefnisie, których kosztem można się zabawić w ciągu nudnych tygodni wiosny — i to źdźbło podejrzenia miało okrzepnąć w całe drzewo.

Kiedy zasiedliśmy przy stole, trafiłem na sam jego koniec, gdzie siedział kapelan zamkowy i jakiś milczący jegomość w aksamitnym kaftanie, obaj bardziej zajęci kubkami niż mną, i to pozwoliło mi bez przeszkód czynić swoje obserwacje. Widziałem, że uwaga całego towarzystwa skupiona jest na doktorze Fauście, którego posadzono obok hrabiny; hrabia bez przerwy zwracał się do niego, to częstując go, to zasypując go komplementami na temat jego uczoności, to zadając mu różne, niby bardzo poważne, pytania. Kiedy Faust zaczynał mówić, hrabia dawał znak wzywając wszystkich do milczenia, jakby za każdym razem przygotowywał się do usłyszenia jakichś objawień mądrości. Jednakże i ta powszechna uwaga, i pompacyjne pochwały hrabiego, a zwłaszcza pseudonaukowe pytania stawiane doktorowi, wszystko to silnie zakrawało na parodię i satyrę i nawet dwa lub trzy razy

dostrzegłem źle skrywany śmiech niektórych obecnych, co było dla mnie dowodem, że w spisku uczestniczyło całe towarzystwo. Kiedy przekonałem się, że moje odkrycie jest słuszne, poczułem wstyd przed samym sobą i urazę z powodu doktora, gotów nawet byłem natychmiast wstać i powiedzieć jakieś ostre słowa, opuścić zamek, lecz powstrzymywała mnie myśl, że jako pierwszy uczynić to powinienem nie ja, lecz moi towarzysze.

Doktor Faust zresztą, jak się zdaje, wcześniej ode mnie odgadł swą sytuację, gdyż on, jeszcze niedawno tak chętnie odsłaniający przede mną, przypadkowym towarzyszem drogi, skarby swego umysłu, nagle stał się skąpy w słowach jak bohater Macciusa Plauta[200]. Wszystkie gorące powitania hrabiego gasły w chłodnej uprzejmości doktora i przeważnie uchylał się od odpowiedzi na te podstępne pytania, które co chwila, jak wyroczni, zadawali mu obecni. Za to Mefistofeles, niczym nie speszony, chętnie w locie, niczym piłki, chwytał te pytania i w odpowiedzi wypuszczał strzały trafiające niekiedy w samo oko obłudnych pytających.

I tak młody kuzyn hrabiego, rycerz Robert, z bardzo poważną twarzą zwrócił się do Fausta w te słowa:

— Chciałbym zapytać was, najuczestniejszy doktorze, o sposoby uczynienia się niewidzialnym. Niektórzy zapewniają, że w tym celu starczy nosić pod pachą prawej ręki woreczek z sercami nietoperza, czarnej kury i żaby. Lecz większość tych, którzy tę próbę czynili, twierdzi, że sposób ów nic nie daje. Inni proponują sposób o wiele bardziej skomplikowany. Trzeba we środę, przed wschodem słońca, wziąć martwą głowę i po włożeniu w jej oczy, uszy, nozdrza i usta ziarenek czarnej fasoli uczynić na niej znak trójkąta i pochować ją, później przez osiem dni przychodzić i mogiłę podlewać; ósmego dnia zjawi się demon i zapyta, co robicie, należy odpowiedzieć: „Podlewam mój kwiat”; demon poprosi was o konewkę i wyciągnie do was rękę; jeśli na ręce będzie taki sam znak, jaki zrobiliście na martwej głowie, oddacie konewkę i demon sam podleje to, coście zasadzili, na dziewiąty dzień wyrośnie fasola i wystarczy wziąć do ust jedno jej ziarno, by stać się niewidzialnym. Inni wreszcie twierdzą, że był tylko jeden sposób na to, by uczynić się niewidzialnym: sposób ten to pierścień Gygesa, o którym opowiadają Platon i Cycero, lecz który został bezpowrotnie utracony.[201]

Ledwie rycerz skończył mówić, jak Mefistofeles wykrzyknął:

— Ja, miłośnicy rycerzu, znam prastary sposób uczynienia się niewidzialnym!

Rozumie się, że przy tych słowach wszystkie spojrzenia skierowały się na Mefistofelesa, jakby był Eneaszem mającym opowiadać Kartagińczykom o upadku Ilionu, lecz wśród ogólnego milczenia Mefistofeles rzekł:

— By stać się niewidzialnym, wystarczy schować się za przedmiotem nieprzezroczystym, na przykład za ścianą.

Dowcip Mefistofelesa wywołał powszechne rozczarowanie. Jednakże po pewnym czasie seneszał zamku zwrócił się do doktora z takim pytaniem:

— Wy, wielce szanowny doktorze, dużo podróżowaliście. Wyjaśnijcie więc nam, czy to prawda, że prochy tej oślicy, na której Jezus Chrystus dokonał wjazdu do Jerozolimy[202], spoczywają w Weronie? I że druga oślica, na której jechał niegdyś prorok Balaam, żyje po dziś dzień i przebywa w tajemnym miejscu w Palestynie, by przywieźć z nieba Eliasza w dniu drugiego przyjścia Zbawiciela?

I znów odpowiedź wziął na siebie Mefistofeles, który rzekł:

— Ja, drogi panie, nie sprawdzałem faktów, o których mówicie, lecz czemu oślica Balaama nie miałaby być nieśmiertelna, jeśli w ciągu tysięcy ludzi osły nie zanikają?

Żart ten cieszył się niemałym powodzeniem wśród zebranych, lecz do doktora Fausta ze wszystkich końców stołu kierowano coraz to nowe pytania, przyczyni w miarę tego, jak coraz bardziej rozpałała się uczta i wszyscy się upijali, pytania te stawały się coraz bardziej bezczelne, czasami granicząc ze zniewagą. Równocześnie z mego posterunku strażniczego mogłem obserwować, jak pijani kawalerowie zaczęli poczynać sobie bardziej bezceremonialnie, niż przystało, jak chyłkiem ściskali ręce i piersi swoich sąsiadek, inni zaś, opici winem, niepostrzeżenie rozpinali uciskające ich guziki. Wtedy hrabia, którego zachowanie przez cały wieczór znamionowała wielka zreczność, przerwał rozpoczynając się orgię takimi słowami:

— Mniemam, przyjaciele, że pora pozwolić naszym gościom odpocząć. Złożyliśmy hołd i Bachusowi, i Komusowi, i Minerwie; pora złożyć ofiarę Morfeuszowi. Podziękujmy naszym rozmówcom za wszystkie ich icądre wyjaśnienia i życzy im dobrych rad boga marzeń.

Wyraźny i stanowczy głos seniora natychmiast zmusił wszystkich obecnych do zapanowania nad sobą i wstawszy od stołu wszyscy zaczęli się z nami żegnać, znów wykazując największą uprzejmość. My trzej skłoniliśmy się hrabiemu i hrabinie, dziękując im za poczęstunek, po czym paziowie odprowadzili nas do naszych komnat, gdzie już przygotowane dla nas były wszelkie wygody: miękkie łóżka, szlafroki, pantofle, szlafmyce i nawet urywały[203]. Brakowało tylko, żeby uprzejmy hrabia w swej usłudze zaproponował swoim gościom po kobiecie lekkiego prowadzenia, Jak niegdyś mieszkańcy Ulm cesarzowi Zygmunutowi[204] i jego świcie. Jeśli o mnie chodzi, to zasypiając w komnacie, gdzie być może wypoczywał jakiś kompanion Gotfryda de Bouillon, przyrzekłem sobie, że nazajutrz rano opuszczę ten zamek,

choćby nawet bez moich towarzyszy. Jednakże postanowiłem, tak jak się to mówi, bez zezwolenia Boskiego, i wszystko potoczyło się inaczej, ponieważ los, który przywiódł mnie do hrabiego Adalberta, miał cel o wiele dalszy niż tylko pokazanie mi uczy znakomitych lekkoduchów.

## II

Według swego zwyczaju obudziłem się nazajutrz bardzo wcześnie i, nie chcąc nikogo niepokoić, cicho przemknąłem się na dół i wyszedłem na krużganek, rodzaj włoskiej loggii, jaką nierzadko widuje się w naszych starych rycerskich zamkach. Tam, oparty o kolumnę, wdychając świeżość marcowego poranka, kiedy wzrok mój wypoczywał na pięknym przestworze pól, mimo woli zamyśliłem się nad swoim losem i gorzkie myśli przerwały tamę świadomości zatopiły mą duszę. Ukazała mi się Renata, która gdzieś, w nieznanim mi mieście, z kimś innym, nie ze mną, spędza godziny nowej radości lub być może przeciwnie — tęskni za mną, żałuje swojej ucieczki, lecz nie ma żadnej możliwości odszukania mnie i na zawsze jest ode mnie oderwana; może chora, pogrążona w swej zwykłej rozpacz, otoczona jest obcymi, prostackimi ludźmi, którzy sztydzą z jej cierpień i dziwnej mowy — i nikt nie podejdzie do niej, jak ja to czyniłem, by tkliwym słowem lub delikatnym dotknięciem ulżyć jej udręce... I nowy przyływ starego smutku ogarnął mnie z taką siłą, że nie mogłem się opanować i opuściwszy twarz na kamienny parapet dałem upust łzom, bezsilnym i niepohamowanym.

Kiedy tak płakałem na krużganku zamku Wellen, przekonany, że jestem sam, nagle ramienia mego dotknęła czyjaś ręka i podniósłszy głowę zobaczyłem, że to sam hrabia podszedł do mnie. Hrabia, choć młodszy ode mnie, z jakąś ojcowską troskliwością objął mnie wpół i poprowadził przez galerię, ostrożnie i przyjacielsko wypytując o powód mego zmartwienia: może obraził mnie któryś z jego ludzi, może spotkało mnie niepowodzenie w życiu osobistym? Zmieszany i zawstydzony pokonałem wzburzenie i odpowiedziałem hrabiemu, że boleść swą przywoziłem wraz z bagażem, i że na nic w zamku uskarżać się nie mogę. Hrabia nie chciał mnie jednak opuścić i kontynuowaliśmy rozmowę przechadzając się tam i z powrotem po krużganku.

Wkrótce przyszło mi wyjaśnić, że nie należę do świty doktora Fausta, że zawarłem z nim znajomość zaledwie trzy dni temu, i to usposobiło hrabiego bardzo dla mnie przychylnie. Równocześnie wszystko, co mówił hrabia, i w czym być może z nadmierną, powiedzialbym merkurialną, żywością mieniło się świetne wykształcenie, jakie otrzymał, to wszystko sprawiło, że zapomniałem o

jego wczorajszym udziale w wykpiwaniu nas i pozwoliło mi odnieść się do niego z zaufaniem. Kiedy zaś słowo po słowie wyjaśniło się, że mamy tych samych ulubieńców w świecie autorów i książek, i hrabia nie zwlekając zaproponował, że pokaże mi swą bibliotekę, nie znalazłem powodów, by mu odmówić.

W gabinecie hrabiego przekonałem się ponownie, że moje początkowe spostrzeżenie było słuszne i że hrabia należy do najwartościowszych ludzi swojej sfery, gdyż jego zbiory przyniosłyby zaszczyt każdemu uczonemu. Hrabia poprowadził mnie przed całymi szeregami półek z książkami, pokazywał mi kosztowne oprawy z pergaminu, z drewna, z czerwonej, zielonej i czarnej skóry, pokazywał różne rzadkie wydania, pochodzące z najlepszych pracowni, i z miłością troskliwie zebrane przez niego drogowskazy naszych czasów, jak „*Epistolae obscurorum virorum*”, „*Laus Stultitiae*”, „*Oestrum*”[205], które witałem jak dawno niewidzianych dobrych przyjaciół. Potem hrabia pokazał mi różne przybory naukowe, których miał mnóstwo: globusy, ziemskie i niebieskie, astrolabia, armille, torkwety i jeszcze jakieś mnie nie znane, i zaraz opowiedział mi odważną i zdumiewającą teorię Mikołaja Kopernika z Fromborka o strukturze nieba, którą wtedy słyszałem po raz pierwszy, dlatego iż dzieła tego astronoma do tej pory wydane nie były. Wreszcie hrabia otworzył przede mną swoje skrzynie i wyjął z nich rękopisy kodeksów pisarzy łacińskich, zdobyte w sąsiednich klasztorach, zbiór przepięknych prastarych gemm, przywiezionych przez niego z podróży po Włoszech, i wreszcie z osobnej szkatuły plik listów słynnego Ulyka Ząsy[206], z którym osobiście korespondował.

Łatwo było zauważyć, że hrabia pokazuje swoje zbiory nie bez pewnej dziecięcej chępliwości, mimo to jego miłość do nauk i sztuk pięknych zupełnie mnie z nim pojednała, i pragnąc zrobić mu przyjemność powiedziałem, że sam Watykan pozazdrościłby mu jego bogactw. Ostatecznie zachwycony moimi pochlebstwami hrabia posadził mnie naprzeciw siebie i tak do mnie powiedział:

— Nie mogę dłużej uważać was, panie, za obcego, należycie bowiem do liczby tychże nowoczesnych ludzi co ja i — przysięgam na Hyperiona! — wstyd by mi było was, panie, oszukiwać. Dlatego muszę was prosić przede wszystkim, byście mi szczerze powiedzieli, co sądzicie o doktorze Fauście?

Odrzekłem, że uważam Fausta za człowieka dawnego autoramentu, lecz nadzwyczaj uczonego i mądrego, nie powstrzymałem się także, by nie dodać, że Faust godzien jest większej uwagi, niż ta, którą wobec niego przejawiają w zamku.

Wtedy hrabia powiedział do mnie, co następuje:

— A czy wiecie, panie, jakie chodzą słuchy o Fauście i jego przyjacielu?

Opowiadają, że ów Mefistofeles to nikt inny tylko Diabeł, który obowiązany jest służyć doktorowi przez dwadzieścia cztery lata, za co dostanie potem we władanie jego duszę. Ja oczywiście nie wierzę w takie głupstwa, podobnie jak w ogóle się wierzę w pakt z demonami, i myślę, że Diabeł zrobiłby kiepski interes otrzymując jako zapłatę za realne usługi — duszę. Wydaje mi się, że sprawa jest o wiele prostsza i że wasi, panie, towarzysze drogi, a moi goście to po prostu szarlatani, którzy posługują się nie siłami Piekła, lecz sposobami zręcznych oszustów. Jeżdżą z zamku do zamku, z miasta do miasta, wszędzie podając się za czamoksiężników i pokazując sztuczki, w zamian zaś otrzymują pieniądze, które pozwalają im żyć dostatnio.

Słowa te nadzwyczaj mnie wzburzyły, gdyż do tej pory uważałem doktora Fausta za człowieka w pełni szlachetnego, toteż zacząłem go bronić z całym żarem, tak że między mną i hrabią wywiązała się nawet dość zawzięta sprzeczka. Na koniec hrabia wręcz przyznał mi się, że zaprosił do siebie przejeżdżającego nieopodal doktora Fausta jedynie w tym celu, by zdemaskować jego sprawki i ukazać jego prawdziwe oblicze, zaraz też zaproponował mi, bym wziął udział w ogólnym spisku i dopomógł mu w tej sprawie. Tak więc znalazłem się wobec trudnego wyboru, jak Herkules na rozstaju, z tą tylko różnicą, że mniej było dla mnie jasne, po której stronie jest Cnota, a po której Nieprawość, ponieważ po naszej rozmowie obraz hrabiego wydawał mi się bardzo pociągający, i o doktorze Fauście także zdążyłem już wyrobić sobie sąd najpochlebniejszy. Czas jakiś szale wagi mej duszy wahały się w sposób dość nieokreślony, lecz potem znalazłem punkt równowagi i powiedziałem hrabiemu:

— W żadnym wypadku nie zgodzę się uczestniczyć w znowie przeciwko człowiekowi, który nie uczynił mi nic złego i którego uważam za bardzo światłego. Jednakże z szacunku dla was, panie hrabio, nie przedsięwezmę nic przeciwko waszemu planowi i obiecuję, że moim towarzyszom drogi nie wspomnę ani słowem o naszej rozmowie.

Kiedy hrabia zgodził się z moją decyzją, wydało mi się już niemądre mówić mu o moim odjeździe, postanowiłem więc spędzić jeszcze dzień jeden w zamku, lecz przyznaję, że spotkałem się z Mefistofelesem i Faustem nie bez miesania, jakbym coś zawinił. Czując, że nie przybiłem ani do jednego, ani do drugiego brzegu i jakbym się znajdował w polu między dwoma nieprzyjacielskimi obozami, jeszcze mniej niż w przeddzień mogłem okazać się wesółym kompanem i już od tego czasu zasłynąłem wśród wszystkich w zamku jako człowiek niezwykle ponury i odludek. Zresztą zauważyłem, że w danym towarzystwie zawsze pozostajemy w tej samej masce, w jakiej przypadkiem pojawiliśmy się tam po raz pierwszy, przy czym każdy z nas musi w różnych

kregach nosić mnóstwo najróżnorodniejszych masek.

Ów drugi dzień, jaki przebywaliśmy w zamku, spędziłem na polowaniu, które hrabia wydał na część gości, lecz którego nie będę opisywał, by w swej opowieści nie błąkać się zbyt często po okólnych drogach. Powiem tylko, że mimo wczesnej pory roku można było uważać to polowanie za w pełni udane, gdyż dostarczyło ono wiele radości jego uczestnikom i zaszczytu dzika, zwierza rzadkiego w tej okolicy. Faust, podobnie jak wczoraj, był przedmiotem różnych ataków, na które znów przeważnie odpowiadał Mefistofeles, czasem celnie, czasem dosyć grubiańsko, dając się poznać jako ten, którego Hiszpanie nazywają chocarrero[207] i pozyskując niewątpliwą przychyłność dam.

Do zamku wróciliśmy już późno, czując w sobie to dziarskie i jakby siarczyste zmęczenie, jakie daje wysiłek na świeżym powietrzu, i znów czekała na nas obfita wieczerza, przygotowana w tejże sali, gdzie wczoraj. Tym razem jednak hrabia nie chciał odwlekać swego zamysłu i ledwo zaspokojony został głód, zwrócił się do doktora w te słowa:

— Wiadomo nam, szanowny doktorze, że w dziedzinie magii osiągnęliście wspaniałe sukcesy, tak że niestosowne byłoby porównywać z wami któregośkolwiek ze współczesnych magów, choćby nawet Hiszpana Torralbe[208] (pokój nieszczęsnej duszy jego!). Wiemy także, że na prośby innych osób, byście im okazali swą sztukę, nie odpowiadaliście odmową i na przykład księciu Anhalckiemu daliście możność ujżenia na własne oczy Aleksandra Wielkiego Macedońskiego i jego małżonki, waszymi zaklinaniami wróconych z mroku Orcusu[209] w światło Heliosa. Teraz całe towarzystwo przyłącza się do mojej prośby błagając, byście także nam pokazali choć czastkę waszej cudownej sztuki.

Z wyteżoną uwagą czekałem, co odpowie doktor Faust, gdyż w prośbie hrabiego wyraźnie dostrzegłem sprężyny i kółka pułapki i bardzo chciałem, by doktor w ostrych słowach przerwał obłudną mowę. Ku memu jednak zdziwieniu doktor Faust, który do tej pory zachowywał się nadzwyczaj powściągliwie, teraz z pewną wyniosłością tak odpowiedział:

— Miły hrabio, z wdzięczności za udzieloną gościnnie zgadzam się pokazać wam to niewiele, na co pozwala moja skromna wiedza, i mniemam, że książę Anhalcki nie będzie miał czym się przed wami pysznić.

Jak sobie to teraz tłumaczę, Faust[210], urażony sposobem, w jaki odnosił się do niego hrabia i jego dworzanie, chciał im wszystkim dowieść, że istotnie dysponuje nie znanymi im siłami, i w imię tej niezbyt chwalebnej próżności zdecydował się zniżyć magię do publicznej próby. W owym czasie jednak, pod wpływem podejrzeń hrabiego wyobraziłem sobie, że doktor godząc się na prośbę zdemaskował się jako sprzedajny szarlatan, gdyż tylko oni jedni zdolni



są w dowolnej porze i w dowolnym miejscu wywoływać zjawy — tak że gotów byłbym postawić doktora Fausta w jednym szeregu z filutami rozjeżdżającymi po wsiach, by sprzedawać różne amulety, plastry lecznicze, czarodziejskie pigułki, nierozmienne talary i temu podobne. Mefistofeles tymczasem wstał, podszedł do Fausta i zaczął mu coś przekonywająco szeptać na ucho, lecz ów gniewnie wzruszył ramionami, jakby mówiąc: „Ja tak chcę”, i Mefistofeles odszedł jak nieprzyjaciół.

W ogólnym zamieszaniu korzystając z tego, że wszyscy w tym czasie hałaśliwie wstali od stołu i otoczyli doktora, wyrażając mu wdzięczność za powziętą decyzję, opuściłem komnatę i poszedłem przespacerować się po opustoszałej galerii, zły na siebie, że nie wykonałem wczorajszego postanowienia, i w ogóle mając duszę niczym rozstrojona wiola. Jednakże ciekawość lub raczej pragnienie zbadania sprawy, czego bynajmniej się nie wstydzę, nie pozwoliło mi spędzić tego wieczora z dala od towarzystwa, tak że po upływie pół godziny wróciłem na ogólną salę i byłem jednak świadkiem magicznej próby dokonanej przez doktora Fausta, którą tu opiszę równie bezstronnie, jak dawniej opisywałem wszystko pozostałe, starając się nic nie dodać do tego, co wryło się w mej pamięci.

W sali stół i krzesła były zsunięte do kąta i całe towarzystwo rozsiadło się na ławach, ustawionych w poprzek komnaty, słychać było szepty i śmiechy, czekano na rozpoczęcie próby niczym na przedstawienie wesołej pastoralli. Na przodzie postawiono dwa fotele dla hrabiego i hrabiny, stał przy nich Mefistofeles i coś im wyjaśniał, a opodal doktor Faust, bardzo blady, wydawał sługom ostatnie rozporządzenia. Ulokowałem się na samym końcu ławy w drugim rzędzie, skąd było mi wygodnie obserwować wszystko, co się działo.

Kiedy obecni nieco się uspokoiłi, doktor Faust powiedział:

— Miłoścywi hrabio i hrabino, miłe damy i sławetni rycerze! Teraz zmuszę do pojawienia się przed wami i zobaczycie na własne oczy królową Helenę[211], małżonkę króla Menelaosa, córkę Tyndareosa i Ledy, siostrę Kastora i Polluksa, tę, którą w Grecji zwano najpiękniejszą. Królowa pojawi się przed wami w tej samej postaci i wyglądzie, jakie miała za życia, obejdzie wasze szeregi zezwalając wam patrzeć na siebie i pozostanie w waszym towarzystwie około pięciu minut, po czym będzie musiała znów zniknąć.

Doktor Faust mówił te słowa z wielką pewnością, lecz w jego głosie posłyszałem jakieś napięcie i jego spojrzenie było nadto krytyczne, tak że można było mniemać, że sam nie bardzo wierzy w powodzenie sprawy, którą przedsięwziął. Kiedy tylko skończył jednak mówić, Mefistofeles dorzucił tonem surowym i rozkazującym:

— Uprzedzam was jak najdobitniej, miłoścywi państwo, że póki zjawa

będzie wśród nas, nie wolno wam ani słowa wymówić, zwłaszcza nie zwracać się do niej z jakąś mową, nie wolno wam jej dotykać i w ogóle wstawać z miejsca — to musicie mi przyrzec.

Hrabia odpowiedział za wszystkich, że godzą się na takie warunki, wtedy Mefistofeles rozkazał zgasić wszystkie pochodnie i świece, jakie znajdowały się w komnacie, prócz jednej oddalonej świecy, tak że zapanowały niemal zupełne ciemności. Z wolna, pod wpływem grozy, jaką budził mrok, i podniecenia spowodowanego oczekiwaniem, cichnąc zaczęły rozlegające się jeszcze czasem szepty i szelesty sukien i całe towarzystwo niczym w czarnej głębi pograżyło się w milczeniu. Jeszcze później w różnych kątach komnaty dały się słyszeć te same potrząskiwania i postukiwania, które zdarzyło mi się już słyszeć z Renatą i które serce moje powitało bolesnym biciem. Potem powoli popłynęły przez całą komnatę świecące gwiazdy, które nagle znikaly, i choć nie byłem już wtedy nowicjuszem w zjawiskach magicznych, mimo woli przebiegł mnie dreszcz.

Wreszcie w odległym kącie oddzielił się od podłogi białawy obłok, po czym chwając się i kołysząc zaczął się wznosić, rosnać i wyciągać przybierając kształt postaci ludzkiej. Po kilku chwilach z obłoku wynurzyła się twarz, pasma mgły ułożyły się w fałdy odzieży i jakby żywa kobieta popłynęła ku nam, niewyraźnie widoczna w głębokich ciemnościach komnaty. Z początku zjawa przybliżyła się do hrabiego i czas jakiś chwając się nieporuszenie stała przed nim; później równie powoli, jakby w powietrzu, przesunęła się w lewo i zaczęła się przybliżać do mnie. Chociaż wstrząśnięty byłem tym widokiem, jednak nie omieszkalem skupić całej uwagi, by przyrzec się zjawie we wszystkich szczegółach.

Helena, jak zdołałem zapamiętać, była niewysokiego wzrostu i ubrana w ciemnopurpurową oponczę tego rodzaju, jak to przedstawia malarz Andrea Mantegna; jej włosy, złocistego koloru, były rozpuszczone i tak długie, że opadały do samych kolan; oczy miała czarne jak węgiel, wargi maleńkich ust jaskrawe, szyję białą i giętką jak u łabędzia, cały zaś wygląd wcale nie królewski, lecz w najwyższym stopniu urzekający. Koło mnie prześliznęła się niezwykle szybko i kontynuując swą drogę wśród widzów zbliżyła się do doktora Fausta, który, na ile można było to dojrzeć w półmroku, w wielkim podnieceniu rzucił się do przodu i wyciągnął ręce do zjawy. Ruch ten bardzo mnie zadziwił, pozwalał bowiem wnioskować, że zjawisko to było czymś nieoczekiwanym dla samego Fausta.

Nie zdążyłem jednak jeszcze rozważyć w pełni tego przypuszczenia, kiedy nagle stało się coś takiego, co od razu przerwało naszą próbę, która tak nęcąco się rozpoczęła. Kiedy mianowicie Helena oddalając się od doktora

przybliżyła się do kuzyna hrabiego, siedzącego w drugim rzędzie na lewym końcu ławy, ów nagle zerwał się, pochwycił zjawę i głosem donośnym zawołał: „Światła!” Faust w teże chwili podbiegł do niego z okrzykiem żalu i oburzenia, wszyscy szybko powstali z miejsc, a słudzy, zawczasu do tego przygotowani, wydostali pochodnie, do tej pory gdzieś ukryte, i cała sala rozjarzyła się ich żółtawym światłem.

W ogólnym zamieszaniu przez czas pewien nie można było nic odróżnić, miało się wrażenie jakby tu, między wytwornymi gośćmi, wszczęła się bijatyka, lecz zdecydowana interwencja hrabiego szybko zmusiła wszystkich, by się uspokoili. Ujrzełszy rycerza Roberta, który trzymał w ręce jedwabny strzęp ciemnopurpurowej materii i który z uporem powtarzał:

— Wyrwała mi się z rąk, szukajcie jej w zamku, musi tu być!

Jednakże dla wszystkich jasne było, że żywa istota nie mogłaby umknąć przed uważnym spojrzaniem tyłu oczu, i trzeba było przyznać, że zjawa Heleny Greckiej rozplynęła się w rękach rycerza, który ją pojmał, i przemieniła się znów w ów obłok, z którego powstała. Doktor Faust z goryczą żalił się hrabiemu, że nie dotrzymane zostały dane obietnice, lecz Mefistofeles uciął spór mówiąc obojętnie:

— Musimy wszyscy być zadowoleni, doktorze, że wywołaliśmy zjawę tak uwodzicielską, iż rycerz nie mógł się pohamować, rycerz zaś niech będzie zadowolony, że niczym nie przypłacił swej próby pojmania Heleny Greckiej; jak wiadomo, Deifobos był mniej szczęśliwy: za to samo odrąbano mu nos i uszy.

Oczywiście była to mowa zuchwała i Mefistofeles mógł być za nią odpowiadać, gdyby rycerz, a wraz z nim, i sam hrabia nie czuli się nieco zawstydzeni i nie byli radzi puścić w niepamięć całe nieporozumienie. Hrabia zaczął jakąś zagmatwaną przemowę, na wpół przepaszając, na wpół dziękując Faustowi, ja zaś korzystając z ogólnej rozmowy po cichu wyszedłem z sali i udałem się do swojej komnaty, nagle wydało mi się bowiem niegodne uczestniczyć w całej tej niemądrej historii. Bez względu na to, czym było zjawisko, które widziałem, czy rzeczywiście magicznym wskrzeszeniem osoby żyjącej w zamierzchłych czasach, czy nowym oszustwem, w czym Mefistofeles okazał się takim mistrzem — wydało mi się, że my, widzowie, odegraliśmy w tym wszystkim ponizającą rolę i zapragnąłem jak najprędzej otrząsnąć z siebie, niczym z płaszcza deszczową wodę, wszystkie przykre wrażenia tego wieczoru.

Padłem na łóżko i kiedy w jakiś czas później doktor Faust przechodząc obok zastukał do moich drzwi, umyślnie nie odezwałem się udając, że już śpię.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

O tym, jak wstąpiłem na służbę do hrabiego von Wellen, jak do naszego zamku przybył Arcybiskup Trewiru i jak udaliśmy się do klasztoru Świętego Ulfa

### I

Zaklinanie Heleny Greckiej było ostatnią przygodą, jaką przeżyłem przebywając z doktorem Faustem, gdyż już nazajutrz z nim się rozstałem, do czego, prócz ogólnego stosunku do mnie moich towarzyszy drogi, skłoniła mnie jeszcze jedna okoliczność.

Kiedy mianowicie przebudziłem się nagle w środku nocy, w sąsiedniej komnacie, którą przydzielono moim dwóm towarzyszom, posłyszałem niewyraźną rozmowę i mimo woli wyteżając uwagę poznałem głos Mefistofelesa, który mówił:

— Dziękuj świętemu Jerzemu i mnie, że udała ci się dzisiejsza próba, są jednak rzeczy, na które nie należy dwa razy się porywać. Nie wyobrażaj sobie, że cały wszechświat, cała przeszłość i przyszłość — to twoje zabawki.

Podniesiony i gniewny głos Fausta odpowiadał:

— Zbyteczny spór! Chcę ją widzieć raz jeszcze i ty mi w tym pomożesz. A jeśli sądzone mi jest skrócić kark w tym przedsięwzięciu, cóż w tym za nieszczęście!

Ironiczny głos Mefistofelesa oponował:

— Śmiertelni lubią stawiać na jedną kartę życie, podobnie jak biedacy ostatniego talara. Skrócić sobie kark potrafi jednak każdy głupiec, ale rzeczą człowieka mądrego jest zastanowić się, czy gra warta świeczki.

Gniewny głos Fausta mówił:

— Jeśli odmawiasz mi pomocy, zaraz jutro się rozstaniemy!

Rozległ się śmiech Mefistofelesa, dziwny i niemiły, a potem jego odpowiedź:

— Ty nie uznajesz innych terminów, jak tylko jutro! Pomyśl jednak, że

musisz się przedtem pozbyć tego młodziana, który tak potulnie gapi się, kiedy coś opowiadasz. Wczoraj podpatrzyłem, jak całą godzinę coś z hrabią do siebie szeptał, i myślę, że można się po nim spodziewać wszelkiej zdrady.

W danym momencie obraźliwa opinia Mefistofelesa wcale mnie nie dotknęła, ponieważ niczego lepszego po nim nie oczekiwałem, wręcz przeciwnie, przysłuchiwałem się z wielkim zaciekawieniem, mając nadzieję, że w toku sprzeczki Toznamiętnieni dyskutanci odkryją przede mną tajemnicę swych dziwnych stosunków. Nagle, sam nie wiem jak, ogarnęła mnie niepokonana senność i odebrała mi słuch, zupełnie jakby Mefistofeles wyczuł, że podsłuchuję, i jakimś zaklęciem sprowadził na mnie takie odrętwienie. Tego, co usłyszałem, było jednak dosyć, bym rankiem, kiedy nocne wrażenia odżyły w mej pamięci, zadał sobie pytanie, czy wypada mi pozostawać z doktorem Faustem, któremu jak widać sprawiam kłopot, i bym po krótkim namyśle zdecydował, że przyzwoicie będzie rozstać się z moimi towarzyszami drogi.

Wiedząc, że odjazd nasz wyznaczony jest na tenże dzień po południu, natychmiast Wyruszyłem na poszukiwanie hrabiego, by go prosić o zezwolenie spędzenia w zamku choćby jeszcze doby, i nie bez pewnego trudu audiencję uzyskałem.

Hrabia powitał mnie bardzo nieuprzejmie, co stanowiło uderzające przeciwieństwo jego wczorajszego zachowania, lecz co natychmiast znalazło swoje wytłumaczenie, ledwo bowiem wyjaśniłem cel swych odwiedzin, nastrój hrabiego natychmiast się odmienił, hrabia zerwał się z fotela, uściśnął mi rękę i wykrzyknął:

— A więc, miły panie Ruprechcie, rozstajecie się ze swymi towarzyszami! To całkiem inna sprawa! Rozumie się — możecie nie prosić, lecz w imię Pallas Ateny żądać u mnie gościny. My, ludzie nowocześni, tworzymy pewne bractwo i choćby Parki uprzedły nam odmienne nitki losów, obowiązani jesteśmy oddawać sobie wzajemnie wszelkie możliwe przysługi.

Kiedy jednak zdziwiony spytałem hrabiego, czemu tak go cieszy moja decyzja, po pewnym wahaniu odpowiedział mi, że przede mną był u niego Mefistofeles, który oznajmiając mu o odjeździe zażądał, jako zapłaty za wczorajszą magiczną próbę, stu guldenów reńskich, i hrabia był oburzony na moje postępowanie, uważał bowiem, że ja także będę uczestniczył w podziale tych pieniędzy. Przyznaje, że wiadomość ta była dla mnie niczym uderzenie obuchem w głowę, chociaż bowiem wiedziałem, że magia nie ma nic wspólnego z alchemią i że najwytrawniejsi nekromanci mimo wszystko potrzebują krwi i żywienia, jednakże postępek Mefistofelesa wydał mi się nieszlachetny. Gdybym miał jakiegokolwiek wątpliwości, czy dobrze czynię rozstając się z doktorem Faustem, to wiadomość, jaką usłyszałem od hrabiego, rozwiała by je

jak wiatr rozwiewa mgłę, w najrzeczniejszych więc słowach wyraziłem hrabiemu wdzięczność za gościnę.

Wtedy hrabia, widocznie sam wzruszony swoją dobrocią, powiedział mi jeszcze, co następuje:

— Po cóż macie się, panie Ruprechcie, w ogóle śpieszyć z odjazdem z mego zamku? Czy tak pilne czekają was sprawy w Trewirze? Pozostańcie w moim zamku, a zadbam, by nie było wam u mnie źle. Prócz tego potrzebny mi jest ktoś umiejący dobrze pisać po łacinie, zamierzam bowiem ułożyć traktat o gwiazdach.

Taka propozycja była dla mnie czymś zupełnie nieoczekiwanym, a ponieważ od dawna przywykłem do niezależności, wydała mi się nawet nieco obraźliwa, lecz szybko okiem wyobraźni spojrzawszy na swoją sytuację zdecydowałem, że nie ma powodów, bym miał hrabiemu odmówić. Z jednej strony nie miałem wtedy żadnego określonego planu, jak dalej pokierować swoim życiem, a z drugiej — nigdy nie gardziłem żadnym zajęciem, byłem już i zwykłym lancknechtem, i subiektem domów kupieckich. Tak więc wyraziłem zgodę i w ten sposób, ulegając kaprysowi prądu życia, wlokącego mnie krętą rzeką obok wysp i mielizn, przemieniłem się z towarzysza drogi wątpliwego czarodzieja w pisarza u wątpliwego humanisty.

Tegoż samego dnia doktor Faust i Mefistofeles istotnie opuścili zamek.

Przed ich odjazdem zaszedłem do doktora Fausta, by się z nim pożegnać, i odbyliśmy rozmowę, z której pewne fragmenty chcę tu przekazać. Naturalnie omawialiśmy wczorajszą próbę magiczną i doktor Faust wygłosił cały panegiryk na cześć piękności Heleny Greckiej, przy czym uczynił to w słowach tak pełnych zachwytu, że wątpliwe, czy z większym żarem słaWił ją w Ilionie, przed ojcem i braćmi, sam porywacz Aleksander. Potem zaczęliśmy mówić w ogóle o nekromancji i doktor Faust powiedział, że odpowiednikiem jego prób było wywołanie przez Ulissesa cieni wieszca Tejrezjasza i przez czarownicę z Endor cieni proroka Samuela. Pod koniec rozmowy w sposób bardzo oględny wspomniałem doktorowi Faustowi o prawdziwym powodzie mego z nim rozstania, a mianowicie o powtarzanej przez lud famie przypisującej mu nieprzystojne postęпки i tłumaczącej jego moc w sposób nad wyraz niegodny. Doktor Faust zrozumiał widocznie moje ostrożne aluzje i po chwili milczenia odpowiedział mi w te słowa:

— Nigdy nie wierzcie, drogi panie Ruprechcie, jeśli kto wam powie, jakoby prawdziwy mag zawarł pakt z demonem! Być może jakiś inny niedouczony nieszczęśnik wyrzeka się wiekustej szczęśliwości w zamian za kilka garści kradzionych monet ofiarowanych mu przez nędzne biesy, lecz sprawiedliwość Boża oczywiście nie karze za taką transakcję, w której więcej jest ciemoty niż

grzechu! A czymże mogą demony skusić człowieka, który poznał ich naturę i granice ich mocy? To prawda, że demony posiadają pewne zdolności, których nie dano człowiekowi: szybko przenoszą się z miejsca na miejsce, rozpuszczają swą substancję na lekki dymek lub zgęszczają ją w dowolne postaci, wznoszą się w sfery powietrzne i inne. Lecz czy pragnienia człowieka ograniczają się do tego, co można zaspokoić przy pomocy takich środków? Czyż człowiek nie pragnie poznać do końca wszystkich tajemnic wszechświata i bez ograniczeń władać wszystkimi skarbami? Prawdziwy mag patrzy zawsze na demony jako na siły niższe, którymi można się posługiwać, lecz którym niemądrze byłoby się podporządkować. Nie zapominajcie, panie Ruprechcie, że człowiek stworzony został na obraz i podobieństwo Samego Stwórcy i dlatego posiada właściwości niezrozumiałe nie tylko dla demonów, lecz również dla aniołów. Anioły i demony mogą dążyć tylko do swego dobra, pierwsze ku chwale Bożej, drugie — ku chwale Zła, lecz człowiek może szukać i smutku, i cierpienia, i samej śmierci. Tak jak Pan Wszechwładca Syna Swego Jedynego złożył w ofierze za stworzony przez Siebie świat, tak i my składamy czasami w ofierze naszą nieśmiertelną duszę i w ten sposób upodobniamy się do Stwórcy. I wspomnijcie, panie Ruprechcie, słowa Ewangelii: ktobykolwiek chciał zachować duszę swoją, straci ją, a kto by ją kolwiek stracił, ożywi ją! Tę swoją mowę pożegnalną i jakby pouczenie dla mnie wygłosił doktor Faust z wielkim żarem, i byłem nią szczerze poruszony, ponieważ wiele w tej mowie stanowiło jakby moje własne myśli, tak że słysząc je dusza moja drżała, jak drży struna na dźwięk innej, nastrojonej na ten sam ton. Jednakże ledwo zebrałem się, by doktorowi odpowiedzieć, kiedy rozległ się głos Mefistofelesa, który w czasie naszej rozmowy bezszelestnie do nas się podkrał i nagle wykrzyknął:

— Świetnie, doktorze, wspaniale! Jesteś stworzony na to, by z ambony swymi kazaniami doprowadzać do łez najtłuściejsze parafianki. Nie jest jeszcze za późno, mam sporo dobrych znajomych w kurii papieskiej i mogę urządzić cię jako prałata na intratnej posiadzie! Szczególnie lubię jednak, kiedy na dowód przytaczasz teksty z Pisma Świętego: to najlepszy sposób, by dowieść, co tylko się zechce. Przecież jedynie głupota jest jednostronna, prawdę zaś można obrócić dowolną krawędzią!

Obecność Mefistofelesa zawsze jakby mocnymi sznurami kępowała moje poruszenia i w zakłopotaniu naprawdę nie wiedziałem, co powiedzieć; lecz on obróciwszy się do mnie dodał:

— A wy, panie Ruprechcie, zapewne znajdujecie, że przyćmiewamy wasze zalety i że bez nas łatwiej wam będzie wybić się. Będziemy wspaniałomyślni i ustąpimy wam miejsca.

Nie miałem zupełnie ochoty wdąć się w pojedynek na kopie dowcipu, więc milcząc skłoniłem się doktorowi, odwróciłem się i wyszedłem z komnaty, co oczywiście bynajmniej nie było uprzejme i mogło być poczytane za obrazę. Dlatego też na wypadek, gdyby te zapiski trafiły do rąk samego doktora Fausta lub kogoś z jego przyjaciół, śpieszę tu zaświadczyć, że wszystkim, co było nieładnego w postępowaniu dwóch moich towarzyszy drogi, w całości obarczam samego tylko Mefistofelesa. Co się tyczy doktora Fausta, to w różnym czasie różnie o nim myślałem, lecz w ostatecznym wyniku muszę wyznać, że moja sonda badawcza nie wymierzyła wszystkich głębin jego życia i jego duszy i że w mej pamięci jego postać po dziś dzień wznosi się niczym na horyzoncie cień Goliata. Przy samym odjeździe doktora asystowałem już jako widz wśród mieszkańców zamku i w tej scenie pożegnania znów pozwolono sobie na liczne drwiny z przyjezdnych gości. Rycerz Robert wygłosił kpiącą mowę dziękując doktorowi za odwiedzin, a damy nałożyły Mefistofelesowi wieniec z kwiatów wyhodowanych przez nie w komnatach, i trzeba przyznać, że mnich był dość zabawny w tak nieodpowiedniej ozdobie. Co do mnie, to wpatrywałem się w moich niedawnych towarzyszy drogi i starałem się teraz dojrzeć w nich rysy, które przyczyniły się do powstania ludowej gadki o nich, i musiałem przyznać, że dostarczali oni niemało pożytki dla różnych domysłów. Znużony spokój doktora nietrudno było wytłumaczyć apatią człowieka zawczasu wiedzącego, co go czeka; w bystrych ruchach Mefistofelesa fantazja mogła się łatwo dopatrzeć czegoś nieczłowieczego, diabelskiego, i nawet naszego ponurego czarnobrodego woźnicę można było przy odrobinie chęci wziąć za zwyczajnego Diabła, ogorzałego w płomieniach piekielnych i przywykłego nie do lejc, lecz do ożoga, którym porusza się węgle w ogniskach piekielnych. I kiedy bryka, której wszystkie wstrząsy niedawno odczuwałem na własnych żebrach, zastukała na brukowanym podwórzu zamkowym, wolno przetoczyła się po zwodzonym moście i szybko zamigotała wzdłuż Wischel, ja, pod wpływem swych rozmyślań, spodziewałem się niemal, że tylko patrzeć, a na jakimś zakręcie, jak to się opowiada w ludowych baśniach, bryka przemieni się w łupinkę orzecha, a czwórka tęgich koni — w białe myszy.

Tegoż dnia pod wieczór rozjechała się także reszta gości hrabiego, rycerze i damy, tak że w zamku pozostali tylko jego zwykli mieszkańcy, których zresztą było niemało. Po jednej stronie stało towarzystwo zamkowe: sam hrabia, hrabina Luiza, jej dwie damy, rycerz Robert, seneszał, kapelan i inne podobne persony, po drugiej — liczna czeladź, poczynając od strzelców i łowczych, a kończąc na prostych sługach. Ja oczywiście nadal przebywałem wśród towarzystwa, do czego dawało mi prawo moje wykształcenie, i byłem zapraszany zarówno do wspólnego stołu, jak i na wieczorne rozmowy u



hrabiny, lecz muszę przyznać, że mimo wszystko sytuacja moja w zamku stała się dwuznaczna. Tylko hrabia zawsze traktował mnie po przyjacielsku, niekiedy wdawał się ze mną w spór nasz kapelan, lecz hrabina i rycerz Robert starali się udawać, że nie zwracają na mnie żadnej uwagi. Co do mnie, to z nikim nie szukałem zbliżenia, zachowując na twarzy tę samą maskę surowości, z jaką pojawiłem się w zamku, i nawet przy obiedzie wołałem milczeć, zwłaszcza że hrabia i jego kuzyn lubili sprzeczać się co do zagadnień natury politycznej, mało mi znanych, jak na przykład o chęć i próby Cesarza wznowienia Związku Szwabskiego[212], o sytuację w Wittenberdze, po powrocie tam hercoga Ulryka, o sejm w Wormacji mający się odbyć z powodu oblężenia Münsteru i inne temu podobne sprawy.

Wspominając teraz dni spędzone przeze mnie w zamku, w tej sytuacji na wpół przyjaciela, na wpół sługi, nie dziwią się zbyt, że swego czasu tak mało mi one ciążyły i tłumaczę to tym, że po pół roku męczącego życia z Renatą, po wielkim napięciu mego krótkiego obcowania z Agnieszką, po przeróżnych przygodach w ciągu czterech dni podróży z doktorem Faustem — dusza moja popadła w senne odrętwienie, w jakie popadają na zimę niektóre gąsienice.

Po odjeździe doktora Fausta ulokowano mnie w innej komnacie, także bardzo wygodnej i godziwej, w zachodniej wieży zamkowej, z oknami wychodzącymi na działy wodne Gór Arskich, a ponieważ hrabia zezwolił mi korzystać z ksiąg jego biblioteki, większą część dnia spędzałem w tym odosobnieniu, przy oknie, z książką w ręce, niezwłocznie powracając do rozpoczętej strony, ledwo przypadkowe marzenia w dal pociągnęły moją wyobraźnię. Tak przeczytałem kilka wspaniałych dzieł, dawniej mi nie znanych, przeważnie podróżniczych, w tej liczbie świetną pracę Pietro Martire Anghieriusa[213], który w swych dekadach opisał w sposób żywy i zajmujący odkrycie Nowego Świata, pierwsze podboje w Nowej Hiszpanii i wrażenie, jakie wywołały one na dworze kastylijskim. Mimo jednak sporej ilości wolnego czasu, jakim dysponowałem, prawie wcale nie oddawałem się marzeniom o swej miłości, gdyż bałem się jątrzyć rany serca, które, jak mi się wtedy zdawało, zaczynały się goić, i wołałem zasłaniać się przed wspomnieniami, niczym przed zatrutą strzałą, tarczą, jaką była ucieczka od rozmyślań.

Zajęcia, których się podjąłem, nie okazały się wcale uciążliwe, gdyż hrabia wołał marzyć o swoim traktacie naukowym, niż naprawdę pracować nad jego ułożeniem. Codziennie zapraszał mnie do swego gabinetu i ja po zatemperowaniu nowego pióra rozkładałem arkusz papieru, by pisać pod dyktando, lecz rzadko przychodziło mi wypisać czarno na białym ponad jedną lub dwie linijki, hrabia bowiem albo popadłszy w ferwor zaczynał mi wyjaśniać

dalsze rozdziały swego traktatu, albo po prostu mówił ze mną o sprawach ubocznych, przy czym rozmowy te wcale nie były męczące, a często nawet bardzo dla mnie pouczające. Co się jednak tyczy tej niewielkiej ilości stron, które mimo wszystko zapisałem po wielce obiecującym tytule „Tractatus mathematicus de firmamento septentrionali”, to przemilczę ich treść, ponieważ hrabia w wielu sprawach oddał mi nieocenione usługi i w wielu innych dziedzinach okazał się człowiekiem wykształconym i o bystrym umyśle.

O samym hrabi przyjdzie mi jeszcze mówić szczegółowiej, tu powiem tylko, że lubił się on pysnić swą absolutną niewiarą i często śmiał się z mego przekonania, opartego na doświadczeniu, o realnym charakterze zjawisk magicznych. I tak, w czasie jednej z naszych rozmów, spytał mnie między innymi, co myślę o magicznej próbie zaklania Heleny Greckiej, której to próby obaj byliśmy świadkami. Wyjaśniłem szczerze, że próba ta wydała mi się bardzo niezwykła i że bardzo żałowałem, kiedy rycerz Robert nie pozwolił doprowadzić jej do właściwego końca. Hrabia roześmiał się i powiedział:

— Jesteś bardzo łatwowierny, Ruprechcie! Czyż to trudno było znaleźć współniczkę wśród zamkowych dziewcząt? Za dwa guldeny każda by się zgodziła odegrać rolę królowej Heleny i to do tego tak nieumiejętnie! Ja nawet prawie na pewno wiem, kogo powinniśmy podejrzewać.

Dobrze pamiętając, że nie ma gorszego ślepeca jak ten, kto zamyka oczy, nie próbowałem przemówić hrabiemu do rozsądku i milczałem.

Innym razem hrabia spytał mnie, co myślę o astrologii, i w odpowiedzi zacytowałem powszechnie znane słowa: „Astra non mentiuntur sed astrologi bene mentiuntur de astris”[214]. Jednakże hrabia z oburzeniem zaprotestował:

— Me hercule! Nie spodziewałem się podobnego sądu od wielbiciela Pico delia Mirandoli! Doszukiwać się przepowiedni w układzie planet, to to samo, co wiązać swój los z przemianą lata na jesień, ponieważ tak jedno, jak i drugie podporządkowane jest prawom fizyki.

Tu nie od rzeczy będzie także zauważyć, że choć hrabia mówił o „braterstwie” wszystkich „nowoczesnych ludzi” i uważał siebie za ucznia Poggio Braccioliniego[215] i Eneasza Sylwiusza, jednakże kiedy stałem się od niego w pewnej mierze zależny, uparcie zaczął się do mnie zwracać per „ty”, czemu jednak nie uważałem za potrzebne przypisywać znaczenie.

## II

Takie życie moje w zamku hrabiego von Wellen trwało około pół miesiąca, przy czym pod koniec tego krótkiego okresu czasu zacząłem już bardzo wyraźnie odczuwać uciążliwość swojej sytuacji i niejasne pragnienie odmiany, które zawsze mym życiem kierowało. Zapewne w zgodzie z tymi niejasnymi pragnieniami był także mój los, gdyż nadszedł już czas, by poprowadził mnie do końcowych i strasznych wydarzeń przeżytej przeze mnie historii. Pewnego razu, kiedy z racji pełnionego obowiązku siedziałem przy stole w komnacie hrabiego i wysłuchiwałem jego długiego objaśnienia dotyczącego dystansu sfery gwiazd od słońca, nagle do komnaty wszedł umyślny, którego ze względu na ważność przywiezionego przez niego listu wpuszczono bez anonsowania. Była to wiadomość od Arcybiskupa Trewiru, Johanna, że wyruszył w podróż do klasztoru Świętego Ulfa, gdzie objawiła się nowa herezja, i że najbliższą noc zamierza spędzić w zamku Wellen.

Hrabia przekazując grzeczne słowa odprawił posłańca, lecz kiedy znów zostaliśmy we dwóch, przyszło mi wysłuchać całego potoku skarg i żalów.

— Hei mihi! — mówił hrabia. — Skończyła się moja swoboda, kiedy mogłem do woli cieszyć się służeniem muzom! Ach, czemu nie jestem zwykłym poetą, nie znającym innych obowiązków prócz składania ofiar Apollinowi, lub ubogim uczonym, znającym tylko swe księgi!

Przy tym hrabia obrzucił zjadliwymi oskarżeniami swego suzerena, nie bez drwin porównując go z innym księciem Kościoła, szlachetnym, współcześnie nam żyjącym Arcybiskupem Magdeburga i Moguncji, Albrechtem[216], którego przedstawił niemal jako wzór człowieka. Zwłaszcza trapiło hrabiego, że mając tytuł radcy będzie musiał koniecznie asystować Arcybiskupowi co najmniej kilka dni, w ciągu kilku etapów podróży, i zaraz oznajmił, że będę musiał z nim jechać, za nic bowiem nie chce przerywać swej pracy nad traktatem. Ja, oczywiście, zgodziłem się bardzo chętnie, gdyż bynajmniej nie pociągała mnie myśl pozostania w zamku bez hrabiego — w tym momencie nie podejrzewałem jednak, że będzie to podróż o decydującym znaczeniu i że samo przybycie Arcybiskupa Johanna to tylko ruch na szachownicy dokonany przez Los, który, dla osiągnięcia swych tajemnych celów, także kurfirstem

Imperium igra jak zwykłym pionkiem.

W zamku natychmiast zaczęły się przygotowania do przyjęcia wysokiego gościa i po wszystkich korytarzach i pasażach, niczym mrówki w zaniepokojonym mrowisku, zamiotali się służdy i dziewczki służebne. Ja oczywiście nie brałem udziału w tej krzątaninie i jak zwykle wolałem pozostawać w odosobnieniu, tak że nawet kiedy u schyłku dnia drugi umyślny oznajmił, że kolasa Arcybiskupa już się zbliża, nie uczestniczyłem w jego powitaniu i dlatego nie mogę opisać tego szczegółowo. Co prawda siedząc w swojej komnacie zajmowałem się iście dziecięcą zabawą: z odgłosów niewyraźnie do mnie dobiegających starałem się odgadnąć, co dzieje się na dworze, przy wejściu, w dużej sali, jakie wygłasza się przemowy, czym przyjęcie suzerena różni się od błażeńskiego przyjęcia zgotowanego doktorowi Faustowi — lecz te czcze rojenia nie mogą rościć sobie żadnych pretensji do uwagi łaskawego czytelnika.

W tym stanie beczynności, w jakim się wtedy znajdowałem, nie wychodząc z komnaty spędziłbym być może czas do nocy, gdyby sam hrabia nie przysłał po mnie prosząc na wieczerzę, więc wystroilem się jak mogłem i zszedłem do Sali Trojańskiej. Tym razem przybrana była z prawdziwą wystawnością, albowiem paliła się ogromna ilość świec woskowych i długich pochodni, w głębi zaś sali wzniesione zostało podium dla muzykantów, już z trąbami i piszczałkami w rękach czekających na sygnał. Natychmiast zauważyłem wśród przyjezdnych postać Arcybiskupa, który wydał mi się dość okazały w ciemnofioletowej sutannie ze złotą, obsypaną drogimi kamieniami kłamarą na piersi i w uroczystej infule. Za to ludzie z jego świty, prałaci, kanonicy i inni, wszyscy wywarli na mnie odpychające wrażenie i oglądając te grube brzuchy i tłuste, zarozumiałe twarze mimo woli wspominałem niezapomniane karty" nieśmiertelnej satyry Sebastiana Brandta.[217]

W sumie, myślę, zebrało się w tej sali ponad czterdzieści osób, dla których ugoszczenia już przygotowano trzy osobne stoły, by wszystkich rozmieścić wedle ich praw i godności. Przy głównym stole z Arcybiskupem i jego przybocznymi dworzanami siedzieli hrabia, jego małżonka i rycerz Robert, wszystkim innym dokładnie wskazano ich miejsca, na które każdego natychmiast prowadzili nasi paziowie, ubrani w barwne stroje i według starego obyczaju z serwetką zawieszoną u szyi. Mnie wyznaczono nakrycie przy małym stole na uboczu, przy którym znaleźli się także nasz kapelan, seneszał zamkowy i dziesięciu ludzi ze świty naszego gościa, i byłem bardzo rad, że mogę się wśród nich schować i stać się jakby zupełnie niewidoczny.

Nie wiem, co działo się przy stole Arcybiskupa, albowiem tym razem brak mi było zapału do czynienia obserwacji, jednakże przy naszym wszyscy z

prawdziwą chciwością rzucili się na te potrawy, którymi nasi kucharze starali się popisać, i kiedy obok przesuwały się wszelkie możliwe dania, wśród których oczywiście przeważały ryby: szczupaki, karpie, liny, węgorze, raki, pstrągi, minogi i łososie, kiedy panowie gorliwie rozlewali wszelkiego rodzaju wina reńskie — słyhać było tylko mlaskanie i widać było tylko odstające przy żuciu policzki. Dopiero pod koniec wieczery nawiązała się pewna rozmowa między mną, naszym kapelanem i moim sąsiadem przy stole, niziutkim i grubiutkim dominikaninem, którą z początku wiodłem niedbale, lecz której potem poświęciłem wielkie starania, co być może w następstwie przyniosło mi pewną korzyść.

Dominikanin zaczął od skarg na te krzywdy, jakie w tej epoce cierpi w Niemczech i na całym świecie święty Kościół katolicki, albowiem, wedle jego słów, pod względem srogości prześladowań protestanci upodobnili się do Gotów i Getów w Europie, do Wandali w Afryce, do arian tu i tam, a nawet ich przewyższyli. Potem opowiedział kilka wypadków, jak protestanci łapali wiernych katolików, świeckich i duchownych, zmuszali ich do wyrzeczenia się prawdziwej wiary, tych, którzy trwali w uporze, zabijali mieczem, wieszali nad ogniskiem, rozpinali w kościołach na krucyfikach, topili w rzekach i studniach, poddawali wszelkim torturom, nie do zniesienia i haniebnym, zmuszali na przykład konie, by tym ludziom, żywym, wyjadały wnętrzności, lub kobietom nabijali wstydliwą część ciała prochem i taką minę podpalali. Ojciec Filip, nasz kapelan, słuchając takich opowieści wyraził całe swoje oburzenie. Zdziwiony lubieżnym zachwytem, z jakim nasz rozmówca opowiadał o tych wydarzeniach, choć bynajmniej nie niemożliwych — gdyż przy złupieniu Rzymu sam byłem świadkiem podobnych wypadków — to jednak rzadkich i stanowiących wyjątki, zapytałem, z kim mamy zaszczyt rozmawiać. Wtedy dominikanin z uprzejmym uśmiechem przedstawił się.

— Jestem — powiedział — pokornym sługą ołtarza, bratem Tomaszem, w życiu zaś świeckim zwałem się Piotr Teibener, jestem inkwizytorem Jego Świątobliwości, mającym pełnomocnictwo do wynajdywania i wypleniającego z gubnych błędów heretyków na wszystkich nadreńskich ziemiach: w Badenii, Spirze, Palatynacie, Moguncji, Trewirze i innych.[218]

Przyznaję, że przy słowie „inkwizytor” od głowy po pięty przebiegło mnie coś jakby wyraźne drżenie, zwłaszcza uderzyła mnie zbieżność imienia nowego znajomego z imieniem słynnego Tomasza Torquemady [219], który przed pół wiekiem potwornością swych prześladowań wstrząsnął Kastylią i Aragonią. Wiedziałem, że od czasu bulli papieskiej „Summis desiderantes” [220] inkwizytorzy objeżdżają miasta i miasteczka wyszukując osoby winne utrzymywania kontaktów z Diabłem, że na drzwiach kościołów lub ratuszów

wywieszają obwieszczenia, w których pod grozą ekskomunikacji żądają, by donoszono im o ludziach podejrzanych, chwytają ich, korzystają z prawa poddawania ich torturom i skazują na haniebną śmierć. Bardzo szybko, jak w chwili, kiedy się człowiek dławi, przypominały mi się jedne po drugich i ucałowanie przeze mnie mistrza Leonarda, i zaklęcie demona Anaela, i obcowanie z Agrypą, i niedawna przyjaźń z doktorem Faustem, natychmiast więc postanowiłem być dla mego rozmówcy przy stole biesiadnym uprzedzająco grzecznym i rozbroić go, to jest pozbawić wszelkich wątpliwości co do czystości mej wiary.

Dlatego kiedy się także przedstawiłem, zacząłem z taką pasją lżyć przeklętych luteranów i samego Marcina Lutra, że nasz kapelan, który przedtem słyszał ode mnie rozważania do tych niepodobne, mało nie zaniemówił ze zdumienia, lecz zaraz z całej duszy do mnie się przyłączył. Koniec wieczery minął w ten sposób, że osuszając jedną szklanicę bacharacha po drugiej staraliśmy się prześcignąć nawzajem w niemłosiernym przeklinaniu proroka z Wittenbergi.

Brat inkwizytor pytał gniewnie:

— Cóż z niego za filozof? Nie jest ani skotystą, ani albertystą, ani tomistą, ani ockhamistą[221]. Jak tu nie wspomnieć tego, co przepowiedział Jezus Chrystus: Boć powstaną fałszywi Chrystusy i fałszywi prorocy i będą czynić znamiona i cuda ku zwiedzeniu, by można, i wybranych.

Nasz kapelan potakiwał tej mowie:

— Oczywiście że Diabeł mu pomagał. Nie jest sprawą przypadku, że w katechizmie Lutra imię Chrystusa wspomniane jest tylko sześćdziesiąt trzy razy, a imię Nieczystego — sześćdziesiąt siedem razy.

A ja jeszcze dodałem:

— Rację miał sławny Tomasz Murner[222], kiedy nazwał Marcina Lutra po prostu wielkim głupcem!

Mimo takiej jędromyślności byłem bardzo rad, kiedy doszło do deseru, soku cytrynowego i wisien w cukrze, zaś jego przewiełbność odmówił modlitwę dziękczynną: „Agimus tibi gratias, omnipotens Deus”, tak że można było wreszcie wstać od stołu i zacząć się żegnać. W każdym razie nie popełniłem błędu rzucając pełną garścią ziarno w duszę mego kompana od kielicha, gdyż później z przerażeniem i rozpaczą miałem możność przekonać się o sile tego brata Tomasza, który tuż po zawarciu ze mną znajomości gorliwie ścisnął mi rękę i nawet dopytywał się, czy nie służę aby potajemnie świętej inkwizycji.

Następnego dnia przebudziłem się z radosną myślą, że dziś opuszczę zamek, i mimo woli przyrównywałem siebie do ryby, której nagle ukazało się

wyjście z sieci do rzecznej wody, i rzeczywiście, kiedy wyszedłem na wewnętrzny dziedziniec, zobaczyłem, że wszystkie przygotowania do wyjazdu są już w pełnym toku. Patrząc jak zaprzęgają i siodłają konie, jak nakładają juki na muły, jak w brykach i wozach rozmieszczają toboły, i w ogóle na widok ożywionej krzątanimy ludzi poczułem taką radość, jakiej już dawno nie doznawałem. Zniknęła nawet uparta małowówność, która przez ostatni tydzień trzymała mnie w swoich łapach, z wielką ochotą rozmawiałem z obcymi ludźmi, udzielałem rad i pomagałem w przygotowaniach do drogi. Miałem takie uczucie, jakbym ekwipował jakąś karawanę, z którą wyruszę na poszukiwanie nowego świata i nowego życia.

Przygotowania do podróży trwały co najmniej dwie godziny, gdyż krzątanimy było nie mniej, niż gdyby na wyprawę wyruszała mała armia. Nie licząc tego, że w drogę wyruszał teraz hrabia z kilkoma ludźmi z zamku, z Arcybiskupem jechała niemała świta składająca się z mnichów i prałatów, a także cała jego podróźna kancelaria z kilkoma pisarzami, medykiem i aptekarzem z apteką, cyrulikiem i kilku sług. Prócz tego oddzielne wozy wiozły zapasy wiktuałów, wina, naczynia, pościel, bieliznę, podróźną bibliotekę i jeszcze sporo tobołów nabitych sam nie wiem czym. Myślę, że kiedy Mojżesz wyprowadzał naród żydowski z Egiptu, niewiele większa była ilość rzeczy i zapasów, które wywozili na wieloletnią wędrówkę przez pustynię, niż zabierał ze sobą w drogę Arcybiskup Trewiru, który każdą noc mógł spędzić pod dachem jakiegoś zamku lub klasztoru.

Wreszcie, w południe, nasz seneszał wojskowym rogiem dał sygnał i wszyscy zaczęli w pośpiechu zajmować wyznaczone im miejsca, a w tej liczbie i ja, wierzchem na dobrym koniu danym mi przez hrabiego, ulokowałem się w ariergardzie, gdzie znaleźli się także wszyscy inni ludzie z zamku. Potem na krążanku ukazały się dwie postacie, Arcybiskup i hrabia, którzy z uroczystą powolnością zesłi schodami na dół, gdzie już czekały: na pierwszego — obszerna kolasa, zaprzężona w osiem koni, a na drugiego wspaniałe rumak w bogatym czapraku, z wstęgami i piórami niczym na turniej. Rozległ się drugi sygnał i natychmiast wszystko się ruszyło: konie przebiebrały kopytami, koła zaczęły się obracać, bryki przemieszczać, i kurcząc się, i wyciągając niby wieloczołnowy wąż wszystko to, a także długa kolasa Arcybiskupa, popęzło pociągając mnie ze sobą za bramę zamku. Kiedy przejechaliśmy przez zwodzony most, który wyraźnie ugiął się pod takim ciężarem, rozlaliśmy się szeroką ławą po tej samej drodze, którą dwa tygodnie temu przybyłem do zamku, i podjąłem na nowo przerwana podróż, lecz w warunkach odmienionych jakby przez czarownika Argaila, albowiem zamiast doktora i jego przyjaciela było teraz ze mną całe hałaśliwe i świetne towarzystwo.

Wyjechawszy wreszcie w pole, odczuwałem prawdziwie dziecięcą uciechę: wdychałem łagodne wiosenne powietrze niczym cudowny balsam, lubowałem się wielobarwną zielenią dalekich lasów i łąk, łowiłem na twarz, na szyję, na pierś ciepłe promienie słońca i radowałem się jak zwierzę, które zbudziło się z zimowego snu. Bez bólu w sercu wspominałem w owym czasie także Renatę, u której boku zaledwie osiem miesięcy temu jechałem przez takie same pustynne pola, i Renata wydawała mi się już daleka i zapomniana, i nawet jakoś sam się dziwiłem, przypominając sobie tę otchłań głuchej rozpacz, w którą wpadłem po rozłące z nią, i niedawne jeszcze moje łyż na krążanku zamkowym. Chciało mi się ni to śpiewać, ni to swawolić jak uczniakowi, który wyrwał się za miasto na swobodę, ni to wyzwać kogoś na pojedynek i walczyć uderzając szpadą o szpadę, kiedy od ścierających się kling sypią się nagle niebieskawe iskry.

W tak dziarskim nastroju byłem przez cały dzień i dopiero pod wieczór nastroj ten zastąpiło znużenie, przeważnie z tego powodu, że jechaliśmy nader wolno, z licznymi postojami dla wypoczynku i posiłków. Dopiero o zmierzchu dotarliśmy wreszcie do celu całej podróży — klasztoru Świętego Ulfa, chociaż z zamku Wellen dobry jeździec mógł był dojechać do niego raptem w dwie lub dwie i pół godziny. Kiedy przede mną ukazało się czworokątne ogrodzenie klasztoru, niczym rycerski zamek otoczonego fosą, nie pomyślałem o niczym innym jak tylko o tym, że bliski jest już nocleg i żaden proroczy niepokój nie uprzedził mnie, co mnie za tymi murami czeka. Nieuważnie wysłuchałem objaśnień jednego z mnichów, że klasztor założony został trzy stulecia temu przez świętą Elżbietę[223], rywalizującą ze świętą Klarą, że w jego zakrystii przechowuje się jedyne w swoim rodzaju świętości, jak na przykład kawałek materii, którą przepasane były biodra Zbawiciela na krzyżu, i w żaden sposób nie mogło mi przyjść na myśl, że dusza moja będzie na wieki przykuta do tego klasztoru nie rdzewiejącymi łańcuchami wspomnień.

Ponieważ umyślni i tu uprzedzili o przybliżeniu się Arcybiskupa, to już przed naszym przyjazdem wszystko gotowe było, by goście mogli wygodnie spędzić noc. Sam Arcybiskup i kilku jego zaufanych dworzan przejechało prosto do klasztoru; dla większości osób opróżnione były i uprzątnięte domki pobliskiej wsi Altdorf, a dla hrabiego Adalberta nasi ludzie, niczym w obozie wojskowym, zabrali się zaraz do rozbijania namiotu podróznego. W kilku miejscach zapalono duże beczki smoły, tak że dokoła było dziwnie jasno, a czarne postacie ludzi i koni, poruszające się w tym niespokojnym świetle, wydawały się potwornymi zjawami rodem z piekła, które wybrały się do czarodziejskiej doliny.

Kiedy po spełnieniu różnych poruczeń odszukałem namiot hrabiego, hrabia już tam był i wypoczywał leżąc na niedźwiedziej skórze, którą dla niego



rozesłano. Widząc mnie spytał:

— No i co, Ruprechcie, nie zmęczyła cię ta wyprawa?

Odrzekłem, że jestem na tyle lancknechtem, na ile humanistą, i że gdyby wszystkie wyprawy odbywały się z takimi wygodami jak ta, nie byłoby przyjemniejszego rzemiosła nad wojskowe.

Hrabia polecił, bym zawsze miał w pogotowiu inkaust i pióra, jeśli na podobieństwo Juliusza Cezara przyjdzie mu do głowy dyktować w czasie drogi, lecz zamiast pracy wolał wszcząć rozmowę o okolicznościach naszej podróży i w toku tej rozmowy powiedział mi między innymi:

— Nawiasem mówiąc, Ruprechcie, będzie cię to interesowało, lubisz bowiem wszystko, co tyczy się Diabła i wszelkiej magii. Czy wiesz, jaka herezja objawiła się w tym klasztorze, do którego tak tłumnie przyjechaliśmy? Mnie samemu dopiero co o tym opowiedziano. Sprawa polega na tym, że do klasztoru wstąpiła jakaś nowa siostra, z którą nieodłącznie przebywa ni to anioł, ni to demon. Jedne spośród sióstr wielbią ją jak świętą, inne zaś przeklinają jako opętaną i sojuszniczkę Diabła. Cały klasztor podzielił się na dwa stronnictwa, niczym niebieskich i zielonych w Bizancjum, i w sporze udział bierze cała prowincja, rycerze z pobliskich zamków, chłopci z pobliskich wiosek, księża i mnisi. Ksieni straciła wszelką nadzieję, że upora się z zamętem, i oto teraz Arcybiskup i my mamy rozstrzygnąć, kto tu działa: anioł czy demon? Czy też po prostu powszechna ciemnota.

Dopiero kiedy usłyszałem tę wiadomość, sercem mym wstrząsnęło pierwsze przecucie i podobnie jak gęsty dym spowija przedmioty, duszę mą natychmiast spowił niepokój. Ze słów hrabiego powiało na mnie czymś znajomym i wydało mi się, jakbym już kiedyś słyszał o tej siostrze, z którą nieodstępnie przebywa ni to anioł, ni to demon. Zamierającym głosem spytałem, czy nie wymieniono imienia tej nowej mniszki, z której przybyciem zaczęły się w klasztorze owe cuda.

Hrabia pomyślał chwilę i odpowiedział:

— Przypomniałem sobie: zwie się Maria.

Odpowiedź ta na pozór mnie uspokoiła, ale gdzieś w głębi duszy nadal nurtowała mnie ukryta trwoga. Zасыpiając na rozłożonym płaszczu, nie mogłem odegnać wspomnień o dniu, kiedy w wiejskiej gospodzie zbudził mnie dobiegający z sąsiedniego pokoju błagalny głos kobiety. Argumentami rozumu usiłowałem doprowadzić się do opamiętania i udowodnić samemu sobie, że wokół nikogo nie ma prócz mlichów i żołnierzy, lecz wciąż, nawet kiedy zapadłem w pierwszy sen, wydawało mi się, że zaraz usłyszę zew Renaty. I we śnie obraz jej był znów ze mną, tak żywy i realny, jak nigdy nie sprowadzał go do mnie bóg marzeń sennych.

Przecucia mnie nie zwiodły, gdyż nazajutrz miałem znów ujrzeć tę, którą uważałem już za bezpowrotnie utraconą.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

O tym, jak w klasztorze Świętego Ulfe Arcybiskup przy pomocy egzorcyzmów walczył z demonami

### I

Ranek następnego dnia był jasny, słoneczny, więc wczesnie wyszedłem w pole, siadłem na pagórku opuszczającym się ku małej rzeczce oddzielającej nasz obóz od klasztoru i zacząłem mu się uważnie przyglądać. Był to całkiem zwykły klasztor, jakich wiele dawniej wznoszono nie troszcząc się bynajmniej o urodę budowli, otoczony grubymi murami, zamykający mi w swym kwadracie niewyszukane budynki, w których mieściły się cele, i jedną świątynię o pierwotnie strzelistej architekturze. Choć z mego wzniesienia widziałem i dziedziniec nader czysto utrzymany, i cmentarz z wysypanymi piaskiem ścieżkami wokół mogił, i ganki poszczególnych domów, lecz pora była tak wczesna, że wszystko było opustoszałe i msza poranna jeszcze się nie zaczynała. Siedziałem tak dość długo, niczym szpieg penetrujący drogę do nieprzyjacielskiego miasta, lecz pogrążony w myślach mglistych i nie dających się wyrazić, podobnie jak się to działo z wrażeniami z zapomnianego snu.

Marzenia moje przerwał brat Tomasz, który nadszedł niedosłyszalnie i przywitał mnie jak starego przyjaciela, a ja, choć było mi przykro, że przerwano mi samotność, ucieszyłem się niemal z tego spotkania, pomyślałem bowiem, że od inkwizytora można się dowiedzieć szczegółów o siostrze Marii: duszy mej nie opuszczał bowiem mroczny niepokój. Brat Tomasz jednak, zamiast udzielić odpowiedzi na wszystkie moje pytania, wygłosił długą i obłudną przemowę o zepsuciu tego wieku i zaczął się rozwlekle uzalać, że sami księżęta Kościoła pobbłają protestantom. Zniżając głos, jakby nas ktoś mógł posłyszeć, oznajmił mi także, że Arcybiskup Kolonii, Herman, przyjaźni się z Erazmem i przy tym długo oszczędzał heretyków z Paderborn, i że nawet nasz Arcybiskup Johann, w którego świecie obaj się znajdujemy, nie cofnął się przed zawarciem sojuszu z Filipem Heskim, zażartym luteraninem. Bardzo możliwe, że takie kalumnie obliczone były na to, by z kolei usłyszeć ode mnie donosy na inne

osoby, choćby na naszego hrabiego, byłem jednak bardzo ostrożny w odpowiedziach i wciąż starałem się skierować rozmowę na to wydarzenie, które spowodowało całą naszą podróż.

W końcu brat Tomasz powiedział do mnie:

— Wielu słuwi siostrę Marię jako świętą i zapewnia, że podobnie jak arcyświętobliwy król francuski posiada ona dar uzdrawiania chorych przez samo przyłożenie do nich ręki. Mnie jednakże skromne moje doświadczenie podpowiada, że siostra ta obcuje z Diabłem, który pozyskał jej zaufanie ukazując się jej nocami w postaci inkuba. Grzech taki, niestety, coraz częściej przenika do klasztorów, i nie na darmo w Piśmie powiedziano o grzesznikach: „Chlubisz się Zakonem, a zniesławiasz Boga”[224]. Książę Arcybiskup żywi nadzieję, że siłą modlitwy i egzorcyzmów wypędzi tego ducha, lecz ja mniemam, że ku wielkiemu żalowi trzeba się będzie uciec do przesłuchiwania i tortur, by zdemaskować występłą duszę i znaleźć współuczestników przestępstwa.

Nic więcej nie mogłem od inkwizytora uzyskać, zresztą nasza rozmowa wkrótce się przerwała, w klasztorze rozległ się bowiem dzwon wzywający do świątyni. Z naszego wzgórze widać było, jak siostry wychodziły z drzwi poszczególnych budynków i gęsiego ciągnęły przez dziedziniec do kościoła; daremnie jednak wpatrywałem się w maleńkie figurki, które z powodu dużej odległości i odziane w jednakową szarą odzież klarysek, były wszystkie podobne jedna do drugiej i zdawały się marionetkami z ulicznego teatru. Kiedy paszcza kościelnych drzwi pochłonęła ostatnią z nich i zaczęły nas dobiegać dźwięki organów, pożegnaliśmy się z bratem Tomaszem: on udał się do kościoła, by słuchać mszy, a ja poszedłem szukać hrabiego.

Hrabiego zastałem już całkowicie ubranego i w jak najweselszym nastroju, co postarałem się umiejętnie wykorzystać, by przy jego pomocy przedostać się do klasztoru. Wiedząc, na jaką przynętę najłatwiej go złapać, wspomniałem mu o poglądach na demony słynnego Gemistosa Plethona[225], który wierzył w realność demonów, mniemając, że są to bogowie trzeciego porządku, co uzyskawszy łaskę Zeusa z jej pomocą chronią, pokrzepiają i uszlachetniają ludzi. Wspomniałem także hrabiemu o możliwości, iż niektórzy bogowie starożytności przeżyli stulecia, doczekali naszych czasów i że nie kto inny tylko sam Poggio-Bracciolini opowiada o antycznym bogu Trytonie, wyłowionym na brzegach Dalmacji, gdzie miejscowe praczki zatłukły go na śmierć kijankami. Takimi i podobnymi opiniami postarałem się wzbudzić w hrabi zainteresowanie do wydarzeń w klasztorze, aż wreszcie hrabia, któremu i bez tego wypadało być przy Arcybiskupie, obwieścił mi na w pół żartobliwie:

— No cóż, Ruprechciei Skoro tak cię ciekawią owe anioły i demony, które

wstąpiły w biedne mniszeczki, pójdziemy i zbadamy ten wypadek na miejscu. Zważ tylko, że ani Cycero, ani Horacy nigdy o niczym podobnym nie opowiadają.[226]

Nie zwlekając wyszliśmy z namiotu, zesliśmy do doliny, nad rzeczkę, przeszliśmy ją po dwóch bujających się żerdziach, tańcząc jak kuglarze, i wkrótce byliśmy już u bramy klasztornej, gdzie pilnująca jej mniszka, kiedy zbliżyliśmy się, wstała z szacunkiem i pokłoniła się znamienitemu rycerzowi niemal do ziemi. Hrabia kazał jej, by zaprowadziła nas do ksieni, którą nieco znał, i mniszka poprowadziła nas przez dziedziniec i niewielki ogród do osobno stojącego drewnianego domku, po chwiejnych stopniach schodów na piętro i wśliznąwszy się pierwsza w drzwi, potem je otworzyła i znów kłaniając się zaprosiła, byśmy weszli. Całe to niedługie przejście, droga od namiotu hrabiego do celi ksieni, utrwaliło się czemuś w mej pamięci w jakiś niezwykle sposób, jakby jakiś rytownik wyrzył mi jej obraz, tak że teraz wyraźnie widzę przed sobą wszystkie zawijasy ścieżek, wszystkie widoki zmieniające się przy zakrętach, wszystkie krzewy po bokach.

Cela ksieni była niewielka i cała zastawiona meblami starodawnymi i ciężkimi, z mnóstwem wszędzie przedmiotów kultu, jak statua Marii Panny, krucyfiks, różaniec, i zawieszonych na ścianach rozmaitych świętych obrazków. Kiedy weszliśmy, ksieni, kobieta już w podeszłym wieku, która w zakonie nosiła imię Marta, lecz która pochodziła ze znamienitego i bogatego rodu, siedziała w głębokim fotelu, jakby całkiem wyzbyta sił, przy niej była tylko jedna siostra służebna, jednakże naprzeciw, w charakterze referującego sprawę, stał już brat Tomasz, który zdążył się i tu wkręcić. Hrabia z szacunkiem wymienił swoje nazwisko, przypomniał dawną znajomość, a ksieni mimo podeszłego wieku, posłuszna zapewne regule klasztoru, powitała go bardzo niskim pokłonem.

Wreszcie, po różnych innych uprzejmościach podyktowanych tym, co Włosi nazywają *bel parlare*, zajęliśmy wszyscy swoje miejsca, hrabia usiadł w innym fotelu naprzeciw ksieni, a ja i brat Tomasz stanęliśmy za nim, jakby ludzie z jego świty. Dopiero wtedy, na koniec, poruszony został w rozmowie właściwy temat i hrabia zaczął wypytywać matkę Martę o siostrę Marię.

— Ach, wielmożny hrabio! — odrzekła matka Marta. — W ciągu ostatnich dwóch tygodni przeżyłam to, czego zawdzięczając miłosierdziu Boskiemu w powierzonym mi klasztorze nigdy doświadczyć nie myślałam. Oto już blisko lat piętnaście w miarę słabych sił pasę stado mych owieczek i nasz klasztor był do tej pory ozdobą i dumą kraju, teraz jednak stał się źródłem pokusy i przedmiotem niezgody. Powiem wam, panie, że niektórzy boją się teraz choćby przybliżyć do murów naszego klasztoru, twierdząc, że zamieszkał w nim Diabeł

lub cały legion złych duchów.[227]

Po tych słowach hrabia zaczął grzecznie nalegać, by ksieni opowiedziała nam szczegółowo wszystkie wydarzenia ostatnich czasów, a ona nie od razu i niechętnie przystąpiła wreszcie do szczegółowej opowieści, którą tu przekaże w skrócie, gdyż mowa jej była zbyt rozwlekła i nie we wszystkim interesująca.

Według słów matki Marty przed półtora miesiącem przyszła do niej nieznaną dziewczyna, która przedstawiła się jako Maria i prosiła, by zezwolono jej zostać w klasztorze choćby w charakterze najpośledniejszej służki. Ksieni spodobała się nowo przybyła, jej skromność i rozumna mowa, zrobiło jej się żal bezdomnej tułaczki, która nie miała ze sobą absolutnie żadnych rzeczy, i pozwoliła jej zamieszkać przy klasztorze. Już w pierwszych dniach nowicjuszka Maria wykazała niezwykłą gorliwość w pełnieniu wszystkich służb kościelnych i wielką pilność w modłach, często noc całą, do jutrzni, spędzała kłęcząc przed Krucyfiksem. Równocześnie spostrzeżono wkrótce, że Marii towarzyszyło mnóstwo cudownych zjawisk: to pod jej rękami nie o swoim czasie, zimą, na łądzkach rozwijały się kwiaty; to widziano ją w ciemnościach opromienioną jakimś światłem jakby aureolą; to, kiedy modliła się w kościele, w pobliżu niej rozlegał się delikatny głos, wychodzący z niewidocznych ust, które śpiewały świętą kantyczkę; to na jej dłoniach występowały święte stygmaty, jakby od przygwożdżenia do krzyża. W tym samym czasie objawi się u siostry Marii dar cudotwórstwa i samym tylko dotknięciem rąk zaczęła leczyć wszystkich chorych, których coraz więcej i więcej napływało z okolicznych wiosek. Wtedy ksieni zapytała Marię, jaką siłą czyni te cuda, a ona przyznała, że nieodłącznie towarzyszy jej anioł, który udziela jej wskazówek i poucza uczynków wiary, przy czym wyjaśniała to wszystko tak szczerze, że trudno było wątpić w prawdziwość jej wyznania. Siostry klasztorne, zachwycone jej dziwnymi zdolnościami, połączonymi do tego z największą skromnością i szacunkiem wobec wszystkich, przepełnione były gorącą do niej miłością, cieszyły się, że tak święta dziewczyna wstąpiła do ich związku i oczywiście nie uważały jej już za nowicjuszkę, lecz za równą sobie lub nawet — pierwszą wśród nich.

Wszystko to trwało ponad trzy tygodnie i w tym czasie sława siostry Marii wzrastała się zarówno w okolicy, jak i w samym klasztorze, gdzie miała oddane wielbicielki, na krok jej nie odstępujące, głośno sławiące jej cnoty i niemal oddające jej cześć jak nowej wielebności. Jednakże wśród pozostałych sióstr z wolna znalazły się także nieprzychylnie, które zaczęły wypowiadać wątpliwości, czy to aby naprawdę z natchnienia Boskiego posiadała siostra Maria swój dar uzdrawiania i czy wszystko, co dzieje się w klasztorze, to nie nowe intrygi odwiecznego wroga rodzaju ludzkiego — Diabła? Zwrócono

uwagę, że zjawiska towarzyszące wszędzie siostrze Marii nie zawsze licowały z mocą anielską, niekiedy bowiem w pobliżu niej słychać było jakby uderzenia niewidzialną pięścią w ścianę lub w jej obecności niektóre przedmioty same nagle padały, jakby były rzucone, i temu podobne. Potem niektóre z sióstr blisko z siostrą Marią przestających wyznały spowiednikowi na spowiedzi, że od niedawna zaczęły je dręczyć dziwne pokusy, a mianowicie: w nocy w ich celach zaczęły się im ukazywać postaci przepięknych młodzieńców, jakby jaśniejących aniołów, które namawiały, by oddawały się z nimi miłości cielesnej. Kiedy powiedziano o tym wszystkim siostrze Marii, bardzo się zasmuciła i prosiła, by podwoić modlitwy, zaostriżyć posty i wzmoc gorliwość innych praktyk zakonnych, mówiła także, że tam, gdzie blisko jest świętość, zawsze myszkują duchy przewrotności, usiłujące zniszczyć dobre nasiona.

Jednakże, chociaż siostra Maria i jej zwolenniczki istotnie modliły się bezustannie i poddawały się wszelkiego rodzaju bogobojnym próbom, w klasztorze przejawy złej siły z każdym dniem się wzmagaly. Tajemnicze stukanie w ściany, w podłogę, w sufit, słychać było wszędzie, zarówno w obecności siostry Marii, jak i bez niej; psotne ręce przewracały w nocy meble i nawet święte przedmioty, mieszały zawartość szuflad, czyniły wszelkiego rodzaju nieporządki w pokojach i świątyni; czasami nie wiadomo kto ciskał z zewnątrz do klasztoru ciężkie kamienie, jakby zasypując go kulami armatnimi, co było nad wyraz straszne; w ciemnych przejściach siostry czuły dotknięcie niewidocznych palców lub nagle wpadały w czyjeś nieokreślone i zimne ramiona, co napawało je niewypowiedzianym przerażeniem; potem demony zaczęły ukazywać się w postaci czarnych kotów, które pojawiały się nie wiadomo skąd i pchały się pokornym siostronom pod suknie.

Początkowo ksieni próbowała walczyć z grzechem i diabelskim omamem drogą perswazji i modlitwy; później kapelan klasztoru odmawiał odpowiednie modły i kropił wszystkie pomieszczenia wodą święconą, jeszcze później zaproszono z miasta słynnego zaklinacza, który przez dwie doby czynił egzorcyzmy, zamawiał chleb i wodę, śmieci i kurz, lecz zamęt tylko wciąż wzrastał. Widma zaczęły się pojawiać o wszelkich porach dnia i nocy i we wszystkich kątach: ukazywały się siostronom podczas modlitwy[228], podczas obiadu, kiedy leżały w łóżku, tam, dokąd udawały się za swoją potrzebą, w celach, na dworze, w kościele. Nie wiadomo skąd zaczęły się rozlegać dźwięki harf i siostry nie miały siły, by przewyciężyć pokusę, i zaczynały płaszać i wirować. Wreszcie demony zaczęły wstępować w siostry i odnosić nad nimi zwycięstwo, tak że powaliwszy je na podłogę poddawały je wszelkim spazmom, drgawkom i mękom. Siostra Maria, choć także niewolna od takich napadów, nadal zapewniała, że to tylko natarcie diabelskich hufców, z którymi

trzeba walczyć wszystkimi siłami, wedle wskazówek jej anioła, i były siostry, które nadal jej wierzyły i wielbiły ją. Tym wścieklej przeklinały ją inne, mówiąc, że to ona rzuciła urok na klasztor, i oskarżając ją o pakt z Diabłem, tak że w klasztorze dokonał się wielki rozłam i zrodziła sromotna zgubna waśń. Wtedy to, w takiej ostateczności, zapadło postanowienie, by zwrócić się do księcia Arcybiskupa, któremu w dziedzictwie po świętych Apostołach dane jest na tym świecie rozważać i oduczać nasze grzechy.

Oto co opowiedziała nam matka Marta w toku swej długiej i zagmatwanej mowy, choć prawdopodobnie powtarzała ją nie po raz pierwszy, a kiedy mówiła, rozpoznawałem, i to bez żadnych wątpliwości, rysy z wizerunku Renaty, tak że strach i rozpacz opanowały mą duszę niczym demony i słuchałem opowieści ksieni, jak słucha skazaniec, kiedy mu odczytują wyrok śmierci. Kiedy ksieni skończyła swą opowieść, hrabia, który słuchał z nieoczekiwanym dla mnie zainteresowaniem, zapytał, czy nie można by wezwać tutaj siostry Marii, by zadać jej kilka pytań.

— Kilka dni temu — odpowiedziała ksieni — zabroniłam jej wychodzić z celi, bowiem obecność jej wznieca wzburzenie i w refektarzu, i w czasie mszy świętej. Zaraz jednak po nią posłę i każę ją przyprowadzić.

Matka Marta powiedziała półgłosem kilka słów do siostry służebnej, która pokłoniwszy się wyszła, ja zaś na myśl, że zaraz zobaczę Renatę, ledwo mogłem utrzymać się na nogach i jak człowiek całkiem pijany musiałem oprzeć się o ścianę. W tym czasie, kiedy mniszka poszła po siostrę Marię, ksieni powiedziała do hrabiego co następuje:

— Wielmożny hrabio! Bez względu na wszystko muszę wam, panie, powiedzieć, że ze swej strony nie mogę biednej Marii o nic winić. Nie wiem, czy jest to prawda, że towarzyszy jej anioł Boży, lecz jestem przekonana, że z własnej woli nie zawarła żadnego paktu z demonem. Widzę, że jest bardzo nieszcześliwa, i dziś żal mi jej tak samo jak owego dnia, kiedy uboga i głodna przyszła prosić mnie o przytułek.

Za te szlachetne słowa gotów byłem paść na kolana przed czcigodną kobietą, lecz w tym momencie otworzy się drzwi i za siostrą służebną cichym krokiem, z opuszczonymi oczyma, w sukni mniszki, z nakrytą głową weszła Renata i nisko się pokłoniwszy stanęła przed nami. Nie mogłem jej nie poznać nawet w tak bardzo nie odpowiadającym jej naturze szarym habicie klaryski, nie mogłem nie poznać jej twarzy, którą ukochałem wszystkimi siłami serca, znajomej jak najdroższy w życiu wizerunek, chociaż pobladłej i wymizerowanej na skutek cierpień ostatnich tygodni. Renata była mimo wszystko taka sama, jaką ją znałem — to nieprzytomnie namiętą, to pogrążoną w bezsile rozpacz, to w niepomowanym gniewie, to spokojną i rozsądną wśród ksiąg, to miłą,



dobrą, kłiwą, delikatną, potulną jak dziecko, o dziecinnych oczach i dziecinnych, nieco zbyt pełnych wargach — i w tej chwili, tracąc resztki panowania nad sobą wykrzyknąłem mimo woli, zwracając się do niej:

— Renato!

Wszyscy będący w pokoju mimo woli odwrócili się w moją stronę, gdyż o tej chwili nie wyrzekłem ani słowa, a Renata nie poruszyła się nawet, tylko podniosła na mnie swe jasne oczy, przez mgnienie patrzyła mi prosto w twarz, a potem cicho i wyraźnie powiedziała:

— Odejdź ode mnie, Szatanie!

Hrabia, zdumiony, zapytał mnie:

— Czyżbyś, Ruprechcie, znał tę dziewczynę?

Lecz ja przemogłem już swe wzburzenie i rozumiejąc, że dla mnie cała nadzieja polega na zachowaniu tajemnicy, odrzekłem:

— Nie, miłościwy hrabio, widzę teraz, że się pomyliłem — nie znam jej.

Wtedy hrabia sam zwrócił się z pytaniem do siostry Marii:

— Powiedz mi, moja miła, czy wiesz, o co cię oskarżają?

Renata swym zwykłym bardzo śpiewnym głosem, w którym teraz była jednak niezwykła pokora, odrzekła:

— Panie! Przyszłam tu szukać spokoju, nazbyt się bowiem utrudziłam, i do nikogo nie zwracałam się z modłami prócz do Najwyższego Boga. Jeśli wrogi moje pragną mnie zgubić, być może nie starczy mi sił, by z nimi walczyć.

Hrabia chwilę pomyślał i spytał jeszcze:

— Czy widziałaś kiedykolwiek demony? Renata odparła z dumą:

— Zawsze się od nich odwracałam! Wtedy hrabia zadał swe trzecie pytanie:

— A czy wierzysz w istnienie złych duchów? Renata odrzekła:

— Wierzę nie w złe duchy, lecz w słowo Boże, które o nich zaświadcza.

Hrabia uśmiechnął się i powiedział, że na razie nie ma już o co więcej pytać, a Renata znów nisko się pokłoniła i opuściła celę, nie spojrzawszy na mnie po raz drugi, ja zaś pozostałem bardziej wstrząśnięty tym spotkaniem, niż gdybym ujrzał najstraszniejsze widmo. Nie pamiętam, o czym potem rozmawiali ze sobą hrabia i matka Marta, zresztą ich rozmowa została wkrótce przerwana, przybiegła bowiem siostra klucznica mówiąc, że Jego Przewiełbność rozkazuje, by wszystkie siostry i wszyscy, którzy z nimi przyjechali, natychmiast zebrałi się w kościele. Ksieni oczywiście spiesźnie wstała wydając rozkazy, a hrabia zwrócił się do mnie i powiedział:

— Pójdźmy także i my, Ruprechcie. Ale czemu jesteś taki błądy?

Ta ostatnia uwaga dowiodła mi, że nie potrafiłem ukryć przed innymi swego niepokoju, i dlatego czyniłem wszelkie wysiłki, by zachować zwykły

wygląd, aż do bólu zaciskając zęby i wyężając całą wolę.

Kiedy wychodziliśmy z domku, gdzie mieszkała ksiени, brat inkwizytor idący za hrabią spytał mnie, prawdopodobnie nie bez perfidii:

— No i co myślicie, panie, teraz o siostrze Marii, czy to, co powiedziałem wam rano, nie było prawdą?

— Myślę, że potrzebne tu jest jeszcze szczegółowe badanie — zaproponowałem — ponieważ wiele stron tej sprawy pozostaje dla mnie niejasnych.

Brat inkwizytor z radością podjął moją myśl i tak zaczął ją rozwijać:

— Macie, panie, oczywiście rację, obaj widzimy, że prawdziwe badanie nie zostało jeszcze przeprowadzone. Przede wszystkim trzeba ustalić, co się tu dzieje (wpływ Diabła bowiem nie ulega już wątpliwości), czy to opętanie, czy opanowanie[229], *possessio sive obsessio*. W pierwszym wypadku owe obserwantki[230], a zwłaszcza ta siostra Maria, zgrzeszyły swym przymierzem z demonami, gdyż dopuściły onych w samo swe ciało; w drugim zawiły jedynie słabością ducha, że zezwoliły rządzić sobą Diabłom z zewnątrz. Istnieje wiele sposobów, by to rozpoznać, jak na przykład: u opętanych nie cieknie krew[231], jeśli pociąć ich ciało nożem, uprzednio ów nóż pobłogosławiwszy; mogą one trzymać w rękach rozżarzony węgiel, nie parząc się, także nie toną w wodzie, jeśli wrzucić je tam związanymi, i temu podobne. Następnie trzeba koniecznie wyjaśnić, czy winne przyczyniały szkodę tylko własnej duszy, czy także swemu otoczeniu; czy rzucając uroki sprowadzały pomór na bydło i ludzi, czyniły kobiety bezpłodnymi[232], przyciągały deszcze i mgły, wywoływały burze, wykopywały trupy niemowląt i temu podobne. Wreszcie, należy dokładnie ustalić, jakie mianowicie demony przejawiały tu swą ohydną działalność, jak się nazywają, jaką postać najbardziej lubią przybierać, i zaklęcia, którym są posłuszne — by w przyszłości łatwiej było opierać się ich zgubnym wpływom.

Brat inkwizytor mówił wiele jeszcze innych rzeczy, lecz starałem się nie słuchać jego dialektyki, gdyż wydawało mi się, że każde jego słowo obryzane jest wstrętną jadowitą śliną. Starając się znaleźć samotność wśród swoich towarzyszy drogi, zacząłem szeptać modlitwę, prócz Najwyższego nie miałem bowiem do kogo się zwrócić, i mówiłem tak: „Boże, jeśli chcesz, bym w Ciebie wierzył, uczyn tak, by dziś wszystko odbyło się pomyślnie.” I naprawdę modlitwa moja płynęła z głębi serca i pragnę przypomnieć słowa Zbawiciela o Ojcu naszym niebieskim: „I któryż z was jest człowiek, którego prosiliby syn jego o chleb, i zali mu da kamień?”

## II

Z wolna posuwając się naprzód, doszliśmy jednak do drzwi świątyni, gdzie tłoczyło się już niemało ludzi, gdyż zebrali się nie tylko ci wszyscy, którzy przyjechali z Arcybiskupem, lecz i wielu spośród okolicznych mieszkańców; oczywiście ciekawych, którzy pragnęliby zobaczyć swego księcia i jego walkę z demonami, byłoby znacznie więcej, lecz zgodnie z rozkazami Arcybiskupa prostych chłopów do klasztoru nie wpuszczano i tłoczyli się oni za bramą. Dla nas, którzy szliśmy z hrabią, przejście do kościoła było, rozumie się, wolne, i zaraz znaleźliśmy się pod krzyżowym sklepieniem starego kościoła, ciemnego, ponurego, w którym toczyło się echo, lecz nie pozbawionego swoistej wspaniałości, i zacząłem się wpatrywać w szeregi szarych mniszek, cisnących się wszystkie po jednej stronie, niczym przestraszone stado gołębi, seu tempestate columbae[233], jak mówi Wergiliusz Maro. Renaty jednak wśród nich nie było. Hrabia, a koło niego ja i brat Tomasz, zajęliśmy miejsca na pierwszej ławie, i na kilka minut, póki trwało ogólne oczekiwanie — w pełnym napięciu milczeniu — zagłębiłem się w bolesne wspomnienia o tych dniach, kiedy w innych kościołach, kryjąc się za kolumnami, tak samo wzrokiem szukałem Renaty. Wiedziałem, że zaraz tu wejdzie, że znów ją ujrzę, i pod wpływem tej świadomości serce łomotało mi w piersi jak serce bojaźliwej jaszczurki, którą pojmała prostacka ręka człowieka.

Skrzypnięcie drzwi zmusiło mnie do podniesienia oczu i zobaczyłem, jak z zakrystii z dwoma zakonnicami służebnymi najpierw wyszła matka Marta, a za nią, ze spuszczonej oczyma, lecz krokiem pewnym — Renata, i zaraz po nich, ledwo przeszły do innych siostr — księżę Arcybiskup, któremu towarzyszyło dwóch prałatów i kapelan klasztoru. Arcybiskup był w uroczystej szacie, haftowanej złotem, z paliuszem na ramionach, z bogatym biskupim pastorałem w ręce, w infule jeszcze wspanialszej niż na wieczorze w zamku, o krajach obszytych drogimi kamieniami skrzącymi się w świetle świec woskowych, zapalonych, mimo iż było południe, i przy jego wejściu wszyscy padli na kolana. Arcybiskup z prałatami poszedł prosto do ołtarza, gdzie także ukląkł i odmówił modlitwę „Omnipotens sempiternus Deus”, a gdy skończył, cały kościół jednym głosem odpowiedział: „Amen”, w tej liczbie także Renata, która

kłęczała samotnie przed ławkami, na oczach u wszystkich. Potem Arcybiskup wstał, obrócił się ku nam i głosem donośnym, wyraźnym zawołał „Te invocamus, te adoramus” i tak dalej, a my wszyscy odpowiadaliśmy mu w ten sam sposób. Wreszcie, kiedy pobłogosławił wodę, tą wodą święconą popryskał w cztery strony świata, siadłszy w fotelu arcybiskupim kazał Renacie, by się przybliżyła.

Wzrok mój był tak przykuty do postaci Renaty, że w tej chwili żadna siła nie mogłaby odwrócić mej głowy w inną stronę, i widziałem każde najmniejsze nawet falowanie sukni Renaty, kiedy powoli wstała, zrobiła kilka kroków do przodu i znów, przed samym fotelem Arcybiskupa, uklękła na ziemi. Arcybiskup uczynił znak krzyża na jej czole, położył błogosławiące ręce na jej głowie i odmówił nową modlitwę „Benedicat te omnipotens Deus, Pater et Filius et Spiritus Sanctus”, której Renata wysłuchiwała w cichej pokorze i na którą my wszyscy znów odpowiedziliśmy „Amen”. We mnie, kiedy trwały wszystkie te obrzędy, ponieważ widziałem, że Renata we wszystkim okazała się wierną córą świętego Kościoła i że nie było żadnych śladów obecności nieczystej siły — zbudziła się radosna nadzieja, że wszystko może się odbyć pomyślnie i w ciemnościach mej duszy zabłysła jakby pierwsza smużka jaśniejącej zorzy.

Po drugiej modlitwie Arcybiskup znów wstał i zwrócił się do nas wszystkich z taką mową:

— Ukochani bracia i siostry! Dostatecznie wiadomo, że duch Ciemności często przybiera postać anioła Światła, by tym lepiej kusić i wieść do zguby słabe dusze. Po to jednak dano nam miecz duchowy, byśmy w takim wypadku odrabali mu ohydną gębę, i zrywamy, byście się więcej nie lękali. Ty zaś, miła córko nasza, odpowiedz nam: jaki masz dowód na to, że twoje widzenia pochodzą od Boga, a nie od Diabła?

Teraz znów usłyszałem głos Renaty, cichy, powściągliwy, lecz wyraźny:

— Przewielebny ojcze! Nie wiem, od kogo pochodzą moje widzenia, lecz ten, który mi się ukazuje, mówi mi o Bogu i o Dobru, wzywa mnie do życia w czystości i przeklina moje grzechy — jakże więc mam mu nie wierzyć?

Ledwo jednak Renata skończyła te słowa, kiedy nagle dokoła niej, jakby z dołu, rozległy się szybkie i gwałtowne uderzenia, takie same jak te, o których mówiła, że to stukają „małeńkie”. W tej chwili w kościele wszczęło się wielkie zamieszanie: wśród sióstr rozległy się krzyki, wszyscy się poruszyli i ja sam nie mogłem pokonać przerażenia, które nagle mną wstrząsnęło. Arcybiskup zaś gniewnie i silnie uderzył pastorałem i wykrzyknął: „Czyje to knowania? Odpowiadaj!”

Nie widziałem twarzy Renaty, lecz z drżenia jej głosu rozumiałem, że jest

ogromnie wzburzona, i bardzo cicho odrzekła:

— Ojczy! To moi wrogowie.

Arcybiskup nie tracąc panowania nad sobą rozpoczął zaklinanie, mówiąc z początku naszym językiem:

— Wystąp do przodu, ciemny duchu, jeśli znalazłeś sobie schronienie w tym świętym miejscu! Tyś ojciec kłamstwa, burzyciel prawdy i instygator błędów; dowiedz się więc, jaki wyrok wyda teraz nasza prostota twoim chytrąciom! Czyż ty, duchu potępiony, nie ulegniesz woli naszego Stwórcy? Popadłeś w grzech śmiertelny i strącony zostałeś ze Świętej Góry w mroczne przepaści i otchłanie piekła. Teraz jednak, nikczemny tworze, kimkolwiek jesteś i do jakiej piekielnej hierarchii byś należał, jeśli z racji pobłażliwości Bożej oszukaństwem wtargnąłeś w zaufanie tych bogobojnych niewiast, wzywamy Ojca Wszchemogącego, błagamy Syna Odkupiciela, przywołujemy błogosławionego Ducha Świętego przeciwko tobie! O, prastary wężu! Rzucamy na ciebie anatemę, wypędzamy cię, wyklinamy cię, odrzucamy twoje czyny, to miejsce niechaj ci będzie zakazane, i uciekaj, zawstydzony, poniżony, wygnany, w miejsca obce i bezwodne, na okropne pustynie, ludziom niedostępne, i tam, kryjąc się i gryząc uźdę swej dumy, czekaj na straszny dzień Sądu Ostatecznego! Nie będziesz sobie drwił ze służebnic Jezusa Chrystusa, nie zwiedzisz żadnej z nich, uciekaj w pośpiechu, umykaj prędko, daj im w spokoju wielbić Boga.[234]

Jednakże w czasie, kiedy Arcybiskup wygłaszał te przeklinalnia i zaklinalnia, stukanie[235] nie tylko nie ustało, lecz wciąż się wzmagало i zaczęło dobiegać już nie tylko od strony posadzki, lecz także ławek, murów kościoła, od strony jego wysokiego krzyżowego sklepienia, przy czym siła tego stukania zwiększała się tak że już wydawało się, iż to z całego rozmachu wałą potężnym młotem. Równocześnie wzmagало się także zamieszanie w kościele, ponieważ wielu spośród widzów w strachu szukało wyjścia, a wśród sióstr zapanowała panika: niektóre niczym owce, kiedy pojawi się wilk, z drżeniem cisnęły się jedna do drugiej, inne nie mogąc się powstrzymać obrzucały Renatę przekleństwami i wyrzutami. Sama zaś Renata pozostawała nieruchoma jak statua wyrzeźbiona w drewnie, nie podnosiła się z klęczek, lecz i nie pochylała głowy, jakby wszystko, co działo się wokół, jej nie dotyczyło.

Wreszcie z szeregow sióstr wyrwała się do przodu jedna mniszka, o ile mogłem dostrzec, młoda i ładna, wybiegła na środek kościoła czyniąc jakieś dziwne ruchy i krzycząc coś niezrozumiałego, a potem padła na posadzkę i zaczęła się miotać w takim napadzie opętania, jakie zdarzało mi się obserwować u Renaty. Teraz wszyscy w strachu i zmieszaniu przyzywali się ze swych miejsc, i ja także pośpieszyłem do leżącej dziewczyny i widziałem, jak strasznie

się wyciągała, przy czym brzuch jej wypinał się pod suknią, jakby była brzemienna. Jednakże Arcybiskup władczym głosem przykazał wszystkim nie ruszać się. Potem przybliżywszy się do nieszczęsnej kazał prałatom, żeby ją mocno związali święconymi paluszami, by nie mogła się miotać, i bryznąwszy jej w twarz święconą wodą, głośno spytał zwracając się do niej:

— Czyś ty tu, przeklęty siewco zamętu?

I związana siostra tak odrzekła, przy czym ustami jej przemówił demon, który w nią wszedł:

— „Jam tu!”

Ta odpowiedź bardziej nas poraziła niż wszystko, co było przedtem, a Arcybiskup znów zapytał:

— Zaklinam cię imieniem Boga żywego, odpowiedz: czyś ty złym duchem?

Siostra odrzekła: „Tak!”

Arcybiskup zapytał:

— Czyś to ty, któryś w postaci anioła skusił siostrę Marię?

Siostra odrzekła: „Nie, albowiem jest nas tu wielu”. Arcybiskup zapytał:

— Odpowiedz, w jakim celu wymyśliście owo oszukaństwo i fałszywymi obliczami urzekliście służebnice Boże?

Odpowiedzi nie było i Arcybiskup znów zapytał:

— Czy mieliście sromotny zamiar zaprzepaścić wieczną szczęśliwość owych bogobojnych siostr i cały klasztor ze świętości przemienić w bezecność?

Siostra odrzekła: „Taki!”

Arcybiskup zapytał:

— Odpowiedz: czy mieliście współniczki wśród siostr tego klasztoru?

Siostra odrzekła: „Tak!”

Przy tej odpowiedzi wszystkich tłoczących się dokoła przebiegł dreszcz, a Arcybiskup zapytał:

— Kto był taką współniczką? Czy nie ta, w której ciele znajdujesz się teraz?

Siostra odrzekła: „Nie!”

Arcybiskup zapytał:

W takim razie czy nie siostra, co zwie się Maria?

Siostra odrzekła: „Tak!”

W tej chwili zrozumiałem, że to został wydany wyrok śmierci na Renatę, Arcybiskup zaś najpierw znów wodą święconą pokropił leżącą i związaną siostrę, a potem zaczął zaklinać demona, który ją opętał, by opuścił jej ciało.

— Duchu przewrotny i występny — mówił Arcybiskup — rozkazuję ci, byś opuścił to ciało, które bezprawnie obrałeś sobie na miejsce przebywania, albowiem jest ono świątynią Ducha Świętego. Wyjdź, wężu, rzeczniku

chytrości i buntu! Wyjdz, drapieźny wilku, pełen wszelakiego zła! Wyjdz, koźle, stróżu świń i wszy! Wyjdz, jadowity skorpionie, przekłeta jaszczurko, smoku, rogata gadzino! Przykazuje ci w imieniu Jezusa Chrystusa, znającego wszystkie tajemnice, idź precz!

W czasie tego ostatniego zaklinania siostra zaczęła się miotać ze szczególną siłą i już we własnym imieniu jęczała:

— Idzie! Idzie! Jest w mojej piersi! Jest w mojej ręce! Jest w moich palcach!

W miarę tego, jak mówiła, wzdęcie jej brzucha z początku przeszło na pierś, potem na ramię, potem uniosła związane ręce, wreszcie pozostała nieruchoma, jak chory osłabły wskutek straszliwego ataku choroby. Później brat Tomasz mówił, że on i wraz z nim niektórzy inni widzieli demona ulatującego z palców nieszczęśnicy w postaci małego człowieka, bezkształtnego i wstrętnego, który na dymiącym obłoku przemknął przez drzwi kościoła pozostawiając po sobie smród, lecz ja, chociaż bacznie przyglądałem się wszystkiemu, co się działo, nic takiego nie widziałem i takiego zapachu nie poczułem. Kiedy jednak szalejąca mniszka uspokoiła się i stało się jasne, że demon, który ją opętał, już ją opuścił, Arcybiskup kazał ją wynieść, albowiem iść nie mogła, a sam skierował się znów do Renaty i my wszyscy za nim.

Renata przez cały czas zaklinania szalejącej siostry pozostawała z boku, tak jak i przedtem klęcząc i nie próbując nawet obrócić twarzy w naszą stronę. Kilka razy miałem ochotę podejść do niej i porozmawiać z nią, powstrzymała mnie jednak myśl, że zdradzę przez to swoją z nią zażyłość, kiedy pomóc jej i być może ocalić ją mogłem tylko w tym wypadku, jeśli by uważano mnie za obcego i nawet wrogię. Dlatego pokonując namiętne pragnienie pozostawałem z dala od niej, wraz ze wszystkimi, i zbliżyłem się dopiero wtedy, kiedy Arcybiskup znów do niej podszedł. Tym razem postarałem się tak stanąć, bym mógł widzieć twarz Renaty i by Renata mnie widziała, lecz wyraz jej twarzy, którą tak dobrze znałem, nie wróżył mi nic dobrego, albowiem natychmiast spostrzegłem, że jej potulny wyraz przemienił się w wyraz surowości i uporu — i nowy dręczący strach ścisnął mi serce. Do tego muszę dodać, że tajemnicze stukanie, choć na czas rozmowy Arcybiskupa z demonem nieco przycichło, jednakże nie ustało całkowicie i od czasu do czasu wciąż jeszcze dawało się słyszeć, to w murach, to w posadzce, to pod sklepieniem.

Powróciwszy do ołtarza Arcybiskup na znak smutku rozkazał zgasić woskowe świece, potem odwrócił się do Renaty, surowo uderzył pastorałem w kamienną płytę i zawołał:

— Siostrzo Mario! Jeden z naszych wrogów, którego przy pomocy Pana naszego i danej nam z góry władzy zmusiliśmy do opuszczenia ciała jednej z tych sióstr, oznajmił nam, że zawarłaś grzeszny pakt z diabelskimi siłami.

Przyznaj się do swego odstępstwa.

Renata podniosła głowę i odpowiedziała twardo:

— Niewinnością grzechu, który wymieniliście. Ledwo to powiedziała, kiedy nagle dokoła rozległy się tak ogłuszające uderzenia, jakby mury świątyni pękały i waliły się, lub jakby armaty kulami i maszyny kruszące mury swymi taranami gromiły nas ze wszystkich stron równocześnie. W huku i łomocie uderzeń, szybko następujących po sobie, przez chwilę nic nie można było usłyszeć i wszyscy obecni padli wokół Arcybiskupa, wyciągając do niego ręce, jako do jedynej osoby mogącej ich uratować. Ten nie utracił jednakże siły ducha, niczym magiczną różdżkę wysunął do przodu pastorał i zwracając się już nie do Renaty, lecz do demona, o którym mniemał, że w niej zamieszkał, krzyknął rozkazującym tonem:

— Zły duchu Ciemności! Który przywiedzion przez Kajfasza, arcykapłana judejskiego, zapytywany byłeś i dawałeś odpowiedzi, zaklinam cię, odpowiedz mi, czyś ty przeciwnik Boga i sługa Antychrysta?

Wtedy Renata powstała nagle z klęczek i patrząc prosto na Arcybiskupa odpowiedziała, nie wiem, w którym imieniu:

— Na święte i tajemnicze imię Boga, Adonaj, klnę się i świadczę: jestem służką Najwyższego stojącym u Jego tronu!

I znów odpowiedzi jej towarzyszył straszliwy łomot, lecz w tymże czasie kilka siostr wyrwało się z szeregów, rzuciło się do Renaty, ukląkłszy przypadło do jej nóg i wykrzykiwało ogarnięte obłędem:

— I my! I my! My także świadczymy, że siostra Maria to święta. Ecce ancilla Domini! Ora pro nobis![236]

Arcybiskup w największej wściekłości, czerwony z napięcia, z twarzą, po której sływał pot, wezwał:

— Precz, podstępny duchu! Vade retro! Dzieci, opamiętajcie się!

Lecz dzweczyny nadal wrzeszczały obejmując kolana Renaty, która stała ze spojrzeniem skierowanym ku górze; wokół wciąż trwało straszliwe łomotanie, a ogólne podniecenie osiągnęło stan taki, że nikt już nie mógł nad sobą panować, tylko wszyscy krzyczeli, płakali lub śmiali się jak opętani. Widziałem, że także sam Arcybiskup jest wstrząśnięty, lecz raz jeszcze podniósłszy głos zaczął jeden z najsilniejszych egzorcyzmów w takich wyrazach:

— Per Christum Dominum, per eum, qui venturus est iudicare vivos et mortuos, obtemperare! Spiriti maligni, damnati, interdicti, exterminati, extorsis, jam vobis impero et praecipio, in nomine et virtute Dei Omnipotentis et Iusti! In ictu oculi discedite omnes qui operamini iniquitatem![237]

Był jeszcze jednak daleki od zakończenia, kiedy z początku jedna siostra,



potem druga, ze śmiechem i szlochaniem padły na posadzkę, albowiem owładnięty nimi pilnujące tu duchy, i zaraz wiele innych także nie mogło się oprzeć napaści złych sił na ich ciała. Nieszczęśliwe dziewczyny jedna po drugiej nagle z jękiem upadały, rzucały się na kamiennych płytach posadзки i albo wykrzykiwały bluźnierstwa, nazywając samego Arcybiskupa sługą Diabła, albo nieczyste słowa, darząc siostrę Marię mianem narzeczonej niebiańskiego anioła. Krzyki, jęki, śmiech, bluźnierstwa, skargi, przekleństwa — wszystko to mieszało się z tajemniczym stukaniem niewidocznych rąk i popłochem innych widzów, którzy ogarnięci przerażeniem, chwiejąc się na nogach jak pijani, starali się biec do wyjścia, i nie było w tym tłumie ani jednego człowieka, który zachowałby panowanie nad sobą — tak wielka była moc demonów, które niewątpliwie zapełniły całą świątynię. Także i ja poczułem, że kręci mi się w głowie, że ściska mnie w gardle, że w oczach mi pociemniało, i ja także pragnąłem podbiec do Renaty, ukłęknać przed nią, objąć jej nogi i krzyknąć w twarz Arcybiskupowi, że Renata jest święta, i być może, gdyby taka sytuacja trwała jeszcze chwilę, byłbym to uczynił.[238]

Było dwóch ludzi, którzy w tym przystępie szału zachowali pewien spokój: Arcybiskup, który wciąż jeszcze powtarzał, choć głosem drżącym, słowa egzorcyzmów, już niedosłyszalne w ogólnym hałasie, i Renata; obejmując ramionami swe wiernie zwolenniczki, wśród krzyków i jęków, wśród chwalebnych i złorzeczeń, stała na wprost Arcybiskupa, z oczyma skierowanymi ku górze, a nieruchomość jej twarzy zdawała się twardością granitowej skały wśród rozszalałych fal — lecz w tejże samej chwili, kiedy zapominając o wszystkich swoich rachubach gotów już byłem także rzucić się do niej, nagle w jej oczach dokonana się zdumiewająca przemiana. Zobaczyłem, że twarz jej przebiegł dreszcz, że wargi skrzywiły się z początku ledwo dostrzegalnie, potem skurcz wykrzywił twarz, w spojrzeniu pojawiło się nagle niewypowiedziane przerażenie — i w tej samej chwili zrozumiałem, co się z nią stało, a ona wykrzyknęła zrozpaczonego głosem:

— Boże mój! Boże mój! Czemuś mnie opuścił!

Następnie ona także w napadzie opętania runęła w gromadę tułących się do niej sióstr, które, jakby posłuszne rozkazowi, natychmiast wszystkie zaczęły się także miotać i rzucać, i krzyczeć. Wtedy już ostatecznie uległ zakłóceniu porządek tego zebrania, a dookoła, gdzie by nie spojrzeć, widać było tylko kobiety opętane przez demony, i kobiety te to biegały po kościele, oszalałe, robiąc grymasy, bijąc się w pierś, wymachując rękami, głosząc kazania; to turlały się po ziemi w pojedynkę lub parami, wyginały się w drgawkach, ściskając się wzajemnie w objęciach, całując jedna drugą w przyływie wściekłej namiętności lub kłusząc jak zwierzęta; to siedząc na

jednym miejscu dziko wykrzywiały twarz, wybałuszały oczy i przewracały oczyma, wyciągały języki, śmiały się i nieoczekiwanie milkły, nagle padały na wznak, uderzając czaszką o kamienie; jedne z nich lamentowały, drugie śmiały się, trzecie przeklinały, czwarte bluźniły, piąte śpiewały, jeszcze inne syczały jak żmije lub szczekały jak psy, lub chrząkały jak świnie — było to piekło o wiele straszniejsze od tego, które ukazało się oczom Dantego Alighieri.

Wtedy to ujrzałem między sobą i Arcybiskupem, który stał w odretwieniu, nagle wynurzającą się jakby z podziemi postać dominikanina brata Tomasza, który wykrzyknął głosem ostrym i władczym, u niego niezwykłym:

— Kobiety te winne są największej herezji i jawnie utrzymywanych cielesnych stosunków z Diabłem! W imieniu Jego Świętobliwości oświadczam, że podlegają one sądowi Świętej Inkwizycji.

Słyszałem, jak stuknął o posadzkę pastorał, który wypadł z rąk Arcybiskupa, w chaosie tego, co się działo, bardziej porażonego tymi prostymi słowami niż byłby dźwiękiem trąb niebiańskich, lecz odpowiedzi na słowa brata Tomasza już nie słyszałem. Jak zygzakowata błyskawica przemknęła mi przez głowę myśl, że to ostatnia chwila, by ocalić Renatę, i że być może zdołam ją jeszcze stąd wyrwać, wynieść choćby wbrew jej woli, jak wynosi się obłąkanych z płonącego domu. Nie myśląc o skutkach, o sposobach wydostania się z klasztoru strzeżonego przez strażę, rzuciłem się do Renaty, wstrząsanej drgawkami na posadzce i jeszcze oplecionej rękami swoich przyjaciółek, i już dotknąłem jej tak kochanego, tak mi drogiego ciała, kiedy zobaczyłem, że brat Tomasz ostrożnie mnie odsuwa i że wokół już krząta się kilku strzelców, którzy w kościele obecni nie byli, lecz zostali teraz przyprowadzeni, oczywiście przez inkwizytora, i którzy zachowali cały spokój żołnierzy.

Brat Tomasz powiedział do mnie:

— Ponoś was, bracie Ruprechcie, święta gorliwość! Uspokójcie się, ci ludzie wykonają wszystko jak należy.

Widziałem, jak strzelcy Arcybiskupa beznamiętnie wiązali ręce nieprzytomnej Renaty i jak ją podnosili, by gdzieś ją ponieść. Jeszcze zamroczony, nie słuchając słów inkwizytora, znów rzuciłem się do przodu i gotów byłem nawiązać walkę wręcz z tymi ludźmi, by wydrzeć im drogocenne brzemie. Lecz w tejże chwili poczułem, że ktoś wziął mnie za rękę, i był to hrabia Adalbert, który powiedział:

— Tracisz rozum, Ruprechcie!

Władczo i prawie przemocą poprowadził mnie przez cały kościół do drzwi wyjściowych; bezwolny, byłem mu posłuszny jak dziecko starszemu, i nagle wyszliśmy na świeże powietrze i na światło słoneczne, a za nami słychać było

wrzaski i jęki, i piski, i śmiech nieszczęsnych opętanych przez demony.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### O tym, jak sądził Renatę sąd Świętej Inkwizycji pod przewodnictwem Arcybiskupa

#### I

Hrabia wciąż trzymając mnie za rękę powiódł mnie przez cały dziedziniec klasztorny, wyprowadził za bramę i, kiedy przeszliśmy niewielką łączkę z kilkoma posiwiałymi wierzbami, siedliśmy obok, jakbyśmy się umówili, na zboczu urwiska, nad fosą, którą opasane były mury klasztorne. Tu hrabia powiedział do mnie:

— Ruprechcie! Wzburzenie twoje jest niezwykle. Klnę się na Hyperiona, że jesteś tą sprawą bardziej poruszony niż którykolwiek z nas. Wy tłumacz mi to wszystko jak druhowi.

W tym czasie istotnie na całym świecie nie miałem innego druha, a obawy i nadzieje, kłębiące się w duszy, szukały sobie ujścia jak ptaki zamknięte w ciasnej klatce, tak więc niczym tonący, który chwyta się ostatniej deski ratunku, opowiedziałem hrabiemu wszystko: jak spotkałem Renatę, jak niby mąż i żona przeżyliśmy razem zimę, przy czym tylko dziwaczność jej charakteru przeszkodziła nam w utrwaleniu tego związku przed ołtarzem, jak Renata nagle mnie opuściła i jak rozpoznałem ją teraz w siostrze Marii; przemilczałem tylko prawdziwe przyczyny ucieczki Renaty, tłumacząc je żalem z powodu popełnionych grzechów i pragnieniem pokuty — i zakończyłem swą opowieść prośbą skierowaną do hrabiego, by pomógł mi w mej strasznej sytuacji.

— W ciągu ostatnich tygodni — powiedziałem — jak sami, miłoścywi hrabio, mogliście zauważyć, jakoś pogodziłem się lub raczej przywykłem do myśli, że rozstałem się z Renatą na zawsze. Ledwo jednak znów zobaczyłem jej twarz, niczym Feniks w duszy mej ożyła cała miłość i znów wiem, że ta kobieta jest mi droższa nad własne życie. Tymczasem bezlitosny los, wróciwszy mi Renatę, w te same chwile rzuca ją w ręce Inkwizycji i wszystkie poszlaki tej sprawy mówią mi, że tylko po to w tak cudowny sposób odnalazłem zagubioną, by ostatecznie ją utracić! Cóż mogę przedsięwziąć dla uratowania mej ukochanej

— ja sam przeciw władzy inkwizytora, przeciw woli Arcybiskupa i przeciw sile jego strzelców i straży? Jeśli w was, hrabio, nie znajdę poparcia i obrony, jeśli nie ma w was dla mnie współczucia, nie pozostanie mi nic innego, jak rozbić sobie głowę o mur tego więzienia, w którym zamknięta jest Renata!

Tak mniej więcej powiedziałem hrabiemu, a on słuchał mnie bardzo uważnie i poszczególnymi pytaniami, które zadawał, dowodził, że stara się wniknąć w moją historię. Kiedy wreszcie skończyłem mówić, hrabia powiedział mi:

— Drogi Ruprechcie! Twój los bardzo mnie wzrusza i daję słowo rycerza, że okażę ci wszelką pomoc, jaka tylko będzie w mojej mocy.

Wydarzenia, które nastąpiły, potwierdziły, że hrabia nie żartował mówiąc o swoim honorze rycerza, albowiem usiłując mi pomóc przeciwko inkwizytorowi, odważnie naraził na niebezpieczeństwo swoją wysoką pozycję, jednakże mimo wszystko nie jestem bynajmniej przeświadczony, że czynił tak z sympatii lub współczucia dla mnie. Rozmyślając teraz nad zachowaniem hrabiego mniemam, że broniąc siostry Marii przed fanatyzmem inkwizytora powdował się po pierwsze — chęcią okazania się prawdziwym humanistą[239], albowiem w żaden sposób nie chciał wierzyć w realność opętania; po drugie — zastarzałą niechęcią do Arcybiskupa, który był jego suzerenem i którego zamiary przyjemnie mu było udaremnić; po trzecie wreszcie — młodzieńczym umiłowaniem przygód i wszelkiego rodzaju, swawoli, tym samym, które podpowiedziało mu skomplikowany i bynajmniej nie tani żart z doktorem Faustem. Jednakże jest samo przez się zrozumiałe, że te przypuszczenia nie przeszkadzają mi oddawać obecnie sprawiedliwości udziałowi hrabiego w tej sprawie i jego ustosunkowaniu się do mnie, wspominać go jako człowieka jeśli nawet nie idealnego, to w każdym razie szlachetnego i o wrażliwej duszy.

Od momentu tej rozmowy hrabia wziął na siebie kierowanie moimi postępkami i zaczął się wobec mnie zachowywać jak starszy brat wobec młodszego. Kiedy po naszej rozmowie wracaliśmy do obozu, obmyślałem po drodze dziesiątki planów, jak możemy najszybciej uratować Renatę, przy czym wszystkie te plany sprowadzały się do tego, że musimy siłą wyrwać więźniarkę z lochu. Hrabia rozsądnie tłumaczył mi, że strona przeciwna dysponuje o wiele większymi środkami niż my, że jeśli nawet wszyscy ludzie hrabiego bez słowa sprzeciwu nam się podporządkują, to jednak przeciwko nam okaże się cała siła licznej straży Arcybiskupa, a także jego władza jako księcia, władza i wpływy inkwizytora, i prawdopodobnie cała okoliczna ludność, wrogo odnosząca się do czarownie tak że bardziej pożądanym byłoby dla nas działać podstępem, do szpady zaś uciec się tylko w ostateczności. Ostatek zdrowego rozsądku kazał mi przyznać, że w tym sporze linia obrona przez hrabiego jest słuszna, i nie pozostawało mi nic innego, jak ustąpić wobec jego argumentów, naginając

duszę niczym wół głowę pod jarzmo.

Hrabia powiedział mi do swego namiotu i kazał mi tu na siebie czekać, tak więc pozostałem przez kilka godzin w przymusowej i uciążliwej dla mnie beczynności, rzucony na pastwę drapieżnych myśli i bezlitosnych marzeń. Większą część tego czasu przeleżałem zwrócony twarzą ku ziemi na rozesłanej skórze niedźwiedziej, słuchając bicia własnego serca i nie próbując uporządkować tych obrazów, które jedne po drugich pojawiały się w mej wyobraźni, niczym jeźdźcy na zboczu wzgórza, i znikwały zabłysnąwszy przez chwilę w świetle słońca. To wyobrażałem sobie, jak Renata leży w ciemnicy na brudnej i zimnej podłodze, to jak oprawcy poddają ją torturom i wymyślnym mękom, to jak niosą jej trupa, by zakopać go za płotem cementarnym, to — przeciwnie, jak wyprowadzam ją z więzienia, pędzę z nią na koniu przez pola, płynę z nią za Ocean i zaczynam nowe życie w Nowym Świecie... Niekiedy pod wpływem moich przywidzeń ogamiał mnie taki lęk, że zrywałem się gwałtownie, gotów gdzieś biec, by coś przedsięwziąć, lecz siłą woli i argumentami logiki znów przykuwałem się do swego łoża i zmuszałem się ponownie, jakbym był beczynnym widzem, do przyglądania się scenom rozgrywającym się przede mną na widowni marzeń.

Było już dobrze po południu, kiedy do mnie, już niemal u kresu sił z powodu osamotnienia i braku wiadomości, wszedł wreszcie hrabia, lecz nie chciał odpowiadać na moje gorączkowe pytania, czy nie dowiedział się czegoś nowego o losie siostry Marii, i na wpół żartobliwie, na wpół mentorsko oświadczył, że przedtem musimy zjeść obiad, albowiem od rana nie tknęliśmy jedzenia. Przykry to był posiłek, kiedy Michael, nasz sługa z zamku, podawał nam niewyszukane potrawy, przygotowane na popasie, które mogliśmy zapijać najlepszym czerwonym arbleichertem z piwnic klasztornych, i kiedy hrabia udając, że nie dostrzega mojego przygnębienia, z uporem skłaniał mnie do rozmowy o różnych dawnych i współczesnych pisarzach. Lecz przymuszając myśl, mimo woli plątałem jednak nazwiska autorów i tytuły książek, czym budziłem wesoły śmiech hrabiego, który wtedy wydał mi się jakby bluźnierczy. Kiedy wreszcie obiad nasz dobiegł końca, hrabia myjąc ręce po jedzeniu powiedział do mnie:

— A teraz, Ruprechcie, bierz swój kałamarz i chodźmy do klasztoru: zaraz zacnie się przesłuchanie twojej Renaty.

Wyraźnie poczułem, jak na tę wiadomość pobladły mi policzki i zdołałem tylko powtórzyć ostatnie słowa:

— Przesłuchanie Renaty?

A hrabia, który nagle stał się zupełnie poważny, głosem smutnym i współczującym opowiedział mi, że inkwizytor i Arcybiskup postanowili

niezwłocznie rozpocząć badanie, gdyż sprawa zdaje się ważna i skomplikowana; że hrabia będzie obecny na tym sądzie z racji swego tytułu i że mnie zaproponował jako pisarza, bym zapisywał pytania sędziów i odpowiedzi oskarżonych, albowiem według nowego Cesarskiego Zbioru Praw[240] wszystkie procesy muszą koniecznie być utrwalone na piśmie.

— Jakże to! — wykrzyknąłem po wysłuchaniu tego wyjaśnienia. — Więc Renatę będą sądzić tu, w klasztorze, bez przedstawicieli Cesarza, nie dając jej obrońcy, nie przestrzegając żadnych form prawnych sądownictwa?!

— Zdaje się, że wyobrazasz sobie — odrzekł mi na to hrabia — że żyjesz w szczęśliwych czasach Justyniana Wielkiego, a nie za Johanna von Schwarzenberga[241]! Muszę ci przypomnieć, że według opinii naszych jurystów czamoksięstwo jest zbrodnią zupełnie wyjątkową, *crimen exceptum*[242], co do której prowadząc śledztwo nie trzeba stosować się ściśle i bojaźliwie do litery prawa. In his, mówią oni, *ordo est ordinem non servare*. Tak boją się Diabła, że w walce z nim uważają za słuszne wszelkie bezprawie, i ani ja, ani ty nie możemy kwestionować zwyczaju tak utartego!

Oczywiście natychmiast zrozumiałem bezcelowość sporu prawnego, jednakże myśl, że wezmę udział w sądzie nad Renatą siedząc wśród jej sędziów, z początku wydała mi się potworna i w pierwszej chwili zdecydowanie tego odmówiłem. Z wolna jednak, po części pod wpływem argumentów hrabięgo, po części gdyż sam przemyślałem sytuację, doszedłem do wniosku, iż byłoby nierozważne, gdybym uchylił się od obecności na tym sądzie, albowiem tam w ostateczności mogę mimo wszystko przyjść Renacie z pomocą. I wyrażając swoją zgodę oświadczyłem stanowczo, że gdyby sprawa miała dojść do tortur, nie dopuszczę do takiego sponiewierania drogiego mi ciała, lecz wydobędę szpadę i śmiercią wyzwolę Renatę od cierpień, a drugim ciosem — siebie od kary za taką samowolę. Później dowiedziałem się, że nie powinienem był decyzyj tej wypowiadać na głos, ale w danym momencie hrabia nie zaoponował, tylko powiedział:

— W ostatecznym wypadku postąpisz, jak będziesz uważał za stosowne, chociaż postaramy się nie dopuścić, by sprawa doszła do tortur. Na ogół pamiętaj jednak, że zamyślamy grę niebezpieczną i że niechybnie siebie zgubisz, jeśli cokolwiek zdradzisz swoje uczucie i swoją zażyłość z oskarżoną. Najlepiej nie" ukazuj jej swojej twarzy, a gdyby ona chciała wymienić cię jako swego współnika, zdecydowanie temu zaprzecz. Teraz chodźmy i niechaj pomoże nam Hermes, bóg wszystkich spryciarzy.

Po tej umowie powtórnie udaliśmy się do klasztoru.

Przy bramie z rozkazu Arcybiskupa czekał na nas mnich, który z posępną miną i nieuprzejmie zwrócił nam uwagę, że się spóźniliśmy, po czym

poprowadził nas ku wschodniej ścianie świątyni, gdzie w pobliżu drzwi do zakrystii okazały się inne, niskie drzwi wrosnięte w ziemię i wiodące do podziemi kościoła. W świetle smolistej pochodni, którą miał nasz przewodnik, ciemnym, śliskim korytarzem o zatechłym powietrzu zesłiliśmy na głębokość ponad piętra, potem minęliśmy dwie komnaty o łukowatych sklepieniach i wreszcie przez boczny łuk weszliśmy do podziemnej sali, skąpo oświetlonej, tak że wszystko w niej pogrążone było w półmroku. W tym kącie sali, gdzie do ściany przymocowana była długa pochodnia, stał ciężki dębowy stół, być może rówieśnik tych podziemi, i przy tym stole na ławie siedziało już dwóch ludzi, w których zaraz rozpoznaliśmy Arcybiskupa i inkwizytora, w pewnej zaś odległości od nich widać było ciemne postacie i pobłyskiwała broń straży. Kiedy hrabia w wyszukanych słowach przeprosił, że się spóźnił, i my także zajęliśmy miejsca na zmurszałych ławach, zzartych odwieczną wilgocią, w innym kącie dostrzegłem niewyraźny zarys drąga z poprzeczką i sznurem, i orientując się, że jest to kołowrót, mimo woli pomacałem rękojeść swojej wieiernej szpady. Zauważę jeszcze, że hrabia zasiadł obok innych sędziów, ja zaś wołałem się przy samym końcu stołu, przede wszystkim dlatego, że wymagał tego mój pełen szacunku stosunek do godności Arcybiskupa, a po wtóre dlatego, że światło pochodni ledwo tu sięgało i słusznie mogłem liczyć, iż twarz moja pozostanie w cieniu i Renata jej nie pozna.

Po przyjsciu hrabiego i widząc, że wydstałem swój kałamarz podróżny, wyjąłem pióro i rozłożyłem papier, Arcybiskup zwrócił się do inkwizytora z zaproszeniem:

— Bracie Tomaszu, przystąpcie do swojej sprawy. Tu jednak między Arcybiskupem a inkwizytorem wywiązała się grzeczna sprzeczka co do tego, który z nich ma ten proces prowadzić, albowiem każdy z nich uprzejmie ustępował ów zaszczyt drugiemu. Arcybiskup powoływał się na ścisły sens bulli papieskiej[243], według której namiestnik Piotrowy na mocy swej władzy apostołskiej dawał inkwizytorom przez niego bezpośrednio wyznaczonym prawo sprawowania sądu nad osobami oskarżonymi o uprawianie magii, obcowanie z demonami, loty na sabaty i temu podobne, jak również prawo wtrącania tych osób do więzienia, poddawania torturom i wyznaczania im kar. Jednakże brat Tomasz obłudnie się ponizając przyznawał sobie to prawo, jeśli zostało mu udzielone przez księcia tej prowincji, gdzie wykryto przestępcę, i wskazywał przy tym, że czarnoksięstwo jest zbrodnią mieszaną, *crimen fori mixtum*[244], podlegającą podobnie jak herezja sądowi duchownemu, a także sądowi świeckiemu, albowiem przynosi ona szkodę i uszczerbek ludziom, tak więc najstosowniej będzie, by sprawował ów sąd Arcybiskup jako łączący w swej osobie obie władze. Hrabia wtrąciwszy się w tę bezowocną dysputę



rozstrzygnął ją proponując Arcybiskupowi, jako seniorowi lektoratu trewirskiego, przewodniczenie w toku mającego się odbyć śledztwa, inkwizytorowi zaś, jako osobie mającej do tego bezpośrednio pełnomocnictwo Jego Świątobliwości, prowadzenie samego przesłuchania, i to postanowienie zapisałem na czele swego smutnego protokołu.

Na tym jednak rozważania przygotowawcze się nie zakończyły, gdyż brat Tomasz wyciągnął ze swoich przepastnych kieszeni jakiś papier i przybliżywszy go do samego nosa, ponieważ nie było dość jasno dla lektury, oznajmił nam, co następuje:[245]

— Ukochani bracia! Posłuszny wskazaniom znamienitych i uczonych mężów, oto jakie wezwanie do braci onego klasztoru będzie dzisiaj przeze mnie przybite, jeśli je zaaprobujecie: „My, mający na to zezwolenie i polecenie Jego Świątobliwości, namiestnika, Chrystusowego Pawła III[246], i z pozwolenstwem Jego Przewielebności Arcybiskupa Trewiru Johanna, pokorny brat zakonu dominikanów inkwizytor Tomasz — natchnieni gorącą miłością do ludu chrześcijańskiego i pobudzeni pragnieniem utrzymania go w jedności i czystości wiary katolickiej, a także uchronienia go od wszelkiej zarazy błędu heretyckiego, na mocy władzy, jakiej nam udzielono, przekonujemy i rozkazujemy, w imię świętego posłuszeństwa Kościołowi, pod groźbą zgubnej od Niego ekskomuniki, by w ciągu dwunastu dni, jeśli ktoś wie lub słyszał o kimś, kto jest heretykiem lub uprawia czarnoksięstwo, takim cieszy się rozgłosem lub jest o to podejrzany, a zwłaszcza, jeśli onże posługuje się rozlicznymi tajemnymi sposobami, by szkodzić ludziom, zwierzętom, ziemiopłodowi i całej okolicy — by nam o takowym doniósł, a jeśli ów w ciągu dni dwunastu nie usłucha naszych przekonywań i rozkazów, niechaj wie, że sam jako heretyk i grzesznik podlega ekskomunice.”

W tym miejscu swej przemowy brat Tomasz uczynił<sup>1</sup> przerwę, obwiał tryumfującym spojrzeniem swoich współtowarzyszy i nie słysząc sprzeciwów ciągnął dalej:

W danym przypadku nie potrzebujemy jednak, jak mniemam, ani donosów, ani jakiegokolwiek inscriptio[247], albowiem sami byliśmy świadkami strasznego grzechu, w jaki popadła nieszczęsna siostra Maria, która uległa pokusom Wroga, dlatego też możemy poprowadzić sprawę w trybie inkwizycji. Jeśli w czasie badania ujawnią się poszlaki winy innych siostr tego świętego klasztoru, będziemy już mieli świadka przeciwko nim, bowiem w tak strasnej sprawie jak czarnoksięstwo nie należy lekceważyć żadnego zeznania. I pamiętać będziemy słowa nauki danej nam przez Samego Zbawiciela: „Jeżeli cię tedy oko twoje prawe gorszy, wylup je”.

Teraz mniemam, że człowiek wpływy i doświadczony mógł być obalić racje dominikanina i choćby czasowo wydrzeć mu z paszczy zdobycz, podobnie — według tego, co opowiadają — jak w Metz przed piętnastu laty Agrypa z Nettesheimu[248] rozumnymi argumentami wydarł z rąk innego inkwizytora i ocalił pewną kobietę, oskarżoną o czary. Któż jednak z nas trzech mógł podjąć się roli wielkiego uczonego: Arcybiskup, nie mniej niż brat Tomasz przepełniony gorliwością, by przewyciężyć knowania Diabła, i widocznie wstrząśnięty tym, co miał sposobność widzieć w klasztorze, cieszył się, że ktoś inny ujął w ręce kierowanie tą sprawą; gdyby zaczął mówić hrabia, wątpliwe, czy inni sędziowie chcieliby go słuchać, gdyż na nim samym ciążyło podejrzenie, że jest heretykiem i przyjacielem humanistów; a czyż mogłem podnieść tu głos ja, nędzny pisarz zamkowy, tylko przypadkiem występujący w roli referenta sądowego? I dlatego nikt nie oponował inkwizytorowi, który w tej sprawie sądu nad czarownicą czuł się jak szczupak w stawie pełnym ryb, i który zakończywszy swe wyjaśnienie wydał rozkaz jak dowódca żołnierzom:

— Wprowadźcie podsądną!

Serce moje znów opadło, niczym postrzelona wiewiórka z wysokiej sosny, i dwóch strażników oddaliło się śpiesznie w głąb podziemia, zupełnie jakby zanurzając się w jego wilgotną ciemność, a potem, po jakimś czasie, znów się ukazało nie tyle prowadząc, ile wlokąc za sobą kobietę: była to Renata, ze zmierzwionymi włosami, w rozdartej sukni mniszki, z rękami skrepowanymi sznurem za plecami. Kiedy przyprowadzili Renatę bliżej stołu, w niewyraźnym świetle pochodni mogłem dojrzeć jej zupełnie bladą twarz — a ponieważ dobrze znałem każdy jej wyraz, natychmiast zrozumiałem, że znajduje się ona w tym stanie ostatecznego wyczerpania i bezsilności, który zawsze następował u niej po napadzie opętania i przy którym zawsze drażyły jej duszę — świadomość, że jest grzesznicą, i niepowstrzymane pragnienie śmierci. Kiedy strażnicy ją puścili,omal nie padła na posadzkę, lecz potem opanowała się i stała przed sądem, uginając się jak łodyżka na wietrze, prawie nie podnosząc oczu i tylko z rzadka obwodząc wszystkich obecnych mętnym spojrzeniem, jakby nie rozumiejąc tego, co widzi, i myślę, że nawet nie zauważyła mojego udziału w kolegium sędziów.

Brat Tomasz kilka chwil w milczeniu przyglądał się Renacie, niczym kot wpatrujący się w schwytaną mysz, potem zadał swoje pierwsze pytanie, które zabrzmiało surowo i jakby ostrzem przecięło nasze milczenie.

— Jak się zwiesz?

Renata ledwo-ledwo uniosła głowę, lecz nie spojrzała na prowadzącego przesłuchanie i cichutko, niemal szeptem, odrzekła:

— Zabrano mi imię. Ja nie mam imienia.

Brat Tomasz odwrócił się do mnie i powiedział:

— Zapiszcie, panie: odmówiła podania imienia danego jej na chrzcie świętym.

Potem brat Tomasz znów zwrócił się do Renaty z takim pouczeniem:

— Miła moja! Wiesz, że wszyscy byliśmy świadkami tego, że utrzymujesz stosunki z Diabłem. Prócz tego świątobliwa ksieni tego klasztoru wyjaśniła nam, jakie w nim zapanowało bezceństwo od dnia, w którym tu zamieszkałaś, oczywiście kierowana zbrodniczą myślą sprowadzenia na manowce i zaprzepaszczenia pobożnych dusz sióstr tego klasztoru. Wszystkie twe współniczki już się przed nami pokajały i ujawniły twe haniebne intrygi, tak że wypieranie się nic ci nie pomoże. Przyznaj się lepiej szczerze do wszystkich twych grzechów i zamysłów, a wtedy ja, obdarzony władzą przez samego Ojca Świętego, obiecuję ci miłość.

Popatrzyłem ukosem na mnicha i wydało mi się, że się uśmiechnął, albowiem, jak wiedziałem, słowo „miłość” przy takich obietnicach zawsze znaczyło „miłość do sędziów” lub „miłość do kraju”, podobnie jak słowo „życie” w obietnicach inkwizytorów znaczyło zazwyczaj „życie wiekuiste”. Renata nie zauważyła jednak przewrotności w słowach prowadzącego przesłuchanie lub być może było jej wszystko jedno, przed kim się pokaja, gdyż z całą szczerością, z jaką niegdyś w szczęśliwych godzinach naszej zażyłości czyniła swoje wyznania mnie, odpowiedziała:

— Nie szukam żadnej miłości. Chcę i szukam śmierci. Wierzę w miłosierdzie Bóże na Sądzie Ostatecznym, jeśli tu grzechy swe odkupię.

Brat Tomasz popatrzył na mnie i spytał: „Zapisane?” I znów zwrócił się do Renaty:

— A więc przyznajesz się, że zawarłaś pakt z Diabłem?

Renata odrzekła:

— Straszne są moje zbrodnie i choćbym mówiła od rana do wieczora, nie mogłabym ich wszystkich wyczytać. Wyrzekłam się jednak złego i myślałam, że Pan przyjął moją skruczę. Nie szukam usprawiedliwienia dla moich grzechów i przysięgam wam na Boga Żywego, że do tego klasztoru przyszłam szukać spokoju i pocieszenia, a nie siac niezgodę! Lecz Pan dopuścił, żebym i tu nie mogła ukryć się przed wrogiem moim, któremu sama dałam nad sobą władzę. Spalcie mnie, panowie sędziowie, pragnę ognia jak zbawienia, widzę bowiem, że nie ma dla mnie miejsca na ziemi, gdzie bym mogła żyć spokojnie!

Przemagając swą słabość Renata słowa te wyrzekła z żarem i dobrze było, że siedziałem na uboczu od innych sędziów, albowiem oczy napełniły mi się łzami, kiedy usłyszałem tak straszne wyznanie, lecz nie miało ono żadnego wpływu na dominikanina, który przerwał Renacie mówiąc:

— Poczekaj, miła moja. My będziemy ciebie pytać, a ty odpowiadaj.

Potem brat Tomasz wyjął z kieszeni książeczkę, w której po różnych oznakach poznałem „Malleus maleficarum in tres partes divisus” Sprengera i Institorisa i posługując się tym podręcznikiem zaczął zadawać Renacie szczegółowe pytania, które, podobnie jak następujące po nich odpowiedzi, musiałem zapisywać, chociaż niekiedy zaciskałem zęby z rozpaczy. Całe to przesłuchanie przekażę tu właśnie tak, jak je zapisałem, albowiem każde zgubne pytanie przysysało się do mojej duszy jak macki morskiej ośmiornicy, a każde bolesne wyznanie Renaty pozostawało w mej świadomości jak słowa modlitwy wykutej na pamięć w dzieciństwie. Myślę, że nie zmienię ani słowa z mego zapisu, odtwarzając go na kartach tej prawdziwej opowieści.

Równocześnie zauważę, że na pierwsze pytania Renata odpowiadała zwlekając nieco, krótko i zwięźle, głosem bezsilnym, jakby jej było nadto ciężko wymawiać słowa, lecz stopniowo jakoś się ożywiła, nawet pewniej stała na nogach, a głos jej okrzepł i odzyskał swą zwykłą dźwięczność. Na ostatnie pytania odpowiadała z jakąś pasją, pokornie wyjaśniała wszystko, o co ją tylko zapytano, chętnie i obszernie mówiąc nawet o wielu sprawach ubocznych, wdawała się w niepotrzebne szczegóły, swoim zwyczajem nie wstydząc się poruszać spraw sromotnych i jakby umyślnie wyszukując coraz to straszniejsze zarzuty przeciwko sobie. Wspominając przykłady z naszego wspólnego życia z Renatą skłonny jestem mniemać, że w jej spowiedzi bynajmniej nie wszystko było prawdą, lecz że wiele zmyślała na poczekaniu, bezlitośnie siebie szkalując w niezrozumiałym dla mnie celu, o ile to jakiś wrogi demon nie władał w tym czasie jej duszą i nie przemawiał jej ustami, by tym pewniej ją zgubić.

Zauważę także, że w miarę tego, jak postępowało przesłuchanie, brat Tomasz stawał się w sposób oczywisty coraz bardziej zadowolony, i widziałem, jak napinały się żyły rąk, na których się opierał, kiedy się nieco unosił z miejsca, jak cały się kołysał z nadmiaru radości, że jego przypuszczenia i nadzieje znajdują potwierdzenie. Arcybiskup, przeciwnie, bardzo prędko po rozpoczęciu przesłuchania już zdawał się zmęczony i już nie wykazywał niezłomności, którą zadziwił mnie rano — najprawdopodobniej cierpiał z powodu smrodliwego powietrza w podziemiu, źle znosił siedzenie na drewnianej ławie i zapewne nie znajdował nieciekawego w wyznaniach siostry Marii. Wreszcie hrabia zdołał cały czas pozostać surowym i statecznym, przy czym twarz jego nie zdradzała żadnych przeżyć duchowych — i tylko od czasu do czasu powstrzymywał mnie wymownym spojrzeniem, kiedy przy tym okropnym widowisku tracąc panowanie nad sobą, gotów byłem wykrzyknąć nagle jakieś niebaczne słowa lub nawet dopuścić się jakiegoś szaleńczego

postępu, który oczywiście nie doprowadziłby do niczego innego, jak tylko do natychmiastowego zatrzymania także mnie, jako współnika przestępstwa.

Tak więc przejdę teraz do dokładnego odtworzenia całego przesłuchania.

## II

Oto co zapisane zostało własną moją ręką w protokole sądu inkwizycyjnego i co prawdopodobnie długo jeszcze będzie przechowywane w zbiorze jakichś akt.[249]

Pytanie: Kto nauczył cię czarnoksięstwa, sam Diabeł, czy któryś z jego uczniów?

Odpowiedź: Diabeł.

Pytanie: Kogoś ty sama tego nauczyła?

Odpowiedź: Nikogo.

Pytanie: Kiedy i w jakim czasie Diabeł wziął z tobą ślub?

Odpowiedź: Trzy lata temu, w noc przed świętem Bożego Ciała.

Pytanie: Czy zmusił cię, kiedy zawarł z tobą pakt, byś się wyrzekła Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego, Niepokalanej Panienki, wszystkich świętych i całej wiary chrześcijańskiej?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Czyś otrzymała drugi chrzest od Diabła?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Czyś była obecna na tańcach sabatowych trzy razy w ciągu roku, czy częściej?

Odpowiedź: O wiele częściej, wiele razy.

Pytanie: Jak się tam dostawałaś?

Odpowiedź: Wieczorem, przed ową nocą, kiedy zbierał się sabat, nacierałam ciało specjalnym mazidłem i wtedy pojawiał się u mnie albo czarny kozioł, który przenosił mnie w powietrzu na swoim grzbiecie, albo sam demon, w postaci jegomościa odzianego w zielony kaftan i żółtą kamizelkę, i póki leciał nad polami, trzymałam się rękami jego szyi. Jeśli jednak nie było ani kozła, ani demona, można było sięść na jakikolwiek przedmiot i ten pędził jak najbardziej rączy koń.

Pytanie: Z czego robiłaś mazidło, którym w takich okazjach się nacierałaś?

Odpowiedź: Brałam różne zioła: brodziec, pietruszkę, tatarak, ziarnopłon, psiankę, blekot, kładłam w wyciąg z tojadu, dodawałam oleju z roślin i krwi nietoperza i wszystko to gotowałam wymawiając specjalne wyrazy, różne dla

różnych miesięcy.

Pytanie: Czy dodawałaś do tej miszkulacji tłuszcz uśmierconych przez ciebie niemowląt, topiony albo przysmażany?

Odpowiedź: Nie, nie było potrzeby.

Pytanie: Czyś widziała na sabacie złego Ducha, w postaci koźła zasiadającego na tronie, czyś musiała oddawać mu cześć i całować jego nieczysty zad?

Odpowiedź: Jest to mój grzech. Nosiliśmy mu także nasze dary: pieniądze, jajka, pierogi, a niektóre nosiły również skradzione dzieci. Karmiłyśmy także pierśią małe demony, mające wygląd żab, lub na rozkaz Mistrza, biłyśmy je różgami. Potem płaszałyśmy przy dźwiękach bębna i fletu.

Pytanie: Czyś uczestniczyła także w odprawianiu wrogiej Bogu czarnej mszy?

Odpowiedź: Tak, i Diabeł podobnie jak sam przystępował do komunii, tak i nam jej udzielał mówiąc: „To jest ciało moje”.

Pytanie: Czy była to komunია pod jedną postacią, czy pod dwiema?

Odpowiedź: Pod dwiema, lecz miast hostii było coś twardego, co trudno było przełknąć, a miast wina — łyk płynu okropnie gorzkiego, od czego zimno robiło się w sercu.

Pytanie: Czy na sabacie miałaś stosunek cielesny z Diabełem?

Odpowiedź: Diabeł na każdą noc wybierał sobie spośród kobiet tę, którą nazywałyśmy królową sabatu, i ona spędzała z nim czas. Wszystkie inne pod koniec uczyły łączyły się, jak popadło, kto się do kogo zbliżył, kobiety, mężczyźni, demony, i tylko czasami Diabeł wtrącał się i sam dobierał pary mówiąc: „Oto, kogo ci trzeba” lub „Ta ci się nada”.

Pytanie: Czy zdarzało ci się być taką królową sabatu?

Odpowiedź: Tak, i to nieraz, z czego bywałam nawet bardzo dumna — Boże zmiłuj się nad moją duszą!

Pytanie: Powieź nam, czy zejście się z Diabełem dawało ci większą rozkosz niż z mężczyzną?

Odpowiedź: O wiele większą, nie ma nawet żadnego porównania.

Pytanie: Czy w trakcie tego następował u niego wytrysk nasienia?

Odpowiedź: Tak, ale nasienie to było zimne.

Pytanie: Czy wspólnie z demonami nie miałaś dzieci?

Odpowiedź: Urodziła się mała biała myszka, bardzo ładniutka, ale ją uduśliłam i zakopałam w ogrodzie nad rzeką. Ach, gdybym miała dzieci, nie dopuściłabym się wielu grzechowi.

Pytanie: Czy sprawiało ci na ogół przyjemność bywać na sabatach?

Odpowiedź: Niezmierną, tak że wyruszałam na sabat jak na wesele. W tym

czasie Diabeł z taką siłą przykuł moje serce, że nie mogłam odczuwać żadnego innego pragnienia. Wydawało mi się wtedy, że na sabacie za każdym razem widzę setki nowych i cudownych rzeczy, że muzyka na sabacie jest przyjemniejsza od każdej innej i że jest tam jakby raj na ziemi.

Pytanie: Czy uczył cię Diabeł, jak sprowadzać burzę, grad, szczury, myszy, krety, jak przemieniać się w wilka, jak pozbawiać krowy mleka, jak niszczyć urodzaje i jak czynić mężczyzn niezdolnymi do współżycia małżeńskiego?

Odpowiedź: Uczył tego wszystkiego i wielu innych rzeczy, czym, przynaję, zgrzeszyłam wobec Pana Boga i wobec ludzi.

Pytanie: Powiedz, jak potrafisz sprowadzać burzę?

Odpowiedź: W tym celu trzeba na polu, w tym miejscu, gdzie rośnie ziele zwane psianką, wykopać w ziemi dołek, kucnąć nad nim, zmoczyć go i powiedzieć: „W imię Diabła, deszczuj!” i zaraz nadciągnie chmura i będzie deszcz.

Pytanie: A jak pozbawiać mężczyzn siły?

Odpowiedź: Jest na to ponad pięćdziesiąt sposobów, na przykład, wziąć części samca dopiero co zabitego wilka, pójść na próg tego, kogo chce się zepsuć, wymówić jego imię, a kiedy się odezwie, oplatać to, co się trzyma w ręce, białą taśmą — zresztą, nie chcę wam tego opowiadać!

Pytanie: Czy tymi sposobami, a także w postaci wilczycy lub innego odmienia, wyrządzałaś szkodę polom, bydłu i ludziom?

Odpowiedź: Straszłą szkodę, której niepodobna nawet obliczyć, albowiem pożerałyśmy mnóstwo jagniąt, niszczyłyśmy zasiewy i sady owocowe, sprowadzałyśmy na wsie chmury szczurów i wiele kobiet czyniłyśmy niezdolnymi, by mieć potomstwo, i mniemam, że gdybyśmy nie poczuły skruchy, cała ta okolica zginęłaby wskutek nieurodzaju i różnych plag! Po co jednak nadal mnie wypytujecie, jeśli i tak nie zdołam opowiedzieć wam wszystkich moich grzechów! Ach, poprowadźcie mnie szybciej na stos, gdyż wróg mój i tu mnie nie opuszcza — zaraz mnie pochwyć! Zabijcie mnie, prędzej, prędzej!

Wykrzykując te ostatnie słowa Renata zamotała się, gotowa rzucić się na sędziów, lecz dwóch krzepkich strażników znów wzięło ją za ręce i powstrzymało od spełnienia tego zamiaru. Wtedy Arcybiskup, być może zaniepokojony zachowaniem podsądnej lub być może po prostu zmęczony śledztwem, zwrócił się do inkwizytora w te słowa:

— Czy już nam to nie wystarczy, jeśli oskarżona sama przyznała, że jest winna i że zasłużyła na stos?

Brat Tomasz, który rzucał się w to przesłuchanie jak wesoła wydra do wody, sprzeciwił się:



— Mniemam, że należy w pierw dowiedzieć się imion demonów, z którymi ta kobieta miała stosunki, poznać dokładnie warunki paktu, jaki z nimi zawarła, a także wywiedzieć się, kto byli jej współnicy w tych wszystkich wrogich Bogu działaniach. Albowiem mówi Apostoł: z nas wyszli, ex nobis egressi sunt[250]!

Renata posłyszawszy słowa inkwizytora wykrzyknęła zdławionym głosem:

— Nie trzeba mnie więcej pytać! Nic więcej nie powiem! Nie miałam współników! Ci, z którymi spotykałam się na sabacie, są daleko! To było nie tu, tylko w innym kraju! Chryste miłosierny, przyjdź mi z pomocą!

Brat Tomasz odrzekł jej:

— Ech, kochaneczko, wierz mi, znajdziemy sposoby, żeby rozwiązać ci języki.

Po tych słowach zawołał do kogoś w ciemność:

— Hej, mistrzu, pokaż no jej, jakie mamy zabaweczki!

Z głębi podziemia, od strony straszego kołowrotu, wystąpił człowiek barczysty, brodaty, w którym nie sposób było nie poznać kata. Opuścił dłoń na rękojeść szpady, lecz zaraz napotkał uporczywy wzrok hrabiego, który zachowując milczenie przekonywał mnie, bym do kresu możliwości zachował spokój.

Brat Tomasz zwracając się do Renaty mówił dalej:

— Popatrz, miła moja, na nasze zasoby. Lepiej, żebyś dobrowolnie opowiedziała nam wszystko, co wiesz, i wymieniła imiona wszystkich swoich nikczemnych współników i tych wszystkich, których spotykałaś na sabatach. Przecież i tak będziesz musiała mówić, kiedy do rąk i nóg przypasujemy ci takie sztuczki.

Przez ten czas kat bez słowa pokazywał kolejno różne narzędzia tortur[251], dokonując tego obrzędu, który w naszym języku prawniczym nazywa się „straszaniem”, brat Tomasz zaś, delektując się własnymi słowami, objaśniał przeznaczenie pokazywanych przedmiotów mówiąc:

— To, miła moja, kluby; tym ściska się duże palce, i kiedy przykręca się śruby, spod paznokci płynie krew. A to — sznur, kiedy zasznurowujemy ci nim ręce, zaśpiewasz innym głosem, wrzyna się bowiem w mięso nie gorzej niż nóż. A to jeszcze but hiszpański — włożymy twoją nóżkę między dwie piły i będziemy ją ściskać dopóty, dopóki nie rozpiłuje ci kości i szpik nie pocieczy. A tam oto stoi kołowrót, jak cię na nim podciągniemy, twoje ręce wykręcą się ze stawów.[252]

Renata słuchała tych słów z takim wyrazem twarzy, jakby jej one nie tyczyły i jakby nie widziała przed sobą strasznych narzędzi tortur. Moje wzburzenie doszło już do ostateczności i gotów byłem zerwać się i rzucić na

dominikanina, kiedy hrabia, który oczywiście rozumiał, w jakim jestem stanie, uznał za stosowne wtrącić się i tak powiedział:

— Ja także, podobnie jak Jego Przewielebność sądzę, że jak na pierwszy raz dowiedzieliśmy się dosyć. Należy przerwać posiedzenie, gdyż jesteśmy zmęczeni, a mamy jeszcze przesłuchać świadków, matkę Martę i siostry.

Brat Tomasz wysłuchał tej mowy, przy czym wyglądał tak jak drapieżne zwierzę, któremu ktoś próbuje odebrać jego zdobycz, i stanowczo zaproponował:

— Wręcz przeciwnie, panie hrabio! Trzeba się spieszyć z przesłuchaniem, póki ta niewiasta nie zdążyła otrzymać rad od Diabła, i mniemałbym, że należy teraz zaraz przystąpić do przesłuchania z torturami. Z pewnością zapomnieliście, panie hrabio, że zabroniono tylko powtarzać tortury, jeśli nie ma nowych dowodów winy, ale wszystkie autorytety zgodne są co do tego, że można je kontynuować następnego dnia lub jeszcze następnego, i umysły godne szacunku wzywają w takich wypadkach ad continuandum tormenta, non ad iterandum. Tak więc dziś zaczniemy, a jutro będziemy mieli sposobność kontynuować...

Jednakże kiedy Arcybiskup podniesionym głosem oświadczył już stanowczo, że jako przewodniczący trybunału uważa za potrzebne, by przesłuchanie wstrzymać[253], brat Tomasz przerwał nagle swą mowę, tak jak prądka przerywa zasupłaną nić, i powiedział zupełnie innym głosem:

— Ja zresztą zgadzam się całkowicie z Waszą Przewielebnością, dlatego że istotnie w sprawach tak ważnych i trudnych nie należy bynajmniej się spieszyć. Przesłuchanie wstrzymamy, jednakże mniemam, że Wasza Przewielebność zgodzi się, iż nie należy odsyłać tej niewiasty nie sprawdzwszy uprzednio, czy ma na ciele znaki wiedzy.

I brat Tomasz dodał zwracając się do kata:

— Przeszukaj no ją dokładnie.

Po raz drugi chwyciłem za rękojeść szpady i znów uporczywy wzrok hrabiego powstrzymał moją rękę. Więc przemógłszy się patrzyłem, jak spełniało się moje straszne majączenie, jak kat zrywał z Renaty odzież, a ona wcale się nie opierała, i jak w wilgotnej półmgle podziemi prostackimi rękami obmacywał jej ciało, które niegdyś okrywałem nabożnymi pocałunkami. Wreszcie uwagę kata zwróciło małe dziecko znamię na lewym ramieniu, tak dobrze mi znane, i wyjąwszy z kieszeni niewielkie sztyło ostrzem dotknął w tym miejscu ciała Renaty, która nawet nie drgnęła[254]. Wtedy kat krzyknął głosem grubym i ponurym, jakby krzyczał przez rurę:

— Mam! Krew nie idzie!

Dla inkwizytora i dla Arcybiskupa stwierdzenie kata, nawet przez nich nie sprawdzone, stało się ostatnim i decydującym dowodem, gdyż brat Tomasz

natychmiast zawył, jak niegdyś arcykapłan judejski:

— Jakichże jeszcze trzeba nam dowodów! Czyż nie jest jasne jak słońce, że ona jest czarownicą!

Potem dodał:

— Teraz trzeba podpalić ogniem wszystkie włosy na jej ciele, albowiem może w nich ukrywać jakieś czary.[255]

Jednakże hrabia, widząc wyraźnie, że nie zniosę już więcej żadnej zniewagi, stanowczo stanął w obronie Renaty i przypomniał inkwizytorowi, że sam Arcybiskup, który przewodniczy naszemu śledztwu, postanowił przerwać je do następnego ranka, i brat Tomasz zawiercił się jak schwyтана mysz i wydał rozkaz, by Renatę odprowadzić z powrotem do ciemnicy. Myślę, że w tym momencie Renata była nieprzytomna, albowiem strażnicy niezręcznie przyoblekli ją w jej zakonną suknię, wzięli ją jak dziecko na ręce i znów ponieśli w ciemność, kiedy równocześnie ja, nie mogąc za nią podążyć, niemal padałem udręczony swą bezsilnością.

Prawdopodobnie, mimo usilnych starań, nie mogłem ukryć tego współczucia, które budził we mnie los oskarżonej, kiedy bowiem nasza mała gromadka ponownie przeszedłszy podziemne korytarze wyszła na świeże powietrze, którego Renata była pozbawiona, i kiedy Arcybiskup pobłogosławiwszy nas już się oddalił, brat Tomasz zapytał mnie nie bez podejrziwości:

— Wy, panie Ruprechcie, zapewne po raz pierwszy jesteście obecni w czasie badania tych bezecnic — macie tak strapioną minę, jakby wam było żal tej dziewczyny.

Ja, który dopiero co wytrzymałem o wiele cięższą próbę, nie mogłem znieść takich słów i nagle tracąc panowanie nad sobą rzuciłem się na inkwizytora i chwyciwszy go za kołnierza habitu krzyknąłem:

— Ty pierwszy zasługujesz na stos, przekłety patrz!

Takie moje zachowanie mogło być pociągnąć za sobą bardzo niedobre dla mnie konsekwencje, lecz hrabia, który szybko pośpieszył na pomoc mnichowi, wyswobodził go z moich rąk i powiedział do mnie surowo:

— Ciebie także, Ruprechcie, opętał jakiś demon albo straciłeś rozum!

Brat Tomasz, którego twarz wykrzywiła się ze strachu, kiedy się na niego rzuciłem, bardzo szybko odzyskał równowagę i chociaż starał się trzymać w pewnej odległości ode mnie, także zaczął mnie uspokajać:

— Czyżbyście mnie nie poznali, drogi bracie Ruprechcie? To ja, wasz pokorny brat Tomasz. Jak to możliwe, że tak ulegacie władzy Nieczystego? Wróg jest silny, lecz trzeba odgradzać się od niego modlitwą. Walka z Diabłem to sprawa trudna, albowiem myśkuje wokół swoich sędziów i gdzie dostrzeże

nie chronione miejsce, spieszy przez nie przeniknąć: bądź to przez usta lub uszy, lub inny jakiś otwór w ciełe.

Wymamrotałem przez zęby jakieś przeprosiny, a hrabia, by zatrzeć złe wrażenie, wdał się z inkwizytorem w rozmowę o sprawie siostry Marii i zapytał, czy niewątpliwe jest, że zostanie skazana na spalenie na stosie. Brat Tomasz natychmiast się ożywił i skwapliwie zaczął nam tłumaczyć obowiązujące prawo.

— W Kodeksie Karnym — mówił — wydanym przed dwoma laty z woli Najjaśniejszego Pana, Cesarza, dla całego Imperium, i którym to Kodeksem teraz się kierujemy, artykuł 109 głosi: „Item, jeśli kto czarami uczyni drugiemu zło lub sprowadzi nieszczęście, to winien być ukarany śmiercią i karę należy wykonać z pomocą ognia. Jeśli zaś kto uprawia czary i nikomu tym zła nie przyczynił, to winien on być ukaran wedle okoliczności sprawy.” Siostra Maria sama się przyznała, że czyniła szkody i ludziom, i bydłu, i zasiewom, i dlatego podlega śmierci.[256]

Hrabia zapytał jeszcze, czy należy oskarżoną poddawać torturom, jeśli sama już do wszystkiego się przyznała, a brat Tomasz niezwłocznie i na to dał odpowiedź.

— Koniecznie — powiedział — albowiem artykuł 44 tejże Konstytucji Cesarza Karola mówi wprost: „Item, jeśli kto ucieka się do budzących wątpliwości rzeczy, działań i postępów, które kryją w sobie czary, i jeśli osoba ona także o takowe jest oskarżona, tym samym daje się wyraźne wskazanie na czary i dostateczną podstawę do zastosowania tortur”[257]. Prócz tego zapewne nie wiecie, że nie ma innego sposobu na te bestie, jakimi są czarownice, by zmusić je do mówienia prawdy, albowiem na sądzie zawsze obecny jest Diabeł i czasem pomaga im znosić najokrutniejsze męki. Przy tak ciężkich zbrodniach trzeba wbrew woli uciekać się do najsilniejszych środków[258].

Nie miałem ochoty słuchać dalszych racji inkwizytora, przyśpieszyłem więc kroku i niemal uciekłem od rozmawiających, nie mając przed sobą żadnego celu i pragnąc tylko zostać sam. Jednakże wkrótce dogonił mnie hrabia, który zapytał, dokąd biegnę, na co odpowiedziałem mu:

— Drogą hrabio! Musimy natychmiast przystąpić do naszej sprawy, albowiem każda godzina zwłoki może Renatę kosztować życie. Do tej pory wstrzymywałem się od wszelkiej zdecydowanej akcji tylko dlatego, że obiecałście mi, panie hrabio, swą pomoc. Błagam was, nie zwlekajcie dłużej, lub powiedzcie mi wprost, że nie jesteście w stanie mi pomóc. Będę wtedy działał sam, choćby te próby moje miały poprowadzić mnie na pewną śmierć.

Hrabia odrzekł mi na to:

— Mój Ruprechcie, dałem ci rycerskie słowo i dotrzymam go. Udaj się do naszego namiotu i czekaj na moje wezwanie, a ja będę działał za ciebie.

Głos hrabiego był tak przekonujący, ja zaś osobiście czułem się tak bezsilny, że nie pozostawało mi nic innego, jak usłuchać, lecz nie starczyło mi odwagi, by niczym do jaskini lwa ponownie wejść do tego namiotu, gdzie czyhały na mnie chciwe paszcze i ostre zęby tych samych bolesnych myśli, co rano, i być może wielu innych nie mniej okrutnych. Powiedziałem hrabiemu, że będę na niego czekał nad rzeczką, i unikając jakichkolwiek spotkań przekradłem się do gęstych zarośli wierzby rosnących wzdłuż jej koryta, ukryłem się w półmroku i wilgoci, lokując się tak, bym przez przerwy w listowiu widział klasztor. Tu, znów w przymusowej bezczynności, spędziłem jeszcze kilka godzin, wdychając świeży powiew płynącej wody i wiedząc, że Renata, chora, zupełnie wyčerpana, spędza ten czas na lepkiej ziemi, wśród pleśni, pająków i stonóg.

Bąłem się, że jeśli się poddam wszystkim falom rozpaczy, które na mnie napierały, utracę zdolność rozsądnego działania, i dlatego z uporem przymuszałem się do zachowania jasności myśli. Jakby rozwiązując jakieś zadanie, obmyślałem wszelkie możliwe sposoby ocalenia Renaty, lecz nadal nie znajdowałem innego, jak tylko, by siłą opanować klasztor, wyłamać drzwi jej więzienia i uwieźć ją daleko, nim Arcybiskup zdąży zebrać znaczny oddział. Pochłonięty takimi marzeniami wyobrażałem sobie nawet wszystkie szczegóły mającej nastąpić bitwy między zwolennikami hrabiego i stronnikami Arcybiskupa i dokładnie wyobrażałem sobie, jak będę wyłamywał bramę klasztoru, ułożyłem od początku do końca mowę, z jaką zwrócę się do przestraszonych zakonnic przekonując je, by nie sprzeciwiały się uwolnieniu siostry Marii, i ze łzami w gardle powtarzałem słowa, jakie powiem ocalonej Renacie.

Zapadał już zmierzch i znów ogarnęła mnie skrajna rozpacz, kiedy wreszcie usłyszałem w pobliżu kroki, i gdy się odwróciłem, ujrzałem, że zbliża się do mnie hrabia, w pewnym zaś oddaleniu stoi nasz Michael trzymając za cugle dwa konie. Twarz hrabiego była tak posępna, jakiej nigdy jeszcze nie widziałem, i w pierwszej chwili pomyślałem, że wszystko już skończone, że Renata została już osądzona i stracona, i mimo woli wykrzyknąłem:

— Czyżbyśmy się spóźnili?

Hrabia odrzekł:

— Musimy natychmiast jechać, Ruprechcie. Przekonałem się, że tych sił, które tu mam, nie starczy dla naszego przedsięwzięcia. Trzeba szukać sprzymierzeńców, czego nawet Rzymianie się nie wstydzili. Znam tu w pobliżu jeden zamek, którego właściciel jest ze mną w przyjaźni. Pojedziemy i

przyprawdzimy ze sobą dziesięciu dzielnych zuchów.

To wezwanie tak zdumiewająco odpowiadało moim marzeniom, że ani przez chwilę nie wątpiłem w szczerłość słów hrabiego i nie przyszło mi do głowy, że byłoby to nierozsądne, gdybyśmy obaj opuścili klasztor — przeciwnie, skwapliwie pospieszyłem do koni i wkrótce już obaj jechaliśmy na naszych rumakach. Spytałem hrabiego, czy czeka nas daleka droga, ale on odrzekł tylko, że trzeba się śpieszyć i że pierwszą część drogi lepiej jechać wzdłuż koryta rzeki, żeby w obozie nie zauważono naszego odjazdu. Wszystko to było bardzo prawdopodobne i w tym momencie gotów byłem szpadą torować sobie drogę za hrabią.

Kiedy jechaliśmy już około kwadransa dnem doliny, wydostaliśmy się na górę i pogalopowaliśmy mamą wiejską drogą prosto na zachód. Oczy oślepiało mi zachodzące w tym czasie słońce, które grą swych promieni budowało przede mną z wieczornych chmur dziwaczne zamki i zaraz je burzyło, ja zaś wyobrażałem sobie, że w tych widmowych pałacach znajdziemy właśnie pomoc, której szukamy. Popędzałem konia, jakbym istotnie miał nadzieję dogalopować do kraju, w którym Aurora otwiera Febowi ogniste wrota, a wiatr świszczał mi do uszu ni to jakieś okrzyki dodające otuchy, ni to beznadziejne wróżby. Zachód stopniowo coraz bardziej ciemniał, czerwone słońce zaszło za najniższy obłok i dokoła zrobiło się chłodniej; okolica stawała się surowsza, lecz nie widać było żadnego śladu siedziby ludzkiej i daremnie szukałem na widnokręgu wieżyc zapowiedzianego zamku. Kilka razy pytałem hrabiego, czy daleko jeszcze mamy jechać, lecz nie otrzymywałem odpowiedzi, wreszcie widząc, że koń mój jest zmęczony, że droga ginie wśród chaotycznie zwalonych głazów, nagle ściągnąłem cugle i krzyknąłem:

— Oszukaliście mnie, panie hrabio! Tu nie ma żadnego zamku! Dokąd mnie zaprowadziliście?

Wtedy hrabia także zatrzymał konia i odpowiedział mi głosem cichym i serdecznym, który czasem potrafił w sobie znaleźć:

— Tak, oszukałem cię. Zamku nie ma.

Poczułem chłód w całym ciele, ręce mi zadrżały i kierując konia wprost na hrabiego, gotów w zapadającym mroku zmierzyć się z nim w pojedynku, wykrzyknąłem:

— Czemuś to uczynił? Co miałeś na celu? Odpowiadaj, bo jak nie, to cię zabiję!

Hrabia odrzekł z wielkim spokojem:

— Ruprechcie, insanis[259]! Najpierw wysłuchaj, a potem gróż. Dowiedziałem się, że Tomasz wyznaczył drugie przesłuchanie na ten wieczór. Mimo moich usilnych starań nie mogłem decyzji tej odmienić. Nie wątpiłem, że

jelibyś został w klasztorze, popełniłbyś jakieś szaleństwo i w ten sposób zaprzepścił całą sprawę. Postanowiłem wywieźć cię na czas pewien, aby ocalić ciebie i twą ukochaną.

— Jakże to — znów spytałem — drugie przesłuchanie wyznaczone jest na ten wieczór? A więc odbywa się teraz? Ale przecież jest to przesłuchanie z użyciem tortur! A więc Renatę poddają teraz torturom, a ja jestem od niej daleko, tu, tu, tu — w polu i nie mogę nawet zareagować na jej jęki!

W tym momencie poryw wściekłości mnie opuścił, zeskokczyłem z konia, przypadłem do głązów wilgotnych od wieczornej rosy, przytuliłem do nich policzki i raz jeszcze niepohamowanie z mych oczu połały się łzy, gdyż podobnie jak kobieta lub dziecko nie miałem w tej chwili innego oręża do walki z losem. Wyobraziłem sobie wszystkie okropności, jakie w tej chwili musiała przeżywać Renata, wyobraziłem sobie jak nieokrzesany oprawca mietosi, szarpie i kaleczy drogocenne dla mnie ciało Renaty, wyobraziłem sobie jej bezradne jęki i zrozpaczone spojrzenie, daremnie szukające pomocy lub współczujących oczu, a napotykające tylko bestialskie twarze sędziów — i dech mi zamarł z przerażenia i żalu. Leżąc na czarnej ziemi szlochałem beznadziejnie i w tej chwili szczerze pragnąłem tylko jednego: być obok Renaty, poddać swoje ciało wszystkim męczarniom, jakim poddane było jej ciało, i wydawało mi się czymś potwornym i absurdalnym, że nie odczuwam bólu, kiedy ona wskutek cierpienia jest już u kresu sił.

Hrabia w tym czasie także zsiadł z konia, usiadł blisko mnie na ziemi, również widząc we mnie jakby dziecko, zaczął mnie serdecznie uspokajać. W sposób jak najbardziej przekonujący zapewniał mnie, że nie powinienem tak bardzo bać się tortur, którym zapobiec nie mogliśmy, bardzo wielu bowiem ludzi wytrzymuje je bez uszczerbku dla zdrowia. Hrabia sam znał pewnego alchemika, którego w Mostarze niewiemi trzydzieści razy poddawali torturom i nawet bijali na pal, spodziewając się dowiedzieć od niego tajemnicy kamienia filozoficznego, którą onże rzekomo znał, i alchemik ów dożył jednak późnej starości. Przy tym, według słów hrabiego, tego pierwszego dnia nie mogły Renacie grozić żadne szczególne męki; najgorsze, czemu mogła zostać poddana, to wywichnięcie na kołowrocie stawów rąk, które kat potrafi sam natychmiast nastawić. Hrabia nie zapomniał przytoczyć mi na pocieszenie kilku cytatów z Annaeusa Seneki, filozofa ukazującego zbawienny wpływ, jaki wywierają na człowieka cierpienia fizyczne.

Takie słowa hrabiego oczywiście bynajmniej nie mogły mnie uspokoić, chwilami były jakby oliwą dolewana do ognia mej rozpacz, aż wreszcie hrabia dostrzegając, że wszystkie jego rozważania i rozsądne dowodzenia są bezsilne wobec mego uczucia, powiedział do mnie jeszcze, co następuje:

— Słuchaj więc, Ruprechcie, odsłonię ci mój plan, abyś nie uważał mnie za wroga, lecz za prawdziwego przyjaciela. Wiedz, że przygotowałem już wszystko dla ocalenia twojej ukochanej. Matka Marta jest bardzo dobrze usposobiona do siostry Marii i nie wierzy w jej winę. Prócz tego jest klaryską i w związku z tym, należąc do zakonu franciszkanów, chętnie przyczyni się, by w jakiś sposób dokuczyć dominikaninowi. Krótko mówiąc, ulegając różnym moim argumentom matka Marta zgodziła się pomóc nam w zorganizowaniu ucieczki twojej Renaty. Rozumiesz jednak, że sprawę taką można przeprowadzić tylko w nocy, per amica silentia lunae[260]. Zaraz wrócimy do klasztoru. Straż przy bramie i przy lochu pełnić będą mniszki całkowicie oddane ksieni, a do tego wielbiące siostrę Marię jak świętą. To one odemkną nam wszystkie rygle. Ty zejdziesz do podziemia i wyprowadzisz swoją Renatę lub wyniesiesz ją na rękach, jeśli nie będzie mogła iść o własnych siłach. Przy bramie będzie czekał Michael i para świeżych koni: galopujcie prosto do mego zamku. Potem zastanowimy się, co robić, lecz jestem pewien, że nie tylko wszyscy inni, ale nawet sam Tomasz, mimo swego apostołskiego imienia uwierzy, jakoby siostrę Marię uwolnił sam Diabeł. Tak więc podaj mi rękę i non moremur!

W planie hrabiego więcej było bujnej młodzieńczej fantazji, która zazwyczaj kierowała jego postępkami, niż doświadczenia i znajomości ludzi, jednakże była to ostatnia lina, której się trzymając mogłem się wydostać z otchłani moich niepowodzeń. Znów dosiedliśmy koni i znów popędziliśmy je, lecz tym razem w przeciwnym kierunku, z trudem w zapadłych ciemnościach rozpoznając drogę. Na szczęście drogi nie zmyliliśmy i w słabym świetle młodego mizernego księżycyca dotarliśmy do naszego obozu.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY I OSTATNI

O tym, jak umarła Renata i o wszystkim, co działo się ze mną po jej śmierci

### I

Kiedy ujrzałem znów przed sobą mury klasztoru, za którymi uwieczona była Renata, mimo zmęczenia po nonsensownym galopie poczułem przyplływ energii i odwagi, albowiem decydujące momenty zawsze napinały moją duszę, jak to mocna ręka czyni z kuszą. Przy naszym namiocie zeskokczyliśmy z koni i oddaliśmy je Michaelowi, który czekał na nas przejawiając pewną niecierpliwość, bowiem na pytanie hrabiego, czy wszystko gotowe, rzekł:

— Już dawno gotowe i nie wolno dłużej zwlekać. Jan ze świeżymi końmi stoi przy murze pomocnym, kopyta ich owinałem wełną. Ten przekłety pater Tomasz wciąż myszkuje dokoła, tylko patrzeć, jak coś wyśledzi.

Wszyscy trzech skierowaliśmy się do klasztoru, wybierając drogę tam, gdzie było ciemniej, i na wszelki sposób starając się przejść niezauważeni, chociaż najwidoczniej wokół wszystko już spało, albowiem po drodze nikogo nie spotkaliśmy i we wsi żaden pies nie zaszczekał. Na przedzie, jakby wskazując drogę, szedł Michael, za nim hrabia, którego, jak się zdaje, bardzo bawiły nasze niezwykle przygody, ja zaś szedłem za nimi, nie chciałem bowiem, by na mnie patrzono. Myśl, że zaraz zostanę sam na sam z Renatą, że za kilka minut będzie znów wolna i pod moją obroną, sprawiała, iż serce drżało mi radośnie i byłbym bez wahania samotnie ruszył przeciw trzem, byle tylko urzeczywistnić swoje marzenie.

Kiedy weszliśmy na zbocze i znaleźliśmy się przed bramą klasztoru, w czarnym cieniu jego murów, Michael pokazał mi w oddali mgliste zarysy dwóch koni, których pilnował jeden z naszych ludzi, i powiedział:

— Tam, panie Ruprechcie, nieście waszą zdobycz — ja już tam będę i znam drogę prowadzącą prosto do zamku. Wiercie mi — jastrzębie nas nie dogonią.

Hrabia tymczasem delikatnie uderzył ręką w żelazo bramy, tak że w księżycowej ciszy rozległ się dźwięk urywany i żalobny, jakby płacz. Zza

bramy odezwał się głos kobiecy, także przygluszony, i zapytał:

— Kto tu?

Hrabia odpowiedział umówionym hasłem:

— Ziemia Judy wcale nie jest mniejsza od województw Judy.

Wtedy brama cicho jęknąwszy rozwarła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i w tej chwili tak niezachwianie wierzyłem w sukces naszego przedsięwzięcia, jakbym już znajdował się z Renatą pod pewną osłoną otworów strzelniczych zamku Wellen. Siostra, która otworzyła nam bramę, patrzyła na nas z lękiem i była bardzo blada — albo może tak się wydawało w świetle księżyca — nie wymówiła jednak ani słowa. Słabo oświetlony dziedziniec klasztorny był zupełnie opustoszały, przeszliśmy nim jednak skradając się wzdłuż muru niczym trzy zjawy i podszedłszy do kościoła od tyłu znaleźliśmy się przy strasznych drzwiach, które wiodły do podziemia, do Renaty. Tu, na płaskim kamieniu, na wół drzemiąc siedziała na straży inna mniszka, która, kiedy się przybliżyliśmy, zerwała się dygocąc na całym cieple.

Hrabia powtórzył hasło, a siostra padłszy na kolana wykrzyknęła zdławionym głosem:

— Niech was Bóg prowadzi! Idźcie, idźcie! Wywieźcie z lochu niewinną ofiarę, która na skutek knozań Wroga znalazła się w więzach! Siostra Maria to święta i hańba jej wrogom! Jezus Chrystus to jej niepokalany oblubieniec!

Michael w grubiański sposób przerwał te lamenty mówiąc do siostry szeptem:

— Starczy tej gadaniny, nie jesteście w ptaszarni! Otwieraj drzwi!

Mniszka wyjęła duży żelazny klucz i próbowała otworzyć drzwi, ręce jej jednak tak drżały, że nie mogła trafić w otwór, więc Michael klucz jej odebrał. Kiedy otwarło się czarne wejście do podziemia, Michael ostrożnie skrzesał ogień, zapalił przyniesioną przez siebie małą pochodnię i wręczył ją mnie, a hrabia powiedział:

— Zejdź na dół, Ruprechcie. Za tą salą, w której dziś rano prowadziliśmy przesłuchanie, są drzwi zamknięte na rygiel. Otwórz je: za nimi jest loch twojej Marii. Spiesz się, Michael będzie na ciebie czekał, i niech cię wspomocze matka miłości Kyprida z Knidos! Żegnaj!

Byłem tak wzburzony, że nie zdołałem hrabiemu nic odpowiedzieć, lecz ścisnąwszy w ręce pochodnię szybko skierowałem się ku ciemnej głębi i potykając się spieszyłem po stopniach oślizłych schodów, aż znalazłem się w sali przesłuchań. Nasz stół, przy którym zapisywałem zgubne odpowiedzi Renaty, był pusty i zdawał się ogromnym grobowcem; w głębi, tak jak przedtem, wznosiła się posępna machina: kołowrót z podniesioną łapą, i dreszcz mnie przebiegł, kiedy na niego spojrzalem w pustce dudniły moje kroki

i wokół miotały się jakieś cienie — być może były to nietoperze. Zgodnie ze wskazówką hrabiego przeszedłem jeszcze kilka kroków i natknąłem się na drzwi, drewniane, okute żelaznymi sztabami, zamknięte na ciężki rygiel, i kiedy nie bez trudu go odsunąłem, znalazłem się w maleńkim pokoiku o niskim łukowym sklepieniu, gdzie panowała dusząca wilgoć.

Wodząc wokół pochodnią kolejno oświetlałem wszystkie kąty więzienia i w jego dalekim końcu dostrzegłem wiązkę słomy i rozpostarte na niej ciało, ledwo okryte strzępami odzieży; pojąłem, że to Renata, i z zamartwym sercem zbliżyłem się i ukląknąłem przed tym rozpaczliwym lożem. W chwiejnym świetle pochodni mogłem dobrze widzieć twarz Renaty, bladą jak twarz trupa, z zamkniętymi, jakby martwymi oczami, jej wyciągnięte, nieruchome, osłabłe ręce, jej pierś ledwo wznoszoną oddechem — i milczenie trwało około minuty, gdyż długo nie ośmielałem się powiedzieć słowa w tym świętym miejscu. Wreszcie przypominając sobie, że liczy się każda chwila, szepnąłem cicho:

— Sostro Mario!

Nie było odpowiedzi, więc powtórzyłem głośniejszemu:

— Renato!

Na to wezwanie Renata otworzyła oczy, obróciła nieco ku mnie głowę, bacznie na mnie popatrzyła, poznała mnie i jakby wcale się nie dziwiąc, że jestem przy niej, słabym, ledwo dosłyszalnym głosem rzekła:

— Odejdź, Ruprechcie. Wszystko ci wybaczam, ale odejdź.

W pierwszej chwili byłem tymi słowami oszołomiony, lecz pomyślałem, że Renata, umęczona torturami i więzieniem, bredzi, i zaoponowałem, wkładając w swoje słowa całą tkliwość, do jakiej byłem zdolny:

— Renato! Droga moja Renato! Ukochana! Jedyna! Przyniosłem ci wybawienie i wolność. Drzwi są otwarte, wyjdziemy stąd, czekają na nas konie. Potem wyjedziemy do Nowej Hiszpanii, gdzie zacnie się dla nas nowe życie. Będę ci służył jak niewolnik i w niczym nie będę się sprzeciwiał twoim decyzjom. Kocham cię bowiem, Renato, po dawnemu, kocham bardziej niż samego siebie, bardziej niż zbawienie duszy. Jeśli możesz, wstań, daj mi ręce, chodź ze mną. Lub pozwól, bym cię niósł, starczy mi sił. Ale musimy się śpieszyć.

Powiedziałem te słowa wielce wzburzony i pochylony do samej twarzy Renaty, czekałem na odpowiedź, lecz Renata nie poruszyła się, tylko tymże samym głosem, cichym, bezbarwnym, którego nie podnosiła, powiedziała:

— Nie pójdę z tobą, Ruprechcie! Niegdyś omal mnie nie zgubiłeś, lecz ocalałam mą duszę z twoich rąk! Oni mnie męczyli, oni mnie ukrzyżowali — ach, nie wiedzieli nawet, że to rozkazał im Jezus Chrystus! Krew, krew! Widziałam swoją krew, jak dobrze, jak błogo! Ta krew zmyła wszystkie moje grzechy. On

znów przyleci do mnie jako duży motyl i ukryję go w swoich włosach. Nie, nie, to doprawdy zwykły motyl, nic więcej. Jak śmiesz być tu ze mną, Ruprechcie?

Ta mowa dziwaczna i nieskładna przekonała mnie ostatecznie, że Renata wskutek cierpień utraciła jasność myśli, mimo to spróbowałem przywołać ją do rozsądku mówiąc:

— Renato! Posłuchaj mnie, postaraj się mnie zrozumieć. Jesteś w więzieniu, w więzieniu klasztornym. Sądzi cię sąd inkwizycji i grożą ci straszne męki. Musisz uciekać, by ocalić życie, i wszystko przygotowałem do twojej ucieczki. Przypomnij sobie, mówiłaś kiedyś, że mnie kochasz. Zaufaj mi, a będziesz wolna. Potem zostawię ci swobodą uczynienia wszystkiego, co zechcesz: pozostania ze mną lub porzucenia mnie, albo wstąpienia znów do klasztoru. O nic cię nie proszę, nie proszę o miłość, chcę tylko wyrwać cię z rąk oprawców, ocalić przed spalaniem na stosie. Czy ty doprawdy chcesz tortur i męczarni ognia? Renata wykrzyknęła:

— Tak! Tak! Chcę tortur i ognia! Widziałam teraz mego Madiela i powiedział mi, że śmiercią odkupię całe swoje życie. Jest cały ognisty, oczy ma niebieskie jak niebo, a włosy jakby z cienkich złotych nitok. Powiedział mi, że weźmie duszę moją w objęcia i że w życiu wiekuistym nigdy się oboje nie rozłączymy. Przebaczam, wszystko przebaczam, i tobie, i Henrykowi, dlatego że Madiel wszystko mnie wybaczył. Jest mi dobrze, nic więcej mi nie trzeba. Ale zostaw mnie samą; daj mi z nim być; przestraszyłeś go; idź sobie, wtedy on wróci.

Z ostatecznym uporem zawołałem:

— Renato, przysięgam ci na wszystko, co najświętsze, że nie mogę cię tutaj zostawić! Bóg i sumienie nakazują mi ciebie stąd wyprowadzić. Jesteś umęczona, jesteś chora, nie możesz trzeźwo rozumować. Usłuchaj mnie jako przyjaciela, jako starszego! Czeka cię tutaj nie śmierć będąca odkupieniem, lecz oddajesz się we władzę nieokrzesanym mnichom i tępym nieukom. Tylko stąd wyjdź, tylko odetchnij świeżym powietrzem, popatrz na słońce, a jeśli za trzy dni powiesz mi: chcę wrócić do więzienia — przysięgam, że sam cię tutaj odprowadzę!

Renata z trudem uniosła się nieco i patrząc mi prosto w twarz powiedziała jakby z pełną świadomością:

— Mówię ci, że niczego od ciebie nie chcę! Twoja obecność budzi we mnie tylko wstęt. Idź, wracaj do życia, całuj się ze swoją Agnieszką, a mnie niech znów podciągną na kołowrocie. Chcesz, żebym gdzieś z tobą uciekała! Ach, miły, miły mój Henryk, ten nigdy by mnie tak nie obraził! Gdybym mu powiedziała, że chcę umrzeć, on by mnie zrozumiał. A ty jak byłś lancknechtem, tak nim pozostałeś, i wiesz tylko jedno — jak zabić wroga. No

więc zabij mnie, nie mam siły się bronić!

W tych ostrych i niesprawdliwych słowach poznałem dawną Renatę, tę, która, bywało, sprawiała, że w beznadziejnej rozpaczyc rzucałem się na podłogę lub zgrzytałem zębami od nieoczekiwanej urazy, nie pozwoliłem sobie jednak ulec temu wrażeniu i zapomnieć, że Renata nie odpowiada teraz za to, co mówi, jak chory, który bredzi, lub jak nieszczęśliwiec opętany przez złego ducha. Tak więc powiedziałem tonem stanowczym:

— Renato! Przysięgam na Najwyższego, że ciebie kocham i dlatego ocalę cię nawet wbrew twojej woli!

Powiedziawszy to ostrożnie oparłem pochodnię o występ muru, a sam, z zaciśniętymi zębami i starając się nie patrzeć w twarz Renaty, pewnym ruchem pochyliłem się nad nią i objąwszy chciałem ją podnieść z jej słomianego posłania. Renata zrozumiała, co zamierzam, i wielce wzburzona rzuciła się do tyłu, wcisnęła się w kąć swego więzienia i głosem donośnym, pełnym rozpaczyc, zawołała:

— Madielu! Madielu! Broń mnie! Ratuj!

Nie słuchając tego wołania nie poniechałem wytyczonego celu i między mną a Renatą zaczęła się nonsensowna walka, przy czym Renata, która wskutek tortur ledwo mogła władać rękami, odpychała się całym ciałem, wściekle się wyginała rzucając się we wszystkie strony i używając wszelkich sposobów, by się uwolnić z moich objęć. Żadnym sposobem nie gardziła, usiłowała nawet mnie przewrócić kopiąc nogami i ze złością wpijała się zębami w moje ręce, zaś w przerwach wśród tej walki wykrzykiwała mi w twarz wściekle zniewagi:

— Przeklęty! Przeklęty! Korzystasz z mojej słabości! Jesteś mi wstrętny! Puść mnie, rozbiję sobie głowę o mur! Wszystko jest lepsze, byle tylko nie być z tobą! Tyś diabeł! Madielu! Madielu! Broń mnie!

Nagle, kiedy już czułem, że zwyciężam, opór Renaty nagle osłabł i z przesywającym i strasznym okrzykiem bólu zwiśła na moich rękach, jak zwiśła złamana łądoga kwiatu. Domyślając się, że z Renatą coś się stało, szybko opuściłem ją znów na słomę, uwalniając ze swoich objęć, lecz zdawała się jakby martwa i miałem wrażenie, że nie oddycha. Zamiotłem się po celi i znalazłszy trochę wody w glinianym dzbanku zwilżyłem skronie Renaty, po czym słabo westchnęła, lecz dla mnie, który po bitwie wiele razy widziałem śmierć rannych, nie ulegało wątpliwości, że to nadchodzi ostatnia chwila. Nie wiem, czy zgubny wpływ na Renatę miał wysiłek, który uczyniła stawiając mi opór, lub w ogóle jej krucha istota nie mogła znieść bezlitosnych prób, które przypadły jej w udziale, lecz wszystkie oznaki wyraźnie wskazywały na bliski koniec, albowiem twarz jej przybrała nagle szczególnie uroczysty wyraz, całe

ciało dziwnie się wyprężyło, a skurczone palce żałośnie chwyciły słomę.

Nie mogłem okazać Renacie żadnej pomocy i nadal klęczałem przy jej łożu, wpatrując się w jej twarz, kiedy nagle ocknęła się na chwilę, zobaczyła mnie, uśmiechnęła się do mnie tkliwie i wyszeptała:

— Miły mój Ruprechcie, jak to dobrze, że ze mną jesteś!

Żadne przekleństwa, którymi przedtem obsypała mnie Renata, nie mogły tak na mnie podziałać, jak te krótkie słowa wypowiedziane na samej krawędzi śmierci — łzy niepowstrzymane popłynęły mi z oczu i przypadły wargami do chłodnej ręki Renaty, jak przypadają wierni do otaczanej wciąż świętości, wykrzyknąłem:

— Renato! Renato! Ja ciebie kocham!

W tej chwili wydawało mi się najważniejsze utrwalić w jej duszy tylko te słowa, aby właśnie z ich oddźwiękiem przebudziła się do innego życia, lecz Renata prawdopodobnie już nie słyszała mego okrzyku pełnego bólu, kiedy bowiem wyszeptała swoje ostatnie pozdrowienie, nagle padła na wznak i jakoś strasznie się zatrzępotała, jakby w ostatniej walce ze śmiercią. Drżąc i z trudem oddychając trzy razy unosiła się nieco na swoim posłaniu, ni to odpędzając jakieś straszne widziadło, ni to śpiesząc na spotkanie kogoś upragnionego, i trzy razy znów padała, i w piersi jej słychać było przedśmiertne rżenie, już niepodobne do odgłosów życia. Kiedy padła po raz trzeci, już tak pozostała w zupełnym bezruchu, a ja przyłożywszy ucho do jej piersi nie usłyszałem więcej bicia serca i zrozumiałem, że z tego świata, gdzie mogły ją czekać tylko prześladowania i cierpienia, dusza jej przeszła do świata duchów, demonów i geniuszów, do którego zawsze się rwała.

Kiedy przekonałem się, że Renaty już nie ma, zamknąłem jej oczy i delikatnie ucałowałem ją w czoło pokryte zimnym potem — chociaż w tym momencie kochałem ją z całej mocy, miłością bynajmniej nie mniejszą od tej, którą opiewali poeci, modliłem się z całej duszy, by spełniła się jej nadzieja, by spotkała swego Madiela i by po śmierci zaznała spokoju i szczęścia. Potem, chcąc zastanowić się nad swoją sytuacją, siadłem na podłodze więziennej, obok ciała Renaty, albowiem śmierć jej nie tylko nie odebrała mi zdolności rozumowania, lecz nawet wróciła mi zimną krew, której widok jej cierpień mnie pozbawił, tak że obeschły łzy w moich oczach. Po krótkim zastanowieniu wydało mi się bezsporne, że nierozsądne byłoby dla bezdusznego ciała narażać na niebezpieczeństwo swoje życie i honor hrabiego, który tak wielkodusznie mi pomagał, i że najrozsądniejsze, co mogę zrobić — to niepostrzeżenie się oddalić. Kiedy powziąłem tę decyzję, po raz ostatni musnąłem pocałunkiem wargi martwej Renaty, potem złożyłem jej ręce na piersi, raz jeszcze zatrzymałem spojrzenie na jej nieruchomej twarzy i

wyszedłem z fatalnego podziemia.

Przyznaję, że póki szedłem przez ciemne sale i korytarze, kilka razy przychodziło mi na myśl, by zawrócić i umrzeć u boku Renaty, lecz argumentami logiki potrafiłem się uspokoić i po przebyciu całej drogi powrotnej wyszedłem ku nocnemu niebu przez drzwi, u których czekał Michael. Ten widząc mnie wykrzyknął:

— Panie Ruprechcie, nareszcie! Już dawno pora! Lada chwila mogą nas schwytać jak myszy w pułapkę. A gdzie jest dziewczyna?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, kiedy szybko przybliżyła się do nas mniszka, która pilnowała wejścia, i zdyszczanym głosem powtórzyła pytanie:

— Gdzie jest siostra Maria? Odpowiadając obojgu powiedziałem:

— Siostra Maria umarła.

Ledwo jednak wymówiłem te słowa, kiedy świątobliwa siostra rzuciła się na mnie jak wściekła kocica, chwyciła mnie za kołnierz i wrzasnęła tak, że obudzić mogła cały klasztor:

— To ty ją zabiłeś, nikczemniku!

Całą siłą oderwałem od siebie tę kobietę, dłonią zakryłem jej usta i powiedziałem:

— Przysięgam ci na przeczyste ciało Chrystusa, że siostra Maria umarła nie z mojej ręki, jednakże ciebie, jeśli będziesz krzyczała, istotnie zabiję!

Potem odepchnąłem ją od siebie i mniszka upadłszy na ziemię zaczęła cicho płakać, a ja wraz z Michaeliem szybko przeszliśmy przez pusty dziedziniec do bramy wyjściowej, którą nam inna furtianka otworzyła niezwłocznie i w milczeniu. Kiedy znaleźliśmy się już poza klasztorem, Michael zapytał:

— To znaczy, że nasza sprawa się nie powiodła?

Odrzekłem:

— Tak, sprawa się nie powiodła, ale do obozu nie wrócę. Powiedz hrabiemu, że jadę do zamku i będę tam na niego czekał.

Michael nie odparł ani słowa, lecz doprowadził mnie do zbocza, gdzie czekały na nas konie, pomógł mi sięść w siodło, a ja na pożegnanie dałem mu złotego pistola i powiedziałem:

— Wiesz, Michaelu, nie jestem bogaty, lecz chcę cię wynagrodzić, albowiem przeze mnie narażony byłeś na śmiertelne niebezpieczeństwo. Gdyby nas zastano w klasztorze, poszlibyśmy obaj na stos.

Dopiero potem mogłem wreszcie dać koniowi ostrogę, pognać go w noc i znów być z dala od ludzi, sam ze sobą, co było mi wtedy tak potrzebne jak delfinowi oddychanie na powierzchni wody. Nie znałem dokładnie drogi do dóbr hrabiego, lecz skierowałem konia mniej więcej w stronę zamku, po czym puściłem cugle i pozwoliłem mu biec przez łąki, parowy i wadyły. Nie myślałem

wtedy o niczym określonym, lecz moją odrętwiałą duszę z całą mocą opanowała świadomość, że na całej ziemi, z jej wszystkimi krajami, morzami, rzekami, górami i osiedlami — jestem znów samotny. Niekiedy jeszcze wyraźnie przypominałem sobie twarz Renaty zmienioną przedśmiertną walką, i na myśl, że z pewnością już nigdy więcej jej nie zobaczę, wśród milczenia ciemnych pól jęczałem żałośnie, a ptaki spłoszone nieoczekiwanym dźwiękiem nagle zrywały się ze swoich gniazd i krążyły wokół mnie.



## II

Kiedy zaczęło świtać, zorientowałem się co do drogi, którą należało jechać, i znalazłszy się na właściwej mniej więcej w porze jutrzni dotarłem do zamku Wellen. Ludzie w zamku byli zdziwieni moim niezwykłym pojawieniem się, i to do tego nie razem z hrabią, i podejrzewali mnie o jakieś wykroczenie, choć powrót mój przeczył tak nonsensownej supozycji, w końcu jednakże wpuszczono mnie i pozwolono mi zająć moją komnatę. Tam, wymęczony dwudziestoma czterema godzinami spędzonymi bez snu, w czasie których przeżyłem całe życie nadziei, rozpachy, zgrozy i żalu, rzuciłem się na łóżko i spałem do późnych godzin zmierzchu. Wieczorem sama hrabina, przemógłszy lekceważenie, jakie mi uprzednio okazywała, wezwała mnie do swej komnaty i wypytywała o naszą podróż z Arcybiskupem i o powody mego powrotu, lecz czułem się jeszcze tak źle, że nie mogłem zmyślić jakiejś historii mającej cechy prawdopodobieństwa, i, jak się zdaje, hrabina uznała mnie za człowieka niespełna rozumu. Następnego dnia wszyscy w zamku odnosili się do mnie z bojaźliwą ostrożnością i być może w końcu uznaliby za niezbędne wziąć mnie na łańcuch, gdyby pod wieczór nie przyjechał hrabia.

Ucieszyłem się nim jak kimś bliskim i kiedy zostaliśmy sam na sam, opowiedziałem mu szczerze wszystko, co przeżyłem w podziemiu, a on zakomunikował mi, co po moim odjeździe zaszło w klasztorze. Według jego słów, kiedy w więzieniu znaleziono Renatę martwą, nikt nie wątpił, że uśmiercił ją Diabeł, i to posłużyło za nowy dowód winy przeciwko niej i jej przyjaciółkom. Brat Tomasz, bynajmniej nie uważając sprawy za zakończoną, natychmiast ściągnął na przesłuchanie inne siostry, które jego zdaniem można było podejrzewać o konszachty z demonami, i wszystkie one, poddane pierwszej torturze, pośpieszyły rzucić na siebie najgubniejsze oskarżenia. Według zeznań sióstr — cały klasztor wraz ze świętoblewną matką Martą — wszystkie grzeszyły popełniając najstraszliwsze zbrodnie, mając pakt z Diabłem, lecąc na sabat, odprawiając czarne msze i temu podobne. Oskarżenie zaczęło się rozwijać jak wielopierścieniowaty wąż i należało się spodziewać, że imiona hrabiego, Michaela i moje będą w to śledztwo wplątane.

— Umyślnie śpieszyłem tutaj, Ruprechcie, by cię uprzedzić — powiedział

hrabia na zakończenie. — Oczywiście, mnie także grozić może oskarżenie, lecz wątpię, czy ten nikczemny Tersytes, Tomasz, odważy się zagrozić mi bezpośrednio. O mnie w każdym razie się nie niepokój i wiedz, że ja, pomny nakazów Cycerona w jego rozprawie „De amittitia”, wcale nie żałuję, że przyszedłem ci z pomocą. Ty jednak możesz drogo zapłacić za naszą nocną wędrówkę, tym bardziej że ucieczka twoja jest ważnym dowodem przeciwko tobie. Tak więc radzę ci, byś natychmiast opuścił ten kraj i na czas pewien odmienił nazwisko.

Ja oczywiście nie omieszkalem podziękować hrabiemu za jego ustawiczną troskliwość wobec mojej osoby i odrzekłem, że rada jego pokrywa się z moją decyzją, co istotnie było prawdą. Hrabia zaproponował mi też zaraz pewną sumę pieniędzy, zarówno jako wynagrodzenie za moją pracę sekretarza, jak i po prostu w charakterze przyjacielskiego podarku, lecz wolałem odmówić, gdyż i bez tego pod wieloma względami zależny byłem od hrabiego i to mi ciążyło. Wtedy hrabia zapłakał, uściskał mnie i ucałował, i choć pocałunek ów był mi dany nie jak równemu od równego, lecz jako łaska lub uprzejmość, jednak wspominam go z radością, ponieważ wszystko, co czynił hrabia, czynił bez obłudy, prostodusznie jak dziecko.

Następnego dnia wczesnym rankiem ostatecznie opuściłem zamek Wellen i do Adenau jechałem na koniu hrabiego. Dalej wyruszyłem pieszo i na pytania, kto zacz jestem, zacząłem odpowiadać, że jestem byłym lancknechtem, że powracam w ojczyste strony i nazywam się Bernard Knertz. Drogę obrałem na południe, chciałem bowiem koniecznie odwiedzić swój rodzinny Losheim, od którego byłem już tak blisko, i po trzydniowej podróży dotarłem do dobrze mi znanych od dziecka zielonych zboczy Hochwaldu.

Noc spędziłem w zajeździe „Halber Mond”, znajdującym się pod samym Losheimem, i skorzystałem z tego, by ostrożnie, nie zdradzając, jak się nazywam, wypytał gospodarza o moich rodziców i wszystkie bliskie mi niegdyś osoby, otaczające mnie w latach dziecięcych i młodzieńczych. Dowiedziałem się, dziękując za to Stwórcy, że mój ojciec i moja matka żyją, że moje siostry i bracia żyją zamożnie i szczęśliwie i że wszyscy są przekonani, że poległem w czasie wyprawy włoskiej. Usłyszałem także smutną wiadomość, że nie ma już wśród żywych mego przyjaciela z młodych lat, drogiego Fryderyka, zresztą, pod innymi względami, sądząc z tego, co opowiadał gospodarz zajazdu, życie w naszym Losheimie tak mało się zmieniło, że czasem wydawało mi się, że to nie minęło długich dziesięć lat i że zaledwie kilka dni temu rozstałem się z aptekarzem, tutejszym patrem, chlebnikiem i kowalem.

O świecie ścieżką znaną mi jeszcze z czasów, kiedy byłem małym chłopcem, udałem się do rodzinnego miasta, którego nie widziałem tyle lat, które

wspominałem jak bajkę słyszaną w dzieciństwie, lecz które przedstawiałem sobie z taką wyrazistością, jakbym je zaledwie wczoraj obszedł. Choć tak silnie było moje wzruszenie, gdy po tułaczce za oceanem ujrzałem znów w oddali, z barki, zarysy Kolonii, to teraz widok rodzinnych murów, znanych z dzieciństwa domów krytych dachówką, był dla mojej duszy, zmęczonej i nie chronionej żadną tarczą — ciosem nadto silnym, tak że musiałem przysiąść na jakimś kamieniu przydrożnym i odczekać, aż uspokoi się serce, albowiem czas jakiś nie mogłem zrobić nawet kroku.

Nie chciałem wejść do miasta, gdyż nie chciałem pojawić się przed rodzicami niczym ów syn marnotrawny z Ewangelii, ubogi i nieszczęśliwy: dla mnie byłoby to udręką i wstydem, a im sprawiłbym tylko niepotrzebny smutek, tak że lepiej było pozostawić ich w przekonaniu, że nie ma mnie wśród żywych, z czym dawno już się pogodzili. Bardzo pragnąłem jednak zobaczyć nasz dom, w którym się urodziłem, przeżyłem dzieciństwo i lata młodości — wydawało mi się, że widok tego starego domku będzie dla mojej duszy niczym jakiś wzmacniający napitek, że da mi siły, bym mógł zacząć nowe życie. Dlatego zbaczając z gościńca wdrapałem się na strome zbocze, wznoszące się za miasteczkiem — miejsce, gdzie wieczorami chadzały zakochane pary, lecz które o tej wczesnej godzinie było zupełnie opustoszałe, i skąd mogłem widzieć cały Losheim, a zwłaszcza nasz domek stojący tuż pod górą.

Położyłem się na ziemi i z chciwością pijaka spoglądającego na wino wpatrywałem się w bezładne ulice, w domy, których właściciele mogłem wymienić według imion, w domek aptekarza, gdzie niegdyś mieszkał mój Fryderyk, w gąszcz ogrodów, w surowe linie dużego kościoła, i znów kierowałem wzrok na dom rodzinny, na te ceglane mury tak mi drogie jak żywa istota. Szczegółowo badałem wszystkie zmiany, jakie lata poczyniły w naszym domostwie: widziałem, że w naszym ogrodzie szeroko rozrosły się drzewa; zauważyłem, że dach się przekrzywił i lekko pochyliły się ściany; dostrzegłem, że zmieniły się firanki, odtwarzałem w pamięci rozstawienie mebli w pokojach i starałem się odgadnąć, co tam stoi nowego, a co starego zniknęło; nie zauważyłem, że czas upływa, że w miasteczku zaczęli się poruszać ludzie i że słońce, które weszło nad widnokręgiem, już zaczęło silnie przypiekać.

Nagle otwały się drzwi naszego domu — na progu pojawiła się najpierw zgarbiona staruszka, a za nią zgrzybiały, lecz jeszcze rzeński starzec, byli to mój ojciec i matka, których mimo odległości nie mogłem nie poznać, zarówno po rysach twarzy, jak i sposobie chodzenia. Rozmawiając o czymś ze sobą zeszedli z ganku i siedli na ławeczce przed domem, grzejąc stare grzbiety w ciepłym wschodzącym słońcu. Ja — włóczęga kryjący się za skrajem miasta, ja — niefortunny lancknecht, niefortunny marynarz i poszukiwacz złota, który

przemierzył lasy Nowej Hiszpanii, ja — grzesznik, który zaprzedał duszę Diabłu, zasnął niewypowiedzianego szczęścia i wpadł w otchłań najczarniejszej rozpacz, ja — syn tych dwojga starsuszków, patrzyłem na nich ukradkiem, jak złodziej, nie śmiać klęknąć przed nimi, ucałować ich pomarszczonych rąk i prosić ich o błogosławieństwo. Nigdy w życiu nie czułem takiego przyływu synowskiej miłości jak w tej chwili, uświadamiając sobie, że w całym świecie ojciec i matka to jedynych dwoje ludzi, których coś obchodzi, dla których nie jestem obcy — i przez cały ten czas, kiedy dwie małe zgarbione figurki siedziały przed gankiem i o czymś rozmawiały, być może o mnie, nie odrywałem od nich oczu sycąc wzrok dawno nie widzianym obrazem domowego szczęścia. A kiedy starsuszkowie wstali i cicho się poruszając wrócili do domu, kiedy zamknęły się za nimi nasze stare spalone drzwi — zamiast tych dwojga ucałowałem ojczystą ziemię, wstałem i nie oglądając się odszedłem.

Tego samego dnia byłem już w Merzigu.

Postawiłem sobie za cel, by wrócić do Nowej Hiszpanii, lecz nie miałem dosyć pieniędzy, by na własny rachunek odbyć tę daleką podróż. Dlatego w cesarskim mieście Strasburgu rozpocząłem pracę — wciąż pod imieniem Bernarda Knertza — w pewnej firmie kupieckiej, która wysyłała swoich komisantów do różnych krajów i w której przyjęto mnie bardzo chętnie dzięki mojej znajomości kilku języków i umiejętności władania szpadą. Tak więc przeżyłem około trzech miesięcy jako pracownik firmy kupieckiej i do tej prawdziwej opowieści muszę jeszcze dołączyć opowiadanie o dwóch spotkaniach, które przydarzyły mi się w tym czasie.

Zostaliśmy wysłani do Sabaudii, aby zakupić tam jedwab, i droga nasza wiodła przez Alpy Zachodnie w kierunku Genewy. Jak wiadomo, na drogach alpejskich napotyka się mnóstwo trudnych przepraw przez potoki górskie i te sprawiały nam wiele kłopotu z racji silnych deszczów, które przeszły na krótko przed naszym przyjazdem i które przemieniły strumienie w rozszalałe rzeki, co w wielu miejscach zerwały mosty. Nad jednym z takich potoków przyszło nam szczególnie długo zabawić, ponieważ nie było można go przebyć w bród i musieliśmy wraz z naszymi przewodnikami zbudować lekki most. Równocześnie z nami o to samo starali się przewodnicy dwóch innych podróżnych, jadących w przeciwnym kierunku i stojących przed nami na przeciwnym brzegu potoku. Kiedy my byliśmy odziani bardzo zwyczajnie, jak przystało kupcom podróżującym w sprawach handlowych, płaszcze i kapelusze tamtych dwóch podróżnych zdradzały ich znamienite pochodzenie i zgodnie z tym nie brali udziału w pracy, lecz na uboczu dumnie oczekiwali jej ukończenia.

Jednakże, kiedy przejście było już gotowe, znamienici signori, a zwłaszcza jeden z nich, koniecznie chcieli przejechać pierwsi i z tego powodu wynikł gniewny spór między nimi a moimi towarzyszami, mimo że ich przekonywałem, by nie przypisywali znaczenia okoliczności tak nieważnej. Spór mógł się przemienić w starcie zbrojne, lecz na szczęście drugi z rycerzy skłonił swego towarzysza drogi, by nam ustąpił, i nasza mała karawana pierwsza, ze zwycięskimi okrzykami, przeszła sama i przeprowadziła konie po przerzuconych balach. Znalazszy się po drugiej stronie uznałem za właściwe podziękować rycerzowi, który swą uprzejmością i rozumą ochronił nas od nieostrożnej walki, lecz kiedy zbliżyłem się do niego, ze zdumieniem i wzruszeniem poznałem w nim hrabiego Henryka, a w jego towarzyszach Lucjana Steina.

W pierwszej chwili wydało mi się, że widzę przed sobą człowieka, który powstał z grobu — tak odległe wydawało mi się moje dawne życie, i jak zaczarowany nie mogłem ani się odezwać, ani się poruszyć.

Hrabia Henryk także w milczeniu kilka chwil wpatrywał się w moją twarz i wreszcie powiedział:

— Poznałem was, panie Ruprechcie. Wiercie mi, z całej duszy byłem rad, że uderzenie mojej szpady nie okazało się dla was śmiertelne. Nie miałem powodu, by was, panie, zabić, i byłoby mi ciężko nosić w duszy waszą śmierć.

Na co odrzekłem:

— A ja muszę powiedzieć wam, panie hrabio, że nie żywię do was najmniejszej choćby urazy. To ja was wyzwalałem i przymusiłem do pojedynku, zadając mi uderzenie broniliście się tylko i Bóg wam tego nie policzy.

Potem chwilę milczeliśmy, aż w nagłym porywie, nawet zachwiał się w siodle, hrabia Henryk powiedział mi, tak jak mówi się tylko człowiekowi bliskiemu:

— Powiedźcie jej, panie, że gorzko odpokutowałem za wszystko, co wobec niej zwinilem. Bóg sprawił, że wszystkich cierpień, jakich jej przyczyniłem, ja także musiałem doświadczyć. I wiem z całą pewnością, że cierpię przez nią.

Domyśliłem się, czyjego imienia hrabia Henryk nie chciał wymienić, i odparłem surowo i cicho:

— Renaty nie ma już wśród żywych.

Hrabia Henryk znów wzdrygnął się i puszczać cugle zakrył twarz rękami. Potem podniósł na mnie swoje duże oczy i spytał ze wzruszeniem:

— Umarła? Powiedźcie mi, panie, jak ona umarła? Lecz nagle sam sobie przerywając, zaprotestował:

— Nie, nic mi nie mówcie. Żegnajcie, panie Ruprechcie.

Zawrócił konia, kierując go na prowizoryczny most, i wkrótce był już po drugiej stronie ryczącego potoku, gdzie czekali na niego przewodnicy i Lucjan,

a ja pogalopowałem, by dogonić swych towarzyszy, którzy daleko już ujechali górską wijącą się drogą.

W Sabaudii spędziłem trzy tygodnie i kiedy zakupiliśmy tyle towaru, ile nam było trzeba, postanowiliśmy wracać przez Delfinat, gdzie można było po przystępnej cenie nabyć welur, z którego słyną jego miasta, i w tym celu z Turynu pojechaliśmy do Susy, a z Susy do Grenoble, kierując się do Lyonu. W Grenoble, niedużym, lecz miłym mieście nad Izerą, gdzie spędziłem kilka dni, czekała mnie ostatnia przygoda mająca związek z opowiedzianą przeze mnie historią. Kiedy bowiem rano bez szczególnego celu wałęsałem się po mieście, oglądając jego kościoły i po prostu jego ulice, nagle ktoś zawołał mnie w naszym języku po imieniu i gdy się odwróciłem, długo nie mogłem poznać tego, który do mnie przemówił, gdyż mniej niż kogokolwiek innego mogłem się spodziewać, że go w tych stronach» spotkam, i dopiero kiedy wymienił swoje imię, zobaczyłem, że to istotnie Aureliusz, uczeń Agrypy z Nettesheimu.

Kiedy spytałem Aureliusza, z jakiego powodu znalazł się tutaj, w odpowiedzi rozsypał przede mną cały kosz żalów.

— Ach, panie Ruprechcie, mówił — nastały dla nas bardzo złe czasy! Nauczyciel opuścił Bonn i zamierzał osiedlić się w Lyonie, gdzie dawniej mieszkał i gdzie ma krewnych i protektorów. Tam jednak nagle go pojmano i wtrącono do więzienia, pięćdziesięcioletniego starca, bez wyjaśnienia przyczyn, bez żadnej winy z jego strony, jak się zdaje tylko dlatego, że w jego dziełach są napaści na Kapetyngów! Co prawda wskutek wstawiennictwa wpływowych przyjaciół prędko go wypuszczono, lecz wiele z jego mienia mu nie zwrócono, i przy tym, będąc człowiekiem starym i chorym, zaniemógł. Z Lyonu bez bagażu przyjechaliśmy tutaj, lecz nauczyciel zległ na dobre, któryż to już dzień nie wstaje z łóżka i bardzo źle się czuje! Dzięki Bogu, że okazał nam współczucie jeden z tutejszych notabli, pan François de Vachon, prezydent parlamentu, który dał nam przytułek i wyżywienie, bo doprawdy nie mielibyśmy za co chleba kupić!

Zapytałem, czy będę mógł Agrypę odwiedzić, Aureliusz zaś rzekł:

— Rozumie się, że możecie, panie, przy tym pora już, bym wrócił do domu, boję się bowiem na dłużej opuszczać nauczyciela.

Aureliusz poprowadził mnie w kierunku Izery, po drodze nadal skarżąc się na niesprawiedliwość i niewdzięczność ludzi, z goryczą zarzucając memu przyjacielowi, Johannowi Weyerowi, że przed odjazdem Agrypy do Delfinatu porzucił nauczyciela i w chwili obecnej żyje sobie szczęśliwie w Paryżu. Na skrzyżowaniu nabrzeża z inną ulicą stał niewysoki stary dom, ozdobiony zresztą jakimś herbem wyrzytym w kamieniu — właśnie to mieszkanie, dane z

łaski, zajmował teraz Agrypa z Nettesheimu. Ledwo weszliśmy do sieni, kiedy na spotkanie nasze wyszedł Augustyn, zalany łzami, co niezbyt pasowało do jego szerokiej krągłej twarzy, i zapominając nawet przywitać się ze mną oznajmił, że z nauczycielem jest całkiem źle.

Na palcach przeszliśmy do pokoju, gdzie w szerokim małżeńskim łóżu, pod baldachimem, w niewygodnej pozycji nieruchomo leżał, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała, wielki czarodziej, już podobny do trupa, bowiem rysy jego twarzy zaostrzyły się i zdawało się, że dawno nie golona broda odrosła po śmierci. Dokoła łóża w bolesnym milczeniu stali uczniowie, słudzy i synowie Agrypy, a także dwie lub może trzy osoby, których nie znałem, tak że w sumie, jak miemam, było tu wraz ze mną dziesięciu lub jedenastu ludzi. Przy samym łóżu, z przygnębieniem położywszy mordę na kołdrze, siedział duży, kudłaty, czarny pies, ten sam, którego Agrypa nazywał Monseigneur. Cały wygląd pokoju sprawiał wrażenie tymczasowego postoju, gdyż wśród mebli, pozostawionych widocznie przez właściciela domu, wszędzie leżały rzeczy Agrypy, wszędzie rozrzucone były książki.[261]

Obecni szeptem wymieniali uwagi, nie mogłem jednak zrozumieć, o czym mówili nie znani mi ludzie, rozmawiali bowiem po francusku. Słyszałem tylko, jak Emanuel powiedział Aureliuszowi, że w czasie, kiedy go nie było, poproszono księdza, że Agrypa był wtedy przytomny, że się spowiadał i przystąpił do komunii świętej i według słów duchownego zachował się przy tym sakramencie „jak święty” — co mnie bardzo zdumiało. Ze swej strony spytałem Emanuela, czy Agrypę odwiedzał medyk, na co mi odrzekł, że niejednokrotnie i że wszystkie środki zalecane przez sztukę lekarską zostały we właściwym czasie przyjęte, lecz że nie można mieć nadziei na uratowanie chorego i że śmierć już postawiła swą kosę u wezglowia tego łóża.

Ponad pół godziny, jak miemam, spędziliśmy na męczącym oczekiwaniu, przy czym Agrypa nie zmienił pozycji, nie poruszył się i tylko jego chrypliwy oddech świadczył o tym, że jeszcze żyje. Już miałem zamiar choćby na krótko wrócić do moich współtowarzyszy, by ich powiadomić, gdzie przebywam, kiedy nagle rozegrała się scena niesamowita i dla mnie niepojęta. Umierający nagle otworzył oczy, obwiodł nas wszystkich spojrzeniem zamglonym, jakby już nic nie widzącym, pod którego wpływem wszyscy zdrętwieli, zatrzymał je na psie siedzącym przy łóżku. Potem koścista ręka, całkiem poźółkła, a na końcach palców nawet poczerniała, oderwała się od kołdry, czas pewien chwiała się bezsilnie w powietrzu, jakby już nie była posłuszna woli człowieka, i z wolna opuściła się na szyję psa. Zastygli w niepojętym przerażeniu widzieliśmy, jak Agrypa starał się rozpiąć obrozę, zapisaną znakami kabalistycznymi, jak wreszcie to mu się udało, i brzęk obroży, która upadła na

podłogę, przejął nas dreszczem jak najstraszniejsza groźba, W tejsze chwili zlepiene wargi Agrypy, zupełnie podobne do warg trupa, rozwarły się i poprzez ciężkie chrypienie umierającego wyraźnie usłyszeliśmy wymawiane przez niego następujące słowa:

— Idź precz, Przeklęty! Ty sprowadziłeś wszystkie moje nieszczęścia!

To powiedziawszy Agrypa znów pozostał nieruchomy, z zaciśniętymi ustami i zamkniętymi oczyma, zaś ręka, którą rozpiął obrozę, zwisła z posłania niczym woskowa, a my nie zdążyliśmy jeszcze pojąć sensu usłyszanych słów, kiedy inne zdumiewające zjawisko przyciągnęło naszą uwagę. Czarny pies, któremu jego pan zdjął magiczną obrozę, zerwał się, nisko pochylił łeb, wtulił ogon między nogi i uciekł z pokoju. Kilka chwil nie wiedzieliśmy, co począć, lecz potem niektórzy, a w ich liczbie także ja, powodowani ciekawością rzucili się do okna wychodzącego na nabrzeże. Ujrzeliśmy, że Monseigneur wybiegł z drzwi domu i zachowując swój pokorny wygląd biegł ulicą, dobiegł do rzeki, całym rozpędem rzucił się do wody i już się na powierzchni nie pokazał.

I ja, i wszyscy inni świadkowie tego niezwykłego samobójstwa nie mogliśmy oczywiście nie przypomnieć sobie tajemniczych bajd krążących o tym psie, a ściśle, że to nie kto inny, tylko domowy demon, z którego usług Agrypa korzystał w zamian sprzedając Diabłu zbawienie swej duszy. Mnie uderzyły szczególnie słowa, które Agrypa wypowiedział przed śmiercią, i całe jego zachowanie, zważywszy na surowe potępienie magii, które niegdyś w mojej obecności wygłosił, wyśmiewając pseudomagów, zajmujących się goecją, nazywając ich kuglarzami i szarlatanami.

Przez krótką chwilę ujrzałem Agrype, choć na łożu śmierci, takim, jakim go przedstawiają ludzkie gadki — tajemniczym czarnoksiężnikiem żyjącym życiem odmiennym od życia innych ludzi. W tym momencie nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad takimi zagadnieniami, gdyż pełne żalu okrzyki osób stojących w pobliżu łoża umierającego dały mi znać, że jego cierpienia się skończyły.

Wokół zapanowało zaraz zwykle w takich razach wzruszenie, jakie w sercach naszych budzi śmierć, zawsze spadająca niczym ciężki kamień w stojącą wodę: jeden z uczniów płacząc całował ręce zmarłego nauczyciela, drudzy zatroszczyli się, by zamknąć mu oczy, trzeci pośpieszyli wezwać jakieś kobiety, by obmyły i ubrały nieboszczyka. Wkrótce pokój zapełniło mnóstwo ludzi przybyłych, by spojrzeć na zmarłego maga, ja zaś skorzystałem z ogólnego zamieszania i niepostrzeżenie opuściłem dom, w którym nie byłem teraz potrzebny. Swoim towarzyszom drogi, którzy znali mnie jako poczciwego kolegę Bernarda, oczywiście nie powiedziałem ani słowa o tym, co widziałem, i tegoż dnia wieczorem wyjechaliśmy z Grenoble.



Po powrocie do Strasburga przypadła mi w udziale wystarczająca suma pieniędzy, bym na własne ryzyko przedsięwziął podróż do Hiszpanii i odbyłem ją bez szczególnych przygód, w pełni zimy, jadąc przez całą Francję. Na ziemi hiszpańskiej poczułem się jakby w drugiej ojczyźnie i w Bilbao bez zbyteńnego trudu znalazłem ludzi, którym moje nazwisko nie było całkiem obce i którzy zgodzili się przyłączyć mnie, jako człowieka doświadczonego i dzielnego, do zamierzonej przez nich wyprawy do Nowego Świata — a ściśle na północ od Florydy, w górę rzeki Świętego Ducha[262], gdzie szczęśliwym poszukiwaczom udawało się odkryć całe kopalnie złota. Tym sposobem urzeczywistniły się moje skromne plany i wiosną, z pierwszymi odpływającymi karawelami, statek nasz wyruszył za ocean.

Miesiące przymusowej beczynności, kiedy ładowano nasz statek, kiedy kompletowano załogę i kiedy zimowe wiatry niebezpiecznym czynią pływanie na otwartym morzu, poświęciłem sporządzeniu tych prawdziwych zapisek — pracy męczącej, którą teraz doprowadzam do końca, spinając jakby ostatnią kłamrą. Nie mnie sądzić, jak dalece udało mi się opowiedzieć ci, łaskawy czytelniku, wszystkie okrutne męki i ciężkie doświadczenia, w jakie wciągnęła mnie niepohamowana namiętność do kobiety, nie mnie także oceniać, czy zapiski te mogą stać się pożytecznym ostrzeżeniem dla słabych dusz, które podobnie jak ja zechcą zaczerpnąć siły w mrocznych i podejrzanych studniach magii i demonomancji. W każdym razie pisałem swą opowieść z całą szczerością, przedstawiając ludzi takimi, jakimi ich widziałem, i nie oszczędzając samego siebie, kiedy trzeba było ukazać własne słabości i braki, podobnie jak nie zataiłem nic z tej wiedzy, jaką o naukach tajemnych nabyłem z przeczytanych ksiąg, ze swego nieszczęsnego doświadczenia i z tego, co mówili uczeni, do których przybliżały mnie przypadki kierujące moim losem.

Nie chcąc kłamać w ostatnich liniijkach mej opowieści, powiem, że gdyby życie moje cofnęło się o półtora roku i na drodze wiodącej do Dusseldorfu czekało mnie spotkanie z dziwną kobietą — być może znów popełniłbym wszystkie te same szaleństwa i znów przed tronem Diabła wyrzekłbym się zbawienia wiekuistego, albowiem po dziś dzień, chociaż Renaty już nie ma, w duszy mej jak parzący węgielek trwa przemożna miłość do niej i wspomnienie o tygodniach szczęścia naszego w Kolonii napęłnia mnie tęsknotą i udręką, nienasyconym i niezaspokojonym pragnieniem jej pieszczot i jej bliskości. Z całą stanowczością mogę tu poprzysiąc na swoje sumienie, że w przyszłości nigdy tak bluźnierczo nie oddam nieśmiertelnej duszy, włożonej we mnie przez Stwórcę — we władanie jednego z Jego tworów, jakiej by kuszącej postaci ów twór nie przybrał, i że nigdy, bez względu na to, jak ciężkie mogłyby się okazać warunki mego życia, nie zwrócę się o pomoc do potępionych przez Kościół

wrózb i zakazanej wiedzy i nie będę próbował przestąpić świętej granicy oddzielającej świat nasz od ciemnego obszaru, gdzie krążą duchy i demony. Pan nasz wszystko widzący, także i głębię serc ludzkich, świadom jest czystości mej przysięgi. Amen.

KONIEC OPOWIEŚCI

## Posłowie

Do niedawna jeszcze, a ściślej do roku 1976, kiedy to ukazał się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego tom opowiadań pt. „Rea Silvia”, Walery Briusow znany był czytelnikom polskim wyłącznie jako poeta, jeden z twórców rosyjskiego symbolizmu, autor między innymi takich zbiorów wierszy jak „Chefs d'oeuvre” (1895), „Me eumesse” (1897), „Tertia Vigilia” (1900), „Urbi et Orbi” (1903), które to zbiorki zapewniły mu — nie od razu zresztą — sławę „poety marmuru i brązu”, znakomitego wersyfikatora. A przecież, choć wszedł do historii literatury przede wszystkim jako poeta, Briusow przez całe życie uprawiał w nie mniejszym stopniu niżli poezję własnie prozę, która w jego twórczości zajmowała równie poczesne miejsce co poezja. Co więcej, tę ostatnią łatwiej niejednokrotnie zrozumieć właśnie poprzez jego prozę. Autor „Ognistego anioła” pisał nowele i powieści, eseje i szkice o charakterze wspomnieniowym, dramaty, nie mówiąc o drobnych recenzjach i poważnych studiach literaturoznawczych.

Zdumiewał już współczesnych. Nie tylko skalą talentu, łatwością, z jaką uprawiał najprzeróżniejsze gatunki — dosłownie wszystkie — lecz i niezwykle pracowitością, „monstrualną pracowitością”, jak się wyraził Andrzej Biely w swych wspomnieniach pt. „Początek wieku” („Naczało wieka”). „Pracował do siódmych potów” — czytamy w tychże wspomnieniach — utrzymywał stosunki z redakcjami Polski, Francji, Grecji, rzucając się w wir polemik z całą rosyjską prasą, biegał po drukarniach i przyjmował interesantów w „Skorpionie”, znanym wydawnictwie rosyjskim istniejącym w latach 1900—1916, które jako pierwsze jęło publikować książki symbolistów rosyjskich. Zdawało się, że był jednocześnie wszędzie, na wszystko znajdując czas. „To nie człowiek — to instytucja” — mawiano o nim na początku wieku.

Walery Briusow, wnuk chłopca pańszczyźnianego, syn zamożnego kupca moskiewskiego, ową niesamowitą wręcz energię i pracowitość odziedziczył snadź po swych przodkach. Szły z nią w parze nieprzeciętne zdolności (miał trzy lata, kiedy nauczył się czytać!) i rozległe zainteresowania: pasjonował się nie tylko literaturą, lecz także matematyką, malarstwem, muzyką, astronomią, filozofią, a także — w pewnym okresie życia — okultyzmem, „wiedzą tajemną”, historią magii i astrologii. Dał się również poznać jako wyborny tłumacz literatury antycznej, klasyków, literatury światowej i pisarzy współczesnych:

przełożył między innymi „Eneidę” Wergiliusza, „Fausta” Goethego, przekładał symbolistów zachodnioeuropejskich (wśród nich Verhaerena), poetów ormiańskich i wielu, wielu innych.

Nic przeto dziwnego, że niezmiernie duża działalność twórcza Briusowa, jego wszechobecność w życiu intelektualnym Rosji budziła powszechne zadziwienie. Ale też sama jego osobowość — już nie tyle artysty, co człowieka — wydawała się i wydaje po dziś dzień zagadkowa. Mogłoby się bowiem zdawać, że z perspektywy minionych lat, z potoku wszelkiego rodzaju materiałów (artykułów, esejów, publikacji archiwalnych, wspomnień i spuścizny epistolanej, a także licznych ineditów jego pióra, spoczywających w ogromnym archiwum pisarza. Wszystkie te publikacje odnotowuje „Bibliografia W. J. Briusowa” wydana w Erywaniu), jakie ostatnimi laty — po okresie niesłusznego zapomnienia — udostępniono miłośnikom jego talentu, winien się wyłonić portret wewnętrzny Briusowa — psychiczny, intelektualny, artystyczny — portret nakreślony w sposób wystarczająco szczegółowy i przekonujący. Tymczasem po lekturze tych wszystkich ogromnych ilościowo materiałów (co prawda, niestety, wspomnień jest tu znacznie mniej i nie tak znowu wiele do owego portretu wewnętrznego Briusowa wnoszących) — pozostajemy w rozterce. I zda się, im więcej o nim czytamy — i czytać jeszcze zapewne będziemy — tym bardziej wymyka się on nam, tym bardziej staje się nieuchwytny, enigmatyczny ten chyba jedyny tego pokroju pisarz rosyjski. A przecież nie tylko pisarz, bo jak się rzekło, i uczony, wielkiej miary erudyta, człowiek rozległej encyklopedycznej wiedzy, znakomity organizator życia intelektualnego, świetny redaktor, pomysłodawca wielu inicjatyw wydawniczych. Jako taki — w tym połączeniu cech umysłowych i pisarskich — Briusow nie ma bodajże sobie równych wśród koryfeusza literatury rosyjskiej.

Nie mniejsze zdumienie budziła jego postawa wobec rosyjskiej rzeczywistości społeczno-politycznej przed i po roku 1917. Jak się rzekło, w publikowanych na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat materiałach dotyczących Briusowa i jego dzieł znajdujemy niemało faktów uzupełniających naszą wciąż niepełną o nim wiedzę. Wielu spośród autorów tych przyczynków, artykułów i publikacji materiałowych komentuje fakt opowiedzenia się przywódcy symbolistów rosyjskich po stronie Rewolucji Październikowej i jego wstąpienia do partii bolszewików. Był to krok, który niejednego zaskoczył. Pamiętano wszak dobrze, że nie kto inny jak Briusow w roku 1905 namiętnie polemizował na łamach „Wiesów”, czasopisma, którego był w latach 1904—1909 faktycznym redaktorem, z tezami Lenina wyłożonymi w jego artykule „Partyjna organizacja i partyjna literatura”, występując w

obronie, jak sądził, wolności twórczej, przeciwko narzucaniu twórcom jakichkolwiek normatywów. Postawa Briusowa po roku 1917, wymagająca — co tu ukrywać — sporej odwagi, wywołała szok wśród inteligencji twórczej, która bojkutowała rodzącą się władzę. Symbolista — bolszewikiem! Trudno było w to uwierzyć. Briusow wstąpił zresztą do partii nieco później, w roku 1921, choć opowiedział się po stronie Października od razu. Wśród argumentów przemawiających za podjęciem tej niełatwej decyzji Briusow, pisarz nawykły wszak do aktywności, mający wewnętrzną potrzebę działania, niewątpliwie musiał uwzględnić i ten, że Rewolucja da i jemu takie właśnie możliwości. Bez tego nie wyobrażał sobie życia. Nie nęciło go emigracyjne wegetowanie w oderwaniu od potencjalnych czytelników i słuchaczy, od kraju, w którym otwierała się perspektywa czynu, jakiego był zawsze tak spragniony. Wszak już w okresie pierwszej rewolucji rosyjskiej 1905 roku pisał do jednego ze swych znajomych: „Witam Pana w dni rewolucji. O ile zawsze czułem (i czuję nadal) odrzucenie do liberalnego głądzenia, o tyle bliskie mi jest rewolucyjne działanie”.

A zarazem właśnie wtedy, w owe gorące i tragiczne dni, pochłonięty był Briusow bez reszty pisaniem „Ognistego anioła”, niesamowitej powieści osadzonej w szesnastowiecznych Niemczech, powieści łączącej w sobie w sposób zadziwiająco harmonijny osobliwe zafascynowanie demonologią, astrologią i wątkami autobiograficznymi, historię autentyczną, przeżytą osobiście i wymyśloną fantazję, psychopatologię z normalnymi przeżyciami uczuciowymi, chłodną refleksją z głęboką udręką duchową, jakże daleką — zdawałoby się — od ówczesnej problematyki społeczno-politycznej, od tego wszystkiego, czym żył kraj...

Trafnie zauważył Sergiusz Szerwiński, poeta i tłumacz, który wraz z Briusowem brał udział w opracowywaniu pierwszej rosyjskiej antologii poezji omiańskiej: „Była to skomplikowana natura. Cechy dodatnie i ujemne, namiętność i chłód, ciążenie ku klasycyzmowi i zapędy nowatorskie, historia i współczesność — wszystko to tworzyło zadziwiający stop owej niełatwej do rozgryzienia indywidualności. Mówić o Briusowie jak należy — oznaczałoby pisać o nim całą księgę”.

Całą księgę — albo i kilka nawet — można by napisać również o „Ognistym aniele”. Uczeni, historycy mogliby opatrzyć każdy rozdział obszernymi komentarzami, wyjaśniając poszczególne fakty i wydarzenia tam opisane, przytoczone, wspomniane. Dotyczy to zresztą w równym stopniu jego poezji, częstokroć trudnej i niezrozumiałej dla przeciętnego czytelnika, do tego stopnia erudycja Briusowa nasyciała ją pojęciami i faktami domagającymi się dziś wyjaśnienia. „Každy swój wers mógłbym opatrzyć mnóstwem

przypisów" — wyraził się był Briusow — i nie bez kozery. Poeta, pisarz stąpił się w nim w sposób niezwykle organiczny z uczonym, człowiekiem rozległej, wszechstronnej wiedzy. Zaiste w tym sensie był Briusow spóźnionym przedstawicielem epoki renesansowej! Znalazło to także wyraz w „Ognistym aniele” — utworze opartym o przebogata dokumentację źródłową w różnych językach — przede wszystkim teksty francuskie, niemieckie i oczywiście rosyjskie — dotyczącą magii, czamoksięstwa, procesów świętej inkwizycji, rozwoju kultury materialnej i duchowej ówczesnych Niemiec, ich sztuki w jej różnorodnych przejawach, nie mówiąc o gruntownym zaznajomieniu się z podłożem historycznym rozgrywających się tam wydarzeń.

W efekcie obraz epoki wskrzeszonej przez Briusowa był do tego stopnia plastyczny, wierny, dokładny, tyle miał w sobie autentyzmu, że niemieccy odbiorcy jego powieści (Materiały do recepcji „Ognistego anioła” w Niemczech zebrała w komentarzach do IV tomu „Dzieł zebranych” W. Briusowa (Moskwa 1974) Helena Czudiecka, wieloletni kustosz Muzeum W. J. Briusowa w Moskwie, znawca jego archiwum, autorka nader interesujących wspomnień o pisarzu.) — przełożonej na język niemiecki przez Reinholda von Waltera i wydanej w Monachium w roku 1910 — nie wierzyli w jej obce pochodzenie, uważając, że mogła wyjść jedynie spod pióra pisarza niemieckiego. Jeden z nich zwrócił się nawet do autora z prośbą o wskazanie mu, gdzie się znajduje rękopis XVI-wieczny, z którego Briusow przełożył swego „Ognistego anioła”! Już wcześniej zresztą pisano w Niemczech o powieści tej” niezmiernie pochlebnie. Oto na przykład recenzent „Das Literarische Echo” 1 kwietnia 1907 roku stwierdzał: „Obrazy myśli i języka wyobrażonej epoki zostały odtworzone z takim mistrzostwem, iż w trakcie lektury mimo woli rodzi się pragnienie powtórnego przełożenia powieści na niemieczyzną Tomasza Murmera lub Fischarta... Przy pomocy samych tylko studiów nad rozlicznymi źródłami, co też Briusow uczynił, nie sposób osiągnąć takiego wrażenia; mamy tu do czynienia z tą umiejętnością przeistaczania się, która cechuje niezmiennie każdego wielkiego poetę”. Z kolei sprawozdawca pisma „Berliner Lokal-Anzeiger” (14 stycznia 1910) oświadczył wręcz: „Nie wierzę w rosyjskie pochodzenie autora powieści, bowiem taka znajomość naszej historii jest bodajże niemożliwa u cudzoziemca”.

Niemiecki zaś poeta i tłumacz Maksymilian Schick określił Briusowa jako godnego kontynuatora powieści psychologicznej zestawiając „Ognistego anioła” z Flaubertowskim „Salammbó”, o czym donosiła gazeta „Gołos Moskwy” 4 lutego 1909 roku. Porównanie to wydaje się chybione, choć — oczywiście — zestawiać można wszystko ze wszystkim. Wszelako trafnie wydobyl Schick istotę utworu Briusowa. W rzeczy samej jest to powieść par

excellence psychologiczna, a właściwie w sposób misterny i kunsztowny traktująca o stanach psychopatologicznych, o dewiacjach mentalnych, o anormalnościach ducha ludzkiego, o udrękach psychicznych sobie samemu i innym zadawanych. Sprawy te fascynowały nie od dziś pisarzy pod różnymi szerokościami geograficznymi, a i literatura rosyjska nie stroniła od tej tematyki: wystarczy przypomnieć choćby Gogolowski „Pamiętnik wariata”, „Sobowtóra” Dostojewskiego, czy Fiodora Sołoguba z jego „Małym biesem”, w którym odmalował niemal kliniczny obraz manii prześladowczej. Do tematyki tej sięgali i d'Annunzio, i Knut Hamsun, nie mówiąc o Przybyszewskim, który tak urzekł Briusowa.

Niewątpliwie tradycje te — dawne i nowe — znalazły wyraz w „Ognistym aniele” oraz w innych utworach Briusowa, w których różne formy obłędu poddane zostały analizie obleczonej w kunsztowny kształt literacki. O pełnej słodyczy tyranii miłości pisali i Dostojewski, i d'Annunzio, i Przybyszewski. W ich powieściach bohaterowie toczą ze sobą miłosny pojedynek, zdręczają się wzajemnie, kochają, nienawidzą, zrywają ze sobą, powracają do siebie, łamią sobie życie. U Briusowa — w „Ognistym aniele”, jak i zresztą w wielu jego opowiadaniach sprawy te podejmujących — mamy do czynienia z analogicznymi stanami psychicznymi i sytuacjami. Wszelako — jak słusznie zauważa radziecka badaczka prozy Briusowa, Z. Jasińska (Z. Jasienskaja, „Istoriczeskij roman Briusowa «Ogniennyj aniel» (w): „Briusowskije cztienija 1963 goda”, Jeriewan 1964. s. 113.) — takiej kobiety jak Renata nie pokazał przed Briusowem nikt. Bohaterka tej fascynującej powieści odsłania się na jej kartach w całej niekonsekwencji swego postępowania i w reakcjach, w gmatwaniu sprzeczności postępującej choroby psychicznej, opisanej z wręcz nadmiernym naturalizmem, widzianej jakby okiem wytrawnego psychiatry, który śledzi i rejestruje beznamiętne stany psychiczne swej pacjentki, jej przeskoki od szaleczącej radości do beziernego smutku i beznadziejnej rozpaczki, od hysterii do prostracji, od łagodnej bierności do wścieklej energii, od pełnej uniesienia miłości do wrogiej agresywności wobec ukochanego. Owe zmiany w nastrojach Renaty jednocześnie przyciągają i odpychają zakochanego w niej Ruprechta, napełniają go zgrozą i zarazem niewytłumaczalną błogością. Ową potęgę miłosnego zaczarowania — w swej skrajnej odmianie patologicznej — oddał Briusow z niezwykłą zaiste siłą wyrazu artystycznego.

Taką potęgę miłości opiewać będzie po upływie kilku dziesięcioleci inny pisarz rosyjski, również łącząc wątki autobiograficzne z rzeczywistością, tyle że nie historyczną, lecz współczesną, zarazem wplatając w nią — z nie mniejszą maestrią niżli Briusow — piękny wątek zamierzchłych dziejów ludzkości o

Poncjuszu Piłacie i Ukrzyżowanym, a także wprowadzając do swego dzieła świat demonów i wiedźm nieustannie ingerujących w życie bohaterów. Mowa oczywiście o „Mistrzu i Małgorzacie” Michała Bułhakowa: sabat, w którym uczestniczyła Renata, przywodzi z miejsca na myśl bal u Szatana, gdzie królowała Małgorzata, nie mówiąc o wątku faustowskim obu powieści i wielu innych cechach wspólnych. W przeciwieństwie jednak do destrukcyjnej, fatalistycznej powieści Briusowa, u Bułhakowa będzie to miłość uzdrawiająca, oczyszczająca, stanowiąca prawdziwą radość i oporę człowieka w najtrudniejszych momentach jego życia. Briusow pozostawał bowiem do końca chłodnym racjonalistą, nawet wówczas, gdy przenosił się z takim znanstwem i rozsmakowaniem w świat irracjonalny, podczas gdy Bułhakow był pisarzem głębokiej, mistycznej wręcz wiary, w tym także w nieograniczoną potęgę uczucia.

„Ognisty anioł” — powieść historyczno-psychologiczna rozgrywająca się w XVI-wiecznych Niemczech, których realia odtworzył Briusow z takim mistrzostwem, miała też — jak wspomnieliśmy — podkład ściśle biograficzny, była swoistym rozrachunkiem z fragmentem własnego życia pisarza.

Prototypem Renaty była Nina Pietrowska, dziś niemal zupełnie zapomniana, lecz podówczas znana postać w środowisku symbolistów rosyjskich, pisarka, której talent wysoko cenili autor „Ognistego anioła”. Koleje jej życia ułożyły się tragicznie: wyjechała z Rosji w roku 1908 na skutek dramatu osobistego, mieszkała stale we Francji odwiedzając niekiedy Moskwę; lata pierwszej wojny światowej i rewolucji spędziła w Rzymie, potem wyjechała do Berlina. W szczególnie trudnej sytuacji znalazła się w roku 1924: zerwała wszelkie więzy z krajem ojczystym, zaś z emigracją rosyjską nie potrafiła znaleźć wspólnego języka. Oplakane warunki materialne, niemożność ogłoszenia drukiem nawet swych wspomnień \*(Fragmenty tych wspomnień opublikowane zostały, w t. 85 wydawnictwa „Litteraturnoje Nasledstwo” poświęconym Briusowowi, w opracowaniu J. A. Krasowskiego (Moskwa 1976, s. 773—798)), samotność, kiedy zawiodła nawet ostatnia deska ratunku — zwróciła się o pomoc do Maksyma Gorkiego, ale i jego zabiegi w sprawie wydania jej pamiętników nie przyniosły oczekiwanych rezultatów — wszystko to sprawiło, iż w skrajnej rozpacz chora psychicznie Pietrowska popełniła w roku- 1928 samobójstwo. Miała wówczas zaledwie czterdzieści cztery lata...

Jej korespondencja z Walerym Briusowem, opublikowana niestety tylko w nieznaczącej części, rzuca dodatkowe światło właśnie na powstanie „Ognistego anioła”, na wątek autobiograficzny tej powieści. „Będę pisać do Ciebie — pisał Briusow do Pietrowskiej w jednym z listów z tego okresu — wiele i bez



końca. Pisać będę Twoją powieść, od dnia dzisiejszego, od tej godziny, kiedy wrócę do domu. Musi być napisana, i to bardzo pięknie, stać się całą epoką w literaturze. Przysięgam Ci to". W kolejnym liście do Pietrowskiej Briusow wyznawał: „Byłem zupełnie bez sił, całkowicie zgnębiony. (...) I oto powróciwszy z poczty, gdzie przeczytałem linijki Twe, odepchnąłem z miejsca wszystko (...). Wziąłem arkusz papieru i zacząłem pisać. I wiem, i czuję, i widzę, że mogę pisać. By napisać Twą powieść, wystarczy, bym Cię wspomniał, wystarczy, bym Ci wierzył, bym Cię kochał. Bądź mą przewodniczką i tutaj, moją latarnią morską, moim promieniem, jak w świecie Miłości. Miłość i twórczość prozatorska — to moje dwa światy. Do jednego zaciągnęłaś mnie daleko, w krainę baśni, w niezwykle ziemie, dokąd rzadko kto trafia. Niechajże się to stanie i w tamtym świecie". A oto jeszcze jeden fragment listu Briusowa do Pietrowskiej z czerwca 1905 roku: „Jedną mam teraz tylko radość (...) moją powieść. Twoją powieść. Piszę ją z zapałem, piszę cały nią pochłonięty, cały dzień (...). I przyłapuję się na tym, że gram niczym aktor: głośno wymawiam słowa mojej Welli (pierwotne imię Renaty — R. S.), usiłując odtworzyć Twój sposób wymawiania, czuję czasami, że tak byś właśnie powiedziała, i triumfuję wreszcie, że oto jest właściwy głos". (Listy cytowane wg: S. S. Grecziszkin, A. W. Ławrow, „O rabotie Briusowa nad romanom «Ogniennoj angieb»", (w:) „Briusowskije cztienija 1971 goda", Jeriewan 1973, s. 121—139.)

W radosnym uniesieniu pisał Briusow tę powieść o Renacie — Ninie Pietrowskiej, o Ruprechcie, czyli sobie samym i o hrabim Henryku — Andrzeju Bielym. Wiadomo bowiem, że u podstaw „Ognistego anioła" legły biograficzne perypetie łączące — a zwłaszcza dzielące w pewnym okresie — tych troje ludzi. Mówił o tym sam Briusow, pisał też Andrzej Biely (A. Bielyj, „Poczemu ja stał simwolistom i poczemu ja nie piedestał im byt' wo wsiach fazach mojego idiejnogo i chudożestwiennogo razwitiija", „Litieraturnoje Nasledstwo", op. cit., s. 332.), który stwierdził czarno na białym, iż Briusow dokonał „mityzacji (...) naszych stosunków w latach 1904—1905 w swym «Ognistym aniele», gdzie ukoronował mnie rolą hrabiego Henryka", wspominała o tym epizodzie swego życia Pietrowska, według której Biely miał w nim odegrać rolę „nowego Chrystusa"... Zawikłane dzieje tego trójkąta dałyby się zapewne odtworzyć z zachowanych dokumentów, zwłaszcza tych, które spoczywają w bogatym archiwum autora „Ognistego anioła". Ale po co? Najważniejsze, że z inspiracji tej narodziła się ta urzekająca powieść historyczno-psychologiczna, fascynująca swą niesamowitością, niepowtarzalnym klimatem, powieść zajmująca miejsce wyjątkowe nie tylko w dorobku twórczym Briusowa, lecz i w ogóle w literaturze światowej.

René Śliwowski

Po raz pierwszy opowieść „Ognisty anioł” została wydrukowana w czasopiśmie „Wiesy” (1907 r. nr nr 1—3, 5—12, 1908 r. nr nr 2, 3, 5—8).

Pierwsze książkowe wydanie opowieści ukazało się w dwóch tomach w latach 1908—1909 (wyd. „Skorpion”, Moskwa).

---

[1] „W końcu roku 1504, 5 lutego”. Na początku XVI wieku rok jeszcze zaczynano liczyć od Wielkanocy.

[2] „Podwójny i potrójny doktorat” — *utriumque iuris et medicinae*.

[3] Dzieło z dziedziny medycyny Joannicjusza, lekarza syryjskiego, nestorianina, przełożone na łacinę, cieszyło się w średniowieczu wielkim uznaniem, na równi z dziełami Hipokratesa, z których często czyniono zbiory aforyzmów, a także Galena i Awicenny.

[4] „Doctrinale”, utwór w heksametrach z dziedziny gramatyki łacińskiej Aleksandra de Villedieu (XI - XII w.), i „Copulata”, utwór z dziedziny logiki Piotra z Hiszpanii, późniejszego papieża Jana XXI (XIII wiek), podręczniki szkolne niejednokrotnie wspomniane w „Pismach ciemnych ludzi”.

[5] Bernard Walther, uczeń Regiomontanus, odkrył między innymi atmosferyczne załamywanie się światła (XV - XVI w.), znany był tylko w kręgach specjalistów. Wręcz przeciwnie, Teofrast Paracelsus, lekarz, alchemik, filozof i fantasta, cieszył się olbrzymią sławą i znała go cała Europa. Dzieło Kopernika „O obrotach ciał niebieskich” pojawiło się drukiem dopiero w 1543 r., lecz jego idee świat nauki znał już wcześniej. Autor „Opowieści” sam mówi (rozdział XII), od kogo się o nich dowiedział.

[6] „Vallum humanitatis” — tytuł pracy Hermana von Buscha, w której broni on światopoglądu humanistycznego (wyd. w 1518 r.). Erazm z Rotterdamu (1467— —1536) w tym okresie, kiedy pisał autor „Opowieści”, przeżył już okres największej sławy. „De hominis dignitate” Pico della Mirandoli (1463—1494) cieszyło się wielkim uznaniem pierwszych humanistów niemieckich.

[7] Wyrażenie „czasy cesarza Fryderyka” (1416 - 1493) było w owym okresie jakby porzekadłem. Szybkie tempo życia na początku XVI w. wydawało się współczesnym „równie zdumiewające, jak nam energia przemysłowa naszych czasów”. (Sformułowanie K. Lamprechta.)

[8] Herman von Neuenahr — jeden z nielicznych humanistów zamieszkałych w tej epoce w Kolonii (1491 - 1530).

[9] Gramatyka Zintena — dzieło Johanna Zintena, uczonego scholastyka, pod tytułem „Composita verbum”.

[10] „Łacińskich autorów... o których nie było mowy na Uniwersytecie”. Na Uniwersytetach starej daty bynajmniej nie wszyscy antyczni autorzy

uznani byli za godnych, by ich studiowano. Wyśmiewając się z tego „Pisma ciemnych ludzi” niby z zachwytem wspominają dawne dobre czasy: „Kiedy ktoś na spowiedzi przyznał się, że u jakiegoś bakałarza potajemnie słuchał Wergiliusza, kapłan wyznaczał mu ciężką pokutę... Pewnego magistra pozbawiono stopnia naukowego za to, że w dniu postu czytał Terencjusza... Teraz jednak studenci chodzą słuchać Wergiliusza, Pliniusza i innych nowych autorów”. (Cz. II, pismo 46.)

[11] Dzieła wymienione przez autora były nowinkami tylko dla tego partykularza, w jakim żył. Pierwsze wydanie „Pochwały głupoty” Erazma ukazało się w 1509 r. później książka ta była stale wznawiana i w ciągu 30 lat miała około 40 wydań. Pierwsze wydanie „Dialogów” (Colloquia) Erazma wyszło w 1518 r. Autor „Tryumfu Wenery” Henryk Bebelius zmarł w 1581 r. Pierwsza część „Pisma ciemnych ludzi” ukazała się po raz pierwszy w 1515 r., druga - w 1517 r.

[12] Napaść Sickingena na Trewir nastąpiła we wrześniu 1522 r.

[13] Florizel z Nicei, syn Amadysa z Galii — bohater jednej z powieści „rycerskich”.

[14] „Rustica gens optima flens pessima gaudens”, co znaczy: wieśniacy są najlepsi, kiedy płaczą, najgorsi zaś, kiedy się radują — zostało to wyrażone w księdze Feliksa Hemmerlina „De nobilitate” (1457 r.). Dla niemieckich pisarzy XV - XVI w. wieśniacy byli ustawicznym przedmiotem drwin. Pisarze ci mówili: „Wieśniak tym tylko różni się od byka, że nie ma rogów”.

Der Bauer ist an Ochsen statt

Nur dass er keine Hörner hat.

[15] „Zajadłym heretykiem” nazywał Lutra Agrypa z Nettesheimu, który pisał w swojej „Apologii”: „Nunc atrox mihi crimen obicitur quod Lutherum vocaverim invicium haereticum”. (Apologia adversus calumnias, cap. XIX.) To samo wyrażenie powtarza w jednym z listów. (Epistolae, VII, 13.)

[16] Autor nazywa Georga von Frundsberga (1473 - 1528) „zwycięzcą Francuzów”, prawdopodobnie jako uczestnika bitwy pod Pawią.

[17] Guldeny reńskie od XV wieku były powszechnie używaną jednostką monetarną w krajach nadreńskich.

[18] Marsilio Ficino — humanista włoski (1433 - 1499).

[19] Dürer w owym czasie dobiegał już kresu życia (1471 - 1528), Rafael zmarł kilka lat wcześniej (1483 - 1520), Sebastiano del Piombo (1485 - 1547) i Michał Anioł (1476 - 1564) byli u szczytu sławy, Benvenuto Cellini (1500 - 1571) cieszył się już dużym rozgłosem.

[20] Kortez (1485 - 1547) po swoich podbojach w Meksyku na wiosnę 1528 r. przyjechał do Europy, był przyjęty w Toledo przez króla (tj. przez Karola V,

który był jednocześnie także cesarzem niemieckim) i otrzymał tytuł markiza Doliny Oaxaka.

[21] Z nazwą Ameryki spotykamy się (w kosmografii Marcina Waltzemüllera) już w 1507 r.; przyjęła się ona jednak dopiero znacznie później, po „Nowym Świecie” lub też „Indiach Zachodnich”. Autor opowieści używając niekiedy nazwy Ameryka, woli określenie „Nowa Hiszpania”, które właściwie oznaczało tylko Meksyk.

[22] Królewska Audjencia — tak nazywała się w Meksyku najwyższa instytucja rządowa, której prawa w 1535 r. zostały przekazane wicekrólowi.

[23] Bogaci kupcy z górnych Niemiec już od samego początku XVI w. zaczęli zakładać kolonie na Półwyspie Pirenejskim, z początku w Lizbonie, a po śmierci króla Manuela (1521) i obraniu Karola V cesarzem niemieckim — także w Hiszpanii, szczególnie w Sewilli. W tym samym czasie powstały kolonie niemieckie w Ameryce. Welslerowie, jak i Ehingerowie, na początku XVI w. dzierżawili kopalnie miedzi na San Domingo; Fuggerowie mieli faktorie na Jukatanie; Krombergerowie — kopalnie srebra w Sultepeke; Tetzelowie — kopalnie miedzi na Kubie. (K. Lamprecht. Historia narodu niemieckiego. Cz. XVI, rozdz. 1, 2.)

[24] Chicora — dawna nazwa Karoliny Tumbes — miasto w Peru. (J. Egli. Nomina geographica. Leipzig 1893).

[25] Escudo — ecu, moneta hiszpańska? tu oczywiście mowa jest o srebrnych escudo.

[26] „Przewiązałem szarawary pod kolanami”. Szarawary noszono wtedy bardzo szerokie (niektóre były nawet watowane), lecz w czasie pracy lub podróży przewiązywano je pod kolanami.

[27] Joachimstalary — srebrne guldeny, które od 1517 r. zaczęli bić w Joachimstalu hrabiowie Schlick; pistole — złote monety hiszpańskie wartości 2 złotych escudo. System monetarny w Niemczech XVI w. był bardzo skomplikowany i niesprecyzowany.

[28] Anahuac — dawna nazwa Meksyku.

[29] Rajmund Lulle (1235 - 1315) zbudował specjalny aparat — obracając jego kołami można było, jak sądził, w sposób mechaniczny uzyskiwać prawdy. Były te zaczątki logiki algebraicznej. Pisząc „realista” autor oczywiście ma na myśli wyznawcę realizmu, jednego z kierunków średniowiecznej filozofii przeciwstawnego nominalizmu.

[30] „Miracula” i „Natura”, cuda i naturalny bieg rzeczy — terminy scholastyczne.

[31] „Miałem rycerskie prawo”. Autor „Opowieści” nie był pasowany na rycerza (patrz rozdz. VII - VIII), lecz w tej epoce stan rycerski był w upadku i

często nazywali siebie rycerzami wojskowi nie mający dc tego formalnego prawa.

[32] „Aż do tego dnia nigdy nie widziałem takich drgawek i nie podejrzewałem, że ciało ludzkie może się tak nieprawdopodobnie skręcać”. Te historyczne konwulsje, zbadane w XIX w. przez szkołę Charcota, były obserwowane również przez dawnych lekarzy. W książce J. Viera (1515—1588) „Des illusions et impostures des diables” czytamy: „Il (le diable) peut retirer cruellement et contre tout ordre de nature les aerfs et les muscles et souventes fois esmouvoir une teile passion au corps, qu'il demeure tellement droit et pique, que le col et le reste du corps est immobile et ne peut flechir ni deca, ni dela... Il les fait encore quelquesfois tellement retirer en devant, que la teste, le col et le reste du corps se raccourcit, cependant que les veines goselieres, qui sont autour du col, demeurent tendues a merveilles, et quelquesfois il les renverse, si estrangement en derriere, que la teste est cruelle ment retiree presque du tout sur les espales et le dos et les cuisses encore retirees en haut”. (Livre I, chap. XII.)

[33] Opowiadanie Renaty o tym, że w dzieciństwie ukazywał się jej anioł Madiel, należy do typowych opowiadań tego rodzaju. Proszę np. porównać opowiadanie Madeleine de La Croix (spalanej na stosie w 1546 roku) przytoczone w książce: Jules Baissac. Les Grands Jours de la Sorcellerie. Paris 1890.

[34] Święta Amelia Lotaryńska, żona palatyna Witgera, żyła w VII w.; baranek — godło św. Agnieszki.

[35] „Niczym ów arcyświątobliwy król francuski”. „Arcyświątobliwy” — piissimus — tytuł królów francuskich. We Francji długo rozpowszechniona była legenda, że dotknięcie króla leczy wszelkie cierpienia.

[36] Książę austriacki Ferdynand, późniejszy cesarz Ferdynand I (1503 - 1564).

[37] Laktancjusz Firmianus — pisarz łaciński (około 250 - 330).

[38] „Przemieniali się — on w wilka, a ona w wilczycę” — zjawisko znane w tej epoce pod nazwą likantropii. We Francji likantropów nazywają loup-garou, Delancre poświęcił likantropii całą część swojej kapitalnej pracy: Pierre Delancre. Tableau de l'inconstance des mauvais anges et demons. Paris 1612.

[39] Krescencja — bohaterka podań ludowych i niemieckich poematów XIII wieku, żona cesarza Teodoryka.

[40] „Ubrana była... jak w Kolonii ubierają się szlachetnie urodzone damy”. W wieku XVI jeszcze każda prowincja i każde miasto Niemiec różniło się odmiennym ubiorem, „Zdjąłem kapelusz przed damą” — panował wówczas obyczaj, że mężczyzna rozmawiając z damą zdejmował kapelusz.

[41] U schyłku średniowiecza weszło w zwyczaj nie używać na turniejach zastrzonej broni. W takiej złagodzonej postaci przetrwały turnieje do końca XVI wieku.

[42] „Merenda” lub „underimbiz” — tak nazywano w XVI wieku wczesny obiad. W bogatych domach niemieckich jadano cztery razy w ciągu dnia: wcześnie rano (śniadanie — *frühstück*, *jentamen*), później (drugie śniadanie — *frühmahl*, *prandium*), w ciągu dnia (przed obiadem — *underimbiz*, *merenda*) i po ukończeniu wszystkich zajęć (obiad, *nachtmahl*, *caena*). W domach skromniejszych jadano w ciągu dnia dwukrotnie: rano i wieczorem. W „Statku głupców” Geilera von Keyserberga (1445 - 1519) cytowany jest wiersz:

Qui semel est, deus est, bis homo, sed bestia qui ter,

Est daemon quater, quin qui es est sua mater

co znaczy

Jeśli kto je raz dziennie, jest bogiem, kto dwa razy — człowiekiem

Trzy razy jada zwierzę; cztery razy demon, a pięć razy — jego matka.

Przy okazji należy zauważyć, że na początku XVI wieku posługiwanie się widelcem dopiero wchodziło w zwyczaj i średnie warstwy ludności jeszcze tego nie znały.

[43] Rothwelsch (od Roth — włóczęga i Welsh — cudzoziemiec) — tak po niemiecku nazywano język złodziejski.

[44] „I wróżenie z kości, i z wosku, i z kart” itd. J. *Vier* w dziele „Des illusions et impostures des diables” (Livre II, chap. XII—XIII) prócz nekromancji wylicza następujące rodzaje wróżb: *lecanomance*, *gastromance*, *catopromance*, *chrystrallomance*, *dactylomance*, *hydromance*, *onychomance*, *cascinomance*, *axinomance*, *cephalaeonomance*, *ceromance*, *aeromance*, *alphitomance*, *aleuromance*, *tiromance*, *ichtyomance*, *capromance*, *botanomance*, *sycomance*, *libanomance*, *daphnimance*, *tephramance*, *onomance*, *allectriomance*, *stichiomance* i inne. Martin Del Rio w swojej książce „Disquisitiones magicae” wylicza ich jeszcze o wiele więcej.

[45] Opłata po 18 krajcarów zależna była być może od tego, że w niektórych okolicach Niemiec stanowiło to 1/4 talara (talar = 72 krajcary).

[46] „Cudowny automat Alberta Wielkiego”. Istnieje legenda, że Albert Wielki po trzydziestoletniej pracy zbudował z różnych metali zdumiewający „android”, który mógł się poruszać, wykonywać różne czynności i we wszystkim przypominał żywego człowieka. Android został rozbity przez Tomasza z Akwinu, ucznia Alberta, który podejrzewał obecność w maszynie siły diabelskiej.

[47] Gian Galeazzo Visconti był księciem Mediolanu od 1347 do 1402 r.

[48] „Dialekt miśnieński” uważany był zawsze za jeden z najczystszych

dialektów języka niemieckiego. Jak wiadomo, ogólnoliteracki język niemiecki został stworzony przez Lutra, chociaż już na wielu wydaniach z XV wieku znajdujemy uwagę: nach rechter gemeinen deutsch.

[49] Berg — niegdyś księstwo samodzielne, później część pruskiej prowincji nadreńskiej. Düsseldorf został stolicą tego księstwa w 1511 r.

[50] Bacharach — miasto nad Renem słynne ze swego wina, które z miłością opiewał Johann Fischart (1545 - 1590).

[51] Plamisty onca — jaguar (Felis onca).

[52] Kościół Św. Lamberta w Düsseldorfie został odnowiony w 1394 r.

[53] Obraz Sandro Filipepiego tj. Botticellego, o którym mówi autor „Opowieści”, znany jest obecnie pod nazwą „Wzgardzona” i znajduje się w Rzymie w zbiorach Pallavicinich.

[54] „Lever a six...” itd. Podobne wiersze znajdujemy u Rabelais:

Lever ä cinq, disner a neuf,

Souper a cinq, coucher a neuf.

Fait vivre l'home dix fois neuf.

Wariant przytoczony przez autora „Opowieści” pochodzi zapewne z późniejszego okresu.

[55] „Często wraz ze mną zachwycała się pięknem okolic”. O odczuciu przyrody przez ludzi epoki Odrodzenia przeczytać można w słynnym dziele Jakuba Burckhardta „Kultura Odrodzenia we Włoszech”.

[56] Jan Beuckelzoon lub Bockold, znany pod imieniem Jana z Leydy, stał na czele anabaptystów Münsteru w kwietniu 1534 roku w czerwcu 1535 miasto zostało zdobyte przez wojska biskupa, a Jan z Leydy stracony 23 stycznia 1536 r.

[57] Św. Marcin i Św. Gereon — kościoły w Kolonii; Dom Senatorów — ratusz; Katedra Trzech Króli lub Trzecia Magów — katedra w Kolonii, której budowa została przerwana w końcu XV wieku i podjęta ponownie dopiero w roku 1624. W wiekach XVI - XVIII katedra kolońska stanowiła dwie oddzielne budowle, pokryte prowizorycznym dachem i oddzielone od siebie prowizorycznymi murami.

[58] „Jakby do pierwszego kręgu Pieła Alighieriego”. Autor „Opowieści” ma tu na myśli znany wiersz (Inf. III, 25 - 27):

Diverse liague, orribiee favelle,

Parole dl dolore, accenti d'ira,

Voci alte a fioche ...

[59] Rajtarzy miejscy — konni stróże porządku.

[60] Św. Kunibert, Św. Seweryn, Św. Apostołowie itp. — kościoły w Kolonii. Gürzenich — gmach wybudowany przez mieszkańców Kolonii w



połowie XV w. dla przyjmowania znamienitych gości. Maria Kapitolińska — stary kościół poświęcony przez papieża Leona IX w 1049 r. Kruchta kościoła Św. Jerzego została ukończona w 1536 r. „Święte wojsko Gereona” — 318 męczenników, którzy, zgodnie z legendą, w czasie prześladowań za czasów Dioklecjana zostali zamęczeni wraz ze swym wodzem Gereonem; ich relikwie spoczywają w kościele Św. Gereona. „Jedenaście tysięcy niewinnych dziewic” — według legendy 11 000 dziewic wraz ze św. Urszulą w VII wieku zamęczonych przez Hunów w pobliżu Kolonii. Szczątki tych dziewic spoczywają w kościele Św. Urszuli, „Ogromne oko minorytów” — wielkie okno portalu: braci minorytów.

[61] Bursa Kneck, Św. Wawrzyńca — internaty dla studentów Uniwersytetu Kolońskiego, niejednokrotnie wspomniane w „Pismach ciemnych ludzi”.

[62] Mistrz Gerhard — architekt w XIII w. kierujący wówczas budową katedry w Kolonii. Henryk von Würzburg — arcybiskup Kolonii, który w 1322 roku dokonał poświęcenia wybudowanych w tym okresie części katedry. W czasie, kiedy toczy się akcja „Opowieści” nie ukończono jeszcze ani budowy Bazyliki Św. Piotra w Rzymie, ani katedry w Mediolanie. Bazylika Św. Piotra, której budowę rozpoczęto w 1452 r., została poświęcona dopiero w XVII wieku, główną kopułę, według planu Michała Anioła, ukończono dopiero w 1590 r. Poświęcenia katedry w Mediolanie której budowę rozpoczęto w XIV w. dokonano w 1577 roku; jej kopułę wzniesiono dopiero w XVIII w., a fasadę ukończono za Napoleona I.

[63] Autor „Opowieści” opowiadający o „stukających demonach” nie stanowi odosobnionego przykładu w literaturze swoich czasów. Przekonanie, że istnieją „duchy”, które dają znać o sobie stukaniem i z którymi przy pomocy tego stukania można nawiązać rozmowę i obcowanie — nie stanowi wyłączenie osiągnięcia współczesnych spirytystów. W. Briusow w 1902 roku zamieścił w „Rebusie” (nr. 7, 11, 14, 18, 29) szereg artykułów pod tytułem: „Spirytyzm do czasów stuków w Rochesterze”, w których to artykułach przytacza kilka przykładów czysto „spirytystycznych” zjawisk, jakie zaszły w XVI, XVII i XVIII wieku, przy czym okazuje się, że już na długo przed pamiętnym 1848 r. ustanowione były znaki służące utrzymywaniu kontaktów ze stukającymi duchami.

[64] „Scire nefas”. Horacy, Carmina, I, 11.

[65] „Kominek z kolorowych kafli”. We Francji kominki rozpowszechniły się w końcu XIII w.; w Niemczech w XVI w. jeszcze stanowiły przedmiot zbytku. Erazm w swych „Colloquia” (1527 r.) skarży się, że w niemieckich gospodach, aby się rozgrzać, należy wciąż jeszcze korzystać z dużego pieca w

ogólnej sali. Wiadomości o ogrzewaniu domów w dawnych czasach zostały zebrane przez słynnego kompilatora dr. Cabanesa w jego książce: „Moeurs intimes du passe (Paris 1909).

[66] Garcilaso de la Vega — poeta hiszpański (1503 - 1536).

[67] „W imię Diabła daj się doić!” Wg zeznania Anny Jobstin przytoczonego w książce: Jules Baissac. Les Grands Jours de la Sorcellerie. Paris 1890.

[68] Zachowało się niemało recept na maść, którą przed lotem na sabat smarowały się czarownice i czarownicy. Oto jedna z takich recept, podana przez Hieronima Cardana (1501—1576): ugotowane sadło niemowlecia, sok z opichu (opium), wilczy ząb (aconitum), pięciornik położony (potentilla reptans), psianka (solanum), sadze. (Hieronymus Cardanus. De Subtilitate. Lib XVIII.)

[69] Takie samo objaśnienie słów „Emen-hetan” daje Delancre. P. Delancre. Tableau de l'inconstance des mauvais anges et demons. Paris 1612.

[70] Artifex mirabilis — zwykle określenie, gdy mowa o Diablu. Także Luter mówi: „Diabolus potens et mirabilis spiritus est”. (Gen., str. 40.)

[71] „Jaka siła” itd. Scholastycy nie byli zgodni co do realnego charakteru lotu czarownic i czarowników na sabat. Albert Wielki i Tomasz z Akwinu skłaniali się ku temu, by uważać te loty za „fantastyczne”, phantastici. Hugues de Saint-Cher i wielu innych — przeciwnie — obstawało przy ich realności. Zestawienie opinii na ten temat znaleźć można w książce N. Sperańskiego: „Czarownice i czary” (rozdz. IV). Czarownice najczęściej udawały się na sabat jadąc wierzchem na koźle, lecz posługiwały się także w tym celu miotłami, kijami.

[72] Mistrz Leonard, nazywany inaczej Wielkim Negrem, według nauki demonologów (Del Rio, Delancre, Bodin i inni) — demon pierwszego stopnia, zawiadujący czarną magią i stale przewodniczący na sabatach. (Dictionnaire Infernal, par M. Collin de Plancy, 2 ed. Paris 1825 Leonard.)

[73] „Ktoś inny, stojący blisko tronu, ktoś niskiego wzrostu i szkaradny”. Sądząc z opisu sabatu owym kimś był Johann Müllin (u Francuzów — maitre Jean Mullin), chorąży mistrza Leonarda.

[74] Litania odmawiana na sabacie przytoczona jest w: Dictionnaire Infernal, par Collin de Plancy. Oto kilka wezwań w niej zawartych: Lucifer, miserere nobis. Belzebuth, prince des seraphins, ora pro nobis. Balbeuth, prince des cherubins, ora pro nobis, Belial, prince des vertues, ora pro nobis.

[75] Beanami w staroniemieckich uniwersytetach nazywano nowicjusów.

[76] Inkubem nazywał się demon nawiązujący cielesny stosunek z kobietą, a sukubem — demon nawiązujący taki stosunek z mężczyzną.

Demonologowie utrzymywali, że nienaturalne ciało demonów nie mogło zawierać naturalnego męskiego nasienia. Dlatego demon, który w jednym miejscu pojawiał się jako sukub, przechowywał otrzymane nasienie, aby je użyć w innym miejscu, kiedy pojawi się jako inkub.

[77] „Nowe święto Codrusa”. Mowa najwidoczniej o Antonim Urceo, tj. Codrusie, pisarzu z XV w., który wsławił się swymi swobodnymi poglądami na religię i moralność.

[78] Opis sabatu zachowali nam: Del Rio, Delancre, Bodin, Mayol, Leloyer, Danaeus, Boguet, Monstrelet, Torquemada, „Flagellum hereticorum”, „Malleus maleficarum” i liczne inne źródła. Częściowo tam, częściowo w protokołach sądów inkwizycyjnych, a także innych sądów, zachowały się autentyczne zeznania oskarżonych o loty na sabat. W opisach tych niemało jest cech nie odnotowanych przez autora „Opowieści”. Tak na przykład nie we wszystkich okolicach urządzano sabaty we środy i piątki — w niektórych preferowano czwartek. Zazwyczaj neofitkę lub neofitę przyprowadzał na sabat ktoś spośród starych uczestników. Do obrzędu przyjęcia należało jeszcze niekiedy deptanie krzyża nogami i beczczenie hostii (komunii). Niekiedy neofici musieli oddawać diabłu w zastaw część swego ciała: włos, kroplę krwi, nawet palec; w zamian dostawali obrączkę albo amulet, albo dokument w niezrozumiałym języku. Od całowania zadu Kozła zwolnione były małe dzieci: diabeł sam całował je w tyłek. Po dokonaniu wtajemniczenia diabeł wygłaszał niekiedy specjalną mowę, „rodzaj kazania”, o tym, że nie ma nieśmiertelności duszy, nie ma mąk pozagrobowych itp. Niekiedy odbywała się wspólna spowiedź wszystkich obecnych i wszyscy po kolei przechwalali się popełnionymi grzechami; kto nie dopuścił się niczego grzesznego, podlegał karze. Pieśni śpiewane na sabacie miały czasami bardzo nieprzyzwoitą treść. Tańczono niekiedy ze świecą w ręce, niekiedy z uwieszonym z tyłu zdechłym kotem. Na zakończenie sabatu, przy odprawie, stosowano czasem taki obrządek: mistrz Leonard robił w ziemi dołek, oddawał tam mocz, po czym na modłę kościelną płynem tym kropił obecnych. (Z nowszych dzieł traktujących o sabacie mamy: J. Michelet. *La Sorciere*. 1861; Roskoff. *Geschichte des Teufels*. 1869; Heppe-Soldan. *Geschichte der Hexenprocesse*. 1880; Boumeville et E. Teinturier. *Le Sabbat des Sorciers*. 1882; J. Baissac. *Les Grands Jours de la Sorcellerie*. 1890; F. Helbing. *Die Tortur*. 1909, i wiele innych.)

[79] *Dictionnaire Infernal*, par Collin de Plancy (2 ed. Paris 1825) tak określa magię: „Magia jest to umiejętność dokonywania w przyrodzie, przy pomocy demonów, rzeczy przekraczających władzę ludzką, stosując w tym celu pewne obrzędy. Rozróżnia się czarną magię, magię naturalną, niebieską (tj. astrologię)

i ceremonialną; ta ostatnia polega na wzywaniu demonów na podstawie umowy (paktu), formalnej lub dorozumiewanej, zawartej z mocami piekielnymi". M. Del Rio (1551 - 1608) rozróżnia cztery rodzaje magii: naturalis, artificialis, praestigiatrix, daemoniaca. Agrypa — tylko trzy: mathematica, naturalis, veneficia, stawiając oddzielnie goecję czyli nekromancję. Rozróżniano jeszcze magię białą, która opierała się na sile aniołów, a nie demonów. Magię ceremonialną nazywano także magią operatywną.

[80] Ulryk Zell uważany jest za najstarszego kolońskiego drukarza; jego wydania, przeważnie opatrzone napisem „apud Lyskirchen” znane są od 1466 r. i przez długi czas cenione były jako wzorowe. Johann Soter — drukarz pracujący w Kolonii w tym czasie, kiedy rozgrywała się akcja „Opowieści”. Powszechnie znane są nazwiska twórcy „aldyn” — Aldo Manuzio pracującego w Wenecji (od 1495 r.) i Henryka Stephana, czyli Etienne'a (1460 - 1520), członka słynnej rodziny drukarzy pracujących w Paryżu.

[81] Pierwszym ze wspomnianych przez autora dzieł, znane nam jest w następującym wydaniu: „Das Geheimniss der heiligen Gertrudis zur Erlangung zeitlicher Schätze und Güter”. Colin 1506. — Trzy następujące rękopisy: „Buch Mosis und dreifacher Höllenzwang”, „Mächtige Beschwörung der höllischen Geister” i „Hauptzwang der Geister zu menschlichen Diensten” zostały później wydrukowane na podstawie klasztornych rękopisów z końca XV i początku XVI w., w wydaniu: Bibliotheca Magica. Köln 1810.

[82] Dzieła wspomniane przez autora „Opowieści” znane nam są w następujących wydaniach: Ulricus Molitor. De laniis et phitonicis mulieribus. Tractatus ad illustrissimum principem dnm Sigismundum archiducem Austriae. Anno dni MCCCCLXXXIX. (S. 1) — Martinus Plantsch, concionator Tubing. Opusculum de sagis maleficiis. C. praefat. H. Bebelij. In aedibus Th. Anselmi imp. S. Stir. 1597. — Jac. Hochstraten, ord. Praed. Ad. Philippum archiep. Coloniae tractatus magistralis, declarens quam graviter peccent quaerentes auxilium a maleficis. Colonia. Mart. de Werdena 1510. — Co się tyczy słynnego „Malleus maleficarum”, traktatu Sprengera i Institoris, to po jego pierwszym ukazaniu się (Colin 1487) stale było wznawiane i w krótkim czasie zyskało taki autorytet, że nazywano ów traktat liber sanctissimus i papież Innocenty VIII zalecał go jako przewodnik biskupom i ważnym przedstawicielom władzy świeckiej.

[83] „Tu wreszcie wpadły mi w ręce” itd. Pisarze, wymienieni przez autora „Opowieści”, w wieku XVI istotnie uważani byli za autorytety w dziedzinie magii. Podobny wykaz znajdujemy u J. Viera: „Apion le Grammairen, Julien l'Apostate, Artephius, Robert l'Anglois, qui mourut miserablement en Suisse, Roger Bacon, Pierre d'Apone, nomme le Conciliateur, Albert le Teutonique,

Arnaud de Villeneuve, Anselme de Panne, Picatrix l'Espagnol, ou bien l'auteur du livre envoye à Alphonse sous le nom de Picatrix Ciccho d'Ascule Florentin, et plusieurs autres moins connus, hommes de malheureux esprit, ont ensuyvi sotement les folies et bastelleries des premiers magiciens". (Des infusions et impostures des diables. Livre II, chap. IV.) Prace Alberta Wielkiego (1195 - 1280) zostały wydane w mniej lub bardziej pełnym zakresie dopiero w 1651 r., lecz poszczególne jego dzieła były szeroko rozpowszechnione w końcu średniowiecza. Z dotyczących magii dzieł Arnauda de Villeneuve (zmarł w 1311 r.) ceniono szczególnie: „De phisicis ligaturis” i „De sigillis duodecim signorum”. Z dotyczących magii dzieł Rogera Bacona „De mirabilis potestate astris et naturae”. Anzelm z Parmy (zm. w 1440) znany nam jest wyłącznie jako alchemik, lecz wier w innym swoim dziele (Liber apologeticus, lib. III. disc. IV) zalicza go do magów. O Picatrixie (XIII w.) patrz wyżej słowa Viera. Z dzieł z dziedziny magii przeora Johanna Trithemiusa (1462 - 1516), prócz wymienionych przez autora „Opowieści”, znanych jest jeszcze kilka, a w ich liczbie „Steganographia” (o kabalistyce) i „Quaestiones VIII ad Maximilian” (z rozdziałami: De reprobis et maleficis, De potestate maleficarum, etc.). Dzieła Piotra z Apony (czyli z Abano, 1250 - 1316) często przypisywano Agrypie: z nich najbardziej znane są „Geomantia” i „Heptameron sive Elementa magica”. Pierwsze drukowane wydanie dzieła Agrypy (patrz niżej rozdz. VI) „De Occulta Philosophia” oznaczono: anno MDXXXIII mense Julio.

[84] „Opowieści o occie mędrców, o głowie kruka” itd. — terminy alchemiczne.

[85] „Sententiae”, „Processus”, „Copulata”, „Reparations” — podręczniki scholastyczne niejednokrotnie wspomniane w „Pismach ciemnych ludzi”.

[86] „Poznać naturę demonów” itd. U Ananiasza Tabernatusa w jego księdze „De Natura Daemonum” (1458) znajdujemy podobne słowa. „Daemonum naturam eorumque vim nosse rem summe arduam ac difficilem semper extitisse, cum apud philosophos, qui de his nonnulla vere aliquantum scripta reliquerunt, tum ipsos etiam theologos quibus horum facultatem nonnihil altius scrutari coelitus datum est, neminem esse, vel in litteris mediocriter tinctum, qui ignoret pro comperto habeo”. (Io. L. Ananiae Tabernatis, theologi, De Natura Daemonum, libri IIII. Venetiis MDLXXXI.)

[87] Teoria dotycząca natury demonów przedstawiona została przez autora „Opowieści” przeważnie na podstawie dzieła Agrypy „De Occulta Philosophia”. O podziale demonów na trzy rodzaje — lib. III, c. XVI; o ciele demonów — ib., c. XIX; o imionach demonów — ib., c. XXIV—XXVIII i lib. IV dalej; o mocy zaklinań — lib. III, c. XXXII—XXXIII; o postaciach, w jakich

objawiają się przeróżne demony — lib. IV. Agrypa podsumował jedynie wyniki prac wielu pokoleń; już w dziełach Tomasa z Akwinu wyłożone są podobne poglądy na demony. Geneza nauki o demonomancji została pokrótce przedstawiona w pracy N. Sperańskiego: *Czarownice i czary* (rozdz. IV).

[88] „Moc zaklinań zawiera się w magicznym znaczeniu liczb”. Mówiąc w ten sposób autor „Opowieści” chce się widocznie usprawiedliwić i uniknąć oskarżenia o pakt z diabłem. Liczni uczeni jego czasów skłaniali się ku innemu pogładowi, a mianowicie: że magowie zyskują swą siłę dzięki umowie z demonem, któremu w zamian za jego służby coś obiecują.

[89] Legenda mówi, że św. Cyprian i św. Anastazy byli za młodu potężnymi czarownikami. Św. Cyprian (III w. po nar. Chr.) siłą magii zabiegał o miłość św. Justyny, lecz gdy mu się to nie powiodło, zrozumiał bezsilność świata infernalnego, wybrał życie ascety i został później biskupem Antiochii. Pod koniec średniowiecza i w wieku XVI wielką sławą cieszyły się magiczne formuły, które przypisywano św. Cyprianowi. (Cypriani citatio angeJlorum, Dimisso Cypriani, etc.)

[90] W obrzędzie zaklania autor „Opowieści” niewolniczo trzyma się przepisów zaleconych w dziele Piotra z Apony „Heptameron sive Elementa magica”, uzupełniając je na podstawie IV-ej księgi dzieła Agrypy „De Occulta Philosophia”. Tak na przykład o kreśleniu magicznego kręgu u Piotra z Apony czytamy: „A zasada tego kręgu nie jest zawsze jednaka, lecz zmienia się w zależności od przyzywanych duchów co do miejsca, pory roku i godziny. Tak więc przy kreśleniu kręgu należy wziąć pod uwagę: jakie duchy chce się wywołać, do jakiej gwiazdy i dziedziny są one przydzielone, jakie są ich obowiązki. Zatem czyni się trzy kręgi, szerokości dziewięciu stóp, które oddalone są jeden od drugiego o ćwierć. W środkowym kręgu trzeba najpierw wypisać nazwę godziny, w której przeprowadza się próbę; na drugim miejscu — imię anioła owej godziny; na trzecim — znak anioła owej godziny” itd. Inne źródła dla sporządzenia magicznego kręgu dają przepisy o wiele prostsze. Tak na przykład zamiast szeregu imion zalecają napisać tylko słowa: *Jesum autem transiens in medium illorum ibat et verbum caro factum est.*

[91] Zaklinanie: „Ancor...” zamieszczone jest u Piotra z Apony. Tłumaczenie: Dzięki zasługom aniołów Twych, Panie, przyoblekam szatę zbawienia, abym to, czego pragnę, mógł wykonać.

[92] Zaklinanie: „Nos facti...” zamieszczone jest tamże i opatrzone nagłówkiem: „Exorcismus spiritum aerorum”, jest ono o wiele dłuższe niż u autora „Opowieści”. Tłumaczenie: My, stworzeni na obraz Boski, obdarowani Jego władzą i stworzeni Jego wolą, zaklinamy cię najpotężniejszym i najsilniejszym, bardzo dziwnym imieniem Boga El...

[93] Zaklinanie: „Ecce pentaculum Salomonis...” zamieszczono także tam, w rozdziale zatytułowanym „Visiones et apparitiones”. Tłumaczenie: Oto pięciokąt Salomona, który przed wami nakreśliłem...

[94] Zaiklinanie: „Audi, Anael...” w takiej postaci nie jest nam znane. Pewna jego część znajduje się w dziele Piotra z Apony, w rozdziałach opatrzonych nagłówkami: „Visiones et apparitiones” i „Consideratio Dei Veneris”. Tłumaczenie: Usłysz mnie, Anaelu. Ja, Ruprecht, niegodny sługa Boży, zaklinam, żądam i przyzywam ciebie nie mocą swoją, lecz mocą, godnością i potęgą Boga Ojca, odkupieniem i zbawieniem Boga Syna, a także siłą i przyzwoleniem Boga Ducha Świętego. Tym zmuszam cię, gdziekolwiek byś był, w morzu czy w otchłani, na wodzie czy w ogniu, w powietrzu czy na lądzie, byś ty, demonie Anaelu, natychmiast stawił się przede mną w godziwej ludzkiej postaci. Zjaw się przeto szybko ku chwale tych imion: Aye Saraye, Aye Saraye, Aye Saraye, nie zwlekaj i zjaw się z mocy odwiecznych imion: Eloi, Archim, Rabur, śpiesz pojawić się z mocy osoby zaklinacza, który one zaklinanie wymawia, pojaw się z całym spokojem i cierpliwością, bez jakiegokolwiek hałasu, bez szkody dla ciała mego i innych ludzi, bez kłamstwa, oszukaństwa i chytryści. Zaklinam i zmuszam cię, demonie silny, w imię On, Hej, Heja, la, la, Adonaj, i w imię Sadana, który na szósty dzień stworzył czworonogi, gady i człowieka, i w imię aniołów służących w trzecim hufcu przed obliczem Dagiela, wielkiego anioła, i w imię gwiazdy, która zwie się Wenera, i jej znaku, który jest święty — ciebie, Anaelu, który postawion zostałeś nad dniem szóstym, abyś się dla mnie starał...

[95] Zaklinanie: „Quid tardas...” w takiej postaci nie jest nam znane. Poszczególne jego sformułowania znajdują się w dziele Piotra z Apony, w rozdziale opatrzonym nagłówkiem „Visiones et apparitiones”. Tłumaczenie: Czemu zwlekasz? Pospiesz się! Okaż posłuszeństwo twemu władcy w imię pana Bathat, spiesząc nad Abrak, pojawiając się. Szybko, szybko, szybko! Zjaw się, zjaw się!

[96] Odprawa (Dimissio): „Abi festinanter...” zawiera tylko ogólne terminy występujące we wszystkich formułach odpraw. Tłumaczenie: Oddal się szybko, idź precz, zniknij natychmiast.

[97] Spośród znanych nam biografii Agrypy z Nettesheimu, najpełniejszą jest: Aug. Prost. Corneille Agrippa, sa vie et ses oeuvres. Paris 1882 (2 vol.). Znaczna część uwag odnoszących się do rozdziału VI opiera się na tej pracy.

[98] „Agrypa... mieszkał w Bonn”. W Bonn Agrypa mieszkał po swoim pobycie w Niderlandach, od listopada 1532 do początków 1535 r.

[99] Godefridus Hetorpius był wydawcą wielu dzieł Agrypy i z nim korespondował. W zbiorze listów Agrypy są cztery adresowane do

Hetorpiusa.

[100] „Różne bajdy o sławnym gościu ich miasta”. Bajdy te stanowiły główną treść dawnych biografii Agrypy. Podstawą ich były dzieła: A. Thevet. „Les Vrais portraits et vies des hommes illustres” (1584); P. Jovius. „Elogia virorum litteris illustrium” (1577); M. Del Rio. „Disquisitiones magicae” (1599) i in. Wśród legend, o których autor „Opowieści” nie wspomniał, należy wymienić opowiadanie o tym, jak Agrypa w magicznym zwierciadle ukazał Henrykowi Howardowi, hrabiemu Surrey, nadwornemu poecie króla angielskiego Henryka VIII, oblicze zmarłej żony (co posłużyło za temat jednej z ballad Waltera Scotta).

[101] Pontimussae — łacińska nazwa miasta Pont-a — Mousson. (J. Egli. Nomina geographica. Leipz. 1893.)

[102] O uczniach Agrypy niewiele wiadomo. List, napisany do Agrypy w 1529 r., kiedy przebywał w Malines, kończy się słowami: „Żona twa kłania ci się po tysiąc razy. To samo czynią Aureliusz, Augustyn i Emanuel” (Ep. V, 77). W korespondencji Agrypy imiona te są wspomniane jeszcze kilka razy. Johann Weyer (Jean Vier) znalazł się w liczbie uczniów Agrypy w 1533 r. Jak wiadomo, w XVI w. „uczniowie” skupiający się wokół wybitnych artystów, filozofów i uczonych zajmowali w ich domu miejsce pośrednie między członkiem rodziny a sługą.

[103] Gospoda „Pod Tłustymi Kogutami” w Bonn jest kilkakrotnie wspomniana w „Pismach ciemnych ludzi”.

[104] Scharlacherberger — po dziś dzień znane znakomite wino z okolic Bingen.

[105] „Explicuit contractae seria frontis” Hor. Serm., lib. II, eel. II, 125.

[106] O „zabawnych” obrzędach w dniu św. Katarzyny (25 listopada) i w nocy poprzedzającej dzień św. Andrzeja (29—30 listopada), które to obrzędy długo w Niemczech przetrwały, można np. przeczytać w: A. Schultz. Das Häusliche Leben der Europäischen Kulturvölker. München 1903.

[107] „Współtowarzysze” (lub „straż przyboczna”) zamiast „pantalony”. — „Trabanter wie jene Jungfrau, die nicht gerne das Bruch nent, sagt ...”, szesnastowieczne wyrażenie.

[108] Agrypa przeniósł się do Niderlandów w lecie 1528 r. Mieszkał tam początkowo w Antwerpii, a potem w Malines, gdzie jego protektorką była Małgorzata Austriacka, namiestniczka Niderlandów. Małgorzata zmarła w 1530 r. Nieco wcześniej Agrypa stracił swoją drugą żonę, Jeanne-Louise, która zmarła w Antwerpii 17 sierpnia 1529 r. w czasie epidemii. Nękany przez wierzycieli, Agrypa pod koniec 1532 r. opuścił Niderlandy, przeniósł się do Bonn i wstąpił na służbę do arcybiskupa Kolonii, słynnego Hermanna von



Wied (arcybiskup od 1515 do 1547, zm. 1552). O trzeciej żonie Agrypy, z którą ożenił się w Malines i z którą wkrótce rozwiódł się w Bonn, nic konkretnego nie wiemy.

[109] W przedmowie do swego dzieła „O tajemnej filozofii” Agrypa mówi, że napisał tę książkę w młodości, udostępnił przeorowi Trithemiusowi, po czym zaczęła krążyć po Włoszech, Francji i Niemczech, przy czym zamierzono nawet ją wydrukować; to skłoniło jakoby Agrypę do wydrukowania samemu swej młodzieńczej pracy, w której poczynił tylko nieznaczne poprawki. (Nolumus enim opus ipsum totum innovare sed pauprum castigare atque aliquid splendoris infundere.) Najnowsza krytyka dowodzi, że słowa te nie były napisane całkiem szczerze i że dzieło wydane przez Agrypę musi się znacznie różnić od tego, które około 1510 roku posłał przeorowi Trithemiusowi. Co się zaś tyczy kwestii, czy IV część dzieła „O tajemnej filozofii” została napisana przez Agrypę, to do tej pory nie została ona rozstrzygnięta. Pierwsze drukowane wydanie tej pracy pochodzi z 1565 r.

[110] O przygodzie z Hansem Weyerem (Jean Vier), który ukradł księgę grymarów, opowiedział on sam (Prost., II 398). W charakterze legendy historia ta została przekazana przez M. Del Rio (Disquisitionem magicarum, lib. II, sectio I, q. 19) i znalazła się we wszystkich dawnych biografjach Agrypy.

[111] O winach, jakie powszechnie pijano w XVI w., przeczytać można w napisanej podówczas książce: Vine. Obsopocus. Vönn der Kunst zu trincken. Uebers. v. Georg Wickram Freb. i. Br. 1537 (nowe wydanie: Köln 1891).

[112] „Zamknięto klasztor kobiecy, a wszystkie mniszki przeszły do domów publicznych”. Podobny wypadek istotnie zaszedł w Norymberdze w 1526 r.

[113] Quodlibetarius. — W średniowiecznych uniwersytetach raz w roku cały fakultet artystyczny — magistrowie, bakałarze i szkolarze, z rektorem i dziekanami na czele — zbierał się na wielką bitwę słowną — disputatio de quodlibet. Przewodzący tej dysputyce nazywał się quodlibetarius.

[114] Tłumaczenie aforyzmu Hipokratesa: „Jeśli kto będąc pijanym oniemieje, gdy minie stan zamroczenia, znów odzyska władzę nad językiem”. Autor „Opowieści” cytuje ten aforyzm w średniowiecznej zniekształconej postaci; w oryginale greckim ma on inny sens.

[115] Hans Weyer czyli Jean Vier (jego nazwisko niemieckie było Weyer, po łacinie Vierus, po francusku Vier) ur. w 1515 r. zm. w 1588. Poglądy, które autor „Opowieści” przekazuje w jego imieniu, zostały później przez Viera wyłożone w jego dziele: „De prestigiis daemonum et incantationibus ac veneficiis” (Basel 1563). Oto tytuły niektórych rozdziałów tego dzieła: „O błędnej imaginacji melankolików”, „O niektórych medykamentach sprowadzających sen, a także o maściach i roślinach usypiających, dziwnie

męcących rozum", „O iluzji inkubów i o naturalnym koszmarze”, „Zdarzało się niekiedy, że dziewczyny bywały oszukane iluzją koszarów lub inkubów, a także o zabawnym przykładzie porubstwa z diabłami”, „O tym, że wszystkie historie, którymi chcą dowieść cielesnych stosunków z diabłami, są kłamstwem”, „Że niektórzy wyobrażają sobie, iż są demoniakami, kiedy jedynie mężczy ich melankolia” itp. Zasadnicza myśl tego dzieła polega na tym, że tak zwane „czarownice” są to kobiety chore, które należy leczyć, a ich sędziowie — to oprawcy. Ukazanie się traktatu Viera wywarło silne wrażenie na współczesnych. Na przestrzeni 14 lat traktat miał pięć wydań i wywołał mnóstwo protestów, na które Viera odpowiedział „Księgą apologetyczną” („Liber apologeticus”). Szczególnie ostro napadali na Viera inkwizytorzy M. Del Rio i Bartolomeo Spina, jak również słynny J. Bodin (1530—1596), który w swym dziele „Demonomanie des sorciers” specjalny rozdział poświęcił „Obaleniu poglądów Jeana Viera”. Między innymi w księdze tej Bodin dowodzi niewątpliwego związku Viera z Diabłem, powołując się na fakt, że Viera w młodości prowadził na sznurku psa Agrypy, a pies ów był to nikt inny tylko Diabeł. (W naszych uwagach wszystkie cytaty z fundamentalnego dzieła J. Viera zaczerpnięte są ze starego francuskiego przekładu: Jean Viera. Histoires, disputes et discours des illusions et impostures des diables”. Paris 1579 r.; wznowienie: Paris 1885.)

[116] Agrypa był trzykrotnie żonaty i miał siedmioro dzieci. Biografowie znają imiona tylko trzech synów: Hemonia (ur. w 1522 r.), Henryka (ur. w 1524 r.) i Jana (ur. w 1525 r.). Z pozostałych czworga dzieci niektóre umarły we wczesnym dzieciństwie. Autor „Opowieści” wspomina tylko o czterech synach Agrypy, sam zaś Agrypa w pewnym liście pisanym w 1528 r. (Ep. V, 43), wylicza, że rodzina jego składa się z dziesięciu osób: z ojca, matki, czworga dzieci, służącej, dwóch sług i chłopca. Imiona służących i sługi: Małgorzata, Maria i Anteusz, wymienione przez autora „Opowieści”, wspomniane są w korespondencji Agrypy, jak również imiona psów: Taro, Cicconius, Balassa, Muza. (Ep. V, 76, 84 etc.)

[117] W dziełach zebranych Agrypy zamieszczono pięć łacińskich epitafiów wierszem poświęconych Filiolusowi. Oto najkrótsze z nich:

Hic hospes tibi Filiolus iaceo Agrippinus.

In vita tantum nom homo, morte canis.

[118] Do naszych czasów zachowało się 451 listów z korespondencji Agrypy, przy czym biografowie jego przypuszczają, że wydrukowane zostały tylko listy łacińskie, natomiast listy pisane w językach nowożytnych — zaginęły. Do korespondentów Agrypy należeli istotnie najwięksi uczeni owych czasów (jak Erazm), głowy koronowane (jak cesarz Karol V, księżna

Małgorzata Austriacka, królowa węgierska Maria), najwyżsi dostojnicy kościoła (jak papież Leon X, kardynał Campeggi) itd.

[119] „Facetiae”, wesołe nowele G. Poggio-Braccioliniego (1380—1459) chętnie czytano jeszcze na początku XVI w.

[120] Sielanka Jacopo Sannazaro (1458 - 1530) „Arcadia”, napisana po włosku, w pierwszej połowie XVI wieku cieszyła się wielką sławą.

[121] Damian wydał w roku 1512 podręcznik gry w szachy.

[122] „Agrypa ma nieco przytępiony słuch”. Wiemy te między innymi z „Pantagruela” Rabelais, gdzie Agrypa ukazany jest w komicznej postaci pod przejrzystym pseudonimem Herr Trippa. (Pantagruel, livre III, ch. XXV.)

[123] „Jak monarcha przywykły udzielać audiencji”. Młodzi uczeni nieraz odbywali całe podróże, by odwiedzić Agrypę. W jednym liście, którego autor prosi Agrypę, by go przyjął, czytamy: „Uznałem za potrzebne, by przyjechać z Francji do Niemiec, by zobaczyć źródła światła, ci nauczyciele filozofii, teologii, ci znamienici doktorzy, słynni w całej Europie” (Ep. VI, 32).

[124] „Epistola apologetica ad elarissimum urbis Agrippinae Romanorum Coloniae senatum” została wydrukowana na początku 1535 r. w Bonn. W swoich skargach Agrypa wspomina o prawdziwych warunkach, w jakich toczyło się jego życia. Mienił się doktorem medycyny, choć stopnia takiego nie otrzymał na żadnym uniwersytecie, i poprzestając na przywileju otrzymanym w roku 1523 od miasta Fryburga trudnił się praktyką medyczną do roku 1530, to jest do czasu, kiedy korporacja naukowa Antwerpui zmusiła go, by tego zaniechał. W 1530 r. Agrypa wstąpił na służbę do cesarza jako historyograf zamierzając, jak sam to wyznaje, poświęcić swym obowiązkom tylko wolne chwile; nie przeszkadzało mu to gorzko uskarżać się w listach, że niesumienne wypłacają mu pensję. Do więzienia Agrypa wtrącony został za długi w Brukseli w 1531 r.

[125] Poglądy na magię, które w imieniu Agrypy przekazuje autor „Opowieści”, częściowo wyłożył sam Agrypa w przedmowie do swojej „Tajemnej filozofii”, częściowo w dziele „De incertitudine et vanitate scientiarum”, częściowo zaś w listach pisanych w ostatnich latach życia. Poglądy te, różniące Agrypę od innych magów XVI w., czynią z niego prekursora współczesnych „okultystów”, którzy też wysoko cenią jego dzieła. Najnowszy biograf Agrypy sądzi, że sam Agrypa odnosił się w końcu do magii jako do „gry umysłu” (Prosi, II, 358) — pogląd wymagający sprawdzenia. Nie zapominajmy, że sam Agrypa daje swoim wyznawcom znakomitą radę: sile, cela, occulta, tege, tace, mussa.

[126] Koniec średniowiecza i epoka Odrodzenia były okresem rozkwitu

tajnych towarzystw, stawiających sobie mistyczne cele.

[127] „Nie jestem neapolitańczykiem”. U G. Pontano (1426—1503) czytamy w jego „Historia Neapolitana”: *Nee est quod Neapoli quam hominis vita minoris vendatur.*

[128] „Wieczna młodość, jaką rzekomo daje ludziom tajemniczy napój, w którym rozpuszczony jest alchemiczny kamień mędrców”. Alchemicy wierzyli, że „kamień filozoficzny”, mogący przemieniać metale w złoto, równocześnie w odpowiednim roztworze daje eliksir życia. Legenda mówiła, że liczba osób znających tajemnicę tego eliksiru nie może przekraczać jedenastu. Kiedy z kolei nowy alchemik odkrywał tajemnicę eliksiru, jeden z jedenastu musiał umrzeć.

[129] Pitagorasa zalicza się do „wielkich boskich wysłanników”; Plotyn należy do liczby „wielkich wtajemniczonych”; Hiram według podania miał władzę nad duchami żywiołów, które pomagały mu wznosić świątynię Salomona.

[130] „Bestie Wschodu i Zachodu” — Mahomet i papież.

[131] „Emblemat Syna Bożego opromieniony światłem”, prawdopodobnie znak róży i krzyża, który później (w XVIII w.) stał się emblematem zakonu różokrzyżowców.

[132] „Siedem stopni z ołowiu, mosiądzu, miedzi, żelaza, brązu, srebra i złota” — mistyczna drabina alchemików przyjęta później również przez wolnomularzy.

[133] „Poemander” — nazwa pierwszej z ksiąg „hermetycznych”, dialog o mądrości i potędze Stwórcy, odnaleziony w XV w. i także wtedy przetłumaczony na język łaciński przez Marsilia Ficino.

[134] Hermes Trismegistos — domniemany autor dzieł znanych pod nazwą „ksiąg hermetycznych”, pochodzących z czasów antycznych i na które silny wpływ wywarły niewątpliwie idee Egipcjan. „Smaragdowa tablica” — fragment przypisywany Hermesowi Trismegistosowi; tłumaczenie tego fragmentu znaleźć można we wszystkich dziełach traktujących o dawnym okultyzmie. W „Tablicy” tej czytamy między innymi: „To, co w dole, podobne jest do tego, co w górze; to, co w górze, podobne jest do tego, co w dole; niechaj dokona się cud jedności”. „Pentagram” — tak nazywa się pięcioboczna gwiazda, jak to wyrazili okultyści: „jeden z najdoskonalszych pentakli jakie tylko można sobie wyobrazić”. „Temerem” lub „temariusem” nazywa się połączenie elementów po trzy, które symbolicznie oznacza: Boga Ojca, Boga Syna, Boga Ducha Świętego (w świecie archetypów); najwyższe, pośrednie, najniższe lub niewinność, męczeństwo, pokajanie (w świecie dającym się ogarnąć rozumem); ruchome, nieruchome, łączne lub strony

świata, strefy, deklinacje, lub dzienne, nocne, obustronne (w świecie niebieskim); proste, złożone, rozłożone (w świecie elementów); głowę, pierś, łono (w mikrokosmosie); Alecto, Tysyfone, Megerę lub Eaka, Minosa, Radamantysa, lub wiedźmy, przeniewierców, niewiernych (w świecie piekieł). Podobne do tego symboliczne znaczenie ma „quaterner” lub „quaternarius” elementy łączone po cztery, „quinarius” itd. (Patrz: Agrypa „O tajemnej filozofii”, t. II.) Nauka o mistycznym znaczeniu liczb, według chaldejskiej legendy stworzona przez Pitagorasa, została rozwinięta w wieku XVI przez magów. Zgodnie z Pitagorasem widzieli oni perfekcję w liczbach nieparzystych, a pierwiastek rozpadu w liczbach parzystych. Później (XVIII w.) naukę o mityce liczb rozwinął K. von Eckhartshausen.

[135] Słowa hrabiego Henryka zawierają zaczątki tych nauk, które zostały w pełni rozwinięte przez późniejszych okultystów, przeważnie francuskich (Eliphas Levi, St. de Guaita, Fabre d'Olivet, M. de Figanieres St.-Yves d'Alveydre i in.).

[136] „Rycerze Świątyni” — templariusze, zakon założony w 1118 r. Przypuszcza się, że nazwę swą wziął stąd, iż Baldwin ustąpił zakonowi zamek w Jerozolimie w pobliżu miejsca, gdzie ongiś znajdowała się świątynia. Mistycznie nazwę zakonu tłumaczy się tym, że drogą dziedziczenia przechowywano w nim legendy dotyczące pradawnych budowniczych świątyni Salomona. Na początku XIV wieku na rozkaz Filipa IV Pięknego wszczęto proces inkwizycyjny przeciwko templariuszom i w roku 1310 najważniejsi członkowie zakonu i jego mistrz zostali spaleni na stosie. Przed śmiercią templariusze przepowiedzieli rychłą zgubę swoich prześladowców: papieża i króla francuskiego, co istotnie się spełniło. Legenda przypisuje templariuszom również inne spełnione przepowiednie, między innymi przepowiednię Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

[137] „Dwoje drzwi”. Wergiliusz. Eneida VI, 894 sqq.

[138] *Scientia est assimilatio scientis ad rem scitam, scientia est sigillatio scibilis in intellectu scientis* — aksjomaty scholastyczne.

[139] „Pierwszy naród ziemski”. Zgodnie z nauką okultystyczną ludzie pierwotni posiadali zdolność postrzegania nie zjawisk, lecz istoty rzeczy. Dlatego tym bliżej jesteśmy źródła rozumienia świata, im bliżej prastarych legend. Legenda, która przetrwała do naszych czasów, przekazana nam została przez trzy rasy, przed rasą białą kolejno dzierżące na ziemi berło panowania duchowego: przez rasę żółtą, czerwoną i czarną. Wtajemniczeni wyższych stopni nadal władają kluczem pierwotnego języka Atlantów, dającego wyjaśnienie wszystkich symbolicznych imion i terminów zachowanych w legendach. (Mistyczna historia ludzkości opowiedziana przez Fabre d'Olivet w

jego dziele: *Histoire philosophique du genre humain*. I edit. Paris 1822).

[140] We Francji w wieku XV i na początku XVI pojedynki bardzo się rozpowszechniły. Popierali je tu królowie, którzy osobiście udzielali dworzanom zezwolenia na pojedynkowanie się *en champ clos*. Tak trwało do 1547 r., kiedy to Henryk II na skutek pojedynku, w którym zabity został jego faworyt, zabronił pojedynków.

[141] Reuchlin użył tego wyrażenia, o którym mówi autor „Opowieści”, w prywatnym liście z 6 sierpnia 1514 r., lecz w wieku XVI listy wybitnych ludzi były szeroko rozpowszechniane w odpisach.

[142] „Nawet monarchowie”. Autor „Opowieści” prawdopodobnie czyni aluzję do wyzwania na pojedynek Franciszka I przez Karola V (1582 r.).

[143] Jacques de Pons i Pierre Torres napisali traktat o sztuce fechtunku (1474).

[144] Starodawny uniwersytet dzielił się na cztery fakultety: teologiczny, prawny, medyczny i artystyczny. Fakultet artystyczny stanowił przedśmionkę do wyższych: aby wstąpić jako szolarz na jeden z fakultetów specjalnych, trzeba było uzyskać stopień magistra *in artibus*. Na fakultecie artystycznym studiowano siedem sztuk wolnych, dzielących się na *trivium* (gramatyka, dialektyka, retoryka) i *quadrivium* (geometria, arytmetyka, astronomia, muzyka). Istniały trzy stopnie akademickie: bakałarza, licencjata i magistra (lub doktora). Stopień bakałarza już dawał prawo wykładania (*licentia docendi*) lecz z pewnymi ograniczeniami. Początek samodzielnego wykładania nazywał się *incepcją*. Osiągnięcie wyższych stopni akademickich wiązało się z dużymi wydatkami (*promocje*) na podarunki dla profesorów, na poczęstunek dla kolegów itp.

[145] „Stary spór poetów z sofistami”. Humanisci nazywali siebie „poetami”, „sofistami” zaś wyznawców średniowiecznej filozofii. Wspominając o „starym sporze” autor „Opowieści” ma prawdopodobnie na myśli spór zwolenników nowego z reakcjonistami, który to spór rozgorzał w latach dziesiątych i dwudziestych XVI wieku w uniwersytetach Erfurtu, Lipska, Wittenbergi i innych.

[146] W średniowieczu studentom nie wolno było nosić broni. Począwszy od XVI wieku zwyczaj ten, podobnie jak i noszenie przez studentów na wpół mnisiej odzieży, został zaniechany i w Niemczech pojedynki studentów zaczęły stawać się obyczajem.

[147] „Doktorami na mocy bulli”, *doctores bullati*, nazywano osoby, które otrzymały stopień naukowy nie drogą legalną, na uniwersytecie, lecz darowany z łaski cesarza, papieża lub księcia.

[148] Piwiarnie rozpowszechniły się w Niemczech w początkach XVI

wieku.

[149] Koniec XV i początek XVI wieku były w Niemczech epoką całkowitego zubożenia chłopstwa i stopniowego przywiązywania go do ziemi. Pamflety polityczne, które pojawiały się przed powstaniem chłopskim 1525 r., podobnie jak rozmaite „petycje” i „programy” datujące się z tego okresu, pełne są przykładów okrutnego uciskania chłopów przez szlachtę.

[150] Lindenthal — obecnie przedmieście Kolonii, z lasem nazywanym „miejskim” (Stadtwald).

[151] Hans Holbein, prawdopodobnie młodszy (1497 - 1543).

[152] W Europie XVI wieku sztuka fechtunku była już dość rozwinięta. Pierwszy związek szermierczy, św. Marka, został założony w Niemczech w 1487 r. we Frankfurcie nad Menem.

[153] Sempoalla — miasto nadmorskie w Meksyku; pod tym miastem Kortez w roku 1520 odniósł jedno ze swoich zwycięstw.

[154] Czarny płaszcz i kapelus z rondem były w wieku XVI zwykłą odzieżą niemieckich medyków.

[155] Średniowieczna medycyna wnioskowała o pożytku tych lub innych leków nie tyle na podstawie doświadczenia, ile na podstawie teoretycznych rozważań. Dopiero począwszy od lat trzydziestych XVI w. farmakologia wstąpiła na drogę prawdziwie naukową, a to dzięki pracom Buonafede, Nordusa, de Orta i innych.

[156] „Niczym rajskie ptaki powietrzem”. Ponieważ na Madagaskarze tubylcy sprzedawali Europejczykom rajskie ptaki z odciętymi nogami i wypatroszone, w Europie przez długi czas krążyły o tych ptakach najbardziej nieprawdopodobne słuchy, którym dawali wiarę przyrodnicy, między innymi wierzono, że rajskie ptaki nigdy nie siadają i żywią się samym tylko powietrzem.

[157] W dawnych czasach w Niemczech święta Bożego Narodzenia wiązały się z całym szeregiem obrzędów i zwyczajów. Zwyczaj urządzania w kościele, w wigilię Bożego Narodzenia, szopki i przedstawiania pokłonu Magów przetrwał do dziś. Najciekawsza kolekcja takich szopek, artystycznie wykonanych, znajduje się w Monachium. W dniu Jana Ewangelisty (27 grudnia) mężczyźni pili za to, by wzmagala się ich sita, a kobiety — by wzrastała ich uroda. W dniu modłów o spokój duszy czterdziestu tysięcy niewiątek (28 grudnia) chłopcy smagali różgami dziewczęta, a one okupywały się pierożkami. Jeszcze w końcu XVI wieku nawet w wyższych sferach społeczeństwa chłopcy tego dnia wczesnym rankiem wdzielali się do sypialni dziewcząt, itd. (A. Schultz. Das Häusliche Leben. München 1903.)

[158] Średniowiecze i epoka Odrodzenia obfitowały w różnego rodzaju

wędrownych wesołków: kuglarzy, akrobatów, pokazywaczy osobliwości itd., których po łacinie nazywano *joculatores*, po francusku — *jongleurs*, po niemiecku — *Spielleute*. Do naszych czasów dotrwało niemało ogłoszeń (afiszów i ulotek) przedsiębiorców zapraszających na takie pokazy; na ogłoszeniach tych często przedstawione są różne rzadkie zwierzęta. (Th. Hampe. *Die fahrenden Leute*. Leipzig 1902.)

[159] „Że na twarzy człowieka napisane jest *Homo Dei*”, jest to pomysł Bertolda z Regensburga (XIII w.). Że Jerozolima stanowi centrum ziemi, było powszechnym mniemaniem średniowiecznych kartografów. Że na ziemi jest tyle rodzajów roślin, ile gwiazd na niebie i że szmaragd roztrzaskuje się, jeśli przy nim dopuścić się grzechu miłosnego, twierdził Konrad z Megenbergu (XIV w.). Wiele podobnych przesądów znaleźć można w książce G. Eikena „*Historia i system światopoglądu średniowiecznego*” (wyd. ros. St. Petersburg. 1907).

[160] Historia Trystana i Izoldy była ulubionym tematem pisarzy średniowiecznych. W XV i XVI wieku pojawiło się kilka nowych opracowań tej legendy.

[161] „Łącząc się w kształt mistycznych liter D, I, L”. Podobna wizja jest u Dantego (*Paradiso*, XVIII, 76 - 78):

E dentro ai lumi sante creature  
Volitando cantavano e faciensi  
Or D, or I, or L, in sue figure.

Wymienione litery tworzą początek frazy: *Diligite iustitiam quid iudicatis terram*.

[162] Zakon św. Brygidy zezwalał, by w jednym klasztorze byli mężczyźni i kobiety.

[163] Humanista Jakub Wimpheling (1450—1528) bronił idei wolności sumienia.

[164] Pfefferkorn (XVI w.) i Jakub Hochstraten (1454 - 1527), przeciw którym skierowanych jest szczególnie wiele ataków w „*Pismach ciemnych ludzi*”, wydali niemało dzieł czysto teologicznych. Autor „*Opowieści*” zapominał widocznie, że jedno z dzieł Hochstratena „dopuścił na swój stół”.

[165] Książkę „*O naśladowaniu Chrystusa*” przypisuje się zazwyczaj Tomaszowi à Kempis, zgodnie z napisem na jednym rękopisie tego dzieła: *finitus et completus Anno Domini 1441 per manus fratris Thomae Kempis*, lecz wielu podaje jego autorstwo w wątpliwość. „*Enchirion*”, o którym wspomina autor „*Opowieści*”, początkowo wydany w 1525 r. w Strasburgu, przedrukowany w czasach nowożytnych jako facsimile (Erfurt 1848); książkę Lanzkranny znamy w wydaniu: Stephan Lanzkranna, *propst zu St. Dorotheen*



in Wien. Das buch ist genant die Hijmel'strass. Augspurg 1501. Traktat Leandra, arcybiskupa Sewilli, napisany został w VI wieku, o wydaniach drukiem tego traktatu, które by pochodziły z początku XVI wieku, nic nie wiadomo. Bernard z Clairvaux został kanonizowany w 1174 r., Norbert z Magdeburga w XII wieku; Franciszek z Asyżu już za życia uważany był za świętego; pierwsze opisy jego żywota pojawiły się zaraz po jego śmierci, albowiem już w 1244 r. kapituła zakonu zaprosiła braci do spisania wspomnień o Franciszku; w roku 1266 powierzono Bonawenturze napisanie nowego żywota Franciszka; Elżbieta Węgierska, żona landgrafa Turynii, została kanonizowana w 1235 r.; Katarzyna ze Sieny — w 1461 r.

[166] Johann Bonaventura, „seraficzny doktor” (1221— 1274), kanonizowany w 1482 r., został przez papieża Sykstusa V zaliczony do pięciu największych nauczycieli kościoła. Jego „Itinerarium mentis in Deum” istnieje w wielu wydaniach. „Summa theologiae in tres partes distributa” — główne dzieło Tomasza z Akwinu, „uniwersalnego doktora” (1226—1274), kanonizowanego w 1323 r., nie zostało przez niego ukończone. Kościół katolicki po pewnym wahaniu uznał traktat Tomasza za „takie dzieło, z którego sam Chrystus się raduje”.

[167] Liczby podane przez autora „Opowieści”, jak głosi legenda, zakomunikowane były przez Jezusa Chrystusa drogą widzenia, które miały święta Elżbieta, święta Brygida i święta Melchida, pragnące dowiedzieć się o ilości razy, jakie otrzymał. Liczby te wymienione są w starodawnej książce, wznowionej na początku XIX w.: *La Clef du Paradis et le Chemin du Ciel*. Paris 1816.

[168] „Opowieść o tym, jak Katarzynie ze Sieny ukazała się Matka Boska” i in. zamieszczone są we wskazanej powyżej książce G. Eikena „Historia i system światopoglądu średniowiecznego”. (St. Petersb. 1907)

[169] Bertold z Regensburga w połowie XIII w. wędrował po całych Niemczech i wygłaszając kazania gromadził wokół siebie tysiące słuchaczy; uważano go za proroka i cudotwórcę. Niektóre jego kazania zostały w swoim czasie zapisane i wydane.

[170] „Fulsere ignes” etc. Verg. Aeneida IV, 167—8.

[171] „Filtren” nazywano napój wzbudzający miłość, przygotowany z zieleń i czarodziejskiej właściwości.

[172] O zwyczaju związanym z dniem św. Walentego, rozpowszechnionym wśród wszystkich ludów germańskich, wspomina Ofelia w jednej ze swoich pieśni. Młodzieniec zobowiązuje się służyć przez cały rok dziewczynie, która tego dnia pierwsza na niego spojrzy i która go pocałuje.

[173] Sanctae Brigittae revelationes ex recensione cardinalis de

Turrecremata. Lübeck 1492, wznowienia: Antwerpen 1611, Köln 1628. Książka miała wielkie powodzenie, przetłumaczona została na język francuski. Torquemada wygłosił jej pochwałę na soborze w Konstancji.

[174] „Skała Marpezyjska”. Aluzja do wyrażenia Wergilego (Verg. Aen. VI 470—1):

Nec magis... movetur,

Quam si dura silex aut stet Marpesia cautes.

[175] Książka Baldassare Castiglione (1478—1526) „Il Cortegiano” — rysuje w dialogach typ idealnego dworzanina i daje obraz wykwintnego życia we Włoszech na początku XVI w.

[176] Medium te mundum posui ut circumspiceret inde commadius quidquid est in mundo. Słowa te mówi Stwórca do Adama w „Mowie o godności ludzkiej” Pico della Mirandoli.

[177] Jak wiadomo, Faust jest postacią historyczną. Cały szereg pisarzy XVI wieku wspomina o Fauście: przeor Trithemius, Conradus Mutianus Rufus, Johann Gast, Johann Vier (Weyer), Luter, Melancthon i inni, lecz mówią oni najwidoczniej o dwóch osobach, Fauście starszym i młodszym. Z zestawienia tych historycznych danych można wnioskować, że Johann Faust urodził się w pobliżu Wittenbergi, uczył się w Krakowie, potem podróżował, podawał się za cudotwórcę, wygłaszał wykłady i zmarł na początku lat czterdziestych XVI w. Po raz pierwszy życiorys Fausta wydany został w 1587 r. przez niejakiego Johanna Spiessa: „Historia von D. Johann Fausten dem weitbeschreyten Zauberer und Schwartzkünstler”. Gedruckt zu Franckfurt am Mayn, durch Johan Spiess. MDLXXXVII. Ta najstarsza książka o Fauście, na którą będziemy się kilkakrotnie powoływać w dalszych uwagach, przedrukowana została wraz z innymi materiałami historycznymi dotyczącymi Fausta w wydaniu: Doctor Faust. Von J. Scheible. Stuttgart 1846.

[178] „Ktoś inny, stojący blisko tronu, ktoś niskiego wzrostu i szkaradny”. Sądząc z opisu sabatu owym kimś był Johann Müllin (u Francuzów — maitre Jean Mullin), chorąży mistrza Leonarda.

[179] O katedrze w Kolonii. Przez kilka stuleci na dachu nie dokończonej katedry wznosił się drewniany żuraw do podnoszenia kamieni. W takiej postaci przedstawiona jest Katedra na wielu rycinach XVI—XVIII w.

[180] Ciało trzech ewangelicznych Magów zostały przez cesarzową Helene przeniesione do Konstantynopola; później przekazano je do Mediolanu, a po zburzeniu Mediolanu w 1164 r., dzięki poparciu Fryderyka Barbarossy — do Kolonii. Spiess tak opowiada o odwiedzeniu przez Fausta katedry kolońskiej i relikwii trzech Magów: „Als D. Faustus solchs sähe, sagt er: O jr gute männer, wie seyrt jr so jrr gereiset, da jr solt in Palestinam gen Bethlehem in Judea

ziehen, und seyt hierher kommen, oder seyt villeicht nach ewerm todt ins Merr geworffen, in Reinstrom geflösst und zu Colin auffgefangen und allda begraben worden".

[181] Legenda, wymieniając trzech ewangelicznych Magów z imienia (Melchior, Baltazar, Kacper), mówi, że zostali oni ochrzczeni w starożytnym państwie irańskim Partii przez apostoła Tomasza.

[182] Według Spiessa Faust zawarł z Mefistofešem umowę na dwadzieścia cztery lata, w ciągu których Mefistofeles zobowiązał się na wszelki sposób pomagać Faustowi swą siłą i wiedzą. W szesnastym roku tej umowy Faust przedsięwziął swą trzecią wielką podróż i odwiedził przy tej sposobności nie tylko kraje Europy, lecz również Egipt, Palestynę, Persję i Indie. Książka podaje krótkie informacje o wszystkich miejscowościach, w których Faust przebywał, i opowiada o różnych czarodziejskich psikusach, których Faust dopuszczał się w Rzymie, w bliskości dworu papieskiego, i w innych miastach.

[183] „Na dworze księżny Heleny". Mowa o księżnie Helenie Wasylewnie, wdowie po Wasylu III, która panowała od 1533 do 1538 r.

[184] Cud z winogronami. O podobnym figlu Fausta opowiada Spiess w rozdziale: Was D. Faustus für Abenthewer an dess Fürsten zu Anhalf Hoff getrieben. „Pewnego razu przybył dr Faust do księcia Anhalckiego... Przy stole zauważył, że księżna jest brzemienna. I oto, kiedy wieczera się kończyła i roznoszono słodycze, dr Faust powiedział do księżny: «Miłościwa pani, zawsze słyszałem, jakoby brzemiennie kobiety miały skłonność i silny pociąg do rozmaitych rzeczy; proszę waszą książęcą mość, by nie skrywała przede mną, co miałyby ochotę zjeść». Na co księżna odrzekła mu: «Panie doktorze, doprawdy nie chcę przed wami skrywać, na co miałabym ochotę. Tak więc, gdyby to było na jesieni, chciałabym zjeść do woli świeżych winogron i innych owoców». Na to powiedział dr Faust: «Miłościwa pani, łatwo mi to spełnić i za mniej więcej pół godziny życzenie waszej książęcej mości będzie zaspokojone». Tak więc szybko wziął dwa srebrne półmiski i wystawił je za okno, na zewnątrz. A kiedy pewien czas minął, wziął je zza okna i znów podał, przy czym na jednym były czarne i zielone winogrona, a na drugim półmisku jabłka i gruszki". Na zapytanie księcia, jak Faust to uczynił, w książce Spiessa Faust odpowiada podobnie, jak odpowiedział Mefistofeles i jak zostało to przekazane przez autora „Opowieści".

[185] Zwrot: De omni re scibili — był dewizą Pico delia Mirandoli. Dodawany niekiedy ciąg dalszy tej sentencji: et quibusdam aliis, narodził się znacznie później i być może należy do Woltera.

[186] Astrologią judycarną nazywano w wieku XVI to, co teraz nazywamy

po prostu astrologią, wówczas bowiem astrologia była to często w ogóle nauka o gwiazdach, tj. nasza astronomia. (Patrz: Agrypa. De Vanitate Scientiarum, lib. I, s. XXXI.)

[187] Lollardowie — tak nazywali się członkowie towarzystw religijnych powstałych w XVI w., początkowo w celach filantropijnych. Towarzystwa te były rozpowszechnione w Anglii, Niderlandach i Niemczech. W czasach reformacji lollardowie byli jej gorącymi zwolennikami. W „Pismach ciemnych ludzi” określenie „lollard” używane bywa niekiedy w sensie w ogóle heretyka.

[188] Wydarzenia, o których wspomina tu autor „Opowieści”, odnoszą się do końca 1533 i 1534 r., kiedy do Związku Szmalkaldzkiego przystąpiło wiele nowych członków (miasta Augsburg, Frankfurt, Hanower i in.), kiedy trwał opór stawiany przez anabaptystów w Münsterze wojskom arcybiskupa, kiedy Henryk VIII skłonił parlament do wydania „ustawy o władzy królewskiej”, kiedy w Szwecji wprowadzał reformację Gustaw Waza, a w Danii, po śmierci króla Fryderyka I (1533), toczyła się walka między katolikami i protestantami zakończona zwycięstwem tych ostatnich.

[189] Cud z polknięciem sługi w zajeździe. O podobnym figlu Fausta opowiada Spiess w rozdziale: D. Faustus frisst einen Haussknecht.

[190] Kościół w Münstereifel datuje się z XII w. jego krypta jest jeszcze starsza.

[191] Ryszard von Greiffenklau był arcybiskupem Trewiru od 1511 do 1531 r.

[192] „Na florencką modłę”. W XV—XVI w. florenccy uchodzili za zdeklarowanych sodomitów. W jednym, z „Pism ciemnych ludzi” piszący zasyła „więcej pozdrowień niż złodziei w Polsce, lwów w Hiszpanii, kupców w Wenecji, prostytutek w Bambergu, faryzeuszów w Kolonii, sodomitów we Florencji” itd.

[193] Tycjan urodził się w 1477, zmarł w 1576 r.

[194] Wiek XVI był epoką skrajnego upadku i powszechnej ruiny rycerstwa. Rycerze stopniowo przemieniali się w zwykłych rabusiów i sam Hutten, obrońca rycerstwa, przyznawał, że w Niemczech są cztery kategorie rozbójników: rycerze, kupcy, juryści i księża, lecz dodawał, że rycerze są spośród nich najmniej szkodliwi. O urzędzeniu wewnątrz zamków rycerskich w Niemczech pisze M. Heyne. Das deutsche Wohnen. Leipzig 1899.

[195] Piszczale i muszkiety zaczęły wchodzić w użycie w latach dwudziestych XVI wieku.

[196] „Bankierzy walczą o wpływy z królami”. Tak na przykład Fuggerowie w roku 1530 otrzymali tytuł hrabiów Imperium i pełną władzę terytorialną co do osób i mienia, a w 1534 także prawo bicia swojej monety.

[197] „Nauki rozkwitają, umysły się budzą. Jak radośnie jest żyć w takich czasach!” — słynne słowa Ulyka von Huttena w jego „Liście do Pirkeimera”.

[198] Malarz Mathis Grünewald urodzony w 1470 r. zmarł po roku 1529. Vischerowie — rodzina niemieckich rzeźbiarzy żyjących w Norymberdze w końcu XV w. i w pierwszej połowie XVI w. Słynny był zwłaszcza Peter Vischer (1455 - 1529).

[199] „Kawalerowie w kapeluszach”. W XVI wieku mężczyźni w pokojach pozostawali w kapeluszach, nawet przy stole.

[200] „Skąpy jak bohater Macciusa Plauta” — mowa tu o sknerze z komedii „Aulularia”.

[201] O pierścieniu, który czyni niewidocznym, pisali wszyscy wybitni okultyści, w tej liczbie Porphyrios, Jamblichos, Piotr z Apony, Agrypa. Pierścień Gygesa króla lidijskiego, opisany jest w książce „Le veritable Dragon rouge” po raz pierwszy wydanej w 1521 r. i wznowionej pod koniec XIX w.

[202] Legenda mówi, że od czasu, kiedy Jezus Chrystus dokonał wjazdu do Jerozolimy na oślicy, wszystkie osły mają na grzbiecie znak krzyża. W Weronie istotnie przez długi czas pokazywano szczątki tej oślicy. Jeśli chodzi o oślicę, na której jechał prorok Balaam, to według Talmudu było to szczególne zwierzę, stworzone przez Pana Boga w samym końcu szóstego dnia tworzenia; na tej samej oślicy Abraham wioził drwa na stos ofiarny dla Izaaka i na niej żona i syn Mojżesza udali się na pustynię (Dictionnaire Infernal, par Collin de Plancy, Ane).

[203] Intymnych naczyń, wspomnianych tu przez autora „Opowieści”, zaczynano dopiero używać w XVI w. Widzimy je na niektórych grawiurach Albrechta Dürera i innych.

[204] Dotrwał do naszych czasów rachunek wydatków poniesionych przez miasto Ulm z okazji przyjazdu cesarza Zygmunta i w rachunku tym widnieje pokaźna suma na ugoszczenie cesarza i jego świty w domu publicznym. Zresztą podobnie uhonorowało cesarza miasto Berno w 1414 r.

[205] „Epistolae”, „Laus Stultitiae” — słynna satyra Hermanna Buscha (1468—1534). Armila — kula złożona z kilku pierścieni przedstawiających główne koła astronomiczne. Armilami posługiwali się astronomowie antyczni i nowożytni aż do czasów Tycho de Brahe. Torkwety — starodawne przyrządy astronomiczne.

[206] Ulyk Zäsy, (1461 - 1535), jurysta szwajcarski, wyznawca humanizmu, utrzymujący przyjacielskie stosunki z Erazmem.

[207] Chocarrero — niewybredny dowcipniś.

[208] Hiszpan Torralba, doctor graduado, w pierwszej ćwierci XVI w.

cieszył się w Hiszpanii i w całej Europie wielką sławą jako znawca magii i potężny czarnoksiężnik. Rok urodzenia Torralby nie jest dokładnie znany (koniec XV w.). W roku 1528 został aresztowany, postawiony przed sądem, oskarżony o zajmowanie się magią i skazany na dożywotnie więzienie. Później został zwolniony, lecz dalsze jego losy są nieznanne. (J. Baissac. Les grands Jours. Chap. V.) Imię Torralby wspomniane jest w „Donkiszocie”. (Cz. II, rozdz. XLI).

[209] Mówiąc o „mroku Orcusu” hrabia von Wellen używa zwykłego wyrażenia humanistów, którzy w swojej humanistycznej pasji nazywali Jezusa Chrystusa synem Jupitera.

[210] Autor „Opowieści” mówi, że Faust pokazał księciu Anhalckiemu Aleksandra Macedońskiego. Spiess w rozdziale: Eine Historia von D. Fausto und Keyser Carolo V, wie er jhrer Keyserlichen Maiestat Alexandrum Magnum, besampt seiner Gemählin erweckt, mówi, że Faust dokonał tego cudu dla cesarza Karola V. „Dr Faust — opowiada Spiess — otworzył drzwi i zaraz wszedł cesarz Aleksander, w takiej postaci i wyglądzie, jakby widziano go żywym. A ściśle — miał wygląd statecznego, dorodnego mężczyzny, z kasztanową dużą brodą, z czerwonymi policzkami i surowym wyrazem twarzy, a oczy miał jakby bazyliuszka. Wszedł, ubrany w zbroję, i z głębokim szacunkiem skłonił się przed cesarzem Karolem. Cesarz chciał powstać, by go przyjąć, lecz doktor Faust nie chciał mu na to zezwolić” itd.

[211] Wywołanie przez Fausta Heleny Trojańskiej, co stało się tematem nieśmiertelnych scen tragedii Goethego, opowiedziane jest przez Spiessa w rozdziale: Von der bezauberten Helena, welche er den Studenten representierte. W opisie samego wywoływania i postaci Heleny to, co mówi autor „Opowieści”, w wielu miejscach pokrywa się z tym, co mówi Spiess, który opowiada: „Dr Faust zażądał, by nikt nic nie mówił i nie wstawał od stołu... Kiedy znów powrócił, szła za nim królowa Helena tak piękna, że studenci nie wiedzieli, sen li to czy jawa. Helena owa pojawiła się w kosztownej ciemnopurpurowej szacie, włosy miała tak długie, że sięgały kolan, oczy przepiękne, czarne jak węgiel, głowę miała kształtną, miłe liczko, usteczka małeńkie, wargi czerwone jak wiśnie, białą łabędzią szyję, policzki zaś niczym różyczki” itd.

[212] Katolicki Związek Szwabski, założony w 1488 r., około roku 1534 doszedł do stanu takiego upadku, że na sejmie w Augsburgu postanowiono go zlikwidować. Księżę Ulryk wtargnął do Wittenbergi (skąd przedtem był wygnany) w kwietniu 1534 r. W tymże miesiącu z racji wydarzeń zaszłych w Münsterze odbył się także sejm w Wormacji.

[213] Pietro Martire Anghierius lub Anghiera (ur. w 1477, zm. 1525), na

podstawie wiadomości przekazanych mu przez Kolumba, Korteza i in. napisał po łacinie „De Orbe novo Decades”, dzieło wydane w Hiszpanii już po śmierci autora (Alcala 1530 r.).

[214] „Astra non mentiuntur” itd. — słowa Benvenuto de Imola, jednego z wczesnych komentatorów Dantego.

[215] W swoim dialogu „De nobilitate” Poggio-Bracciolini broni poglądu, że godność człowieka nie jest zależna od jego pochodzenia. Ta sama myśl powtarza się także u innych humanistów (Salutati, Poliziano, Platini). Eneas Sylwiusz Piccolomini, późniejszy papież Pius II (zm. w 1463 r.), napisał dzieło „O wychowaniu książąt”.

[216] Albrecht Brandenburski (1480—1545), arcybiskup Magdeburga (od 1513 r.) i Moguncji (od 1514 r.), był zwolennikiem humanizmu, lecz wrogiem reformacji. Przez niego między innymi wysłany był ów Tetzel, którego handel indulgencjami spowodował „95 tez” Lutra.

[217] „Nieśmiertelna satyra Sebastiana Brandta” (1457— —1521) — „Statek głupców”.

[218] Początek inkwizycji, w późniejszym szczególnym znaczeniu tego słowa, przypada na koniec XII i początek XIII w. Początkowo inkwizytorów mających za zadanie poszukiwanie heretyków mianował miejscowy biskup; potem obowiązki inkwizytorów zostały powierzone dominikanom, podlegającym bezpośrednio papieżowi.

[219] Tomasz de Torquemada (ur. w 1420, zm. w 1498 r.).

[220] Bulla papieska „Summis desiderantes affectibus”, skierowana bezpośrednio przeciwko czarownicom i czarnoksiężnikom, została ogłoszona przez papieża Innocentego VIII w 1484 r.

[221] „Nie jest ani skotystą, ani albertystą, ani tomistą, ani ockhamistą”, to jest ani wyznawcą Dunsza Scota, ani Alberta Wielkiego, ani Tomasza z Akwinu, ani Wilhelma Ockhama — luminarzy filozofii średniowiecznej.

[222] Tomasz Murner (1475 - 1537) z początku był stronnikiem reformacji, jednak potem ostro ją atakował. Napisał między innymi książkę: Von dem grossen lutherischen Narren, wie ihn Doctor Murner beschworen hat (1522 r.).

[223] Święta Elżbieta — zapewne Elżbieta z Turyngii (1207 - 1231). Święta Klara z Asyżu (1193 - 1253) założycielka zakonu klarysek.

[224] „Chlubisz się Zakonem, a zniesławiasz Boga”. — Do Rzymian, II, 17.

[225] Pogląd Gemistosa Plethona (zm. w 1451 r.) na demony został przez niego wyłożony w obszernym, dziele filozoficznym, bardzo popularnym w wieku XV i na początku XVI, do nas dotrwało ono jednak tylko we fragmentach. Opowiadanie Poggio o Trytonie zamieszczone jest w jego zbiorze „Facetiae”.

[226] „Zważ tylko, że ani Cycero, ani Horacy”... Uwaga absurdalna, albowiem za Cycerona i Horacego nie było chrześcijańskich klasztorów. Nawet Petrarca pisał jednak: „Nigdzie nie spotykałem się z tym, by Scypion lub Cezar zajmowali się turniejami”.

[227] Jak wiadomo w wiekach XVI i XVII w licznych klasztorach objawiały się epidemie opętania. Najsłynniejsze z tych wypadków to proces urszulanek w Aix (sprawa Goffridi 1609 - 1611 r.) i proces urszulanek w Loudun (sprawa Urbana Grandiera 1632 - 1634 r.), lecz w sumie można ich naliczyć kilkaset. (J. Michelet. *La Sorciere*; J. Baissac. *Les Grands Jours de la Sorcellerie*. Paris 1890; P. Regnard. *Les maladies epidemiques de l'esprit*. Paris 1880; itd.)

[228] „W ich celach zaczęły im się ukazywać postaci przepięknych młodzieńców”... „Siostry czuły dotknięcie niewidocznych palców”... „Demony zaczęły ukazywać się w postaci czarnych kotów, które pchały się siostrą pod suknie”... „Widziadła ukazywały się siostrą podczas modlitwy”... itd. Wszystko to stanowi typowe cechy epidemii opętania panującej w klasztorach. Protokoły i świadectwa współczesnych podają niemało jeszcze innych cech, o których autor „Opowieści” nie wspomina. Niekiedy na przykład opętani ulegali atakom wymiotów, przy czym zwracali wszystko, co zjedli, zupełnie nie przetrawione, a w tym pająki i glisty; niekiedy przejawiali ogólną lub częściową anestezję, nie czuli bólu przy uderzeniach lub ukłuciach; niekiedy zaczęli mówić w językach, których się nie uczyli, itd. (P. Regnard. *Les maladies epidemiques de l'esprit*. Paris 1890.)

[229] „Opętanie czy opanowanie”. Specjaliści dokładnie rozróżniali przypadek, kiedy diabeł opętał swoją ofiarę od wewnątrz — byli to opętani, *possessi*, *possedes*, *besessene*, od tego, kiedy opanował ją tylko z zewnątrz — *obsessi*, *obsedes*, *geplagte*. Niektórzy wskazywali jeszcze trzeci przypadek, kiedy ofiara była pod wpływem czarów — *maleficti*, *ensorceles*, *behexte*.

[230] „Obserwantki”. W roku 1517 papież Leon X utworzył z tych grup klarysek, które przestrzegały szczególnie surowej reguły, oddzielny oddział zakonu. Jego członkinie nazywały się „obserwantkami”.

[231] „Krew nie cieknie” itd. — oznaki anestezji. „Nie toną w wodzie” — na tym opierała się próba, której poddawano czarownice we wczesnym średniowieczu. (*Hexenbad*, *indicium aquae*.)

[232] „Czy rzucając uroki sprowadzały pomór na bydło i ludzi, czyniły kobiety bezpłodnymi” itd. Bodin wylicza piętnaście zbrodni, których winne są czarownice: 1) odtrącają Boga, 2) bluźnią, 3) oddają część Diabłu, 4) składają mu w ofierze swoje dzieci, 5) dzieci tych nie chrzczą, 6) nawet w łonie matki, 7) kuszą innych ludzi, 8) zaklinają się imieniem Diabła, 9) cudzołożą, 10) zabijają i pozerają ludzi, 11) żywią się padliną, 12) niszczą trucizną i czarami, 13)



sprawdają pomór na bydło, 14) nieurodzaj na zboża, 15) mają stosunki cielesne z Diabłem. (J. Bodin. *Demonomanie des sorciers*. Paris 1581.)

[233] *Seu tempestate columbae*. Verg. *Aen.* II, 516.

[234] W sprawozdaniach dotyczących opętanych i w specjalnych zbiorach, które do nas dotrwały, znajdujemy znaczną ilość egzorcyzmów bardzo różnych pod względem formy. Jedne z nich, podobne do tego, który przedstawił autor „Opowieści”, zawierają klątwy rzucane na złego ducha, inne ułożone są na wzór modlitw. Oto przykład egzorcyzmu tego drugiego rodzaju: „Panie Jezu Chryste, który znasz tajemnice i odsłaniasz przed wiernymi to, co sprawiedliwe i co wiedzie do zbawienia! Skoro dopuściłeś, by zły duch zamieszkał w danym miejscu, błagamy o szlachetne miłosierdzie Twoje, rozkaż, w imię miłości naszej do męki Twej i przeczystej krwi Twojej, przelanej dla okupienia grzechów naszych, niechaj ów zły duch wyjawi wiernym Twoim, nie przestraszając ich i nie czyniąc im zła, po co się pojawił, czego chce, i niechaj chwala będzie imieniu Twemu. Amen”. (*Dictionnaire Infernal*, par Collin de Plancy, 2 ed. Paris 1825).

[235] W ówczesnych świadectwach dotyczących epidemii opętania w klasztorach w wiekach XVI i XVII, niejednokrotnie napotykałyśmy opowiadania o „spirytystycznych” stukach. (Patrz np. *La merveilleuse histoire de l'esprit qui s'est apparu au monastere des religieuses de St. Pierre-de-Lyon*, par Adrien de Montalembert. Paris 1528.)

[236] „*Ecce ancilla Domini! Ora pro nobis!*”, co znaczy: Oto służebnica Pańska! Módl się za nami!

[237] Tłumaczenie zaklinania: Na Chrystusa Pana, Tego, kto mocen jest sądzić żywych i martwych, zaklinam: okaż posłuszeństwo! Duchy złe, potępione, przekłete, wypędzone, wygnane, rozkazuję wam i polecam w imię i ku chwale Boga Wszchemogącego i Sprawiedliwego! W mgnieniu oka wyjdźcie wszystkie, czyniące nieprawość!

[238] W odtworzonym przez autora „Opowieści” zaklinaniu mniszki występują charakterystyczne cechy analogicznych świadectw z XVI i XVII wieku. W roku 1634, kiedy opętanie dotknęło urszulanki i przystąpiono do egzorcyzmów, mniszki i sama księżniczka turlały się po posadzce, przybierały najnieprzyzwoitsze pozy, wykonywały nadzwyczaj śmieszne ruchy, wyginały się w konwulsjach, wysuwały języki, kręciły się, wykrzykiwały najokropniejsze bluźnierstwa, wypowiadały najsromotniejsze słowa, syczały jak żmije, naśladowały chrząkanie świi i głosy różnych zwierząt. Zdarzyło się również, że jeden z zaklinaczy odmawiających egzorcyzmy uległ zarazie i równocześnie z zaklinaniem w konwulsjach i drgawkach turlał się po posadzce, krzycząc, że i w niego demon wstąpił. „Niepodobna — mówi naoczny świadek — wyrazić

słowami wszystkiego, czego przyszło nam doświadczyć: oczy i uszy odbierały wrażenie takiego szaleństwa, że nikt nigdy nie widział nic podobnego i nikt, kto nie przywykł do okropnego widowiska w rodzaju tych, jakie poświęcone są demonom, nie mógł zachować spokoju ducha wobec zdumienia i przerażenia, jakie owo zachowanie budziło". (Aubin. Histoire des diables de Loudun. Amsterdam 1693). O innym wypadku opętania, który zaszedł w Louviers w 1642 r., opowiada naoczny świadek, że jedni z opętanych wrzeszczeli jak wściekłe koty, wspinali się na ściany, wślizgiwali na wierzchołki drzew i spuszczały na dół ześlizgując się po pniu; inni rzucali się na ludzi, wszystko przed sobą przewracali, drapali na prawo i na lewo, wydawali głucho okrzyki; niektórzy rzucali się w ogień, jeszcze inni próbowali rzucić się do studni i czasami potrafili zawisnąć nad studnią opierając się o jej żrąb ramionami i końcami nóg itd. (J. Baissac. Les grands Jours de la Sorcellerie. Paris 1890; P. Regnard. Les maladies epidemiques de l'esprit. Paris 1880; itd.)

[239] „Chęć okazania się prawdziwym humanistą". Nie jest to całkiem ścisłe, bowiem większość humanistów podzielała poglądy swojej epoki na czary, czarnoksiężstwo i magię.

[240] Nowy Cesarski Zbiór Praw — tj. Zbiór Praw wydany przez Karola V w 1533 r. znany pod nazwą Karolińskiego. Pełny, jego tytuł brzmi: Des allerdurchleuchtigsten grossmehchtigsten, vnüberwindlichsten Keyser Karls des fünfften: vnnnd des heyligen Römischen Reischs peinlich gerichtts Ordnung, auff den Reichsstägen zu Augspurgk vnd Regenspurgk inn Jaren dreissing vnd zwey vnd dreissig gehalten aufgericht vnd beschlossen.

[241] Johann von Schwarzenberg (1463—1528) — jurysta, reformator prawodawstwa niemieckiego, ułożył „Bamberski Zbiór Praw", a później opracował projekt ogólnego cesarskiego zbioru praw, który stał się podwaliną „Karolińskiego".

[242] „Crimen exceptum". Według ogólnej zasady sądownictwa niemieckiego przestępstwa dzieliły się na zwykłe i wyjątkowe, crimina ordinaria et excepta. Do tych ostatnich zaliczały się takie przestępstwa, jak obraza majestatu, zdrada, herezja itd. Do sążenia przestępstw „wyjątkowych" sąd miał specjalne pełnomocnictwa i nie był skrepowany zwykłą procedurą sądową. „In his ordo" itd., to jest: „W takich wypadkach regułą jest — regułą nie przestrzegać". (C. Müller. Hexenaberglaube und Hexenprozesse in Deutschland. Leipzig 1893; J. Kantorowicz. Sredniewiekowyje procesy o wiedmach. St. Petersburg 1893; i in.)

[243] „Ścisły sens bulli papieskiej", tj. bulli „Summis desiderantes" (1484), gdzie czytamy: „Aby nie stawało się tak, że prowincje, miasta, diecezje, eparchie i inne miejscowości górnych Niemiec pozbawione są instytucji

inkwizycji, stanowimy na mocy naszej władzy apostołskiej, że mianowanym inkwizytorom zezwala się w miejscowościach owych pełnić rzeczzone obowiązki inkwizycji i troszczyć się o ściganie, wtrącanie do więzienia i karanie osób za wyżej wymienione przewiny i przestępstwa".

[244] „Crimen fori mixtum”, tj. przestępstwo mieszanego rodzaju. Początkowo procesy czarownic prowadzone były wyłącznie przez sądy duchowne; później rozszerzył na nie swoją działalność sąd świecki. W wypadku opisywanym w „Opowieści” książę Arcybiskup łączył w swojej osobie władzę duchowną i świecką, i spór toczył się między władzą miejscową (którą reprezentował) i ogólnokościelną (której reprezentantem był inkwizytor). Zauważmy jeszcze, że władza sądowa biskupów, zachwiana wydarzeniami okresu reformacji, została przywrócona edyktem cesarskim z 15 listopada 1530 r.

[245] Śledztwo, winno się rozpocząć od ogólnego wezwania, które przybija się do wrót kościoła parafialnego lub ratusza. (Malleus maleficarum, pars III, q. 1.)

[246] Paweł III — papież od 1534 do 1549 r.

[247] „Nie potrzebujemy jednak ani donosów, ani inscriptio”. „Młot na czarownice” uznaje trzy sposoby wszczęcia sprawy o czarnoksiężstwo: oskarżenie, donos i inkwizycję, lecz dodaje, że pierwszy sposób nie jest praktykowany (według bowiem starodawnego prawa niemieckiego oskarżyciel musiał stanąć twarzą w twarz z tym, kogo oskarżał, i ponieść odpowiednią karę w wypadku, gdyby oskarżenia nie można było dowieść). Zgodnie z prawem kanonicznym oskarżenie opierano na inscriptio, tj. na oskarżeniu pisemnym, przy czym proces nie powinien wykraczać poza granice punktów oskarżenia.

[248] Agrypa z Nettesheimu w roku 1519 dzięki swej interwencji ocalił pewną wieśniaczkę oskarżoną przez sąd inkwizycyjny o czarnoksiężstwo. Prócz oficjalnych dokumentów Agrypy, dotyczących tej sprawy, mamy jego prywatny list, w którym szczegółowo opowiada całą sprawę. (Patz A. Prost. C. Agrippa. Paris 1881. I, 319.)

[249] Pytania, które wylicza autor „Opowieści”, podane są wszystkie w „Młocie na czarownice” wraz z całym szeregiem innych, jak np.: Quale fuerit membrum virile Diaboli? An et rea semen emiserit? An Diabolus cum rea noctu pluries rem habuerit et semper cum seminis effluxione? Utrum rem cum rea peregerit in ipso membro muliebri an et in aliis corporis loci? itd. W wiekach XVI i XVII istniały inne jeszcze „Pouczenia dla badania czarownic”, zalecając kilkakset bardzo szczegółowych pytań.

[250] „Ex nobis egressi sunt” I Johan. II, 19.

[251] Obrzęd „straszenia” (territio, territion, Schrecken erregen) stanowił w

owym czasie niezbędną część procedury sądowej. Niekiedy narzędzia tortur nie tylko oskarżonemu pokazywano, lecz nawet do jego ciała przymierzano.

[252] Kluby (Daumenstock), sznur, but hiszpański (Beinschraube), kołowrót, jak również rozciąganie na drabinie i dyby (Bock) były w Niemczech XVI w. najczęściej stosowaną formą tortur. Obok nich stosowano jeszcze: wbijanie gwoździ pod paznokcie, naszyjnik z ostrzami, krzesło czarownic, próbę ognia, smoły i wody. (Patrz: Franz Helbing. Die Tortur. Geschichte der Folter in Kriminalverfahren aller Völker und Zeiten. G. Licherfelde, 1907.)

[253] Zgodnie z zasadami procedury sądowej tortura nie powinna była trwać dłużej niż 50 minut, a wznowić ją wolno było w tym tylko wypadku, jeśli w sprawie ujawniono nowe poszlaki. Ponieważ jednak czarnoksiężstwo było przestępstwem wyjątkowym (*crimen exceptum*, *crimen atrocissimum*), to znaleziono sposób obejścia tej zasady, mianowicie wznowienie tortury nazywano jej „kontynuacją”. „Młot na czarownice” mówi o tym: *Quod si nesic (quaestionata) poterit ad veritatem induci, tunc pro secunde aut tertia die quaestionanda ad continuandam tormenta non ad iterandum, quia iterari non debent nisi nova supervenissent indicia.* (Malleus maleficarum, pars III, q. 19.) Znane są wypadki, kiedy torturowano ponad dwadzieścia razy.

[254] Czarownice przy zawieraniu paktu z diabłem, przeważnie na sabacie, otrzymywały specjalny znak, *sigillum diabolicum*. Znak ten mógł się znajdować na ciele w dowolnym miejscu, lecz szczególnie często bywał na plecach, przy samym końcu stosu pacierzowego. Znak często miał kształt zająca lub żabiej łapy, lub czarnego kota. Utrzymywano, że czarownica nie czuła bólu, kiedy ją igłą kluto w to miejsce, i że od ukłucia krew nie ciekła.

[255] „Młot na czarownice” doradzał, by jeszcze przed rozpoczęciem badania wyrywać i przypalać ogniem wszystkie włosy na ciele czarownicy, a to po to, żeby nie ukryła w nich jakichś czarów. (Malleus maleficarum, pars III, q. XV.)

[256] Tekst oryginalny art. 109 brzmi: *Item so jemandt den leuten durch zauberey schaden oder nachtheyl zufügt, soll man straffen vom leben zum todt, vnnd man soll solche straff mit dem feuer thun. Wo aber jemandt zauberey gebraucht vnnd damit niemant schaden gethan hett, soll sunst gestrafft werden nach gelegenheit der sacht.*

[257] Tekst oryginalny art. 44 brzmi: *Item so jemandt... mit solchen verdecktlichen dingen, geberden, worten vnd weisen vmbgeht, die zauberey auf sich tragen, vnd die selbig person des selben sonst auch berüchtigt, das gibt eyn redlich anzeygung der zauberey und gnugsan vrsach zu peinlicher frage.*

[258] „Przy tak ciężkich zbrodniach trzeba wbrew woli uciekać się do

najsilniejszych środków" — słowa z „Młota na czarownice”: singularitas istius casus exposcit tormenta singularia.

[259] „Ruprechcie, insanis" tj. Ruprechcie, jesteś szalony.

[260] „Per amica silentia lunae". Verg. Aen. II, 255.

[261] O zgonie Agrypy dotarły do nas sprzeczne wiadomości. Zgodnie z ustaleniami Guy Allarda (ur. w 1645 r., zm. w 1716 r.) zgon ów nastąpił w tymże miejscu, które opisuje autor „Opowieści", mianowicie w Grenoble, w domu Francois de Vachon, prezydenta parlamentu w Grenoble. Zgon poprzedziły smutne wydarzenia (wtrącenie Agrypy do więzienia w Lyonie itp.), o których wspomina autor „Opowieści". Zgodnie jednak z ustaleniami niejakiego Chauriera, żyjącego w tym samym czasie co Allard, Agrypa zmarł w Grenoble, lecz w innym domu, przy ulicy de Clerc, który w tym okresie należał do członka parlamentu Ferranda, i w którym w roku- 1457 zmarł słynny jurysta Guy Pau. Inne źródła podają, że Agrypa zmarł w Grenoble w szpitalu przy ulicy Perier. Niektórzy wreszcie (A. Thevet i in.) podają, że Agrypa zmarł w Lyonie, w nędznej chałupie (A. Prost. C. Agrippa. Paris 1882, II, 4046). Opowiadanie o tym, jak Agrypa przed śmiercią przeklął swego psa, który natychmiast po tym utopił się, zostało przekazane w książce P. Jovii Novocomensis: „Elogia virorum litteris illustrium" (1577), i stąd przeszło do wszystkich legendarnych życiorysów Agrypy.

[262] Rzeka Świętego Ducha (Rio del Espiritu Santo) — . dawna nazwa Mississipi. (Patz. J. Eglí. Nomina geographica. Leipzig 1893.) Jak wiadomo, w latach trzydziestych XVI w. dolina Mississipi była terenem zupełnie nie zbadanym; krążyły nieprawdopodobne opowieści o bogactwach, jakie się tam kryją. W roku 1539 niejaki Hernando de Soto zorganizował wielką ekspedycję w te strony, która skończyła się jednak tragicznie, gdyż niemal wszyscy jej uczestnicy zginęli w dziewiczych lasach i nieprzebytych bagnach. Być może taki sam los nieco wcześniej spotkał tę ekspedycję, do której przyłączył się autor naszej „Opowieści".